ROCZNIK XXIV. NR. 1—12.

CZASOPISMO

PRAWNICZE I EKONOMICZNE

ORGAN WYDZIAŁU PRAWA I ADMINISTRACJI UNIWERSYTETU JAGIELL. ORAZ TOW. PRAWNICZEGO I EKONOMICZNEGO W KRAKOWIE

ZASIŁKIEM MINISTERSTWA W. R. I O. P. ORAZ SENATU AKADEMICKIEGO UNIWERSYTETU JAGIELLOŃSKIEGO.

KRAKÓW 1926.
KRAKOWSKA SPÓŁKA WYDAWNICZA
KRAKÓW, UL. ŚW. FILIPA 25.

ROCZNIK XXIV. NR. 1—12.

CZASOPISMO

PRAWNICZE I EKONOMICZNE

ORGAN WYDZIAŁU PRAWA I ADMINISTRACJI UNIWERSYTETU JAGIELL. ORAZ TOW. PRAWNICZEGO I EKONOMICZNEGO W KRAKOWIE

95

KRAKÓW 1926.
KRAKOWSKA SPÓŁKA WYDAWNICZA
KRAKÓW, UL. ŚW. FILIPA 25.

Drukarnia Uniwersytetu Jagiellońskiego pod zarządem J. Filipowskiego.

SPIS TREŚCI

Strona

ŚP. ERNEST TILL.

Świat prawniczy opłakuje śmierć jednego z najwybitniejszych swoich członków, prawnika, w którym my wszyscy żyjący uznajemy naszego mistrza. Twórca pierwszego wielkiego systemu prawa cywilnego w języku polskim, redaktor — jubilat »Przeglądu prawa i administracji«, wiceprezes Komisji Kodyfikacyjnej Rzeczypospolitej Polskiej, — oto znaki zewnętrzne jego działalności. W czem jednak tkwiła jej istota, co sprawiało, że był przykładem, wzorem i kierunkiem dla całego szeregu pokoleń prawników, które wykształcił i które myślą zawsze zwracały się do niego, jak do źródła?

Mówić o sumienności i dokładności Śp. Ernesta Tilla jest zbytecznem. Nie miał wyższych od siebie w tym względzie. Wystarczy też przeczytać jego »System«, aby ocenić jego wiedzę i oczytanie. Tem jednak, co szczególnie go charakteryzowało i ponad liczne zastępy pracowników naukowych wynosiło, była tak trudno osiągalna równowaga. Sądzę, że w tem określeniu mieści się wszystko, co Śp. Ernestowi Tillowi, jego działalności naukowej i kodyfikatorskiej, jego życiu wogóle, nadawało szczególną, wyróżniającą go i podnoszącą w górę cechę.

Rzadcy są ludzie, którzy potrafią nie ulec polarności natury ludzkiej. Z jakiegokolwiek punktu widzenia określać będziemy te bieguny: rozum i intuicja, rozum i fantazja, rozum i namiętność, rozum i wiara, rozum i miłość, — naj-

częściej stwierdzić przychodzi hegemonję jednego z tych czynników nad drugim, najrzadziej ich równowagę. Goethe był ideałem tej równowagi. Wydaje mi się też, że Śp. Ernest Till był człowiekiem goethowskim.

Kto znał Śp. Tilla i miał sposobność patrzeć na sposób jego życia i pracy, musiał być zdumiony, jak ten człowiek na wszystko znajdował czas. Muzyka, sporty fizyczne, przez długie lata praca adwokacka, nieprzerwana nigdy praca naukowa, obowiązki nauczycielskie i liczne funkcje obywatelskie, pełne oddania obowiązki głowy rodziny, — wszystko umiał pogodzić, nigdy nic nie zaniedbał, żadnemu z zajęć swych nie uczynił krzywdy kosztem drugiego, wszędzie osiągał rezultaty dodatnie, niejednokrotnie świetne. Tak bogato uposażoną była ta natura. Gdybyśmy nawet tego nie wiedzieli, z rezultatów tych musielibyśmy odgadnąć, że równowagę taką mógł zdobyć tylko człowiek, który nietylko kształcił się na świecie antycznym, ale umiał go przeżyć. Spokój i umiar, którym odznaczał się Śp. Ernest Till, mogło mu dać przy wrodzonych skłonnościach tylko wykształcenie klasyczne.

Z tego punktu patrząc na dzieło Śp. Tilla, odnajdujemy w niem przedewszystkiem właśnie to wytrawne odważanie argumentów, które jest główną podstawą sądu wtedy tylko naukowego, jeżeli jest objektywnym. Nie umiem sobie wyobrazić Śp. Tilla naprawdę zagniewanego, ale też nie umiem sobie go przedstawić w roli idącego do walki na oślep entuzjasty. Natomiast widzę go zawsze z wagą, z którą przedstawiają Temidę. W nauce był tak sprawiedliwym, jak byłby nim, gdyby był sędzią.

Braknie Śp. Ernesta Tilla nauce, uniwersytetowi, ale braknie w dzisiejszych czasach przedewszystkiem Komisji Kodyfikacyjnej. Stoi ona przed niezmiernie trudnem zadaniem. Unifikować ma prawo polskie wobec zupełnie naturalnej predylekcji poszczególnych dzielnic do prawa, do którego się

już przyzwyczaiły. Wynaleźć ma wypadkową wobec zmagających się ze sobą sprzecznych prądów socjalnych. Ma stworzyć dzieło trwałe, gdy życie przeobraża się w przyspieszonem tempie. Tutaj to właściwości charakteru i umysłu Śp. Ernesta Tilla, jego antyczny umiar, jego równowaga człowieka goethowskiego mogły oddać szczególne usługi.

Opłakujemy też jego zgon, w pamięci i czynach pragniemy go zachować, jako przykład i wzór.

Władysław Leopold Jaworski.

Wobec jubileuszu Leona Petrażyckiego.

Rok 1927 zamyka 60 lat życia Leona Petrażyckiego i 35 lat od ukazania się jego pierwszego dzieła naukowego. Te dwie rocznice mają swoją wielką wymowę.

Przypominają one że upłynęło już lat 35, odkąd młody, nikomu nieznany Polak zaczął rzucać kolejno na arenę naukową berlińską swoje trzy książki — Fruchtverteilung beim Wechsel der Nutzungsberechtigten 1892, Lehre vom Einkommen tom I 1893, tom II 1895 — książki, co podziałały, jak istne pociski świecące, jednych oślepiając, wielu drażniąc, ale wszystkim niemal otwierając oczy na rzeczy dotąd niedostrzegalne. Była w nich śmiała krytyka metod pracy komisyj, układających nowy kodeks cywilny niemiecki — stąd podrażnienie opinji miejscowej i chęć przytłumienia sprawy milczeniem. Światło jednak stłumić się nie dało; długi szereg głosów najpoważniejszych prawników i ekonomistów obwołał nowe poglądy jako »przełomowe«, »rozstrzygające«, »epokowe«, nawet »genjalne«, — wcielono je do dzieł własnych, zastosowano wreszcie, mimo niechęci, do nowej redakcji projektu. Było bowiem w tych poglądach istotnie coś przełomowego. Przenikliwą, niezwykle samodzielną analizą Petrażycki wykazał, że niejeden przepis prawa rzymskiego, który bądź to próbowano tłumaczyć w duchu Jheringa jako świadomy środek obrony interesów jednej ze stron, bądź też, co gorsza, nie mogąc go zrozumieć, przedstawiano jako zniekształcony przez interpolacje, — w rzeczywistości zawierał

w sobie nieświadomą mądrość. Sami prawnicy głosili go w prostocie ducha jako »sprawiedliwy«, lecz on był wytworem nieświadomego przystosowania społecznego: działając w psychice ludzi, wytwarzał pobudki do postępowania korzystnego dla gospodarstwa społecznego i co więcej, wychowywał ludzi w kierunku postępu etycznego, w kierunku wzrastającego uspołecznienia. W epoce dzisiejszej podług Autora stać nas na to, by rozwojem prawa kierować świadomie i rozumnie. Więc nie »interes« którejkolwiek strony, nie względy technicznej łatwości stosowania, nie wzory ślepo przejmowane z innych kodyfikacyj, nie intuicyjna »sprawiedliwość« normy powinny być sprawdzianami jej wartości, lecz metodyczne naukowe zbadanie wpływu, jaki ta norma w swem działaniu wywrze na postępowanie obywateli, na ich pracę gospodarczą (gdy chodzi o prawo cywilne), na ich wychowanie społeczno-etyczne. To zadanie przypada nowej nauce — polityce prawa.

Tak Petrażycki w chwili panowania doktryny krańcowo indywidualistycznej i płytko praktycznej, widzącej w prawie, zwłaszcza zaś cywilnem, wyłączną dziedzinę ścierających się ze sobą interesów jednostek, — pierwszy podniósł sztandar nowego idealizmu prawnego, rzucił hasło »odrodzenia prawa naturalnego« (w jego funkcji, nie istocie), wykazał etyczny, pokrewny moralności charakter norm prawnych i możliwość oceny ich i udoskonalenia ze stanowiska ideału ewolucyjnego; w przeciwieństwie do funkcji sądowej prawa podniósł jego działanie społeczne twórczo-organizacyjne; określił ścisły związek prawa ze zjawiskami gospodarczemi; wskazał na konieczność badania prawa jako realnego zjawiska psychiki ludzkiej i wytworu rozwoju społecznego. Już w tych pismach młodzieńczych stał się inicjatorem dzisiejszego odrodzenia filozofji prawa, aby w dalszych zostać tego odrodzenia najtęższym współtwórcą.

Istotnie, odrodzenie stanowiska ideału bez wskrzeszenia prób szukania prawa absolutnego, rozgraniczenie myślenia praktyczno-normatywnego dogmatyki od badania realnych procesów psychicznych i społecznych, stworzenie łączności w metodzie i systemie między badaniem prawa a innemi dziedzinami nauki, — oto są zdrowe dążności współczesne, przebijające się niemal powszechnie, lecz w literaturze bieżącej wikłające się nieraz w pomieszaniach, niekonsekwencjach lub przeciągnięciach, — a w dalszej pracy Petrażyckiego przeprowadzone z całą świadomością metodyczną, z właściwem rozgraniczeniem dziedzin, z konsekwencją i, wskutek tego, z nieporównaną płodnością wyników. Niestety, ta dalsza praca jego, dokonywana w Rosji, ukryta została przez to dla nauki innych narodów. Wszystkie dzieła, czy to podstawowe i ogólne, czy monograficzne, wychodziły z konieczności po rosyjsku. Wówczas szalony rozpęd twórczości nie dawał Autorowi czasu na wydanie tłumaczeń, nieraz nawet przygotowanych; że nie wydała ich dotąd Polska odrodzona, — smutny to objaw nierządu w sprawach wartości najwyższych.

Jest w pismach Petrażyckiego zrąb systemu, który ogarnia tak rozległe dziedziny, że staje narówni z najszerszemi systemami »filozoficznemi« w rodzaju Spencera. Myśl niezwykle samodzielna, przetrawiając krytycznie tradycję w każdej dziedzinie, kopała głębokie fundamenty, snuła konsekwencje dalekie, szukając i osiągając łączność, spoistość rzadko spotykaną. Mamy tu przemyślaną szeroko metodologję teoryj ogólnych, która wraz z licznemi uwagami luźnemi nasuwa logice współczesnej myśli jasne i świeże. Mamy krytykę psychologji tradycyjnej i próbę jej reformy śmielszą i głębszą, niż liczne tendencje w kierunku pokrewne, pojawiające się w literaturze najnowszej. Mamy budowlę potężną teorji porównawczej prawa i moralności, pojętych jako realne zjawiska psychiczne i wytwory rozwoju społecznego,

rzecz całkowicie nową, wypełniającą wielką zasadniczą lukę zarówno w psychologji, jak w prawoznawstwie, etyce i socjologji. A w wykładach ustnych lub w licznych rękopisach niewydanych rozciąga się ten system na całą logikę, socjologję, biologiczną teorję rozwoju . . .

Nadchodząca podwójna rocznica woła nietylko o hołdy, których naród nie poskąpi myślicielowi: domaga się działań tem szybszych, im bardziej są zaniedbane. Myśl Petrażyckiego, która od lat kilku działa już żywem słowem w uniwersytecie naszym stołecznym, musi być wcielona trwale do nauki ojczystej przez edycję polską dzieł podstawowych wydanych w obcych językach, a także licznych rękopisów. Poznanie i zrozumienie przez rzesze czytelników, dyskusja, krytyka i dalsza rozbudowa nowych idei, słowem żywa praca zbiorowa nad niemi — oto forma uczczenia takich zasług najgodniejsza i najtrwalsza, i niewątpliwie najściślej zgodna z własnemi dążeniami ich twórcy.

Jerzy Lande.

Władysław Zawadzki

Postulaty ochrony robotnika, a konkretne warunki gospodarcze.

Odczyt wygłoszony na Walnem Zebraniu Towarzystwa Ekonomicznego w Krakowie w dniu 6 marca 1926 r.

Sprawa ochrony robotników stawała w ciągu dziejów w sposób rozmaity. Wieki ubiegłe bynajmniej jej nie lekceważyły, tylko zgodnie z odmiennemi warunkami ujmowały ją w odmienny od naszego sposób; sama jednak idea takiej ochrony była, bardziej może jeszcze, niż obecnie, uznana za oczywistą konieczność. Stosuje się to w pierwszym rzędzie do czeladników rzemieślniczych i normujących ich warunki regulaminów cechowych. Większą wątpliwość może budzić stosunek do robotników nie należących do cechów, a pracujących w manufakturach i powstających fabrykach, lub też będących bez pracy. Marx[1] mówi wszak wprost o »Blutgesetzgebung« w stosunku do tych rzesz. Istotnie, polityka merkantylizmu w dążeniach swych do popierania wszelkiemi siłami produkcji krajowej i do zapewnienia bezpieczeństwa publicznego niejednokrotnie uprzywilejowała przedsiębiorcę w stosunku do robotnika, a bywała bezlitosną dla ludzi bez zajęcia i bez środków do życia. Ale surowości jej skierowane były przedewszystkiem do tych, którzy pracować nie chcieli czy nie umieli, do tych, którzy jako próżniacy i włóczęgi nietylko nie przyczyniali się do wzrostu narodowego bogactwa, ale zgoła stanowili nieustanną groźbę dla porządku i spokoju kraju. Robotnik zaś istotnie pracujący, wzamian za wymagany od niego wysiłek, znajdował w narzucanych przedsiębior-

[1] Marx, Kapitał, t. I, Rozdział dwudziesty czwarty, 3.

stwom regulaminach cenną opiekę i gwarancję trwałości swego zajęcia i zarobku, odpowiadającego istotnie ważnym potrzebom — że wspomnę tu o różniczkowaniu płac w zależności od położenia rodzinnego robotnika. Jeślibym miał określić jednem słowem tendencje ochrony robotnika w owych dawniejszych ustrojach, powiedziałbym, że polegały one na tem, aby każdego, kto z położenia swego musi być robotnikiem, zrobić istotnie pracownikiem; umożliwić mu to materjalnie przez stworzenie i zapewnienie warunków, pozwalających mu znaleść pracę zarobkową i niezbędne utrzymanie; zapewnić mu to również moralnie, wychowując go do pracy, dając, a nawet narzucając pewien konkretny, dostępny dla niego ideał życiowy. Istotnie jednak dążenie do ograniczenia i ulżenia jego wysiłkowi i do podniesienia jego stopy życiowej było zupełnie obce ideałom i pojęciom owego czasu. I trudno nie dostrzec w tem związku z całym szeregiem konkretnych momentów gospodarczych — niską techniką, małą intensywnością pracy, niechęcią do niej większości ówczesnych robotników, uwarunkowaną przez to wszystko małą produkcyjnością. Bez tych surowości i skrępowania byłby zagrożony nietylko rozwój produkcji. ale i byt samego robotnika. Nie chcę zresztą przez to powiedzieć, aby te momenty wystarczały, aby bezpośrednio wytworzyć ówczesną koncepcję, ale wobec nich taka koncepcja była jedynie życiową, miała szanse utrzymania się.

Inaczej znowu staje kwestja ochrony robotnika dla powstającego kierunku liberalnego. Niesłusznym wydaje mi się rozpowszechniony pogląd, że kierunek ten nie miał żadnego zainteresowania dla zagadnienia, które nas obchodzi. Przeczą temu i te ustępy Smith'a[1], w których wyrywają mu się słowa gorącej sympatji dla warstwy robotniczej (zwłaszcza ciekawy jest ten ustęp, w którym Smith omawia stosunek pomiędzy długością, intensywnością pracy, jej prawidłowością, utrzymaniem w dobrym stanie zdrowia robotnika

---

[1] Głównie w rozdziale ósmym księgi pierwszej. Ze wspomnianego w tekście ustępu zasługują na uwagę zwłaszcza takie zdania: »Ciężkiej pracy, umysłowej lub fizycznej, która trwała kilka dni z rzędu, odpowiada u większości ludzi naturalna tylko potrzeba odpoczynku i o ile nie zostanie ona stłumiona przez przymus lub stan ostatecznej nędzy, działa ona nieodparcie. Jest to głos natury, który wymaga pewnego wypoczynku... i jeśli się temu wymaganiu nie uczyni zadość, skutki są niebezpieczne, czasami wprost zgubne i doprowadzają prawie zawsze do właściwych danemu zawodowi chorób. Gdyby pracodawcy słuchali zawsze głosu rozsądku i ludzkości, to często byliby skłonni raczej powstrzymać, niż podniecać pracowitość swoich robotników«.

i zupełnie wyraźnie zaleca skrócenie i ujednostajnienie czasu pracy i hamowanie nadmiernych wysiłków); przeczy temu żywy udział ludzi, stojących bardzo blisko Ricarda[1], w akcji za przyznaniem robotnikom prawa zmowy i strajku, a wreszcie cała działalność John'a Stuart'a Mill'a. Dążenia liberalnego kierunku w tej dziedzinie były prawie identyczne z dążeniami współczesnych nam zwolenników państwowej ochrony pracy — stworzenie warunków, w których warstwa robotnicza mogłaby osiągnąć największy, dostępny dla niej dobrobyt. I tu znowu, w zależności od odmiennego podłoża, które zastawali, zwłaszcza pierwsi, przedstawiciele liberalnego kierunku, dążenia te przyjmowały wyraz zasadniczo odmienny, a układający się doskonale w ramach całokształtu światopoglądu liberalnego. Widzieli oni przed sobą warstwę robotniczą już wychowaną do pracy, warstwę, o której sądzono, że jest w stanie zrozumieć dokładnie swój interes; dalej, jak to uznaje pośrednio nawet Karol Marx[2], sytuacja gospodarcza tego wieku prawie do samego jego końca była korzystna dla robotników; dalej jeszcze, przy ówczesnym układzie sił politycznych (na co między innemi zwraca uwagę Smith) wszystkie szanse były za tem, że ingerencja państwowa będzie dokonywaną na korzyść przedsiębiorców[3]; wobec tego wszystkiego, widzieli oni najskuteczniejszy środek ochrony robotnika w skasowaniu wszelkich ograniczeń, które jego dążenia do zapewnienia sobie najlepszych warunków pracy mogły hamować lub utrudniać, w przywróceniu robotnikowi swobody rozporządzania swoją pracą, uznanej za jedynie odpowiadającą naturalnemu porządkowi rzeczy i godności człowieka.

Okres praktycznego wprowadzania w życie haseł liberalnych w dziedzinie polityki przemysłowej, który zbiegł się z okresem gorączkowego rozwoju aparatu mechanicznego produkcji, rozszerzania rynku i ostrych, a szybkich zmian konjunktur, wykazał jednak, że w tych warunkach przynajmniej, wolność najmu pociąga za sobą poważne upośledzenie robotnika w stosunku do pracodawcy. Znanem jest powszechnie to poważne pogorszenie warunków pracy i bytu, które było udziałem wieku kategorji angielskich robotników

---

[1] Franciszek Place i Józef Hume.

[2] Kapitał, tom I. Rozdz. trzynasty, 5.

[3] »Nie mamy ani jednego aktu parlamentu zakazującego zmowy dla obniżenia ceny pracy, ale mnóstwo aktów przeciw umowom dla ich podniesienia«. *Bogactwo Narodów*, księga pierwsza, rozdz. 8-my.

przemysłowych od końca XVIII do połowy XIX wieku, znanemi są te — nie powszechne wprawdzie, ale częste — wypadki posuniętego do ostatecznych granic wyzysku siły roboczej, w które obfituje ten okres. Przytem pogorszenie to warunków przejawia się nie tak w obniżeniu realnej płacy zarobkowej — to ostatnie nastąpiło, ale nie przyjęło katastrofalnych rozmiarów — nie tak nawet w bolesnych, ale bądź co bądź przejściowych bezrobociach, jak w narzuceniu robotnikowi pracy nadmiernej, odbywającej się w niehigienicznych warunkach, co jedno i drugie niszczyło przedwcześnie siły i zdrowie robotnika i ogromnie zwiększało niepewność zarobku.

Nowa koncepcja ochrony pracy, rozwijająca się w tym okresie, nosi na sobie najwyraźniej znamię warunków ekonomicznych, w których powstała: niesłychanego rozwoju sił wytwórczych i bogactwa z jednej strony; niezmiernego, może nadmiernego wysiłku pracy ludzkiej, która się do stworzenia tego bogactwa przyczynia, z drugiej. Ma ona przedewszystkiem na widoku oszczędność wysiłku i powiększenie udziału robotnika w produkcie. Nie ogranicza się więc do żądania skrępowania wolności kontraktu pracy dla zabezpieczenia zasadniczych interesów warstwy robotniczej; domaga się ograniczenia posuniętego tak daleko, aby zapewniło tej warstwie możność całkowitego wykorzystania dobrodziejstw zwiększonej produkcyjności i to w trzech kierunkach: w kierunku zmniejszenia wysiłku i trudu pracy, usunięcia ewentualnych jej niebezpieczeństw; w kierunku zdjęcia z robotnika ryzyka za skutki tych rozmaitych wypadków, które go spotykają bez jego winy, a poniekąd nawet i z jego winy; w kierunku powiększenia udziału robotnika w produkcie społecznym i związanych z nim zdobyczach kultury. Koncepcja ta znajduje wyraz w szeregu konkretnych postulatów, idących w jednym z trzech wspomnianych kierunków, postulatów coraz liczniejszych, coraz bardziej radykalnych, przyczem z pewnem, bardzo zresztą grubem przybliżeniem, można powiedzieć, że te trzy kierunki w porządku ich wyliczenia odpowiadają coraz pełniejszym i bardziej radykalnym formom koncepcji. Od połowy XIX wieku torują sobie te postulaty drogę w opinji publicznej, wchodzą kolejno do ustawodawstw różnych państw, narazie stopniowo i powoli, przezwyciężając silny opór, aby w wyniku wojny światowej zatriumfować nagle na całej linji i uzyskać sankcję najpoważniejszych aktów międzynarodowych.

Dzisiaj w oczach wielu, może znacznej większości, swych zwo-

lenników postulaty ochrony robotnika przestały mieć znaczenie prostych tylko praktycznych wskazań polityki gospodarczej — nabrały charakteru bezwzględnych wymogów etycznych; traktowane są jako konsekwencje jakiegoś zasadniczego, naturalnego prawa, jak gdyby przywiązanego do społecznego stanowiska robotnika najemnego, jako części pewnego określonego konkretnego ideału, który z prawa tego wynika. Co najwyżej bierze się pod uwagę konkretne możliwości ekonomiczne danej chwili.

Takie stanowisko przebija ze znanego wszystkim art. 427 Traktatu Wersalskiego[1]. Artykuł ten, ustalając naczelną zasadę, że »praca nie powinna być uważana poprostu za przedmiot handlu«, a z drugiej strony proklamując pierwszorzędną wagę »dobrobytu fizycznego, moralnego i umysłowego pracowników zarobkujących«, stwierdza przez to kategoryczne prawo robotników otrzymywania za swą pracę nie tego, co by odpowiadało jej normalnej cenie, ale takich warunków, które by zapewniły ów fizyczny, moralny i umysłowy dobrobyt. Stąd płynie pewien konkretny ideał warunków pracy, który ma być wcielony w życie zapomocą odpowiedniego systemu »metod i zasad reglamentacji«. Względy oportunistyczne (»różnice klimatu, obyczajów i zwyczajów, warunków ekonomicznych i tradycji przemysłowych«) powstrzymują od narzucenia odrazu całego tego ideału; część jego jednak, sformułowana w dziewięciu postulatach, powinna jaknajprędzej być wprowadzoną w życie. Postulaty te więc są niezależne od wspomnianych przed chwilą różnic — a taką powszechność, jednolitość i bezwzględność mogą posiadać tylko normy etyczne.

Jeśli się bliżej przyjrzeć stanowisku, traktującemu ochronę robotników, jako bezwzględny postulat etyczny, to uderzyć nas może brak objektywnej podstawy dla ustalenia zakresu owego przysługującego robotnikowi naturalnego prawa, z którego szczegóły ochrony wynikają, dla konstrukcji ideału, którego częścią mają być poszczególne postulaty. Pozornie tylko zobjektywizować można to zagadnienie przez związanie go z przepisami higjeny, eugeniki, czy warunkami zapewnienia moralności społecznej. Po pierwsze wyniki odpowiednich badań często nie są dość pewne,

---

[1] W bardziej ogólnikowy sposób zawarta jest ta sama idea w art. 23, p. *a* Traktatu. Bardzo charakterystyczne komentarze w tej sprawie zawiera Geurreau, *L'organisation internationale du Travail*, Paris 1923, zwłaszcza str. 60—83.

aby na nich budować bezwzględne postulaty; powtóre, rzadko kto posuwa się tak daleko, aby żądać uwzględnienia wszystkich wymagań higjenisty i moralisty. Po trzecie, są postulaty, które najoczywiściej nic wspólnego z higjeną ani moralnością nie mają, a jednakże uzyskują bardzo poważne znaczenie. Traktowanie postulatów ochrony w płaszczyźnie czysto etycznej musi więc z konieczności wprowadzić do nich pierwiastek subjektywny, co jest doskonale widocznem w sposobie ich uzasadniania, propagowania etc. Zwolennicy ich, należący do kierunków radykalnych[1], przyjmują zwykle żądanie ochrony interesów robotnika za kategoryczny imperatyw, którego nie próbują uzasadniać; poszczególne postulaty zaś uzasadniają w ten sposób, że wykazują ważność wcielenia ich w życie dla interesów robotnika. Więcej uwagi poświęcają zasadniczej kwestji badacze kierunków religijno-społecznych[2], ale ich subtelne badania nad zakresem i formami pojęć sprawiedliwości, obowiązku, prawa, roli miłości bliźniego i t. d. z konieczności opierać się muszą o pewne dogmaty religijne, a więc również objektywnego znaczenia posiadać nie mogą.

Zagadnienia te jednak dotykają zbyt bezpośrednio najbardziej objektywnych i konkretnych momentów naszej działalności, aby decydowanie o nich mogło być pozostawione kategorycznym imperatywom działaczy i teoretyków społecznych, albo subtelnym dedukcjom teologów. Życie gospodarcze dopomina się o swoje prawa i wysuwa swój punkt widzenia — punkt widzenia ciężarów, które ewentualne spełnienie tych postulatów na nie nakłada. Taki punkt widzenia jest bardzo ważny, może być jednak nieco za ciasny: w pewnych wypadkach życie gospodarcze musi ponieść pewne ciężary i o to właśnie idzie, aby znaleźć podstawę dla oceny, kiedy

---

[1] Np. u nas Dr Zofja Daszyńska-Golińska *Praca*. Bynajmniej zresztą nie chcę powiedzieć, aby wszyscy radykalni pisarze tak stawiali kwestję, dosyć wspomnieć Sorel'a i jego zwolenników. Trzeba również zaznaczyć, że zwroty, traktujące ochronę robotników, jako kategoryczny imperatyw, spotykamy także u takich autorów, których dzieła zawierają bogaty materjał, wyjaśniający związek postulatów z ich konkretnem podłożem, np. u Herknera, małżonków Webb i in.

[2] Pesch. *Lehrbuch der Nationaloekonomie* Bd. I. Freiburg 1914. — B. v. Hertling, *Naturrecht und Sozialpolitik* 1893. — Theodor Meyer, *Die christlich ethischen Sozialprinzipien und die Arbeiterfrage*, Freiburg 1904. — A. Michel, *Justice legale et charité*. 1921. — Janssens, *Cinq leçons sur la justice*, 1921. — X. Dr. Antoni Szymański, *Polityka społeczna*, Lublin 1925.

to jest wskazanem lub koniecznem. Jeżeli chcemy uzyskać pewien bezstronny pogląd na te postulaty (bo objektywne uzasadnienie ich uważam za niemożliwe)[1], musimy rozszerzyć powyższy punkt widzenia, używając metody, którą z takiem powodzeniem stosował Jerzy Sorel do badania szeregu kwestji społecznych, a więc brać pod uwagę nietylko skutki urzeczywistnienia tych postulatów dla bogactwa narodowego, ale starać się zrozumieć dokładnie związek, zachodzący pomiędzy pewnym postulatem, a ogólnym stanem społeczeństwa, wśród którego rozwinął się i nabrał znaczenia. Pomiędzy jednem a drugiem zachodzi ścisła współzależność, której należyte zrozumienie może dać cenne wskazówki dla polityki ekonomicznej.

Kolejne fazy poglądów na nasze zagadnienie, które pozwoliłem sobie przypomnieć Państwu w początku mego odczytu, doskonale ilustruje ów ścisły związek, zachodzący pomiędzy ogólnemi, charakterystycznemi dla pewnego okresu, poglądami na tę sprawę, a warunkami gospodarczemi okresu. Związek ten jest nazbyt widoczny, aby mógł nie zwrócić uwagi kogokolwiek, kto się tą kwestją zajmuje; nie wszyscy jednak, zdaje mi się, należycie ten związek interpretują. Pomijam tutaj łatwe prześlizgnięcie się nad tą sprawą za pomocą ogólnikowej teorji postępu — do stosunku zagadnień postępu i postulatów ochrony pracy będę miał jeszcze sposobność powrócić. Bardziej rozpowszechniony pogląd uznaje pewną zależność pomiędzy powstawaniem postulatów, a zjawiskami ekonomicznemi, ale tę zależność traktuje czysto zewnętrznie — uznaje, że pewne konkretne zjawisko mogło być potrzebne na to, aby pewna myśl powstała, zwróciła na siebie uwagę, wzbudziła zainteresowanie, nie uznaje jednak, aby istnienie takich zjawisk miało decydować o znaczeniu danego postulatu. Inny jeszcze pogląd widzi zależność pomiędzy ogólnym ustrojem pewnej gospodarki, a ogólnem stanowiskiem w sprawie ochrony pracy, uważa jednak, że poszczególne postulaty dadzą się teoretycznie z tego

---

[1] W rozprawie »*Soziale Belastung der deutschen Wirschaft*«, Jahrbuecher für Nationaloekonomie und Statistik, März-April 1925, usiłuje Dr Helmut Stammler ustalić konieczność powszechnego jednolitego probierza dla społecznej polityki. Jego, dosyć zawiłe, rozumowanie kładzie nacisk na stosunek nierówności do niesprawiedliwości. Przez to jednak nie wyklucza się bynajmniej interwencji momentów subjektywnych w obchodzącem nas zagadnieniu, ani nawet osłabia odgrywaną przez nie rolę.

ogólnego stanowiska wydedukować. Zdaniem mojem, metoda uznająca współzależność konkretnych zjawisk i poglądów gospodarczych nie może być stosowaną tylko połowicznie, tam gdzie chodzi tylko o ogólną koncepcję — należy zbadać, czy nie da się za jej pomocą uzyskać czegoś dla zrozumienia i oceny szczegółów.

W okresie powstawania nowoczesnej koncepcji ochrony pracy były wysuwane różne postulaty ochrony robotnika; jedne z nich powoli upowszechniły się i odgrywają do dziś dnia wielką rolę; inne wpadły w niepamięć i figurują tylko w historjach doktryn lub faktów ekonomicznych, aczkolwiek w swoim czasie miały popularność nie mniejszą od pierwszych, a nawet wpływały na ustawodawstwa. W pierwszej połowie wieku XIX-go jednym z najbardziej kategorycznych postulatów robotnika angielskiego było ograniczenie stosowania maszyn — dziś mało kto decyduje się na poważną obronę tego postulatu. W roku 1848 we Francji pierwszą rolę grały hasła prawa do pracy i związane z niemi żądania organizacji robót publicznych, popierania spółdzielni wytwórczych — dzisiaj hasła te odeszły na znacznie dalszy plan. Przeciwnie, postulaty ograniczenia dnia roboczego, zakazu pracy dzieci, ubezpieczeń robotników, inspekcji pracy, stale uzyskiwały na popularności, zostały w znacznym stopniu wcielone w życie i o ile chodzi o umiarkowane ich formy, nie spotykają silniejszego sprzeciwu nawet ze strony tych, których obciążają. Dlaczego więc jedne postulaty upadają, a inne zwyciężają? Oczywiście można twierdzić, że pierwsze lepiej odpowiadają wymogom sprawiedliwości, niż drugie; można jednak również badać, jakie są objektywne czynniki, warunkujące to powodzenie i czy stąd nie da się wyciągnąć pewnych ogólniejszych wniosków. Te właśnie momenty chciałbym rozpatrzeć w możliwie najkrótszy sposób na kilku typowych przykładach.

Mamy więc postulaty ograniczenia dnia roboczego, zakazu pracy dzieci, które nasamprzód rozwinęły się i zdobyły sobie uznanie w Anglji w połowie XIX-go w. Jakież były te konkretne warunki ekonomiczne i społeczne, wśród których to się stało? Niezmiernie silny rozwój produkcji, ogromny wzrost kapitału przemysłowego, silny, aczkolwiek nierównomierny w rozmaitych zawodach, rozwój zastosowania maszyn i wzrostu intensywności pracy, tudzież koncentracja robotników w poszczególnych zakładach; pozatem silne wahania konjuktur i zaciętość współzawodnictwa, a obok tego, oparta na wyższości techniki i organizacji i bogactwa

kapitału, supremacja angielskiego przemysłu na rynku międzynarodowym; specjalnie w odniesieniu do stosunków pracy: bardzo długi dzień roboczy, przeciętnie wynoszący około dwunastu godzin, wielokrotnie w przedsiębiorstwach mniejszych w okresach dobrej konjunktury przekraczający znacznie tę normę, znaczne zatrudnianie tańszej siły robotniczej, kobiecej, młodocianej i dziecinnej; masowe bezrobocie przy złej konjunkturze; powstające samorzutnie dla obrony swych interesów zrzeszenia robotnicze; okresy gorączki walki strajkowej, prowadzonej z rozmaitem powodzeniem. Jednem z najważniejszych zadań tej akcji strajkowej jest między innemi skrócenie dnia roboczego, przyczem rozmaita jego długość w różnych przedsiębiorstwach jest najlepszym dowodem wykonalności tych żądań. Akcja dąży do skrócenia dnia roboczego wogóle, ale zwraca się przedewszystkiem przeciw długości, przekraczającej przeciętną i w zawodach, gdzie z powodu skupienia robotników i intensywności maszynowej pracy jest ona szczególniej uciążliwą. Do tegoż celu zmierzają niezliczone, składane władzom, petycje. Jak się przedstawiają w tych warunkach ograniczenia dnia roboczego, pracy kobiet i młodocianych i zakaz pracy dzieci? Dla robotników jest to zwolnienie ich od nieznośnego ciężaru, z którym sami nie mogą, przynajmniej w sposób stały i systematyczny, walczyć. Dla pracodawców jest to niewątpliwie zmniejszenie ich zysków, dotykające jednak nierównomiernie rozmaite ich kategorje: dla przedsiębiorstw większych, zasobnych w kapitał, nie przekraczających normalnie przeciętnego dnia roboczego, a pracujących możliwie równomiernie, jest to tylko pewne prawdopodobne ograniczenie dochodów; natomiast jest ono istotnie groźnem dla przedsiębiorstw słabszych, opartych głównie na wyzyskiwaniu dobrej konjunktury — ale właśnie z tego względu osłabienie ich współzawodnictwa może leżeć w interesie pierwszych. Dalej jeszcze, dla przedsiębiorstw, mogących znacznie rozwinąć swoją technikę maszynową, obciążenie jest mniejsze, niż dla tych, które oparte być muszą głównie na żywej pracy. Dla całokształtu gospodarki społecznej ograniczenie to oznacza prawdopodobnie pewne zmniejszenie części dochodu, przeznaczonej na rozszerzenie zakładów produkcyjnych, a więc pewne powstrzymanie tempa dalszego rozwoju produkcji, co jednak nie może być uznane za groźne, ponieważ produkcja i tak ma tendencję do rozszerzania się szybciej, niż rynek. Z drugiej strony, ograniczenie to oznacza większą równo-

mierność pracy i zapobiega marnowaniu się znacznej ilości sił wytwórczych. W oczach wreszcie niezainteresowanego obywatela brak ograniczeń przedstawia się jako wolność najdalej posuniętego wyzysku najsłabszych z pośród robotników, aby na tym wyzysku oprzeć wielkie dochody jednostek i produkcję nadmierną, a więc wywołującą przesilenia i wyrzucanie na bruk całych rzesz robotników. Niezależnie od teoretycznej wartości takiego rozumowania, ma ono znaczenie jako fakt; tak samo jako fakt ma znaczenie uczuciowa strona, oburzenie, wywołane przez zmuszanie do pracy, powszechnie uznanej za nadmierną, bo tak znacznie przekraczającej wysiłek tego bezstronnego obywatela, przepracowywanie dziecka z oczywistą szkodą dla rozwoju jego zdrowia i moralności, albo to, że ten przeciętny, bezstronny obywatel nie jest w stanie zrozumieć, dlaczego długość dnia roboczego ma wzrastać pomimo, a poniekąd w miarę powiększenia produkcyjności pracy, wywołanego przez zastosowanie maszyn.

I jeden jeszcze bardzo ważny moment: nadmierna długość dnia roboczego nie jest jednakową we wszystkich gałęziach przemysłu, niejednakową jest również uciążliwość pracy — żądanie ograniczenia kieruje się przedewszystkiem tam, gdzie najsilniej daje się odczuwać to, co jest uznane za nadużycie. I charakterystycznem jest, że ograniczenia również wprowadzają się stopniowo, nietylko w sensie stopniowego skracania dnia do $11\frac{1}{2}$, potem do 10 godzin, ale też w zależności od konkretnych warunków danej gałęzi przemysłu i kategorji robotników, zaczynając od włóknistego, gdzie rozwój maszynizmu posunął się najdalej, skupienie robotników jest największe, który jest najbardziej zdolnym do poniesienia ciężaru, a poprzestając czas dłuższy na ochronie kobiet i młodocianych robotników. Powodzenie przedsięwziętych środków ośmiela do wprowadzenia dalszych [1]. Nie mamy tutaj wystawienia

---

[1] Ta cecha angielskiego ustawodawstwa już dawno zwróciła na siebie powszechną uwagę. Tak np. powiada Otto Richter w artykule »*Arbeiterschutzgesetzgebung*« (Handwörterbuch der Staatswissenschaften, III. wyd., t. I. str. 468): »...wenn sie (angielskie ustawodawstwo robotnicze) ...anderwärts überholt ist, bleibt noch immer ihr unter den schwierigsten Verhältnissen erprobtes System Beachtung wert. Es ist offensichtlich das, von vornherein von allgemeinen unsicheren Massnahmen sich fernzuhalten vielmehr in kleinen Anfangen auf möglichst sicheren Boden (Textilindustrie) zu beginnen, dann aber die bewährten Erfahrungen auszubauen und weiter auszudehnen«. Tutaj, jak i w więk-

ogólnej zasady, z której się wyprowadza konsekwencje dla poszczególnych wypadków, ale przeciwnie stopniowe uogólnianie częściowych, przez konkretne potrzeby i możliwości wywołanych żądań i środków.

Wprowadzenie ustawowych ograniczeń, zgodnych z omawianym postulatem, t. j. prawa z lat 1819, 1833, 1844 i 1847 usunęło zjawiska. uznane powszechnie za wyzysk i nadużycie, ulżyło istotnie doli robotników, wprowadziło więcej ładu do produkcji, która dzięki zasobności w kapitał i wyższości technicznej zachowała swą supremację, a przyczyniło się raczej do podniesienia, niż do obniżenia zarobków robotniczych, gdyż podaż pracy została na skutek niego znacznie bardziej zmniejszona, niż popyt na nią. Wreszcie ułatwiło ono pewne znośne współżycie, a potem i dobre stosunki obu stron. To też postulat ograniczeń pracy został dosyć szybko adoptowany przez opinję i nie spotykamy prawie prób reakcji przeciw niemu; zresztą szereg okoliczności pociągnął za sobą skrócenie przeciętnego dnia roboczego poniżej legalnych granic, a wówczas granicom tym pozostało tylko znaczenie hamulca dla tego, co mogło być uważane za usiłowanie wyjątkowego wyzysku, a przez to umocniło się jeszcze znaczenie samego postulatu.

Zatrzymałem się dłużej nad tym przykładem, o którym tak bez porównania więcej należałoby powiedzieć, gdyż spotykamy tu poniekąd idealny zespół warunków dla rozwinięcia się i powodzenia postulatu ochrony robotnika. Pozwolę sobie jeszcze przeprowadzić porównanie pomiędzy tem, jak stawała kwestja w danej sprawie, a wysuwanym w owym czasie ze znaczną również siłą przez robotników postulatem ograniczenia stosowania maszyn. Upatruję tu następujące różnice: na zbyt długim dniu roboczym cierpieli bezpośrednio i stale *wszyscy* robotnicy, którzy mu podlegali; stosowanie maszyn pociągało *przejściowo* cierpienia dla *pewnej części* robotników. Wyjątkowa długość dnia roboczego i uciążliwość pracy w poszczególnych przedsiębiorstwach dawała szereg szczególnie silnych punktów oparcia dla akcji za skróceniem dnia roboczego wogóle — kwestja stosowania maszyn stawała zawsze jednakowo, walka z niemi przybierała więc cechy walki

---

szości prac nad tym tematem, podkreśloną jest przedewszystkiem ostrożność angielskiego ustawodawstwa i poniekąd jego empiryczny charakter, nie uwydatnia się jednak dostatecznie jego ścisłego związku z całokształtem warunków gospodarczych.

ze zjawiskiem normalnem. Szereg doświadczeń wykazał, że dążenie do skrócenia dnia roboczego może być uwieńczone powodzeniem — wszystkie doświadczenia wykazały, że walka z maszyną jest beznadziejna. Rozwój przemysłu zmniejszał szkody, przynoszone robotnikom przez wprowadzenie maszyn — przeciwnie, uwydatniał on jeszcze ciężar przepracowania. Wydaje mi się, że te momenty obok zasadniczego faktu, że ograniczenie dnia roboczego dawało się pogodzić z dalszym rozwojem produkcji, a utrudnienie mechanizacji było by takowy zahamowało i natychmiast zniszczyło przemysłową supremację Anglji, pozwalają nam wyjaśnić różnicę dalszych losów obu omawianych postulatów.

Jeżeli tak pomyślny dla pierwszych ograniczeń dnia roboczego i zakazu pracy dzieci splot okoliczności spotyka się tylko wyjątkowo, to jednak, w nieco mniejszym stopniu pomyślne warunki spotykały i niektóre inne postulaty, jak np. żądanie wprowadzenia inspekcji fabrycznej w Anglji, ubezpieczeń od chorób w Niemczech, ubezpieczenia od bezrobocia w Anglji, ograniczenia prawa nakładania kar. Weźmy, np. to ostatnie. Dopóki przemysł ma do czynienia z robotnikiem na niskim poziomie, mało opanowanym, u którego niechęć do wysiłku przewyższa i zaćmiewa zrozumienie własnego interesu, surowe kary są niezbędne, aby zapewnić dyscyplinę i jako tako prawidłowe wykonywanie pracy, tam szczególniej, gdzie chodzi o proste, wykonawcze czynności. Przeciwnie, przy wyższym poziomie, przy rozwiniętej woli pracy i systematycznem dążeniu do najlepszego wykorzystania swych sił dla otrzymania zarobku, tam zwłaszcza, gdzie warunki techniczne wymagają szczerej współpracy ze strony robotnika, jego inicjatywy lub szczególnej staranności, tam możliwe i skuteczne są inne systemy organizacji pracy, a system kar jest niecelowym lub bezprzedmiotowym. Jeżeli się spotyka w pewnych przedsiębiorstwach, to bardzo często przybiera formę nie konieczności organizacyjnej produkcji, a źródła pobocznych dochodów, które jest również źródłem ciągłych konfliktów z personelem, a musi budzić niesmak wśród niezainteresowanych. W tych warunkach postulat ograniczenia swobody nakładania kar, ewentualnie zakaz samowolnego ściągania kar pieniężnych, poparty przez znaczną ilość uzasadnionych wystąpień robotników, może znaleść powszechne i trwałe uznanie. Albo też postulat ubezpieczeń społecznych. W krajach, gdzie powstały i rozwinęły swe dobroczynne skutki, były poprze-

dzone przez wielką ilość prób z wolnej inicjatywy, prób, które wykazywały z jednej strony istnienie intensywnej potrzeby społecznej w tym kierunku, z drugiej strony niemożliwość dla znacznej ilości robotników dokonywania niezbędnych dla powodzenia wysiłków. Wiadomem jest, jak wielką ilość i jaką różnorodność kas chorych, w znacznym stopniu zawdzięczających swe powstanie wolnej inicjatywie, zastało prawodawstwo Rzeszy Niemieckiej; przymus ubezpieczeniowy polegał na uogólnieniu instytucji, która w potrzebach, poglądach, możliwościach robotników miała poważne podstawy, która wskutek tego mogła stać się łatwo powszechnie przyjętym postulatem. Podobnie ma się rzecz z ubezpieczeniem od bezrobocia w Anglji, które też, jak wiadomo, od lat dziesiątków było podejmowane przez stare związki zawodowe. Skądinąd znowu, pewne postulaty bardziej szczegółowego charakteru są dość ściśle związane z rozwojem współczesnej techniki [1].

Poprzestanę na tych przykładach — mają one wszystkie pewne cechy wspólne. Wszędzie tutaj do zasadniczych postulatów dochodziło się, że tak powiem, indukcyjną metodą, postępując od poszczególnych wypadków do ogólnej zasady; zaczyna się od poszczególnych konkretnych żądań i poczynań, które wykazują swoją żywotność, przyciągają analogiczne pierwiastki i stopniowo się uogólniają. Celem ich jest usunięcie aktualnych niedomagań, a nie kształtowanie przyszłego ideału. Wszędzie było punktem wyjścia głębokie, doświadczalnie nabyte przekonanie o konieczności pewnych zjawisk, niedopuszczalności innych, a objektem postulatu wypadki, w których szczegóły wolnego stosunku najmu ranią elementarne uczucia etyczne znacznej ilości osób, nawet bezpośrednio niezainteresowanych, a z drugiej strony pociągają za sobą marnowanie się sił wytwórczych kraju. Wszędzie wreszcie postulaty pozostawały w granicach aktualnych możliwości ekonomicznych i nie narażały na niebezpieczeństwo przyszłego rozwoju.

Płynie stąd kilka niezmiernie ważnych konsekwencyj. Pierwsza — to łatwość wprowadzenia takich postulatów w życie — nie trzeba dlatego ani aparatu skomplikowanego, ani uciążliwej kontroli, bo życie samo podejmuje się zapewnić ich stosowanie. Po-

---

[1] Por. Weyerman, *Moderne gewerbliche Technik* w *Grundriss der Sozialoekonomik* VI. Abtheilung, Tübingen 1914, zwłaszcza str. 182 i 183.

wtóre, postulaty takie odznaczają się względnością i elastycznością: ponieważ powstały one z doświadczalnie znanych pierwiastków, z konkretnych żądań i konkretnych przeżyć tych, którzy stają za niemi, sens dokładny i granice tych postulatów są zupełnie jasne i niejako bezpośrednio odczuwane: istnieją one nie same w sobie i nie dla siebie, nie po to, aby coś pożytecznego utrudniać, a tylko po to, aby uniemożliwić to, co zostało uznanem za nadużycie — jasnem więc jest, kiedy można i trzeba wyjątkowo od nich odstąpić.

Sytuacja, w której postulaty ochrony robotnika mają najwięcej szans pomyślnego rozwoju, spotyka się oczywiście w krajach gospodarczo rozwiniętych, tak, że przyjęcie ich i wprowadzenie w życie zwykle cechuje postęp gospodarczy. Jak widzieliśmy, nie pociągają tam szkodliwych skutków dla gospodarki, a czasem nawet przez wprowadzenie większego ładu i pokoju mogą jej służyć. Ponieważ zaś w stosunkach społecznych, gdzie wszechwładnie panuje wzajemne oddziaływanie i wzajemna zależność zjawisk, określanie stosunku przyczyny do skutku zawiera w sobie zawsze pierwiastek znacznej dowolności, postulaty mogą być uznane za przyczynę tej pomyślności i postępu, wśród których się przejawiają. W rzeczywistości sprawa przedstawia się tak, że pomyślny skutek urzeczywistnienia pewnych postulatów jest uwarunkowany przez istnienie szeregu konkretnych czynników postępu, a ze swej strony może przyczynić się do uwarunkowania niektórych z pomiędzy nich; często się jednak na to nie zwraca uwagi i postulaty ochrony mogą się łatwo przedstawić pewnym umysłom, jako samodzielny czynnik, lub nawet dźwignia postępu. Przedstawia się więc rzecz w ten sposób, jak gdyby postulat był koniecznym atrybutem wyższej kultury wogóle i z tego punktu widzenia sądzi stan rzeczy, w którym ten postulat nie jest urzeczywistniony. Jeśli tak zaabstrahować od warunków gospodarczych, to istotnie smutnie by wyglądał poziom umysłowy i moralny myślicieli i działaczy XVII i XVIII wieku wobec naszego.

W tym właśnie charakterze czynnika i wymogu postępu, wymogu etycznego, bezwzględnej konsekwencji ustalonych w wyższej kulturze praw sprawiedliwości, przedostają się te postulaty do krajów o niższym rozwoju gospodarczym, nie mających warunków, w których mogły by się same rozwinąć, a często zgoła nie dojrzałych jeszcze do ich przyjęcia. I w krajach tych, tak samo, jak

w warstwach, nie związanych z życiem gospodarczem, takie traktowanie jest prawdopodobnem, ponieważ obcą im jest ta konkretna rzeczywistość, która tym postulatom dała siłę, nie znają doświadczalnie i nie odczuwają bezpośrednio tych żywych żądań, potrzeb, oraz konieczności, które się na owe postulaty złożyły. A widzą jednak, że postulaty te współistnieją z wyższą kulturą, postępem i dobrobytem gospodarczym, czują, że muszą mieć pewne uzasadnienie. Uzasadnienie, które się w tych warunkach łatwo nasuwa, przedstawia się w formie konstrukcji pewnego idealnego całokształtu, uznanego za konsekwencję etyki, sprawiedliwości, ludzkości, postępu i na wydedukowaniu z tego całokształtu poszczególnych postulatów. Tak powstałe postulaty nabierają innego niż w rozważanym uprzednio wypadku charakteru — o znaczeniu ich nie decydują te czy inne warunki gospodarcze, ale zgodność z ogólnym ideałem. Stają się one zamkniętemi w sobie bezwzględnemi formułami: nie o to chodzi, aby zadośćuczynić konkretnym potrzebom, ale o zbliżenie się do owego ideału, nawet gdyby tego nikt nie chciał, — w takim razie muszą one być życiu gospodarczemu narzucone, bo wszak są doskonałe same w sobie. I to traktowanie postulatów ochrony robotnika pociąga za sobą szereg konsekwencyj. Po pierwsze, o ile wszystkie nie mogą być wprowadzone w życie odrazu, niema żadnego probierza dla ustalenia ich kolejności — teoretycznie wszystkie są jednakowo ważne, bo wszystkie w jednakowym stopniu są niezbędne dla urzeczywistnienia idealnego całokształu. Brak również wytycznych dla jakiejkolwiek próby zbilansowania społecznych korzyści z gospodarczemi ciężarami, które pociągają. Stąd prawdopodobieństwo kolejności realizacji zupełnie przypadkowej, dowolnej, nie liczącej się ani z gospodarczemi warunkami, ani z intensywnością społecznych potrzeb. Powtóre: wprowadzanie w życie postulatów napotyka na szereg utrudnień, z których jednem z ważniejszych jest brak odpowiedniego do tego aparatu — pociąga to za sobą jeszcze większą bezwzględność i schematyczność ich praktycznego stosowania. Po trzecie: ponieważ postulaty nie wyszły z pewnych konkretnych potrzeb i sytuacji, ale miarodajnemi były inne względy, nie biorą one pod uwagę ogromnego skomplikowania i szeregu pośrednich zależności zjawisk gospodarczych, traktują poszczególne zagadnienia w oderwaniu od całości, na której podłożu powstają. Stąd nietylko możliwość i prawdopodobieństwo znacznych utrudnień

w życiu gospodarczem, zatrzymania rozwoju, a nawet regresji tego życia, ale także możliwość bezpośredniego pogorszenia położenia samej warstwy robotniczej. Stąd też częsty fakt, że zamiast wdzięczności i zadowolenia wprowadzenie w życie pewnych postulatów budzi niechęć i opór ze strony samych robotników, albo też spotyka zupełną obojętność z ich strony. Łącznie ze zwalczaniem takich postulatów przez pracodawców i ogólnem niezadowoleniem, spowodowanem przez depresję ekonomiczną, stwarza to dla tych postulatów ogólnie nieprzyjazną atmosferę, przy której mogą one być w dalszym ciągu urzeczywistniane tylko przy silnym nacisku władzy państwowej. Odwrotnie, o ile nie zostaną wprowadzone w życie nawet pomimo chwilowej popularności, którą zawdzięczać mogą umiejętnej agitacji, wzburzenie, wywołane przez to, mija prędko.

Reasumując moje wywody: nie wewnętrzna treść pewnego postulatu ochrony robotnika, zgodność jego z pewnym ideałem, z transcedentną sprawiedliwością, decyduje o praktycznej wartości tego postulatu, ale jego odpowiedniość, zharmonizowanie z konkretnemi warunkami gospodarczemi. Nie wystarcza ogólnikowe skonstatowanie, że odpowiada powszechnym poglądom etycznym swego czasu, bo tu właśnie zachodzi niebezpieczeństwo pomięszania tych ostatnich z chwilowemi nastrojami. Postulat jest nieodparty, o ile odpowiada następującym pięciu warunkom:

1) Jest ekonomicznie możliwy, to znaczy, że urzeczywistnienie jego w danej chwili nie pociągnie silnych zaburzeń gospodarczych, ani znacznego doraźnego osłabienia siły produkcyjnej kraju.

2) Społecznie narzuca się, to znaczy, że odpowiada głęboko odczutym potrzebom szerokich warstw, a nieuwzględnienie jego może pociągnąć trwałe wrzenie i silne wstrząsy społeczne.

3) Jest społecznie użytecznym, to znaczy, że wprowadzenie go w życie może przyczynić się do istotnego dobrobytu warstw robotniczych, a także do złagodzenia tarć pomiędzy niemi i pracodawcami.

4) Jest ekonomicznie użytecznym, to znaczy, że zawiera w sobie pierwiastki, mogące służyć do podniesienia zdolności wytwórczych klas robotniczych.

5) Zastaje pierwiastki, z których się daje stworzyć aparat, potrzebny dla łatwego i elastycznego wprowadzenia go w życie.

Jak już powiedziałem, rzadko zdarza się, aby postulat spot-

kał idealny dla siebie zespół warunków; to też rzadko spotykamy powszechnie przyjęte, nie kwestjonowane postulaty, jak zasada maksymalnego dnia roboczego, albo zakaz pracy dzieci. Tam, gdzie wszystkie warunki nie są wypełnione, jest oczywiście rzeczą praktycznego działacza zważyć pro i contra, i tylko doświadczenie późniejsze będzie mogło wykazać, w jakim stopniu miał słuszność.

Jeżeli teraz, z punktu widzenia tych uwag sprobujemy ocenić polskie ustawodawstwo społeczne, to odrazu stanie się oczywistem, że stoi ono na stanowisku narzuceniu życiu gospodarczemu swojej koncepcji ideału społecznego, że postulaty ochrony robotnika traktuje, jako bezwzględne wymogi etyczne, które za wszelką cenę muszą być urzeczywistnione niezależnie od konkretnych żądań i potrzeb zainteresowanych, a siebie uważa za kwalifikowane do decydowania, co i jakim kosztem mają ci zainteresowani otrzymać. Powstałe w chwili zupełnego rozbicia naszego życia gospodarczego, nieistnienia niemal produkcji przemysłowej, nie mogło oprzeć się na żadnych konkretnych momentach, bo tych konkretnych momentów nie było. Że jednak nie powstrzymano się z tworzeniem tego ustawodawstwa, nie zaczekano do chwili, kiedy samo życie wysunie i uszereguje kwestje, to właśnie przypisać należy zcharakteryzowanemu powyżej procesowi myślowemu. Wytworzone gdzieindziej postulaty i oparte na nich koncepcje przyjęliśmy jako dogmaty i wyprowadziliśmy z nich logiczne konsekwencje; skutkiem takiego apriorystycznego stanowiska musiało być stworzenie ustawodawstwa społecznego, które miało odradzające się życie gospodarcze kształtować, a nie przez nie być kształtowane.

Bardzo charakterystyczne pod tym względem są wysuwane przez zwolenników ochrony robotnika postulaty w stosunku do robotników rolnych. Wprawdzie ustawodawstwo nie przyrównało ich jeszcze całkowicie do robotników przemysłowych, ale umowy zbiorowe, zawierane pod auspicjami Ministerstwa Pracy, idą pod tym względem bardzo daleko. Dotychczas, niemal na całym świecie, ochrona robotników rolnych była traktowana inaczej, niż ochrona robotników przemysłowych i nawet tak odważna instytucja, jak Międzynarodowa Organizacja Pracy miała poważne wątpliwości co do stosowania do pierwszych swoich zasad[1]. I istotnie, konkretne podłoże jest tutaj odmienne: innemi są warunki pracy,

[1] Geurreau, loc. cit. str. 112—126.

innym jest jej charakter, robotnik nie jest narażony na skutki zmian konjunktnry, nie mówiąc już o tem, że kontrola musiałaby pociągnąć niesłychane komplikacje. Jeśli więc stać na stanowisku konkretnych warunków gospodarczo-społecznych, nie może być mowy o przyrównaniu tych dwuch kategorji robotników; ale jeśli stać na stanowisku pewnego naturalnego prawa, wymogu etycznego, to niewątpliwie robotnik rolny ma to samo prawo, co i robotnik przemysłowy. Postuląt zrównania ich pod względem ochrony jest wysuwany [1] i można spodziewać się, że będzie wprowadzony w życie, co się zresztą częściowo uskutecznia.

Brak czasu nie pozwala mi wchodzić w szczegóły naszego ustawodawstwa społecznego, zatrzymam się więc tylko krótką chwilę na paru ważniejszych momentach. Mamy więc ośmiogodzinny dzień pracy. Przed wojną, w związku ze znaczną intensyfikacją pracy, był on bardzo powszechnem żądaniem robotników; nawet został wprowadzony w szeregu przedsiębiorstw, ale do uogólnienia go nie przyszło. Po wojnie został on proklamowany za jeden z zasadniczych postulatów przez Traktat Wersalski i wprowadzony z pewnemi zastrzeżeniami przez szereg ustawodawstw. Myśmy go przyjęli jeszcze wcześniej i ze znacznie mniejszemi zastrzeżeniami. Jakież jest u nas konkretne jego podłoże? Robotnicy domagają się go — to prawda, bo każdy woli pracować mniej za pewien określony zarobek; ale jaką jest intensywność tego żądania ze strony robotników, tego nie wiemy, bo nie mieli oni sposobności przejawić większej lub mniejszej intensywności tych żądań. Wiemy natomiast, że robotnicy częstokroć są gotowi pracować więcej za większe wynagrodzenie, ale im na to inspekcje fabryczne nie pozwalają. Jeśli zaś chodzi o punkt widzenia produkcji, to w dyskusjach nad ośmiogodzinnym dniem roboczym było zawsze podkreślane, że zmniejszenie pracy może być skompensowane przez większą jej intensywność, większe kwalifikacje, a przedewszystkiem przez udoskonalenie aparatu technicznego. Innemi słowy odpowiednikiem gospodarczym tego ograniczenia dnia roboczego musi być obfitość kapitału, wysoka technika, bardzo intensywna praca, to jest pierwiastki, których nam brak. Dzisiaj wydaje się niewątpliwem, że w naszych warunkach ośmiogodzinny dzień podrożył naszą produkcję, zmniejszył jej zdolność do współzawodnictwa i przy-

---

[1] Dr. Daszyńska-Golińska, *Praca*, str. 203—213.

czynił się do powiększenia klęski bezrobocia. Postępując drogą empiryczną wprowadzabyliśmy ten dzień maksymalny stopniowo, różniczkując zawody, badając wyniki przedsięwziętych prób, dopuszczając wyjątki, któreby z biegiem czasu ewentualnie ulegały ograniczeniu — w ten sposób moglibyśmy się przekonać, w jakim stopniu może być dzień roboczy skrócony w kraju, w którym, jak u nas, główną siłą wytwórczą jest i długo pozostanie żywa praca. Tak traktują kwestję wielokrotnie i obrońcy praw robotnika. Taki np. Hugo Lindeman [1], niemiecki socjalistyczny teoretyk, nie tak dawno podkreślał, że postulat ośmiogodzinego dnia należy uważać za czysto oportunistyczny: przed wojną był dobrym w związku ze stanem przemysłu, dziś, wobec upadku produkcji i zmniejszonej intensywności pracy należy z urzeczywistnienia tego hasła na razie zrezygnować. U nas jednak traktuje się go, jako nietykalną zasadę.

Drugi przykład: kasy chorych. Niewątpliwie organizacja powszechnych przymusowych kas najlepiej zabezpiecza opiekę lekarską, z drugiej jednak strony organizacja ta jest ogromnie kosztowna, a wielokrotnie (mówię tu o byłym zaborze rosyjskim) nie budzi dostatecznego zaufania, tak, że wielu zainteresowanych korzysta z niej mało, albo nieumiejętnie; niewątpliwie kasy chorych mają za zadanie także rozpowszechnianie kultury leczenia się; można jednak wątpić, czy istotnie oddawane przez nie usługi równoważą te szalone koszta, które pociągają. I tu znowu, gdyby chodziło nie o powzięty *a priori* postulat, a o uwzględnienie konkretnych potrzeb, postąpiono by zupełnie inaczej — zaczęto by od systemu mniej doskonałego, ale tańszego — subwencjonowania kas wolnych, ogólnikowego przymusu ubezpieczenia od choroby etc., jak to robiły na przykład Niemcy, co nie przeszkodziło im w rezultacie mieć najlepszy system ubezpieczeń w tej dziedzinie.

---

[1] Hugo Lindeman w *Sozialstatistische Monatshefte* za rok 1925. Również umiarkowanem było stanowisko Massaryka w odczycie o ośmiogodzinnym dniu roboczym, gdzie autor powiada między innemi: »Czy można już z dniem dzisiejszym wprowadzić ośmiogodzinny dzień we wszystkich gałęziach przemysłu? Z głębi sumienia odpowiadam: nie!«. Massaryk: *Problèmes de la democratie*, tłomaczenie francuskie Paris, 1924, str. 22. Odczyt ten datuje wprawdzie z roku 1900, ale autor uznał za stosowne przesłać go jeszcze w roku 1920 Międzynarodowej Organizacji Pracy (loc. cit. str. VI), aczkolwiek, jako prezydent, sam podpisał dekret o ośmiogodzinnym dniu w Czechach.

Jeszcze jeden ostatni przykład — kwestja zapomóg bezrobotnym. Tu mamy do czynienia z postulatem niestety nazbyt wyraźnie wysuniętym przez życie. Czy jednak nie można by było zorganizować tych zapomóg w sposób korzystniejszy dla gospodarki? Mogę tu przytoczyć bardzo znamienny fakt: do ministra pracy zwrócono się z zapytaniem, czy nie dało by się zamiast bezpośrednich zapomóg bezrobotnym przekazywać te sumy fabrykantom, którzy by zobowiązali się zatrudniać dodatkowo odpowiednią ilość ludzi. System ten może mieć swoje pro i contra, w każdym razie jest stosowany w Danji, brany pod uwagę w Anglji, warto by było się nad nim zastanowić. Pan minister pracy odrzucił a limine wszelką rozmowę na ten temat. Wyjaśnić to można tylko przez to, że zapomogi są traktowane jako konsekwencja prawa do pracy robotnika, a nie jako sposób najlepszego wyjścia z pewnych konkresnych trudności ekonomicznych.

Ochrona robotnika ma przed sobą w dzisiejszej gospodarce olbrzymie, niezmiernie doniosłe zadania — uchować przed rabunkową eksploatacją najcenniejsze bogactwo każdego kraju. jego siłę roboczą, zrobić z warstwy robotniczej element ładu i praworządności. Zadań tych nie spełni przez wmawianie robotnikom mniej lub więcej realnych praw, ani przez podważanie podstaw dobrobytu. Nie o zwalczaniu postulatów ochrony robotnika może być mowa, ale o postawieniu tych postulatów na realnej, życiowej podstawie. Wprowadzenie w życie tych postulatów może pociągnać ciężary — te ciężary, o ile nie są nadmierne, musi społeczeństwo ponosić, ale odpowiednikiem tych ciężarów musi być przynajmniej odpowiednie podniesienie poziomu klasy robotniczej — żadne zaś zdrowe i normalnie rozwijające się społeczeństwo nie może pozwolić przytłoczyć się ciężarowi dla dogodzenia jedynie utopijnym koncepcjom.

Dr Jan Zieleniewski

O światopogląd oparty na pojęciu narodu.

Od kilkudziesięciu lat da się wśród ludów Europy, a za nią i innych kontynentów, zauważyć stały wzrost ruchu zwanego narodowym. Pomimo, że jest to zjawisko dziejowe stosunkowo niedawne, zdołało ono dojść do znacznego nasilenia i odbić się bardzo doniośle na współczesnym nastroju politycznym świata.

Wysunięcie hasła »samostanowienia narodów« z końcem wielkiej wojny, budzenie się nacjonalizmów azjatyckich ludów, powszechne zainteresowanie, z jakiem cały świat śledzi imponujący rozwój narodowego ruchu Włoch faszystowskich — to charakterystyczne objawy tego nastroju.

Podobnie jak się to działo ze wszystkiemi prawie żywiołowemi zjawiskami psychiki społecznej, ideologja tego ruchu poczęła się krystalizować dopiero jako zjawisko wtórne, na tle praktycznej działalności o charakterze par exellence politycznym. Wskutek tego do dziś dnia ogranicza się ona prawie bez reszty do problemów politycznych i jest niemal równoznaczna z programem politycznym stronnictw nacjonalistycznych, reprezentowanych dziś prawie we wszystkich państwach Europy.

Ograniczenie to, — zupełnie zrozumiałe ze względu na wskazaną dopiero co genezę ideologji narodowej — nie zdaje się być jednak nieuniknionem, nie jest bowiem uwarunkowane treścią pojęć, około których grupuje się ta ideologja.

Poniższe uwagi mają być właśnie próbą pokazania, że »narodowa« ideologja nie musi ograniczać się do problemów politycznych, co więcej, że szczególnie naczelne jej pojęcie, pojęcie narodu, może stać się punktem wyjścia do światopoglądu obejmującego zakres zainteresowań ludzkich o wiele szerszy niż tylko dziedzina

zainteresowań politycznych. Myślę tu głównie o problemach etycznych.

Aby móc zorjentować się w tej sprawie, trzeba, choćby tylko zupełnie pobieżnie, zanalizować samo pojęcie narodu, tak, jak się ono przedstawia we współczesnej »narodowej« ideologji. Zacznijmy od możliwie objektywnej definicji nie zabarwionej żadnym poglądem politycznym, ani tem mniej żadnym odcieniem metafizycznym. »Naród jest organizacją ludzi, zajmujących zwartą masą ziemię wspólną, o wspólności losów i kulturze wspólnej, mówiących zazwyczaj językiem wspólnym, którzy posiadają pochodzenie wspólne i uchodzą u innych, a zwłaszcza u siebie, za ludzi pochodzenia wspólnego i poczuwają się do wspólności« [1]

Czy jednak taka definicja jest wystarczająca? Czy dostatecznie odróżnia naród od innych ludzkich organizacyj? Sądzę, że chyba nie. Dałaby się ona przecież zastosować równie dobrze do każdej grupy etnicznej, nie posiadającej charakteru narodu. Czyż dlatego, że np. górale tatrzańscy »zajmują zwartą masą ziemię wspólną... itd.« nazwiemy górali osobnym narodem? Skonstruowanie takiej definicji narodu, która z żadnego punktu widzenia nie dałaby się zaczepić, byłoby zadaniem niełatwem i w każdym razie przekraczającem ramy niniejszego szkicu. Nie siląc się na to, spróbujmy zdać sobie sprawę z tych rysów charakterystycznych, które odróżniają współcześnie pojęty naród od innych grup etnicznych.

Sądzę, że najważniejsza różnica polega na wyjątkowym zupełnie i jedynym w swoim rodzaju stosunku zależności jednostki od narodu. — Zależność ta jest podwójna: kulturalna i gospodarcza.

Pomyślmy, czem byłby człowiek, gdyby nie miał do dyspozycji kulturalnego dorobku całego narodu, wytworzonego w ciągu wieków, a dzięki ludzkiej zdolności do porozumiewania się stojącego w każdej chwili do rozporządzenia każdej jednostki? Dopiero ten zasób pojęć, sądów i »prawd«, dostarczony dziecku wraz z mową, robi zeń »człowieka« — członka narodu.

Bez przesady powiedzieć można z Erazmem Majewskim [2], że

---

[1] Marceli Handelsman. Historyka, str. 5.

[2] E. Majewski. »Nauka o człowieku i cywilizacji«. Pogląd na stosunek człowieka do narodu, stanowiący podstawę niniejszego szkicu, został przeprowadzony i uzasadniony w cytowanem dziele Majewskiego i stamtąd przezemnie przejęty bez ważniejszych zmian.

dopiero naród udziela człowiekowi człowieczeństwa, naród daje niejako duszę ludzkiemu zwierzęciu. Wszak to, co jedynie odróżnia człowieka od zwierzęcia: ludzka psychika, zbudowana jest z pojęć i poczuć stanowiących własność całego społeczeństwa. Dzieje się to przedewszystkiem za pośrednictwem mowy: w pierwszym rzędzie mowy rodzinnej.

Oczywiście kultura poszczególnych narodów nigdzie na ziemi i w żadnej epoce nie tworzyła się całkiem samodzielnie. Zawsze poszczególne narody oddziaływały na siebie wzajemnie — i zawsze kulturalne to oddziaływanie było obustronnie dodatnie: chłonięcie obcych pierwiastków kulturalnych wzbogacało własną kulturę — a promieniowanie własnej kultury na zewnątrz wzmacniało jej żywotność. To też, gdy każdy człowiek jest wytworem przedewszystkiem własnego narodu — to każdy naród jest wytworem nietylko własnych członków, ale również oddziaływania innych narodów.

Takiego stosunku między organizacją a jej członkiem, aby organizacja *tworzyła* w zupełności swoich członków, jako takich (ludzi »jako ludzi«), nie spotykamy nigdzie poza narodem — i to stanowi pierwszą cechę, odróżniającą naród od innych organizacyj ludzkich — a zarazem pierwszy przejaw »życia« w narodzie.

Przejaw życia rzędu wyższego, niż życie zwierzęce ludzkich jednostek: bo choć jednostki ludzkie wymierają, to ciągłość narodowej kultury nie doznaje przez to uszczerbku — a jednostka, której kości dawno już w proch się rozsypały, w kulturze narodu żyje daleko dłużej; jest to znowu przejaw nieznany poza narodem.

Ale nietylko w tym kierunku objawia się życie narodowe i bezpośredni, konieczny, niejako »żywiołowy« stosunek jednostki do narodu. Jednostka, której »powstanie«, »utworzenie się« zależało bez reszty od narodowego na nią wpływu — zależy od narodu w ciągu dalszym i także bez reszty w sensie materjalnym. Myślę tutaj o ekonomicznej zależności każdego człowieka od gospodarczego mechanizmu narodu. Wyspecjalizowanie się w poszczególnych zawodach, drobiazgowy podział pracy, panujący we współczesnych społeczeństwach, jest zdobyczą, ale zarazem warunkiem współczesnej cywilizacji. Zatrzymanie jednego kółka w tym olbrzymim mechanizmie powoduje natychmiast nieobliczalne straty dla wszystkich. A pozbawienie współczesnego człowieka ekonomicznej współpracy wszystkich pozostałych, zepchnęłoby go natychmiast

do stanu nawpół dzikiego — do jakiegoś nieznanego nam nawet u najbardziej pierwotnych plemion, u których pewien ślad podziału pracy zawsze daje się zauważyć, stanu nawpół-dzikiego.

Oczywiście również na polu gospodarczem istnieje zasadnicza zależność każdego narodu od wszystkich innych. Szczególniej najnowsze czasy są widownią coraz dalej idącego uzależniania się wzajemnego narodów. Rozwój stosunków handlowych, organizacja międzynarodowych przedsięwzięć przemysłowych, specjalizacja pewnych narodów w najodpowiedniejszych dla nich gałęziach gospodarstwa, spowodowana określonemi warunkami naturalnemi — to wszystko przejawy tego uzależniania gospodarczego każdego narodu od międzynarodowej całości światowego gospodarstwa. Nie wolno o tem zapominać rozważając stosunki między narodami. Niemniej każda jednostka zależy pod względem gospodarczym bezpośrednio od własnego narodu, a poziom jej życia naturalnego stoi w ścisłym związku z poziomem gospodarczej egzystencji tylko jej własnego narodu.

Dałoby się wskazać oczywiście więcej cech charakteryzujących naród w odróżnieniu od innych organizacyj ludzkich. Spontaniczność tej organizacji, szczególniejsze, a nadzwyczaj silne zabarwienie uczuciowe towarzyszące dłuższemu zerwaniu z nią łączności, normalnie nieuświadomiona, przejawiająca się jednak czynnie w chwilach przełomowych dla narodowej egzystencji u większości ludzi gotowość do daleko idących ofiar dla dobra całości, nawet do świadomego narażania życia — wszystko to są objawy nie spotykane w żadnej innej ludzkiej organizacji, a przynajmniej w żadnej w tym stopniu, co właśnie w narodzie, wszystkie one jednak dadzą się sprowadzić do scharakteryzowanego wyżej stosunku zależności człowieka od narodu i stanowią niejako objawy pochodne.

Możnaby zarzucić powyższemu rozumowaniu, że ten stosunek zależności człowieka od jakiejś nadrzędnej organizacji kulturalnej i gospodarczej odnieśćby należało raczej do ludzkości niż do narodu. Sądzę, że odpowiedzi na ten zarzut szukać należy w tej okoliczności, że prawie każdy z nas odczuwa swój stosunek do swego narodu bez żadnego porównania żywiej, niż stosunek do ludzkości. Nieliczne wyjątki nie mogą obalić tego twierdzenia: w dzisiejszych okolicznościach znaczna, przeważająca większość ludzi, odnosi się zupełnie obojętnie do »ludzkości« — ci sami zaś

ludzie w momentach wyjątkowej potrzeby gotowi są nieść życie w ofierze dla celów narodowych. Może nastąpi kiedyś czas, że ludzkość jako całość stanie się tym bezpośrednim ośrodkiem tworzącym ludzkie wartości kulturalne i gospodarcze, wtedy też stosunek ludzi do niej nabierze tego tonu uczuciowego, jaki dziś charakteryzuje stosunek ludzi do narodów — dziś daleko jeszcze do tego.

W rozwoju społeczeństw naród jest kategorją historyczną: dzisiejsze zadanie narodu spełniały niegdyś inne formy społeczne i prawdopodobnie z czasem inne znów formy obejmą spełnianie ich w przyszłości. Dziś jednak aktualną formą życia społecznego jest w większości społeczeństw właśnie forma narodowa: dlatego też w pracy tej mówię o narodzie.

Analizując pojęcie narodu umyślnie położyłem szczególny nacisk na to, że ludzkie wartości w człowieku są dziełem narodu, że mogą one powstać tylko pod warunkiem narodowego współżycia z innymi ludźmi i istnieją niejako tylko dla celów tego współżycia. Jeżeli uwagi te były słuszne, to z góry można przyjąć, że wartości te, a więc zjawiska kulturalne, a także wiele zjawisk gospodarczych, dadzą się pojąć w swej właściwej istocie jedynie wtedy, gdy do badania ich podchodzimy niejako z »narodowego« punktu widzenia. A zatem światopogląd. obejmujący w sobie te właśnie zjawiska, może i powinien być zbudowany pod kątem widzenia pojęcia narodu

Dla przykładu rzućmy okiem na kilka szczegółów.

W psychice ludzkiej łatwo zaobserwować szereg antytez, przeróżnych sprzeczności, rozbieżnych dążeń i popędów, które pozostają zupełnie niezrozumiałe. jeżeli rozważamy je wyłącznie pod kątem widzenia indywiduum ludzkiego. Tak np. popęd do łączenia się w szersze związki, towarzyskość, wogóle zmysł organizacyjny właściwy ludziom, z jednej — a potrzeba swobody, egoizm i indywidualizm z drugiej strony. Obydwa te dążenia grają w nas rolę prawie równą, a życie codzienne jest ciągłą widownią ścierania się ich w naszej psychice.

Każdy z nas z konieczności, z natury niejako, dąży do osiągnięcia możliwego maximum przyjemności, ale ocena jakiegoś postępku »przyjemny« nie zawsze pokrywa się z oceną »dobry«. I znów w takich razach następuje ścieranie się popędu do osiągnięcia przyjemności z popędem do »dobrego« postępowania.

Sprzeczności tego rodzaju dałoby się wskazać daleko więcej — są one zapewne właściwością specyficznie ludzką. Wytłumaczenie ich znajdziemy łatwo, zważywszy na społeczny charakter człowieka.

Wiążąc się w społeczeństwa w jakiejś niedającej się bliżej określić przeszłości, człowiek nie stracił przez to przedspołecznej natury. Ciało jego nie uległo większym zmianom. Zwierzęce władze psychiczne i instynkty zostały wprawdzie przytępione, ale nie zanikły zupełnie. To też nie zaniknęła bez reszty wrodzona każdemu indywiduum potrzeba nieograniczonej swobody i dążenie do zapewnienia sobie jak największej sumy doznań przyjemnych, to znaczy takich, które się łączą ze zjawiskami pomyślnemi dla rozwoju organizmu i zwierzęcego gatunku. Natomiast z chwilą związania się jednostek ludzkich w najpierwotniejsze społeczeństwo — zjawiły się na tle tych zwierzęcych właściwości nowe, ludzkie. Społeczeństwo złożone z jednostek. których swoboda nie byłaby niczem ograniczona, nie mogłoby istnieć; fakt współżycia społecznego stał się możliwym dopiero na tle ograniczenia tej swobody i spowodował zarazem stale postępujący rozwój wewnętrznej potrzeby ograniczania się na rzecz całości — etykę. Z nią razem zjawia się nowa ocena postępków obok oceny »przyjemny« — ocena »dobry«. — Dobry, to jest taki, który przyczynia się do pomyślnego rozwoju, już nie własnego organizmu, ani tylko zwierzęcego gatunku, ale wyższej całości, której jest się członkiem: — społeczeństwa, a dziś powiemy »narodu«.

Ta dwoistość ludzkiej natury — przedspołeczna, zwierzęca i społeczna, sensu stricto ludzka jej strona, jest czynnikiem mogącym wyjaśnić wiele pozornych niekonsekwencyj ludzkiej istoty.

Wspomniałem, że ocena »dobry« mogła się zjawić dopiero na tle społecznego współżycia ludzi. Istotnie wszak wszystkie nakazy i zakazy, stanowiące przedmiot etyki, nie są niczem innem, jak ograniczeniem swobody jednostki na rzecz wspólnej organizacji narodowej. Istnieje uderzająca zgodność tych »nakazów sumienia« z postulatami dobra narodowego i warto w tej chwili zwrócić uwagę na dwie jeszcze okoliczności. które zgodność tę podkreślają.

Widzimy po pierwsze, że owe nakazy sumienia, owa »etyka naturalna«, jest u członków społeczeństw europejskich w zasadzie

jednaka — i nic w tem dziwnego, jeśli zważymy, że służy bardzo podobnym co do swej wewnętrznej struktury narodom. Wszędzie dusza normalnego członka społeczeństwa wzdryga się na myśl zabójstwa — bo wszak wzajemne mordowanie się byłoby uniemożliwieniem współżycia społecznego. Ale wystarczy, by wybuchła wojna. Masowe mordowanie »nieprzyjaciół«, czyli członków innego wrogiego narodu, nie pozostawia u znacznej większości żadnego poczucia »wyrzutów sumienia«. Czemu? — bo to przecież postępek zgodny — w dzisiejszych tak barbarzyńskich jeszcze w gruncie rzeczy czasach — z dobrem mojego narodu. A gdy wojna się skończy i zacznie znowu współdziałanie danego narodu z sąsiedniemi — to natychmiast wraz z rozszerzeniem interesu tego narodu na bezpieczeństwo osobiste członków sąsiedniego, rozszerza się imperatyw etyczny »nie zabijaj« na jego członków.

Ale tej zgodności etycznych poglądów ludów cywilizowanych doby obecnej przeciwstawiają dzieje i etnologja uderzającą odmienność norm etycznych w różnych czasach, a raczej na różnych stopniach rozwoju społeczeństwa. I oto znowu za każdym razem da się wykazać zgodność tych »innych« norm z dobrem owych »innych« społeczeństw. Zjadanie starych rodziców, prawo zabijania, które posiada ojciec rodziny u wielu ludów pierwotnych — to wszystko urządzenia, których zgodność z danemi warunkami życia społecznego da się unaocznić bez trudu.

Skąd bierze się ta widocznie konieczna zgodność? Odpowiedź na to pytanie znajdujemy w naszkicowanym powyżej stosunku jednostki do narodu. Jeżeli pamiętamy o tem, że naród przystosowywa jednostkę do swoich warunków bytu — to nie może nas dziwić ta zgodność.

Sądzę, że takie ujęcie problemów etyki z punktu widzenia dobra narodu jest nietylko naturalne, gdy się zważy, że jest ona właśnie nauką o ograniczeniach swobody jednostki na rzecz wyższej całości narodu, ale może też stać się płodnem dla samej etyki, zarówno teoretycznej jak i praktycznej.

Etyka teoretyczna szuka wartości, którą mogłaby postawić na szczycie hierarchji wartości; z naszkicowanego wyżej punktu widzenia znajdzie ją w pojęciu dobra narodu jako wartości naczelnej dla jego członków; bo to, co jest dobrem dla całości, musi być dobrem dla jej członków, zależnych od niej tak zupełnie.

Etyka praktyczna dąży do skonstruowania łatwo stosowalnego w praktyce kryterjum postępowania. Z narodowego punktu widzenia znajdujemy takie kryterjum analizując zgodność badanego postępku z ideą dobra narodowego. Kryterjum takie łatwe jest do zastosowania w praktyce, bo zdaje się być rzeczą niesporną, że na to narodowe dobro składają się te same czynniki, które zapewniają narodowi rozwój i intensyfikację przejawów jego życia na wewnątrz — oraz na zewnątrz umożliwiają jego ekspansję; te dwie strony rozwoju narodu: wewnętrzna intensyfikacja jego życia i zewnętrzna ekspanzja zdają się być połączone nierozerwalnie; żaden naród zdrowy i silny nie może zasklepiać się wyłącznie w swoich granicach — prowadziłoby to bowiem, jak uczy historja, do zastoju i martwoty — przeciwnie, musi kulturą swoją promieniować na zewnątrz, a ekonomiczny swój dobrobyt i nadmiar energji obracać na ogarnianie swoim wpływem gospodarczym — jak najszerszych przestrzeni.

Pierwszym i najważniejszym obowiązkiem jednostki jest, z tego punktu widzenia, przyczyniać się do rozwoju własnego narodu, pomnażać te wartości kulturalne i gospodarcze, które się składają na jego dorobek. Da się to osiągnąć jedynie przez pracę i to pracę produkcyjną (w najszerszem oczywiście znaczeniu tego wyrazu). To też praca produkcyjna przestaje być czynnikiem etycznie obojętnym, jakim była dla każdej etyki, nie wychodzącej z narodowych a przynajmniej społecznych założeń — przeciwnie, postulat pracy, wyrasta do rzędu może najważniejszego nakazu etycznego.

Tak pojęte kryterjum etyczne można, a nawet należy rozciągnąć na całą praktyczną działalność człowieka, w szczególności zaś także na działalność polityczną Wracamy tu więc do tej dziedziny, z której współczesna ideologja narodowa wyrosła. Nie mogę oczywiście wchodzić w ocenę konkretnych szczegółów programu politycznego — dla całości rozważań w kilku słowach chciałbym jednak scharakteryzować główne rysy programu narodowego, tak, jak zdaje mi się on wynikać z podanego wyżej ujęcia stosunku człowieka do narodu

Państwo narodowe jest zewnętrznym wyrazem narodowej organizacji, »namacalnym« niejako symbolem narodu. Ono reprezentuje naród zarówno wobec jego własnych jednostek — jak i wobec innych narodów. To też dług zaciągnięty u narodu —

obywatel spłaca państwu. Państwo służy dobru narodowemu, a obywatele służą narodowi za pośrednictwem państwa.

W zakresie polityki wewnętrznej, narodowe ujęcie politycznych zagadnień wyklucza oczywiście wszelką politykę egoizmów klasowych, terytorjalnych itp. Interes całości jest tu znowu decydującem kryterjum.

Głównym celem wewnętrznej polityki powinno być popieranie produkcji (znowu zarówno w sensie kulturalnym jak i gospodarczym). Stąd postulat zapewnienia inteligencji możności rozwoju.

W zakresie polityki zagranicznej narodowy punkt widzenia wcale nie jest jednoznaczny z krótkowzroczną polityką szowinistyczną. Wspomniana już współzależność wszystkich narodów na polu kultury i gospodarstwa wyklucza nie liczenie się w polityce zewnętrznej z interesem innych narodów. Zgodne współżycie, oparte na pewnego rodzaju międzynarodowym podziale pracy, jest niewątpliwie niezbędnym warunkiem zdrowej ekspansji każdego narodu we właściwym kierunku, a bez tej ekspansji, jak również bez oparcia o współpracę sąsiadów, nie można dzisiaj już mówić o normalnym rozwoju żadnego narodu. Narody nie są izolowane i tak, jak ludzie czerpią z narodowego dorobku, tak narody czerpią z dorobku ludzkości, do którego każdy z nich wnosi właściwe sobie elementy.

Dążenie do ekspansji i promieniowanie własnej kultury na zewnątrz jest zdrowe i usprawiedliwione. Ale jeśli odbywa się przy pomocy środków gwałtownych — nie prowadzi do celu. Wynaradawianie przemocą obcych elementów etnicznych pochłania więcej wartości kulturalnych, niż przynosi i dlatego normalnie nie wydaje mi się zgodnem z dobrem własnego narodu. Mogą być od tej zasady wyjątki, ale naogół trzeba pamiętać, że chodzi tu o *wartość*, że przeto nie *ilość* ludzi, przyznających się do przynależności do danego narodu, ale *jakość* ich kultury jest tu decydującą.

Starałem się powyżej wskazać na przykładach, że pojęcie narodu nadaje się na centralne pojęcie nowoczesnego, praktycznego światopoglądu. Nie wyczerpują się na tem możliwości jego zastosowania — sądzę jednak, że tych kilka uwag wystarczy, aby podkreślić jego wartość do celu budowy światopoglądu.

Światopogląd ten jest co do punktu wyjścia przeciwstawie-

niem antropocentryzmu, ośrodkiem jego nie jest człowiek pojęty abstrakcyjnie, jako niezależne indywiduum, ale ta żywa całość, której jest on cząstką: naród. Nie od badania jednostki przechodzi on do zrozumienia całości, ale od całości wychodzi, aby pojąć zjawiska dotyczące jednostki, całość ta bowiem jest dlań racją bytu cząstek. Tak pojęty, jest więc sui generis uniwersalizmem.

Stanisław Wróblewski

Z kwestyj waloryzacyjnych.

Waloryzacja zobowiązań jest niewątpliwie jedną z spraw najbardziej w Polsce aktualnych, a choć rozp. z 14 maja 1924 starało się ująć problem możliwie szeroko i wszechstronnie, choć w tym samym kierunku poszły i rozporządzenia uzupełniające, to przecież życie przynosi codzień przypadki, których rozstrzygnienie nasuwa wątpliwości, bo jeżeli gdzie, to w tej właśnie materji wyczerpanie tematu było wprost niemożliwością. Dwie takie wątpliwości chcę tutaj omówić; pierwsza dotyczy waloryzacji hipotek, druga waloryzacji zapisów.

I.

1. Dodany przez nowelę z 27. 12. 1924 poz. 1024 § 27a rozp. waloryz. stanowi, iż przepisy §§ 5—27 nie uchybiają ważności dawniejszych umów, przez które strony ustanowiły inny sposób przerachowania, Daje on zatem woli stron pierwszeństwo przed przepisami §§ 5—27, »jeżeli strony same, licząc się z możliwością deprecjacji, ustanowiły w umowie pewien sposób przerachowania« (komentarz Zoll-Hełczyński wyd. 2. cytowany w dalszym ciągu jako »koment.«, str. 181). W tych razach decyduje »ten miernik, który strony przyjęły jako podstawę do przerachowania... Wynika stąd, że taka... waloryzacja może nawet przekraczać... parytet złota« (koment. s. 181/2); zasada ta stosuje się »zarówno, jeśli chodzi o należności, których miarę przerachowania ma oznaczyć w razie sporu sąd według swego słusznego uznania... jak i o należności, których miara przerachowania jest w samem rozporządzeniu wyraźnie określona« (koment. s. 63).

§ 5 rozp. walor. zajmuje się przerachowaniem hipotek, zabezpieczających wierzytelności z pożyczek na nieruchomościach miejskich, wraz z dotyczącemi wierzytelnościami. Stosuje się także do pożyczek amortyzacyjnych z tą tylko różnicą, że przerachowaniu podlega jedynie niespłacona jeszcze część pożyczki, i z modyfikacjami, wynikającemi z §§ 7 i 8 rozporz. (koment. s. 106 n.).

Z tych premis wynika z logiczną koniecznością, że hipoteki pożyczek i pożyczki hipoteczne, tak proste, jak i amortyzacyjne, mogą i powinny na podstawie § 27a być przerachowane nie według miary, określonej w § 5, lecz według wyrażonej w umowie woli stron. To też zdziwiłem się niemało, wyczytawszy w koment. (s. 182) zdanie »że do hipotek ... § 27a nie może mieć zastosowania, obowiązujące bowiem w Polsce ustawy hipoteczne wymagają naogół (z wyjątkiem b. dzielnicy austr., o czem p. w opinji Zolla w »Przeglądzie Notar.« n. 2 i 3 z r. 1924 str. 7) wpisów w walucie krajowej (rozp. z 27. 4. 1924 poz. 385 dopuściło wpisów w walutach obcych i w złocie; patrz także rozp. z 20 1. 1924 poz. 64)«.

Już na pierwszy rzut oka uderzyło mnie, że powyższe uzasadnienie żadną miarą nie wystarczy, aby usprawiedliwić tak jaskrawą sprzeczność komentarza z tekstem, który w § 27a powołuje wyraźnie § 5, a w § 5 mówi przedewszystkiem o hipotekach; wszak do hipotek, płatnych w walucie obcej, rozporządzenie waloryzacyjne wogóle się nie odnosi (koment. s. 60 n.), a przy hipotekach, płatnych w walucie krajowej (czy wprost, czy na podstawie przepisanej przez ustawę relacji; p. koment. s. 66), oznaczenie waluty płatności nie wyklucza bynajmniej równoczesnego oznaczenia takiego czy innego sposobu przerachowania np. odwołania się do zboża, złota i t. p.... Zauważyłem nadto w przytoczonem zdaniu i drugą jeszcze wewnętrzną sprzeczność: skoro się wyklucza zastosowanie § 27a, bo wpis hipoteczny musiał być w walucie krajowej, to nie można rozumować w ten sposób co do b. dzielnicy austr., co do której koment. stwierdza odrazu, że tam przymusu owego nie było.

Rozporządzenia z 27. 4. i 20. 1. 1924 nie wyjaśniły mi sprawy. Pierwsze nie dotyka ani jednem słowem kwestji waloryzacji dawniejszych hipotek. Drugie, o ile wychodzi poza wpisy w przyszłości, przemawia raczej za zastosowaniem § 27a do hipotek dawniejszych, albowiem w art. 3 uznaje za ważne dokonane w dawniej-

szych aktach określenie wartości zobowiązań w złotych; stanowczo zaś nie zawiera ani jednego zwrotu, któryby nakazywał wyłączyć hipoteki z pod zastosowania § 27 a wbrew jego najzupełniej jasnemu brzmieniu.

Dopiero przytoczona w komentarzu opinja Zolla pozwoliła mi zrozumieć, skąd pochodzi ścieśniające tłumaczenie § 27 a. W opinji tej, wydanej jeszcze przed wprowadzeniem § 27a do rozporządz. walor.. uznaje Zoll wprawdzie (s. 6), że wola stron może co do wierzytelności hipotecznych uzasadnić odstąpienie od skali § 5, widzi jednak (s. 5) ius cogens w przepisie końcowym § 11 (tzn. obecnie § 11 ustęp 3 in fine) i dlatego co do hipotek podwyższenie miary przerachowania wyklucza, uważając je za możliwe co najwyżej na podstawie analogji z § 33 ustęp 3 Otóż komentarz utrzymuje ten pogląd mimo wprowadzenia § 27a. Widzi w przepisie tym tylko zasadę, którą już właściwie z rozporządzenia pierwotnego można było wyinterpretować (koment. s. 181), traktuje go zatem jako interpretację autentyczną (koment. s. 10, 11, 25), nie wnoszącą niczego nowego, a w następstwie postanowienia §§ 11 (ustęp 3) i 5 traktuje nadal jako ius cogens.

W tem tkwi zd. m. błąd komentarza. Z stanowiska pierwotnego brzmienia rozporządzenia Zoll w opinji swej miał co do hipotek niewątpliwie rację, ale § 27a zmienił radykalnie stan rzeczy. Zoll widzi w nim interpretację autentyczną. ale właśnie stąd wynika, że po dodaniu § 27a wolno tłumaczyć rozporządzenie tylko w wytkniętym przez § 27a kierunku, a trzeba zapomnieć doszczętnie o interpretacji dawnej. Brzmienie zaś § 27a określa ten kierunek zupełnie jasno. Granica § 5 względnie § 11 (ustęp 3) została i co do hipotek przekreślona jako granica absolutna; przepisy §§ 5—27 muszą ustąpić pierwszeństwa woli stron, straciły zatem charakter prawa bezwzględnie obowiązującego. Że przepis § 11 pozostał w rozporządzeniu, to niczego nie zmienia, bo § 27a odebrał mu charakter przepisu absolutnego; inaczej mówiąc, nie można dziś przepisu § 27a naginać do § 11, lecz, wprost przeciwnie, należy § 11 brać w tem znaczeniu, jakie mu nadało późniejsze prawidło interpretacyjne. Zacieśniać takie prawidło, stosować do niego interpretację restryktywną, twierdzić, że ustawodawca powiedział w niem więcej, niż powiedzieć chciał, to wszystko rzeczy niedopuszczalne; wszak ustawodawcy nie można posądzać o to, że w przepisie interpretacyjnym, wydanym dla wskazania

tłumaczeniu właściwej drogi, nie potrafił jasno wyrazić swego zamiaru, i nie można wyjaśniać takiego przepisu zapomocą odbiegającej od niego interpretacji tych postanowień, które on miał wyjaśnić. Jeżeli się zaś przyjmie, że szło o uzupełnienie, nie o interpretację, to lex posterior derogat priori.

Sądzę tedy, że § 27a rozp. walor. należy rozumieć tak, jak wskazuje jego brzmienie, i że na jego podstawie można nietylko wierzytelności hipoteczne, lecz także hipoteki, i to tak zwykłe, jak i amortyzacyjne, przerachować według miary wyższej, niż wskazana w § 5 rozp., jeżeli strony ustanowiły umownie inną miarę przerachowania.

2. W przytoczonej poprzednio opinji zajmuje się Zoll oceną konkretnego przypadku pożyczki przedwojennej w walucie austr., przy której zastrzeżono, że gdyby w dniu zapłaty odsetek względnie zwrotu kapitału kurs waluty austr. według notowania kursów dewizowych w Bazylei stał poniżej kursu w dniu wypłaty pożyczki, wówczas należy sumę, wynikającą z tej różnicy kursu, wynagrodzić wierzycielowi. Zoll stosuje w tym przypadku najpierw relację 1 zł = 0·95 koron austr., następnie miarę przerachowania z § 5 rozporz. walor. Uwagi moje wywołał także konkretny przypadek, zbliżony do tego, który miał przed sobą Zoll; klauzula o różnicy kursu brzmiała identycznie, szło jednak o pożyczkę amortyzacyjną, a nadto zachodziła ta bardzo doniosła różnica, że kaucja — według znanego szablonu — przeznaczona była »na zabezpieczenie wszelkich należytości ubocznych, którym ustawa nie zapewnia pierwszeństwa równego z kapitałem, odsetek zalegających ponad 3 lata, wymienionych w skrypcie kosztów, a w szczególności także niedoboru odsetek, na jaki wierzyciel mógłby być narażony w razie licytacji przymusowej«. W przypadku omówionym przez Zolla kaucja służyć miała w pierwszym rzędzie na zabezpieczenie szkody z obniżenia się kursu waluty austr., a okoliczność ta popiera nader silnie rozumowanie autora, że strony, oznaczając kaucję na 5% kapitału, myślały tylko o zwykłych przedwojennych i nieznacznych wahaniach kursu i tylko w tych granicach chciały obciążyć dłużnika odpowiedzialnością, że nie myślały o katastrofach i że powojennej deprecjacji pieniądza umową nie objęły.

W przypadku, który jest punktem wyjścia moich wywodów, cała powyższa argumentacja odpada, bo obowiązek do wyrówna-

nia różnicy kursu nie jest niewątpliwie »należytością uboczną, której ustawa nie zapewnia pierwszeństwa równego z kapitałem«. Dotyczący ustęp skryptu określa jedynie, ile koron trzeba zapłacić na wyrównanie należności w kapitale względnie odsetkach; nadwyżka, wynikająca z różnicy kursu, jest częścią składową samego świadczenia, korzysta więc z pierwszeństwa kapitału, względnie odsetek, i nie jest objęta kaucją, czego ponad wszelką wątpliwość dowodzi ta okoliczność, że w ustępie o kaucji wyszczególniono »wymienione w skrypcie koszta«, nie wspomniano zaś o różnicy kursu. Skoro tak, to wysokość kaucji nie pozwala na żadne wnioski co do kwestji, jakie wahania kursu strony miały na myśli; jeżeli się zaś klauzulę o różnicy kursu bierze dosłownie, to niepodobna nie przyznać, że obejmuje ona każdą różnicę kursu. Stąd też pierwszą moją myślą było, że jeżeli do przypadku, który miałem przed sobą, stosuje się rozporz. walor. — tej kwestji, in concreto wątpliwej, nie chcę tu dotykać — to na podstawie przytoczonej poprzednio klauzuli o różnicy kursu miarą przerachowania winien być w myśl § 27 a (p. wyżej pod 1) kurs dewiz polskich w Bazylei.

Wobec powagi, jaką cieszy się słusznie zdanie Zolla w sprawach waloryzacyjnych, nie poprzestałem na tej pierwszej myśli. Przeszedłem dalsze argumenta jego opinji i znalazłem ich trzy: wywód, że strony nie myślały o katastrofie, bo wówczas zastrzeżonoby spłatę »rzeczywiście« w złocie (s. 7—8); wywód, że przy odmiennem pojmowaniu woli stron wierzyciel wyszedłby znacznie gorzej, niż przy zastosowaniu § 5 (s. 8—12); wreszcie odwołanie się do rozumu i serca (s. 4). Wynik mych rozważań był następujący:

a) Pierwszy argument Zolla brzmi: gdyby strony myślały o katastrofie, wierzyciel byłby zastrzegł nie 5% na kaucję, ale spłatę »rzeczywiście« w złocie, zatem, skoro to nie nastąpiło, to albo strony o katastrofie nie myślały, albo też dłużnik nie chciał wziąć na siebie tak daleko idącej odpowiedzialności. Jeżeli z tego rozumowania usuniemy moment kaucji, który w rozpatrywanym tutaj przypadku odpada, zostanie z niego tak niewiele, że wątpię, czy Zoll użyłby tu także zwrotu, że klauzula o różnicy kursu odnosiła się »oczywiście« (s. 4) do zwyczajnych wahań kursu. Wszak o tem, co strony myślały, możemy wnosić tylko z tego, czemu dały wyraz w umowie; jeśli zaś o to chodzi, to między

zastrzeżeniem zapłaty »rzeczywiście« w złocie tzn. w koronach złotych, a klauzulą, zastrzegającą wyrównanie każdej różnicy kursu w stosunku do franka szwajcarskiego, waluty uchodzącej i przed wojną za absolutnie pewną, doprawdy nie jestem w stanie dostrzec istotnej różnicy. Korony, nawet złote, nie odpowiadały intencji wierzyciela, któremu chodziło o jego własną walutę; zamiarem jego było zapewnić sobie zapłatę w frankach szwajcarskich, w którym to celu mógł istotnie zastrzec ją »rzeczywiście« w takich frankach. Zamiast tego umieszczono klauzulę o różnicy kursu; wnosić stąd, że myślano tylko o drobnych odchyleniach kursu, to stanowczo za dużo. Gdyby strony myślały tylko o zwykłych wahaniach, czyż zastrzeżenie »rzeczywiście w frankach szwajcarskich« nie byłoby także całkowicie odpowiadało ich intencjom? Czy wobec tego dylemat: albo zwyczajne wahania, wówczas klauzula o różnicy kursu, albo przewidywanie katastrofy, wówczas zastrzeżenie »rzeczywiście« — da się utrzymać? Zastrzeżenie »rzeczywiście« utrudnia położenie dłużnika, którego zmusza do poszukiwania i gromadzenia pieniądza bitego względnie obcych walut; czyż to nie dostateczny powód, by je zastąpić innem określeniem, które daje wierzycielowi takie samo bezpieczeństwo, bo obejmuje k a ż d ą różnicę kursu, choć dłużnikowi owego kłopotu oszczędza? Jeżeli chcemy istotnie liczyć się z zamiarem stron »wynikającym z oświadczenia woli«, nie zaś snuć fantazje na temat zamiaru stron, to poza oświadczenie wyjść nie możemy, a w danym przypadku oświadczenie było tak jasne i wyraźne, że do pojmowania go inaczej, niż brzmiało, żadnego nie daje punktu oparcia.

b) Na przypadek, gdyby się klauzulę o różnicy kursu odniosło także do deprecjacji powojennej, grozi wierzycielowi zdaniem Z o l l a obniżenie należności poniżej miary. określonej w § 5. Brzmi to, jak paradoks: jakim sposobem tłumaczenie umowy w sensie korzystnym dla wierzyciela może temu wierzycielowi przynieść stratę? Z o l l bierze za podstawę sumę długu w koronach austr., przelicza ją na marki polskie według relacji 100 K = 70 mp., a uzyskaną w ten sposób sumę waloryzuje według dnia płatności i skali § 2 rozp. walor., co w jego przypadku, przy długu płatnym 1. 4. 1923, prowadzi istotnie do smutnego dla wierzyciela rezultatu. Błąd wpada w oczy: wszak § 2 nie może być brany w oderwaniu od § 3. Usunąwszy ten błąd wypadnie przedewszystkiem przeliczyć dług przedwojenny na złote według skali 1 zł. = 0·95 K,

a potem dopiero przychodzi przerachowanie, i to nie według miary § 5, wykluczonej wolą stron, lecz według tego, co postanowiły w umowie. Zoll traktuje rzecz tak, jak gdyby wola stron usunęła na bok całe rozporządzenie walor. prócz § 2. Tak nie jest: rozporządzenie stosuje się w całości, więc także § 3, który datę powstania tytułu uważa za rozstrzygającą, i — przedewszystkiem — § 27a. Gdybyśmy zaś przyjęli, że w razie takiej klauzuli rozporządzenie walor. wogóle nie może być stosowane (czego Zoll nie przyjmuje), to wówczas tembardziej wypadnie określić rozmiar zobowiązania stosownie do wyraźnej woli stron.

c) Serce i rozum to czynniki nawskróś subjektywne i przy stosowaniu prawa bardzo niebezpieczne; jeżeli one mają dać ostateczną odpowiedź, trzeba poznać dokładnie wszystkie okoliczności konkretnego przypadku. Pierwszy odruch »poczucia słuszności« to refleksja, że hipoteka, utrzymana w pełnej wartości, jest zbyt wysokiem obciążeniem przedmiotu, który stracił na wartości; czyż jednak i przed wojną nie było przesileń budowlanych, skutkiem których pierwsze hipoteki nie znajdowały pokrycia w licytacyjnej cenie kupna? czy słusznem jest, aby wierzyciel tracił, skoro dłużnik osobisty, który pozostał właścicielem obciążonej realności, obracając w czasie wojny świeżo pożyczonym kapitałem, dorobił się olbrzymiego majątku? czy słusznem jest, aby nabywca realności płacił tylko 20% za ciężar, który przyciśnionemu potrzebą sprzedawcy strącił w pełnej wartości z ceny kupna? Pytania takie stawiać można bez końca; dlatego trzymanie się wyraźnego przepisu prawa uważam za najlepszą gwarancję słuszności i dlatego też do tego, tak zresztą wymownego, ustępu wywodów Zolla nie przywiązuję większej wagi, jakkolwiek znam dobrze siłę przyciągającą hasła: »słuszność przeciw prawu«, i wiem, ile waży wobec sądu — już od czasów Cicerona.

Na podstawie tych rozważań dochodzę do wniosku:

Pożyczka amortyzacyjna, zawierająca przytoczoną poprzednio klauzulę o różnicy kursu i o przeznaczeniu kaucji, jeżeli podpada pod rozporządzenie walor., przerachowana być winna w myśl § 27a stosownie do klauzuli o różnicy kursu.

II.

Co do waloryzacji zapisów sprawa przedstawia się inaczej. Według § 28 rozporz. walor. rozstrzyga w tym względzie swobo-

dne uznanie sądu; jako okoliczności, które sąd przy ocenie konkretnego przypadku uwzględnić powinien. wymienia przepis powyższy przedewszystkiem wyraźną lub dorozumianą wolę testatora, następnie względy słuszności, przez które rozumie (koment. s. 185 n.) wzgląd na stan majątkowy wierzyciela i dłużnika (powołanie się § 28 na zasady uczciwego obrotu czyli dobrej wiary przy wykonywaniu zobowiązań nie odnosi się do aktów, nie należących do obrotu). Za punkt wyjścia przyjmuje § 29 rozp. tę wartość, jaką ma należność, przeliczona w myśl skali § 2 według czasu powstania tytułu; do tej wartości stosuje się ocenę, wskazaną w § 28, a ustaliwszy w ten sposób wysokość należności w czasie otwarcia spadku, wypadnie nadto po myśli § 29 lit. f) uwzględnić późniejsze zmiany w wartości masy spadkowej.

Przepisy powyższe naogół nie nasuwają wątpliwości, co zresztą nie znaczy bynajmniej, aby zastosowanie ich w praktyce było proste i łatwe; jest jednak jeden szczegół, wymagający wyjaśnienia, mianowicie ów czas powstania tytułu. Sprawą tą zajmuje się komentarz ex professo przy § 3 (s. 82 n.), przeprowadzając oznaczenie tego czasu dla rozmaitych kategoryj tytułów. Najdłuższy wywód poświęcony jest zapisom. Co do nich uważają autorowie za miarodajny »czas sporządzenia testamentu, mimo iż w danym wypadku sama należność — np. obowiązek wypłaty legatu — powstawała dopiero z chwilą śmierci spadkodawcy; dla ustalenia miary przerachowania miarodajnym będzie zwykle czas sporządzenia testamentu i tylko ta chwila daje wskazówki co do tego, jaką realną wartość chciał spadkodawca nadać swemu zapisowi. (Jeżeli np. w testamencie napisanym przed wojną spadkodawca zapisał komuś 5.000 rubli, a umarł dopiero w r. 1919, nie sporządziwszy nowego testamentu, to zapis wedle jego zamiaru wynosić miał 5.000 : 0.375 równa się 13.333 złotych, a nie 5.000 : 10.50 = 476 złotych i tę pierwszą sumę należy wziąć za punkt wyjścia)«.

Na takie postawienie kwestji trudno się zgodzić. Zd. m. przy zapisie dopiero chwilę powstania wierzytelności, więc w zasadzie chwilę śmierci spadkodawcy, przyjąć należy za podstawę przerachowania, aby następnie, dokonawszy go na podstawie tej chwili, rozpocząć ową operację, którą się określa jako swobodne uznanie sądu i dla której § 28 daje wskazówki. Przyznaję odrazu, że w konkretnym przypadku można dojść do jednakowego wyniku, choć się z odmiennych punktów rozpoczyna drogę: jeżeli np.

chodzi o przedwojenny zapis renty z charakterem alimentacyjnym, waloryzacja według daty rozporządzenia okaże się częstokroć uzasadnioną także z mojego stanowiska, bo wychodząc od wartości zapisu w chwili śmierci spadkodawcy wypadnie przecież podwyższyć ją ze względu na jego wyraźną czy dorozumianą wolę, a na odwrót mogą łatwo zdarzyć się przypadki, w których, nawet wychodząc od wartości przedwojennej, musi się za linją woli spadkodawcy dojść do wartości w czasie jego śmierci np. gdy w testamencie oświadczył, że wyznacza zapisy także dla dalszych krewnych, bo bliższych powołał na dziedziców i przez to zapewnił im już przyzwoite utrzymanie. Przez to jednak punkt wyjścia nie staje się bynajmniej obojętnym. Chodzi o to, jak należy rozstrzygnąć, jeżeli — poza brzmieniem zapisu — brak wszelkich innych podstaw do wnioskowania, jaką była wola spadkodawcy (przypadki takie nie będą rzadkością, skoro się będzie pamiętało o owem kardynalnem prawidle, że nikomu — nawet sędziemu — nie wolno sub colore interpretacji podstawiać własnego sposobu myślenia w miejsce woli spadkodawcy), i jeżeli słuszność musi także milczeć, bo stan majątkowy wierzyciela i dłużnika nie daje jej żadnego absolutnie prawa do zabierania głosu.

W tym właśnie punkcie zarzucam wywodom komentarza — mimo ostrożnego osłabienia ich przez umieszczenie słowa »zwykle« — niedość ostre ujęcie tego, co się nazywa sensu stricto rozporządzeniem ostatniej woli; wszak według tego pojęcia akt jako taki jest tylko martwą formą, którą wola spadkodawcy codzień na nowo ożywia i nową napełnia treścią. Trzymajmy się przykładu autorów: nie ulega wątpliwości, że spadkodawca, ustanawiając przed wojną zapis 5.000 rubli, miał na myśli ówczesną wartość pieniądza, skąd jednak twierdzenie, że zapis ten i w r. 1919 wynosić miał według jego zamiaru pełną wartość przedwojenną, choć wartość pieniądza doznała od chwili sporządzenia zapisu tak głębokiej zmiany? Nie chcę wprowadzać takich argumentów, któreby miały tylko wartość zabawki dialektycznej, np. argumentu, że gdyby spadkodawca złożył odrazu dla legatarjusza owe 5.000 rubli w banku i ten fundusz przeznaczył mu zapisem, wówczas legatarjusz nie otrzymałby prawdopodobnie 13.333 zł, choć zamiar spadkodawcy zarysował się o wiele bardziej stanowczo, niż w przypadku poprzednim. Śmiem jednak mniemać, że twierdzenie przeciwne,

i tylko ono, da się uzasadnić ścisłem i prostem rozumowaniem prawniczem: zapis przedwojenny wymieniał sumę 5.000 rubli; według skali § 2 rozp., którą uważać należy za wierne odtworzenie rzeczywistości (koment. s. 77), wartość tej sumy w chwili śmierci spadkodawcy w r. 1919 wynosiła 476 zł; spadkodawca mógł zmienić każdego czasu pierwotne rozporządzenie, a nie uczynił tego; stąd wynika, że o s t a t n i ą jego wolą było, aby legatarjusz dostał tyle, ile wynosiła wartość zapisu w chwili śmierci spadkodawcy. Rozumowanie to nie da się zastosować do rozporządzeń nieodwołalnych; co do odwołalnych przestaje być ścisłe i wymaga odpowiedniej poprawki np. wówczas, gdy spadkodawca po sporządzeniu zapisu popadł w chorobę umysłową. Dopóki jednak przyjmuje się prawdziwość założenia, że spadkodawca każdej chwili mógł zapis pierwotny zastąpić nowym, tak długo rozumowanie powyższe wydaje mi się jedynem poprawnem. Pogląd komentatorów nie liczy się z ową dopuszczalnością każdoczesnej zmiany, co wydaje mi się zasadniczym błędem. Czyż spadkodawca w r. 1919 nie zdawał sobie sprawy, że ruble straciły na wartości? czy nie miał w ręku sposobu, aby dostosować wartość zapisu do zmienionych warunków? skoro z tego sposobu nie skorzystał, czyż nie dał do poznania, że zapis zostawia na falę deprecjacji? czy można przypisywać mu zamiar utrzymania zapisu w niezmienionej wartości, jeżeli jedynym punktem zaczepienia jest fakt niedokonania zmiany mimo możności dokonania? Aby dla zdania przeciwnego zyskać podstawę, należałoby przypuścić albo, że spadkodawca, choć jeszcze żywy, był już poza światem i zupełnie nie zdawał sobie sprawy z tego, co się naokoło niego dzieje, albo, że liczył na ustawowe zwaloryzowanie zapisu. Nie wykluczam tych możliwości, przyznaję chętnie, że w takich przypadkach rozstrzygnięcie może wypaść inaczej; jeżeli jednak mamy do czynienia z przypadkiem, w którym spadkodawca wiedział o spadku wartości pieniądza, jeżeli śmierć nastąpiła w takiej chwili, kiedy w Polsce nikt jeszcze nie myślał realnie o waloryzacji zobowiązań, to zapis tak tylko można rozumieć, jak musiał go rozumieć spadkodawca w chwili śmierci. Tylko takie rozumienie godzi się z zasadą, wypowiedzianą w ustępie drugim § 28. Przepis ten każe badać, czy i w jakim stopniu strony przewidywały spadek wartości pieniądza i uwzględniły go przy ustanowieniu należności, następnie, co byłyby postanowiły,

gdyby spadek ów były przewidziały. Przy zapisie pytanie pierwsze odpada wobec faktu, że spadkodawca pomimo spadku wartości pieniądza utrzymał pierwotny zapis, chociaż mógł go zmienić; odpada tem samem i pytanie drugie, bo z utrzymania zapisu wynika, iż co do niego spadkodawca pogodził się z nowym stanem rzeczy i uznał zapis za odpowiadający woli w tej wartości, jaką przedstawiał w chwili śmierci, a to stwierdzenie pozytywne musi mieć pierwszeństwo przed hipotetycznem ustaleniem, o jakiem mówi ostatnie zdanie § 28.

Komentatorowie nie wmyśleli się dostatecznie w istotę rozporządzenia ostatniej woli w ścisłem słów znaczeniu. Pojęcie to przeszło do praw nowoczesnych z Rzymu, a tam z owej ambulatoria voluntas defuncti umiano wyciągnąć konsekwencje — zaczynając od tej, że wola spadkodawcy codzień odnawia testament (jeżeli spadkodawca zniszczył późniejszy testament, aby testamentowi wcześniejszemu przywrócić moc, wówczas według Papinjana D. 37, 11, 11, 2 »voluntas quae defecerat iudicio recenti rediisse intelligetur«), kończąc na tej, że testament traktuje się jako wyraz tej woli, jaką miał spadkodawca w ostatniej chwili życia. Gdyby spadkodawca zostawił zapis stu solidów, a w chwili jego śmierci suma ta — skutkiem wybijania coraz to gorszego pieniądza — przedstawiała tylko dziesiątą część tej wartości, jaką posiadała w czasie spisania rozporządzenia, legatarjusz dostałby przecież tylko sto — zdeprecjonowanych — solidów; na zarzut, że spadkodawca chciał mu dać dziesięć razy tyle i że wobec zmienionych warunków nie można dawnego rozporządzenia brać dosłownie (nefas est ut antiquae deliberationis ordinatio voluntas postrema dicatur: C. Th. 4, 4, 6), Justynjan ma gotową odpowiedź: »quod non mutatur, quare stare prohibetur?«.

Przypuszczam, że twórcy rozporządzenia waloryz. nie chcieli przekreślić tej głębokiej różnicy między aktami, które w stosunku do działającego stwarzają fakt dokonany i odrazu ulatują mu z ręki, a aktami, o których Justynjan pisze: »ita demum firmum est, si ultimum comprobetur«. Jeżeli tak, to zwrot »powstanie tytułu« w §§ 3 i 29 nie może być wysunięty jako argument przeciw zapatrywaniu, którego bronię. Zapis »istnieje« dopiero wówczas, gdy wola spadkodawcy podtrzymała go aż do końca, a różnica między prawem nabytem (np. wierzytelnością z papieru wartościowego, o której koment. s. 83 — jakby dla kontrastu —

mówi bezpośrednio po wywodach, dotyczących zapisu) i stworzoną przez wyznaczenie zapisu nadzieją, nawet dla laika leży na dłoni. Choć więc modnem jest dziś hasło, że ustawy pisać należy nie dla prawników, to i ono przecież nie zdoła usprawiedliwić zrównania aktu testamentu i kontraktu pożyczki czy kupna pod wspólną nazwą »powstania tytułu«.

Iwo Jaworski

Zagadnienie rządów parlamentarnych w pierwszym okresie rewolucji francuskiej.

Ustrój Europy współczesnej ma w dużej mierze swoją genezę w epoce rewolucji francuskiej. Wiadomo powszechnie, że tam jest punkt wyjścia dla ewolucji, która przemieniła kontynentalne państwa, oparte na absolutyźmie i mniejszych, lub większych pozostałościach systemu stanowego, na państwa konstytucyjne i praworządne. Z drugiej strony wiadomo, że wszystkie nieomal tak przekształcone państwa zachodnio-europejskie przyjęły prędzej, czy później formę rządów parlamentarnych taką, jaka powstała w Anglji w ciągu XVIII. wieku i początkach XIX-go. Zachodzi więc pytanie, w jakim stopniu tego rodzaju rządy zostały przyjęte przez Francję rewolucyjną, w jakiej mierze wprowadzono, względnie usiłowano wprowadzić te rządy w pierwszych w Europie próbach nowożytnych konstytucyj, jakiemi były rewolucyjne konstytucje francuskie. Stawiamy sobie za zadanie rozpatrzenie części — najważniejszej — tego zagadnienia, mianowicie zbadanie kwestji rządów parlamentarnych w pierwszym okresie rewolucji francuskiej, w czasach od zwołania Stanów generalnych w maju 1789 r. aż do obalenia monarchji w sierpniu 1792 r. W pracy tej uwzględniamy tylko te momenty, które są zasadnicze dla istoty rządów parlamentarnych t. j. zasadę reprezentacji, odpowiedzialność prawną ministrów, solidarność ministerjalną, a przedewszystkiem odpowiedzialność polityczną. Pomijamy zaś wszystko to, co dla rządów tych znaczenia niema, lub ma tylko znaczenie pośrednie.

Tak postawionego zagadnienia do tej pory nie rozpatrywano gruntowniej. Tak Duvergier de Hauranne w wstępie do swojej

przestarzałej już zresztą pracy (Histoire du gouvernement parlementaire en France, Paris 1879), jak Redslob (Die Staatstheorien der französischen Nationalversammlung von 1789, Leipzig 1912), dają tylko pobieżny przegląd wspomnianych kwestyj. Praca Simonneta (Le gouvernement parlementaire et l'assemblée constituante de 1867) nie wyczerpuje również zupełnie przedmiotu. Jedynie zasada reprezentacji, oraz ściśle z celowem funkcjonowaniem odpowiedzialności politycznej związane prawo króla rozwiązywania ciała prawodawczego znalazło wyczerpujące przedstawienie w książce Loewensteina (Volk und Parlament nach der Staatstheorie der französischen Nationalversammlung von 1789, München 1922). To też te dwie kwestje poruszam w mojej pracy bardziej pobieżnie, jedynie dla całokształtu.

I.

Zagadnienie rządów parlamentarnych w literaturze przedrewolucyjnej. — Przed Monteskiuszem; Monteskiusz; Mably; Rousseau; Sieyès; Blackstone; de Lolme; Konstytucja amerykańska; Zestawienie poglądów.

Żeby zrozumieć kwestję rządów parlamentarnych w okresie rewolucji francukiej, przedewszystkiem należy sobie zdać sprawę, czy współcześni odpowiednio oceniali ich istotę. Sięgnąć tu należy do prac tych teoretyków, którzy wogóle w każdej dziedzinie ukształtowali prawno-publiczne pojęcia rewolucyjnego pokolenia francuskiego i zbadać, czy i jak oni przedstawiali tę kwestję. Wobec faktu, że w owym okresie rządy parlamentarne znane były jedynie w Anglji, w pierwszym rzędzie należy uwzględnić, jakie było, począwszy od poprzedników Monteskiusza, a skończywszy na Sieyesie, ustosunkowanie się tych francuskich pisarzy do ustroju angielskiego.

Pierwsze zainteresowanie się instytucjami angielskiemi widzimy we Francji w połowie XVII wieku w czasie rewolucji Kromwellowskiej, która była współczesną z frondą francuską, ruchem do pewnego przynajmniej stopnia bądź co bądź wolnościowym[1]. Ale to zainteresowanie trwać długo nie miało i ostatecznie upadło,

[1] J. Dedieu: Montesqieu et la tradition politique en France, thèse pour le doctorat, presentée à la faculté des lettres de Bordeaux 1909. Rozdziały I—IV.

gdy w Anglji wrócili na tron Stuartowie, a we Francji nastały osobiste rządy Ludwika XIV.

Stan opinji francuskiej w latach 1660—1680 cechuje fakt, że Francja nie tylko jest rządzoną absolutnie, ale i chce być absolutnie rządzoną. Ztąd płynęła niechęć do parlamentarnych instytucyj angielskich widoczna np. u tego najwybitniejszego bodaj doktrynera monarchji z łaski Bożej, jakim był Bossuet. Wobec Anglji wogóle, mimo dobrych stosunków, jakie łączyły Ludwika XIV z Karolem II, brak we Francji podówczas intelektualnego zainteresowania. Parę opowiadań podróżniczych nie zdołało przerwać panującego na tematy angielskie milczenia. Z dyplomatów francuskich jeden Comminges do pewnego stopnia zrozumiał ustrój Anglji. Zastanawiał się on nad parlamentem angielskim i doszedł do przekonania, że dominuje on nad życiem politycznem w Anglji. Nad jego raportami dyskutowano na dworze Ludwika XIV i, jak ot łatwo zrozumieć, przeważyła pogarda dla instytucyj angielskich. Dopiero dwa zdarzenia miały dać początek prawdziwemu i szerokiemu zainteresowaniu się parlamentaryzmem brytyjskim: odwołanie edyktu z Nantes w r. 1685 i rewolucja angielska w r. 1688. Błąd, jaki popełnił Ludwik XIV, wydalając lub zmuszając do opuszczenia Francji liczne rzesze protestantów, miał i ten skutek, że szereg pisarzy i dziennikarzy protestanckich znalazłszy schronienie w Anglji, zaczęło w mnóstwie pamfletów przeciwstawiać absolutyzm francuski umiarkowanej monarchji angielskiej. Pamflety drukowane zagranicą cieszyły się dużem wzięciem we Francji we wszystkich okresach monarchji absolutnej. Po roku 1685 Francuzi zaczęli znajdować w nich coś więcej niż zarzuty przeciw działalności takiego, lub innego ministra, lub wyjawienie takiego, lub innego skandalu dworskiego, znajdowali w nich krytykę całego istniejącego systemu rządów we Francji i przeciwstawienie im systemu angielskiego. Rewolucja z r. 1688 wprawiła dziennikarzy protestanckich w entuzjazm, a walka, jaka się w parlamencie angielskim rozegrała o zasady wolności około roku 1700, dolała jeszcze oliwy do ognia. Z pisarzy tych utworzył się jakby »legjon święty na usługach idei parlamentaryzmu« [1]. Ich poglądy można streścić w paru słowach: Przyrodzonym porządkiem rzeczy jest monarchja ograniczona przez prawa. Między lud a monarchę wstępują ciała

---

[1] J. Dedieu op. cit. Rozdział II, ustęp I.

pośrednie. Podział władz: wykonawczej, prawodawczej i sądowniczej winien być ściśle przestrzeganym. To wszystko było ilustrowane przykładami angielskiemi.

Jakkolwiek niewątpliwie prace emigrantów protestanckich zwróciły uwagę opinji francuskiej na ustrój angielski, nie należy sobie wyobrażać, żeby ich idee miały wywrzeć natychmiast jakiś wpływ donioślejszy. Jedyną grupą opozycyjną, mającą konkretny do pewnego stopnia plan zmiany panującego systemu rządów, było w ostatnim okresie panowania Ludwika XIV otoczenie domniemanego następcy tronu ks. Burgundji, znane nam tak dobrze choć tak jednostronnie z pamiętników Saint-Simona. Teoretyk tej grupy, słynny Fenelon, w dziele swoim: »Essai philosophique sur le gouvernement civil« jest bardzo dalekim od poglądów zwolenników ustroju angielskiego. Wprawdzie jest przeciwnikiem monarchji absolutnej, ale również zwalcza i idee angielskie, w szczególności wszystko, coby wypływało z zasady suwerenności ludu, jak również zasadę podziału władz. W gruncie rzeczy jest zwolennikiem rządów arystokratycznych. Niczem innem nie była zresztą wspomniana grupa opozycyjna, jak tylko rozgoryczeniem rodowych arystokratów przeciwko usunięciu ich od władzy przez Ludwika XIV, posługującego się w rządach sekretarzami stanu rekrutującymi się z pośród mieszczaństwa. Nieudała próba rządów arystokratycznych, t. zw. polisynodja za regencji ks. Orleańskiego szybko zlikwidowała aspiracje arystokracji i możliwość urzeczywistnienia programu Fenelona.

Pierwsza połowa wieku XVIII nie przyniosła dużo nowego w propagowaniu i krzewieniu parlamentaryzmu angielskiego. Dwaj pisarze zajmowali się Anglją w tych czasach: Voltaire i Raynal. Pierwszy z nich w swoich listach angielskich zachwyca się wieloma instytucjami angielskiemi np. sądami przysięgłych, wolnością pisania, mówienia, ale parlamentaryzm angielski wyśmiewa, będąc zwolennikiem absolutyzmu oświeconego. Raynal zaś w dziele pod tytułem »Historja parlamentu angielskiego«, która ukazała się koło r. 1788, dał gwałtowną satyrę, zwalczającą idee podziału władz i ciał pośrednich. W nienawiści swojej posuwa się tak daleko, że popada w paradoks, kiedy pisząc o Anglji nawołuje do despotyzmu, jakkolwiek poza tem zawsze opowiada się za republiką. Zresztą wpływ jego miał być bardzo mały.

Człowiekiem, który naprawdę miał otworzyć oczy Francuzom na ustrój angielski, był Monteskiusz[1]. W pierwszej epoce swego życia Moteskiusz nie znał Anglji. Od »Listów Perskich« aż po księgę VIII Ducha praw nie widać w jego dziełach jej wpływu. Jest pod wyłącznym wpływem pisarzy starożytnych. To też powszechną zwrócono uwagę na wielki kontrast, jaki się daje zauważyć między pierwszemi ośmioma księgami Ducha praw, a resztą dzieła. Przełomem była tu wielka podróż, jaką Monteskiusz przedsięwziął po większości krajów europejskich. W Europie kontynentalnej odniósł wszędzie wrażenie niesmaku, wszędzie dopatrywał się zgnilizny i korupcji. System angielski go podbił. Widzi w nim republikę pod zasłoną monarchji. Ta sympatja Monteskiusza do ustroju angielskiego nie budzi się zaraz, lecz stopniowo, jak tego dowodzą jego notatki o Anglji. Dedieu widzi powody tej sympatji w fakcie, że Monteskiusz z temperamentu był tradycjonalistą, że oddawna wyznawał zasadę podziału władz, którą wydało mu się, że widzi urzeczywistnioną w Anglji. Nareszcie zaważył tu na szali wpływ przyjaciół angielskich. W pierwszym rzędzie wpłynęło tu dzieło Locke'a »Essai sur le gouvernement civil«, jakkolwiek nie wszystkie idee tego wielkiego filozofa Monteskiusz recypował, (np. Monteskiusz nie miał się stać zwolennikiem teorji Locke'a o kontrakcie społecznym). — Taka jest w ogólnych zarysach geneza tego zadziwiającego rozdziału VI księgi XI Ducha praw poświęconego konstytucji angielskiej, a reasumującego nieomal wszystkie myśli Monteskiusza w tej materji. Rozdział ten ma zasadnicze znaczenie, bo w dużej mierze stał się podstawą poglądów sympatyków ustroju angielskiego w dobie rewolucji francuskiej.

W tym swoim przedstawieniu ustroju angielskiego na pierwszem miejscu stawia Monteskiusz zasadę podziału władz. Przekonywująco, z całą sugestją swojego wielkiego talentu pisarskiego, ilustrując szeregiem przykładów uwypukla on złe skutki połączenia paru władz w rękach jednego organu. Argumentacja ta, robiąca dziś na nas wrażenie truizmów, tak się stała pospolitą w studjum prawa publicznego, była dla współczesnych Monteskiusza w dużym stopniu rewelacją. Daje on do zrozumienia, że ten po-

---

[1] J. Dedieu op. cit. Rozdziały V—VII, H. Barckhausen: Montesquieu, ses idées et ses oeuvres d'après les papiers de la Brede, Paris 1907, Faguet: La politique comparée de Voltaire, Montesqieu et Rousseau, A. Sorel: Montesquieu, Paris 1888.

dział władz widzi idealnie przeprowadzony w Anglji. Dalej stawia zasadę reprezentacji całego narodu przez posłów. Nie widać wprawdzie, aby Monteskiusz zdawał sobie jasno sprawę z różnicy zasady reprezentowania przez posła całego narodu, a zasady reprezentowania przez posła tylko stanu z pewnego okręgu. Ale wnioski, do których dochodzi, zarzucając instrukcję szczegółową dla posłów i skrępowania ich ją, zarzucając więc jedną z najważniejszych cech charakteru stanowego reprezentancji, doprowadzają go ostatecznie do stanowiska identycznego z przyjęciem zasady reprezentowania całego narodu przez posła. Pewne bałamuctwo wprowadza tu użycie słowa »instrukcja generalna«, którą Monteskiusz uznaje za wskazaną w przeciwstawieniu do »instrukcji szczegółowej«, którą zarzuca[1]. Można zrozumieć to tylko w ten sposób, że przez »instrukcję generalną« rozumiał Monteskiusz poprostu powierzenie przez wyborców posłowi mandatu. Z drugiej strony krytykuje autor »Ducha praw« bezpośredni udział ludności w ustawodawstwie. Z paru ustępów wydawać by się mogło, że Monteskiusz uznaje kontrolę ciała ustawodawczego nad egzekutywą, że przynajmniej przeczuwa odpowiedzialność polityczną ministrów[2]. Z dalszych jednak wywodów wynika, że miał on na myśli tylko odpowiedzialność prawną ministrów. Przedstawia on i pochwala angielski system nietykalności króla i odpowiedzialności za niego jego doradców, sposób stawiania ich w stan oskarżenia przez »część ustawodawczą ludu« (izbę niższą) i sądzenia przez »część ustawodawczą szlachty« (izbę parów). Dla Monteskiusza, który wszystko

---

[1] »Il n'est pas nécessaire, que les représentants, qui ont reçu de ceux qui les ont choisis une instruction générale, en recoirent une partisulierè sur chaque affaire, comme cela se pratique dans les diètes d'Allemagne. Il est vrai que de cette manière la parole des deputes serait plus l'expression de la voix de la nation; mais cela jetterait dans les longueurs infinies, rendrait chaque deputé le maître de tous les autres; et dans les occasions les plus presantes, toute la force de la nation pourrait être arretée par un caprice«. »De Esprit de lois«, księga XI rozdz. VI, str. 13, wydanie Firmin Didot 1872 str. 131.

[2] »Le corps représentant ne doit pas être choisi non plus pour prendre quelque résolution active, chose qu'il ne ferait pas bien, mais pour faire des lois, on pour voir si l'on a bien exécuté celles qu'il a faites, chose qu'il peut très bien faire, et qu'il n'y a même que lui qui puisse bien faire«. Op. cit. str. 132«. »Mais si dans un état libre, la puissance législative ne doit pas avoir le droit d'arrèter la puissance exécutrice, elle a droit, et doit avoir la faculté d'examiner de quelle manière les lois qu'elle a faites ont été ont exécutées«; Op. cit. str. 134.

wyprowadza z zasady podziału władz, prawo oskarżania i sądzenia ministrów przez ciało ustawodawcze jest tylko tamą położoną ewentualnym wykroczeniom władzy ustawodawczej, tak jak sankcja monarsza i prawo monarchy zwoływania parlamentu jest tamą przed ingerencją władzy ustawodawczej w dziedzinę egzekutywy. Arystokrata i tradycjonalista z usposobienia, uznaje Monteskiusz izbę wyższą, jako naturalną dziedziczną reprezentację stanów uprzywilejowanych. Pogląd swój na ustrój angielski streszcza ostatecznie w następujących słowach: ...»Skoro ciało ustawodawcze złożone jest z dwóch części, jedna część krępować będzie drugą przez możność wzajemną udaremniania (d'empecher). Obie będą skrępowane przez władzę wykonawczą, a ta z kolei będzie skrępowaną przez władzę ustawodawczą«. Dla Monteskiusza więc ustrój angielski polega na systematycznym przeprowadzeniu podziału władz i na takiem skombinowaniu stosunków jednej władzy do drugiej, aby nie mogły wkraczać wzajemnie w swoje kompetencje. Dochodząc do wniosku, że ustrój taki jest najlepszym, Monteskiusz zamyka oczy, jak on w życiu wygląda, i z tego doktrynerskiego swego stanowiska zdaje sobie nawet sprawę [1].

Drugi ustęp »Ducha praw«, w którym Monteskiusz pisze o konstytucji angielskiej, to rozdział XXVII. księgi XIX. noszący tytuł: »Jak prawa mogą przyczyniać się do ukształtowania się obyczajów, sposobów zachowania się (manières) i charakteru narodu«. W rozdziale tym Monteskiusz nie wymienił ani razu słowo »Anglja«, jedynie wskazał na początku na księgę XI., i dał do zrozumienia w ten sposób, że o Anglji mowa, co zresztą wynika jasno z treści. Znajdujemy tam parę ustępów odnoszących się do rządów parlamentarnych. Jeszcze raz mianowicie wskazuje autor »Ducha praw« na dodatnie strony zasady reprezentacji [2]. Zdaje się również wyczuwać rolę, jaką w życiu politycznem angielskiem odgrywa system

---

[1] Ce n'est point à moi à examiner si les Anglais jouissent actuellement de cette liberté, ou non. Il me suffit de dire qu'elle est établie par leurs lois, et je n'en cherche pas davantage. Op. cit. str. 137.

[2] »Mais le corps législatif ayant la confiance du peuple, et étant plus éclairé que lui, il porrrait le faire revenir de maivaises impressions, qu'on lui ourait données, et calmer ses mouvements. — C'est le grand avantage qu'aurait ce gouvernement sur les démocraties anciennes, dans lesquelles le peuple avait une puissance immediate; car lorsque des orateurs l'agitaient ces agitations avaient toujours leur effet«. Op. cit. str. 265.

partyjny, twierdzi mianowicie, że w państwie, w którem panuje wolność, konsekwencją tej wolności musi być istnienie dwóch partyj, z których jedna popierałaby władzę wykonawczą, druga władzę prawodawczą. Tak charakteryzuje Monteskiusz programy dwóch partyj angielskich: wigów i torysów. Dalej zaznacza, że skutkiem faktu, iż obie partje składają się z ludzi wolnych, żadna z tych partyj nie może zanadto zagórować nad drugą, bo »obywatele pospieszyliby dźwignąć« partję poniżoną. Zdaje się być w ten sposób uwydatnione znaczenie wyborów. Nareszcie Monteskiusz wskazuje, że przy takich stosunkach monarcha nieraz bywa zmuszony dobierać sobie doradców wbrew swoim życzeniom. — Z powyższych ustępów wynika, że autor »Ducha praw« zdawał sobie sprawę z pewnych stron odpowiedzialności politycznej ministrów i sposobu jej funkcjonowania. Czy jednak przedstawione one zostały w sposób, który był dostatecznie zrozumiały dla współczesnych? Stanowczo nie. Jest rzeczą naprawdę niemożliwą, aby ktokolwiek, nie znający stosunków angielskich, mógł na podstawie tych paru zdań rozdziału XXVII, księgi XIX., stworzyć sobie obraz wystarczający, czy to roli partyj politycznych, czy wpływu izby gmin na obsadzenie stanowisk ministerjalnych, jakkolwiek właśnie te dwie kwestje były tam poruszone. Wszystko to było opisane sentencjami, tak pośrednio tylko odtwarzającemi istniejący stan rzeczy, że musiało robić wrażenie raczej rozważań teoretycznych, niż przedstawienia egzystującego ustroju. W dodatku pisząc o zmuszaniu monarchy do dobierania sobie doradców wbrew swej woli, Monteskiusz robi uwagę, że monarcha musi to czynić, »wbrew zwykłym zasadom roztropności«. Uwaga ta mogła wywołać wrażenie, że takiego stanu rzeczy autor »Ducha praw« bynajmniej nie pochwala, że go raczej uważa za szkodliwy. Nareszcie nie należy zapominać, że ogół czytelników studjujących dzieło Monteskiusza mógł nie zorjentować się, że rozdział XXVII. księgi XIX. odnosi się do Anglji, wobec tego, że jak to wspomnieliśmy, słowa Anglja wogóle w nim niema. Z tych wszystkich powodów śmiało można powiedzieć, że, o ile chodzi o przedstawienie konstytucji angielskiej i zagadnienia rządów parlamentarnych, to z całego dzieła Monteskiusza jedynie miarodajnym pozostał dla współczesnych rozdział VI. księgi XI. »Ducha praw«.

W każdym razie Monteskiusz otwarł swoim współczesnym oczy na dwie właściwości ustroju angielskiego: zasadę reprezen-

tacji i odpowiedzialność prawną ministrów. Pozatem jednak cel konstytucji angielskiej, jaki daje autor »Ducha praw«, trzeba uznać za nietrafny. Mniejsza z tem, że niedostatecznie przedstawił formujące się w tym czasie w Anglji rządy parlamentarne, że pominął milczeniem już de facto istniejącą solidarną odpowiedzialność gabinetu. Były to rzeczy, z których w samej Anglji jeszcze sobie sprawy nie zdawano, a które powoli i ewolucyjnie, drogą zwyczajową wyłaniały się ze skomplikowanego mechanizmu państwowego angielskiego. Nic więc dziwnego, że Monteskiusz niewystarczająco je zaobserwował, że nie wysunął ich na pierwszy plan swoich rozważań. Przeciwnie podziwiać należy jego intuicję, że dopatrzył się choć tego. co widzimy wzmiankowane w rozdziale XXVII. księgi XIX. Gorszą było rzeczą, że na pierwszem miejscu swego ustrojowego programu w ogólności, a swego przedstawienia konstytucji angielskiej w szczególności, wysunął on zasadę podziału władz i z tej pożytecznej w teorji prawa państwowego fikcji, do pewnego tylko stopnia słusznej tak w odniesieniu do ustroju Anglji, jak wogóle do celowości w obowiązującem prawie konstytucyjnem — utworzył główny dogmat swego państwowego credo. Płynęło stąd szereg konsekwencyj, które, jeśliby miały być ściśle w życie wprowadzone, musiałyby uniemożliwić wprowadzenie rządów parlamentarnych. Tak więc dosłowna interpretacja zasady, że w tych samych rękach nie mają być skupione choćby części dwóch władz, musiało doprowadzić do wniosku, że ministrowie nie mogą być nominowani z pośród członków ciała prawodawczego. Dalszą konsekwencją zasady podziału władz, było ograniczenie stykania się organów władzy wykonawczej, króla i ministrów, z ciałem prawodawczem do minimum, co wyrażać się musiało w zakazie uczestniczenia ministrów w posiedzeniach ciała prawodawczego. Nareszcie odpowiedzialnosć polityczna ministrów, skrępowanie monarchy w doborze swoich doradców, musiało zostać uznane za wkroczenie władzy w dziedzinę władzy wykonawczej. Tak pojęta zasada podziału władz, miała zaciężyć nieraz decydująco nad Konstytuantą. Jeśli od niej odstąpiła, to pod wpływem Mably'ego. To jednak, co w niej się znalazło i u Mably'ego i za nim w konstytucji 1791, wystarczyło, aby normalne funkcjonowanie rządów parlamentarnych w pierwszym okresie rewolucji francuskiej uczynić niemożliwością.

Panująca w Francji w połowie XVIII wieku anglomanja, powstała głównie pod wpływem »Listów angielskich« Voltaire'a, a które po dziele Monteskiusza miała objąć także ustrój angielski, nie trwała długo[1]. Około roku 1760 następuje zwrot w opinji publicznej francuskiej. Z jednej strony zwolennicy absolutyzmu oświeconego krytykują parlamentaryzm angielski. Na ich czele Voltaire, który w ostatnim okresie swego życia, jako patryjarcha z Ferney, zażywał nieporównanego autorytetu, atakuje formy ustrojowe brytyjskie. Z drugiej strony cała falanga pisarzy, grupujących się koło wydawnictwa encyklopedji, mniej lub więcej skłaniających się do republikanizmu, występuje przeciw ustrojowi angielskiemu, godząc w pierwszym rzędzie w Monteskiusza, jako tego, który głównie się do znajomości tego ustroju przyczynił. Dochodzą oni do wniosku, że cnota nie wynika z wolności angielskiej, a przeciwnie wynikiem parlamentaryzmu jest korupcja. Można zresztą zrozumieć i usprawiedliwić te ich poglądy, wobec faktycznie panującej od czasu rządów Walpole'a w parlamencie angielskim korupcji. Wszyscy prawie pisarze z tego obozu wygłaszają takie opinje, że wymienimy tylko Condorcet'a, występującego z niesłychaną gwałtownośaią Linguet'a, oraz nazywającego podział władz chimerą Helwetiusa. Ale główne ciosy sympatjom angielskim zadali dwaj pisarze: Mably i Jan Jakób Rousseau.

Wpływ pierwszego z nich[2] na ideologję pokolenia, które poprzedziło i wywołało rewolucję francuską, zdaje się być niedocenionym. Czytając jego dzieła, zdaje się, że się czyta mowy członków Konstytuanty. Za Monteskiuszem stawia on na pierwszem miejscu zasadę podziału władz. Ale rozumie ją całkiem inaczej. Podczas gdy Monteskiusz w podziale władz widzi niezawisłość sądownictwa z jednej strony, z drugiej zaś wzajemne i równomierne powstrzymywanie się władz wykonawczej i prawodawczej, Mably przyjmuje wprawdzie niezawisłość sądownictwa, i o tyle jest z Monteskiuszem zgodny, ale co do stosunku dwóch innych władz, ko-

---

[1] J. Dedieu: op. cit. rozdz. VIII.

[2] M. W. Guerrier: L'abbé de Mably, moraliste et politique, étude sur la doctrine morale du Jacobinisme puritain et sur le developpement de l'esprit republicain du XVIII siècle, Paris 1886, E. Allix: La Philosophie politique et sociale de Mably, Revue des études historiques 1899. L. Gelinaud: Les doctrines sociales et politiques de Mably thèse pour le doctorat en droit Rochefort 1907. Mellis: Le principe de la separation des pouvoirs d'après l'abbé de Mably, Toulouse 1907.

ryguje zasadę podziału zasadą przewagi władzy prawodawczej nad wykonawczą. Gdyby Mably mógł zorjentować się w istocie ustroju angielskiego, gdyby był dostrzegł zarodki systemu rządów parlamentarnych, być może byłby w tym systemie widział dostateczną gwarancję przewagi legislatywy nad egzekutywą. Ale Mably oczywiście tych zarodków, jak wszyscy jego współcześni, nie widzi, i wobec tego biorąc dosłownie prerogatywę króla angielskiego, uważa, że posiada on pełnię władzy niebezpieczną dla ciała prawodawczego[1]. Odpowiedzialność prawna ministrów wydaje mu się gwarancją niedostateczną, uważa, że król ma władzę tak wielką, że zawsze potrafi swoich doradców od skutków tej odpowiedzialności uchronić i wobec tego krytykuje zasadę nietykalności króla, posuwając się w tej krytyce tak daleko, że w zasadzie tej widzi główny błąd konstytucji angielskiej. Ideałem Mably'ego był ustrój, w którymby jedno-izbowe ciało prawodawcze miało nietylko wszystkie te atrybucje, jakie posiada parlament angielski. ale również, któreby wypowiadało wojnę, zawierało pokój, nominowało wszystkich urzędników, pozostawiając władzy wykonawczej tylko część znaczenia. Sympatjami swemi grawitując do republiki, godzi się Mably z monarchją, tam gdzie już istnieje, ale królowi zostawia tylko rolę reprezentacyjną, czczy tytuł naczelnika narodu. Jeśli Polsce doradza wprowadzenie dziedziczności monarchji, to czyni to ze względów oportunistycznych, aby jej zaoszczędzić nowych zamieszek, bardziej byłby zbliżony do jego ideału obieralny monarcha. Dla poparcia swoich twierdzeń nie waha się Mably przed fałszowaniem historji, lub współcześnie istniejącego stanu rzeczy; tak np. udowadnia, że ustrój podobny do jego ideału panował w monarchji frankońskiej Karolingów, lub też wynosi pod niebiosa ustrój Szwecji XVIII wieku, stawiając go za przykład godny naśladowania zamiast angielskiego, a zamykając oczy na anarchję i korupcję panującą u skandynawskiego sprzymierzeńca Francji. Jak sobie funkcjonowanie wymarzonego przez siebie ustroju wyobrażał, można poznać z jego rad dla Polski, przesłanych Konfederacji Barskiej za pośrednictwem Wielhorskiego. Punkt ciężkości chciałby on przenieść do komitetów sejmowych, a to, coby pozostało z władzy wykonawczej, rozproszkować między senat, króla,

---

[1] Collection complete des oeuvres de d'abbé de Mably, edition Debriere l'an III. de la Republipue t. XII. De l'etude de l'histoire et de la maniere d'ecrire histoire chap. V. Du gouvernement d'Angleterre.

któryby był tylko tego senatu prezydentem, i czterech ministrów [1]. Przy tem wszystkiem, jak zaznaczyliśmy, nie zapomina Mably o zasadzie podziału władz, ale pojmuje ją czysto zewnętrznie, sprzeciwiając się nominowaniu ministrów z pośród członków ciała prawodawczego. W ten sposób z zasady tej, tak jak ona została postawiona przez Monteskiusza, zostało w dziełach Mably'ego właśnie to tylko, co utrudniało wprowadzenie rządów parlamentarnych. Z drugiej strony przyjmuje zasadę reprezentacji, bezpośredniego udziału ludu w rządach nie uważa za możliwy, jakkolwiek zaleca krępowanie posłów instrukcjami szczegółowemi, co u niego nie jest pojęte jako pozostałość systemu stanowego, lecz jako pokłon w stronę zasady suwerenności ludu. Nie jest również Mably demokratą, nie chce przyznać robotnikom i służbie domowej charakteru obywatela. Słusznie zauważa Allix, że można przydać Mably'emu epitet: arysto-demokraty [2]. Wystarcza ten pobieżny przegląd jego poglądów, aby się przekonać, jak wiele można ich odnaleźć w poglądach członków Konstytuanty. A może więcej jeszcze od pozytywnych wskazań Mably'ego, doniosłym był wpływ ciągle przebijającego się w jego dziełach przekonania, że władza wykonawcza z natury rzeczy musi być przeciwnikiem ciała prawodawczego, że musi dążyć do jej poniżenia i zniszczenia [3].

Drugim autorem, który zrujnował wpływ angielski we Francji, to Jan Jakób Rousseau [4]. Podważał on od podstaw system rządów parlamentarnych, zarzucając zasadę reprezentacji i propagując bezpośredni udział ludu w ustawodawstwie [5]. Dla Russa istniała jedna

---

[1] Mably t. VIII Du gouvernement de la Pologne str. 26 i str. 121, 127.

[2] E. Allix op. cit. str. 125.

[3] Przykładowo podajemy cytat z Mably'ego t. VIII. Du gouvernement de la Pologne str. 60. »Tout legislateur doit partir de ce principe: que la puissance executrice a été et seur eternulement l'ennemie de la puissance legislative.

[4] Oeuvres complètes de J. J. Rousseau, Paris, Lefèvre, 1839, J. J. Rousseau: Uwagi nad rządem Polski, przełożył i opracował Maciej Starzewski. Kraków, Bibljoteka Narodowa, Serja II, Nr. 32. Champion Edme: J. J. Rousseau et la Revolution, Paris 1909, Declareuil J: Des critiques touchants les regimes representatif et parlementaire dans les oeuvres politiques de J. J. Rousseau, Recueil de l'academie de legislation de Toulouse 1910, Faguet op. cit. Haymann Franz. J. J. Rousseau: Socialphilosophie,Leipzig 1838, Peretiatkowicz Antoni: Filozofja prawa Jana Jakóba Rousseau, Poznań 1913.

[5] Najbardziej miarodajnym ustępem, krytykującym zasadę repre-

tylko władza ustawodawcza. Gdyby był przyjął zasadę reprezentacji, to takie założenie byłoby go doprowadziło do stanowiska identycznego z poglądami Mably'ego, t. j. do wysunięcia postulatu zupełnego podporządkowania się rządu organom prawodawczym. Przenosząc jednak punkt ciężkości bezpośrednio do ludu, Russeau dochodził do wniosków innych, domagał się rządu, któryby wprawdzie był emanacją ludu i któryby trzymać się musiał praw przez lud ustanowionych, ale któryby był rządem silnym i niezależnym. Byłoby to zresztą logiczną konsekwencją wprowadzenia systemu rządów Russa w życie, jasną bowiem jest rzeczą, że kontrola systematyczna nad rządem wykonywana bezpośrednio przez lud, byłaby słabą i mało skuteczną. Nie jest naszem zadaniem przedstawiać politykę Russa, tak zresztą już wszechstronnie rozpatrzoną i skomentowaną. Dla sformowania się opinji francuskiej o rządach parlamentarnych dwa momenty są tu miarodajne. Najpierw zarzucenie zasady reprezentacji. A następnie fakt, że dla wyznawców autora »Kontraktu społecznego«, w wypadku pogwałcenia jego teorji i wprowadzenia systemu reprezentacyjnego w życie, rządy parlamentarne musiały się wydać większem złem, niż np. osobiste rządy królewskie [1].

W przeddzień wybuchu rewolucji francuskiej pojawiła się praca pisarza, którego zwykle wpływ na rewolucjonistów wysoko jest szacowany, a mianowicie słynna broszura »Czem jest stan

---

zentacji, wydaje się nam ustęp następujący Rozdziału XV., Księgi III., Kontraktu społecznego: »La souveraineté ne peut être représentée, par la même raison qu'elle ne peut être aliénée; elle consiste essentiellement dans la volonté générale, et la volonté ne se représente point; elle est la même, ou elle est autre; il n'y a point de pulieu. Les députés du peuple ne sont donc ni ne peuvent être ses représentants; ils ne sont que ses commissaires; ils ne peuvent rien conclure definitivement. Toute loi que le peuple en personne n'a pas ratifiée est nulle; ce n'est point une loi. Le peuple anglois pense être libre, il se trompe fort; il ne l'est que durant l'élection des membres du parlement: sitôt qu'ils sont élus, il est esclare, il n'est rien. Dans les cours moments de sa liberté, l'usage qu'il en fait mérite bien qu'il la perde.

[1] Rządy parlamentarne uważał Russeau za rządy oligarchji, będące większem złem, zwłaszcza w wielkiem państwie, od rządów monarchicznych. Mimo to zwolennicy doktryny Russa w Konstytuancie po przegraniu bitwy o referendum ludowe, nie poszli konsekwentnie dalej za Russem i ze zrozumiałych powodów politycznych, nie opowiedzieli się za silnym rządem królewskim, lecz przechylili się na stronę zwolenników supremacji legislatywy nad egzekutywą w myśl postulatów Mably'ego.

trzeci« Emanuela Sieyesa. Wpływ jego był rzeczywiście znaczny, o ile chodzi o wzbudzenie poczucia własnej siły wśród szerokich sfer mieszczaństwa francuskiego i jego aforyzm: »Czem jest stan trzeci? Niczem. Czem powinien być? Wszystkiem« brzmiał dla wielu jak pobudka bojowa. Ale o ile chodzi o plany ustrojowe Sieyesa, to miały wywrzeć one opływ bardzo tylko nieznaczny [1]. Mimo to, ze względu na fakt, że prace późniejszego dyrektora powszechnie była znane członkom konstytuanty, warto zanotować poglądy jego na parlamentaryzm angielski. Siéyès poświęca cały jeden paragraf atakowi przeciw systemowi dwuizbowemu [2], i istnienie izby wyższej uważa za główną wadę ustroju angielskiego. Słusznie podkreśla, że izba niższa jest niedostateczną reprezentacją narodu. wobec tego, że wybór nie jest ani wolny, ani ogólny. W funkcjonowaniu systemu rządów parlamentarnych widzi tylko jakiś chorobliwy stan ciągłej walki między rządem a »arystokracją opozycji« [3].

Obok dzieł wspomnianych autorów, którzy wszyscy starali się stworzyć pewne programy ustrojowe, i z punktu widzenia tych swoich subjektywnych programów przedstawiali i oceniali ustrój Anglji, do poznania tego ustroju we Francji przyczyniły się prace, dające systematyczny i objektywny obraz konstytucji brytyjskiej, prace, których cel nie tyle był pojęty jako wystawienie programu na przyszłość, co jako przedstawienie i wyjaśnienie istniejącego w Anglji stanu rzeczy. Nie należy zapominać, że ani u Mably'ego, ani u Russa, ani nawet u Monteskiusza nie można znaleść wyczerpującego obrazu ustroju Anglji, opisują oni w związku z takiemi lub innemi swojemi teoretycznemi rozważaniami, tylko pewne części składowe tego ustroju, albo przykład ilustrujący ich wywody, albo dla zalecenia, lub wykazania szkodliwości danej instytucji brytyjskiej. Nawet na podstawie rozdziału VI-go księgi XI. »Ducha praw« z trudnością przyszłoby odtworzyć sobie obraz

---

[1] Zdanie Champion'a (Wstęp do wydania krytycznego: »Qu'est ce que le Thiers état?« Paris 1888), że nie można się nawet dopatrzeć śladów dyskusji na temat planów ustrojowych Sieyesa byłoby słuszne, gdyby nie rola, jaką odegrały w debatach Konstytuanty jego poglądy na zasadę reprezentacji (Dr. Karl Löwenstein: Volk und Parlament, München 1923, Erster Teil: Das Representativprinzip in der Staatslehre von Siéyès).

[2] Siéyès op. cit. 86.

[3] Siéyès op. cit. str. 61 os. i nota Nr. 2.

konstytucji angielskiej komuś, ktoby tej konstytucji skądinąd nie znał. Dlatego też duże znaczenie posiadają prace, które jak słynne komentarze Blacstone'a, lub »Konstytucja angielska« de Lolme'a, dają wyczerpujący i zupełny obraz instytucyj angielskich.'

Komentarze Blacstone'a pojawiły się w tłumaczeniu francuskiem w latach 1774—1776[1]. Zasada rozdziału władz postawiona jest przez niego z argumentacją w dużym stopniu podobną, jak u Monteskiusza[2], i podobnie jak on, widzi ją urzeczywistnioną w Anglji. Omawiając następnie skład parlamentu, przedstawia Blacstone zasadę reprezentacji w sposób niezwykle jasny i precyzyjny. Punktem wyjścia dla niego jest suwerenność ludu[3]. Przyznaje on każdemu obywatelowi prawo współudziału w rządach państwem i uznaje za idealną formę rządów taką, w którychby lud in corpore wykonywał władzę, jak to było w małych republikach greckich. Wobec tego, że jest to niemożliwością w państwach większych, Blacstone uznaje za jedyne możliwe wyjście z tej sytuacji, delegowanie władzy przez lud posłom. W ten sposób, (szczególnie przekonywujący dla umysłów francuskich, pozostających pod wpływem Russa) uzasadniwszy celowość zasady reprezentacji, przedstawia następnie Blacstone jej istotę, tak jak była ona w Anglji rozumianą[4]. — Drugi jeszcze element rządów

---

[1] Commentaires sur les loix angloises de M. Blacstone Bruxelles 1774—1776.

[2] T. I. Rozdział II: Du Parlement: Dans tous les gouvernements tyranniques le droit de faire des lois et de faire executer réside dans le même homme, ou bien dans le même corps; toutes les fois que ces deux puissances sont unies ensemble, il n'y a plus de liberté publique. Dans un pareil gouvernement le Magistrat fait des lois tyranniques et les execute despotiquement, puisqu'il est tout à la fois législateur et dispensateur, et qu'il a pour l'un et pour l'autre tout le pouvoir qu'il veut avoir. Mais dans un état ou le pouvoir législative est separé du pouvoir exécutif la puissance legislative ne confié pas à la puissance exécutrice un pouvoir qui pourroit tendre à la subversion de sa propre independance et qui entraineroit celle de la liberté des citoyens. Voila pourquoi, en Angleterre ce pouvoir suprême est divisé en deux branches, l'une legislative: savoir la parlement composé du Roi, des Pairs et des communes; l'autre exécutrice, qui appartient au Roi seul.

[3] T. I. str. 230.

[4] T. I. str. 231: Chaque membre, quoique choisi par un district particulier des qu'il est elu, devient l'homme de la Nation entière. Car le but de son entrée dans le Parlement n'est pas particulier, mais général; il n'est pas uniquement pour les intérets de ses Constituans, mais pour ceux de la République même; il doit aider le Roi de ses conseils: »de communi consilio super negotiis puibusdam arduis et urgen-

parlamentarnych znajduje u Blacstone'a wyczerpujące przedstawienie: nietykalność króla i odpowiedzialność prawna ministrów [1]. Natomiast nigdzie w jego dziele nie można spotkać czegoś, coby wskazywało, że Blacstone zdaje sobie sprawę z istoty rządów parlamentarnych, aby starał się sformułować te wszystkie reguły konwencjonalne, które jemu współcześnie wytwarzały się i miały doprowadzić do powstania takiego systemu rządów. Czytając Blackstone'a, musi odnieść się wrażenie, że król wykonuje swoją prerogatywę osobiście, że ministrowie winni być posłusznymi wykonawcami jego woli, że w doborze swoich doradców nie potrzebuje się krępować wolą parlamentu. Wszystko to, co się obejmuje określeniem odpowiedzialności politycznej ministrów, zdaje się nie egzystować dla autora komentarzy. Rzecz to naturalna, wobec tego, że przez cały wiek XVIII. nie była ona jeszcze zasadniczą częścią składową ustroju angielskiego, powstawała ewolucyjnie, drogą szeregu precedensów, które miały wytworzyć obowiązującą część prawa konstytucyjnego angielskiego dopiero w wieku XIX. Również nie wspomina nic Blakstone o gabinecie [2]. Ostatecznie więc z jego lektury można było poznać tylko te części składowe systemu rządów parlamentarnych, które przedstawił i Monteskiusz, t. j. zasadę reprezentacji i odpowiedzialność prawną ministrów, a tylko, że zagadnienia te znalazły przedstawienie o wiele bardziej wyczerpujące, i o wiele dokładniej malowały istniejący stan rzeczy w Anglji, niż to miało miejsce u autora »Ducha praw«.

To samo da się powiedzieć i o dziele de Lolme'a. Bez porównania mniej wybitny prawnik i pisarz od Blacstone'a, miał nad nim tę wyższość, że pisał dla Francuzów, bardziej był więc do mentalności francuskiej dostosowany, i większą się też cieszył poczytnością. I on także z elementów zasadniczych dla rządów parlamentarnych przedstawia tylko zasadę reprezentacji, oraz od-

---

tibus Regem, statum et defensionem Regni Angliae, et ecclesiae Anglicanae concernentibus«. C'est le style dans les ordres qu'on enroie pour les elections: ainsi il n'est pas oblige, comme un depute des Provinces-Unies, de consulter les Constituans sir aucun point particulier, s'il ne juge pas à propos de le faire.

[1] T. I. Rozdział VII: De l'autorite Royale.

[2] W rozdziale V. t. I-go traktującym o »conseils du roi« omawia Blacstome jedynie: 1) Parlament, jako radę królewską; 2) Magnum concilium regni utworzoną z parów Królestwa; 3) Priry council.

[3] Constitution d'Angleterre par M. de Lolme, Genève 1788.

powiedzialność prawną ministrów. Jednak wskazał de Lolme dobitnie na środek, którym parlament może stale wywierać presję na władzę wykonawczą, dzięki której może rozciągnąć kontrolę nad działalnością króla i jego doradców, i zawsze zmusić ich do uległości. Wskazał mianowicie na konsekwencje polityczne dorocznego uchwalenia budżetu przez parlament [1]. Nie było to oczywiście jeszcze sformułowaniem zagadnienia rządów parlamentarnych, ale bądź co bądź wskazaniem jednego ze sposobów, bodaj czy nie najważniejszego, który współcześnie w Angji do wytworzenia się takich rządów doprowadzał [2].

Pisząc o ustosunkowaniu się opinji francuskiej do zagadnienia rządów parlamentarnych w przeddzień rewolucji francuskiej, nie sposób nie podnieść roli, jaką odegrała konstytucja amerykańska [3]. Była ona uchwaloną zbyt późno, aby znaleść wyczerpujące odzwierciedlenie w przedrewolucyjnej literaturze prawniczej

---

[1] T. I. Rozdział V: »En lisant l'enumeration des pouvoirs que les loix d'Angleterre confient au Roi, on ne sait comment les concilier avec l'idée d'une Monarchie, qu'on nous dit être limitée. Non seulement le Roi réunit toutes les branches du pouvoir executif, non seulement il dispose de toute la puissance militaire: il est encore, ce semble, le maitre de la loi elle même, puisqu'il appelle et sait disparoître à son gré le pouvoir legislative. On lui trouve donc au premier coup d'oeil tous les pouvoirs qu'ont jamais revendiqués les monarches les plus absolus; l'on cherche cette liberté, dont les Anglais se glorifient. — Mais les Representants du Peuple ont encore, et c'est dire assez, ils ont encore, actuellement que la constitution est établie, la même arme qui a été assez puissante pour l'établir. C'est toujours de leur libéralité seule, que le Roi peut obtenir des subsides, et aujourd'hui que, par une suite des progrès du commerce et de l'esprit de calcul, tout s'evalue en argent; aujourd'hui, que ce metal est le grand ressort des affaires, on ne peut dire que celui qui depend par un article si important, est, quel que soit d'ailleurs son pouvoir nominal, dans une entière dependance. — Et c'est le cas ou se trouve le Roi d'Angleterre. Il n'a, par lui même, presque pas de revenu...« De Lolme wykazuje nastepnie na szeregu przykładach, że bez finansowych subsydyj uchwalonych przez parlament, król jest bezbronny na wszystkich polach.

[2] I de Lolme i Blacstone, przedstawiając skład Izby gmin nie uwydatniają wad współczesnego systemu wyborczego angielskiego, nie widzą wszystkich nadużyć na tem tle powstałych. (De Lolme Rozdziały VIII. i XI., Blacstone T. I. Rozdział II.). Tym się zapewne tłumaczy, że mimo podniesienia tych nadużyć przez szereg pisarzy z Sieysiem na czele, były one stosunkowo niezbyt znane wśród członków Konstytuanty i dość rzadko podnoszone jako argument przez przeciwników zasady reprezentacji.

[3] Bryce James, The american Commowealth, London 1888.

i politycznej, ale znajomość jej we Francji była conajmniej taka, jak konstytucji angielskiej, choćby dzięki udziałowi Francji w walkach o wolność amerykańską. Francuzi ujrzeli w Ameryce ustrój, który z jednej strony wprowadzał w życie wszystkie instytucje wolnościowe propagowane przez pisarzy XVIII. wieku, z drugiej strony przeprowadzał konsekwentnie zasadę podziału władz. Zasada ta pojęta została tam o tyle zgodnie z Monteskiuszem i z Mablym, że dla zadośćuczynienia jej skonstruowano wzajemny stosunek trzech władz tak, aby żadna cząstka jednej władzy nie spoczywała w tych samych rękach, co władza druga. Lekcja 6, Artykułu I-go konstytucji postanawia, że żaden członek kongresu nie będzie mógł przez czas wykonywania swego mandatu być urzędnikiem. Artykuł II. zaś powierza pełnię władzy wykonawczej prezydentowi, uniezależniając go od kongresu w wykonywaniu tej władzy w zupełności. W ten sposób przeprowadzenie zasady podziału władz dało w konsekwencji zupełne uniemożliwienie rządów parlamentarnych i utwierdzić musiało opinję francuską w przekonaniu, że system rządów angielskich jest sprzeczny z tą zasadą. Pozatem jednak wpływ konstytucji amerykańskiej w pierwszej fazie rewolucji francuskiej nie mógł uwydatnić się w całej pełni, był bowiem w sprzeczności w szeregu zasadniczych kwestyj tak z postulatami tych autorów, którzy dla pokolenia rewolucyjnego największy mieli autorytet, jak z istniejącym we Francji stanem faktycznym. Tak więc ustrój Stanów Zjednoczonych stawiał władzę wykonawczą i prawodawczą na stopie zupełnej równorzędności, co było sprzeczne z doktryną Mably'ego i niemożliwe do przeprowadzenia w tej sytuacji politycznej, jaka się wytworzyła za czasów Konstytuanty. Z drugiej strony z zasadami Monteskiusza, jak i utrwalonym porządkiem rzeczy we Francji była sprzeczna republikańska forma rządów, która skopjowanie konstytucji amerykańskiej czyniła niemożliwością, nietylko co do osoby dzierżyciela władzy wykonawczej, ale i co do sposobu jej sprawowania. W Stanach Zjednoczonych prezydent mógł ponosić odpowiedzialność prawną, być postawionym w stan oskarżenia przez całą izbę reprezentantów i sądzonym przez senat i na skutek tego mógł rządy wykonywać w całej pełni osobiście. Wprowadzenie odpowiedzialnaści prawnej króla było niemożliwością, powstała więc konieczność ustanowienia odpowiedzialności za niego jego doradzców, przyznania ministrom specjalnego konstytucyjnego sta-

nowiska na wzór angielski. Taki stan rzeczy był zupełnie nieznany w Ameryce, gdzie pełniący funkcje ministerjalne sekretarze stanu są zwykłymi urzędnikami i wogóle nie są w konstytucji wzmiankowani.

Reasumując stan opinji francuskiej w przeddzień rewolucji francuskiej w stosunku do zagadnienia rządów parlamentarnych, trzeba dojść do następujących wniosków:

1) Uznanie dla ustroju angielskiego, które było znaczne po ukazaniu się dzieła Monteskiusza, miało ustąpić miejsca stosunkowi krytycznemu do wszystkiego co angielskie. Nieliczna tylko garstka pośród tych, którzy byli miarodajnymi dla opinji publicznej w chwili wybuchu rewolucji, pragnęła ten ustrój do Francji w tej czy innej formie przeszczepić. Ogromna większość, stojąc pod wpływem ideologji Mably'ego lub Russa, ustrój ten potępiała.

2) Jednak jedna zasada angielska uzyskała sobie prawo obywatelstwa wśród opinji francuskiej: to zasada odpowiedzialności prawnej ministrów.

3) Również, mimo autorytetu, jaki zdobył sobie Russeau, przeważało przekonanie, że władzę prawodawczą należy oprzeć na zasadzie reprezentacji na wzór angielski.

4) Ci, którzy pozostali wiernymi uczniami Monteskiusza i pragnęli konstytucję brytyjską w Anglji skopjować, nie postąpili w zrozumieniu jej naprzód i z małymi wyjątkami organizujących się za kanałem La Manche rządów parlamentarnych i gabinetowych nie dopatrzyli się.

5) Powszechnie uznawaną zasadą była zasada podziału władz, pojmowana za Monteskiuszem i Mablym i na wzór konstytucji amerykańskiej w sposób uniemożliwiający wprowadzenie normalnie funkcjonujących rządów parlamentarnych.

II.

Ustrój Francji przedrewolucyjny a rządy parlamentarne.

Jednym z ciekawszych problemów doby rewolucyjnej jest rozstrzygnięcie, w czem rewolucja była twórczą, a w czem była tylko uzupełnieniem lub przekształceniem instytucji ancien regime'u. Zapatrywanie, dominujące u historyków XIX wieku, że rewolucja zrobiła zupełną tabula rasa ze wszystkiego, co odziedziczyła z daw-

nej Francji, i wszystko od nowa zbudowała, i że dopiero Napoleon organizując definitywnie administrację, z powrotem nawrócił do niektórych wzorów przekazanych mu tradycją francuskiej monarchji, — zapatrywanie to coraz bardziej zaczyna być kwestjonowane. Słyszeć się nawet dają zdania, że rewolucja nie wytworzyła nieomal nic takiego, do czegoby z czasem monarchja sama nie doszła drogą ewolucyjną. O ile chodzi jednak o system rządów parlamentarnych, to oczywiście wydawałoby się, że siłą rzeczy w monarchji absolutnej trudno. aby się mogły znaleźć elementy, z którychby system ten mógł się wytworzyć. Mimo to jedna lub druga instytucja ancien regime'u odpowiednio użyta i przekształcona, mogła do pewnego stopnia wpłynąć na wytworzenie się rządów parlamentarnych.

Wydawałoby się, że o ile chodzi o zasadę reprezentacji przez posłów całego narodu, to trudno by było w instytucjach Francji monarchicznej dopatrzeć czegoś, coby tej zasadzie mogło torować drogę. Rzeczywiście te reprezentacje narodowe, które Francja przed rewolucją posiadała, na całkiem innych były oparte zasadach. Stany generalne, to sejm stanowy, gdzie każdy poseł jest reprezentantem swojego stanu, skrępowanym instrukcją swoich wyborców, gdzie każdy stan głosował osobno. Jeszcze bardziej uwidaczniał się charakter stanowy Stanów prowincjonalnych, których członkowie wogóle nawet nie byli wybierani, a zasiadali jakby sui generi wiryliści. Ale zasadzie reprezentacji do pewnego stopnia torował drogę skład zebrań prowincjonalnych, ustanowionych w przeddzień rewolucji francuskiej, po próbach Turgota i Neckera, przez Lomeniego de Brienne, edyktem z r. 1788. Zebrania te składało się wprawdzie z reprezentantów trzech stanów, ale stan trzeci miał liczyć podwójną liczbę członków, obrady i głosowanie odbywać się miały razem, i obrachowywanie głosów odbywać się miało, jakby zebranie stanowiło zwarte ciało obradujące, bez uwzględnienia, czy za danym wnioskiem jest większość w obrębie każdego poszczególnego stanu (vote par téte). Tą drogą musiało nastąpić zatarcie się różnic stanowych i wytworzyć się poczucie u członków zebrań prowincjonalnych, że są reprezentantami nie duchowieństwa, szlachty lub stanu trzeciego danej prowincji, lecz ogółu jej mieszkańców. — Kiedy Ludwik XVI zdecydował się zwołać Stany Generalne edyktem z 27 grudnia 1788 r., przyznał stanowi trzeciemu podwójną liczbę reprezentantów, ale kwestja

sposobu obrad nie była rozstrzygnięta. Jednak precedens stworzony przez zebrania prowincjonalne był w świeżej pamięci i musiał zaważyć na szali przy przetworzeniu się Stanów generalnych w Zgromadzenie narodowe, co było decydującym tryumfem zasady reprezentacji.

Może dla żadnego z elementów, koniecznych dla wytworzenia się rządów parlamentarnych, nie był w instytucjach i pojęciach ancien regime'u teren tak przygotowany, jak dla odpowiedzialności prawnej ministrów. Przedewszystkiem w tej monarchji z łaski Bożej, dogmatem nienaruszalnym była świętość osoby królewskiej, jej nietykalność, co za tem idzie nieodpowiedzialność króla. Poczucie to było tak silne, że przeżyć miało wybuch rewolucji, że mimo twierdzeń przeciwnych autorów, jak Mably, panowało u wszystkich niemal członków Konstytuanty. I trzeba było trzech lat rewolucyjnych i nieprawdopodobnych wprost błędów Ludwika XVI i jego rodziny, aby lud paryski zdecydował się sięgnąć po osobę królewską. Otóż poczucia tego nieodpowiedzialności króla logicznym odpowiednikiem, koniecznością wprost psychologiczną było poczucie odpowiedzialności doradców królewskich. Takie przekonanie było wkorzenione w szerokie masy ludu francuskiego. Jasna rzecz, że w monarchji francuskiej, jeśli można mówić o prawnej odpowiedzialności ministrów, to jedynie przed królem. W wypadkach takich najczęściej używaną była jedna z form t. zw. sądownictwa zatrzymanego (justice retenue). Ale też, jeśli mówimy o precedensach odpowiedzialności prawnej ministrów w ancien regime, które mogły wpłynąć na ustrój, wyłoniony przez rewolucję, to nie mamy na myśli form prawnych, jakie ta odpowiedzialność przybierała w monarchji francuskiej, form z natury rzeczy zupełnie odrębnych w państwie absolutnem, lecz jedynie chcieliśmy zwrócić uwagę na powszechnie istniejące poczucie prawne, które z logiczną konsekwencją musiało dać w ustroju konstytucyjnym odpowiedzialność prawną ministrów przed ciałem prawodawczem.

Inny natomiast zwyczaj mógł wpłynąć także i na formy, w jakich ta odpowiedzialność miała się ukształtować w okresie rewolucyjnym. Mianowicie każdy akt z podpisem króla, dla ważności swej musiał być opatrzonym w kontrasygnatę któregoś z sekretarzy stanu, pełniących od XVI wieku funkcje ministrów. Kontrasygnata ta miała znaczenie zweryfikowania podpisu królewskiego. Sekretarze stanu mieli prawa notarjuszy i z natury rze-

czy, byli powołani do wykonywania tych praw przy sprawdzeniu autentyczności podpisu królewskiego. Kontrasygnata ta więc nie miała nic wspólnego z przejęciem odpowiedzialności przez ministra za dany akt, jak to już miało miejsce w Anglji. Ale znaną już była forma, która mogła być użytą przy wprowadzeniu odpowiedzialności prawnej ministrów. Konstytuanta, domagając się kontrasygnaty ministra przy każdym podpisie króla, jako znaku przejęcia odpowiedzialności, nie szła więc wyłącznie za wzorami angielskiemi, ale jedynie dawnemu, już istniejącemu, zwyczajowi francuskiemu chciała nadać znaczenie takie, jakie miał w Anglji.

Dopatrzeć się nareszcie można w instytucjach ancien regime'u pewnych zaczątków systemu rządów gabinetowych. Mózgiem państwa francuskiego była t. zw. rada państwa (Conseil d'état albo Conseil d'en haut) składająca się z niewielkiej liczby osób (trzech do siedmiu), noszących tytuł ministrów państwa, a z reguły faktycznie będących tymi urzędnikami, którzy funkcje ministrów spełniali. Od woli królewskiej jedynie zależało, kto będzie do tej rady powołany, nikt nie zasiadał tam z tytułu piastowanego takiego, lub innego urzędu. Tam, w najściślejszej tajemnicy, rozstrzygano najważniejsze sprawy państwowe. W drugiej połowie panowania Ludwika XV stosunki te zaczęły się regularyzować. Rada państwa coraz bardziej zaczyna się pokrywać z grupą dygnitarzy, pełniących funkcje ministrów (kanclerz, kontroler generalny finansów, czterech sekretarzy stanu). Powstaje coś, cobyśmy mogli nazwać radą ministrów. Tego rodzaju ewolucja musiała doprowadzić do wytworzenia poczucia odpowiedzialności już nie indywidualnej każdego ministra za prowadzony przez niego resort, ale solidarnej za całość spraw państwowych. Opinja publiczna przynajmniej przy zwyczaiła się uważać wspomnianą grupę sześciu dygnitarzy za zwartą, solidarnie odpowiedzialną całość. Byłaby więc to niewątpliwie instytucja ancien regime'u, która mogła być użytą, jako część składowa systemu rządów parlamentarnych.

Tak więc to napozór paradoksalne twierdzenie, że w absolutnej monarchji francuskiej były instytucje czy też zwyczaje, które mogły się przyczynić do powstania niektórych przynajmniej szczegółów ustroju parlamentarnego, nie jest tak nieprawdopodobnem, jakby się wydawało.

III.

Przegląd partyj Konstytuanty i ich ideologij.

W Konstytuancie[1] odzwierciadlały się wszystkie prądy nurtujące społeczeństwo francuskie w chwili wybuchu rewolucji. O tyle tylko można mówić o partjach w tem Zgromadzeniu, o ile przez partję rozumie się luźną grupę ludzi, o mniej lub więcej wspólnej ideologji, będącą pod wpływem paru wybitniejszych jednostek, mogących uchodzić za przywódców danej grupy. Natomiast partyj, zorganizowanych na wzór tego, co już współcześnie miało miejsce w parlamencie angielskim, lub co widzimy w parlamentach dzisiejszych, właściwie nie było. Może nie od rzeczy będzie dać pobieżny przegląd ugrupowań Konstytuanty i ich ideologij.

Prawicę Zgromadzenia Narodowego stanowili ci posłowie, którzy pozostali wierni monarchji absolutnej. W gruncie rzeczy byli oni przeciwnikami jakiejkolwiek reformy zasadniczej w ustroju Francji, a jedynie ze względów taktycznych na niektóre z nich się zgadzali. Dzięki temu swemu negatywnemu stanowisku, nieliczna ta i bez dużego znaczenia, jakkolwiek ruchliwa i obfitująca w krasomówcze talenta opozycja, nie wniosła nic pozytywnego do prac Konstytuanty. W jej łonie odróżnić można było dwa odcienie, z których pierwszy nazywa Aulard skrajną prawicą. Odcienie te nie różniły się między sobą programem, różne tylko były ich zapatrywania na metody, jakich należy użyć w walce z rewolucją. W skrajnej prawicy wybijali się na plan pierwszy d'Espremenil i brat wielkiego mówcy wicehrabia de Mirabeau, w drugim prawicowym ugrupowaniu księża Maury i de Montesquieu, Cazales i Mondosier.

Większe znaczenie posiadała grupa, którą dziś nazwalibyśmy prawem centrum, a którą obejmowano nazwą monarchistów (monarchien). Monarchiści pragnęli we Francji skopjować ustrój angielski. Byli to wierni uczniowie Monteskiusza, alfą i omegą mądrości państwowej pozostał dla nich rozdział VI. księgi XI Ducha praw. Znają oni i rozumieją konstytucję brytyjską rzeczywiście, o tyle dobrze, o ile w tych czasach w ogóle rozumianą być mogła.

---

[1] Aulard: L'éloquence parlamentaire pendant la Revolution francaise T. I.: Les orateurs de l'assemblée constituante Paris 1882.

W każdym razie widać, że przestudjowali wszystko, co w tej materji mogło im być dostępne. Taki np. Mounier czas trawił na studjowaniu Blackstone'a i de Lolme'a i na czytaniu dzienników angielskich [1]. Zresztą Monitor przedrukowywał również sprawozdania z posiedzeń Izby gmin. Drugi przewódca monarchistów Lally-Tollendal dał dowód swojej znajomości ustroju angielskiego w wyczerpującej jego lekcji, jaką była jego mowa w Konstytuancie 19 sierpnia 1789 [2].

Od mistrza swojego Monteskiusza różnili się monarchiści do pewnego stopnia. Wprawdzie tak samo, jak on, widzieli oni teoretycznie w podziale władz najistotniejszą cechę ustroju angielskiego, ale nie na tę cechę kładli główny nacisk, jako na rzecz najpotrzebniejszą w konstytucji francuskiej. W pierwszym rzędzie chodziło im o inne instytucje angielskie, a mianowicie o Izbę wyższą i sankcję monarszą. Tłumaczy się to tem, że w gruncie rzeczy byli to zwolennicy silnej władzy monarszej. W odróżnieniu od prawicy widzieli oni jednak konieczność daleko idących reform, widząc w nich jedyny ratunek walącego się tronu Burbonów. W tych warunkach ustrój angielski, wydawał im się najodpowiedniejszy dla pogodzenia silnego stanowiska króla z instytucjami wolnościowemi. Jak większość współczesnych, tak i oni nie zdawali sobie sprawy jasno z istoty rządów parlamentarnych i gabinetowych; gdyby ją znali, prawdopodobnie byliby się odwrócili od tego rodzaju ustroju, jako sprzecznego z prerogatywą królewską. Byli to więc anglomani, ale tkwiący w ideologji torysów angielskich, a zwalczający coraz bardziej już wówczas w Anglji zwycięską ideologję wigów. Stąd są w dziejach Konstytuanty takie anomalje, że w wypowiadanych poglądach bardziej się nieraz do istniejącego stanu rzeczy w Anglji zbliżali ci, którzy do ustroju brytyjskiego odnoszą się krytycznie lub chłodno, niż monarchiści, którzy ten ustrój pod niebiosa wynosili i chcieli go do Francji wprowadzić. Tak się rzecz ma, ile razy chodzi o stosunek rządu do ciała prawodawczego. Wówczas monarchiści z reguły stali na stanowisku, że powoływanie, jak i dymisja ministrów, należy wyłącz-

---

[1] La Constituante R. Delagrange, Le premier comité de constitution de la Constituante. These pour le doctorat en droit, Paris 1899, str. 18.

[2] Gaston Dodu: Le parlamentarisme et les parlamentaires sous la Revolution, Paris 1911.

nie do monarchy, wbrew temu co się coraz bardziej stawało zwyczajem w Anglji, mniej lub więcej zaś obojętna wobec ustroju angielskiego lewica, w tych wypadkach zgodnie ze zwyczajem brytyjskim, głosiła konieczność dla rządu zaufania większości ciała prawodawczego. Obok wspomnianych już Mounier'a i Lally-Tollendal'a, przewódcą monarchistów była głowa w partji najmędrsza Malouet oraz Clermont-Tonnere, Bergasse i Virieu.

Następną partję nazwać można centrum lewem. Była to grupa przez długi czas kierująca Konstytuantą. W ich poglądach znaleść można to wszystko, co ostatecznie zatryumfować miało w pozytywnem ustawodawstwie zgromadzenia narodowego. I oni znali Monteskiusza, i im nie był obcy ustrój angielski. Były rzeczy, które w tym ustroju za bezwzględnie dobre uznawali, które wogóle trzeba uznać za kwestje bezsporne u wszystkich nie skrajnych partyj Konstytuanty. Taką kwestją była odpowiedzialność prawna ministrów. Co do zasady reprezentacji, to również naogół przeważał u nich angielski pogląd. Ale pozatem, mimo że niejednokrotnie bili oni pokłony w stronę angielskich instytucyj, w gruncie rzeczy ich plany ustrojowe daleko odbiegały od planów zwolenników skopjowania we Francji konstytucji brytyjskiej. Tak, jak o monarchistach, można powiedzieć, że doktrynę ich urobił Monteskiusz, o »patryjotach« z centrum lewego trzeba stwierdzić, że autorem, który najbardziej wpłynął na ukształtowanie się ich poglądów, był Mably. Jasna rzecz — tej »wpływologji« nie należy brać zbyt dosłownie. Mimo, że doktryneryzm ciążył na umysłowości ogromnej większości członków Konstytuanty, to jednak, mniejsze lub większe odchylenie się od doktryny, czy to z pobudek wypływających z polityki bieżącej, czy to spowodowane liczeniem się z realnościami życia, było zawsze możliwe i często miało miejsce. Ale z tem zastrzeżeniem trzeba uznać, że ton poglądom centrum lewego nadaje Mably. Przedewszystkiem tak, jak u tego filozofa przebija się u nich trwoga przed ingerencją władzy wykonawczej w atrybucje władzy prawodawczej, przekonanie, że egzekutywa z natury rzeczy jest wrogiem legislatywy. Przekonanie to jest u nich tak silne, że da się nam dziś zrozumieć tylko wówczas, jeśli je wytłumaczymy, nieufnością do rodziny Burbonów, i niewiarą, aby królowie tego rodu kiedykolwiek lojalnie pogodzili się z instytucjami, jakie miały się wyłonić z rewolucji. Te uczucia polityki bieżącej miały i u Mably'ego i u jego w Konsty-

tuancie uczniów zdecydować o ukształtowaniu się ich teoretycznych poglądów, czasami świadomie, a czasami wprost bezwiednie. Z tych też pobudek, centrum lewe, w pewnych momentach — jak już wspominaliśmy — gotowe było wprowadzić zasadniczy dla rządów parlamentarnych przepis prawny: zależność rządu od większości ciała prawodawczego. Ale na przeszkodzie temu stał ich doktryneryzm na innym punkcie ich programu, mianowicie — znowu za Mablym — uporczywe trzymanie się zasady podziału władz, szematycznie pojętej. Z tych przesłanek miały wyniknąć ich zapatrywania w większości spraw, jakie się wyłoniły w zgromadzeniu prawodawczem w ciągu debaty konstytucyjnej: tak np. sprawa dwuizbowości, lub sprawa veta królewskiego. I ostatecznie ukazywał się ich program uderzająco podobnym do programu Mably'ego: jednoizbowe ciało prawodawcze, o możliwie jaknajwiększych kompetencjach, i król, ograniczony do nominalnego tylko przewodzenia narodowi. — Do przywódców centrum lewego należał głośny Siéyès, dalej Camus, przywódca duchowieństwa konstytucyjnego Gregoire, Rabaut Saint-Etienne, najwybitniejsi w Konstytuancie prawnicy Target, Tronchet, Chapelier, i Thouret nareszcie późniejszy terorysta Barere, i mający tak wielką w pierwszym okresie rewolucji odegrać rolę La Fayette.

Lewicy przewodniczył t. zw. tryumwirat, Barere, Duport i Lameth. Była to najbardziej zwarta grupa Konstytuanty, licząca jednak stosunkowo niewielką liczbę (około siedemdziesięciu) posłów. Ich poglądy nie różniły się od programu centrum lewego. Różnica była tylko w metodach, radykalniejszych u tryumwiratu.

Skrajna lewica nareszcie to Robespierre, Buzot, Petion i ich przyjaciele. Tutaj, w pierwszym okresie przynajmniej Konstytuanty spotykamy się z dziwnemi paradoksami. Posłowie ci opowiadają się za monarchą, w wystąpieniach ich trudno się dopatrzyć śladu wyraźnego opowiedzenia się za republiką. Ale równocześnie ideologja ich stoi pod wpływem Russa. Nietylko suwerenność ludu, zasada uznawana przez całą lewicę, aż do centrum lewego włącznie, ale też tej zasady najdalej idące wcielenia, możliwie jak najbezpośredniejszy udział ludu w rządach w myśl przykazań Russa. znajdowały się w ich programie. Pogodzenie tych zasad nietylko z realnemi wymogami życia wielkiego państwa, lecz także z monarchiczną formą rządów, stanowiło kwadraturę koła, która musiała wprowadzić dziwny chaos we wszystkie ich progra-

mowe wystąpienia. Jedna rzecz była jednak w ich programie pozytywna, a mianowicie: ich demokracja. W Konstytuancie, powstałej ze zgromadzenia stanowego, gdzie ton nadawało zamożne mieszczaństwo, lub przejęci nowemi ideami młodzi szlachcice, byli to jedyni w gruncie rzeczy szczerzy demokraci. Uwidoczniło się to np. w sprawie podziału obywateli na biernych i czynnych.

Ucieczka króla do Varennes miała zmienić zabarwienie partyj lewicowych Konstytuanty. Centrum lewe i tryumwirat, z obawy przed rosnącym republikanizmem, zaczęło nawracać się, choć zapóźno, na zwolenników względnie silniejszej władzy króla. Wręcz przeciwnie skrajna lewica przestała opowiadać się za monarchiczną formą rządów i zwolna coraz bardziej zbliżała się do sformowanej tymczasem poza Konstytuantą partji republikańskiej.

Poza wszelkiemi partjami stał Mirabeau »osamotniony« jak mówi Aulard, »tak przez swój geniusz, jak swą złą wolę«. Najciekawsza ta i najwybitniejsza bezsprzecznie postać Konstytuanty, trudna jest do ocenienia, o ile chodzi o wyraźną doktrynę prawno publiczną. Barthou [1] uważa, że wszystko, co się da w tej materji powiedzieć, to to, że był szczerym rojalistą, równocześnie uznającym suwerenność ludu. Mirabeau sam streszcza swoje poglądy w mało mówiącym aforyźmie: »Władza prawodawcza przyznana narodowi, prezydowanemu przez swego króla«. Mirabeau znał gruntownie wszystkich autorów, którzy wpływali na poglądy członków Konstytuanty i w gruncie rzeczy nie miał się przejąć duchem żadnego. Ale bo też Mirabeau był jednym z nielicznych posłów Zgromadzenia narodowego, który doktrynerem nie był, a przeciwnie miał możliwie najbardziej rozwinięty zmysł realności· Chciał monarchji silnej, a jednak pogodzonej z zasadniczemi zdobyczami rewolucyjnemi, a przedewszystkiem chciał być w tej monarchji pierwszym ministrem. Tu jest klucz do poglądów prawno-publicznych Mirabeau.

IV.

Zasada reprezentacji [2].

Podstawowy składnik rządów parlamentarnych, zasada reprezentacji, mimo sprzecznych z nią teoryj Russa, częściowo Mably'ego,

---

[1] L. Barthou: Mirabeau, Paris 1913, Rozdział XI.
[2] K. Löwenstein: Volk und Parlament, München 1922.

miała mocny grunt przygotowany za sobą w chwili wybuchu rewolucji francuskiej. Przedstawiliśmy, jak właśnie tę zasadę najtrafniej oceniono w badaniach ustroju angielskiego, jak stworzono dla niej do pewnego stopnia precedens w organizacji zebrań prowincjonalnych. To też w większości instrukcyj, udzielonych posłom przez zebrania elektoralne, i to nietylko stanu trzeciego, ale nieraz i szlachty i duchowieństwa, domagano się wprowadzenia w życie tej zasady, jeśli czasem nie zupełnie wyraźnie, to przynajmniej pośrednio, przez żądanie, aby Stany Generalne zamieniły się w Konstytuantę[1]. Słusznie zauważa Champion, że większość wyborców zgóry sankcjonowała przysięgę w sali gry w piłkę. Wytworzyła się przez to dość oryginalna sytuacja, z której sobie zresztą wyborcy sprawy nie zdawali, że posłowie otrzymali mandat nakazujący, aby tenże właśnie mandat znieść.

Sprawa zasady reprezentacji w toku obrad Konstytuanty bywała rozstrzyganą z szeregu powodów i pod różną postacią. Tak więc podnieść należy następujące momenty, które sprawę tę przesądziły: 1) Utworzenie Zgromadzenia narodowego i zniesienie stanów. 2) Zwolnienie członków Konstytuanty od obowiązku przestrzegania udzielonych im instrukcyj. 3) Upadek odrębności prowincjonalnych i wytworzenie się Francji »jednej i nierozdzielnej«. 4) Upadek zasady bezpośredniego udziału ludu w prawodawstwie w myśl zasad Russa.

Pierwsze sześć tygodni posiedzeń Stanów Generalnych, to właściwie wyłącznie walka o zasadę reprezentacji[2]. Wiadomo, że rozstrzygała się wówczas kwestja sposobu obrad, czy każdy stan ma obradować osobno, czy też wszystkie razem. Walka o to zakończyła się utworzeniem się Zgromadzenia narodowego, przysięgą w sali gry w piłkę i kapitulacją szlachty i duchowieństwa. Był to ogromny krok naprzód na drodze do przyjęcia zasady reprezentacji. Zniesienie przywilejów stanowych w nocy 4. sierpnia usankcjonowało definitywnie ten stan rzeczy. Wydarzenia te niejako automatycznie z logiczną konsekwencją, wypływającą z obalenia stanów i przyznania sobie przez Stany generalne prawa

---

[1] Edme Champion: La France d'apres les cahiers de 1789, Paris 1837, Chapitre III. Egon Zweig, Die Lehre vom Pouvoir constituant, Tübingen 1909, Kapitel VI.

[2] E. Lavisse: Histoire de France contemporaine t. I. P. Saignac: La revolution.

uchwalenia konstytucji, wprowadziły właściwie już tę zasadę w życie, uczyniły z posłów stanowych reprezentantów całego narodu. Powstała przez to dysproporcja między średniowiecznym składem Konstytuanty, jej stanową genezą, a jej nowym charakterem. Jasno daje się to wyczuć z argumentacji Sieyesa (10 czerwca) gdy stawiał wniosek o przekształcenie się w Zgromadzenie narodowe. Dowodził on, w myśl zasad swojej słynnej broszury, że posłowie stanu trzeciego są reprezentantami 95% całego narodu. i że wobec tego mogą się uważać za reprezentację ogólno-narodową, z pominięciem posłów, szlachty i duchowieństwa. Wyłaniała się tu możliwość ukonstytuowania się zgromadzenia narodowego do pewnego stopnia na wzór angielski w dwie izby: na izbę obejmującą stany uprzywilejowane, i na izbę stanu trzeciego. W tym kierunku zdawał się iść wniosek Matlueta (8 czerwca) o przyjęcie nazwy »zgromadzenia prawowitego reprezentantów gmin«. Że w ten sposób nie rozstrzygnięto, tego powody są jasne: przy obradowaniu wspólnem trzech stanów, stan trzeci miał zagwarantowaną większość wobec faktu, że prawie całe duchowieństwo niższe i niektórzy członkowie szlachty podzielali jego poglądy, przy utworzeniu się zaś dwóch izb, w izbie stanów uprzywilejowanych groziła większość przeciwna rewolucji, i izba ta mogłaby odrzucać wszelkie wnioski reformatorskie, przesyłane jej przez stan trzeci. Nie mógł się więc stan ten na system dwuizbowy zgodzić. Zresztą wobec obalenia przywilejów stanowych istnienie osobnej izby stanów uprzywilejowanych wydawałoby się bardziej jaskrawą sprzecznością, niż ich zasiadanie w zgromadzeniu narodowem. Druga ewentualność dostosowania składu Konstytuanty do jej reprezentatywnego ogólnonarodowego charakteru, jaką zdaje się miał na myśli Sieyes stawiając swój wniosek, t. j. żeby szlachtę i duchowieństwo całkiem ze gromadzenia narodowego wykluczyć, nie mogła być wzięta również serjo pod rozwagę. Z punktu widzenia prawnego byłoby to pogwałceniem zasady reprezentacji, gdyby część narodu choćby tak liczebnie znikoma całkiem reprezentowaną nie była, z punktu widzenia politycznego było to nie do przeprowadzenia wobec tego, że oba te stany ostatecznie do zgromadzenia narodowego przystąpiły. W ten sposób utrzymał się ten dziwoląg, jakim była Konstytuanta, głosząca, że jest reprezentantem całego narodu, a składająca się z reprezentacji poszczególnych stanów.

Ukonstytuowanie się Zgromadzenia narodowego przesądziło kwestję instrukcyj wiążących dla tych posłów, którym »cahiers« nakazywały to ukonstytuowanie, jak to miało miejsce w większości wypadków. Mogli oni ten nakaz interpretować w ten sposób, że właśnie na podstawie swoich instrukcyj, są upoważnieni do uważania się za nieskrępowanych niemi reprezentantów całego narodu. Inaczej się rzecz przedstawiała z posłami, którym »cahiers«, polecały bronienie przywileji i odrębności stanowych, zwłaszcza że posłowie musieli przysiądz przed wyborcami, że postępować będą w myśl udzielonych instrukcyj i że król stanął na takiem właśnie stanowisku, zalecając w deklaracji z 27. czerwca ponowne odwołanie się do wyborców tym posłom, którzy uważają, że postąpiliby wbrew woli swoich mandatarjuszy, gdyby przystąpili do zgromadzenia narodowego [1]. Decyzję w tej mierze powzięła Konstytuanta 8. lipca, uchwalając przejście do porządku dziennego nad nieobecnością posłów, którzy nie uczestniczyli w posiedzeniach z powodu zwrócenia się do wyborców po nowe instrukcje [2]. W ten sposób ostatecznie choć pośrednio Konstytuanta uznała swych członków za zwolnionych ze zleceń zawartych w »cahiers«. Mimo to, poczucie skrępowania temi zleceniami nie miało być wyparte zupełnie ze świadomości wielu posłów czy to prawicowych, gdy widzieli, że uchwały Konstytuanty zbyt daleko odbiegają od ich instrukcyj, czy to skrajnej lewicy, gdyż oglądanie się na wolę wyborców szło po linji doktryn, których wyznawcami się głosili. Uwidoczniło się to np. w dyskusji nad sankcją królewską [3]; 27 i 28 sierpnia, kiedy obie strony powoływały się na »cahiers«, mimo drwiącej repliki Mirabeau, Petion oświadczył, że każdy poseł jest obowiązany głosować w myśl swojej instrukcji zawsze wówczas, kiedy ona jest wiążącą. — Pozatem postulaty cahiers bywały wysuwane jako argument dyskusyjny, jak np. gdy Lanjuinais oświadczał, że jego instrukcja zakazuje mu obradowania w obecności ministrów [4]. Mimo jednak takich poglądów poszczególnych swoich członków, Konstytuanta, raz uznawszy się za reprezentację całego narodu, konsekwentnie postępowała i ile razy miała do rozstrzygnięcia jakąś kwestję, która mogła być z jej charakterem sprze-

---

[1] Egon Zweig op. cit. Kapitel VI.
[2] Mon. I. str. 135.
[3] Mon. I. str. 392—398.
[4] 7 paźdz. 1789. M. II. str. 152.

czna, tyle razy rozstrzygała ją w zgodzie ze swojem reprezentancyjnem stanowiskiem. Tak więc uchwalając regulamin, przyjęła Konstytuanta zasadę większości, jako rzecz rozumiejącą się samą przez się [1]. Ze zwolennikami innych systemów głosowania rozprawił się Mirabeau, dowodząc, że każde naruszenie zasady większości byłoby pośredniem przywróceniem odrębności stanów. Ale i w mniej zasadniczych sprawach mamy przykłady konsekwentnego stanowiska Zgromadzenia Narodowego. Np. przy weryfikowaniu wyborów biskupów z Tournai i z Ypres, poddanych belgijsko-austrjackich, którzy mając część swoich diecezyj w Francji, zostali wybrani posłami przez duchowieństwo, Konstytuanta unieważniła ich mandaty, uważając, że biskupi ci, nie będąc francuzami, nie mogą być reprezentantami narodu. 15. października wypłynęła sprawa inna. Oto w jednym z baillage szlachta zebrała się, aby dokonać wyboru uzupełniającego zastępcy posła. Zgromadzenie uchwala, że odtąd zastępcy będą wybierani przez wszystkich obywateli bez różnicy stanów [2]. Jako trzeci przykład, posłużyć może incydent z leaderem prawicy księdzem Maury. Zapalczywy ten mówca wyraził się o Konstytuancie w sposób tak prowokacyjnie obraźliwy, że zgłoszono wniosek o ukaranie go przez zwrócenie się do jego wyborców z wezwaniem, aby mu mandat cofnęli. Mimo oburzenia, jakie panowało w większości zgromadzenia narodowego na księdza Maury, mimo że cała lewica z pewnością byłaby rada, aby pozbyć się w ten sposób najwybitniejszego swego przeciwnika, wniosek ten odrzucono jako sprzeczny z charakterem reprezentacyjnym Konstytuanty [3]. Ten jej charakter miał być jeszcze dwukrotnie na próbę narażony. Oto 27. lutego 1790 r. prawica zgłosiła wniosek, aby Konstytuanta sama się rozwiązała, motywując to tem, że pełnomocnictwa udzielone przez wyborców wygasły i że wobec tego naród cały powinien się bezpośrednio opowiedzieć, jakiej sobie życzy konstytucji, w myśl zasad suwerenności ludu. Ze sporą dozą hipokryzji manewrowała w ten sposób prawica bardzo sprytnie, wprawiała bowiem w duże zakłopotanie skrajną lewicę, wobec tego, że wniosek ten szedł po linji jej ideowych poglądów. Oczywiście jednak został odrzucony [4]. Drugim wypadkiem, który mógł nara-

---

[1] M. I. 237—240 29 lipca 1789.
[2] Mon. II. str. 63.
[3] 22 stycznia 1790 M. III. str. 211.
[4] M. III. str. 399.

zić na szwank charakter reprezentacyjny Konstytuanty, było podniesienie kwestji mandatów terminowych. Oto w niektórych instrukcjach poselskich było zaznaczone, że mandat powierza się tylko na przeciąg pewnego czasu, po upływie którego mają się odbyć ponowne wybory. W kwietniu 1790 r., termin ten upływał dla kilku posłów. Musiało być rozstrzygnięte pytanie, czy w odnośnych okręgach mają być rozpisane ponowne wybory. Sprawa ta stanęła na porządku dziennym posiedzenia 19. kwietnia 1790 r. Referował ją Chapelier i przedstawił projekt dekretu, zakazującego organom administracyjnym departamentów i dystryktów przeprowadzania nowych wyborów i uznającego mandaty terminowe posłów za niewygasłe. Mimo, że ks. Maury usiłował ponowić manewr prawicy zdążający do rozwiązania Konstytuanty, dekret ten przyjęto [1]. Kiedy mimo to de Laquelle oświadczył, że uważa na podstawie swoich cahiers swój mandat za wygasły. Konstytuanta odmówiła zaprotokołowania tego oświadczenia jako sprzecznego z jej dekretami [2].

Staraliśmy się zestawić wszystko, co dotyczy uznania zasady reprezentacji przez Konstytuantę w odniesieniu do siebie samej, oraz w jaki sposób broniła ona tego swego charakteru reprezentacyjnego. Jasna rzecz, że przesądzało to w dużej mierze, że w przyszłej konstytucji zasada ta będzie przyjętą. Możliwe jednak były znaczne odchylenia. Nie należy zapominać, że jedność Francji nie była przed rewolucją zupełną, że separatyzm dzielnicowy, przywiązanie do tradycyj lokalnych, uczucie patrjotyzmu regjonalnego, było bardzo silne zwłaszcza w krajach, które zachowały swoje stany prowincjonalne, a wspólnem ogniwem łączące wszystkie pro-

---

[1] M. IV. str. 155 ss. Dekret: »L'assemblée nationale declare, que les assemblées qui vont avoir lieu pour la formation des corps administratifs dans les departaments et les districts ne doirent pas en ce moment s'occuper de l'election de nouveaux deputés à l'Assemblée nationale; cette election ne peut avoir lieu, que lorsque la constitution sera prête à être achevée et qu'à cette epoque impossible à determiner precisement, mais très rapprochée, l'Assemblée nationale s'empressera de faire connaitre le jour, ou les assemblées electorales se reuniront pour elire les députés à la première legislature. Declare aussi qu'attendu, que les commetants de quelques deputés n'ont pu donner pouvoir de ne pas travailler à toute la constitution, et qu'attendu le serment fait de 20 juin par les representents de la nation, et approuve par elle de ne point se separer, que la constitution ne fut faite, elle regarde comme subsistants jusqu'à la fin de la constitution les pouvoirs limitatifs dont quelque membres seraient porteurs.

[2] M. IV. str. 297.

wincje była właściwie tylko osoba króla. Ustrojowo zcentralizowana dzięki absolutyzmowi królewskiemu, uczuciowo była Francja w dużej mierze podzieloną na tyle odrębnych ugrupowań, ile było prowincyj historycznych, a polityka królewska te uczucia lokalne szanowała, o ile tylko nie występowały one przeciw omnipotencji władzy monarszej. Nie było rzeczą wykluczoną, że ten separatyzm dzielnicowy mógł przeżyć rewolucję, że mógł się odbić w sposobie reprezentacji w przyszłem ciele prawodawczem, posłowie mogli się stać reprezentantami raczej poszczególnych prowincyj, a nie całego narodu, mimo że Konstytuanta w odniesieniu do siebie samej uznała się za reprezentację ogólno-narodową. I byłoby to może miało miejsce, gdyby dalszy przebieg rewolucji był pokojowy, t. j., gdyby król lojalnie współpracował ze zgromadzeniem narodowem i jego pracami umiejętnie kierował. Miało się rozstrzygnąć inaczej i to właściwie poza Konstytuantą. Naród sam zjednoczył się w poczuciu samoobrony przeciw kontrrewolucji. Od zburzenia Bastilji 14. lipca, a w całej pełni od rozruchów październikowych datuje się potężny ruch t. zw. federacji, spontanicznego jednoczenia się gmin, miast i prowincyj, który swoje uwieńczenie znalazł we wspaniałem święcie federacji 14 lipca 1790 r.[1]. Konstytuanta robiła wszystko, aby ruch ten poprzeć. Proklamowanie Francji jednej i nierozdzielnej, przemienienie tytułu króla Francji i Nawarry, na tytuł króla Francuzów z odrzuceniem wniosków posłów prowincyj, aby w tytule tym uwidoczniło się odrębne stanowisko tych dzielnic[2], obalenie wszelkich przywilejów i odrębności prowincjonalnych, nareszcie ustanowienie nowego podziału administracyjnego na departamenty i dystrykty, uskutecznione tendencyjnie z pominięciem granic prowincyj historycznych[3], oto w po-

---

[1] Saignac op. cit. str. 232 ss. Aulard: Histoire politiqne de la revolution française, Paris 1921, Chapitre II.

[2] 12 paźdz. 1890 II. M. str. 47.

[3] Coprawda dawne okręgi administracyjne monarchji francuskiej nie pokrywały się również z granicami prowincyj historycznych. Ani baillage względnie senechausée ani gouvernement, ani generalité nie były koniecznie identycznemi z terytorjami prowincji. Reforma administracyjna Konstytuanty nie była więc tak rewolucyjna pod tym względem, jakby się wydawało. Rewolucyjność ta polegała na systematycznej tendencyjności w nieuwzględnianiu granic prowincjonalnych, podczas gdy niezgodność dawnych okręgów z temi granicami wypływała najczęściej z przypadku, lub z takich lub innych względów dogodności administracyjnej.

bieżnym rysie działalność Konstytuanty w celu zjednoczenia Francji, której przedstawienie oczywiście nie wchodzi w ramy tej pracy. To wszystko rozstrzygnęło kwestję ogólno-narodowego charakteru reprezentacyjnego ciała prawodawczego.

Ale nie tylko ze strony dawnych tradycyj lokalnych groziło niebezpieczeństwo zasadzie reprezentacji w jej czystej formie. O wiele poważniej mogła być ona na szwank narażoną przez idee nowe, a mianowicie przez doktrynę Russa, który, jak wiadomo, idei reprezentacji był przeciwny i domagał się bezpośredniego udziału ludu w rządach. Postulatów Russa mogły być dwa praktyczne rozwiązania: referendum ludowe, lub instrukcje wiążące. Zwolenników myśliciela z Genewy było w Konstytuancie stosunkowo nie wielu, ale napór ludu paryskiego, którego przywódcy mniej, lub więcej byli pod wpływem »Kontraktu społecznego«, a który tak często miał doprowadzić Zgromadzenie narodowe do wejścia na drogę, niekoniecznie zgodną ze swemi życzeniami, był znaczny w kierunku urzeczywistnienia zasad Russa. Dowodzi tego np. uchwała zebrania dystryktowego okręgu Kordelierów [1] w Paryżu, która wyraźnie ustanawia instrukcję wiążącą dla posłów do rady miejskiej, przez zebranie to wybieranych. Nie należy też zapominać, że instrukcję wiążącą zalecał też i Mably. Te wszystkie czynniki sprawiły, że obie ewentualności t. j. i referendum ludowe i instrukcja wiążąca były serjo brane pod rozwagę przez Konstytuantę. Szczególnie ta ostatnia była wysuwaną, jako kompromis między zasadą reprezentacji, a zazadą bezpośredniego udziału ludu w rządach. Tak więc to, co zostało zniesione jako objaw ustroju stanowego, miało być z powrotem przywrócone, jako ustępstwo ideom suwerenności ludu i woli powszechnej. W deklaracji praw człowieka i obywatela kwestję tę pozostawiono nierozstrzygniętą. W artykule VI. deklaracji czytamy: »że ustawa jest wyrazem woli powszechnej; wszyscy obywatele mają prawo brać udział w dojściu jej do skutku osobiście, lub przez swoich re-

---

[1] M. I. 195. Uchwała: L'assemblée generale (dystryktu) a unaniment arreté, que les deputés à la commune preteront le serment, dont voici la formule: Attendu que nous n'avons d'autres pouvoirs, que ceux de nos commetants, nous jurons et promettons de nous opposer, autant qu'il en sera en nous à tout ce qui pourrait porter atteinte au pouvoir constituant et de protester contre tout, ce qui ne serait pas adopté par la majorite des districts; que nous revocables à meçi ect. Uchwałę tę Konstytuanta unieważniła (M. II. 224).

prezentantów« [1]. Toż samo w artykule XIV. o uchwalaniu podatków. Tak więc można było uznać każde rozwiązanie za zgodne z deklaracją. Sprawa rozstrzygnęła się na posiedzeniach 4-tego, 5-tego i 7-ego października 1789. Tym razem Monteskiusz zwyciężył nietylko nad Russem ale i nad Mablym. Było to jednem z nielicznych zwycięstw anglomanów-monarchistów. Mieli oni znaczny wpływ w pierwszych miesiącach Zgromadzenia narodowego, a aż po dzień 12. września mieli większość w komitecie konstytucyjnym [2]. Rola, jaką odegrali na wspomnianych trzech posiedzeniach, była jednym z ostatnich odbłysków ich znaczenia, które zresztą opierało się bardziej na osobistym autorytecie paru ich przywódców, niż na prawdziwem ustosunkowaniu sił [3]. Na posiedzeniach tych trzy mowy są szczególnie charakterystyczne. Mounier przedstawiał zasadę reprezentacji na wzór angielski i zwalczał instrukcję wiążącą argumentami natury praktycznej, wykazując techniczną niemożliwość funkcjonowania ciała prawodawczego, gdyby posłowie byli zmuszeni słuchać wskazówek swoich wyborców, obradujących na całej przestrzeni Francji, bez żadnej łączności między sobą. — Petion w imię suwerenności ludu i woli powszechnej domagał się instrukcyj wiążących. — Nareszcie Sieyes przyszedł z pomocą monarchistom i przeważył szalę. Powtórzył on argumentację Mouniera, wykazał, że gdyby każda część Francji mogła wypowiedzieć osobno swoje życzenie, niedługo byłoby tyle państw we Francji ile okręgów wyborczych i zakończył sformułowaniem zasady reprezentacji bardzo finezyjnem, że każdy poseł, będąc posłem bezpośrednim swojego baillage jest posłem całego narodu.

W ten sposób utorowała sobie drogę ta pierwsza podstawa rządów parlamentarnych, jaką jest zasada reprezentacji. W konstytucji 1791. roku jest sformułowaną jasno. Art. 1-szy, 2-gi i 3-ci, tytułu III. formułują, że władza, niepodzielna i niepozbywalna, spoczywa w ręku narodu, ale naród może ją wykonywać jedynie przez delegację. Konstytucja francuska opiera się na zasadzie

---

[1] Löwenstein (op. cit. Zweiter Teil, vierter Abschnitt) wykazuje, że ta t. zw. klauzula alternatywna zaczerpniętą została ze wzorów amerykańskich.

[2] R. Delagrange: Le premier comité de Constitution de la Constituante, ses vues et ses projects etc. Paris 1899.

[3] M. I 472 ss. i M. I 440 ss.

reprezentacji, a reprentantami są król i ciało prawodawcze. Władza ustawodawcza jest delegowaną Zgromadzeniu narodowemu, złożonemu z reprezentantów, obranych przez lud. Już te artykuły uświęcają zasadę reprezentacji. Wszelkie wątpliwości rozprasza wykluczający wyraźnie i celowo jakąkolwiek możliwość fałszywej interpretacji artykuł VIII. sekcji III rozdziału I-go: postanawiający, że reprezentanci wybrani w poszczególnych departamentach są reprentantantami całego narodu i że żadna instrukcja nie może być im daną.

V.

Odpowiedzialność prawna ministrów.

We wszystkich prawie »cahiers« spotyka się żądanie wprowadzenia odpowiedzialności prawnej ministrów [1]. Jedynie te »cahiers«, które wogóle nie zajmują się ustrojem Francji, a tylko ograniczają się do wyłuszczenia potrzeb lokalnych, sprawę tę pomijają. Coprawda, jak w większości wypadków, tak i w sprawie odpowiedzialności ministerjalnej, ograniczają się do ogólników. W każdym razie mógł Clermont-Tonnere, składając 27 lipca 1789 pierwsze sprawozdanie komitetu konstytucyjnego, powołać się na »cahiers«, jako jednomyślnie domagające się nietykalności króla i odpowiedzialności »agentów władzy« [2]. To też obie te zasady uchwalone zostały przez Konstytuantę jako bezsporne zaraz po rozruchach 14 lipca (posiedzenia 23 i 27 lipca 1789). Jako trybunał, przed którym mają prowizorycznie odpowiadać ministrowie, uznano t. zw. »Chatelet« paryski. Był to trybunał, mający specjalne znaczenie w skomplikowanym systemie królewskiego sądownictwa francuskiego. Odgrywał rolę sądu równocześnie pierwszej i drugiej instancji dla Paryża i jego okręgu (prevôté et vicomté de Paris, okręg coutume paryskiej). Dla spraw jednak wynikłych z aktów, dokonanych pod pieczęcią wicehrabiostwa Paryża, kompetencje jego obejmowały całą Francję [3]. Dlatego stanowisko jego było równorzędne nieomal ze stanowiskiem parlamentu paryskiego. Mimo

---

[1] Le gouvernement parlementaire et l'assemblée constituante de 1789 par H. Simonnet, thèse pour le doctorat, 1899, str. 32 ss.

[2] M. I. str. 209 ss.

[3] M. Marion: Dictionnaire des institutions de la France au XVII et XVIII siècle, str. 88—90.

to powierzenie Chateletowi funkcji trybunału stanu przez Konstytuantę było nielogicznością. Skoro trzeba było powierzyć prowizorycznie te funkcje któremuś z istniejących trybunałów, to biorąc rzecz z punktu widzenia formalnego, jedynie wskazanem było powierzenie ich parlamentowi paryskiemu, jako bezsprzecznie pierwszemu sądowi Francji, a w każdym razie nie Chateletowi, który, mimo swego wyjątkowego znaczenia, był bądźcobądź tylko trybunałem drugiej instancji, od którego apelacja szła właśnie do tegoż parlamentu. Jedynie wrogiemu stanowisku, jakie zajął parlament paryski wobec rewolucji, a więc pobudkom natury czysto politycznej, można wytłumaczyć popełnienie przez Konstytuantę takiej anomalji. Chatelet spełniał funkcje trybunału dla wszystkich postawionych w stan oskarżenia przez Konstytuantę aż po dzień 25 października 1790. Dnia tego Zgromadzenie narodowe odwołało jego kompetencje pod tym względem. Kwestję, jak prowizorycznie ukonstytuować trybunał, któryby sądził wszelkie sprawy postawionych w stan oskarżenia przez Konstytuantę, rozstrzygnięto ostatecznie 5 marca 1791 [1]. Uchwalono stworzenie trybunału prowizorycznego w Orleanie. Składać się miał on z piętnastu członków. Rekrutacja tych sędziów była oryginalnie pomyślana i nosi wyraźną cechę prowizoryczności i chęci jaknajszybszego praktycznego rozwiązania sprawy. Oto piętnaście trybunałów dystryktowych, najbliżej położonych Orleanu, miało wybrać po jednym ze swoich członków i delegować go do trybunału orleańskiego. W ten sposób złożony sąd miał się ukonstytuować 25 marca [2].

Z odpowiedzialnością prawną ministrów mamy zjawisko analogiczne, jak z zasadą reprezentacji. Poczucie tej odpowiedzialności było wkorzenione w społeczeństwo, przyjęte przez wszystkich pisarzy, którzy kształtowali poglądy członków Zgromadzenia narodowego, sposób jej funkcjonowania w Anglji był znanym doskonale. Temu przypisać należy, że, gdy tylko Stany generalne ukonstytuowały się w Zgromadzenie narodowe i weszły na drogę konstytucyjną, wprowadziły tę odpowiedzialność w życie, jako rzecz rozumiejącą się sama przez się.

Sprawa odpowiedzialności prawnej ministrów przyszła ponownie pod obrady dn. 29. września 1789 [3]. Chodziło o nadanie

---

[1] M. VII. 555.
[2] M. VI. str. 215.
[3] M. I. 532 ss.

jej konkretniejszej formy, o wynalezienie praktycznego sposobu jej ujęcia. Uczynienie kontrasygnaty ministerjalnej obowiązkową dla ważności każdego aktu króla i uznanie, że przez tę kontrasygnatę minister za dany akt bierze na siebie odpowiedzialność, takie rozwiązanie tej kwestji na wzór angielski musiało wypłynąć w toku obrad jako najnaturalniejsze i powszechnie znane. Uchwalony wniosek, po sformułowaniu jeszcze raz bardzo dokładnem odpowiedzialności prawnej ministrów, postanawia, że żaden rozkaz króla nie będzie wykonany, o ile nie jest kontrasygnowany przez odnośnego ministra[1]. Raz uchwaliwszy obowiązkowość kontrasygnaty, Konstytuanta nie zawsze konsekwentnie jej przestrzegała. Nie widać tej konsekwencji przy pierwszej sposobności, jaka się nadarzyła. Mianowicie 5 października 1789 r. otrzymał prezydent Zgromadzenia narodowego list króla, donoszący o sankcjonowaniu szeregu uchwał Konstytuanty, a dający wymijającą odpowiedź co do zatwierdzenia deklaracji praw człowieka i obywatela[2]. List ten nie był kontrasygnowany przez ministra. Brak ten podniósł Mirabeau. W zgłoszonym przez niego wniosku niema coprawda propozycji nieprzyjęcia wogóle listu króla do wiadomości, jako nieważnego, jakby to było logiczną konsekwencją uchwały z 29 września, a poprostu jest jeszcze raz sformułowana obowiązkowość kontrasygnaty ministerjalnej. I tego nawet Konstytuanta nie uchwaliła. Z pobudek politycznych, nie chcąc zaogniać konfliktu z królem, z drugiej strony uważając za zbyteczne powtarzanie raz już postanowionej kwestji, w powziętej uchwale pominięto wogóle milczeniem brak kontrasygnaty. Tak samo i z tych samych pobudek postąpiło Zgromadzenie narodowe, gdy 26 marca 1790 r. otrzymało znowu list króla bez podpisu[3]. Najpierw Rewbell, a potem Mirabeau domagali się energicznego i konsekwentnego wystąpienia w tej sprawie. Garat starszy podniósł kwestję zasadniczą. Dowodził on, że kontrasygnata ministra jest konieczna tylko wówczas, jeśli król występuje jako piastun władzy wykonawczej, nie zaś gdy ko-

---

[1] Uchwała: »Les ministres et les autres agents du pouvoir executif seront responsables de l'emploi des fonds de leur departement, ainsi que de toutes les malversations, qu'ils peuvent commetre envers les lois, quels que soient les ordres quils aient recus; et aucun ordre du roi ne sera, executé s'il n'est signé de sa Majesté et contresigné d'un secretaire d'état ou par l'administrateur chargé du departement.

[2] M. II. 7 ss.

[3] M. III. str. 709.

responduje z ciałem wykonawczem. Tak interpretował Garat słowo »rozkaz« (ordre) w dekrecie z 29 września. Mimo podniesienia tak ważnej sprawy z punktu widzenia konstytucyjnego, Konstytuanta w uchwale swej znowu pominęła milczeniem brak kontrasygnaty. Na zgodniejsze ze swojemi dekretami stanowisko zdobyło się Zgromadzenie narodowe dopiero, kiedy konflikt między niem a królem był tak już wyraźny, że nie było powodów unikania zaognienia i tak już naprężonych stosunków. Tak, gdy król zwlekał z zatwierdzeniem dekretu o konstytucji cywilnej duchowieństwa, prezydent Konstytuanty, upoważniony do tego kroku jej uchwałą, udał się do króla z prośbą o wyjaśnienie powodów tej zwłoki. Król dał odpowiedź na piśmie i odpowiedź ta nie była kontrasygnowaną. Gdy sprawa ta przyszła pod obrady dn. 23 grudnia 1790 r. [1], Konstytuanta, po mowie Barnave'a, wogóle nie zastanawiała się nad merytoryczną stroną odpowiedzi króla. lecz uchwaliła, aby prezydent ponownie udał się do monarchy z prośbą o odpowiedź kontrasygnowaną. — Trzeba jednak zaznaczyć. że brak kontrasygnaty był wyjątkiem. Ogół aktów, opatrzonych podpisem króla, miał również i podpis ministerjalny, tak, że można powiedzieć, iż dekrety Konstytuanty w tej mierze były przestrzegane w życiu.

Tak wprowadzono w życie odpowiedzialność prawną ministrów już w stosunku Konstytuanty do nich. Zobaczmyż teraz, jak sprawa ta wygląda w uchwałach konstytucyjnych.

I znowu trzeba powiedzieć, jak co do zasady reprezentacji, że sposób, w jaki rozwiązała Konstytuanta tę kwestję w odniesieniu do siebie samej, przesądzał sprawę i na przyszłość. Sama zasada odpowiedzialności ministrów i kontrasygnaty nie mogła już być podawaną w wątpliwość, przyjęcie ich do konstytucji było rzeczą pewną. Trudności mogła nasuwać jedynie forma trybunału, przed którymby ministrowie odpowiadali w razie postawienia ich w stan oskarżenia przez ciało prawodawcze. Prowizoryczne rozwiązanie, w rodzaju przekazania spraw tego rodzaju Chateletowi, oczywiście nie mogło tu służyć za żadną wskazówkę. Sprawa komplikowała się przez to, że jedyne państwa, w których odpowiedzialność prawna ministrów była w życie wprowadzona, Anglja i Stany Zjednoczone, miała swoje organa prawodawcze dwuizbowe, i z tą dwuizbowością kombinowały sposób stawiania w stan oskarżenia

---

[1] M. VI. 711 ss.

i sądzenia odpowiedzialnych urzędników. To też w okresie, kiedy monarchiści mieli większość w komisji konstytucyjnej, sprawa sposobu sądzenia ministrów zlała się w jedno ze sprawą systemu dwuizbowego. I Lally-Tollendal w swojej mowie 19 sierpnia 1789 [1] i Mounier 28 sierpnia tegoż roku domagając się izby wyższej, przedstawiali go jako jedyny możliwy trybunał stanu. Taka koncepcja trybunału dla oskarżonych ministrów upadła razem z projektem wprowadzenia systemu dwuizbowego. Konstytuanta znalazła się przed zadaniem wynalezienia jakiejś nowej instytucji, którą zaczęła nazywać: najwyższym trybunałem narodowym, instytucji, której wzoru nigdzie znaleźć nie mogła. Pierwszy raz projekt organizacji tego trybunału przedłożył Chapelier, jako referent komitetu konstytucyjnego dopiero 25 października 1790 r. [2]. Wobec tego, że projekt ten przewidywał, iż w skład tego sądu wejdą członkowie trybunału kasacyjnego, Zgromadzenie narodowe słusznie postanowiło odroczyć dyskusję nad projektem Chapeliera, aż do chwili uchwalenia dekretów odnośnych do organizacji sądownictwa najwyższego wogóle. Z tego powodu ponownie wzięto pod obrady tę sprawę dopiero 8 lutego 1791 r. i wówczas uchwalono ją ostatecznie [1]. Według tego dekretu najwyższy trybunał narodowy miał rozpatrywać wszystkie te sprawy, które mu zostaną przekazane przez ciało prawodawcze (art. IV). Nie miał więc to być trybunał jedynie dla sądzenia ministrów, bo ciało prawodawcze mogło stawiać w stan oskarżenia wszystkich, którzy popełnili zbrodnię, wymierzoną przeciwko interesom państwowym i narodowym, co obejmowano nazwą zbrodni obrazy narodu (lèse-nation), analogicznie do dawnej zbrodni obrazy majestatu (lèse-majesté). Skład trybunału był konsekwentnem przeprowadzeniem zasad sądów przysięgłych. Podczas gdy ciało prawodawcze miało pełnić funkcje ławy oskarżającej, rolę ławy sądzącej miało grać specjalne »wysokie jury«, a czterech »wielkich sędziów«. Na podstawie werdyktu o winie tej jury miało zastosować prawo (art. I). Jury składać się miało z 24 członków i 6 zastępców (art. XII). Wybrani byli w sposób przewidziany przez ustawę o procedurze karnej z listy, którą ciało prawodawcze układało natychmiast po ukonstytuowaniu i zweryfikowaniu wyborów (art. III). Na liście tej znaleść się mieli obywa-

---

[1] M. I. 352 ss.
[2] M. VI. 208 ss.

tele wybrani w tym celu równocześnie z wyborami do ciała prawodawczego, po jednym w każdym departamencie (art. II). Było to nadanie trybunałowi naprawdę ogólno-narodowego charakteru i zastosowanie jeszcze jednej zasady pochodzenia wszelkiej władzy od ludu, analogicznie do organizacji innych sądów, przedsięwziętej przez Konstytuantę. Czterech »wielkich sędziów«, z których najstarszy wiekiem miał być przewodniczącym, mieli być wzięci drogą losowania z pośród sędziów trybunału kasacyjnego (art. XI). Co do sposobu stawiania w stan oskarżenia przez ciało prawodawcze, dekret postanawia, że przed powzięciem odnośnej uchwały może ciało prawodawcze przesłuchać świadków (art. IX). Art. VII rozstrzyga drażliwą kwestję. W Anglji na podstawie Act of Settlement nie może król ułaskawić skazanych drogą Impeachment. Takie postanowienie wystarcza wobec tego, że cały przewód rozgrywa się przed parlamentem i uzyskana jest pewność, że monarcha nie będzie mógł uchronić ministra przed odpowiedzialnością. Inna rzecz, gdy ciało prawodawcze uchwala tylko postawienie w stan oskarżenia, poczem sprawa wychodzi poza jego obręb. Gdyby dla prawomocności takiej uchwały konieczną była sankcja monarsza, mógłby król, nie udzielając jej, zdusić w zarodku wszczęty proces. Dlatego też art. VII postanawia, że uchwała tego rodzaju nie będzie potrzebowała sankcji królewskiej. W art. VI mamy zastrzeżone. że posiedzenia najwyższego trybunału narodowego mają się odbywać w odległości najmniej 15 mil od miejsca, gdzie ciało prawodawcze obraduje. Artykuł ten wystylizowany jest tak, aby stworzyć pozór, że chodzi tu o uniknięcie ewentualnego wpływu ciała prawodawczego na sąd, de facto zaś chciano w ten sposób usunąć trybunał z pod presji ludu paryskiego. Nareszcie art. V postanawia, że ciało prawodawcze po postawieniu w stan oskarżenia wybierze dwóch swoich członków, aby pełnili przed trybunałem funkcje »prokuratorów narodu« [1]. — W ten sposób rozwiązano problem stworzenia trybunału, mającego zastąpić izbę parów angielską i senat amerykański. Rozwiązano, trzeba przyznać, logicznie i zgodnie z zasadami ogólnie przyjętemi przez Konstytuantę: rozdziału władz i pochodzenia każdej władzy od ludu [2].

---

[1] M. VII. 333 ss.

[2] Jasna rzecz, że rozwiązanie takie nie mogło się spotkać z uznaniem wszystkich tych, którzy widzieli w konstytucji angielskiej jedyny wzór godny naśladowania. Tak np. Necker wydrwiwa Najwyższy Try-

Drugie zadanie, łatwiejsze, bo raczej tylko na ścisłem określeniu przyjętych już zasad polegające, to sformułowanie prawne samej zasady odpowiedzialności ministrów. Wszczęto nad tem obrady 7 marca 1791, kontynuowano je 5 kwietnia, przegłosowano projekt dekretu 7 i 8 kwietnia tegoż roku [1]. Referentami byli Desmeuniers i Karol Lameth. Na posiedzeniu marcowem dyskusja toczyła się nad całokształtem problemów organizacji rządu, postanowiono artykuły o odpowiedzialności ministrów wyodrębnić, i w kwietniu doprowadzono do skutku dekret specjalnie tej sprawie poświęcony [2]. Według tego dekretu odpowiedzialność prawna ministrów przed ciałem prawodawczem rozciąga się (art. V) 1) na wszelkie akty naruszające bezpieczeństwo narodowe, konstytucję lub ustawy, 2) na wszelki zamach na wolność i własność obywateli, 3) na wszelkie roztrwonienie funduszów publicznych. Uderzają tu dwie nieścisłości: niejasność terminu bezpieczeństwo narodowe, oraz niepotrzebne osobne wyliczanie naruszenia wolności lub własności obywateli i roztrwonienia funduszów publicznych, skoro trudno wyobrazić sobie tego rodzaju czyny, jako nie sprzeczne z konstytucją lub ustawami. Jakby w poczuciu tych nieścisłości, art. VI przewidywał, że kodeks karny określi istotę specjalnych przestępstw »ministerjalnych«, a także przepisze kary, jakie za te przestępstwa mogą ministrowie ponieść. Art. VIII wykazuje wyjątkową na czasy rewolucji francuskiej dbałość o sprawiedliwe traktowanie ministrów, postanawiając, że mogą być postawieni w stan oskarżenia za sprawowanie swoich funkcyj urzędowych jedynie przez uchwałę ciała prawodawczego. Równocześnie artykuł ten postanawia, że w razie powzięcia takiej uchwały każdy obywatel, czujący się pokrzywdzonym przez przestępstwo, zarzucone ministrowi w odnośnym akcie oskarżenia, może wystąpić o odszkodowanie ze skargą cywilną, stwarza więc obok odpowiedzialności karnej także i odpowiedzialność cywilną ministrów, ale tylko na wypadek, jeśli są postawieni w stan oskarżenia przez ciało prawodawcze. Art. VIII

---

bunał Narodowy, i porównując go z angielską izbą parów, podnosi dodatnie strony tej ostatniej, jako trybunału, Necker, Le pouvoir executif dans les grands etats 1792 Chapitre VII. — Ustawa o Najwyższym Trybunale Narodowym została uzupełniona dekretem Ciała prawodawczego z 2 stycznia 1792 (M. XI. str. 31), nie zawierającym zresztą nic zasadniczego.

[1] M. VII 567 ss. M. VIII 67 ss. M. VIII 77 ss. M. VIII 82 ss.

[2] 11 kwietnia 1791 M. VIII. 107 ss.

określa terminy przedawnienia skargi przeciw ministrowi, tak karnej, jak cywilnej. Art. IX orzeka, że minister postawiony w stan oskarżenia, zostaje zawieszony w swoich czynnościach. Biorąc więc rzecz z punktu widzenia czysto prawnego. dymisja jego nie jest konieczną, może przebieg sprawy odczekać w »zawieszeniu«. Sprawa kontrasygnaty uregulowana jest w art. I-szym, który czyni ją obligatoryjną dla ważności każdego rozkazu królewskiego. Nareszcie art. II postanawia, że żaden rozkaz królewski nie może zwolnić od odpowiedzialności ministra.

Parę nowych przepisów o kontrasygnacie uchwalono przy dekrecie o organizacji ministerjalnej. Art. XIX tego dekretu postanawia, że korespondencja króla z ciałem prawodawczem również musi być zaopatrzona w podpis ministra, a mianowicie tego, do którego departamentu należą sprawy poruszone w tej korespondencji (art. XX). Rozstrzygnięto w ten sposób kwestję, która bywała wątpliwą. Art. XXI orzeka, że w sprawach, dotyczących osobiście króla i jego rodziny, kontrasygnować będzie minister sprawiedliwości.

Tak ujęte przepisy o odpowiedzialności ministrów nie miały wejść w całości do konstytucji 1791 roku. W czasie ostatecznej dyskusji nad tekstem konstytucji w sierpniu 1791 roku, artykuły uchwalonych dekretów podzielono na dwie części: jedne włączono, nieraz w odmiennej stylizacji, do konstytucji, drugie oczywiście mocy obowiązującej nie traciły, ale miały obowiązywać jako ustawy zwykłe, mogące być zmienionemi nie drogą przewidzianą dla rewizji konstytucji, ale przez zwykłą ustawę. Ostatecznie sprawa odpowiedzialności ministrów została w konstytucji ujęta w następujący sposób. Art. II sekcji I-szej Rozdziału II-go określa króla, jako nietykalnego i uświęconego. Nieodpowiedzialność podkreślana jest również w stosunku do regenta (art. XI sek. II Rozdz. II). Art. V sekcji IV-ej Rozdz. II go jest przestylizowanym artykułem V dekretu o odpowiedzialności, art. IV toż samo w stosunku do artykułu I-go, art. VI w stosunku do artykułu II go tegoż dekretu, art. VIII odpowiada pierwszej części art. VII-go (o konieczności dekretu ciała prawodawczego dla postawienia w stan oskarżenia ministra). Punkt 10 Art. I. sek. I. Rozdz. III. wymienia jako jedną z funkcyj zgromadzenia prawodawczego stawianie w stan oskarżenia ministrów. Art. 135 postanawia, że sankcja królewska nie będzie konieczna przy wykonywaniu tych funkcyj przez zgromadzenie prawodaw-

cze. Art. 145 to art. XIX dekretu o organizacji ministerjum, nareszcie Art. 190 jest jakby streszczeniem ustawy o najwyższym trybunale narodowym. Reasumując powiedzieć można, że konstytucja z 1791 roku wprowadziła w całej pełni odpowiedzialność prawną ministrów na wzór angielski, uznała nietykalność króla, odpowiedzialność za niego ministrów przed ciałem prawodawczem, wprowadziła kontrasygnatę ministerjalną jako obligatoryjną i przyznała ciału prawodawczemu prawo stawiania ministrów w stan oskarżenia.

W jaki sposób stosowano wszystkie te wspomniane ustawy?

Co się tyczy postawienia ministrów w stan oskarżenia, to za czasów Konstytuanty i Zgromadzenia prawodawczego nie było naprawdę sprawy tego rodzaju, któraby dała możność skontrolowania, w jaki sposób funkcjonuje stworzony w tym celu aparat sądowniczy. Wprawdzie co chwila dyskutowano nad wytoczeniem sprawy sądowej takiemu lub innemu ministrowi, ale nie miało to dać rezultatów poważniejszych. Że tego rodzaju dyskusje ciągle się ponawiały, tego powodem są nietylko wnioski stawiane przez posłów, co w równej mierze denuncjacje takiego lub innego nadużycia ministerjalnego, skierowane do Konstytuanty, względnie Zgromadzenia prawodawczego przez organizacje lub osoby postronne. Czasami taka skarga przybierała formy uroczystej delegacji, jak np. kiedy Danton zjawił się na czele deputacji 48 sekcyj, tworzących gminę Paryż, domagając się między innemi wytoczenia procesu trzem ministrom: Champion, La Tour-du-Pin i Guignard [1]. Czasami jednak osoby prywatne, pozbawione jakiegokolwiek charakteru urzędowego, pisały listy [2] z doniesieniem na ministrów. Konstytuanta każdą taką denuncjację brała poważnie i uważała sobie za obowiązek przynajmniej odsyłać je do komitetów dla zbadania. Ministrowie zaś przyjęli taktykę okazywania jaknajdalej idącej gotowości poddania się wszelkim dochodzeniom sądowym [3]. Za czasów Zgro-

---

[1] 10 listopada 1790. M. VI. 344.

[2] Np. list adwokata de Colmard 18 lipca 1790 (M. V. 81), ofiarujący się dostarczyć dowodów na zarzut uczyniony Neckerowi, braku w kasie 100 miljonów.

[3] Np. list Neckera (M. V. 187), w którym oświadcza on, że co do siebie uważa, iż dekret o odpowiedzialności działa wstecz, że wobec tego gotów jest ponosić odpowiedzialność za swoje urzędowanie od pierwszego dniu objęcia rządów, albo list garde-sceaux (M. VI. 365), w którym oświadcza gotowość odpowiedzenia w najkrótszym czasie na zarzuty, pod-

madzenia prawodawczego stosunki te się jeszcze pogorszyły. Częstsze stały się denuncjacje ze strony poselskiej. Charakterystyczna dyskusja toczyła się na ten temat 18 października 1791 r.[1]. Oto Goujon postawił wniosek, żeby posłowie, którzy wytaczają skargi na ministrów, mogące pociągnąć za sobą sprawę sądową, byli imiennie wymienieni w protokóle. Po przemówieniach Ducos'a i Girardin'a, uważających takie wymienienie za szkodliwe, bo poseł, wytaczający zarzuty ministrom, nie jest obowiązany zdawać z tego sprawy przed nikim, Zgromadzenie przeszło do porządku dziennego nad wnioskiem Goujon'a. Wszystko to dowodzi, jak bardzo wkorzenione było poczucie odpowiedzialności ministerjalnej, jak odnośne przepisy prawne znalazły zrozumienie nietylko wśród członków organów prawodawczych, ale wśród całego społeczeństwa.

VI.

Odpowiedzialność solidarna ministrów.

Solidarność ministrów nie była dla członków Konstytuanty rzeczą tak jasną i oczywistą, jak zasada reprezentacji lub odpowiedzialności prawnej. Przedewszystkiem dlatego, że solidarność ta t. j. rządy gabinetowe, bynajmniej nie były w Anglji jeszcze ostatecznie zorganizowane, a raczej, jakkolwiek już egzystowały, nie zdawano sobie sprawy z ich istoty[2]. Nie należy zapominać, że gabinet angielski jest instytucją nie opierającą się na jakiejkolwiek podstawie prawnej, powstałą jedynie dzięki regułom konwencjonalnym. Przez cały nieomal wiek VIII., gabinet miał charakter prawie. że prywatnego zebrania głównych doradców królewskich, czego dowodem jest np., że za ministerjum Grenrill'a (1763—1765) posiedzenia jego odbywały się na obiadach, wspólnie przez ministrów spożywanych. Poczucie solidarności między członkami gabinetu zależne było od tego, czy członkowie jego rekrutowali się z jednej partji politycznej, jak np. wigowski rząd Walpola, czy

---

niesione przez gminę miasta Paryża, aby dać przykład swoim następcom szacunku dla prawa i odpowiedzialności.

[1] M. X. 144.

[2] Wiliam R. Anton: Loi et Pratique constitutionelles de l'Anglettere, Paris 1903—1904. Hatschek, Englische Verfassungsschichte, München und Berlin 1913. Hatschek: Englisches Staatsrecht, Tübingen 1905. Todd: Le gouvernement parlementaire en Anglettere, Paris 1900.

też przeciwnie reprezentowane były w nim różne ugrupowania parlamentu. Ani podział partji na dwie zasadnicze partje nie był w wieku XVIII. tak ścisły, jak naogół w wieku XIX., ani też rząd nie opierał się koniecznie na stałej większości w izbie gmin. Tak np. Pitt młodszy, właśnie w chwili wybuchu rewolucji francuskiej, nie rozporządzał taką większością, a opierał się na zaufaniu króla z jednej strony, i na opinji narodu, wyrażonej np. przez prasę, z drugiej strony. Jasną jest rzeczą, że w tych warunkach solidarność ministrów nie była rzeczą bezsporną i przyjętą już przez angielski zwyczaj parlamentarny, ale raczej opierała się na faktycznym układzie sił w gabinecie i na poczuciu wzajemnej lojalności ministrów. Że tak było, dowodzi dyskusja, jaka toczyła się w roku 1806 z powodu przyjęcia teki przez lorda Ellenbourgh. Dowodzono wówczas, że członkowie gabinetu nie są solidarnie odpowiedzialni, a każdy minister odpowiada tylko za swój departament. Tak więc trudno było członkom Konstytuanty dopatrzeć się solidarności ministrów, studjując ustrój angielski taki, jaki się im współcześnie przedstawiał. Bardzo przenikliwy obserwator mógł conajwyżej dojść do wniosku, że solidarność taka musi się z istniejącego stanu rzeczy w Anglji wytworzyć. — Z drugiej strony, jak to już zaznaczyliśmy, tradycje francuskie pod tym względem nie były również zbyt silne i w literaturze politycznej XVIII. wieku kwestja ta poruszoną nie bywa. Mimo to, byłoby zadużo powiedzieć, że została ona pominiętą przez Konstytuantę i zgromadzenie prawodawcze.

Mianowicie w dekrecie o organizacji ministerjum mamy szereg artykułów, uchwalonych 11. kwietnia 1791 r.[1], których postanowienia mogły doprowadzić do wytworzenia się, częściowej przynajmniej, solidarności ministrów. Przewidziane jest tam mianowicie utworzenie rady stanu (conseil d'etat) złożonej z króla i jego ministrów (art. XVIII). Rada ta pomyślana była jako uproszczenie do maximum dawnej rady królewskiej, a raczej jako pozostawienie z niej tylko jednej jej sekcji, dawnej rady tajnej (conseil en haut, albo secret) przy skasowaniu innych sekcyj. Dowodzi tego osobno powzięta uchwała, że poza radą t. zw. »poufną«, nie będzie drugiej rady administracyjnej, oraz artykuł XXV wspomnianego dekretu, postanawiający, że urzędy maitres des requetes

---

[1] M. VIII str. 107 ss.

i radców państwowych są zniesione. Jakież były funkcje tej rady? Odpowiadają na to art. XVIII i XXIII. dekretu. Według nich przedmiotem obrad rady mają być: 1) stosunki władzy wykonawczej do ciała prawodawczego (sankcja królewska i rządowe propozycje ustawowe). 2) »Plany ogólne« rokowań politycznych. 3) »Plany ogólne« kampanij wojennych. 4) Wszelkie sprawy administracji ogólnej królestwa. 5) Unieważnienie aktów administracyjnych urzędów niższych instancyj i ewentualne zawieszenie w urzędowaniu członków ciał administracyjnych, w myśl ustawy o organizacji administracji państwowej. 6) Proklamacje królewskie. 7) Spory kompetecyjne między ministerstwami. Sprawy wymienione pod 1) i pod 5—7 są ściśle sprecyzowane, wymienione są tam dokładnie pewne sprawy, które pod obrady rady muszą być przedłożone. Natomiast ogólnikowość i niejasność w określeniu spraw wyszczególnionych pod 2—4, nie pozostawia nic do życzenia. Zupełnie niewiadomo, jakie sprawy minister jest radzie obowiązany przedstawić, jedynie praktyce pozostawiono wytworzenie się kategorji spraw »gabinetowych«. Ale właśnie tę ogólnikowość można uważać za korzystną dla wytworzenia się zwyczaju oddawania radzie wszystkich ważniejszych spraw pod obrady. W omawianym dekrecie jest jeszcze jedna niejasność. Nie sposób zrozumieć, dlaczego wymienienie spraw, mających być przedkładanemi radzie, rozbito na dwa różne artykuły, odmiennie wystylizowane, jakkolwiek jasno wynika, że tu i tam rada występuje w tym samym charakterze, jako, formalnie biorąc, jedyne ciało doradcze przy piastunie władzy wykonawczej, królu. Jakkolwiek byśmy jednak rozumieli wspomniane artykuły, jedno jest rzeczą pewną, że wszelkie ważniejsze sprawy musiały być debatowane na radzie (jedynie co uznać za sprawy ważniejsze, mogło być wątpliwe i było pozostawione praktyce) i że na tle wspólnych decyzyj, musiała się wytworzyć solidarność ministerjalna. Dekret zawiera postanowienie, które z jednej strony stanowi w tej solidarności wyłom, z drugiej pośrednio ją do pewnego stopnia ustanawia. Mianowicie art. XXIV. przewiduje, że, o ile minister widzi niebezpieczeństwo we współdziałaniu, przez środki swego departamentu w wykonywaniu zleceń króla dotyczących innego departamentu, będzie mógł wykonać je, nie stając się za nie odpowiedzialnymi, o ile każe zaprotokółować swoją opinję, a w takim razie odpowiedzialność przejdzie na ministra domagającego się tych środków«. Jest w tem posta-

nowieniu wyraźne umożliwienie legalnego wyłamania się z solidarności; wystarcza, aby minister kazał swój protest zaprotokółować, a już to wyłamanie jest dokonane, jakkolwiek wykona wszelkie decyzje rady. Cała przytem stylizacja tego artykułu wskazuje na to, że ustawodawca miał na myśli jedynie odpowiedzialność ministra za swój departament. Taka możność zgłoszenia swojego »votum separatum« do protokółu przewidziana jest tylko na wypadek, jeśli departament odnośnego ministra wchodzi w grę. Z tego wynika logicznie, że, o ile decyzja rady nie dotyczy bezpośrednio danego departamentu, to wogóle mowy być nie może o odpowiedzialności ministra. Mimo to nie wydaje mi się zbyt śmiałem twierdzenie, że artykuł ten pośrednio do pewnego stopnia przynajmniej musiał się przyczynić do wytworzenia się solidarności ministerjalnej. Właśnie przez to, że dana była możność schronienia się od odpowiedzialności, musi powstać domniemanie, że ci ministrowie, którzy z tej możności nie skorzystali, będą się sami uważali i będą uważani przez ciało prawodawcze, za solidarnie odpowiedzialnych za wspólnie powzięte decyzje. Ogółem więc biorąc artykuły dekretu o organizacji ministerjum, poświęcone radzie królewskiej, solidarności ministerjalnej nie wprowadzały, widocznem nawet jest, że jej poczucia u twórców tego dekretu nie było, ale wprowadzenie jej umożliwiały, a nawet do pewnego stopnia czyniły ją konieczną, logiczną konsekwencją faktu istnienia Rady królewskiej, mimo, że wyłamanie się z pod niej zawsze czyniły możliwem.

Artykuły te nie zostały włączone do konstytucji. Rada państwa więc, przez nie stworzona, nie była instytucją konstytucyjną, jej organizacja więc lub atrybucje mogły być każdej chwili zmienione zwykłą ustawą. Skorzystać z tego miało zgromadzenie prawodawcze.

Ustrój, wprowadzony przez Konstytuantę, obowiązywał zbyt krótko, aby był czas okazania się w praktyce, jak w jego ramach wyglądać miała solidarność ministerjalna. Ogółem biorąc, z powodów, o których przyjdzie nam mówić, zwartość ministerjum nie mogła być zbyt wielką, a przeciwnie ciągłe scysje między poszczególnymi ministrami nieuchronną koniecznością. W każdym jednak razie nie ulega wątpliwości, że ministerjum uważało się za całość i że było poczucie, że wszystkie cokolwiek ważniejsze sprawy muszą być wspólnie dyskutowane i rozstrzygane [1]. Objawiało się to

[1] J. Collas: L'exercice du Pouvoir executif dans la Constitution de 1791. Dijon 1905.

np. w zwyczaju schodzenia się parę razy w tygodniu na wspólne obiady, na których starali się dojść ministrowie do wspólnego porozumienia we wszystkich bieżących sprawach. Te nieoficjalne zebrania mogły się stać zaczątkiem nowej kategorji posiedzeń rady ministrów, funkcjonującej obok oficjalnej Rady państwa. Różne drobne incydenta przerwały ten zwyczaj.

Ale oto niezależnie od ewolucyjnego rozwoju instytucji rady ministrów, ich solidarna odpowiedzialność została niespodzianie wprowadzona przez Zgromadzenie prawodawcze. W przeddzień upadku całego ustroju, wprowadzonego przez Konstytuantę, w lipcu 1792, w łączności z ogłoszeniem, że ojczyzna jest w niebezpieczeństwie, uchwalono, że ministrowie są solidarnie odpowiedzialni za wszystkie akty, złączone z obroną państwa [1]. Solidarność ta została więc stworzoną jedynie dla pewnej kategorji spraw i nie w celu dokonania jakichś zmian ustrojowych, ale z pobudek politycznych, jako wyraz nieufności do urzędujących w danym momencie ministrów. Z mów jednak [2], wygłoszonych dla umotywowania tego wniosku, wynika, że poczucie solidarności ministerjalnej zdołało się zakorzenić wśród członków ciała prawodawczego.

VII.

Stosunek Konstytuanty do rządu. — Postawienie problemu. — Przesilenie z 13—16 lipca 1789 r. — Ukształtowanie się stosunku Konstytuanty do rządu po rewolucji lipcowej. — Sprawa dopuszczenia ministrów na posiedzenia Konstytuanty. — Ustąpienie Neckera. — Przesilenie ministerjalne na jesieni 1790 r. — Formy zewnętrzne stosunków Konstytuanty z rządem. — Wkroczenia Konstytuanty w dziedzinę władzy wykonawczej. — Stosunek Konstytuanty do rządu po ucieczce króla do Varennes.

Biorąc rzecz z punktu widzenia czysto formalnego, było stanowisko Stanów generalnych wobec rządu, zaraz po ich zwołaniu bar-

[1] M. XIII str. 225. Dekret: L'assemblée nationale decrète que, quand le corps legislatif a proclamé dans les formes prescrites par le decret du 5 de ce mois que la patrie est en danger independamment de cas ou cette responsabilitté peut être exercée contre les agents du pouvoir executif, tous les ministres sont solidairement responsables soit des actes deliberès au conseil, relatifs à la surete interieure et exterieure de l'etat, qui auraient occasioné le danger, soit de la negligence des mesures, qui auraient du être prises pour le prevenir ou en arreter les progres.

[2] Np. mowa Guyton-Morveaux M. XIII str. 58, Brissot'a M. XIII str. 88.

dzo słabe. Atrybucje ich coprawda nie były jasno określone, co jest zrozumiałem wobec faktu nie zwołania ich od r. 1614, a więc z górą przez półtora wieku. Gdyby się trzymano tego, co miało miejsce na zebraniach Stanów generalnych wieku XVI i w r. 1614, stany musiałyby się nieomal ograniczyć do dyskutowania i przegłosowania przedłożonych im propozycyj królewskich i do wnoszenia petycyj do tronu. Jasna rzecz, że w takich warunkach sytuacja stanów wobec rządu byłaby nadzwyczaj słabą. Cała władza wykonawcza byłaby osobiście przez króla opanowaną, a wszelka kontrola nad nią byłaby niemożliwą. Przekształcenie się Stanów generalnych w Zgromadzenie narodowe zmieniło ten stan rzeczy zasadniczo. Jakie były atrybucje Konstytuanty, to nie było jasno sformułowane [1] i miało być nieraz jeszcze przedmiotem dyskusji. Jedno było jednak rzeczą bezsporną, że władza ustawodawcza, łącznie z przyzwoleniem budżetu przeszła na Zgromadzenie narodowe, innemi słowy, że ma ono conajmniej te atrybucje, jakie posiadał parlament angielski. Z tym momentem to samo pytanie, jakie stanęło w XVIII. wieku przed parlamentem angielskim, stanąć musiało i przed Konstytuantą. Czy monarcha wykonywać będzie rządy swoje osobiście, czy też w jego imieniu, wykonywane one będą przez ministrów pozostających pod kontrolą Konstytuanty. Wiadomo, że pytanie to redukuje się do kwestji, czy król będzie mógł swobodnie nominować i udzielać dymisji swoim ministrom, czy też w wyborze swoich doradców skrępowany będzie wolą większości Zgromadzenia narodowego. W razie zaś rozstrzygnięcia w kierunku zależności króla w doborze ministrów od Konstytuanty, powstają dwa dalsze pytania, czy ministrowie będą się rekrutowali z pośród jej członków i jakie formy przybierze wywieranie wpływu przez Konstytuantę na wybór ministrów. Oto pytania, na które musiały odpowiedź przynieść najbliższe dnie po ukonstytuowaniu się Zgromadzenia narodowego, powiadamy najbliższe, bo wobec naprężonych stosunków między królem a Zgromadzeniem, wobec walki, jaka się między niemi toczyła, scysja co do osób ministrów musiała lada moment wybuchnąć. Jak się pod tym względem ułożą stosunki między królem a Konstytuantą, to miało zasadnicze znaczenie i na przyszłość. Podobnie bowiem, jak i w innych sprawach, tak i w tej zgóry można było uważać za przesądzone,

---

[1] Egon Zweig op. cit. Kapitel VI i VIII.

że to, co będzie obowiązywać w czasie trwania Konstytuanty, będzie obowiązywać i w przyszłym ustroju. Rozpatrując przebieg stosunku Zgromadzenia narodowego do rządu, nie należy zapominać o dwóch okolicznościach. Przedewszystkiem o wprost dogmatycznej wierze ogromnej większości posłów w zbawienność, chciałoby się nieomal powiedzieć, świętość zasady podziału władz. Najzagorzalszy przeciwnik władzy królewskiej gotów był się cofnąć przed jej ukróceniem, jeśli doszedł do przekonania, że ukrócenie dane zagraża w czemkolwiek temu fetyszowi. Z drugiej strony równie wielka liczba posłów nosiła w sercu głęboko zakorzenione przekonanie, że władza wykonawcza z natury rzeczy musi być wrogiem władzy prawodawczej, i do każdego ministra nieomal odnosiła się, pomijając nawet jakiekolwiek pobudki polityczne, z nieufnością, jako do człowieka »znieprawionego (corrompu) władzą«, czyhającego tylko na to, aby prawodawców oszukać, kompetencje ich ukrócić, a wolność pogwałcić. Wiemy, że Monteskiusz i Mably są twórcami tych dwóch składników psychologji członków Konstytuanty, a stosunki rewolucyjne spotęgowały w nieskończoność te właściwości ich sposobów myślenia. Zobaczmyż teraz, jak opierając się na tych dwóch przesłankach, ułożyła Konstytuanta swój stosunek do rządu.

Pierwsza próba sił między Konstytuantą a królem co do nominowania i dymisjonowania ministrów, rozegrała się już 13. lipca 1789 roku. Pod presją swego brata, hr. Artois i królowej, król udzielił dymisji najpopularniejszemu wśród ministrów, Neckerowi, któremu i Zgromadzenie narodowe i lud paryski przypisywał zasługę zwołania Stanów generalnych i uważał za powołanego do przeprowadzenia reform rewolucyjnych [1]. Nakazał mu przytem opuścić granice Francji. Było to odczute, jako rękawica rzucona Konstytuancie i Paryżowi. Zajęcie wobec tego faktu stanowiska było koniecznością. Natychmiast po nadejściu wiadomości o udzieleniu dymisji Neckerowi. wszczęła się na ten temat dyskusja [2]. Sprawa swobodnego doboru swoich doradców przez króla stanęła na porządku dziennym. W najtrudniejszem położeniu znaleźli się ci; którzy zdając sobie w pełni sprawę z popełnionego przez króla błędu, równocześnie byli zwolennikami pozostawienia monarsze

---

[1] Saignac op. cit. rozdz. I-szy.
[2] M. I. 149—155.

całej pełni jego prerogatywy, zupełnie swobodnego wykonywania prawa nominowania i udzielania dymisji ministrom. W położeniu takiem znaleźli się t. zw. monarchiści. Zrozumieli oni doskonale, że zajęcie stanowiska zupełnie zgodnego z ich doktryną, bronienie swobody króla w tym wypadku nie może dać żadnych rezultatów, wobec nastroju większości Zgromadzenia, która bezwzględnie będzie się domagała powrotu ministrów. Zresztą uważali oni udzielenie dymisji Neckerowi za wielki błąd ze strony Ludwika XVI., który może stać się powodem podkopania autorytetu władzy królewskiej, o którą im tak chodziło[1]. Znaleźli się więc wobec dylematu, albo pogwałcenia swoich zasad i stworzenia precedensu na przyszłość groźnego dla urzeczywistnienia ich programów konstytucyjnych, albo bronienia rzeczy beznadziejnej, bo osiągnąć milczenie Konstytuanty, wobec dymisji ministrów, jakby to było jedynie zgodne z ich doktrynerskim stanowiskiem, było niemożliwością. Z tej sytuacji znaleźli wyjście, jedynie możliwe i dobrze świadczące o ich talentach politycznych. Postanowili wziąć inicjatywę w swoje ręce i sformułować odnośny wniosek. W ten sposób mogli stępić ostrze powziętych postanowień, nadać im formę możliwie łagodną, możliwie uznającą prawo króla swobodnego nominowania ministrów. To też na posiedzeniu 13. lipca, pierwsze skrzypce trzymają monarchiści. Ton cały debatom nadają Mounier, Lally-Tollendal, hrabia Virieu, Clermont-Tonnerre. Mowy ich są arcydziełami sofistyki politycznej. Wprawdzie król ma bezwzględne prawo nominowania swoich ministrów i udzielania im dymisji bez oglądania się na kogokolwiek, i nikt tego królowi odmówić nie może. Ale któż może zabronić z drugiej strony Zgromadzeniu narodowemu zwrócenia mu uwagi, kogo nie tyle Zgromadzenie, ale naród uważa za najodpowiedniejszego na ministra, a kogo za niegodnego tego stanowiska, tembardziej, że przecież dymisję Neckerowi udzielił »najsprawiedliwszy« z króli nie z własnej woli, ale pod presją »przewrotnych« doradców. Była to sofistyka, ratująca pozory, i tylko pozory, ale w danych warunkach nie byłoby rzeczą realną, gdyby monarchiści dążyli do czegoś więcej. Tak przynaj-

---

[1] Trochę inaczej tłumaczy pobudki monarchistów Duvergier de Hauranne (Le gouvernement parlementaire en France, t. I, str. 32 ss). Uważa on, że monarchiści zgodni byli z wiekszością Zgromadzenia w tem posiedzeniu i rozmyślnie swoje przekonania pogwałcili. Zachowanie się monarchistów po 14. lipca temu zaprzecza.

mniej zapobiegali jakiemuś jasnemu sformułowaniu prawa Konstytuanty wmieszania się w obsadzenie stanowisk ministerjalnych. Odnośny ustęp uchwały Konstytuanty, powzięty na skutek tych starań monarchistów, brzmiał jak następuje:

»Zgromadzenie narodowe, jako tłumacz uczuć narodu, oświadcza, że p. Necker, jak i inni ministrowie, którzy zostali oddaleni, unoszą ze sobą jego szacunek i jego żal!«.

Trudno było w danych warunkach łagodniej sformułować stanowisko Konstytuanty. Wprawdzie była tu zupełnie jasno sformułowana wskazówka, kogo sobie Konstytuanta jako ministrów życzy, precedens wmieszania się jej do nominowania ministrów był zrobiony, ale uniknięto powiedzenia jasnego czegokolwiek, coby umniejszało swobodę królewską w tym względzie. Wszystko zależało w tych warunkach od dalszego przebiegu wypadków, od wzajemnego stosunku sił.

I w tym momencie przemówił Paryż. 14. lipca padła Bastylja. Okazało się, po czyjej stronie jest siła. Gdy król przybył 15. lipca do Konstytuanty, prezydent na jego mowę, jasno postawił żądanie przywołania z powrotem dymisjowanych ministrów. Sprawa ta miała się stać znowu przedmiotem obrad Zgromadzenia narodowego 16. lipca z racji dyskusji nad adresem do króla.

Trzy mowy są do podniesienia w tej dyskusji, z których dwie, Barnave'a i Mounier'a dobrze charakteryzują dwa zasadnicze prądy wśród Konstytuanty: prąd dążący do monarchji konstytucyjnej z silną władzą królewską i prąd chcący wprowadzić rodzaj republiki monarchicznej. Trzecia mowa, to mowa wielkiego samotnika, jakim w Konstytuancie był Mirabeau.

Barnave twierdzi, że Zgromadzenie narodowe nie ma prawa żądać dymisji lub nominowania ministrów. Ale nikt nie może zmusić Zgromadzenie, aby utrzymywało kontakt z ministrem, którego działalność uważa za szkodliwą. Tak więc w danym wypadku nie może Konstytuanta żądać od króla przywołania z powrotem Neckkera, może go tylko o to prosić. Łatwo z tego wyprowadzić wniosek, że, o ile Ludwik XVI. tej prośby nie spełni, to w takim razie Konstytuanta jego ministrów będzie ignorowała i wszystkie ich przedłożenia odpierała. Jasną jest rzeczą, że równało się to zmuszeniu króla do wykonania tej prośby, a umieszczenie słowa »prośba« zamiast »żądanie« miało tylko grzecznościowe znaczenie. De facto byłoby to wprowadzenie rządów parlamentarnych. Znaczenie mowy

Barnave'a polega na tem, że poraz pierwszy sformułowano w niej sposób, w jaki ma być wywierana presja na króla, w razie powoływania przez niego ministrów, nie mających zaufania Konstytuanty. A sformułowanie to podane było przez Barnave'a tak, że stwarzało pozór, jakoby »fetysz« podziału władz był uszanowany.

Monarchiści znaleźli się w położeniu przymusowem. Dali wydrzeć sobie z rąk inicjatywę, zepchnięci zostali w defenzywę i musieli teraz zedrzeć maskę. Ich przewódca Mounier jasno stanął na gruncie prerogatywy królewskiej. »Odmówić zaufania ministrowi« powiada, »w którym król zaufanie pokłada, byłoby ze strony Zgromadzenia narodowego. sposobem pośrednim zmuszania króla do udzielenia mu dymisji« a to byłoby »naruszeniem swobody i władzy, jaką król powinien posiadać w formowaniu swojej rady i swego ministerjum«. Wobec przekonania, jakie tkwiło w większości członków o konieczności niezawisłości władzy wykonawczęj od prawodawczej w myśl zasady podziału władz, nie trudno było udowodnić Mounierowi, że plany Barnave'a są naruszeniem tej zasady, takiej, jak ją wówczas pojmowano I, rzecz charakterystyczna, Mounier, angloman, widzący w ustroju brytyjskim ideał godny naśladowania, wykazywał na przykładzie angielskim zgubny rezultat mieszania się organów władzy prawodawczej w sprawę obsadzenia stanowisk ministerjalnych. Ciekawy to przyczynek do tego, jak monarchiści ustrój angielski pojmowali.

W mowie Mirabeau dużo jest demagogji. Ale jeśli się ją pominie, to przyjdzie się zdumieć nad prawdziwą genjalną intuicją, z jaką wielki mówca umiał wykazać iluzoryczność zasady podziału władz. »Będziemy mieli niedługo sposobność«, mówił, »zbadać tę teorję trzech władz, która dokładnie zanalizowana, wykaże może łatwość, z jaką umysł ludzki bierze słowa za rzeczy, formuły za argumenty i w jaką popada rutynę, dążąc do pewnej kategorji idei, bez zastanowienia się nad ich zrozumiałem określeniem...« Znać w tych słowach wpływ Russa. Oryginalność Mirabeau polega na tem, że skrytykowal on zasadę podziału władz w odniesieniu do systemu reprezentacyjnego. Odrzuciwszy tę zasadę, mógł ze szczególną siłą, bez sofistyki Barnave'a domagać się prawa Konstytuanty ingerencji w obsadzeniu ministerstw. Zakończył apologją ustroju angielskiego, wykazując, jak tam właśnie zasada podziału władz zastosowania niema. Sprytnie w ten sposób zmatował monarchistów.

Na posiedzeniu 16. lipca dyskusji nie ukończono, bo tymczasem Konstytuanta się dowiedziała, że król Neckera przywołał z powrotem. W tej kapitulacji króla trzeba odróżnić stronę faktyczną od formalnej. Faktycznie król zmienił swoje stanowisko nie tyle pod presją Konstytuanty, co pod naporem ludu paryskiego. Zburzenie Bastylji było tym momentem, który zmusił Ludwika XVI do zaniechania dalszego oporu. Formalnie, nie dało się zaprzeczyć, że Zgromadzenie narodowe uznało za stosowne, choćby w najoględniejszej formie, wmieszać się do nominacji ministrów i że krok ten uwieńczony został powodzeniem Precedens został stworzony, konieczność zaufania większości Konstytuanty dla ministrów pośrednio stwierdzona. Logicznie rzecz biorąc, mogłoby się wydawać, że równało się to wprowadzeniu rządów parlamentarnych. Przyszłość okazała, że niezupełnie tak było. Na to trzebaby było, aby Konstytuanta miała przekonanie o swojem prawie zmuszania ministrów do dymisji. Tymczasem było wręcz przeciwnie, ogromna większość Konstytuanty, uważałaby to za nadużycie władzy z jej strony. Była to sytuacja odwrotna, jak to zwykle ma miejsce przy kształtowaniu się rządów parlamentarnych. Zwykle organa prawodawcze domagają się zależności rządu od nich i uważają to swoje żądanie za zupełnie normalne i legalne w każdym ustroju konstytucyjnym, a jeśli go nie przeprowadzają, to dlatego, że nie mają dość siły, aby je wymóc na głowie państwa. Konstytuanta przeciwnie, siłę po dniach lipcowych 1789 r. naogół miała, ale skorzystanie z niej uważała za nieprawne. Stąd niejasny dalszy przebieg stosunku Zgromadzenia narodowego do rządu.

Że siła w tej sprawie była po stronie Konstytuanty, tego dowodem zachowanie się króla w najbliższych tygodniach po 14. lipca. Necker z wygnania powrócił, objął urzędowanie i zgłosił się w Konstytuancie. 4. sierpnia zaś Ludwik XVI. zawiadamia Zgromadzenie narodowe[1], że »w zamiarze utrzymywania z niem jaknajbardziej stałej i przyjaznej harmonji«, powierzył szereg departamentów ministerjalnych posłom, a mianowicie pieczęć arcybiskupowi z Bordeaux, zawiadywanie beneficjami arcybiskupowi z Vienne, departament wojny de la Tour-du-Pin-Paulin i powołał marszałka de Beauveau do swojej rady[2]. Konstytuanta uchwaliła adres dzięk-

[1] M. I. 277.

[2] T. zn. zamianował arc. z Bordeaux pieczętarzem (garde de sceaux) arc. z Vienne i de la-Tour-du-Pin-Paulin sekretarzami Stanu, a mar-

czynny do króla. Król więc wyraźnie chciał złożyć swoje ministerjum po myśli Konstytuanty, z jej łona dobrał sobie ministrów, zamianował ich jednak bez uprzedniego porozumienia się z Zgromadzeniem narodowem, zupełnie od niego niezależnie, i mianując posłów, wziętych raczej z jego mniejszości, niż z większości. Konstytuanta zaś uznała w tem coś w rodzaju łaski królewskiej. Wszystko to charakteryzuje, jak mimo wydarzeń lipcowych, niejasne były pojęcia co do zależności ministrów od organów władzy prawodawczej.

Ale oto odwrotna strona sytuacji. Dnia 7. sierpnia przychodzą ministrowie do Konstytuanty. Jako pierwszy między niemi w porządku etykietalnym przemawia w ich imieniu garde-des-sceaux arc, Bordeaux. Przedstawia stan rozruchów i życzenie króla, aby Konstytuanta jaknajskuteczniej zajęła się ich stłumieniem i kończy w sposób następujący:[1] »A my, panowie, których tak wyraźnie zaszczyciliście waszą życzliwością, my ministrowie króla, który chce tylko jedno, aby być jednością z narodem, my, którzy jesteśmy odpowiedzialni tak wobec króla, jak wobec narodu za nasze rady i za naszą administrację... przychodzimy do was z domaganiem się waszych wskazówek, i waszego poparcia, aby uchronić naród od nieszczęść, które na niego spadły lub mu zagrażają«. Jest w tem zakończeniu mowy arc. z Bordeaux dużo retoryki, ale łatwo się w niem dopatrzeć, że ministrowie uważają się za powołanych nie do wykonywania rozkazów królewskich bez zastrzeżeń, ale do sprawowania rządów w jego imieniu, i że zdają sobie sprawę ze stanu faktycznego, iż bez poparcia Konstytuanty utrzymać się nie będą mogli. — Nakoniec zaznaczyć należy, że ministrowie uznali za stosowne powstrzymać się od wykonywania funkcyj poselskich i wyjątkowo zjawiali się, tak, jak i inni ministrowie na posiedzeniu Konstytuanty, stwarzając w ten sposób zły precedens dla sprawy, która się miała stać niedługo aktualną.

Dla niejasności stanowiska Konstytuanty wobec rządu, charakterystycznym jest przebieg posiedzenia 26. września 1789 r.[2]. Dwa dni przedtem przedstawił Necker szereg wniosków finansowych. Wszyscy uznawali ich nagłość i konieczność natychmiasto-

---

szałka de Beauveau, nie dając mu żadnego urzędu, powołał do rady tajnej (conseil en haut).

[1] M. I. 302 ss.

[2] M. I. 516 ss.

wego ich przyjęcia en bloc, bez wszczynania nad niemi szczegółowej dyskusji, któraby mogła przeciągnąć ich uchwalenie. Mirabeau przedstawił wniosek, w którym motywował przyjęcie przedłożeń finansowych Neckera »bezgranicznem zaufaniem« jakiego dowody dał mu naród cały, innemi słowy wystylizował wniosek tak, że równał się on uroczystemu votum ufności dla ministra. Na to Duval d'Espremenil zauważył, że nie odpowiadałoby godności Zgromadzenia ani ganić ministra, ani go chwalić i uchwalono ostatecznie przyjąć odnośne przedłożenia finansowe bez komentarzy. Nikt w Konstytuancie nie odmawiał podówczas poparcia Neckerowi. odrzucając wniosek Mirabeau, nikt nie chciał wyrażać krytyki jakiejkolwiek ministrowi, chodziło o zasadnicze stanowisko Konstytuanty, uznanie niezależności ministrów od niej, stwierdzenie, że nie jest powołana ona do tego, aby wyraźnie uchwalać ich krytykę, czy to dodatnią, czy ujemną.

Taki stan rzeczy był anomalją. Stać na stanowisku niezawisłości ministrów od Konstytuanty, unikać czegokolwiek, coby pod względem formy tę niezawisłość mogło podawać wątpliwość, gdy z drugiej strony niewątpliwy stan faktyczny od 14. lipca był taki, że żaden minister nie mógł się utrzymać wbrew woli Zgromadzenia narodowego, to było położenie paradoksalne, z którego musieli sobie zdać sprawę realnie na rzeczy patrzący posłowie. Zdawał sobie z tego przedewszystkiem sprawę Mirabeau. Widać to z mowy jego, wypowiedzianej w ciągu dyskusji nad odpowiedzialnością ministrów dnia 29. września 1789[1]. Rozróżnia on w niej wyraźnie odpowiedzialność prawną ministrów od odpowiedzialności politycznej. »Jest rzeczą niewątpliwą« powiada, »że minister powinien znać swój zawód; jest rzeczą także niewątpliwą, że jeśli uchwali się postawić go w stan oskarżenia, będzie surowo ukarany, jeśli zaś będzie winnym tylko pomyłki notorycznej, w takim razie będzie uznanym za zupełnie niezdolnego do funkcyj ministerjalnych«. Poczem domaga się, aby ministrowie byli dobierani z pośród członków Zgromadzenia narodowego, wykazuje dobre strony obecności ministrów na posiedzeniach, ilustruje to przykładem Anglji i w konsekwencji tego stanowiska, uznaje za zbędne wstrzymanie się od wykonywania funkcyj poselskich przez nowozamianowanych ministrów. Sprawa ta nie miała być rozstrzygniętą

---

[1] M. I. 532 ss.

we wrześniu, była to tylko pierwsza próba ze strony Mirabeau, który gotował się do odegrania roli pierwszego ministra, a nie chciał rezygnować ze swego stanowiska leadera Konstytuanty. Po rozruchach październikowych rozpoczął on usilną akcję w tym kierunku[1]. Skomunikował się z przewódcami lewicy, w pierwszym rzędzie z będącym bożyszczem dnia La Fayettem. Dążył do utworzenia rządu, parlamentarnego, do którego by wszedł bez specjalnego departamentu[2]. Jasna rzecz, że był pewien, iż raz dostawszy się do rządu, odgrywać tam będzie pierwszą rolę. O konieczności rządów parlamentarnych byłby może niejednego przekonał, ale nie zdołał przezwyciężyć nieufności do swojej osoby. Jego skandaliczna przeszłość, jego sytuacja bankruta, obciążonego długami, zbyt dobrze była wszystkim znana. W każdym razie pierwszym krokiem do objęcia władzy musiało być wywalczenie zasady, że ministrowie mogą się rekrutować z pośród członków Konstytuanty i mogą uczestniczyć w jej posiedzeniach. Jasną jest rzeczą, że przeprowadzenie tych postulatów byłoby zmieniło radykalnie dotychczasowy niejasny stan rzeczy, byłoby doprowadziło do stałej kontroli nad rządem i do wykształcenia się odpowiedzialności politycznej ministrów. Tak więc osobiste zamiary Mirabeau zbiegły się z jego poglądami na stosunek władzy wykonawczej i prawodawczej, a jego przekonaniem o iluzoryczności zasady podziału władz. Sprawa ta stała się aktualną na posiedzeniach 6-go i 7-go listopada 1789 r.[3]. Mirabeau postawił wniosek, »że ministrowie Jego królewskiej Mości będą wezwani do uczestniczenia w zebraniach Zgromadzenia z głosem doradczym«. Uchwalenie tego wniosku spełniało zamiary Mirabeau wobec tego, że nominowaniu ministrów z pośród członków Konstytuanty nie stała aż do tej chwili żadna formalna przeszkoda na drodze, (czego najlepszym dowodem niedawne powołanie paru z pośród nich na ministrów), było więc rzeczą zbyteczną specjalne sformułowanie tego najważniejszego dla Mirabeau postulatu. Był on w ciężkiej sytuacji, stawiając swój wniosek. Wszyscy wiedzieli, że przemawia pro domo sua, że w ten sposób chce torować sobie

---

[1] Sagnac op. cit. str. 206, ss., L. Barthou, Mirabeau, Duvergier, de Hauranne op. cit. str. 106 ss.

[2] Corespondance entre le comte de Mirabeau et le comte de la Marck, Paris 1851, t. I, str. 411, notatka Mirabeau.

[3] M. II. 150 ss., L. Barthou Mirabeau str. 200 ss., Duvergier de Hauranne, str. 108 ss.

drogę do władzy. Wszyscy, co żywili do niego niechęć lub nieufność, musieli się sprzymierzyć dla odrzucenia jego postulatów, choćby merytorycznie przyznawali mu słuszność. Ale niezależnie od jakichkolwiek względów osobistych, czy politycznych, miał Mirabeau do zwalczenia u większości członków Konstytuanty zasadniczą niechęć do stałego uczestniczenia ministrów w posiedzeniach Konstytuanty. Wypływała ona z dwóch wspomnianych poglądów o stosunku władzy wykonawczej do prawodawczej: wiary w zbawienność zasady podziału władz i w nieuchronną wrogość egzekutywy do legislatywy. Uczestniczenie ministrów w posiedzeniach Konstytuanty wydawało się posłom jaskrawem naruszeniem zasady podziału władz, pomieszaniem jakiemś niesamowitem dwóch władz, które powinne funkcjonować zupełnie oddzielnie od siebie, możliwie ze sobą się nie stykając. Dowód, jak szematycznie i dosłownie była ta zasada za Mablym pojmowana. Z drugiej strony obawiano się, że ministrowie, przebywając stale w łonie Konstytuanty, będą, idąc za swoją »przyrodzoną« wrogością względem niej, działali intrygująco i deprawująco, będąc całym swym autorytetem »ministerjalnym« wpływali na tok obrad Zgromadzenia, tego Zgromadzenia, które przedewszystkiem z natury rzeczy ich powinno się wystrzegać. Mając do czynienia z takiemi uprzedzeniami, Mirabeau w mowie swojej, uzasadniającej jego wniosek, mniej starał się o zwalczenie ich bezpośrednie, co o wykazanie dobrych stron udziału ministrów w obradach ciała prawodawczego. Zwraca uwagę na przykład Anglji i wykazuje, co tam oznacza współdziałanie ministrów z parlamentem. »Naród uważa ich obecność (ministrów w parlamencie) nie tylko jako absolutnie potrzebną, ale jako jeden ze swoich wielkich przywileji. Wykonuje w ten sposób nad wszelkimi aktami władzy wykonawczej kontrolę ważniejszą, niż jakikolwiek inny rodzaj odpowiedzialności. Każdy członek Zgromadzenia może się do nich zwracać z zapytaniem. Minister nie może się uchylić od odpowiedzi. Kolejno mówi się do niego; każde zapytanie jest oficjalne i ma całe Zgromadzenie za świadka. Wymigiwania się, niedopowiedzenia są natychmiast sądzone przez wielką liczbę ludzi, którzy mają prawo prowokowania odpowiedzi dokładniejszych; a jeśli minister wymija się z prawdą, nie może się uchronić przed wytknięciem mu tych właśnie słów, których użył w swoich odpowiedziach«. Poczem wykazuje Mirabeau konieczność dla ciała prawodawczego ciągłego

informowania się u organów władzy wykonawczej i zapytuje »Czy będzie się ich pytać drogą dekretu Zgromadzenia? Ileż wówczas naraża się na powolności, na zwłoki, na odpowiedzi wymijające i niejasne, na konieczność ponawiania dekretów«. I Mirabeau rozprawia się z zarzutem, jakoby obecność ministrów ułatwiała im ich walkę z Konstytuantą. Wręcz przeciwnie. Jakże, zapytuje, może minister zwalczać Zgromadzenie jawnie w obecności wszystkich członków Konstytuanty. Wpływ ministrów polega albo na ich »talentach i cnotach«, a w takim razie nie jest szkodliwym, albo na »tajnych zabiegach, uwodzeniach, korupcjach« a w takim razie może być w czyn wprowadzony tylko poza Zgromadzeniem, nigdy na jego posiedzeniach. Wreszcie zwraca uwagę Mirabeau, że w razie przyjęcia jego wniosków łatwiej będzie uniknąć konfliktów między władzą wykonawczą, a prawodawczą. Taktyka Mirabeau jest dwulicowa w tej mowie. Z jednej strony rozwiewa on obawy lewicy co do zgubnego wpływu ewentualnego uczestniczenia ministrów w posiedzeniach Konstytuanty. Z drugiej strony nie stawia kropki nad i, nie wyciąga wszystkich wniosków, jakie wypływają z jego propozycji, nie przedstawia całkowitego programu rządu parlamentarnego, które byłyby logiczną konsekwencją takiej kontroli ciała prawodawczego nad ministrami, jaką on odmalowuje [1]. Nie robi tego, raz aby nie wysuwać zanadto swojej osoby, któraby w pierwszym rzędzie w rachubę wchodziła, powtóre, aby nie zrażać sobie prawicy, którejby podporządkowanie ministrów pod Konstytuantę, uczynienie ich od niej formalnie zawisłymi, wydało się zgubnem umniejszeniem autorytetu króla. Ewentualności, że taki rząd przez Konstytuantę wyłoniony, mógłby być z jednej strony jej faktycznym przywódcą, z drugiej strony niezawisłym od króla, jak się to rzecz ma przy rządach parlamentarnych, tej ewentualności, którą Mirabeau miał z pewnością na myśli, tembardziej wysunąć nie mógł, że uciekłyby od niej z przerażeniem obie strony Zgromadzenia narodowego. Jedna jest rzecz w każdym razie pozytywna w przemówieniu Mirabeau: jasne sformułowanie prawa interpelacji i jej stron dodatnich. Kwestję podziału władz przezornie Mirabeau ominął.

---

[1] Twierdzenie Saignaca, jakoby Mirabeau przedstawił plan rządów parlamentarnych, zdaje się nam być przesadzone. Z przytoczonych cytatów wynika, ile było w mowie Mirabeau niedopowiedzianego.

W dyskusji za wnioskiem Mirabeau wypowiedzieli się monarchiści. Clermont-Tonnere postawił nawet kwestję wyraźniej od samego wnioskodawcy. »Nieraz« powiada »jęczeliśmy z powodu ministrów nieudolnych, a despotyzm ministrów nieudolnych jest nieszczęściem najbardziej upokarzającem dla ludzi wolnych; lecz dopuszczeni pomiędzy was, w cztery dni nie będziecie mieć ministra, albo nie będzie nieudolnym«. Było to dopowiedzenie tego, czego nie dopowiedział Mirabeau, było to jasne sformułowanie istoty rządów parlamentarnych. Clermont Tonnere, tak stawiając kwestję, nie był szczerym, liczył przeciwnie, że autorytet ministrów, zależnych od monarchy, zagóruje nad Konstytuantą, zależność ich od Zgromadzenia narodowego wcale nie leżała w ich zamiarach, podnosząc ją, chciał dla wniosku Mirabeau zyskać lewicę i rozprószyć jej uprzedzenia. Niemniej utrafił w sedno rzeczy.

Przeciwko wnioskowi przemawiała prawica (Montlosier) z nienawiści i obawy przed Mirabeau. Po części z tych samych powodów, ale także i ze względów zasadniczych, opowiedziała się przeciw niemu lewica. Lanjuinais wysuwa wielki szkopuł teoretyczny, zasadę podziału władz. Rolę miał łatwą, aby udowodnić, że wniosek Mirabeau jest z tą zasadą sprzeczny. Blin wykazuje, że w Anglji obecność ministrów w parlamencie, nietylko nie pociąga za sobą jakichś skutków dodatnich, ale wręcz przeciwnie jest powodem ciągłego pogwałcenia wolności i zwichnięcia obrad parlamentu i znowu miał rolę łatwą, wobec notorycznego faktu panującej tam od czasów Walpole'a korupcji, wobec niedawnych osobistych a nieudolnych rządów króla, krytych przez lorda Northa. W tym kierunku szła argumentacja przeciwników Mirabeau.

Poczuł on, że przegrał sprawę. Jest pewne fatum w tem, że rzecznikiem rządów parlamentarnych w Konstytuancie był człowiek, który mimo wszystkich swoich talentów i całej swojej wymowy, musiał narazić na szwank każdą sprawę, której bronił, przez nieufność, jaką żywili wszyscy do jego charakteru. W mowie, którą wygłosił dla zakończenia dyskusji, powtórzył jeszcze raz wszystkie swoje argumenty za dopuszczeniem posłów na posiedzenia Konstytuanty. Akcentuje tylko silniej konieczność harmonji między organami władzy prawodawczej i wykonawczej. Był jednym z nielicznych, którzy rozumieli, że wrogi stosunek tych dwóch władz nie jest tak naturalny i konieczny, jak się to wydawało większości posłów. »Czyż Zgromadzenie narodowe« pyta on »i mi-

nisterjum muszą być tak rozdzielone, tak przeciwstawione jedno drugiemu, że trzeba usunąć wszelkie sposoby, któreby mogły wprowadzić więcej zrozumienia, więcej zaufania, więcej jedności w zamiarach i poczynaniach«. Mirabeau czując swoją przegraną zakończył mowę ironicznym wnioskiem, aby wykluczyć z stanowisk ministerjalnych tylko jego samego.

Powzięta uchwała brzmiała jak następuje: »Żaden członek Zgromadzenia narodowego nie będzie odtąd mógł wejść do ministerjum w ciągu trwania obecnej sesji«. Była to na całej linji przegrana Mirabeau. Powtórzmy jeszcze raz, o co mu chodziło: najpierw o to, aby z pośród członków Konstytuanty dobierano ministrów, powtóre aby ministrowie mogli uczestniczyć w jej posiedzeniach. Pierwszego z postulatów, jak zaznaczyliśmy, poruszać nie potrzebował, drugi szedł przeciwko dotychczas praktykowanemu zwyczajowi, dlatego Mirabeau postawił swój wniosek. Sytuacja jego przeciwników była odwrotna: nie potrzebowali specjalnie sformułować zakazu bywania ministrów na posiedzeniach Konstytuanty, skoro to już faktycznie obowiązywało. Natomiast jeśli, tak dla zamknięcia ostatecznego Mirabeau drogi do władzy, jak i ze względów zasadniczych, pragnęli zapobiec nominowaniu ministrów ze swego łona, to tu konieczność sformułowania nasuwała się, wobec praktyki odwrotnej. Stąd wspomniana uchwała, która uczyniła położenie członków Konstytuanty, aspirujących do stanowisk ministerjalnych, beznadziejnem. Przedtem ministrami zostać mogli, wyrzekając się wykonywania swoich funkcyj poselskich, po tej uchwale droga do władzy była im ostatecznie zamkniętą. — Słowo »odtąd« w uchwale oznaczało, że nie miała ona działać wstecz, że Konstytuanta nie chciała zmuszać tych swoich członków, którzy poprzednio ministrami zostali, do podania się do dymisji.

W ten sposób zostały pogrzebane rządy parlamentarne na czas trwania Konstytuanty i stworzony został precedens, który miał zaciążyć i nad koustytucją 1791 r. Stan rzeczy, wytworzony po 14. lipca został usankcjonowany, a nawet pogorszył się znacznie. Mamy obecnie rząd formalnie od Konstytuanty niezawisły, od niej hermetycznie oddzielony, przy ciągle trwającym stanie faktycznym, że się bez jej poparcia obejść nie może, że każdej chwili może być przez nią do dymisji zmuszony.

W uchwale z 7. listopada było jedno niedomówienie. Nie

było jasno powiedziane, że członek Zgromadzenia, o ile zrzeknie się swego mandatu, a więc członkiem być przestanie, również nie będzie mógł być ministrem. Widocznem jest, że tego sposobu ominięcia dekretu z 7. listopada chwycić się chciano. Z mowy księcia de la Roche-Foucaud[1] widać nawet, że chciano pójść dalej, że usiłowano zmienić ten dekret w ten sposób, aby poseł na wzór zwyczaju angielskiego, otrzymawszy jakieś stanowisko rządowe, musiał wprawdzie mandat złożyć, ale mógł poddać się ponownemu wyborowi, i o ile zostanie wybrany, mógł mandat zatrzymać. Usiłowania te spaliły na panewce i doprowadziły tylko do uchwalenia nowego dekretu, w którym powiedziane jest, że Zgromadzenie narodowe zgodnie z duchem swego dekretu z 7. listopada, oświadcza, że żaden członek obecnego Zgromadzenia narodowego, nie będzie mógł przyjąć od rządu w czasie trwania tej sesji, zadnego stanowiska, pensji, wynagrodzeń, zajęć, nawet udzielając »swoją dymisję«. Nie tylko więc nie zostawiono żadnej furtki dla obejścia dekretu z 7. listopada, ale rozszerzono go na wszelkie wogóle urzędy.

Przez pierwsze trzy kwartały 1790 r. skład rządu pozostał niezmieniony, i niezmienionem też ustosunkowanie się Konstytuanty do ministrów. Mimo ciągłych krytyk, mimo tonu używanego wobec ministrów, obowiązkowo wrogiego, nie miało Zgromadzenie narodowe sposobności wykazać swojej siły. W sierpniu jednak 1700 r. stosunki zaogniły się na tyle, że zaufanie do ministrów, w pierwszym rzędzie do Neckera, którego kwalifikacje finansowe zawiodły na całej linji, było tak zachwiane, że zaczęło się to przejawiać w formach równających się votum nieufności. Tak 17. sierpnia 1790 r.[2] Konstytuanta uchwaliła przejść do porządku dziennego nad memorjałem w sprawie pensji, przesłanym przez Neckera. Takie zignorowanie jego propozycji, równało się naganie ministra. I pokazała się cała dwuznaczność położenia. Konstytuanta straciła do ministra zaufanie, życzyła sobie jego dymisji i znalazła sposób, aby mu to wyrazić swoją uchwałą. W systemie rządów parlamentarnych natychmiastowa dymisja ministra byłaby skutkiem takiej uchwały. Ale w myśl zasad przyjętych przez tę właśnie Konstytuantę, minister nie potrzebował zwracać uwagi na takie lub inne

---

[1] M. III. str. 35, 16 styczeń 1790.

[2] M. V. str. 416.

stanowisko wobec niego Zgromadzenia narodowego, jak długo miał zaufanie króla. W tej sytuacji Necker pewien czas pozostał na urzędzie, poczem przekonawszy się, że wbrew woli większości Konstytuanty rządzić nie może, podał się do dymisji. Było to jaskrawą ilustracją dysproporcji między stanem formalnym a faktycznym, między teorją a praktyką, jaki cechuje stosunek Konstytuanty do rządu.

Sprawa tego stosunku weszła na porządek dzienny na posiedzeniach 8 i 10 października 1790 r.[1]. Pod pretekstem rozruchów w Brest, Menou, referent połączonych komitetów dyplomatycznego, kolonialnego, wojskowego i marynarki, na zakończenie swego sprawozdania, malującego niedołężność administracji prowincjonalnej postawił wniosek: »Zgromadzenie narodowe... rozpatrując położenie obecne państwa i rozpoznając, że nieufność ludów wobec ministrów powoduję brak siły rządu, uchwala, żeby jego prezydent udał się do króla, aby przedstawić Jego królewskiej mości, że nieufność, jaką ludy powzięły wobec obecnych ministrów, jest powodem jaknajwiększych przeszkód w przywróceniu porządku publicznego, w wykonywaniu praw i w dokończeniu konstytucji«. Jest to brutalnie ostre wyrażenie braku zaufania, ale jak sofistycznie sformułowane! Nie ma tu domagania się dymisji ministrów, a tylko »zwrócenie królowi uwagi na ich szkodliwość«. Nie Konstytuanta wyraża im nieufność, ale »ludy«, których uczuć jest ona tylko wyrazicielką. Wszystko to miało ratować pozory niemieszania się Konstytuanty w sprawę obsadzenia stanowisk ministerjalnych.

Dyskusja, jaka się wywiązała, jeszcze raz zilustrowała poglądy Zgromadzenia narodowego w tej kwestji, splot trudności i sprzeczności, w jaki samo się uwikłało. Monarchiści oczywiście wnioskowi się sprzeciwili, Cazales po namiętnym ataku na ministrów tak mówi dalej: »Uważałem za stosowne ze szczerością, właściwą memu charakterowi, wyrazić moją opinję o ministrach obecnych i przeszłych przed zwalczeniem komitetu. Będę go zwalczał mimo mojej pogardy dla tych ministrów, ponieważ narusza on zasadnicze podstawy monarchji. W państwie są dwie władze: prawodawcza i wykonawcza. Na ich zupełnej niezawisłości spoczywa wolność publiczna. Gdyby ciało prawodawcze uzurpowało władzę nominowania mini-

---

[1] M. IV. 151 ss. i M. VI. 166 ss.

strów, władza wykonawcza byłaby pogwałconą, obie władze skumulowane w jednym ręku i jęczelibyśmy pod nie dającym się ścierpieć despotyzmem«. Wierny uczeń Monteskiusza dał tutaj raz jeszcze, zawsze przy takiej sposobności używaną, charakterystykę podziału władz i udowodnienie, jak ta zasada jest naruszoną przez ingerencję organów ustawodawczych w nominację ministrów. Następnie Cazales rozsuwa sofistyczne zasłony wniosku Menou, wykazuje, że przemawianie imieniem ludu równa się nakazywaniu królowi przez Konstytuantę udzielenia ministrom dymisji, dowodzi zupełnie logicznie i w przeczuciu niejako, czem są rządy parlamentarne, że »gdyby Zgromadzenie przez swój wpływ wykluczało z rady królewskiej ludzi powołanych tam przez zaufanie monarchy, niedługo doszłoby do tego, żeby ich nominowało, i popadlibyśmy w najbardziej potworną z tyranji«. Rzecz najbardziej charakterystyczna dla pojmowania ówczesnego ustroju Anglji. Cazales powołując się na przykład Anglji, oświadcza, że niema przykładu w historji, aby minister był tam odwołany na życzenie parlamentu[1]. Jest to jeszcze jeden dowód, że ustrój Anglji, taki jaki był współcześnie z wybuchem rewolucji francuskiej, i tak jak się on przedstawiał posłom Konstytuanty, nie mógł posłużyć za wzór dostateczny dla utworzenia rządów parlamentarnych. — Cazales kończy, że jest tylko jeden sposób wpływania na obsadzenie stanowisk ministerjalnych, to postawienie ministrów w stan oskarżenia, o ile jest po temu podstawa prawna. Uznaje więc tylko odpowiedzialność prawną ministrów, odpowiedzialność polityczną uważa za szkodliwą i nielegalną. — W tym duchu przemawiali i inni monarchiści, w pierwszym rzędzie Clermont-Tonnere i Malouet. Ten ostatni postawił wniosek, w którym podkreślana jest odpowiedzialność ministrów za ich niedbałość w tłumieniu rozruchów. Wniosek ten, zbyteczny z punktu widzenia prawnego, bo przecież ministrowie byli już odpowiedzialnymi na podstawie obowiązujących dekretów, postawiony był, dla zapobieżenia uchwaleniu wniosku Menou, trzymał się w ramach zasady podziału władz i tylko prawnej odpowiedzialności ministrów, ale zawierał domniemaną dla nich naganę, bo

---

[1] Charakterystycznem tutaj jest, że Cazales mógł zaryzykować takie twierdzenie i że nikt mu nie zaprzeczył, jakkolwiek wypadki ustępowania ministrów w Anglji w wieku XVIII., na skutek votum nieufności parlamentu, miewały miejsce. Wiedzieć o tem musieli posłowie tacy jak Mounier, lub Lally-Tollendal.

przecież nikt nie mógł inaczej zrozumieć takiego przypomnienia ministrom odpowiedzalności za »niedbałość« jak tylko jako wytknięcie im tej właśnie niedbałości.

Słabą była pozycja zwolenników wniosku Menou. Człowiek, który tak trafnie umiał w debacie lipcowej wytknąć niedorzeczności dosłownego pojmowania zasady podziału władz, Mirabeau, milczał będąc przez dwór przekupiony. Nie próbował jej atakować Barnave, którego mowę uznać trzeba za najcharakterystyczniejszą dla zwolenników zmuszenia ministrów do ustąpienia. Dowodził on niewystarczalności odpowiedzialności prawnej ministrów. Wykazuje, że może ona okazać się skuteczną, tylko o tyle, o ile minister popełni konkretny występek, przewidziany prawem karnem, nawet zaś jeśli taki występek jest popełniony, to o tyle, o ile są wystarczające dowody dla skazania go, i że w każdym razie, trzeba dłuższego przeciągu czasu, »aby oskarżenie usprawiedliwione zmusiło ich do ustąpienia«. »Trzebaby« powiada Barnave »dopuścić do zguby sprawy publicznej, zanim by się sformułowało przeciw nim ogólną nieufność«.

Tym razem zwyciężyła obawa Konstytuanty przed naruszeniem zasady podziału władz. Wniosek Menou został odrzucony. Ale z dyskusji wynikło, że nikt zaufania do ministrów nie miał, że nie znalazł się ani jeden poseł, któryby ich bronił, a przeciwnie wszyscy życzyli sobie ich ustąpienia i uważali je za pożądane, a nawet za konieczne. Odrzucenie więc wniosku Menou nastąpiło nie z powodu życzliwości dla ministrów, ale jedynie i wyłącznie z powodów zasadniczych: szacunku dla niezawisłości władzy wykonawczej, poczucia, że jakiekolwiek danie do poznania, drogą formalnej uchwały, takiego lub innego życzenia co do obsadzenia stanowisk ministerjalnych, byłoby tej niezawisłości naruszeniem. Mimo to powzięła Konstytuanta uchwałę, którą dawała poznać, jak małe miała zaufanie do większości ministrów.

Sytuacja była mianowicie taka, że z pośród ministrów, jeden Montmorin, dzierżący tekę ministra spraw zagranicznych, posiadał zaufanie większości Zgromadzenia. Wobec przebiegu dyskusji, w której wszyscy potępiali ministrów, nie wymieniając ich imiennie, tak, że mogło się wydawać, iż te ataki dotykają także i Montmorina, zwolennikom jego wydało się wskazanem przez specjalną uchwałę zaznaczyć, że wszystkie te ataki jego nie dotykają. Z tego powodu Chapelier postawił wniosek następujący: »Zgromadzenie

narodowe oświadcza, że pan Montmorin nie stracił zaufania publicznego, od chwili, w której otrzymał jego oznaki«. Wniosek ten uchwalono. Było to nielogicznością, bo, jeśli Zgromadzenie narodowe stanęło na stanowisku, że nie ma prawa wyrażać ministrom swojej nieufności, równie dobrze powinno było uznać, że nie ma prawa wyrażać ministrom swego zaufania. Jeśli pierwsze zmuszało króla do udzielenia ministrom dymisji, to drugie zmuszało go do zatrzymania ministra w urzędzie[1]. Poza tą »teoretyczną« stroną tej uchwały, była ona w danym momencie i czemś więcej. Uchwalenie jej po takiej dyskusji, jaka miała miejsce, wyrażenie w tych warunkach specjalnie jednemu ministrowi zaufania, nie mogło być inaczej interpretowane, jak pośrednie zdeklarowanie braku tegoż zaufania dla reszty ministrów.

Sytuacja była teraz bardziej jeszcze niejasną, niż przed dymisją Neckera Wówczas powzięła Konstytuanta uchwałę, odrzucając propozycję naczelnego kontrolera finansów, którą trzeba interpretować, jako votum nieufności. Teraz, jeśli pominiemy pośrednie wnioski, jakie można wyciągnąć z uchwały powziętej za Montmorinem, żadnej wyraźnej uchwały nie było, przeciwnie było jasne stanowisko Konstytuanty, że dymisję ministrom może udzielić tylko król, że Zgromadzenie narodowe niema prawa w jakikolwiek sposób wyrazić swego życzenia w tej mierze. Z drugiej jednak strony było faktem notorycznie znanym, że ogromna większość Konstytuanty jest ministrom wroga. W tem położeniu groziło niebezpieczeństwo, że tego, co ze skrupułów legalnych nie zrobiła Konstytuanta, że to zrobi lud paryski, że on wywrze presję w kierunku udzielenia dymisji ministrom. Groźba tego jest wyraźną już w przemówieniu Lametha z 21. października[2]: »Władza wykonawcza« powiada »nie daje znaku życia. Skoro Zgromadzenie uważało za niemożliwe oświadczyć, że ministrowie stracili zaufanie publiczne, trzeba będzie się zająć tem, aby przekonać najbardziej powątpiewających, że go nie mają, że na niego nie zasługują«.

Ministrowie czuli fałszywość i słabość swego położenia. W gruncie rzeczy zdawali sobie sprawę ze stanu faktycznego polegającego na tem, że wszystko jedno jakie jest stanowisko for-

---

[1] Tak się ma rzecz z punktu widzenia formalnego. W danym wypadku Ludwik XVI. nie zamierzał bynajmniej Montmorinowi udzielić dymisji, do którego miał zaufanie.

[2] M. VI. 177.

malne Konstytuanty, bez jej poparcia przy władzy pozostać nie mogą. Tegoż właśnie dnia, w którym Lameth mówił, że »władza wykonawcza nie daje znaku życia« wystosowali do króla list z pośrednią prośbą o dymisję[1]. »Uważamy za obowiązek« piszą w nim między innemi »prosić Waszą Królewską Mość o rozważenie, czy nie odpowiada interesom tak jego, jak sprawy publicznej, powołanie innych ministrów. — Mamy powody sądzić, wobec tego co miało miejsce w Zgromadzeniu narodowem, że nie mamy zaufania wielkiej liczby jego członków; i jakkolwiek w poczuciu sprawiedliwości odrzuciło ono dekret, który mu proponowano, jakkolwiek ogólnikowość i zaciętość zarzutów wykazują tylko chęć zwalenia na nas odpowiedzialności za nieszczęścia publiczne, jakkolwiek byłoby nam łatwo wykazać nienaganność naszego postępowania, tak w jego całości, jak i w szczegółach — to jednak może wyniknąć z gwałtowności, jaką usiłuje się wzbudzić przeciwko nam, wrażenie niepomyślne dla dobra waszej służby...« Nie było to więc formalna prośba o dymisję, ale oddanie decyzji w ręce króla. Król odpowiedział, że każdemu z ministrów zosobna da znać o swojej decyzji.

Ministrowie przypuszczali, że wyratują się z tej sytuacji, poświęcając jednego z pośród siebie. Tym kozłem ofiarnym był minister marynarki La Luzerne, wskazany do tej smutnej roli przez to, że rozruchy floty w Brest były pretekstem całej dyskusji nad ministrami. Jemu jednemu król udzielił dymisji[2].

Wówczas wystąpił na arenę lud Paryża[3]. Mieliśmy sposobność już wspominać o tej deputacji z 10. listopada 48 sekcji Paryża, której formalnie przewodniczył mer Bailly, a faktycznie Danton. Jego przemówienie było niedwuznaczne: »Zgromadzenie narodowe« mówił »uważało za stosowne nie wziąć pod uwagę propozycyj, jakie mu uczyniono, aby oświadczyć królowi, że ministrowie stracili zaufanie publiczne. — Zgromadzenie narodowe, przyjaciele wolności, Francja cała była mimo to przekonana, że ministrowie nie posuną się w swym bezwstydzie aż tak daleko, aby tryumfować z dekretu negatywnego. Francja cała była pewna, że dadzą dymisję, której zawsze Zgromadzenie narodowe będzie miało prawo się domagać, skoro to uzna za stosowne«. I wśród żądań posta-

[1] M. VI. 206.
[2] M. VI. 222.
[3] M. VI. 344 i Madelin: Danton.

wionych domaga się Danton, aby Konstytuanta, anulując swoje poprzednie postanowienia, jednak wydała dekret, wzywający monarchę do udzielenia ministrom dymisji.

Wystąpienie Dantona odniosło skutek. Natychmiast podał się do dymisji minister wojny La Tour-du-Pin. Garde des sceaux, arcybiskup Bordeaux, Champion de Cicé [1], wystosował najpierw list do Konstytuanty protestujący przeciw postawionym mu zarzutom [2], poczem również widział się zmuszonym podać się do dymisji [3]. Reszta ministrów, oprócz Montmorin'a ustąpiła również w ciągu najbliższego miesiąca [4].

Przebieg tego kryzysu musiał otworzyć oczy rozsądniejszym członkom Konstytuanty na szkodliwość dotychczasowych stosunków. Przypomnijmy poszczególne etapy tego przesilenia. Konstytuanta chce usunąć ministrów. Wyraźnego dekretu nie uchwala, uważając to za wkroczenie władzy prawodawczej w atrybucje władzy wykonawczej. Ministrowie nie ustępują, prócz jednego, i mają po temu formalnie prawo. Wówczas występuje lud paryski i do ustąpienia ich zmusza. Zajęcie więc doktrynerskiego stanowiska przez Konstytuantę, jej zabobonny szacunek przed zasadą podziału władz, doprowadzał do anarchji. Jeśliby tę anarchję w jakąś formę prawną ująć miano, to chyba w postaci bezpośredniego udziału ludu w rządach, w myśl zasad Russa, a z pogwałceniem zasady reprezentacji, i to udziału nie w prawodawstwie, lecz w obsadzeniu stanowisk ministerjalnych. Było to wpadającym w oczy absurdem. Ten stan rzeczy wywołał refleksje, które się uwidoczniły w uchwaleniu odnośnych artykułów konstytucyjnych. — Zanim jednak przejdziemy do omówienia tych artykułów, winniśmy przedstawić formy zewnętrzne, w jakie ubrany został stosunek Konstytuanty do rządu. Były one odpowiednikiem powyżej przedstawionego politycznego ukształtowania się tego stosunku. Oto jak one się przedstawiają w ogólnych zarysach:

1) Ministrowie, jak wiadomo, nie bywają na posiedzeniach Konstytuanty. Przybywają do Zgromadzenia narodowego tylko wyjątkowo, jeśli mają do złożenia jakieś szczególne ważne oświadcze-

---

[1] M. VI. 346.

[2] M. VI. ꞔ65.

[3] M. VI. 441 z listopada.

[4] Minister finansów, Lambert 14 grudnia 1790 (M, VI. 552). Minister spraw wewnętrznych Guingard 23. grudnia 1790 r. M. VI. str. 722.

nie, lub gdy uchwałą Konstytuanty są wezwani, aby dać osobiście wyjaśnienia w jakiejś konkretnej sprawie. W takim razie mówią, co mają do powiedzenia, i natychmiast opuszczają salę. W żadnym wypadku nie asystują przy obradach. Normalną zaś formą porozumiewania się ministrów z Zgromadzeniem jest forma listowna. Co drugie nieomal posiedzenie otrzymuje Konstytuanta na ręce swego prezydenta listy od ministrów. Przestrzega ona drażliwie, aby postać zewnętrzna tej korespondencji odpowiadała jej godności. Dwukrotnie zwróciła ministrowi list, przysłany jako nota, i nie zapieczętowany, zwracając uwagę na niewłaściwość takiego postępowania [1].

2) W podobny sposób jak komunikowanie się Konstytuanty, jako całości z ministrami, odbywało się komunikowanie się jej komitetów. I tu forma listowna była regułą. Listy komitetów do ministrów bywały podpisywane przez wszystkich jego członków.

3) W wyjątkowych wypadkach uciekała się Konstytuanta do innych form porozumiewania się z ministrami. Wybierano mianowicie specjalnych komisarzy dla odbycia konferencji z ministrem w pewnej konkretnej sprawie. Tak np. 5. grudnia 1789 wybrano komisarzy dla porozumienia się z Neckerem co do jego planów finansowych i uzgodnienia ich z propozycjami członków Konstytuanty [2].

4) W tych warunkach zwrócenie się do ministrów z żądaniem wyjaśnień, to co nazywamy dziś interpretacją, możliwe było tylko pod postacią uchwały Konstytuanty Oto przykład takiej uchwały: Dekret w sprawie bezrobocia z dn. 16 grudnia 1790 kończy się w sposób następujący: »Minister przedstawi Zgromadzeniu rezultat badań (w tej sprawie) ze swojemi uwagami i poglądami, aby umożliwić Zgromadzeniu powzięcie uchwały nad całością zagadnienia etc.« [3].

5) Komunikowanie się Konstytuanty z organami władzy wykonawczej nie ograniczało się do stosunków z ministrami. Częste było również komunikowanie się Zgromadzenia narodowego bezpośrednio z piastunem tej władzy królem. Najpierw król w szczególnie ważnych okolicznościach zjawiał się osobiście w Konsty-

---

[1] 22. marzec 1790 M. III. 675 i 12. kwiecień 1791 M. VIII. 121.
[2] M. II. 310 ss. i II. 438.
[3] M. VI. 653.

tuancie i składał oświadczenia. Jasna rzecz, że żadne obrady nie odbywały się przez czas bytności monarchy. Bywało również, że król wystosowywał listy do Konstytuanty (najczęściej zawiadamiając o nominacji ministrów, lub w sprawach osobistych np. jakie domeny królewskie rezerwuje dla swojego osobistego użytku)[1]. Najczęstsza jednak forma komunikowania się Konstytuanty z królem, to udawanie się jej prezydenta na audjencję do monarchy. Miał on wstęp wolny każdej chwili do króla bez pośrednictwa ministrów[2]. W szczególności zanosił on do króla ważniejsze dekrety Konstytuanty z prośbą o udzielenie sankcji. Mnóstwo tych dekretów kończy się następującym ustępem: »Prezydent uda się do króla, aby go prosić...« o wydanie takiego, lub innego rozkazu, takiego lub innego zarządzenia. W wypadkach szczególnie ważnych, Zgromadzenie delegowało do króla mniejsze lub większe delegacje z prezydentem na czele.

Wszystko to było logiczną konsekwencją takiego postawienia stosunku Konstytuanty do rządu, jakie nastąpiło jeszcze z racji odrzucenia wniosku Mirabeau o możności nominowania z pośród członków Zgromadzenia narodowego ministrów. W formach, jakie ten stosunek przybrał, widzimy konsekwentne przeprowadzenie zasady podziału władz. Zostały one ułożone w ten sposób, aby w każdym wypadku wyraźnie było zaznaczone, że obie te władze są od siebie niezależne i funkcjonują oddzielnie, aby liczbę koniecznych ze sobą zetknięć zredukować do minimum. Jak to utrudniało harmonję między organami władzy wykonawczej i prawodawczej, to trafnie przepowiedział Mirabeau i to wykazały całe dzieje Konstytuanty. Powstać musi pytanie, w jaki sposób wogóle był stan taki możliwy, w jaki sposób machina państwowa nie stanęła, działalność twórcza Konstytuanty nie urwała się, a przeciwnie niezmiernie była bogatą i wszechstronną. Byłoby to nieuchronnem, gdyby Konstytuanta stale i na wszelkich polach tak konsekwentnie przestrzegała zasady podziału władz, jak co do nominowania ministrów i co do form zewnętrznych stosunku z rządem. Takiego przestrzegania rezultatem musiałaby być tak ciągła rozbieżność między Zgromadzeniem narodowem, a królem i ministrami, już nie tylko polityczna, jak to miało

---

1 27. aout 1790 M. I. 502.
2 Od 6. sierpnia 1789 M. I. 296.

miejsce, ale wprost codzienna, w każdej poszczególnej sprawie, że zupełny chaos byłby wynikiem tego. Tak jednak stać się nie miało. Ciągłe rozbieżności miały oczywiście miejsce, ale nie przybrały one katastroficznych rozmiarów, aż do ucieczki króla do Varennes (a więc do momentu, pośrednio chyba tylko wypływającego, z istniejącego systemu prawnego stosunków organów władzy ustawodawczej z organami władzy wykonawczej), mimo stałych starć, aparat państwowy funkcjonował i mimo wrzenia rewolucyjnego od nowa się organizował. Czemu to przypisać? Przypomnijmy sobie wspomnianą różnicę między stanem faktycznym, a formalnym, między z jednej strony siłą, jaką Konstytuanta posiadała, zmuszenia do kapitulacji każdego ministra, siłą, której niebezpieczną podporą była większość ludu francuskiego, w pierwszym rzędzie ludu paryskiego, a teoretycznym postulatem tej Konstytuanty zupełnej niezawisłości jednej władzy od drugiej. Siły tej używała Konstytuanta nietylko, aby zgodnie z swojemi założeniami, możliwie wyeliminować jakikolwiek wpływ rządu na ustawodawstwo. Zawahawszy się użyć tej siły dla wpływu na nominację ministrów, nie powstrzymało się Zgromadzenie narodowe przed użyciem jej na każdym kroku, gdy chodziło o taką lub inną sprawę, wchodzącą w atrybucje władzy wykonawczej. Poprostu czy to ponad głowami ministrów, czy to wywierając na nich presję, cały szereg spraw, szczególnie ważnych, czy to ze względu na organizujący się nowy ustrój Francji, czy ze względu na wypadki bieżące, załatwiała Konstytuanta samodzielnie, czy to bezpośrednio daną sprawę regulując, czy to dając wyraźne wskazówki dla władzy wykonawczej, których ona słuchać musiała, czy to rozciągając daleko idącą kontrolę. Czyniła to mało się troszcząc o ciągłe, codzienne, systematyczne naruszanie zasady podziału władz, tak przez siebie uroczyście głoszonej i tak przestrzeganej, o ile chodzi o zasadniczą sprawę nominowania ministrów, lub o formy zewnętrzne. Ale dzięki temu aparat państwowy funkcjonował, niebezpieczeństwu zbytniej rozbieżności między ustawodawstwem, a jego wprowadzeniem w życie i jego przestrzeganiem w praktyce do pewnego przynajmniej stopnia zapobieżono. — Nie leży w ramach tej pracy danie dokładnego obrazu tych ingerencyj Konstytuanty w dziedzinę władzy wykonawczej Musimy poprzestać na wymenieniu najważniejszych objawów tego rozszerzenia atrybucji Zgromadzenia narodowego. Jako ogólną charakterystykę da się tu podnieść, że

Konstytuanta w pierwszym rzędzie atrybucje swoje rozszerzała tam, gdzie w grę wchodziło wprowadzenie w życie uchwalonych przez nią ustaw. Ponieważ zaś cały ustrój Francji został przez nią przeistoczony, przeto trudno sobie wyobrazić działu administracji państwowej, w którym by z tego tytułu nie miała się wmieszać. Punkt ciężkości tej strony działalności Konstytuanty przeniósł się z plenum Zgromadzenia do jego komitetów. Łączyły się one nieraz, jeśli dana sprawa podpadała pod kompetencje paru komitetów naraz. Rola spełniana przez komitety była w tym zakresie tak znaczna, że ściągały one na siebie ostre zarzuty z powodu załatwiania spraw z pominięciem plenum Konstytuanty, i zapominaniu swego zadania czysto przygotowawczego [1].

Po raz pierwszy została zmuszona Konstytuanta wkroczyć w dziedzinę władzy wykonawczej w chwili rozruchów, jakie ogarnęły całą Francję po 14. lipca 1789. Zrazu poprzestaje Zgromadzenie na uchwaleniu dość ogólnikowej deklaracji. Wniosek Mirabeau, aby wmieszać się czynnie w rządy Paryża przez wysłanie po jednym delegacie do każdego z paryskich dystryktów nie zyskuje większości. Jeszcze waha się Konstytuanta przekroczyć barjerę dzielącą ją od wykonywania atrybucji władzy wykonawczej. Ale już 28. lipca Volney zgłasza wniosek, aby ustanowić komitet »dla spraw policji i administracji«. Po dyskusji, w której wytykano, że będzie to wkroczeniem w dziedzinę władzy wykonawczej, uchwalono ustanowić komitet »raportów, do którego będą odsyłane wszystkie memorjały, skargi i adresy« [2]. Z całą więc świadomością, że w ten sposób narusza zasadę podziału władz, widziała się Konstytuanta zmuszoną przez napór stosunków rewolucyjnych, przez rosnącą w kraju anarchję do wyłonienia organu, którego działalność, mimo nieokreślonego ściśle zadania w powołującym go do życia dekrecie, musiała być ciągłem wkraczaniem w dziedzinę władz administracyjnych. Od tej chwili zaczęła się gorączkowa działalność t. zw. komitetu raportów, jednego z najpracowitszych Konstytuanty. 5 lutego 1790, a więc nie dużo więcej, niż w pół roku po ustanowieniu komitetu raportów, Gregoire w sprawozdaniu z jego działalności zaznaczył, że komitetowi temu przedłożono z górą pięć tysięcy spraw [3]. Obok komitetu raportów funkcjono-

[1] Gaston Dodu op. cit. str. 32.
[2] M. I. str. 224.
[3] M. III. str. 306.

wał t. zw. komitet dochodzeń (comité des recherches). Rozgraniczenie kompetencji między temi dwoma komitetami trudne jest do przeprowadzenia. Ogólnie da się powiedzieć, że komitet raportów zajmował się rozruchami i nadużyciami władzy, drugi wykroczeniami poszczególnych jednostek groźnemi dla porządku publicznego. Zresztą często oba komitety obradowały wspólnie. Obu ich zadaniem było tłumienie szerzącej się w kraju anarchji, co coraz bardziej miało się przekształcać w walkę z kontrewolucją. Brały sprawę pod rozwagę, w razie otrzymanego przez Konstytuantę doniesienia. Doniesienia takie, nieraz wprost skierowane do komitetu raportów, lub dochodzeń, otrzymywało Zgromadzenie narodowe bez przerwy, czy to od osób prywatnych, czy, zwłaszcza po nowem zorganizowaniu ustroju administracyjnego, od władz municypalnych, dystryktowych i departamentowych. Było to rzeczą zupełnie naturalną, że te władze w ogromnej większości wypadków przesiąknięte duchem rewolucyjnym, pochodzące z wyboru, żywiące do ministrów tę samą nieufność, jaką żywiła Konstytuanta, zwracały się do niej bezpośrednio, ile razy wydawało im się, że rewolucja, lub spokój puliczny są zagrożone. I ostatecznie tak weszło w zwyczaj, że każdym w państwie rozruchem, każdym poważniejszem zakłóceniem spokoju publicznego zajmuje się Konstytuanta, że ministrowie zawiadamiać ją również zaczęli o tego rodzaju wydarzeniach. Zwalali w ten sposób na nią odpowiedzialność, i korzyść tę opłacali kapitulacją przed ukróceniami ich kompetencji wobec władz administracyjnych. Na czemże polegały zarządzenia Konstytuanty w wspomnianych dziedzinach, uchwalane prawie wyłącznie po wysłuchaniu sprawozdania komitetów raportów, lub dochodzeń? Bywały one następujące: 1) Pochwały, lub nagany dla urzędników administracyjnych względnie zawieszanie ich w czynnościach, lub stawianie w stan oskarżenia. 2) Wzywanie ich, aby stawili się osobiście przed Zgromadzeniem i zdali sprawę ze swego postępowania w danej sprawie. 3) Unieważnienia wydanych przez władze administracyjne rozporządzeń. 4) Polecenia dla ministrów, czy też wprost dla urzędników administracyjnych, jak w danej sprawie postąpić powinni. Dekrety kończyły się z reguły poleceniem, aby prezydent Konstytuanty udał się do króla z prośbą o natychmiastowe wykonanie danego dekretu.

W miarę wprowadzania w życie dekretów Konstytuanty rozszerzało się pole jej ingerencji w atrybucje władzy wykonawczej.

Np. rozciągała ona kontrolę nad wyborami urzędników administracyjnych tak municypalnych, jak dystryktowych i departamentowych. Wszelka kwestja sporna przy tych wyborach, wszelkie zakwestjonowanie ich ważności było jej poddawane pod decyzję. Zajmował się temi sprawami komitet konstytucyjny, ewentualnie komitety raportów i dochodzeń, o ile przy wyborach zdarzyły się rozruchy, lub wykroczenia ze strony jednostek. Taką samą rolę odegrać miała Konstytuanta w odniesieniu do wyborów sędziowskich. — Uchwalenie konstytucji cywilnej duchowieństwa zmusiło Zgromadzenie narodowe do wystąpień czynnych w poszczególnych wypadkach oporu ze strony wiernych Kościołowi katolickiemu księży.

Jednem z najważniejszych zadań Konstytuanty, tem, dla którego Ludwik XVI. powołał Stany generalne, było uporządkowanie finansów Francji. Nic więc dziwnego, że w tym kierunku ingerencja Zgromadzenia narodowego rozrosła się bardzo. Już prawo uchwalania budżetu daje każdemu ciału prawodawczemu, które je w całej pełni posiada, kontrolę nad finansami. Konstytuanta jednak w kontroli tej poszła dalej. W szczególności czuwała ona nad przeprowadzeniem zasadniczej swej reformy ekonomicznej, polegającej na konfiskacie dóbr kościelnych i wypuszczeniu, opartego na tych dobrach, pieniądza papierowego, asygnat. Kontrolę nad rozsprzedażą dóbr duchownych rozciągał osobny komitet, fabrykowania zaś asygnat doglądali specjalni przez Konstytuantę wybrani komisarze. Atrybucje ich unormował ostatecznie dekret z 7. sierpnia 1790 r.[1]. Mieli oni w liczbie ośmiu, współdziałać w każdem stadjum manipulacji z asygnatami od chwili wypuszczenia ich z pod prasy drukarskiej aż do chwili puszczenia ich w obieg. — Nie sposób jest wzmiankować tutaj o wszystkich dekretach Konstytuanty świadczących, jak daleko sięgała jej kontrola w dziedzinie finansowej. Przykładowo wspomnimy tylko o najdalej może idącem jej postanowieniu na tem polu, a mianowicie o dekrecie z 1. czerwca 1790 r.[2]. Dekret ten nakazuje wszystkim poborcom finansowym Francji przysyłać wykazy ściągniętych dochodów bezpośrednio Zgromadzeniu narodowemu.

Wydawaćby się mogło, że dziedzina, w której atrybucji wła-

---

[1] M. V. 332.
[2] M. IV. 512.

dzy wykonawczej Konstytuanta nie naruszy, to wojsko. Że nad niem naczelne dowództwo przysługuje wyłącznie królowi, tego oczywiście nikt kwestjonować nie zamierzał, a leży w charakterze tego dowodzenia, że przy niem jakaś ingerencja czynników trzecich jest trudną do pomyślenia. Mimo to, i tu Zgromadzenie narodowe nie umiało się utrzymać w ramach swojej czysto ustawodawczej roli, jakkolwiek może w mniejszym stopniu z tych ram wyszło, niż na innych polach. Mniejsza o to, że Konstytuanta nie szczędziła uchwał wyrażających pochwały, lub nagany dla oficerów. Dalej sięgać miało wkroczenie w dziedzinę wojskowości, w razie buntów, lub objawów niedyscypliny, jakie szerzyć się zaczynały wśród wojska francuskiego. Każdem zdarzeniem tego rodzaju Konstytuanta zajmowała się na równi z każdym innym rozruchem lub nadużyciem władzy w państwie. Tak np. gdy w Nancy wybuchł groźny bunt wojskowy, Konstytuanta wysłała specjalnych komisarzy dla uśmierzenia go [1]. W łączności z rozruchami w kraju nieraz Zgromadzenie zwraca się do władzy wykonawczej z żądaniem wydania takiego lub innego rozkazu dla wojska. Tak np. w art. I-szym dekretu z 13. marca 1790 r.[2] prosi Zgromadzenie króla, aby rozkazał rozdać wyszczególnionym jednostkom wojskowym czternaście tysięcy strzelb. Takie samo jak do wojska było też ustosunkowanie się Konstytuanty do marynarki wojennej. Posunięto się tu jeszcze dalej, a mianowicie w dekrecie regulującym dyscyplinę znajdujemy przepis, że każdemu oficerowi i marynarzowi wolno wnosić zażalenia bezpośrednio do Zgromadzenia narodowego [3].

Stosunkowo najmniej mieszała się Konstytuanta w sprawy polityki zagranicznej. Zbyt była pochłonięta ogromem zadań, jakie ją czekały wewnątrz Francji, aby mogła się zajmować równie szczegółowo kwestjami dyplomatycznemi. Charakterystyczną jest rzeczą, że komitet dyplomatyczny liczył zrazu tylko 7 członków [4]. To też z początku polityka zagraniczna jest tylko o tyle przedmiotem obrad Konstytuanty, o ile się łączy z sprawami wewnętrznemi Francji. Tak np. zajmuje się incydentem dyplomatycznym z Austrją, powstałym przez przypadkowe naruszenie granic Francji

---

[1] M. V. 527.
[2] M. VII. 590.
[3] M. V. 364. 10. sierpień 1790.
[4] Archives parlamentaires t. XXXII, str. 551.

przez wojsko austrjackie, tylko z powodu niepokoju, jakie to wydarzenie wywołało w departamencie Ardennes[1]. Ta obojętność Konstytuanty wobec spraw dyplomatycznych miała się zmienić po wejściu Mirabeau do komitetu dyplomatycznego. 25. sierpnia 1790 r. składa on sprawozdanie imieniem tego komitetu[2], a w uchwalonym dekrecie mamy konkretne wskazówki dla króla, jak pokierować toczące się rokowania z Hiszpanją. Odtąd wykonywała Konstytuanta pewną kontrolę także i nad polityką zagraniczną. Nigdy nie miała ona jednak pójść tak daleko, jak np. w sprawach administracji prowincjonalnej, lub skarbu. Ogółem biorąc, sprawy zagraniczne były jedyną bodaj dziedziną, której kierownictwo aż po ucieczkę króla do Varennes, pozostało formalnie w ręku króla, faktycznie w ręku jego ministra Montmorina.

Nietylko w dziedzinę władzy wykonawczej wkraczała Konstytuanta. Niektóre jej uchwały nie sposób inaczej interpretować, jak tylko jako wkroczenie w dziedzinę władzy sądowniczej. Działo się to najczęściej w postaci polecenia wypuszczenia na wolność aresztowanych pod zarzutem jakiegoś przestępstwa, lub też umorzenia rozpoczętego już postępowania sądowego, a ubrane było w formę przestrzegania art. VII. Deklaracji praw człowieka i obywatela[3]. Z prawa stawiania w stan oskarżenia każdego obywatela Francji za t. zw. przestępstwa »obrazy narodu« robiła też Konstytuanta użytek, interpretując je tak, że pod tę kategorję podciągnąć można było także każde naruszenie porządku publicznego, każde nadużycie władzy. Sprawami tego rodzaju zajmował się głównie wspomniany komitet dochodzeń.

Przy takiem ukształtowaniu się stosunków, nic dziwnego, że przysługujące jej atrybucje ustawodawcze wykonywała Konstytuanta w całej pełni, że inicjatywa na tem polu spoczywała wyłącznie prawie w jej rękach. Poza przedłożeniami finansowemi Neckera, które zresztą prawie wszystkie zostały odrzucone, nie mamy prawie propozycji ustaw, przedkładanych przez rząd Konstytuancie. Conajwyżej Zgromadzenie narodowe, gdy z powodu niemożności zebrania potrzebnego materjału, nie mogło samo wygotować projektu ustawy, zwracało się do ministrów z żądaniem wypracowa-

---

[1] 27. lipca 1790, M. V. 239.
[2] M. V. 480 ss.
[3] Nul homme ne peut être accusé, arrêté, ni detenu, que dans le cas determinés par la loi, et selon les formes qu'elle a prescrites etc.

nia odnośnego projektu, najczęściej dając im ogólne wskazówki. I w takich więc wypadkach inicjatywa należała do Konstytuanty. O jakiemkolwiek kierownictwie jej działalności ustawodawczej ze strony rządu mowy być nie może. Co więcej, widoczną jest obawa nawet interpretowania ustaw Konstytuanty. W razie niejasności w ustawie zwracali się do niej ministrowie z prośbą o wyjaśnienie. O wyjaśnienia takie zwracały się również i poszczególne urzędy, często kierując swe zapytania nie na ręce prezydenta Konstytuanty, lub do odnośnego komitetu.

Pobieżny ten przegląd daje wyobrażenie, jak dalece Zgromadzenie narodowe pochwyciło w swoje ręce atrybucje, leżące w kompetencji władzy wykonawczej. Uczyniło to w pierwszym rzędzie pod naporem wypadków bieżących. Odgrodziwszy się od rządu możliwie hermetycznie, odrzuciwszy możliwość, aby rząd był emanacją Konstytuanty, aby był takim, do którego mogłaby mieć ona zaufanie, i który w konsekwencji tego miałby dość siły, aby władzę w swoim ręku dzierżyć, ujrzała się Konstytuanta w tej sytuacji, że miała przed sobą rząd bezsilny, sama zaś pozostała jedynym autorytetem, zdolnym wymusić przynajmniej do pewnego stopnia posłuch wśród wrzenia rewolucyjnego. Nie pozostawało jej nic innego, jak samej w możliwie dużym zakresie władzę wykonawczą pochwycić w swoje ręce. Czy czyniąc to, naruszała ona w swojem pojęciu zasadę podziału władz? Jak długo monarchiści odgrywali dużą rolę w Zgromadzeniu narodowem, tak długo w świadomości większości członków Konstytuanty przeważało przekonanie o takiem naruszeniu. Po prędkim upadku znaczenia monarchistów, świadomość ta zdaje się zanikać, przeciwnie coraz bardziej daje się odczuć przeświadczenie, że takie przejęcie spraw egzekutywy z natury rzeczy przysługuje Konstytuancie. Dają się wprawdzie słyszeć od czasu do czasu głosy, zwracające uwagę, że dana sprawa leży w zakresie władzy wykonawczej, niektóre dekrety z tych powodów bywają odrzucane. Są to jednak wyjątki. Przestrzega się tylko najczęściej formy zewnętrzne. Większość dekretów, zawierających postanowienia z dziedziny władzy wykonawczej, ubiera te postanowienia w formę prośby do króla. Biorąc więc rzecz z punktu widzenia czysto prawnego, miał król dwojaką możność nie wykonania tego rodzaju zleceń. Najpierw miał prawo odmówić sankcjonowania danego dekretu, co nawet po wprowadzeniu veta tylko zawieszającego, równało się definityw-

nemu odrzuceniu go, wobec tego że chodziło tu z reguły o rzeczy tracące swoją rację bytu, o ile nie zostaną natychmiast w życie wprowadzone. Powtóre, nawet o ile król sankcji swojej udzielił, mógł odnośnych postanowień nie wykonać. wobec tego, że były one wyrażone tylko w formie prośby. Był to jednak stan formalny, wobec faktycznego układu sił, król i sankcjonować i wykonać dekrety takie musiał i nikt się co do tego nie łudził. Zresztą nie wszystkie wkroczenia Konstytuanty w dziedzinę władzy wykonawczej pozostawiały choćby takie formalne gwarancje monarsze. Z podanego powyżej ich przeglądu wynika jasno, że wiele z pośród nich nawet takich ograniczeń na rzecz króla nie zawierały. Czemże wobec tego wytłumaczyć zanik poczucia wśród członków Konstytuanty, że cała ta jej działalność jest naruszeniem tak przez nich wyznawanej zasady podziału władz? Można to tylko wytłumaczyć w ten sposób, że zasada ta pojmowaną była nie tyle według Monteskiusza, co według Mablyego. Wiemy, że dla autora »Ducha praw« zasadniczą rzeczą było stworzenie zapór, któreby uniemożliwiały wkroczenie jednej władzy w dziedzinę drugiej. Chodziło mu więc o istotę rzeczy. Dla Mablyego rozdział władz powinien być czysto zewnętrzny, nie powinne się one możliwie ze sobą stykać, natomiast władza prawodawcza powinna mieć możliwie jaknajwiększą przewagę nad wykonawczą. Nie potrzeba wykazywać, jak całe ustosunkowanie się Konstytuanty do egzekutywy poszło po linji wskazań Mablyego. Tam, gdzie chodziło o zetknięcie się obu władz, tam przestrzegała ona zasady podziału władz skrupulatnie i konsekwentnie: poseł ministrem zostać nie mógł, ministrowie nie mogli przebywać na posiedzeniach Konstytuanty. Ale tam gdzie chodziło o kontrolę nad rządem, o przejęcie spraw w swoje ręce, które z natury rzeczy należały do egzekutywy, tam nie miała ona żadnych skrupułów, uważała to za naturalny objaw swojej supremacji. W jednej tylko kwestji najdłużej się wahała, najdłużej pozostała wierną Monteskiuszowi: Nie mogła zdecydować się, jak widzieliśmy, wpłynąć na obsadzenie stanowisk ministerjalnych. Zobaczymy, że i pod tym względem skrupuły jej miały się rozwiać, do pewnego przynajmniej stopnia, przy debacie konstytucyjnej. — Poza wpływem Mablyego inny jeszcze czynnik zaważył na szali: przekonanie Konstytuanty, że jako Zgromadzenie, powołane do uchwalenia konstytucji, ma ona atrybucje dalej idące (jak daleko, tego coprawda nie miano nigdy jasno sformu-

łować) jak zwykłe ciało prawodawcze. — Całość tych stosunków tworzyła precedens, ogromnie komplikujący możliwość wprowadzenia normalnych rządów parlamentarnych, czyniący je właściwie niemożliwemi. Okazało się to jasno przy uchwalaniu odnośnych artykułów konstytucyjnych.

Ucieczka króla do Varennes sprawiła, że stosunek Konstytuanty do rządu ukształtował się w ostatnim okresie jej obrad (czerwiec — październik 1791) zupełnie inaczej, jak poprzednio. Natychmiast po otrzymaniu wiadomości o ucieczce króla, Zgromadzenie narodowe chwyciło władzę w swoje ręce. Już pierwszy wydany dekret [1] zawierał nie wezwanie, lub zwrócenie uwagi, ale dosłownie rozkaz wydany minisrom. W ten sposób ministrowie z urzędników króla stawali się urzędnikami Konstytuanty. Już nie było mowy o większej lub mniejszej ingerencji legislatywy w dziedzinę egzekutywy jak poprzednio, ale wprost, bez żadnych obsłonek, widziała się Konstytuanta okolicznościami zmuszona wchłonąć w zupełności władzę wykonawczą. Do piastowania tej władzy miało Zgromadzenie narodowe narzędzia gotowe [2] w postaci swoich komitetów, które poprzednio tak bardzo mieszały się we wszystkie dziedziny administracji państwowej, a teraz pochwyciły całość w swoje ręce. Przejęcie władzy w swoje ręce unormowała Konstytuanta prowizorycznie dekretem z 24. czerwca [3], który postanewia, że ministrowie mają wykonywać dekrety bez sankcji królewskiej. Gdy król powrócił z Varennes i w Tulerjach został nieomal areszto-

---

[1] 21. czerwca 1791. M. VIII. str. 715. Dekret: »L'assemblée nationale ordonne, que le ministre de l'interieur expediera à l'instant des courriers dans tous les departaments, avec ordre à tous les fonctionnaires publics et gardes nationales, ou troupes de ligne de l'empire d'arreter ou faire arreter toute personne quelconque sortant du royaume comme aussi d'empecher toutes sorties d'effets«.

[2] Pierwszy na to zwrócił uwagę Karol Lameth (M. VIII. 717—18): »Je crois... que l'assemblée ayant dans son sein des comités diplomatique, militaire, des finances, et en un môt de toutes les parties de l'administration, elle devrait leur ordonner de travailler avec les ministres, chacun en la partie qui le concerne, de rendre compte à l'assemblée de toutes les mesures qu'ils croiront devoir prendre, et de les lui soumettre toutes les fois qu'un decret de l'assemblée nationale sera necessaire«.

[3] M. VIII. str. 718. Dekret: »L'assemblée nationale décrete provisoirement, et jusqu'à ce qu'il en ait été autrement ordonné, que les decrets rendus par elle seront mis en execution par les ministres; enjoint au ministre de la justice d'y apposer le sceau de l'etat sans qu'il soit besoin de sanction ni d'acceptation«.

wany, Konstytuanta uchwaliła, że dekret z 24. czerwca pozostaje nadal w swojej mocy i że ministrowie, każdy w swoim departamencie, spełniać będzie funkcje władzy wykonawczej [1]. W uchwale tej, większą widzimy dbałość o pozory, niż w tych, które powzięto pod pierwszem wrażeniem ucieczki króla. W tamtych bez obsłonek występowała Konstytuanta, jako biorąca w swoje ręce władzę wykonawczą, w tej stwarzała fikcję, jakby w stanie rzeczy zmieniło się tylko tyle, że władza ta z rąk jej piastuna króla oddana została w ręce ministrów, że więc ci z doradców jedynie, jakiemi byli formalnie poprzednio, stali się prawnymi dzierżycielami egzekutywy, jedynie pozbawionymi prawa sankcji. Stworzono więc fikcję, że atrybucje Konstytuanty się nie rozszerzyły, że nic się nie zmieniło w jej stosunku do władzy wykonawczej, a tylko władza ta przeszła z rąk do rąk. Były to tylko pozory. Faktycznie w całym tym okresie Konstytuanta, która już tak wielki poprzednio miała wpływ w rządach Francji, miała odtąd rządzić niepodzielnie.

Formy zewnętrzne stosunków Zgromadzenia narodowego do ministrów zrazu nie uległy zmianie. Częściej przychodzili oni na posiedzenia. Okazało się jednak, że dalsze kontynuowanie takiego stanu rzeczy, jaki wytworzył się w latach poprzednich, było w nowych warunkach niemożliwością. 31. lipca Konstytuanta uchwaliła [2], że ministrowie mają się zjawiać co drugi dzień na jej posiedzenia. Można będzie wówczas się do nich zwracać z zapytaniami, oba-

---

[1] 25. czerwca 1791 r. M. VIII. str. 748. Z dekretu art. V: »Jusqu'a ce qu'il en ait été autrement ordonné, le decret du 24 juin, qui enjoint au ministre de la justice d'apposer le sceau de l'etat aux decrets de l'assemblée nationale sans qu'il soit besoin de la sanction et de l'acceptation du roi, continuera d'être executé dans toutes ses dispositions.

art. VI: Les ministres et let commissaires du roi preposés à la caisse de l'extraordinaire, à la tresorerie nationale et à la direction de liquidation, demeurent autorisés provisoirement à faire chacun dans son departement et sous sa responsabilité les fonctions du pouvoir executif«.

[2] M. IX. str. 268. Dekret: »L'assemblée nationale decréte, que les ministres seront tenus se rendre dorévenant à ses seances, de deux jours l'un, à deux heures, à l'effet de l'informer des progrès des mesures tendantes à assurer la defense du royaume et de donner les eclaircissements, qui leur seront demandés, ou qu'ils croiront devoir communiquer sur les obstacles, qui peuvent traverser l'execution des décrets et les moyens les plus convenables, pour accelerer le rassemblement de la force nationale, la meilleure organisation, le retablissement de la discipline et des exercices militaires et autres objets d'un interêt pressant«.

lono więc żmudną procedurę zwracania się o wyjaśnienia do ministrów drogą dekretów. Z drugiej strony mogli ministrowie przemawiać swobodnie we wszystkich sprawach bieżących.

Taki stan rzeczy trwał aż do chwili, gdy weszła w życie konstytucja 1791 r. — Cały ten okres, niezwykle doniosły pod względem politycznym, bo utorował drogę idei republikańskiej [1], był pod względem prawnym czemś anormalnym, wywołanym przez konieczność, wytworzoną ucieczką króla. Konstytuanta odczuwała swój stosunek do rządu w tym okresie, jako nielegalny. Nie miał się on też odbić na uchwałach konstytucyjnych poza artykułami ograniczającemi nietykalność króla [2].

VIII.

Stosunek ciała prawodawczego do rządu w ustawach konstytucyjnych. — Wniosek Buzota. — Debata konstytucyjna w sierpniu 1791 r. — Konstytucja 1791 r.

Jest rzeczą oczywistą, że stosunek Konstytuanty do rządu musiał być wzorem, na którym się ona przedewszystkiem opierała przy tworzeniu ustaw konstytucyjnych. Cały szereg rzeczy był przez praktykę tego stosunku tak zakorzeniony w pojęciach większości członków Konstytuanty, że nie mogły one już ulegać poważnej dyskusji przy uchwalaniu konstytucji. Do takich rzeczy należały w pierwszym rzędzie: zakaz nominowania ministrów z pośród członków ciała prawodawczego, formy zewnętrzne stosunku egzekutywy do legislatywy, a przedewszystkiem supremacja ciała prawodawczego nad rządem. To były wszystko rzeczy, które tak wrosły w przekonania posłów przez dwa lata na takim systemie opartych rządach Zgromadzenia narodowego, że jakiekolwiek próby zmieniania ich musiały spełznąć na niczem. Jedna rzecz tylko w przyszłem ukształtowaniu stosunków była niepewna, to kwestja wpływu ciała prawodawczego na nominację i dymisję mi-

[1] vide Aulard op. cit. Rozdziały V—VI.

[2] Są to artykuły 5—7 sekcji I-ej rozdziału II-go tytułu III-go, stwarzające fikcję, że król abdykował (sera censé avoir abdiqué la royauté) w trzech wypadkach: 1) O ile nie złoży przysięgi na konstytucję. 2) O ile stanie na czele armji i pokieruje ją przeciw narodowi. 3) O ile opuściwszy królestwo nie powróci na wezwanie ciała prawodawczego. — Równało się to możności zdetronizowania króla, o ileby stanął otwarcie po stronie kontrrewolucji.

nistrów. Widzieliśmy, jak tu praktyka Konstytuanty była niepewną, jakim wahaniom ulegała ona wobec kroków, któreby wyraźnie zmuszały ministrów do ustąpienia. Zrozumienie, że ten stan, będący w sprzeczności i z politycznem ustosunkowaniem się sił i z doktrynerskiemi poglądami większości posłów (Mably, nie mówiąc już o Rousseau) winien uledz zmianie, musiało być powszechne. To też już pierwszy projekt dekretu o organizacji ministerjum, przedstawiony imieniem komitetu konstytucyjnego przez Desmeuniersa na posiedzeniu 7. marca 1791 r.[1] zawierał artykuł (XXVIII), który postanawiał, że »ciało prawodawcze będzie mogło przedstawiać królowi takie adresy, jakie uzna za stosowne, o postępowaniu jego ministrów«. W tej oględnej formie było tu uznanie możliwości uchwalania najostrzejszego nawet votum nieufności dla ministrów, było stworzenie sposobu zmuszania ich do dymisji przez ciało prawodawcze. Nie miano na tem posiedzeniu dyskusji toczyć nad projektem komitetu i całą sprawę odroczono. Gdy zaś 5. kwietnia 1791[2] Desmeuniers przedłożył nowy projekt dekretu o organizacji ministerjum, wspomniany artykuł był w nim wypuszczony. Te same skrupuły, które powstrzymywały Konstytuantę od wyrażenia votum nieufności ministrom w październiku 1790 r. przeważyły i teraz. Jasna rzecz, że ten brak musiał być podniesionym. Menou, wnioskodawca votum nieufności w dyskusji październikowej, rozpoczął ofenzywę zwolenników wpływania legislatywy na obsadzenie stanowisk ministerjalnych. Bardzo oględnie pierwsze podniósł objekcje co do niewystarczalności odpowiedzialności prawnej ministrów. Nie wszedł w meritum sprawy, a ograniczył się do przedstawienia jednego konkretnego przykładu. Oto, powiada, tak jak się przedstawiają artykuły o odpowiedzialności ministrów, niema sposobu postawić ich w stan oskarżenia za nieodpowiednie nominacje urzędników. A właśnie minister spraw zagranicznych, Montmorin, nominował nowych ambasadorów, pośród których »nie było ani jednego człowieka, któryby się jasno opowiedział za rewolucją«. Menou zakończył wnioskiem, aby do dekretu dodano artykuł o sposobie pociągnięcia do odpowiedzialności ministrów za niewłaściwe nominacje. Był to wniosek naiwny, obliczony prawdopodobnie tylko na to, aby zilustrować dobitnie Konstytuancie ko-

---

[1] M. VII, str. 567 ss.
[2] M. VIII. str. 66 ss.

nieczność innego rodzaju wywierania legalnej presji na rząd, jak groźba posłania ministra przed Najwyższy Trybunał Narodowy. Sprawa wyraźnie została postawiona przez Buzota. »Nawiązuję« zaczął »do poglądów przedmówcy, aby wykazać, że jest dużo okoliczności, w których odpowiedzialność (prawna ministrów) nie może mieć skutecznie zastosowania i które trzeba oddać pod sąd ciała prawodawczego. Nie miałbym do zrobienia tych uwag, gdybym w nowym projekcie komitetu odnalazł nieoceniony artykuł, który przyznawał ciału prawodawczemu prawo domagania się od króla udzielenia ministrom dymisji«. Poczem Buzot udowadnia niewystarczalność odpowiedzialności prawnej ministrów [1]. Wniosek ostatecznie przez niego postawiony brzmi jak następuje: »Ciało prawodawcze będzie mogło królowi przedstawić takie oświadczenie o zachowaniu się ministrów, jakie uzna za stosowne, a nawet, oświadczyć mu, że stracili zaufanie narodu«. Widzimy, że w porównaniu z pierwotnym projektem tego artykułu, takim, jaki on był przedstawiony na posiedzeniu marcowem przez komitet konstytucyjny, mamy w wniosku Buzota bez porównania dobitniej i jaśniej sformułowane prawo ciała prawodawczego domagania się ustąpienia ministrów. Uchwalenie tego wniosku wprowadzało votum nieufności dla ministrów jako legalną instytucję.

Wniosek Buzota został przyjęty jako artykuł XXVIII. dekretu o odpowiedzialności ministrów.

Na temże posiedzeniu rozstrzygnęła się ostatecznie jedna z zasadniczych rzeczy dla rządów parlamentarnych: prawo króla rozwiązywania ciała prawodawczego [2]. Bez nadzieji powodzenia, ale

---

[1] Cała ta dyskusja toczyła się z racji poprzednio omawianego już projektu dekretu o odpowiedzialności ministrów. Buzot w mowie swojej domagał się również i rozszerzenia odpowiedzialności cywilnej ministrów.

[2] Prawo króla rozwiązywania ciała prawodawczego było duskutowane w Konstytuancie z dwojakiego punktu widzenia. Domagano się go mianowicie z jednej strony, jako części składowej prerogatywy królewskiej, na wzór angielski, z drugiej strony wysuwano je jako pewien kompromis z zasadą bezpośredniego udziału ludu w rządach, jako rodzaj surogatu referendum ludowego i instrukcji wiążącej. — Ze wszystkiego, cośmy powiedzieli o stosunku Zgromadzenia narodowego do władzy wykonawczej, jasno wynika, że przyznanie królowi takiego prawa musiało się wydać większości posłów czemś monstrualnem, jako z jednej strony jaskrawe, w ich pojęciu naruszenie zasady podziału władz, z drugiej strony, jako rzecz w najwyższym stopniu niebezpieczna, wobec »przyrodzonej« wrogości egzekutywy do legislatywy. Dowód to jeszcze jeden,

raczej ad salvandam animam i dla pewnej demonstracji politycznej postawili odnośny wniosek na posiedzeniu 5. kwietnia monarchista Cazales i prawicowiec Montlosier. Podniesienie tej sprawy w łączności z propozycją Buzota było z ich strony logicznem. Można, rozumowali, przyznać ciału prawodawczemu prawo zmuszania króla do udzielenia dymisji ministrom, o ile równocześnie przyzna się królowi prawo rozwiązywania ciała prawodawczego i w ten sposób umożliwi mu się w razie konfliktu rządu ze Zgromadzeniem, odwołanie się do decyzji narodu. — Jasna rzecz, że nad wnioskiem Cazalesa i Montlosiera przeszła Konstytuanta do porządku dziennego.

Na posiedzeniach 7, 10 i 17 kwietnia uchwalono dekret o organizacji ministerjum. W dyskusji nad nim nie miały już być poruszane zasadnicze problemy konstytucyjne. Miał się on stać podstawą sekcji czwartej rozdziału drugiego tytułu trzeciego (o ministrach) Konstytucji[1].

W sierpniu 1791 r. w czasie ostatecznego układania konstytucji wszystkie nieomal problemy, decydujące dla ukształtowania się stosunku rządu do ciała prawodawczego, miały być jeszcze raz przedmiotem dyskusji. Najpierw 13. sierpnia 1791 r. stoczono ostatnią walkę o nominowanie ministrów z pośród członków ciała prawodawczego[2]. Chodziło o to aby artykułu, zakazującego posłom przyjmowanie stanowisk ministerjalnych, nie wprowadzić do konstytucji. Uzasadniał to Thouret. Na początku zaznaczył, że postanowienie to ma swoje uzasadnienie w okresie rewolucyjnym. »Gdy po długim despotyźmie« mówił »naród budzi się i organizuje, wów-

---

jak w gruncie rzeczy nie Monteskiusz był głównym inspiratorem Konstytuanty, lecz Mably, jak z Monteskiusza zostało przez nią nieomal tylko to recypowane, co recypował z jego dzieł i Mably. Gdy do teoretycznych przesłanek dodamy nieufność, jaką żywiono coraz bardziej specjalnie do osoby Ludwika XVI., obawę, niewątpliwie słuszną z punktu widzenia zwolenników rewolucji, że prawa rozwiązania użyłby król przy pierwszej sposobności dla dokonania przewrotu reakcyjnego, — dziwić się nie można, że przyznanie królowi tego prawa nie mogło liczyć w Konstytuancie na żadne szanse powodzenia. To też wszystkie odnośne wnioski, z jakichkolwiek motywów postawione, zostały odrzucone. (Löwenstein op. cit. str. 234—242).

[1] Artykuły tego dekretu odnoszące się do odpowiedzialności i solidarności ministrów omówiliśmy w odnośnych rozdziałach. — Do dekretu tego nie zostało przyjęte do konstytucji dokładne wyszczególnienie atrybucji poszczególnych ministrów (oraz wniosek Buzota).

[2] M. IX. 389 ss.

czas głównym wrogiem jest władza wykonawcza, bo ona jest tym czynnikiem, który jest zepsuty, bo ona uciskała, i przeciw niej naród odzyskuje swoje prawa, nie aby ją zniweczyć, lecz aby ją sprowadzić do właściwego pola działania«. Ale gdy raz rewolucja się skończy, nie powinno się uważać ciągle »władzy wykonawczej, jako wroga sprawy publicznej«. Thouret powtarza argumenty Mirabeau co do konieczności harmonji między egzekutywą a legislatywą. Rozprasza obawy korupcji, jakąby spowodowało ubieganie się posłów o teki ministerjalne, wykazuje, że przeciwnie, ubieganie to, na wzór angielski, zorganizowałoby i zaostrzyło opozycję w łonie ciała prawodawczego. Po Thourecie Duport dowodzi niebezpieczeństwa, jakieby pociągnęło za sobą stałe zdepopularyzowanie władzy wykonawczej, któreby musiało być rezultatem takiego odseparowania jej od legislatywy. »Czego należy sobie życzyć?« zapytuje i odpowiada: »Aby ministrowie mieli zaufanie ludu«, i tu Thouret zwraca się do skrajnej lewicy. »Chcieliście« powiada »aby lud bezpośrednio mianował ministrów. To jest niemożliwością. Ale co jest możliwem, to aby ministrowie byli obrani pomiędzy tymi, którzy otrzymali już oznaki zaufania ludu, którzy otrzymali od niego mandat jako posłowie. W przeciwnym razie król będzie zmuszony nominować swoich ministrów, z pomiędzy ludzi nieznanych ludowi«.

W obu zacytowanych mowach widzimy zwrot od Mablyego zupełnie wyraźny, zrozumienie parlamentaryzmu angielskiego tak trafne, jak od czasów Mirabeau nie spotykało się w Konstytuancie. Jest to o tyle dziwne, że Thouret był jednym z przewódców centrum lewego, Duport zaś należał do t. zw. tryumwiratu. Obaj więc byli członkami ugrupowań, których bezsprzecznie było winą, że między Konstytuantą a rządem nagromadzono możliwie wiele zapór, które były najgorętszemi zwolennikami Mablyego i jego tezy, że egzekutywa jest z natury rzeczy wrogiem legislatywy. Czemu przypisać zmianę ich stanowiska? Ta ewolucja ich na prawo była rezultatem wydarzeń, jakie nastąpiły wśród ludu paryskiego po ucieczce króla do Varennes. Organizująca się partja republikańska przeraziła rozważniejszych członków Konstytuanty. Otworzyły im się oczy, że doktryneryzm ich prowadzi tam, dokąd wcale zamiaru dojść nie mieli, będąc w gruncie rzeczy mimo wszystko zwolennikami monarchji, i stając się nimi coraz bardziej wobec rosnącej grozy anarchji. Nie byli jednak już w stanie najczęściej zmie-

nić stanu rzeczy, który niejednokrotnie sami wytworzyli. Nie byli w stanie choćby dlatego, że nie było rzeczą możliwą zmienić już utartego sposobu myślenia większości posłów, wyrwać z ich mentalności zakorzenione poglądy. Tak też i na posiedzeniu 13. sierpnia na nic się nie zdały argumenty Thoureta i Duporta i odnośny artykuł został uznany za konstytucyjny.

Na tem samem posiedzeniu rozważano, czy artykuł, postanawiający, że ciało prawodawcze może oświadczyć królowi, że ministrowie stracili zaufanie narodu, ma być uznany za konstytucyjny. Te same pobudki, które kierowały Thouretem i Duportem przy wystąpieniu za rekrutowaniem się ministrów z pośród posłów, obecnie skłoniły Barnave'a do oświadczenia się przeciw uznaniu wspomnianego artykułu za konstytucyjny. Z wszystkich przywódców lewicy najbardziej u niego zaznaczył się zwrot na prawo. Był on jednym z komisarzy Konstytuanty, którzy eskortowali króla i jego rodzinę przy powrocie z Varennes i dał się pozyskać królowej Marji Antoninie. Z jednego z głównych przywódców opozycji, stał się jednym z obrońców dworu. Mowa jego na posiedzeniu 13. sierpnia była ostrożna i słabo zaopatrzona w argumenty. Zaznaczył, że bezpieczniej jest nie komplikować zbytecznie konstytucji postanowieniami, które i tak choć jako nie konstytucyjne obowiązywać będą, a za to mogą być łatwiej zmienione, bez długiej i trudnej procedury rewizyjnej, o ileby się okazały w praktyce szkodliwemi. Poza tem zrobił aluzję do naruszenia zasady podziału władz. To wszystko. A mimo to sukces odniósł, wspomniany artykuł nie został uznany za konstytucyjny. Można to przypisać jedynie pewnemu bezwładowi myśli, jaki po przeszło dwuletniej niesłychanie wyczerpującej i gorączkowej pracy opanował większość posłów Konstytuanty pod koniec jej istnienia. Szli oni utartemi w poprzedniej praktyce drogami, i machinalnie zawsze przechylali się w kierunku dawniej przyjętym. W debacie kwietniowej zdobyli się jeszcze na krok nowatorski uchwalenia wniosku Buzota, ale gdy w sierpniu trzeba było uznać ten artykuł za konstytucyjny, łatwo było ich przekonać o nieodpowiedności tego uznania, wobec tego, że poprzednio stali na stanowisku nie wtrącania się legislatywy do nominacji ministrów, tak jak z drugiej strony, mimo bez porównania silniejszych argumentów Thoureta i Duporta, uznali za konstytucyjny artykuł o wyklu-

czeniu posłów z rządu, bo to odpowiadało dotychczasowej praktyce i dotychczasowym poglądom.

Reszta artykułów sekcji konstytucji o ministrach została uchwalona bez dyskusji. Dnia 15. sierpnia uchwalono również bez dyskusji większość artykułów sekcji o stosunkach ciała prawodawczego z królem [1]. Rozpoczęto dopiero dyskusję nad uczestnictwem ministrów na posiedzeniach ciała prawodawczego. W projekcie komitetu zdołano przemycić artykuł, dający prawo ministrom uczestniczenia i zabierania głosu w posiedzeniach ciała prawodawczego. Wiadomo, jak to szło wbrew dotychczasowej praktyce i dotychczasowym poglądom Konstytuanty. Rzecz charakterystyczna, że ci, którzy głównie przyczynili się do wytworzenia tego stanu rzeczy, przewódcy centrum lewego i tryumwirat milczeli, a atak przeciwko wspomnianemu artykułowi poprowadzili nowi panowie Zgromadzenia narodowego: skrajna lewica. Wszystkie argumenty, jakie swego czasu wytoczono przeciwko podobnemu wnioskowi, postawionemu przez Mirabeau, teraz powtórzył Robespierre. Podniósł i naruszenie zasady podziału władz [2] i niebezpieczeństwo presji »ministerjalnej« na przebieg obrad. W tym samym duchu przemawiał Petion. Za projektem komitetu przemawiał Beaumetz. Przytoczył jeden nowy argument za dopuszczeniem ministrów: że wobec rzadszych dysharmonij między ciałem prawodawczem, a rządem, rzadsze będzie korzystanie z prawa veta przez króla [3]. — Ostatecznie przyjęto wniosek kompromisowy Karola Lametha, który artykuł ten sformułował tak, jak brzmi w konstytucji.

---

[1] M. IX. 407 ss.

[2] Sformułował to Robespierre w sposób jasny i charakterystyczny: »L'article tend evidemment à confondre le pouvoir executif non pas avec le pouvoir legislatif en ce qu'il donne le droit de pouvoir faire compter sa voix, mais avec le pouvoir legislatif, en ce qu'il confère aux membres, qui en sont revetus le droit de diriger les deliberations et d'exercer une influence directe sur la formation de la loi«.

[3] Beaumetz przypomniał również, że: »lorsque M. Mirabeau fit à l'assemblée la proposition de donner aux ministres voix deliberative dans l'assemblée et que même il voulait peut-être, que les membres de l'assemblée pussent être ministres on se concertait dans le cabinet de M. l'archeveque de Bordeaux (minister Champion de Cicé) pour faire proposer à l'assemblée qu'aucun de ses membres ne pût être ministre, que quatre ans après la fin de la session...« Beaumetz chciał w ten sposób udowodnić, że właśnie ministrom chodziło o wykluczenie ich z posiedzeń Konstytuanty, że widocznie uczestniczenie takie uważali za niebezpieczne dla siebie. Wiemy, że chodziło jedynie o niedopuszczenie Mirabeau do władzy.

W ten sposób doszły do skutku te rozdziały konstytucji z roku 1791, które regulują stosunek ministrów do ciała prawodawczego.

Artykuł I-szy sekcji IV. (o ministrach) Rozdziału II-go Tytułu III. powiada, że »wyłącznie do króla należy wybór i odwołanie ministrów«. Wiemy, że artykuł ten należy uzupełnić niekonstytucyjnem postanowieniem dekretu o odpowiedzialności ministrów, pozwalającem zwracać uwagę królowi, że ministrowie stracili zaufanie narodu. Artykuł II. tejże sekcji zakazuje powoływania tak członków Konstytuanty, jak członków przyszłych ciał prawodawczych, przez czas pełnienia ich funkcyj poselskich i przez dwa lata po wygaśnięciu ich mandatów na stanowiska ministrów, jak również nadawania im przez rząd jakichkolwiek urzędów lub wynagrodzeń. Zakaz ten dotyczy również członków Trybunału kasacyjnego, jak również przysięgłych Najwyższego Trybunału Narodowego, a nawet wszystkich tych, którzy na liście tych przysięgłych się znajdują. Jest więc ten artykuł rozszerzonem trochę ujęciem stanowiska Konstytuanty, które ona zajęła jeszcze w roku 1789. Art. 3. postanawia, że każdy urzędnik, nominowany przez władzę wykonawczą, jest obowiązany złożyć t. zw. przysięgę cywiczną. Art. 7. nakłada na ministrów obowiązek przedkładania co roku przy otwarciu sesji ciału prawodawczemu sprawozdania, którego treść nie została zbyt ściśle oznaczona. Miało ono mianowicie zawierać: 1) zestawienie wydatków przewidywanych w departamencie składającego sprawozdanie ministra, a więc coś w rodzaju projektu budżetu danego resortu na rok następny, 2) zdanie rachunku z użycia sum, przeznaczonych dla danego departamentu w roku ubiegłym, 3) »wskazanie nadużyć, które mogły się wkraść w różnych częściach rządu« a więc określenie zupełnie ogólne i niejasne [1].

Sekcja czwarta Rozdziału trzeciego tytułu III-go poświęcona jest stosunkom ciała prawodawczego z królem. Uderza tu przedewszystkiem, że ciało prawodawcze zbiera się na doroczną sesję samo bez interwencji króla. Monarcha ma tylko prawo dokonać otwarcia sesji, ale nie jest to koniecznem dla ważności obrad (art. I-szy). Również ciało prawodawcze samo odracza sesję, i samo ją zamyka. Jest tylko obowiązane o tem zawiadomić króla, wysyła-

---

[1] Artykuły 4—6 i 8 sekcji o ministrach omówiliśmy w rozdziale o odpowiedzialności ministrów.

jąc do niego deputację, król zaś może, o ile uważa to odroczenie, względnie zamknięcie sesji, za szkodliwe, zwrócić na tę szkodliwość ciału prawodawczemu uwagę, wysyłając do niego pismo (un message), nad którem ciało prawodawcze jest obowiązane obradować (art. 2—4). Również może zwołać król ciało prawodawcze w przerwie między sesjami, ile razy uzna to za stosowne ze względu na dobro państwa, jak również w wypadkach przewidzianych i określonych przez ciało prawodawcze przed odroczeniem (art. 5). Król ma prawo każdej chwili udać się do ciała prawodawczego. Przyjęty w takim razie będzie i odprowadzony przez deputację, w skład której jednak nie może wchodzić prezydent Zgromadzenia. W obecności króla ciało prawodawcze nie może obradować (art. 6—8). Z art. 9 tego wynika możność korespondowania między królem a ciałem prawodawczem. Nareszcie artykuł 10-ty to kompromisowy wniosek Lametha z 15. sierpnia 1791 r. o uczestnictwie ministrów w obradach ciała prawodawczego. Będą oni mogli zabrać głos, bez specjalnej uchwały zezwalającej im na to, ile razy tego zażądają w sprawach należących do ich departamentów, lub ile razy Zgromadzenie zwróci się do nich z żądaniem udzielenia informacji. To było zgodne ze stanem rzeczy, jaki się wytworzył za czasów Konstytuanty, w szczególności wynikało z tego, że konstytucja nie wprowadzała nowej formy żądania wyjaśnień od ministrów, jak tylko tę, która była praktykowaną przez Zgromadzenie narodowe, t. j. przez uchwałę, nie wprowadzała więc interpelacji w naszem dzisiejszem pojęciu. Lecz art. 10. pod innym względem zmieniał jednak stan rzeczy, jaki się wytworzył przez dwa i pół lat obrad Konstytuanty. Zezwalał bowiem na stałą obecność ministrów na posiedzeniach ciała prawodawczego i przewidywał, że mogą przemawiać także o rzeczach nie należących do ich departamentu, o ile Zgromadzenie narodowe uchwali, że można im głosu udzielić.

Sekcja I. Rozdziału III. Tytułu II. omawia atrybucje ciała prawodawczego. Wymienimy z nich te, które wydatniają supremację legislatywy nad egzekutywą. Przedewszystkiem król nie miał w ścisłem słowa tego znaczeniu, inicjatywy prawodawczej. »Król może tylko wezwać ciało prawodawcze do wzięcia pod rozwagę pewnej sprawy«. To znaczy, że w razie jakiejś propozycji królewskiej, ciało prawodawcze przegłosuje ją tylko o tyle, o ile się znajdzie poseł, który propozycję te przemieni na wniosek posta-

wiony ze swojej strony[1] (punkt I. art. I-go). Ciało prawodawcze nie tylko uchwalało budżet w najpełniejszem tego słowa znaczeniu (punkt 2 i 3), ale także miało »dokonywać rozdziałów podatków bezpośrednich między departamenty królestwa, oraz doglądać użycia dochodów publicznych i kazać z niego zdawać sobie sprawę« (punkt 4). W tem ogólnem określeniu uzyskała sankcję konstytucyjną każda forma kontroli legislatywy nad administracją skarbową, więc np. to wszystko, co widzieliśmy, że w tym zakresie przedsięwzięła Konstytuanta. Punkt 12. niema dużego znaczenia praktycznego, ale jest charakterystycznym dla tendencji wywyższenia władzy prawodawczej nad wykonawczą. Postanawia on, że jedynie ciało prawodawcze ma prawo »ustanawiać publiczne uczczenie pamięci wielkich ludzi«. Takie wyraźne wykluczenie króla w tym wypadku mogło być podyktowane tylko chęcią wpojenia przekonania w lud o supremacji legislatywy nad egzekutywą. Punkty 5—9 i 11. wyszczególniają wszystkie te atrybucje ciała prawodawczego, które wprawdzie należą do normalnego zakresu ustawodawstwa, są więc normalną atrybucją legislatywy, ale co do których mogłyby być co do tego należenia wysunięte wątpliwości[2].

---

[1] Art. I. sekcji 1-szej jest wystylizowany tak, że może budzić wątpliwości co do tego, czy we wszystkich dziedzinach ustawodawstwa może król »wzywać ciało prawodawcze do wzięcia pewnej sprawy pod rozwagę«. Biorąc tekst wspomnianego artykułu całkiem dosłownie, można dojść do wnioskn, że nie. Sprawa jest jasna tylko przy punkcie 1-szym, który mówi ogólnie o ustawach i w drugiej części, w której jest określone owe prawo króla. Właśnie dlatego, że prawo to jest wzmiankowane tylko przy punkcie 1-szym, możnaby wnioskować oczywiście wbrew intencji prawodawcy, że w sprawach wymienionych w punktach 2—7 i 9—12 król wogóle nie ma prawa nawet wzywać ciała prawodawczego do wzięcia pod rozwagę jego propozycji z zakresu spraw w punktach tych wzmiankowanych. W punkcie 8-mym (o dorocznem oznaczeniu liczby ludzi i okrętów w armji lądowej i morskiej) rzecz się przedstawia inaczej. Tutaj uchwała zapaść może jedynie na podstawie propozycji królewskiej.

[2] Stworzenie lub zniesienie urzędów publicznych (punkt 5). Oznaczenie jakości monet (punkt 6). Zakaz lub pozwolenie wprowadzenia wojsk cudzoziemskich na terytorjum Francji (punkt 7). Szereg spraw organizacyjnych armji, łącznie z oznaczeniem, na podstawie propozycji królewskiej dorocznego kontyngentu rekruta (punkt 8) Sposób administracji i sprzedaż dóbr narodowych (punkt 9). Nagrody i dekoracje dla państwa (punkt 11). — Punkt 10. odnosi się do atrybucyj sądowniczych ciała prawodawczego (vide rozdział o odpowiedzialności prawnej ministrów).

Artykuł 2. i 3. omawianej sekcji wprowadzają daleko idącą ingerencję ciała prawodawczego w prawo wypowiadania wojny, zawierania pokoju, jak wogóle w całą dziedzinę polityki zagranicznej. Tak więc wojna może być wypowiedzianą, wprawdzie jedynie na podstawie propozycji królewskiej, ale tylko drogą dekretu ciała prawodawczego, i to nawet w wypadku, gdyby Francja była wyraźnie zaatakowaną. Przez cały czas trwania wojny, ciało prawodawcze ma prawo wezwać króla do rozpoczęcia rokowań pokojowych i król jest zmuszony wezwania tego usłuchać. Wszelkiego rodzaju traktaty, tak pokojowe, jak zawierające przymierza lub handlowe, mogą dopiero wejść w życie po ratyfikowaniu ich przez legislatywę. A więc nie tylko te traktaty wymagają ratyfikacji, które nakładają na państwo nowe ciężary, zmieniają istniejące ustawy, lub zmieniają stan terytorjalny państwa, co wszystko byłoby normalną atrybucją ustawodawczą, ale wszystkie wogóle traktaty wymagają ratyfikacji ciała prawodawczego [1].

Również w zorganizowaniu administracji prowincjonalnej uwydatnia się supremacja ciała prawodawczego (Sekcja II. Rozdział IV. Tytułu II-go konstytucji i dekrety z 14. i 22 grudnia 1789 r.) Cała hierarchja urzędów administracyjnych była obieralna, co musiało przedłużyć ten stan rzeczy oglądania się ich na legislatywę, jaki widzieliśmy za Konstytuanty, mimo że nominalnie organy te miały podlegać wyłącznie królowi. Ale zawieszenie w czynnościach urzędników administracyjnych wymagało zatwierdzenia ciała prawodawczego (art. 8. wspomnianej sekcji).

Nareszcie art. 6, sekcji I-szej rozdz. IV. tytułu III. redukuje do minimum prawo króla wydawania rozporządzeń wykonawczych do ustaw, ograniczając je wyłącznie do prostego nakazywania wykonywania ich, lub przypomnienia, że mają być wykonane.

Przypatrzmy się bliżej stosunkowi egzekutywy do legislatywy, wytworzonemu przez zacytowane artykuły konstytucji.

Z jednej strony widzimy wprowadzenie w całej pełni kontroli nad rządem i odpowiedzialności politycznej ministrów. Redslob słusznie zauważa, że kwestja tej odpowiedzialności jest tylko

---

[1] Jeszcze jaśniej uwydatnia się to w art. 3. Sekcji 3. (o stosunkach zagranicznych) Rozdziału IV. (o wykonywaniu władzy wykonawczej) z którego wynika, że ratyfikacji ciała prawodawczego podlegają wszystkie »traktaty pokojowe, zawierające przymierza i handlowe, oraz inne konwencje«.

kwestją ustosunkowania się sił politycznych, a nie kwestją prawną, jak to wykazuje przykład angielski, ale niema racji, jeśli twierdzi, że Konstytuanta z tego sobie sprawę zdawała[1]. Właśnie dlatego, że sobie tego nie uzmysławiała, uznała Konstytuanta za konieczne przyjąć wniosek Buzota, którego nie można ocenić inaczej, jak tylko prawnem, jakkolwiek oględnem, ujęciem odpowiedzialności politycznej ministrów, jedynem bodaj, jakie spotykamy, w konstytucjach europejskich przed wojną światową[2]. To, że wniosek ten nie został wprowadzony do konstytucji, nie ma większego praktycznego znaczenia, nie zmienia ani wytworzonego stanu rzeczy, ani faktu prawniczego ujęcia odpowiedzialności politycznej. Wprowadzenie tej odpowiedzialności umożliwiało już w całej pełni ustanowienie ciągłej kontroli nad rządem. Zestawiliśmy wypadki, w których ciało prawodawcze miało możność ingerencji w dziedzinę władzy wykonawczej, jeszcze ponad tę normalną kontrolę. Jedno tu było tylko utrudnienie. Niemożność indywidualnego interpelowania ministrów, konieczność dekretu, sby uzyskać wyjaśnienia od rządu. Było to jednak raczej tylko utrudnienie techniczne, uniemożliwiające być może to, co w nowoczesnej praktyce konstytucyjnej nazywamy prostemi zapytaniami (question) ale bynajmniej nie uniemożliwiające, a co najwyżej utrudniające właściwą interpelację. Tak więc ciało prawodawcze było wyposażone w cały arsenał środków, aby być dokładnie poinformowanem

---

[1] Redslob op. cit. str. 270 — Że Konstytuanta nie zdawała sobie sprawy, że odpowiedzialność ministrów jest tylko kwestją ustosunkowania się sił politycznych, a nie kwestją prawną, tego najlepszym dowodem, że się zawahała ze skrupułów prawnych udzielić votum nieufności ministrom we wrześniu 1790 r. Gdy potem swoje poglądy zmieniła, uznała za stosowne prawnie sformułować tę kwestję i uchwaliła wniosek Buzota.

[2] We wszystkich konstytucjach europejskich XIX wieku, powiedziane jest tylko, że władza wykonawcza spoczywa w ręku króla, lub prezydenta rzeczypospolitej, i że za niego są odpowiedzialni ministrowie, poczem następują postanowienia o odpowiedzialności prawnej ministrów. Kwestja, czy rządy sprawowane będą osobiście przez głowę państwa, swobodnie dobierającą sobie swoich ministrów (jak np. w Prusiech), czy też faktyczna władza spoczywać będzie w ręku ministrów, zawisłych od izby posłów, i nominowanych w myśl jego życzeń (jak np. w trzeciej republice francuskiej), kwestja ta pozostawała nierozstrzygniętą w tych konstytucjach i rozstrzygnięcie jej zależało wyłącznie od rozwoju wypadków i ustosunkowania się sił. Dopiero po wojnie światowej zaczynają pojawiać się w konstytucjach postanowienia normujące odpowiedzialność polityczną ministrów, np. art 58 konstytucji polskiej.

o działalności rządu, aby móc go zmusić do postępowania zgodnego z jego intencjami, aby ewentualnie zmusić go do ustąpienia.

Jakież wobec tej siły danej ciału prawodawczemu były środki obrony króla i ministrów.

Normalny sposób pogodzenia silnej władzy wykonawczej z atrybucjami kontrolnemi legislatywy, sposób, na którym polegają rządy parlamentarne, a wynikający z tego, że przywódcy większości ciała prawodawczego zostają powoływani do rządu, został udaremniony przez postanowienie konstytucji, że posłowie nie mogą być ministrami. Dzięki temu, prawie, że uniemożliwiono, aby rząd mógł kierować pracami ciała prawodawczego.

Uniemożliwienie to było zupełne przez utrudnienie przemawiania ministrów na posiedzeniach ciała prawodawczego. Wolno im było wprawdzie przebywać stale na tych posiedzeniach, ale w upokarzającej roli biernych świadków. Aby wolno im było przemawiać, trzeba było specjalnej uchwały. Bez niej narażali się na odebranie sobie głosu, ile razy zaryzykowali choć jedno słowo wykraczające poza ich resort.

Nie przyznanie królowi prawa rozwiązania ciała prawodawczego, pozbawiało rząd jedynej w tych warunkach możliwości nie skapitulowania przed ciałem prawodawczem.

Z tego wszystkiego wynika, że stosunek legislatywy do egzekutywy w konstytucji 1791 r. oparty został na dwóch, w gruncie rzeczy sprzecznych ze sobą przesłankach: podziału władz i supremacji ciała prawodawczego nad władzą wykonawczą. Utartym poglądem było dotąd[1], że było to rezultatem kompromisu, dokona-

---

[1] Np. Redslob op. cit. str. 224: »Die Nationalversammlung schreitet in ihren politischen meist von Montesquien ihr eingegebenen, Bestrebungen vor, bis sie plötzlich auf die Frage stösst; ob sie nicht in Widerspruch mit der Lehre von Rousseau geraten ist. Die Gedankenarbeit der Nationalversammlung hat das eigentümliche, dass sie durchzogen ist von einem steten Konflikt zwischen den beiden Theorien und von der fortwährenden Bestrebung, diesen Konflikt beizulegen«. — Również Duguit (La separation des pouvoirs et l'assemblée Nationale de 1789, Revue d'Economie politique 1893) uważa, że Konstytuanta działała głównie pod wpływem Monteskiusza, a niezgodności z jego doktryną, tłumaczy niezrozumieniem autora »Ducha praw« lub koncesjami na rzecz Russa, a pomija wpływ Mablyego. — Duvergier de Hauranne (op. cit. I. str. 41—43) wymienia wprawdzie Mablyego, jako jednego z tych, którzy wpłynęli na ukształtowanie się opinji Zgromadzenia narodowego, ale tego nie wykazuje, przypisuje zaś większe znaczenie wpływowi Russa, niż inni autorowie, zajmujący się doktrynerskiem podłożem

nego przez Konstytuantę, między zasadami Monteskiusza, a doktryną Russa, kompromisu, w którem przeważył Monteskiusz, a tylko w pewnym stopniu zrobiono koncesje na rzecz Rousseau. W porównaniu pozytywnego ustawodawstwa z teorją poprzedzającą go, dużo jest względności, niewątpliwie więc można i tak ująć podstawy teoretyczne ustroju, wytworzonego przez Zgromadzenie prawodawcze. Nie przypuszczamy jednak, aby takie ujęcie było trafne. Dla nas doktryną, która zwyciężyła u twórców konstytucji 1791 roku, jest doktryna Mablyego.

Dla Monteskiusza podział władz polegał na utworzeniu barjer między władzami takich, któreby uniemożliwiały ingerencję jednej władzy w dziedzinę drugiej, przyczem obie władze były dla niego równorzędne. Wszelką wyższość władzy prawodawczej nad wykonawczą, odrzucał na równi z możnością wpływania egzekutywy na legislatywę. Niesłusznem jest twierdzenie, jakoby zalecał on odpowiedzialność polityczną ministrów. Wręcz przeciwnie, jesteśmy przekonani, że odpowiedzialność taka szła wbrew jego założeniom, jako stwarzająca zawisłość rządu od ciała prawodawczego, a więc gwałcąca zasadę podziału władz, tak, jak on ją pojmował. Cóż z tego widzimy w konstytucji 1791 r.? Z zapór wzajemnie hamujących obie władze, a więc rzeczy najistotniejszej dla Monteskiusza nie pozostało prawie nic: izby wyższej nie wprowadzono, sankcję królewską ukrócono. Ostatecznie dochodzi się do wniosku, że z doktryny autora »Ducha praw« przyjęto rzeczy, których za Monteskiuszem był wyznawcą także i Mably.

Dla Russa władza wykonawcza jest emanacją władzy prawodawczej, opierającej się na woli powszechnej ludu. Z chwilą oparcia ustroju na zasadzie reprezentacyjnej, odrzucenia jakiegokolwiek skorygowania tego ustroju np. przez referendum ludowe, trudno mówić o choćby w drobnej mierze hołdowaniu zasadom autora »Kontraktu społecznego«. Wprowadzenie supremacji ciała

---

prac Konstytuanty. — Egon Zweig (op. cit. str. 85—90) podkreśla z naciskiem, że wpływ Mablyego na twórców konstytucji 1731 r. nie jest doceniany, ma jednak sposobność badać ten wpływ tylko w odniesieniu do problemu »pouvoir constituant«, na ukształtowanie się którego wpływ innych pisarzy, a w szczególności Russa, był większy. — Esmein wzmiankuje o wpływie Mablyego (Prawo konstytucyjne, Warszawa 1921, str. 204), ale na pierwszem miejscu stawia Monteskiusza. Natomiast gdzieindziej (Gouverneur Morris, str. 211) w całej pełni uznaje wpływ Mablyego.

prawodawczego nad rządem, z chwilą zupełnego odrzucenia bezpośredniego udziału ludu w rządach, jest raczej obojętne z punktu widzenia Russa, a nawet wydawałoby mu się bardziej niebezpieczne. niż wierne skopjowanie ideału Monteskiusza. Uważał przecież, że wielogłowa »tyranja« ciała prawodawczego jest gorszą od »tyranji« jednostki.

Natomiast supremacja ta jest najistotniejszym składnikiem poglądów Mably'ego. Przyjmując ją, jak również przyjmując z Monteskiusza te postulaty, których zwolennikiem był i Mably, Konstytuanta stworzyła ustrój, który w zasadniczych rysach odpowiada jego poglądom. Widzieliśmy, jak i podłoże uczuciowe było to samo: nieufność do władzy wykonawczej. Z nieufności utrudniła Konstytuanta ministrom przemawianie w ciele prawodawczem, z nieufności [1] uchwalono wniosek Buzota.

Nie znaczy to oczywiście, aby wpływ Monteskiusza i Russa był obcy Konstytuancie. Byli oni jej członkom lepiej znani od Mablyego, nazwiska ich były bez porównania głośniejsze, cieszyły się większym autorytetem. Powoływanie się na nich bywało w ciągu obrad Zgromadzenia narodowego częstsze i wywoływało efekt większy, niż powoływanie się na Mablyego. Ale wpływ ich wyraził się bardziej w stylizacji konstytucji, w niedopowiedzeniu pewnych rzeczy, niż w faktycznych formach ustrojowych. Większość ideałów Russa znajduje się w deklaracji praw człowieka i obywatela, ale Konstytuanta nie miała skrupułów w ich pogwał-

---

[1] Słusznie podnosi Duvergier de Hauranne (op. cit. str. 103). Natomiast nie można zgodzić się z jego zdaniem, przyjętem również przez Esmeina (Prawo konstytucyjne str. 370), jakoby Konstytuanta nie rozumiała znaczenia wniosku Buzota, jakoby uważano, że mimo uchwalenia votum nieufności dla ministrów, król mógł ich zatrzymać nadal. Niewątpliwie dosłowna interpretacja tekstu na takie prawo króla wskazywała, ale nie było chyba nikogo w Konstytuancie tak naiwnego, któryby wierzył, że będzie w stanie monarcha zatrzymać ministrów, jeśli ciało prawodawcze oświadczy, że stracili oni zaufanie narodu. Jesteśmy przekonani, że Zgromadzenie narodowe całkiem świadomie stworzyło tylko pozory swobodnej decyzji króla przy nominacji i dymisji swoich doradców, w gruncie rzeczy zaś zdawało sobie sprawę ze skutków wręcz przeciwnych uchwalenia wniosku Buzota. Zacytowane przez Esmeina mowy Thoureta i Dupont de Nemours dowodzą tylko, że uważali oni za wskazane nadal pozory zachowywać. — Zresztą gdzieindziej (Précis de l'histoire du droit français 1789—1814, str. 41) nie komentuje już w ten sposób Esmein tej uchwały Konstytuanty.

ceniu, lub obejściu [1]. W myśl teorji Monteskiusza postawiono zasadę. że wyłącznie król ma prawo nominować ministrów, a artykuł o możności zmuszania ich do dymisji przez ciało prawodawcze uznano za niekonstytucyjny i zredagowano tak, aby stworzyć pozory, że ostateczna decyzja w sprawie nominowania i odwoływania ministrów przysługuje monarsze. Nie trudno przewidzieć, że w praktyce miało to doprowadzić do obsadzania stanowisk ministerjalnych jedynie w myśl życzeń ciała prawodawczego, czyli nie wielka miała być tu różnica faktyczna z ideałem Mablyego, aby ministrowie byli wybierani przez legislatywę. Nie było również oczywiście ani słowem w konstytucji powiedziane, że punkt ciężkości w sprawowaniu władzy wykonawczej spocznie w komitetach ciała prawodawczego, również w myśl wskazań Mablyego, lecz znowu musiało to być wynikiem ustroju wprowadzonego przez Zgromadzenie narodowe.

Dochodzimy więc do wniosku, że Konstytuanta stworzyła pozory, jakoby konstytucja przez nią uchwalona, opierała się na doktrynie Monteskiusza, w pewnej mierze Russa, faktycznie zaś wprowadzała ustrój oparty głównie na ideale Mably'ego. Czemu przypisać tę rozbieżność?

Gdy się pisze o wpływie prac teoretycznych na pozytywne ustawodawstwo, zwłaszcza w dziedzinie prawa publicznego, nie należy nigdy zapominać. że wpływ ten jest bardzo względny. Oczywiście, że prace te urabiają poglądy ustawodawców, ale w równej mierze, jak to już zaznaczyliśmy, zaciążyć muszą tu na szali wypadki polityki bieżącej, ustosunkowanie się ścierających sił, nastroje chwili. Niewątpliwie Monteskiusz i Russeau większemi byli autorytetami dla członków Konstytuanty, od Mablyego (jakkolwiek i ten ostatni był znany i poważany) dlatego, gdzie można było, tam redagowano ustawy konstytucyjne tak, aby przynajmniej pozór zgodności z ich zasadami stworzyć. Ale poglądy Mably'ego bardziej odpowiadały temu stanowi rzeczy, jaki wytworzył się w pierwszym

---

[1] Nie wchodzi w zakres tej pracy omawianie deklaracji praw człowieka i obywatela, a więc i sprzeczności zawartych tam, a zaczerpniętych z Russa zasad z konstytucją 1791 r. Tak np. utrzymano dziedziczną monarchję, mimo art. III-go deklaracji o suwerenności narodu i pochodzenia od niego każdej władzy, stwarzając tylko fikcję, że władza wykonawcza jest przez naród dziedzicznie delegowana królowi. Wprowadzono podział na obywateli czynnych i biernych, mimo art. VI. deklaracji, że prawo jest rezultatem woli powszechnej wszystkich obywateli.

okresie rewolucji francuskiej. Konstytuanta z jednej strony obawiała się, aby król na czele sił kontrrewolucyjnych nie obalił jej dzieła, i miała do tej obawy, aż nadto powodów w zachowaniu się dworu. Stąd konieczność możliwie jaknajwiększego ukrócenia władzy królewskiej i niemożność wprowadzenia poglądów Monteskiusza w życie. Z drugiej strony równie silna była obawa Konstytuanty przed anarchją idącą od dołu. Temu burżuazyjnemu i w gruncie rzeczy anti-demokratycznemu Zgromadzeniu, był zrewolucjonizowany lud francuski równie wielkim postrachem, co kontrrewolucyjny król i szlachta. Stąd odrzucenie koncepcji Russa o bezrośrednim udziale ludu w rządach. W tych warunkach poglądy Mably'ego, tego arysto-demokraty, zajmującego stanowisko pośrednie między Russem a Monteskiuszem, nasuwały się samo przez się, czasami świadomie, przypuszczalnie częściej nieświadomie członkom Konstytuanty.

W każdym razie wpływ teoretyków XVIII. wieku zaciążył na szali przy tworzeniu konstytucji 1791. roku z jednego punktu widzenia decydująco. Sposób myślenia członków Zgromadzenia był do tego stopnia przez nich urobiony, że byli oni niezdolni wymyśleć takie formy ustrojowe, których nie spotykali w takiem, lub innem dziele, któregoś z autorów. Mogli swoje poglądy czerpać z takiego lub innego autora, stosownie do wymogów chwili, lub przekonań osobistych, mogli z elementów, które u nich znaleźli, wytwarzać takie lub inne kombinacje, ale nie byli w stanie stworzyć czegoś nowego, czegoś, coby nie znajdowało się ani u Monteskiusza, ani u Russa, ani u Mablyego[1]. Stąd niemożność wprowadzenia rządów parlamentarnych takich, jakie tworzyły się współcześnie w Anglji. Procesu tego tworzenia się po drugiej stronie kanału la Manche dopatrzeć się Konstytuanta nie mogła[2], przedstawienia takich rządów nie znajdowała u autorów, uświadomić sobie ich sama, ich funkcjonowania, znaczenia, celowości, mimo że znała wszystkie ich składowe elementy, nie była w stanie.

W jednej tylko sprawie zrobiła Konstytuanta koncesję na

---

[1] Ewentualnie także u Blackstona i de Lolme'a.

[2] Nie mogła najpierw dlatego, że, jak to nieraz już zauważyliśmy, rządy parlamentarne były dopiero w stadjum formowania się w Anglji, powtóre, że ustrój w Anglji, poza niektórymi monarchistami, znany był członkom Konstytuanty głównie z dzieł autorów, którzy rządów tych w Anglji nie dopatrywali się, lub należycie ich uwydatnić nie umieli.

rzecz Monteskiusza [1], a mianowicie w sprawie sankcji królewskiej. Sankcja ta jest rzeczą obojętną przy systemie rządów parlamentarnych, czego dowodem najlepszym jest fakt, że nie bywa nigdy odmawianą w krajach, gdzie ten system panuje [2]. Ma ona jednak zasadnicze znaczenie przy systemie takim, jaki pragnął wprowadzić Monteskiusz, polegającym na zupełnej równorzędności władzy wykonawczej i prawodawczej [3]. Wprowadzenie tej sankcji było ze strony Konstytuanty nielogicznością, tak z punktu widzenia doktryny Mably'ego, jak i jej obawy przed niebezpieczeństwem kontrrewolucji ze strony króla. Ona jedna nie mieści się w ogólnej konstrukcji systemu konstytucyjnego i nosi na sobie wyraźne piętno kompromisu. To też uczyniono ją możliwie ograniczoną, wprowadzono właściwie tylko veto zawieszające, uniemożliwiające w razie zastosowania go przez króla wejście w życie ustawy na

---

[1] Było to rezultatem wypadkowego układu sił w Konstytuancie. Monarchistom w sukurs w sprawie veta przyszedł Mirabeau i przeważył szalę, zdoławszy jednak wywalczyć tylko veto zawieszające, a nie sankcję zupełną na wzór angielski i według postulatów Monteskiusza.

[2] Sankcja monarsza niema znaczenia przy rządach parlamentarnych, ponieważ: 1) Głowa państwa nie może jej odmówić, jeśli ministrowie mu udzielenie jej doradzą, lub równałoby się to samowolnemu, bez oglądania się na ciało prawodawcze, udzieleniu dymisji ministrom. 2) Uchwalenie ustawy niezgodnej z intencjami ministrów, jest nie do pomyślenia, jak długo rząd rozporządza większością głosów w ciele prawodawczem. 3) Jeśli rząd większość tę utraci, trudno przypuścić, aby doczekał on uchwalenia ustawy, na którą się nie zgadza, i albo poda się przedtem do dymisji, albo przedtem rozwiąże ciało prawodawcze. Pozostaje więc tylko ewentualność, że król, nie chcąc sankcjonować jakiejś ustawy, udzieli rządowi dymisję, powoła rząd z opozycji i rozwiąże parlament. Jest to ewentualność tak rzadka, że w Anglji nie było wypadku odmowy sankcji królewskiej od czasów królowej Anny (r. 1707). Również za czasów trzeciej republiki francuskiej nie było wypadku, aby prezydent użył przysługującemu mu na podstawie konstytucji 1875 r. prawa veta. (vide Esmein, Prawo konstytucyjne, str. 166).

[3] Monteskiusz, Esprit des Lois, Livre XI. Chapitre VI: »La puissance exécutrice, comme nous avons dit, doit prendre part à la legislation par sa faculté d'empêcher; sans quoi, elle sera bientôt dépouillée de ses prérogatives. Mais si la puissance législative prend part à l'execution, la puissance exécutrice sera également perdue. — Si le monarque prenait part à la legislation part la faculté de statuer, il n'y aurait plus de liberté. Mais comme il faut pourtant qu'il ait part à la legislation pour se defendre, il faut qu'il y prenne part par la faculté d'empêcher. — Ce qui fût cause, que le gouvernement changea à Rome, c'est que le sénat, qui avait une partie de la puissance exécutrice, et les magistrats qui avaient l'autre, n'avaient pas, comme le peuple, la faculté d'empêcher.

przeciąg dwóch sesyj prawodawczych. Pozbawiono króla tego veta nietylko w wszystkich sprawach dotyczących regulaminu, weryfikacji wyborów ciała prawodawczego, lub w dekretach, stawiających w stan oskarżenia, ale także i w wszystkich dekretach, odnoszących się do podatków (sekcja III. rozdziału III. tytułu II-go konstytucji).

Jak w praktyce mógł taki system funkcjonować? Okazało się, że był tylko przedłużeniem stanu rzeczy, jaki się wytworzył w stosunku legislatywy do egzekutywy za Konstytuanty: stan ciągłej nieufności między ministrami, a ciałem prawodawczem, i ciągłej, systematycznej ingerencji tego ostatniego w dziedzinę władzy wykonawczej, ingerencji idącej tak daleko, że główny zrąb rządów w państwie spocząć miał w rękach prawodawców. Zmieniło się tylko tyle, że, jeśli Konstytuanta wahała się wywrzeć jakąkolwiek wyraźną presję na króla w kierunku takiego lub innego obsadzenia stanowisk ministerjalnych, to teraz ciało prawodawcze miało możność wyrażenia swej opinji w tym względzie. Był to system, który miał wszelkie złe strony rządów parlamentarnych, bez ich stron dodatnich, otwierał pole do ciągłych kryzysów ministerjalnych, a wykluczał racjonalną współpracę rządu z ciałem prawodawczem, nie mówiąc już o jakiemkolwiek kierownictwie prac legislatywy przez ministrów. Wręcz przeciwnie sankcjonował on definitywnie zupełne podporządkowanie władzy wykonawczej pod prawodawczą. Ostatecznym powodem tego podporządkowania był fakt, że ministrami musieli w tych warunkach być tylko ludzie o słabej indywidualności i małych talentach. Z jednej bowiem strony król nie mógł powołać wybitniejszej jednostki, którąby nie miała zaufania ciała prawodawczego, musiał nominować swoich doradców z pośród członków partji, mającej większość w ciele prawodawczem. Czy było zaś możliwem, aby poza posłami znalazły się w danej partji nieprzeciętne indywidualności? Małe było tego prawdopodobieństwo, to też ministrami mieli zostawać prawie wyłącznie drugo-, lub trzeciorzędne osobistości należące, lub mające zaufanie partji, mającej większość w ciele prawodawczem.

IX.

Charakterystyka stosunku ciała prawodawczego do rządu.

Konstytucja 1791 roku obowiązywała zbyt krótko (październik 1791 — 10 sierpień 1792) aby miało się w całej pełni oka-

zać, jakiemi rezultatami byłaby zdolna wykazać się w życiu, tembardziej, że cały czas jej obowiązywania był okresem ciągłych wstrząsień rewolucyjnych. Normalne funkcjonowanie konstytucji było utrudnione również przez niewyrobienie ciała prawodawczego, w dużej mierze spowodowane uchwałą Konstytuanty[1] że żaden z jej członków nie będzie mógł przez dwa lata być wybrany posłem. Dzięki temu ciało prawodawcze składało się w ogromnej większości z jednostek nieznanych, a mało liczyło osobistości, któreby miały jakinkolwiek doświadczenie w życiu publicznem. Rezultatem tego było jeszcze słabsze wykształcenie się systemu partyjnego, niż to miało miejsce w Konstytuancie. Była w tych ludziach naiwna ambicja zachowania zupełnej niozawisłości sądu i stworzenia pozorów, że w każdym wypzdku idą wyłącznie za głosem swojego sumienią, stąd niechęć ich do poddania się karbom dyscypliny partyjnej[2]. Mimo to można mówić o pewnych ugrupowaniach w ciele prawodarczem[3]. Prawica, to zwolennicy dawnego centrum lewego i tryumwiratu Konstytuanty. Brali oni Konstytucję dosłowuie, w konsekwencji czego pragnęli, aby władza wykonawcza faktycznie spoczywała w ręku króla. Lewica, to jakóbini, lub kordelierzy, pokrywający się mniej więcej z dawną skrajną lewicą Konstytuanty. Ich linią wytyczną było jaknajwiększe ograniczenie władzy króla i jaknajdalej idąca ingerencja ciała prawodawczego w dziedzinę egzekutywy. Wśród lewicy rej wodziła grupa posłów, których później ochrzcić miano nazwą Żyrondystów a których przywódcami najwybitniejszymi byli Brissot, Vergniand i Condorcet. Pomiędzy temi dwoma ugrupowaniami, które trudno nazwać partjami w dzisiejszem tego słowa znaczeniu, ale które bądź co bądź do pewnego stopnia były zwarte, wahała się większość posłów, t. zw. centrum zupełnie nie zorganizowane. Prawie zawsze przechylać się ono miało w stronę lewicy. Dlatego żyrondystów uznać można za przewódzców, mających za sobą większość ciała prawodawczego.

Nie wytworzenie się systemu partyjnego, płynąca stąd niepewność, jakie stanowisko zajmie w każdym poszczególnym wypadku ciało prawodawcze, utrudniało nastanie normalnych stosun-

---

[1] Art. 2. Lekcji IV. Rozdziału II. Tytułu III. Konstytucji 1791 roku.
[2] Podnosi to Gaston Dodu (op. cit. str. 148).
[3] Anlard: Les orateurs de l'Assemblée legislative et de la Convention, Saignac op. cit. str. 332—333.

ków między rządem a ciałem prawodawczym. Stosunki te zaogniało ich podłoże uczuciowe. Było to, to samo co za czasów Konstytuanty, przekonanie o nieuchronnej wrogości egzekutywy do legislatywy. Przekonanie to potęgowało się poczuciem wyższości ciała prawodawczego nad wszelkiemi organami państwowemi, oraz ciągle rosnącą nieufnością specjalnie do osoby Ludwika XVI i jego rodziny. Do tego dołączyć należy, znowu jak za czasów Konstytuanty, konieczność ciągłego oglądania się na lud paryski, trwoga, aby w oczach tego ludu nie uchodzić za zdrajcę, jeśli się powie najmniejsze choćby słowo w obronie króla, lub jego ministrów. To też ton stale wobec tych ostatnich panujący w ciele prawodawczem, to ton ciągłej, namiętnej krytyki, przechodzący nieraz w słowa pogardliwe i obraźliwe.

Wobec tego stanu rzeczy, nic dziwnego, że stosunku ciała prawodawczego do rządu nie można inaczej określić, jak tylko jako chroniczne przesilenie ministerjalne. Perypetje tego stosunku należą raczej do historji politycznej [1]. Dla jego charakterystyki powiemy tylko, że w ciągu dziesięciu miesięcy obrad ciała prawodawczego urzędowało, (nie licząc prowizorycznych kierowników) sześciu ministrów spraw zagranicznych [2], czterech ministrów skarbu [3], contributions et revenus publics, siedmiu ministrów wojny [4], sześciu ministrów spraw wewnętrznych [5], czterech ministrów sprawiedliwości [6] i tyluż ministrów marynarki i kolonji [7]. Tę rekordową w dziejach parlamentaryzmu liczbę osiągnięto bez używania artykułu 28

---

[1] Z punktu widzenia prawa konstytucyjnego oświetlił je Collas: L'exercice du pouvoir executif dans la Constitution de 1791, Dijon 1906.

[2] Montmorin nominowany 16/VII. 1789, Delassart 21/XI. 1791, Dumourier 10/III. 1792 de Naillac 12/VI. 1792, de Chambonnas 17/VI. 1792, Bigot de Sainte Croix 1/VIII. 1791.

[3] Parbé nominowany 28/V. 1791, Claviere 23/III. 1792, Boulieu 18/VI. 1792, Leroux-Delarille 30/VII. 1792.

[4] Duportail nominowany 16/V. 1790, Narbonne 6/XII. 1791, de Grave 9/III. 1792, Servan 9/V. 1792. Dumourier 12/VI. 1792, Lajard 16/VI. 1792, D'Abancourt 23/VII. 1792.

[5] Delassart 25/I. 1791, Cahier de Gerville 27/XII. 1791, Roland 23/III. 1792, Mourgues 12/VI. 1792, Perrier de Montciel 16/VI. 1792, Champion de Villeneure 21/VI. 1792.

[6] Duport de Perte nominowany 21/XI. 1791, Garnier 23/III. 1792, (nie objął urzędowania) Duranthon 12/IV. 1792, Hector de Joly 3/VII. 1792.

[7] Therenard nominowany 17/V. 1791, Bertrand de Molleville 7/X. 1791, Lacoste 15/III. 1792, Dubouchage 21/VII. 1792.

dekretu o odpowiedzialności ministrów; wystarczyła działalność zakulisowa. Jedyne formalne wmieszanie się ciała prawodawczego w sprawę nominacji ministrów, to dekret z 21 lipca 1792 r. [1], wzywający króla, aby natychmiast przystąpił do obsadzenia wakujących stanowisk ministerjalnych.

Naogół stosunek rządu do ciała prawodawczego ukształtował się w sposób niemal zupełnie identyczny do stanu rzeczy panującego za Konstytuanty. Taka sama była ingerencja legislatywy w dziedzinę egzekutywy, tak samo narzędziami tej ingerencji były w dużej mierze komitety, podobne nareszcie były formy zewnętrzne tego stosunku. Artykuł konstytucji, regulujący prawo wstępu ministrów na posiedzenia ciała prawodawczego i zabierania na nich w pewnych warunkach głosu, nie przyniósł żadnej, w gruncie rzeczy, zmiany [2].

Ostatecznie więc dojść trzeba do wniosku, że rządy parlamentarne w pierwszym okresie rewolucji francuskiej nie wykształciły się. Forma rządów, stworzona przez konstytucję 1791 r., wprowadzała szereg elementów, zasadniczych dla ich funkcjonowania, ale równocześnie, jak widzieliśmy, uniemozliwiała wprowadzenie ich w życie. Mimo to okres ten ma duże znaczenie dla przyszłego triumfalnego pochodu systemu rządów parlamentarnych przez wszystkie niemal kraje Europy. Był on jednym z eksperymentów koniecznych, aby przekonać postępowy obóz Europy, że tradycyjne, historyczną ewolucją wykształcone formy ustrojowe angielskie w praktyce życia państwowego, lepsze dają rezultaty od urzeczywistnienia w pracowniach myślicieli wieku XVIII powstałych teoryj.

Źródła i Literatura.

Allix E.: La philosophie politique et sociale de Mably. Revue des études historiques 1899.

Almanach royal, année 1789—1792.

Anson Willam: Loi et pratique constitutionelles de l'Angleterre vol I-er le Parlement, Paris 1903, vol II la Couronne Paris 1905.

---

[1] M. XIII. 206.

[2] Zaraz przy pierwszem pojawieniu się ministrów na posiedzeniu ciała prawodawczego (18 października 1791) gdy tylko weszli na salę, dyskusja została przerwaną. (M. X. 66).

Archives Parlementaires 1788—1799. Première série. Recueil complet des débats législatifs et politiques des chambres françaises, Paris 1877.

Aulard A.: Histoire politique de la révolution française. Paris 1921.

Aulard A.: L'eloquence parlamentaire pendant la Revolution française I. Les orateurs de l'assemblée legislative et de la convention, Paris 1882.

Aulard A.: Taine historien de la revolution française, Paris 1907.

Barckhausen H. Montesqieu, ses idées et ses oeuvres d'après les papiers de la Brède, Paris 1907.

Barthou Louis: Mirabeau, Paris 1913.

Boutmy: La Déclaration des droits de l'homme (Comptes rendus de l'Academie des Siences morales t. CIII).

Becker Otto: Die Verfassungspolitik der französichen Regierung bei Beginn der grossen Revolution, Berlin 1910.

Blackstone: Commentaires sur les loix anglaises, Bruxelles 1774—1776.

Bryce James: The American Commonwealth, London 1888.

Caron Pierre: Manuel pratique pour l'étude de la Révolution française, Paris 1912.

Champion E.: J, J. Rousseau et la Révolution, Paris 1909.

Champion E. La France d'après les cahiers de 1789, Paris 1897.

Collas Jean: L'exercice du Pouvoir exécutif dans la Constitution de 1791, Dijon 1906 (thèse pour la doctorat).

Correspondance entre le comte de Mirabeau et le comte de la Marck pendant les années 1783, 1790 et 1791, Recueilie, mise en ordre et publiée par M. Ad. de Bacourt, Paris 1851.

Declareuil J.: Des critiques touchant les régimes representatif et parlementaire dans les oeuvres politiques de J. J. Rousseau Recueil de l'Academie de législation à Touluse 1910.

Declareuil J.: Histoire générale du droit français des origines à 1789, Paris 1925.

Dedieu J. Montesquieu et la tradition anglaise en France, thèse pour le doctorat presentée à la faculté des lettres de Bordeaux 1909.

Delagrange Roger: Le premier comité de constitution de la constituante (1789) ses vues et ses projets, Un moment d'eclat du Parti royaliste libéral en 1789, Paris 1899, (Thése pour le doctorat).

Dodu Gaston: Le parlamenterisme et les parlamentaires sons la revolution, Paris 1911.

Duguit Léon: Traité de droit constitutionnel, Paris 1911.

Duguit Léon et Monnier Henry: Les constitutions et les principales lois politiques de la France, Paris 1925.

Duguit Leon: La Separation des pouvoirs et l'assemblée Nationale de 1789, Revue d'économie politique, Paris 1893.

Duvergier de Hauranne: Histoire de Gouvernement parlamentaire en France tom I-er, Paris 1867.

Esmein A.: Précis élémentaire de l'histoire du droit français de 1789 à 1814, Paris 1911.

Esmein A.: Prawo konstytucyjne, przekład Wł. Konopczyńskiego i K. Lutostańskiego, Warszawa 1911.

Esmein A.: Gouverneur Morris, un temoin americain de la Révolution française, Paris. Hachetre 1907.

Esmein A.: Cours élémentairs de l'histoire du droit français, Paris 1925.

Faguet: La politique comparée de Voltaire, Montesquieu et Rousseau.

Gélinaud Léonin: Les doctrines sociales et politiques de Mably, Rochefort 1909 (thése pour le doctorat).

Gneist R.: Englische Verfassungsgeschichte, Berlin 1882.

Guerrier M. W.: L'abbé de Mably, moraliste et politique, étude sur la doctrine morale du Jacobinisme puritain et sur le developpement de l'esprit republicain du XVIII. siècle, Paris 1886.

Hasbach Wilhelm: Die moderne Demokratie, Jena 1912.

Hatschek Julius: Euglische Verfassungsgeschichte bis zum Regierungsantritt der Königen Victoria, München und Berlin 1913.

Hatschek Julius: Das Staatsrecht des vereinigten Königreichs Grossbritannien-Irlands, Tübingen 1914.

Hatschek Julius: Englisches Staatsrecht Bd I. Führigen 1906, Bd II. Föhringen 1926.

Haymann Franz: Jean Jacques Rousseaus Socialphilosophie, Leipzig 1878.

Jellinek Georg: Die Erklärung der Menschen und Bürgerrechte, 3 Aufl. von Walter Jellinek, München—Leipzig 1919.

Jellinek Georg: Allgemeine Staatslehre, Berlin 1905.

Lavisse Ernest: Histoire France t. I, première partie, Louis XVI. (1774—1789) par H. Carré, P. Saignac et E. Lavisse.

Laivsse Ernest: Histoire de la France contemporaine t. I. La revolution (1789—1792) par P. Saignac.

Loroquette A.: Le pouvoir éxécutif dans la constitution de 1791, Bordeaux 1921 (thése pour le doctorat).

Loewenstein Karl: Volk und Parlament nach der Staatsheorie der französischen Nationalversammlung von 1789, München 1922.

de Lolme: Constitution de l'Angleterre, Genève 1788.

de Mably: Collection complète des Oeuvres, à Paris, de l'imprimérie de Ch. Desbrière, l'an III. de la République.

Maitland: Constitutional history of England, Oxford 1909.

Mellis: Le principe de le separation des pouvoirs d'aprés l'abbé de Mably, Toulouse 1907.

Montesqieu: De l'esprit des lois (cytowany według wydania Paris Firmin Didot 1872.

Necker: Le ponvoir éxécutif dans les grands états, Paris 1792.

Peretiatkowicz Antoni: Filozofia prawa Jana Jakóba Rousseau, Poznań 1913.

Redslob Robert: Die parlamentarische Regierung in ihrer wahren und ihrer unechten Form, Tübingen 1918.

Redslob Robert: Die Staatstheorien der französischen Nationalversammlung von 1789, Leipzig 1911.

Reimpression de l'Ancien Moniteur vol. I—XIII (cytowane w skróceniu: M; cyfra rzymska oznacza tom, cyfra arabska stronę).

Rousseau Jean Jacques: Oeuvres complètes, Paris 1839.

Siéyès Emmanuel: Qu-est-ce-que le Tiers état? précédé de l'essai sur les privilieges, édition critique avec une introduction par Edme Champion, Paris 1888.

Simonnet H.: Le Gouvernement Parlementaire et l'assemblée constituante en 1789, Paris 1891 (these pour le doctorat).

Sorel A.: Montesqieu, Paris 1889.

Sorel A.: L'Europe et la Revolution francaise, Paris 1899.

Taine H.: Les origines de la France contemporaine, Paris 1898.

Todd A.: Le Gouvernement parlementaire en Angleterre, Paris 1900.

Viollet P.: Le roi et ses ministres pendant les trois derniers siecles de la monarchie, e Paris 1912.

Zweig E.: Die Lehre vom pouvoir constituant, ein Beitrag zum Staatsrecht der französischen Revolution, Tühringen 1903.

Ważniejsze omyłki druku.

Str.:	wiersz:	jest:	winno być:
49.	3 od góry	ustawodawczej	wykonawczej
51.	1 od góry	cel	obraz
51.	7 od dołu	władzy w dziedzinę	władzy ustawodawczej w dziedzinę
51.	4 od dołu	w niej	jej
53.	18 od góry	część	cień
56.	8 od góry	była	były
56.	13 od dołu	albo przykład	albo jako przykład
58.	2 od dołu	Priry	Privy
59.	5 od dołu	Sieysiem	Sieyesem
60.	10 od góry	Lekcja	Sekcja
65.	10 od dołu	Mondosier	Montlosier
58.	18 od dołu	Barere	Barnare
71.	14 od góry	Matlueta	Malvueta
82.	6 od góry	go	ją
82.	8 od dołu	»wielkich sędziów«. Na	»wielkich sędziów« na
83.	4 od góry	jednej	jedno
83.	5 od dołu	rozdziału	podziału
86	2 od dołu	garde-sceaux	garde des sceaux
87.	14 od dołu	VIII	XVIII
87.	12 od dołu	Grenrill'a	Grenville'a
87.	4 od dołu	Anton	Anson
89.	3 od dołu	odpowiedzialnymi	odpowiedzialnym
100.	6 od dołu	Sagnac	Saignac
102.	8 od dołu	że	bo
112.	15 od dołu	interpretacją	interpelacją
119.	5 od góry	składa	Składa
121.	21 od dołu	rozdział	podział
127.	4 od dołu	Do	Z
131.	1 od dołu	odpowiedzialności ministrów	odpowiedzialności prawnej ministrów
132.	7 od dołu	wydatniają	uwydatniają
133.	3 od dołu	dla państwa	państwowe
134.	18 od góry	Rozdział	Rozdziału
135.	6 od dołu	jego	jej
136.	4 od góry	ministrów.	ministrów:
142.	15 od dołu	powodem	rezultatem

Str.:	wiersz:	jest:	winno być:
143.	15 od dołu	Vergniand	Vergniaud
143.	4 od dołu	Lekcji	Sekcji
144.	22 od dołu	contributions et revenus publics	(contributions et revenus publics)
146.	6 od góry	I. Les orateurs	I. Les orateurs de l'assemblée constituante II. Les orateurs
147.	1 od góry	élémentairs	elementaire
147.	16 od góry	Führingen	Tübingen
147.	17 od góry	Föhringen	Tübingen
147.	23 od góry	Histoire France t. I.,	Histoire de France,

Stanisław Świaniewicz

Psychiczne podłoże produkcji w ujęciu Jerzego Sorela.

I.

Cechą bardzo powszechną umysłowości ludzkiej jest dążenie do ujmowania płynnej i stale zmieniającej się rzeczywistości życiowej w pewne schematy, do mechanizowania tego, co, ulegając procesowi ciągłej przemiany w kierunku tworzenia się coraz to nowych niewidzianych dotychczas kombinacyj, wogóle nie może być w żadne martwe formułki ujęte. Ta metoda mechanizowania, ten matematyczny punkt widzenia mogą być właściwe tam, gdzie chodzi o badanie otaczających nas zjawisk materji martwej, tam jednak, gdzie mamy do czynienia ze zjawiskami życia, zastosowanie tych kategoryj myślenia przedstawia bardzo znaczne niebezpieczeństwo. Umysł nasz — jak twierdzi Bergson — jest przedewszystkiem organem walki o byt, dostosowanym do operowania w otaczającym nas świecie materji martwej. Stąd ogromne trudności, jakie mamy wówczas, gdy chodzi nam o zrozumienie zjawisk biologicznych i socjalnych.

Na terenie ekonomji politycznej owe tendencje do mechanizowania płynnej rzeczywistości społecznej najbardziej uwydatniły się w teorjach ekonomistów szkoły klasycznej. Ekonomiści tej szkoły szukali wśród ogromnej ilości kształtujących życie gospodarcze sił, pewnych najbardziej zasadniczych, najważniejszych, istniejących we wszystkich epokach gospodarczych. I w swoich rozważaniach, wyłącznie prawie dedukcyjnych, tylko te siły starali się brać pod

uwagę, odrzucając wszystkie inne wpływy, które traktowali, jako przypadkowe.

W ten sposób, ujmując życie gospodarcze niejako statycznie, bez uwzględnienia przejawów rozwoju ekonomicznego, budowali oni mechanizmy wymiany, podziału dóbr, przerzucania podatków i t. p., tworząc jakby pewne szkielety, dookoła których musiały — ich zdaniem — zjawiska konkretne oscylować. Była to metoda, która stawiała nas daleko od rzeczywistości życiowej; miała jednak swoje zalety, gdyż dawała możność zbadać w oderwaniu działanie niektórych sił, kształtujących rozwój stosunków gospodarczych.

Człowiek, którego brała pod uwagę ekonomja klasyczna, także nie był człowiekiem konkretnym. Był to »homo oeconomicus« pozbawiony zupełnie wszelkich uczuć miłości, nienawiści, przywiązania do pewnych ludzi, pewnej pracy, lub pewnego trybu życia, nie mający żadnych irracjonalnych przeżyć, które przecież tak znaczny wpływ wywierają na postępowanie każdego niemal człowieka. Był to typ skrajnie racjonalistyczny, człowiek, który nie rządził się w życiu niczem, oprócz stałego dążenia do zdobycia możliwie znacznej ilości jednostek abstrakcyjnej wartości, który stale tylko liczył i kalkulował, a którego czynności z tego powodu można było zawsze przewidzieć; był to raczej rozumny automat, niż żywy człowiek.

Teorje ekonomji klasycznej wyrosły na podłożu konkretnej rzeczywistości ustroju towarowo indywidualistycznego. Metody ciągłego kalkulowania, ciągłego obliczania w oderwanych jednostkach wartości stosunku kosztów do zysku, właściwe warunkom gospodarki towarowej, sprawiały wrażenie, iż zasadniczą cechą człowieka w odniesieniu do jego działalności ekonomicznej jest racjonalistyczny stosunek do wszystkich swoich czynności na tym terenie. Stąd ekonomja klasyczna, jako pewien przeciętny typ człowieka, bierze owego skrajnie zracjonalizowanego »homo oeconomicus«, którego zasadniczą cechą na terenie życia gospodarczego jest stałe dążenie do osiągnięcia jaknajwiększych zysków przy jaknajmniejszych nakładach. Pewne cechy — właściwe w tak wysokim stopniu tylko niektórym kategorjom ludzi (giełdziarzom, przedsiębiorcom, kupcom), i to w określonej gospodarczej epoce — autorzy szkoły klasycznej uznali za zasadniczą właściwość gospodarczą człowieka we wszystkich okresach.

Szkoła klasyczna wywarła potężny wpływ na cały rozwój ekonomji politycznej aż do naszych czasów. Pogląd na zakres zjawisk gospodarczych, jako na teren, gdzie człowiek ma naogół tendencje do działania jaknajbardziej racjonalnego, został przyswojony przez bardzo znaczną ilość ekonomistów. Pogląd ten, nadając wszystkim ludziom niezależnie od warunków miejsca i czasu te same cechy psychiczne, ułatwiał niezmiernie szkole klasycznej to mechanistyczne ujmowanie życia gospodarczego, o którem była mowa wyżej.

Pogląd ten, jakkolwiek w zupełnie innem ujęciu, spotykamy także i u Marksa, tylko że Marks idzie dalej. Marks z owego skrajnie zracjonalizowanego człowieka robi pewien etap końcowy, do którego, po przejściu z ustroju indywidualistycznego do kollektywistycznego, ma dojść rozwój gospodarczy. Ideałem, który ma osiągnąć rewolucja, jest dla Marksa zniesienie prywatnej własności środków produkcji i zniesienie podziału ludzkości na klasy. Bowiem podział na klasy jest w pojęciu Marksa jedną z zasadniczych przyczyn wytwarzania się w psychice ludzkiej przeróżnych iluzyj, przesłaniających, jakby tumanem, nasze zdolności poznawcze i uniemożliwiających nam uchwycenie realnej rzeczywistości społecznej.

Do iluzyj tych zalicza Marks zjawiska religji, moralności, patrjotyzmu i t. p. Iluzje te są — zdaniem jego — niezbędne dlatego, by utrzymać panowanie jednych klas nad drugiemi, by stworzyć w psychice klas upośledzonych przeświadczenie o bezwzględnej konieczności pewnego postępowania, leżącego w interesie klas rządzących. Bez istnienia w psychice szerokich mas tych iluzyj żaden z dotychczasowych ustrojów nie mógłby się przez czas dłuższy utrzymać.

Z chwilą, gdy zniknie podział na klasy i zatem zniknie wyzysk, zniknie także potrzeba tych iluzyj. Nastanie wówczas epoka wyzwolenia ludzkiego rozumu z więzów przeróżnych »nadbudowań ideologicznych«. Wszystkiemi czynnościami ludzkiemi będzie kierował wyzwolony umysł. Każdy człowiek uświadomi sobie, że jego najwłaściwszy interes leży w interesie grupy, dlatego też będzie zawsze postępował tak, jak tego dobro grupy wymaga. W ustroju socjalistycznym, rozwiniętym w całej pełni, państwo, prawo i przymus staną się zbędnemi, gdyż wszystkimi ludźmi będzie rządził sam tylko rozum, — a przecież prawa logiki są dla wszystkich jednakowe. Nie będzie więc potrzeby jakiegokolwiekbądź przymusu dla tego, by utrzymać cały bieg życia gospodarczego i cały

aparat produkcji. Ideał Marksa — to ideał zupełnej racjonalizacji życia społecznego, ideał odrzucenia wśród czynników, kształtujących to życie, wszystkiego, co nie przeszło przez badawczy i krytyczny filtr naszego umysłu.

Ta wiara w możność zupełnego zracjonalizowania gospodarczych czynności człowieka jest — zdaniem mojem — najbardziej utopijnym elementem marksowskiego światopoglądu. Tak samo była utopijną wiara autorów szkoły klasycznej w to, iż w stosunku większości ludzi do ich działalności gospodarczej przeważają czynniki racjonalne nad irracjonalnemi. To wrażenie możemy odnieść jedynie w trakcie badania stosunków zamiennych, zagadnień podziału dóbr oraz zagadnień organizacyjnych w systemie gospodarki towarowo-indywidualistycznej. Z chwilą jednak, gdy z giełdy, lub z biura przedsiębiorcy przemysłowego przechodzimy do warsztatu, gdy od zagadnień wymiany przechodzimy do zagadnień produkcji, wrażenie to musi w dużej mierze prysnąć.

W jakiejkolwiek epoce gospodarczej nie weźmiemy człowieka, stwierdzimy, iż zawsze jego działalność pozostawała w ogromnym stopniu pod wpływem całkiem irracjonalnych elementów jego psychiki. Tęsknoty estetyczne, naprzykład, tęsknoty do znalezienia przyjemności w pewnych kombinacjach linij, barw, kształtów lub dźwięków rodzą się gdzieś w całkiem irracjonalnych pokładach dusz naszych; — a jednak stanowiły one jeden z najsilniejszych motywów popychających człowieka pierwotnego do czynności produkcyjnych. Większość badaczy pierwotnej gospodarki skłania się ku poglądowi, że właśnie w czynnościach, zmierzających do zaspokojenia potrzeby estetycznej, zdobył człowiek pierwsze początki swej techniki i nauczył się stosować narzędzia. W pierwotnej produkcji spotykamy się też, jako z jednym z silnych motywów pchających człowieka do działalności wytwórczej, z popędem do naśladowania, który dziś jeszcze w życiu gospodarczym odegrywa całkiem niepoślednią rolę, stanowiąc jeden z czynników psychicznych, zapewniających powodzenie dobrze zorganizowanej reklamie [1].

[1] Prof. Bouglé w jednym ze swoich wykładów z socjologji ekonomicznej, wygłoszonych w Sorbonnie w I. trymestrze roku akad. 1925/26, opowiadał o wszechświatowym kongresie organizatorów reklamy, który się odbył w roku zeszłym w Paryżu i który pod względem gospodarczego znaczenia popędu do naśladownictwa, dał bardzo wiele ciekawego materjału dla socjologów i ekonomistów.

W produkcji średniowiecznej spotykamy się znowu z takiemi zjawiskami, wykraczającemi zupełnie poza rozumowe podstawy działalności gospodarczej, jak, naprzykład, przywiązanie do pewnego zawodu, pewnego trybu życia, lub przywiązanie do tradycji. Czynniki te, zresztą, i w naszych czasach odgrywają niepoślednią rolę, szczególnie w dziedzinie gospodarki rolnej. Nie ulega także wątpliwości bardzo znaczny, jakkolwiek trudno uchwytny, wpływ, który na naszą zdolność dokonywania czynności produkcyjnych okazują takie zjawiska, jak pewna moralność, właściwa danej grupie ludzkiej, pewien charakter wierzeń religijnych, lub nawet pewna skłonność do zabobonności.

Nawet w ustroju towarowo-indywidualistycznym, tym najbardziej zracjonalizowanem ze wszystkich znanych nam ukształtowań gospodarki społecznej, takie momenty, jak pewien duch przedsiębiorczości, jak popęd twórczy, pewna chęć do wylania swojej indywidualności w możliwie znacznej ilości efektów zewnętrznych, jak zdolność do przełamywania szeregu skłonności naszej natury, a szczególnie wstrętu do systematycznej pracy, — a więc wszystko czynniki, opierające się na jakichś całkiem nieuchwytnych elementach psychiki naszej — odgrywają pierwszorzędną rolę, jako zasadnicze właściwości psychiki gospodarczej tego ustroju.

Wśród ekonomistów XIX. wieku było jednak stosunkowo bardzo niewiele zainteresowania temi irracjonalnemi podstawami życia gospodarczego. Przeważały bądź to tendencje do schematyzowania, narzucone przez szkołę klasyczną, która wogóle unikała wiązania zjawisk ekonomicznych ze zjawiskami religji, moralności, sztuki i t. p., bądź też tendencję do oceniania faktów ekonomicznych z punktu widzenia pewnych nakazów moralnych. Rzadkiemi zaś bardzo były próby zbadania roli czynników moralnych, religijnych i wogóle ideologicznych z punktu widzenia ich dodatniego lub ujemnego wpływu na rozwój sił produkcyjnych ludzkości. Tendencje do ujęcia różnych dziedzin życia naszej duszy z tego ostatniego punktu widzenia w bardzo silny sposób uwydatniły się w pracach autorów, powstałej na tle praktyki francuskiego syndykalizmu rewolucyjnego, szkoły socjologiczno ekonomicznej, głównym przedstawicielem której był Jerzy Sorel.

II.

Francuski syndykalizm z okresu ostatnich dwóch dziesiątków lat przed wojną bardzo poważnie się różnił od ruchów zawodowych we wszystkich innych krajach Europy. Zazwyczaj organizacje zawodowe, pomimo tego, iż zwykle noszą pewne zabarwienie ideologiczne, mają przedewszystkiem na względzie obronę najbardziej bezpośrednich i najbardziej aktualnych interesów zrzeszonych. Walczą więc o podniesienie płacy, o skrócenie dnia roboczego, o ścisłe stosowanie ustawodawstwa ochrony pracy, organizują kasy wzajemnej pomocy, kasy ubezpieczeń od nieszczęśliwych wypadków, od bezrobocia, na wypadek choroby i t. p Realizowanie celów dalszych, związanych z całkowitą przebudową ustroju socjalnego, jest zwykle zadaniem robotniczych partji politycznych, na terenie których już się silniej zaznacza wiara w te lub inne systematy ideologiczne. Tak jest dziś prawie w całej Europie i tak jest u nas.

Inaczej ułożyły się stosunki we Francji w początku bieżącego stulecia. Wśród robotników zaczęło tam rozwijać się przekonanie, iż zasadniczem zadaniem związków zawodowych jest nietyle zdobywanie pewnych natychmiastowych korzyści, ile raczej zrealizowanie ideału klasy robotniczej; stworzenie »warsztatu bez pana« (atelier sans maître), w którym całe kierownictwo produkcji obejmą sami robotnicy. W związku z tem rozwinął się we francuskiem środowisku robotniczem pewien swoisty światopogląd, którego cechą najbardziej charakterystyczną było uznanie producenta, fizycznie pracującego nad pomnożeniem bogactwa materjalnego społeczeństwa, za najwyższy moralnie i najszlachetniejszy typ człowieka. Były oczywiście w tym poglądzie pewne oddźwięki ideałów głoszonych w wieku XIX przez Saint-Simona i Proudhona.

Rozszerzanie się tego poglądu siłą rzeczy zaczęło skierowywać uwagę mas robotniczych przedewszystkiem na teren akcji ekonomicznej, odrywając robotników od wszelkich zainteresowań politycznych. »Syndykat jest organem naturalnym walki klasowej. W syndykatach, klasa robotnicza wzmacnia więzy ze swym terenem ekonomicznym, odgranicza się wyraźnie od innych klas, przeciwstawia się im, wyrabia w sobie świadomość swojej odrębności klasowej. W syndykatach są tylko robotnicy, którzy dyskutują też tylko z robotnikami i tylko wyłącznie o sprawach robotniczych.

Syndykat zespala producentów tylko o tyle, o ile oni są producentami, on ich wiąże z ich własnym terenem, on ich zniewala w granicach ich klasy i skierowuje do walki przeciwko nie-producentom«, — oświadczył Lagardelle na kongresie socjalistycznym w Toulouse w 1908 roku w czasie dyskusji pomiędzy socjalistami, a zwolennikami syndykalizmu rewolucyjnego [1].

»Ale to nietylko dlatego, iż syndykat ujmuje robotnika w jego sytuacji socjalnej — powiada dalej Lagardelle w tem samem przemówieniu — ma on dla proletarjatu znaczenie bez porównania większe, niż inne rodzaje organizacyj, których roli ja bynajmniej nie chcę umniejszać. Ma on jeszcze inną zaletę: wyraża on robotnika w jego czynnościach najbardziej specyficznych, w jego czynnościach produkcyjnych, które są najwyższym wyrazem potęgi ludzkiej. Jest w syndykatach jakby pewien mistycyzm produkcji... Ich wartość wielką stanowi właśnie to, iż ujmują one robotnika w najbardziej szlachetnej postawie, jaką natura mu dać może, w przejawach jego twórczej potęgi, w wysiłku przetworzenia materji, dania jej niemal żywego oblicza« [2].

Wśród robotników, zrzeszonych w syndykatach zaczął się wytwarzać pewien stosunek niechęci i pogardy dla wszelkiej akcji politycznej. Stąd też ujemny stosunek do partyj socjalistycznych, udzielających bardzo wiele uwagi zagadnieniom polityki parlamentarnej. Przywódców socjalistycznych zaczęto podejrzewać o to, iż pod głośnemi frazesami rewolucyjnemi chowają oni w gruncie rzeczy tendencje ugodowe. Na teren pracy parlamentarnej zaczęto też patrzeć jako na jeden ze środków osłabienia rozpędu ruchu robotniczego, teren, gdzie przywódcy robotniczy, stykając się stale przy wspólnej pracy z przedstawicielami burżuazji, okazując nieraz znaczny wpływ na bieg spraw państwa burżuazyjnego, jednocześnie przenikają się psychiką burżuazyjną, tracąc przez to wyraźną świadomość tego ideału gospodarczego i socjalnego, do którego klasa robotnicza dąży. Na parlamentaryzm burżuazyjny syndykaliści rewolucjoniści patrzyli poprostu jako na czynnik rozkładający psychikę i ideologję producentów.

Robotnicy — zdaniem syndykalistów rewolucjonistów — musieli mieć zawsze przed oczyma swój ideał ustrojowy i dążyć do

---

[1] Lagardelle. Le socialisme ouvrier. 1911 p. 367—368.
[2] Lagardelle. Le socialisme ouvrier. 1911 p. 368—369.

niego chociażby kosztem wyrzeczenia się nawet bardzo znacznych korzyści natychmiastowych. Etapem końcowym całego ruchu miała być wielka katastrofa strajku generalnego, który miał zmusić przedsiębiorców do odstąpienia swoich fabryk robotnikom, oraz oddać w ręce syndykatów wszystkie funkcje pełnione dotychczas przez państwo. Myśl o szykowaniu strajku generalnego musiała stale przenikać wszystkie organizacje robotnicze. Wszystkie sprawy aktualne musiały być tej najważniejszej kwestji podporządkowane.

Jak silnem było to nastawienie psychiczne możemy przekonać się chociażby z t. zw. »le cas Millerand«. W 1899 r. Waldeck-Rousseau uformował rząd, w którym tekę ministra handlu (do kompetencji którego należały wówczas sprawy syndykatów) otrzymał Millerand. Millerand był socjalistą-reformistą i zwolennikiem stosowania wszelkich środków pokojowych, które mogą polepszyć chociażby nieznacznie sytuację warstw robotniczych. To też odrazu przystąpił do opracowania projektów szeregu ustaw, dających robotnikom pewne bezpośrednie korzyści.

Millerand rozszerzył znacznie ustawodawstwo w sprawie inspektoratów fabrycznych, utworzył rejonowe Rady Pracy, powierzył syndykatom wybieranie delegatów do Naczelnej Rady Pracy, opracował projekt ustawy o zabezpieczeniu na starość i t. d. Oprócz tego wiele uwagi udzielał on rozwojowi zawodowego ruchu robotniczego, usiłując ten rozwój podtrzymać przez cały szereg zapomóg i subwencyj rządowych udzielanych giełdom pracy, kooperatywom, różnym syndykatom i tp.[1]. W okresie rządów Millerand ruch syndykalistyczny rozszerzył się ogromnie. André May w swej pracy o historji rewolucyjnego syndykalizmu podaje, iż na początku roku 1899 istniało 2361 syndykatów robotniczych oraz 55 giełd pracy, wówczas gdy do dnia 1 stycznia 1901 roku cyfry te wzrosły do 3287 syndykatów oraz 75 giełd pracy.

Pomimo to jednak Millerand spotkał się z opozycją znacznej większości zarówno Generalnej Konfederacji Pracy, jak i Federacji Giełd Pracy. Akcję Milleranda okrzyknięto, jako dążenie rządu do opanowania syndykatów robotniczych, do zduszenia w nich nastrojów rewolucyjnych, do skierowania rozwoju syndykalizmu na

---

[1] André May. Les origines du syndicalisme revolutionnaire. Paris 1913 p. 113—117.

ugodowe tory. Przeciwko wszystkim działaczom syndykalistycznym, którzy ze względu na interesy własnych syndykatów okazali gotowość współpracy z Millerandem, rozpoczęto ostrą kampanję.

Nienawiść do tego, co otrzymało nazwę »millerandyzmu«, posunęła się tak daleko, że jeszcze po przeciągu roku po ustąpieniu Milleranda założono wydawnictwo poświęcone specjalnie wykrywaniu tych wszystkich działaczy syndykalistycznych, którzy współdziałali z Millerandem. Ostre zarzuty nie ominęły nawet jednego z najbardziej zasłużonych wobec ruchu syndykalistycznego ludzi, człowieka, pamięć którego jest dziś otoczona w środowiskach syndykalistycznych ogromnym szacunkiem, — organizatora i ideologa Giełd Pracy Ferdynanda Pelloutier[1].

Wśród ogromnej części robotników panował poprostu jakiś mistyczny nastrój. Wierzono w prędkie nadejście wielkiej katastrofy strajku generalnego, który ma rozpocząć zupełnie nową erę. Wszystkie doraźne zdobycze polepszające sytuację warstwy robotniczej, wydawały się niczem wobec tego wielkiego przewrotu socjalnego, który miał wkrótce nadejść. To też zaczęto patrzeć na nie, jako na cele drugorzędne francuskich organizacyj zawodowych. Walkę o nie zaczęto traktować raczej jako pewne ćwiczenia przygotowawcze do ostatecznej walnej rozprawy, niż jako rzecz zasadniczą.

To usposobienie panujące, w omawianym okresie, w syndykatach, usposobienie, które bez przesady możemy określić, jako heroiczne, wywarło bardzo znaczny wpływ na grupę inteligentów skupiających się dookoła czasopisma »Le mouvement socialiste«. Należeli tu. Jerzy Sorel, Eduard Berth, oraz Hubert Lagardelle. Najwybitniejszym z pośród nich i do pewnego stopnia mistrzem szkoły był Jerzy Sorel. Od niego też kierunek teoretyczny, przez tę grupę stworzony, otrzymał nazwę sorelizmu; w literaturze francuskiej jest ten kierunek także znany pod nazwą »nowej szkoły« (la nouvelle école).

Autorów tego kierunku uderzył przedewszystkiem fakt, iż w rozwoju ruchu syndykalistycznego tak znaczną rolę odegrały całkiem irracjonalne momenty psychiki naszej. Marks przedstawiał rozwój ruchów społecznych jako konieczny wynik ukształtowania się pewnych warunków gospodarczych. Soreliści bynajmniej nie przeczyli, iż warunki gospodarcze okazują kolosalny wpływ na kształtowanie się ruchów socjalnych, ale jednocześnie — zdaniem

---

[1] A. May. Les origines du synd. rev. p. 117—118.

ich — we wszystkich większych ruchach historycznych, obok wpływów, idących od podłoża gospodarczego danej epoki, ogromną rolę odgrywała całkiem irracjonalna wiara mas w ziszczenie się pewnego ideału, pewnego obrazu nowego świata, który szerokie masy w świadomości swojej nosiły, pewnego mytu. Żadna rewolucja się nie uda, jeżeli wśród mas nie zrodzi się zależny od całkiem nieuchwytnych okoliczności myt.

Wielka twórcza wartość mytu polega nie na tem, iż dzięki umiłowaniu go przez masy może nastąpić zrealizowanie składających się na jego treść idei; myt ten może być czemś nieziszczalnem; ale może on pchnąć masy do jakichś wielkich bohaterskich czynów, do stworzenia wyjątkowej wagi wartości dziejowych.

W historji obserwowaliśmy nieraz myty. Mytem była wiara pierwszych chrześcjan w bliskie powtórne nadejście Chrystusa. Myt chrześcjański legł u podłoża całej naszej cywilizacji. Myt prowadził rycerzy na krzyżowe pochody. Myt wolności, równości i braterstwa stworzył epopeję Wielkiej Rewolucji Francuskiej. Myt rewolucji syndykalistycznej ma tę szczególną cechę, iż skierowuje on uwagę szerokich mas przedewszystkiem na teren akcji ekonomicznej. Może więc on nietylko doprowadzić do wybuchu i zwycięstwa strajku generalnego, ale spowodować także jakieś wielkie wybuchy energji mas na polu twórczości gospodarczej. W tem też tkwiło — zdaniem Sorelistów — ogromne znaczenie mytu syndykalistycznego dla ekonomistów.

Budując w ten sposób swoje teorje socjologiczne, autorzy »nowej szkoły« dokonali tu bardzo oryginalnego połączenia twierdzeń filozofji Bergsona z praktyką robotniczego ruchu syndykalistycznego. Podług poglądów Bergsona w psychice każdego z nas istnieją jakby dwa »ja«. Jedno wewnętrzne, stanowiące istotę naszej indywidualności, oraz drugie, które możemy określić jako »ja« zewnętrzne. To drugie »ja« jest wytworem zewnętrznych warunków naszej egzystencji. Jest to ta część naszej istoty, do której możemy z całą ścisłością zastosować utarte zdanie, iż każdy jest wytworem swego środowiska. Jest to także ta część naszej istoty, przeznaczeniem której jest podtrzymywanie naszej egzystencji, walka o byt, dostosowywanie świata, który nas otacza, do naszych potrzeb. Zasadniczym organem tego »ja« zewnętrznego jest umysł,

przyzwyczajony do ujmowania wszystkiego w kategorjach materji martwej, niezdolny do uchwycenia treści zjawiska życia.

Ale obok tego »ja« zewnętrznego istnieje w głębi naszej psychiki jeszcze inna część naszej istoty: nasze »ja« właściwe, stanowiące istotną treść naszej indywidualności, dalekie od świata materji martwej, bytujące w czystem trwaniu, w procesie nieskończonej przemiany, stanowiącej istotę zjawiska życia. Owe skryte w głębi psychiki naszej »ja« wewnętrzne jest to najgłębsza, najbardziej indywidualna treść naszei istoty, jest to źródło naszej ludzkiej godności. Życie jest stałym, nieprzerwanym wytryskiem nowości, tworzeniem się nowych nie istniejących dotąd kombinacyj i form. Cechę naszego »ja« wewnętrznego jest ciągłe dążenie do wyjścia poza warunki obecnego momentu, do stworzenia czegoś, czego jeszcze nie było. Jest to ta tajemnicza dziedzina psychiki ludzkiej, gdzie się rodzą twórcze tęsknoty, gdzie powstają genjalne pomysły i plany, gdzie żyje protest przeciwko szarudze dnia codziennego i nieprzeparta chęć do wyjścia poza samego siebie. Jest to ta tajemnicza dziedzina naszej istoty, skąd czasami na powierzchnię życia wychodzi wolny człowiek-twórca. Organem tego ja wewnętrznego nie jest umysł, ale subtelniejsza i głębiej przenikająca władza intuicji.

Normalnie w naszej działalności życiowej, przejawia się tylko »ja« zewnętrzne. »Po największej części — powiada Bergson — żyjemy uzewnętrznieni dla siebie samych; z naszego ja spostrzegamy tylko jego widmo wyblakłe, cień, który odbija czyste trwanie w przestrzeni jednorodnej. Nasze istnienie rozwija się w przestrzeni raczej, niż w czasie, żyjemy dla świata zewnętrznego raczej, niż dla siebie, mówimy raczej, niż myślimy, jesteśmy działani raczej, niż działamy«[1]. Natomiast »ja« wewnętrzne występuje tylko wyjątkowo w momentach szczególnego życiowego napięcia.

Sorel, który przyjmuje naogół filozoficzne stanowisko Bergsona, uważa, iż jedną z sił, zdolnych wyczarowywać z głębi psychiki naszej owo »ja« wewnętrzne, stanowią właśnie myty.

Myt religijny może stać się motorem jakiejś wielkiej twórczości duchowej, dać wierzącym siły do ofiarnego, heroicznego życia. Myty polityczny, państwowy, czy też narodowy mogą się stać czynnikami tworzącemi jakieś wielkie fakty dziejowe. Myt gospo-

---

1 Bergson. O bezpośrednich danych świadomości str. 161.

darczy mógłby wywołać jakieś nadzwyczajne rozpętanie sił produkcyjnych ludzkości, mógłby się stać poprostu czynnikiem tworzącym zupełnie nową epokę gospodarczą i zupełnie nową, o nią opartą, cywilizację.

W ruchu syndykalistycznym autorowie szkoły Sorela widzieli właśnie tworzenie się takiego mytu gospodarczego. To też oczekiwali, iż zwycięstwo syndykalizmu może przynieść poprostu początek jakiejś nowej ery. W pracach swoich usiłowali oni określić z jednej strony — jaką musi być treść tego mytu, żeby wywołać jaknajdonioślejsze skutki gospodarcze, z drugiej strony — zbadać, jakie cechy psychiki ludzkiej najbardziej sprzyjają rozwojowi zdolności produkcyjnych. To też w dziełach Sorelistów spotykamy się stale z dążeniami do zbadania jaki stosunek zachodzi pomiędzy różnemi dziedzinami naszego życia, a terenem, warunkami oraz wymogami naszej pracy gospodarczej.

Gdy człowiek przyzwyczajony do operowania ścisłemi pojęciami ekonomji teoretycznej zabiera się do czytania Sorela, jest na początku zupełnie zdezorjentowany i zdumiony. Stale spotyka się tam z rozważaniami z dziedziny etyki, religji, historji kultury, techniki, historji wojskowości i t. d. Trudno czasami bywa w pierwszej chwili zrozumieć, jakie znaczenie mogą mieć dla ekonomisty rozważania Sorela naprzykład, w kwestji rozwodów, lub też w kwestji przewagi katolicyzmu nad protestantyzmem — a jednak te wszystkie rzeczy łączy autor zawsze z pewnemi problematami swojej teorji produkcji, usiłując ustalić, jak pewne warunki natury reliligijnej, etycznej oraz ideologicznej mogą oddziaływać na zdolność człowieka do jaknajbardziej intensywnej działalności wytwórczej.

Myt syndykalistyczny zawierał ideał zniesienia władzy prywatnych przedsiębiorców nad warsztatami produkcji oraz stworzenia społeczeństwa wolnych wytwórców. Autorowie szkoły Sorela doskonale rozumieli, iż możliwość ziszczenia tego ideału w ten sposób, żeby stworzyło ono warunki do szczególnego rozwoju gospodarczego ludzkości, zależy nietylko od okoliczności natury psychicznej, ale także w ogromnym stopniu od odpowiedniego ukształtowania się podłoża techniczno-organizacyjnego. Uchwycenie tendencyj rozwojowych w tym zakresie stanowiło, obok rozważań nad psychiką producentów, także bardzo ważną część badań Sorelistów nad warunkami intensywnej produkcji w społeczeństwie kolektywistycznem. Przedstawienie poglądów sorelistów na te

ostatnie zagadnienie ze wszystkich wymienionych punktów widzenia jest zasadniczem zadaniem niniejszej rozprawy.

III.

Podstawą całego światopoglądu Sorela jest jego filozofja produkcji. Opiera się ona o pewne całkiem irracjonalnie przyjęte zasady ideologiczne, które wywarły ogromny wpływ na wszystkie rozumowania tego myśliciela. Filozofja ta jest dla nas ciekawą i ważną nietylko ze względu na charakterystykę badanego autora, ale i dlatego, iż rozpowszechnienie się jej uważa Sorel za jeden z zasadniczych warunków dla stworzenia przez rewolucję syndykalistyczną okresu niezmiernie intensywnej pracy wytwórczej.

Czynności produkcyjne zajmują — zdaniem Sorela — centralne miejsce wśród wszystkich przejawów działalności ludzkiej. Organizacja produkcji, narzędzia, których się w procesie pracy używa, materjały, które się przerabia, stosunki socjalne, rozwijające się na tle różnych form produkcji — wszystko to wywiera potężny wpływ na wszelkie inne dziedziny życia ludzkiego, nawet pozornie najbardziej oderwane od ekonomji. Jeżeli, naprzykład, starożytni Grecy mieli tak wielkie zdolności do geometrji i położyli tak mocne fundamenty pod tę dziedzinę matematyki — to, zdaniem Sorela, przyczyną tego był przedewszystkiem fakt, iż Grecy wiele pracowali nad materjałami twardemi. Jeżeli znowu na Wschodzie rozwinęła się tak znacznie magja — to w dużym stopniu przyczyniła się do jej rozwoju chemja, stosowana już w zamierzchłej starożytności przy przetwarzaniu materjałów.

Wszystkie współczesne ruchy socjalne i polityczne, wszystkie ideje, wszystkie systematy ideologiczne Sorel ocenia przedewszystkiem z punktu widzenia ich stosunku do tego najbardziej zasadniczego zjawiska ekonomiki, jakiem jest produkcja dóbr materjalnych. To też Gaston Serbos w swej bardzo ciekawej pracy o sorelizmie[1] określił cały kierunek »nowej szkoły« jako »filozofję produkcji«.

W tem stanowisku sorelizmu bardzo silnie przejawiają się wpływy Marksa i Proudhon'a, zwłaszcza tego ostatniego; z drugiej strony jest ono ciekawe jako pewne przeniesienie niektórych twierdzeń filozofji Bergsona na grunt zagadnień ekonomicznych.

---

[1] Gaston Serbos. Une philosophie de la production.

Bergson, jak wiemy, wśród otaczających nas zjawisk rozróżnia te, które są dostępne badaniom naszego umysłu, oraz te, których nasz umysł uchwycić nie może, gdyż przechodzą one granice jego zdolności poznawczych. Do pierwszego zakresu należą zjawiska materji martwej, gdzie rządzi determinizm, gdzie umysł nadludzki, posiadający znajomość wszystkich sił tu działających i wszystkich elementów składowych, mógłby wszystko obliczyć i wszystko przewidzieć. Drugą dziedzinę stanowi materja organiczna i wogóle wszystkie zjawiska życia. Tu wszystko jest w stanie płynnym, wszystko trwa, wszystko jest w procesie ciągłej przemiany, niema ani chwilki najmniejszej. na którąby ten ruch stanął. Umysł, przystosowany do operowania tylko z materją martwą, staje tu bezsilny. Stosując swój geometryczny punkt widzenia, swoją metodę analizy i klasyfikacji, utrudnia on tylko naszej intuicji wyczucie właściwej istoty życia. Stosując metody pracy naszego umysłu możemy dojść naprzykład do odróżnienia i określenia warstw geologicznych. Gdy jednak w ten sam sposób zechcemy ująć żywy organizm, wpadniemy niechybnie w oderwaną od rzeczywistości abstrakcję. W umyśle przy analizie żywy organizm przedstawia się przedewszystkiem jako suma pewnej ilości komórek. Tymczasem istotą jego jest nie to, iż stanowi on sobą agregat szeregu różnych komórek, ale ta nieuchwytna siła, która przejawia się w życiu całości. Siły tej nauka uchwycić nie jest w stanie. Życie bowiem nie jest podobne do taśny kinematograficznej, gdzie jeden obraz następuje na zmianę drugiemu. Życie jest to, rzucona w pewnym momencie iskra, z której zrodził się idący poprzez przeciąg tysiącleci prąd, wyrażający się w miljardach żywych istot. Uchwycić ten prąd można tylko jako pewną całość. Do tego nasz umysł nie jest zdolny.

Sorel przenosi ten pogląd bergsonowski na teren zjawisk ekonomicznych. Jego zdaniem zjawiska wymiany bardziej zbliżają się do typu zjawisk materji martwej. Zjawiska wymiany dadzą się ująć w pewien system, podobnie jak ruch ciał niebieskich można ująć w pewien system astronomiczny. Możemy użyć terminu mechanizm wymiany; możemy zbudować szkielet tego mechanizmu. Dziedzina wymiany jest w ekonomji politycznej dziedziną »jasną«, dostępną umysłowi do ujęcia w ścisłe terminy. Abstrakcyjna metoda Ricardo, zastosowana do badania zjawisk wymiany, pozostaje tu w zupełnej zgodzie z poglądami Sorela. Także wprowadzenie

przez niektórych nowoczesnych ekonomistów formuł matematycznych dla wyrażenia praw, rządzących wymianą, może mieć z tego punktu widzenia swe zastosowanie.

Inaczej jest ze zjawiskami produkcji. Jest to właśnie ta dziedzina życia gospodarczego, gdzie z największą siłą przejawia się ów nieuchwytny dla rozumowego poznania prąd ewolucji. Jest to dziedzina nieustannej twórczej przemiany. W pracy robotnika przejawia się ów idący po przez wieki prąd ciągłego rozwoju, prąd, który stanowi zasadniczą cechę zjawiska życia.

Robotnik tutaj zbliża się do artysty. Jest to bowiem dziedzina, gdzie także następuje ciągły wytrysk nowości, jakkolwiek może w sposób bardziej powolny, niż w sztuce. Dziedzina produkcji jest również dziedziną twórczości. Siły, które przejawiają się w pracy artysty, które go pchają do ciągłego uzewnętrzniania się w swych dziełach, stanowią jakąś tajemniczą, nieprzeniknioną dla umysłu potęgę psychiczną, potęgę, której działanie nie da się ująć w żadne formuły logiczne, nie da się wcale obliczyć. Działalność produkcyjna ma pewne cechy pokrewne z działalnością artysty; produkcja jest to »ciemna« dziedzina ekonomiki.

Sorel posiada jakby pewien mistycyzm produkcji, mistyczny poprostu kult tej siły rozwojowej, która znajduje swój wyraz w akcji ludzkiej zmierzającej do przetworzenia otaczającego nas świata. Są tu niewątpliwie pewne wpływy Proudhon'a, u którego ten mistycyzm przyjmuje już zupełnie zdecydowane formy. We wstępie do »Système des Contradictions Économiques«, gdzie Proudhon rozwija swoją hipotezę Boga, powiada on, iż hipoteza ta jest mu potrzebna, by wskazać na więzy, które łączą cywilizację z naturą i wszechświatem. Cywilizacja jest wytworem ludzkiej pracy. Praca ta (l'industrie humaine) jest uzupełnieniem (le complément) Bożego dzieła tworzenia. W pracach nad eksploatacją terenu, na którym nas umieściło Przeznaczenie, widzi Proudhon sens i cel wszystkich spraw ludzkich. Ludzkość kontynuje tu dzieło Boga (si donc l'humanité n'est pas Dieu, elle continue Dieu) [1].

Człowiek, gdy pracuje, wypełnia swoje przeznaczenie. Przeznaczeniem człowieka jest całkowite wyczerpanie się w bezustannej pracy swego życia. To stałe ekspansowanie zawartej w nas energji stanowi naszą chwałę, naszą najwyższą rozkosz życiową i naszą nie-

---

[1] Proudhon. Systéme des Contradictions Économiques 1923 str. 54.

śmiertelność. Proudhon porównuje żołnierzy maratońskich, którzy wyczerpali swe dusze w jednym potężnym wybuchu entuzjazmu, do robotników przy warsztatach lub chłopów na polach, którzy powoli wydają swe siły w twardej pracy, trwającej nieraz pięćdziesiąt lub nawet sześćdziesiąt lat [1].

Praca dla Proudhona jest nietylko czynnikiem produkcji dóbr gospodarczych, nietylko środkiem powiększenia bogactw; jest ona dla niego także pojęciem moralnem, tak samo jak miłość, wolność, szlachetność. To też praca jako taka nie może być ujęta w ekonomiczne terminy wartości, tak samo, jak w te terminy nie możemy ująć miłości lub bohaterstwa. Jeżeli mówimy o wartości danej ilości danego rodzaju pracy — to mówimy tylko o wartości jej rezultatów [2].

Proudhon czyni z pracy pewną świętość, nadaje jej znaczenie moralne. Jest ona u niego nietyle środkiem do osiągania pewnych z góry sobie postawionych celów, ile zasadniczym przejawem życia, wykonywaniem odwiecznych przeznaczeń. U Sorela cel jest także rzeczą mniejsza, bardziej zasadniczym jest sam ruch, sam twórczy postęp ewolucji. Wyrazem tego ruchu jest nasza praca, są nasze czynności produkcyjne.

W społeczeństwie kapitalistycznem niema dostatecznego zrozumienia dla tego podstawowego znaczenia zjawisk produkcyjnych. Kwestje, które w nim zwykle wysuwają się na pierwszy plan, dotyczą raczej wymiany i podziału dóbr, niż produkcji. Dlatego też może zagadnieniem najbardziej rozwijanem przez ekonomję XIX wieku było zagadnienie wartości.

W społeczeństwie kapitalistycznem istnieje tendencja do sprowadzania wszystkiego do pewnego wspólnego mianownika, do wyrażania wszystkich różnic jakościowych w kategorjach ilości. Pojęcie wartości, jako owego wspólnego mianownika, jest tu potrzebą psychologiczną. Psychologja społeczeństwa kapitalistycznego — to psychologja giełdy. Na giełdzie wszystkie produkty ludzkiej pracy, wszystkie wytwory naszej twórczej energji, sprowadzone zostają do pewnych oznaczeń cyfrowych, do różnic czysto ilościowych. Giełda jest najbardziej może typową instytucją ustroju kapitalistycznego. Dlatego też zapewne obserwacje maklera gieł-

---

[1] Pirou. Proudhonisme et syndicalisme revolutionnaire str. 50—52.
[2] Proudhon. Systeme des contr. econ. str. 113.

dowego dały początek teorjom największego ekonomisty epoki, Dawida Ricardo.

Ten duch społeczeństwa kapitalistycznego wyraził się także w koncepcjach naukowych ekonomji klasycznej. Zagadnieniom produkcji ekonomja ta udziela stosunkowo najmniej uwagi, na pierwszy plan wysuwając zawsze kwestje wymiany. Ten człowiek konkretny. który w procesie pracy przetwarza swą energję życiową w towary, także ją względnie mało interesuje. Stawia ona natomiast przed nami idealny typ homo oeconomicus, człowieka interesów, który wszystko ujmuje w kategorjach wartości zamiennej, któŕy jest opanowany jednem potężnem dążeniem osiągnięcia jak największej ilości abstrakcyjnych jednostek owej wartości. Homo oeconomicus może być także i producentem, może być nawet robotnikiem, pracującym fizycznie; we wszystkich jednak czynnościach kieruje nim jedyny zasadniczy motyw: dążenie do zdobycia możliwie jak największej ilości wartości drogą jak najmniejszych ofiar. Homines oeconomici, — to ideał obywatela świata kapitalistycznego. Społeczeństwo, złożone z samych tylko homines oeconomici, — to typ idealny społeczeństwa kapitalistycznego, to najbardziej czysty, n a j b a r d z i e j t y p o w y wyraz psychiki kapitalistycznej.

Tej psychice Sorel chce przeciwstawić inną psychikę — psychikę producentów, psychikę ludzi pracy, którzy są niejako zespoleni z owym poprzez wieki rozrastającym się prądem nieustannej przemiany. Zdaniem Sorela, intelektualiści i racjonaliści, przyzwyczajeni do ujmowania wszystkiego w kategorjach materji martwej, nie są w stanie uchwycić i zrozumieć tajemnic rozwoju i postępu. Natomiast robotnik, człowiek pracy fizycznej, człowiek akcji czynnej, intuicyjnie niejako wyczuwa całą głębię i kierunek tego prądu, gdyż najgłębsze poznanie życia przychodzi nie wówczas, gdy myślimy, nie wówczas, gdy oddajemy się spekulacjom naszego umysłu, ale wówczas, gdy działamy.

Owa nowa psychika producentów wykształca się — podług Sorela — w syndykatach robotniczych, gdzie niema ludzi, którzyby nie należeli do świata pracy, skąd wszystkie obce elementy są wykluczone. To też syndykaty tają w sobie nietylko zarodki przyszłego ustroju gospodarczego, lecz niosą one także zupełnie inną, nową kulturę. Dążą one do zburzenia świata kapitalistycznego

nietylko w jego formach ustrojowych, ale burzą także najgłębsze jego podstawy psychiczne.

Walka klasowa, prowadzona przez syndykaty, przedstawia się Sorelowi głównie jako walka producentów z nieproducentami. Wszystkie poprzednie walki socjalne były w przeważnej mierze walkami ubogich z bogatymi. Ideały rewolucyjne były tam przesiąknięte raczej psychiką konsumentów, niż psychiką producentów; sięgały przedewszystkiem do dziedziny podziału dóbr, mniejszą wagę przypisując zagadnieniom wytwórczości.

Ta psychika konsumpcyjna jest cechą charakterystyczną całej współczesnej kultury. Ideje, głoszone przez współczesnych moralistów pochodzą w znacznym stopniu z czasów upadku Grecji. Arystoteles, który pisał na początku tego okresu wywarł potężny wpływ na całą umysłowość naszej ery i na całą naszą kulturę. Pisał on w czasie przejściowym, gdy wojna i praca wytwórcza przestały już być zajęciem znacznej ilości mieszkańców miast, gdy obywatele szukali sposobu zabezpieczenia sobie warunków wygodniejszej egzystencji, gdy coraz większe rozmiary zaczynała przyjmować instytucja niewolnictwa. Produkcja stała się wyłącznie zajęciem niewolników. Moralność producenta została zastąpioną przez moralność właściciela niewolników. »Wystarczy jedynie umieć rozkazywać, co niewolnicy mają wykonać. Gdy się jednak chce zaoszczędzić sobie i tych trudów, można ten zaszczyt pozostawić nadzorcy (intendent), żeby się samemu poświęcić życiu politycznemu oraz filozofji« — cytuje Sorel zdanie Arystotelesa [1].

Ksenofon, który reprezentuje dawniejszy grecki pogląd na życie, zajmuje się jeszcze kwestją wychowania dobrego kierownika robót w gospodarstwie, interesuje się także zagadnieniem podziału pracy w rzemiosłach. Sokrates radzi obywatelowi obciążonemu liczną rodziną, założyć warsztat, gdzieby mógł pracować razem z krewnymi. Ksenofon i Sokrates byli bardziej starymi Grekami [2], były u nich jeszcze silne zainteresowania produkcyjne.

Arystoteles i Platon reprezentują już inne czasy. Arystoteles powiada, iż pan musi być dla niewolnika wzorem cnót, chociaż, jako pan, nie może nauczyć robotnika wykonywania właściwej pracy [3]. Arystokratyzm Platona nie jest tylko ary-

---

[1] Sorel. Réflexions... 1908 str. 234.
[2] Sorel. Réflexions... 1908 str. 235.
[3] Sorel. Réflexions... 1908 str. 235.

stokratyzmem politycznym i filozoficznym; jest to także arystokratyzm konsumenta w stosunku do, dostarczających mu materjalnej podstawy bytu, producentów. U Platona i Arystotelesa góruje już psychika konsumentów.

Ta psychika przeszła od nich do całej naszej cywilizacji. Teolodzy katoliccy nie mieli dostatecznego zrozumienia dla znaczenia produkcji w życiu społecznem[1]. Humaniści pozostawali na tym samym stanowisku moralnem konsumentów. Cała współczesna kultura burżuazyjna, nie wyłączając i socjalistów politycznych, stanowisko to przyjęła.

Cała akcja polityczna socjalistów dzisiejszych jest — zdaniem Sorela — przepojona tym konsumpcyjnym punktem widzenia. Zagadnienie, które w ich ideologji wysuwa się na pierwszy plan, to nietyle zagadnienie produkcji, co zagadnienie podziału dóbr.

Socjaliści parlamentarni reprezentują nietylko interesa klasy robotniczej: idąc pod hasłem walki klas i ideałów proletarjatu, organizują oni wogóle wszystkie niezadowolone i upośledzone elementy w państwie. Służba domowa, zrujnowani rentjerzy, radykalizujący inteligenci — wszyscy mogą do nich przystąpić. Dla osiągnięcia zwycięstwa wyborczego socjaliści muszą nieraz posługiwać się najbardziej brutalną demagogją, schlebiać najciemniejszym instynktom tłumu. Zagadnienia podziału dóbr, kwestje użycia wysuwają się tu oczywiście na pierwszy plan, zaciemniając zupełnie zagadnienia produkcji.

Tymczasem syndykalizm właśnie tem się odznacza, iż owe zagadnienia produkcji wysuwa na czoło swej ideologji. Ujmuje on robotnika w jego najbardziej ludzkiej, najszlachetniejszej, najbardziej twórczej pozycji — w pozycji producenta. Walka, którą syndykalizm toczy, jest nietylko walką o polepszenie sytuacji materjalnej warstwy robotniczej; jest ona także walką o stworzenie warunków, zabezpieczających jaknajszerszy rozrost twórczych zdolności i sił tej warstwy.

IV.

Myt syndykalistyczny soreliści stale określają jako myt producentów oraz myt klasy robotniczej. Powstaje mimowoli kwestja, co oni przez te terminy rozumieją; jakie są cechy, na podsta-

---

[1] Sorel. Réflexions... 1908 p. 234.

wie których moglibyśmy odróżnić producenta od nieproducenta, oraz jakie czynniki są niezbędne dla stwierdzenia istnienia klasy.

Zbadanie tych kwestyj jest nieco utrudnione przez to, iż »nowa szkoła«, zgodnie z zasadami filozofji Bergsona, odrzuca wszelkie dążenia do szukania ścisłych definicyj. Uważa ona, iż płynnej, wciąż zmieniającej się i przetwarzającej się rzeczywistości socjalnej nie można ująć w żadne martwe, nieruchome formuły; ta rzeczywistość jest wiecznym ruchem, którego treść i kierunek można raczej wyczuć intuicyjnie, niż zdefinjować w ścisłych terminach językowych.

Jeżeli chodzi teraz o pojmowanie słowa producent — to, o ile ze zdań, rozrzuconych w różnych dziełach autorów omawianego kierunku, można wywnioskować, termin ten oznacza jedynie robotników fizycznych. Sorel naprzykład zupełnie wyraźnie oświadcza, że wszelka praca, która nie jest ani pracą ręczną, ani pomocniczą do niej, ani związaną z tą pracą więzami technologicznemi, będzie w przyszłem społeczeństwie zajęciem luksusowem. Praca taka nie będzie mogła liczyć na żadne wynagrodzenie.

Na pierwszy rzut oka podobne stanowisko mogłoby się wydać niezmiernie dziwnem. Pozostaje ono jednak w najzupełniejszej zgodzie z filozoficznemi podstawami sorelizmu. Jest ono przedewszystkiem wyrazem przeświadczenia Sorela o wyższości ludzi czynu nad ludźmi myśli.

Zamknięci w swych gabinetach myśliciele, intelektualiści i racjonaliści często nie są w stanie zrozumieć całego szeregu rzeczy, stanowiących rzeczywistość społeczną. Często siły najbardziej twórcze, najbardziej odzwierciadlające kierunek rozwoju społecznego wydają się im dziełem ludzi niedowarzonych, poprostu bezsensem. Bo stojący na uboczu obserwator nie potrafi nigdy zrozumieć realnej twórczości społecznej. Trzeba stać się kroplą w wielkim prądzie przemiany życiowej, żeby treść tej przemiany uchwycić. Robotnik, jako człowiek, który więcej działa, niż medytuje, stanowi właśnie taką kroplę.

Są w tem stanowisku Sorela silne wpływy filozofji bergsońskiej oraz pragmatyzmu. Ale jest tu również i pewne odźwierciedlenie poglądów Proudhon'a na stosunek ludzi pracy fizycznej do intelektualistów. Zdaniem Proudhon'a, człowiek, »który ma swoją ideję w dłoniach, jest nieraz człowiekiem posiadającym daleko więcej inteligencji, a w każdym razie jednostką daleko bardziej

wszechstronną (plus complet), niż ten, kto posiada ową ideję w głowie i nie jest zdolny wyrazić jej inaczej, jak w formułach słownych«, gdyż człowiek pracy fizycznej jest bardziej uzdolniony do wyrażenia swoich idej w czynach, niż ten, kto przyzwyczaił się na wszystko patrzeć pod kątem widzenia spekulacyj umysłowych. Uczony, który nie jest niczem więcej, jak tylko uczonym, ma inteligencję okaleczoną. Posiada on znacznie rozwiniętą zdolność uogólniania i dedukowania, ale nie ma zdolności wprowadzania swoich idej w czyn, podczas gdy należycie wykształcony robotnik reprezentuje inteligencję wszechstronną, »inteligencję obsługiwaną przez organy«[1].

Jest to jednak pewne stanowisko filozoficzne i psychologiczne, podczas gdy pojęcie producenta jest przedewszystkiem pojęciem ekonomicznem. Ujęcie poglądów sorelizmu na omawiane zagadnienie z większem uwzględnieniem tego ostatniego punktu widzenia daje nam Hubert Lagardelle w jednym ze swych artykułów w »Le Mouvement Socialiste«[2].

Lagardelle nie zaprzecza wcale, iż z punktu widzenia teorji ekonomji politycznej pracownik umysłowy może być tak samo zaliczony do kategorji producentów, jak i pracownik fizyczny; tembardziej, że podział na pracowników intelektualnych i robotników ręcznych nie jest tak łatwy do przeprowadzenia, jak to na pierwszy rzut oka mogłoby się wydawać. Prawie każda praca ręczna jest połączona z pewnym wysiłkiem intelektualnym, wiele zaś czynności zwanych intelektualnemi nie są niemi wcale.

Zdaniem Lagardell'a, ten podział w teorjach autorów »nowej szkoły« ma raczej znaczenie socjalne, niż ekonomiczne w ścisłem tego słowa znaczeniu. Wytworzył go stopniowo rozwój produkcji nowoczesnej. Myśl ta została już — podług słów Lagardell'a — rozwinięta przez Marksa. Duży przemysł, oparty na pomysłowych maszynach, wywołuje podział na pracę fizyczną oraz potęgę intelektualną produkcji. Ustrój kapitalistyczny tę potęgę intelektualną przetwarza w »jeden z czynników, na których się opiera panowanie kapitału nad pracą«. Ten podział na pracowników intelektualnych i fizycznych jest zatem — powiada Lagardelle — »jedną z podstaw współczesnej hierarchji socjalnej, jednym z czynników

---

[1] Pirou. Proudhonisme et synd. révol. str. 54

[2] »Le Mouvement Socialiste« 1907, janvier—juin. Hubert Lagardelle. Les intellectuels et le socialisme ouvrier, str. 110.

podziału na społecznie wyższych i niższych. na rządzących i rządzonych«.

Pozatem — podług Lagardelle'a — istnieje cała kategorja ludzi, którzy z myślenia uczynili sobie zawód życiowy. Są to publicyści, profesorowie, adwokaci, literaci, poeci i t. d. Wszyscy ci ludzie są w znacznej mierze zależni materjalnie od klas rządzących w społeczeństwie. Ta zależność wywiera bardzo silny wpływ na ich sposób myślenia, na ich poglądy, na wszystkie wytwory myśli, które są rezultatem ich zajęć życiowych. Przy pomocy swoich talentów, autorytetu, wiedzy stają się oni w ten sposób jednym z czynników, tworzących psychiczne podłoże dla panowania burżuazji. W stosunku do warstw panujących obecnie, w stosunku do potęgi kapitału, odgrywają oni tę samą rolę, jaką niegdyś literaci i artyści na dworach książąt włoskich odegrywali w stosunku do suwerenów, którzy ich utrzymywali [1].

To też »nowa szkoła« zajmuje względem współczesnej warstwy intelektualistów stanowisko zdecydowanie ujemne. Nie znaczy to jednak, by soreliści dążyli do zniwelowania znaczenia pracy duchowej i umysłowej w rozwoju społecznym. Twierdzą oni tylko, że, jeżeli praca intelektualistów ma się stać czynnikiem prawdziwego postępu, trzeba, by pracownicy umysłowi byli ściśle związani z tym najpotężniejszym przejawem sił twórczych człowieka, jakim jest produkcja dóbr gospodarczych, nieustannie przetwarzająca zewnętrzne warunki naszego bytu. Trzeba pozatem, by praca myśli i ducha stała się wolna, by poeci, literaci, artyści, myśliciele zostali wyzwoleni od względów materjalnych, z jakiemi ta praca, pojmowana jako zawód, może się łączyć.

Lagardelle w powyżej wspomnianym artykule, jako wyraz swoich poglądów na właściwą rolę intelektualistów w społeczeństwie podaje nam następujące zdanie Renana: »Poezja, filozofja, literatura nie stanowiły w dobrych czasach starożytności zamkniętych zawodów, jak to jest w społeczeństwach nowoczesnych. Było się filozofem lub poetą we wszystkich sytuacjach życiowych, tak, jak było się uczciwym człowiekiem. Żaden interes praktyczny, żadna instytucja oficjalna nie były potrzebne, by pobudzać gorliwość do badań naukowych lub twórczości poetyckiej. Spontaniczna żądza wiedzy, instynktowne wyczucie rzeczy pięknych

---

[1] G. Sorel. Les Illusions du progrès.

zupełnie wystarczały. Ammonius Saccas, założyciel najbardziej abstrakcyjnej szkoły starożytności, był tragarzem«.

Warstwa intelektualistów, t. j. ludzi, którzy z myślenia uczynili zasadnicze zajęcie życiowe, jest tu oceniona ujemnie nietyle, jako warstwa nieprodukcyjna ekonomicznie, ile raczej jako warstwa, tamująca w danych warunkach rozwój społeczny. Producenci w ideologji »nowej szkoły« są przeciwstawiani tej warstwie, jako kategorja socjalna, jako klasa ludzi, przenikniętych ideałem jaknajwiększego rozwoju naszych sił twórczych w dziedzinie gospodarczej. Producent więc jest tu nietyle pojęciem, związanem z teorją ekonomiczną, ile pewnem pojęciem socjalnem i historycznem, oznaczeniem człowieka, który w danym okresie dziejowym świadomie, czy też nieświadomie nawet, niesie twórczy ideał ustrojowy, mający oparcie w warunkach pracy i działalności życiowej tego człowieka.

Jeżeli chodzi teraz o pojmowanie przez autorów »nowej szkoły« terminu »klasa społeczna« — to coś w rodzaju definicji daje nam najbardziej ścisły ze wszystkich autorów kierunku sorelowskiego, Lagardelle, w artykule »Classe sociale et partie politique«, umieszczonym w 1909 r. w »Le Mouvement Socialiste«. »Klasa socjalna — powiada on — jest to względnie jednorodna zbiorowość ludzi, znajdujących się w jednakowej sytuacji ekonomicznej i połączonych wspólną świadomością tej sytuacji«. Dla ustalenia istnienia zjawiska społecznego, określanego pojęciem »klasa«, musimy — zdaniem Lagerdelle'a — wziąć pod uwagę dwa zasadnicze czynniki: jeden natury czysto ekonomicznej, drugi psychologicznej.

Podstawę ekonomiczną dostarcza klasie rodzaj produkcji (le mode de production), z którym się zwykle łączą stosunki własnościowe (le mode de propriété). Podług tego, jak i co ludzie produkują, oraz co posiadają, dzielimy ich na różne kategorje socjalne. Najważniejszą cechą jest tutaj sytuacja ludzi, należących do danej klasy, w stosunku do prawa własności środków produkcji. Reszta cech natury gospodarczej, jak: ogólne warunki egzystencji, rodzaj dochodów, wspólność interesów i t. p., są przedewszystkiem zależne od tej jednej zasadniczej właściwości.

Ale same momenty ekonomiczne i prawne nie wystarczają. Żeby się uformowała klasa społeczna, potrzeba, by obok właściwości ekonomicznych rozwinęły się także pewne właściwości psychiczne; zwłaszcza potrzeba, żeby się rozwinęła świadomość kla-

sowa. Proste zbiorowisko ludzi znajdujących się w jednakowych warunkach ekonomicznych, jeszcze nie stanowi klasy. Typowy przykład takiej zbiorowości, nie połączonej więzami świadomości klasowej, znajduje Lagardelle u Marksa w jego opisie drobnych właścicieli chłopskich. Właściciele ci tworzą masę ekonomicznie jednorodną w tem znaczeniu, że wszyscy są w podobnych warunkach życiowych. Nie stanowią jednak klasy, ponieważ indywidualizm drobnych producentów rolnych dzieli ich nieprzekraczalnym murem. Możemy ich określić poprostu jako sumę jednostek tego samego typu, tak samo jak określamy kartofle wsypane do worka.

Klasa więc nie jest tylko wytworem ekonomji, lecz także pewnym tworem historycznym. Gdyż dla wytworzenia się świadomości klasowej, dla wytworzenia klasy w całkowitem znaczeniu tego wyrazu, potrzebny jest pewien zespół warunków historycznych, które tę świadomość budzą. We wspólnocie klasowej, tak samo jak i we wspólnocie narodowej, wytworzone na przeciągu dziejów więzy psychiczne stanowią element konieczny. Klasa robotnicza — powiada Sorel — to »społeczeństwo producentów, które wytworzyło sobie ideje, odpowiadające swojej sytuacji, oraz które siebie uważa za wspólnotę zupełnie analogiczną do wspólnoty narodowej« [1].

Typowy przykład wpływu warunków dziejowych na formowanie się klasy daje — zdaniem Lagardelle'a — porównanie burżuazji francuskiej z rosyjską. Formowanie się klasy burżuazyjnej we Francji to nieprzerwane pasmo walk z feodalizmem oraz władzą królewską, to metodyczny pochód do zwycięstwa, powolne dochodzenie do coraz większych zdobyczy, to postępowy rozwój własnych instytucyj, z początku w postaci władz komunalnych, potem w postaci parlamentu — a nakoniec ten uderzający rozkwit idei i ludzi, którzy przygotowali i przeprowadzili rewolucję, będącą wynikiem całego szeregu następujących po sobie aktów burzenia i budowania. Tymczasem w Rosji bezsprzecznie istnieje element materjalny klasy burżuazyjnej: przemysłowcy, handlowcy, adwokaci, inżynierowie i t. d., ale zagubieni w bezwładnej masie ludu rosyjskiego, bez swoich organizacyj. bez wspólnych walk w przeszłości, bez tradycji, bez własnych idej politycznych i praw-

---

[1] G. Sorel. La décomposition du marxisisme, p. 48.

nych. Stąd niezdolność zupełna do odegrania najmniejszej roli historycznej, do znalezienia siebie w chaosie wypadków oraz do wyjścia ze stanu dezorganizacji, wywołanego przez nietwórczą rewolucję [1].

Wynika stąd — podług Lagardelle'a — nietylko konieczność pewnego podłoża gospodarczego dla pojęcia klasy, ale także konieczność pewnej ideji, którąby tę formację społeczną ożywiała. I nietylko ideji, ale także woli do wcielenia tej ideji w czyn życiowy, oraz pewnej organizacji, tym celom służącej. Tylko wówczas, jeżeli dana grupa ekonomiczna wytworzy sobie pewien zespół pojęć prawnych. gdy zbuduje sobie własny ideał prawny i stworzy organizacje walki dla narzucenia tego ideału całemu społeczeństwu, — tylko wówczas będziemy mogli powiedzieć, iż stoimy wobec faktu istnienia klasy. Gdyż walka klas — podług Sorela — jest w dzisiejszem społeczeństwie przedewszystkiem walką o nowe prawo, którego ideję klasa robotnicza rozwija w swoich organizacjach klasowych. Myśl tę Sorel bardzo szeroko rozwija w »Avenir socialiste des syndicats«. Oczywiście w zależności od środowiska historycznego, od pewnych specyficznych warunków, w jakich dany kraj się znajduje, ideał tego prawa u klas robotniczych różnych narodów nabiera pewnych różnych odcieni.

Na czem polega jednak ideał klasy robotniczej, wzięty w najogólniejszych zarysach?

Ideał ten wyrasta — podług Sorela — przedewszystkiem na tem podłożu, które wytwarza w psychice robotnika jego zasadnicza sytuacja życiowa, mianowicie sytuacja producenta. Jest to ideał producentów. W starożytnej Sparcie chciano wychować społeczeństwo odważnych żołnierzy; pierwsi chrześcijanie marzyli o społeczeństwie świętych: Królestwie Bożem na ziemi; bojownicy wielkiej rewolucji francuskiej chcieli zbudować społeczeństwo wolnych i równych obywateli; uświadomieni klasowo robotnicy chcą stworzyć społeczeństwo producentów. Ideałem starożytnej Sparty był bohater bojowy, idealem średniowiecznego chrześcijaństwa — asceta, ideałem syndykalizmu robotniczego jest producent.

Cała energja wszystkich nieuchwytnych twórczych sił psychiki naszej, wszystkie owe elementy wzniosłości, które w starożytnej Grecji rodziły szaloną odwagę wojenną, które na początku naszej

[1] Omawiany artykuł (Classe sociale et partie politique w Mouvement Socialiste, 1909) był pisany w kilka lat po rewolucji 1905 roku.

ery stworzyły męczeńską epopeję chrześcijaństwa, a w czasach późniejszych wyraziły się we wzniosłej ekstazie średniowiecznych ascetów, które podczas wielkiej rewolucji dały bohaterski entuzjazm walczącym z koalicją armjom, — wszystkie te siły zostaną skoncentrowane w psychice naszej, by wytworżyć nowy typ producenta. — bohatera produkcji. Producent stanie się tytułem, który zastąpi tytuł obywatela, zostawiony nam przez rewolucję burżuazyjną. To będzie społeczeństwo, gdzie wszystkie siły, które dzisiaj są skierowywane na szereg nietwórczych czynności państwowych, na utrzymanie panowania jednej klasy nad drugą, zostaną użyte dla podniesienia wydajności na polu twórczości gospodarczej.

Praca produkcyjna w ten sposób stanie się w pojęciu członków przyszłego społeczeństwa nietylko środkiem do osiągnięcia pewnych celów zewnętrznych, ale też niejako celem sama w sobie. Zasadniczą rzeczą będzie nietylko rezultat, który ta praca przyniesie, ale także sam twórczy wytrysk energji ludzkiej. Znaczenie utylitarne pracy, jako środka walki o byt, odejdzie w wielu wypadkach na dalszy plan, wobec znaczenia pracy, jako pewnej wartości moralnej. Praca stanie się czynnikiem tego samego rodzaju, co honor, szlachetność, ofiarność, altruizm. Człowiek, który nie pracuje, stanie się w ten sposób nietylko ciężarem społeczeństwa, nietylko osobnikiem, który z punktu widzenia socjalnego nie przynosi korzyści, ale także człowiekiem z ł y m. Punkt widzenia korzyści społecznej, społecznego interesu, przekształca się tutaj w punkt widzenia moralny.

To też »nowa szkoła« daleką jest od marzeń sprowadzenia w przyszłem społeczeństwie dnia pracy do trzech lub czterech godzin, a nawet 1 g. 21 m.[1], — marzeń, właściwych ideologom. wychowanym w duchu burżuazyjnej kultury. Gdyż w burżuazyjnem społeczeństwie patrzy się na pracę jako na jarzmo, które Przeznaczenie na ludzkie barki włożyło, jako na ciężar, który każdy, gdy tylko może, usiłuje zrzucić. Najbardziej szanowanymi, najbardziej wpływowymi ludźmi są w społeczeństwie burżuazyjnym właśnie ci, co najmniej pracują.

Klasa robotnicza niesie z sobą ideał społeczeństwa innego, gdzie praca stanie się zaszczytem, godnością, miarą moralnej wartości człowieka. To też w robotniczych organizacjach klasowych,

---

[1] G. Serbos. Une philosophie de la production, p. 218.

w syndykatach, — zdaniem Sorela — wychowuje się moralność nowej ery, moralność, zasadniczą własnością której będzie kult pracy[1].

V.

Ten moralny ideał syndykalizmu nie jest jednak tylko wynikiem pewnych ideologicznych prądów, rozwijających się w łonie organizacyj robotniczych. Jest on — podług zdania autorów »nowej szkoły« — szeregiem nieuchwytnych nici, połączony z całym nowoczesnym rozwojem technicznym. Typ moralny, urabiany przez syndykalizm, jest — podług tego poglądu — także typem, który staje się coraz bardziej niezbędnym po to, żeby nowoczesne sposoby produkcji dały maksimum możliwych rezultatów.

Siłą, która w ogromnym stopniu przyczynia się do wywołania wśród mas robotniczych tego procesu przemiany psychicznej oraz ideologicznej, są warunki nowoczesnej produkcji maszynowej. Uchwycenie jednak poglądów Sorela na zasadniczy charakter wpływu maszyny na psychikę robotnika możliwe jest tylko w związku z bergsonowską teorją różnicy pomiędzy umysłem a instynktem, teorją, na którą Sorel niejednokrotnie przy swoich rozważaniach powołuje się.

Bergson uważa, iż zasadniczą właściwością czynności instynktownych jest brak świadomości. Nie dlatego, żeby świadomość przy czynach instynktownych wogóle nie istniała, tak jak nie istnieje w upadającym kamieniu, ale dlatego, że tu wyobrażenie czynu całkowicie pokrywa się z samym czynem, iż jest ono tutaj »zatkane przez czyn«. Czyn jest »tak doskonale podobny do wyobrażenia

---

[1] Przedstawiając w niniejszej rozprawie sorelowskie rozumienie pojęcia klasy, bynajmniej nie mam zamiaru wyczerpać całokształtu poglądów autora na to zagadnienie. Przedstawiam tu tylko te poglądy, które oświetlają znaczenie klasy, jako czynnika wykształcającego pewną psychikę producentów. Pozatem jednak sorelowskie rorumienie klasy społecznej jest bardzo skomplikowane i nie pozbawione nawet pewnych sprzeczności. Sorel, naprzykład, nie może zaprzeczyć, iż podział ludzkości na kilka zasadniczych klas jest bardzo dowolnym i że istnieje sporo grup, które z równem powodzeniem można zaliczyć do kilku klas, jak też nie zaliczyć do żadnej. Czasami przy czytaniu dzieł Sorela odnosi się wrażenie, iż klasa przedstawia się mu raczej, jako pewien myt, ważny z punktu widzenia rewolucji socjalnej, niż jako realne zjawisko rzeczywistości gospodarczej.

i tak dokładnie w niem się mieści, że żadna świadomość nie może się już z poza niego wydostać«.

Zasadniczą bowiem rolą świadomości przy naszem działaniu jest umożliwienie nam wyboru. Świadomość jest »światłem, zawartem wewnątrz kręgu czynów możliwych lub działalności potencjalnej, otaczającego czyn istotnie spełniany przez istotę żyjącą« Tam, gdzie obok czynu rzeczywistego zarysowuje się w wyobraźni podmiotu działającego wiele czynów równie możliwych, świadomość jest silna. »Tam, gdzie czyn rzeczywisty jest jedynym czynem możliwym (jak we śnie somnabulicznym, lub ogólniej, w automatycznym rodzaju działalności), świadomość znika«. Z chwilą jednak, gdy w tym ostatnim wypadku działalność nasza uderza o przeszkodę, gdy następuje różnica pomiędzy czynem wyobrażanym, a istotnym ukształtowaniem się ruchów, świadomość wraca. To też Bergson określa świadomość istoty żyjącej jako »arytmetyczną różnicę między działalnością możliwą a działalnością rzeczywistą. Jest ona miarą odstępu pomiędzy wyobrażeniem a czynem« [1].

Istnienie tego odstępu oraz możność wyboru powodują, iż czynność nasza przestaje być instynktowną oraz, że zaczyna nią kierować umysł. Właściwością czynu instynktowego jest pewność, brak wszelkiego niezdecydowania. Przeciwnie, pewne wahanie jest zasadniczą własciwością czynów, kierowanych przez umysł, który, mając przed sobą wiele dróg do wyboru, nie może uniknąć chociażby najmniejszej chwili zastanowienia i refleksji. Rozwinięcie instynktu przy dokonywaniu jakiejś czynności daje nam większą dokładność, większą ścisłość i większą szybkość. Jest to wielka zaleta instynktu. Wadę instynktu natomiast stanowi, iż z konieczności jest on wyspecjalizowany, podczas gdy umysł pozwala nam z większą lub mniejszą dozą łatwości przechodzić od czynności jednego typu do czynności typu odmiennego. Instynkt pozatem polega na szczególnem dostosowaniu organów naszego ciała, jako naszych narzędzi naturalnybh, do wykonywania pewnych kategoryj ruchów. Umysł, dając nam możność wyboru, umożliwiając poszukiwania, daje nam jednocześnie zdolność przedłużania naszych organów naturalnych przez wynajdywanie narzędzi sztucznych.

---

[1] H. Bergson. Ewolucja twórcza. Tłumaczenie Znanieckiego, str. 126—127.

To też, jakkolwiek dla dokonania pewnej ściśle określonej czynności, rozwinięcie odpowiedniego instynktu jest rzeczą pożądaną, to jednak z punktu widzenia ogólnego rozwoju zdolności produkcyjnych ludzkości umysł, jako organ kierowniczy naszej pracy wytwórczej, posiada wyższość niezaprzeczoną. Umysł bowiem w stanie rozwiniętym, dając możność wynajdywania coraz to nowych narzędzi i metod pracy, powiększa naszą władzę nad naturą. Coprawda narzędzie, wyrobione rozumnie, jest niedoskonałe. »Prawie zawsze ciężko się niem posługiwać. Ale, ponieważ jest ono zrobione z nieorganicznej materji, więc może przybrać dowolną formę, służyć do dowolnego użytku, dopomóc istocie żyjącej w każdej nowej trudności, jaka się pojawi i nadać jej nieograniczoną ilość władz« [1]. Niższe od narzędzia naturalnego, którym się posługujemy przy czynnościach instynktowych, gdy chodzi o zaspokojenie potrzeb bezpośrednich, ma ono tem większą wyższość nad niem, im mniej pilną jest potrzeba. »A przedewszystkiem oddziaływa ono na naturę istoty, która je wyrobiła, gdyż, wzywając ją do spełnienia nowej czynności, nadaje jej niejako bogatszą organizację, ponieważ jest organem sztucznym, stanowiącym dalszy ciąg organizmu naturalnego. Na miejsce każdej potrzeby, którą zadowala, stwarza ono potrzebę nową, i tym sposobem, zamiast zamykać, jak instynkt, krąg działalności, w którym obracać się będzie automatycznie zwierzę, otwiera dla tej działalności pole nieograniczone, gdzie popycha ją coraz dalej i czyni ją coraz bardziej wolną« [1].

Tę zdolność do czynienia wynalazków, ważnych z punktu widzenia naszej działalności produkcyjnej, uważa Bergson za najpotężniejszą właściwość naszego umysłu. »Niedostatecznie zauważono — powiada on, — że robienie mechanicznych wynalazków było naprzód zasadniczym postępowaniem naszego umysłu, że dzisiaj jeszcze nasze życie społeczne obraca się dokoła wyrabiania i używania narzędzi sztucznych, że wynalazki, rozstawione wzdłuż drogi postępu, zakreśliły też jej kierunek. Trudno nam to dostrzec, ponieważ zmiany ludzkości opóźniają się zwykle w stosunku do przekształceń jej narzędzi... Stulecie przeszło od chwili wynalazku maszyny parowej, a my dopiero zaczynamy odczuwać głębokie

---

[1] Bergson. Ewolucja twórcza, str. 123—124.

wstrząśnienie, które ten wynalazek w nas wywołał. Rewolucja, dokonana przezeń w przemyśle, wytworzyła nie mniejszy przewrót w stosunkach pomiędzy ludźmi. Nowe idee powstają. Uczucia nowe zaczęły rozkwitać. Po tysiącach lat, gdy oddalenie przeszłości pozwoli już tylko dostrzec ogólne jej zarysy, nasze wojny i nasze rewolucje niewiele liczyć się będą, o ile nawet wogóle pozostanie po nich wspomnienie; ale o maszynie parowej, z towarzyszącemi jej wynalazkami różnego rodzaju, będzie się może mówiło tak, jak my mówimy o bronzie lub o ciosanym kamieniu: będzie ona służyła dla określenia epoki« [1].

Otóż, zastosowując powyżej przedstawioną teorję Bergsona do ewolucji, przez którą przechodzi technika produkcyjna, Sorel powiada, iż technika drugiej połowy XVIII oraz pierwszej części XIX wieku wymagała robotnika tego typu psychicznego, który by posiadał jaknajsilniej rozwinięty instynkt wykonywania pewnej czynności, zaś technika współczesna — coraz bardziej zaczyna wymagać od robotnika umysłu.

Manufaktura XVIII wieku odznaczała się dążeniem do jaknajdalej posuniętego zmechanizowania czynności robotnika. Dawny rzemieślnik, wytwarzając jakiś przedmiot, musiał wykonać szereg kolejnych czynności, których różne stadja pracy wymagały. Rzemieślnik jasno sobie uświadamiał cel swej pracy; wykonywując ją, miał w wyobraźni pewien model, do którego produkt musi być podobny. W wielu wypadkach chciał nietylko doprowadzić do końca rozpoczęte dzieło, ale i wykonać je w miarę możności jak najlepiej. W warunkach produkcji przedkapitalistycznej, a szczególnie w średniowieczu, istniał cały szereg momentów, które w psychice rzemieślnika rozwijały honor i ambicję zawodową. To też dawny rzemieślnik podczas pracy nietylko wykonywał pewne ruchy, do których wprawiła go rutyna, ale często usiłował wprowadzać ulepszenia, bądź to używając innej kombinacji ruchów, bądź też usiłując podnieść jakość swoich wytworów. Rzemieślnik stawał tu nieraz w pozycji artysty, który po nabyciu biegłości w swej sztuce usiłuje potem wnieść do niej pewne indywidualne wartości twórcze. Nawet psychika średniowiecznych rzemieślników z ich brakiem regularności i metody w pracy, z okresami gorączkowej energji i upartej woli do pracy, po których nadchodziły okresy lenistwa

[1] Bergson. Ewolucja twórcza, str. 121—122.

oraz trybu życia zupełnie nieprodukcyjnego, przypomina pod wielu względami psychikę niejednego z dzisiejszych artystów.

Manufaktura XVIII wieku rozbiła pracę dawnego rzemieślnika na szereg drobnych, możliwie prostych czynności, wyznaczając do wykonywania każdej z nich oddzielne kategorje robotników. Każdy otrzymał do wypełnienia jakąś czynność, którą musiał powtarzać tysiące i tysiące razy, upodabniając się w ten sposób zupełnie do mechanizmu. Wówczas »nie umiano jeszcze — powiada Sorel — konstruować mechanizmów działających szybko i precyzyjnie; chodziło więc o wykonanie przez ludzi, zaprawionych do czynności o bardzo znacznej automatyczności ruchów, tego, czego przyrządy geometryczne nie mogły jeszcze wykonać. Pod warunkiem zredukowania pracy do nieznacznych poruszeń ręką lub nogą można było dojść do osiągnięcia wykonania szybkiego i dokładnego, gdy tylko przyzwyczajenie zabiło refleksję. Człowiek przechodził tu ze sfery inteligencji, do sfery instynktu; wszyscy naturaliści bywają zdziwieni, konstatując tę nadzwyczajną dokładność, z jaką owady wykonywują czynności nakazywane przez instynkt; można było by powiedzieć, że ten system produkcji (t. j. podział pracy w manufakturach) w sposób uderzający ilustruje teorje Bergsona o umyśle i instynkcie« [1].

Ideałem robotnika w tym okresie był właśnie robotnik najmniej inteligentny, najmniej świadomy znaczenia wykonywanej pracy, najbardziej zmechanizowany. Inteligencja była rzeczą potrzebną dla kierowników warsztatów, dla tych, którzy kombinowali podział ruchów, oraz którzy mieli pieczę nad całokształtem pracy. Dla szeregowca produkcji zaś była ona tylko rzeczą szkodliwą; tylko czynnikiem, mogącym spowodować obniżenie wydajności pracy.

»Nieuctwo (l'ignorance) jest matką przemysłu, jak również i przesądu — cytuje Sorel słowa Ferguson'a, nauczyciela Adama Smith'a. — Refleksja i wyobraźnia ulegają rozpraszaniu się; ale przyzwyczajenie poruszania ręką lub nogą nie zależy ani od jednej, ani od drugiej, tak, że możnaby powiedzieć, iż doskonałość z punktu widzenia manufakturzystów polega na zdolności obywania się bez pomocy umysłu (à pouvoir se passer de l'ésprit), tak, iżby bez

---

[1] Sorel. Les Illusions..., str. 353.

specjalnego wysiłku wyobraźni warsztat mógł być uznany za maszynę, której częściami są ludzie«[1].

Wprowadzenie maszyny zmieniło zasadniczo sytuację. Podział pracy w manufakturach wymagał pewnego okresu praktyki, dopóki robotnik nie nabędzie należytej wprawy. Dla każdej czynności byli potrzebni odpowiednio zmechanizowani specjaliści. Wprowadzenie maszyny uczyniło te zastępy specjalistów w wielu wypadkach zbędnymi. Mechanizm martwy zastąpił funkcje mechanizmów żywych. Rola robotnika zaczęła się sprowadzać, albo do kombinowania swoich ruchów z ruchami maszyny, albo jedynie do doglądania tej ostatniej.

W takich warunkach jednak mechaniczne wykonywanie pewnych czynności nie wystarcza, potrzebna jest także pewna inteligencja. Nadzorujący maszynę robotnik musi mieć pewne pojęcie o podstawowych zasadach jej konstrukcji, musi umieć nieraz zaradzić zacięciom, jakie mogą zajść w funkcjonowaniu mechanizmu. Zresztą trudno sobie wyobrazić człowieka, mającego stale do czynienia z pomysłowemi mechanizmami, obserwującego codziennie, jak te mechanizmy nieraz o dziesiątki i setki razy powiększają wydajność pracy ludzkiej, który by nie zaciekawił się zasadami konstrukcji tych nieraz bardzo skomplikowanych aparatów, nie postarał się ich zrozumieć.

W każdym człowieku jest pewne dążenie do przeniknięcia wysiłkiem swego umysłu, do zrozumienia zjawisk otaczającego nas życia. Robotnik fabryczny, mając przed sobą w postaci maszyn potężne dzieła ludzkiej myśli twórczej, nie może wobec nich pozostać obojętnym. Już same warunki produkcji we współczesnej fabryce narzucają robotnikowi pewien bardziej badawczy, bardziej inteligentny stosunek do swej pracy. To też, używając bergsońskich terminów, możemy powiedzieć, że, jeżeli warunki produkcji wczesnego kapitalizmu powodowały w psychice robotniczej rozwój instynktu, zwężając jednocześnie zakres zastosowania umysłu, to warunki produkcji kapitalizmu XIX wieku, warunki produkcji maszynowej, w najwyższym stopniu sprzyjają rozwojowi inteligencji wśród robotników fizycznych.

Ekonomja burżuazyjna — zdaniem Sorela — przez dłuższy czas nie mogła zrozumieć tego wychowawczego znaczenia przemy-

---

[1] Sorel. Les Illusions..., str. 352.

słu maszynowego. Przeciwnie, w początku XIX wieku ekonomiści głosili, iż wprowadzenie maszyny stwarza tendencję do zrównania kwalifikacji wszystkich robotników przez to, iż do obsługiwania całego szeregu maszyn nie potrzeba żadnego specjalnego przygotowania.

Dawniej w manufakturze ogromna większość robotników posiadała pewną specjalność; każdy prawie miał w procesie pracy jakąś czynność, do sprężystego wykonywania której wdrożył się przez długą praktykę; nie mozna było takiemu robotnikowi powierzyć innej funkcji, bo ona również najczęściej wymagała pewnej wprawy, której ten robotnik nie posiadał. Obecnie znaczną ilość tych czynności, wymagających specjalnego przygotowania, zaczęła wykonywać maszyna, — stąd mniejsza potrzeba wykwalifikowanych robotników. Kierownik warsztatu — zdaniem większości ekonomistów XIX wieku — nie potrzebuje już w takim stopniu, jak dawniej, zwracać uwagi na indywidualne cechy robotników. Nawet kwestja zdolności do bardziej lub mniej intensywnej pracy stała się mniej ważna, gdyż w wielu wypadkach sama maszyna swojemi regularnemi, ściśle określonemi ruchami narzuca robotnikowi pewną intensywność.

Ekonomja klasyczna była bardzo skłonną do ścisłych koncepcyj logicznych, do ujmowania zagadnień socjalnych matematycznie, tak, jak ujmuje się zagadnienia astronomiczne. Z tego też punktu widzenia, usunięcie konieczności brania pod uwagę różnych rodzajów pracy, sprowadzenie robotnika do pewnej jednorodnej jednostki matematycznej niezmiernie ułatwiło by rozumowania nad zagadnieniami produkcji. Stąd skłonność dawnych ekonomistów do ujmowania roli maszyny, jako czynnika, wprowadzającego »zasadę wyrównania« [1] (le principe d'égalisation) pomiędzy różnemi rodzajami pracy.

»Doszło się w ten sposób do myślenia — powiada Sorel, — iż w najbardziej postępowym przemyśle branie pod uwagę cech indywidualnych ludzi staje się zbędne, oraz, że można rozważać robotników jako atomy przeciętnej jakości (des atomes de qualité moyenne), różniące się jedynie ilościowo, tak by ekonomja stała się nauką, sprowadzającą się do zagadnień ilości pracy, puszczonej w ruch przez kapitalistów« [2].

---

[1] Sorel. Introduction à l'économie moderne, str. 31.
[2] Sorel. Introduction..., str. 32—33.

Tymczasem właśnie — zdaniem Sorela — warunki nowoczesnego postępu ekonomicznego szczególnie wymagają od robotnika szeregu cech psychicznych, które we wszystkich poprzednich ukształtowaniach produkcji nie stanowiły wcale elementów koniecznych dla utrzymania się pewnego zasadniczego kierunku rozwoju gospodarczego. Należyte zrozumienie tej prawdy może nam jednak przyjść dopiero wówczas, gdy rozważymy pewne właściwości nowoczesnej techniki produkcyjnej.

Zasadniczą cechą tej techniki jest jej charakter postępowy, stała dążność do wprowadzania coraz to nowych udoskonaleń w narzędziach i metodach pracy. Dążność ta jest w dużej mierze wynikiem walki konkurencyjnej, cechującej kapitalistyczne stosunki gospodarcze. Przedsiębiorca, który w swoich zakładach wprowadza pewne ulepszenia w metodach pracy lub w narzędziach, otrzymuje przez to możność obniżenia ceny produktu oraz opanowania klijenteli swoich współzawodników. Stąd charakter postępowy nowoczesnego warsztatu. Niektóre wielkie przedsiębiorstwa utrzymują nawet specjalnych inżynierów, których jedynem zadaniem jest dbanie o wprowadzanie coraz to nowych udoskonaleń. Wszystko to nadaje przeżywanej przez nas epoce charakter epoki wielkich wynalazków technicznych, a nowoczesnej fabryce — charakter pracowni doświadczalnej. W »Les Illusions du Progrés« Sorel bardzo ogólnikowo określa te zasadnicze kierunki, w których idzie — zdaniem jego — praca twórcza dzisiejszych inżynierów w dziedzinie konstrukcji i obsługiwania maszyn.

To dążenie do coraz to nowych udoskonaleń obserwujemy przedewszystkiem w dziedzinie konstrukcji mechanicznych narzędzi. Ale możemy stwierdzić jego istnienie także i w stosunku do wszystkich innych czynników produkcji. Sorel szczególnie wskazuje na postępowy charakter nowoczesnego przemysłu chemicznego. Ale nawet w niektórych gałęziach rolnictwa zaczyna panować ten duch postępu i wynalazczości, który cechuje nowoczesny warsztat przemysłowy »Nieraz już podkreślałem — powiada Sorel — w jak dużym stopniu jest badawczy, myślący, oraz ciekawy wszelkich nowości pracownik winnic (vigneron), którego należy raczej porównywać z robotnikiem postępowego warsztatu, niż z rolnikiem. Pogrążenie się w rutynie jest dla niego rzeczą niemożliwą, gdyż każdy rok przynosi mu ciężary nowych trudności; w krajach słyn-

nych winnic pracownik taki śledzi z drobiazgową uwagą wszystkie epizody życia każdej rośliny« [1].

Jednem słowem usiłuje Sorel wykazać istnienie we wszystkich niemal dziedzinach pracy produkcyjnej ciągłego dążenia do coraz to nowych udoskonaleń w narzędziach i metodach pracy. Robotnik musi do tych udoskonaleń stale się dostosowywać. Dziś coraz mniej już wymaga się od robotnika rutyny, a coraz więcej inteligencji, pozwalającej na szybkie zrozumienie każdego nowego udoskonalenia. Coraz mniej ważną zaletą staje się wyrobiony przez szereg lat instynkt zawodowy, który tak dużą rolę odegrywał w manufakturach XVIII wieku, ale za to coraz bardziej doniosłą rolę zaczyna odegrywać umysł. Robotnik nie jest już dziś tylko mechanicznie pełniącym swe funkcje, dodatkiem do maszyny, jakim go chciała przedstawić ekonomja klasyczna. Osobiste zdolności robotnika, jego rozwój umysłowy zaczynają odegrywać w procesie pracy coraz większą rolę.

Ale tu właśnie wysuwa się kwestja tych motorów psychicznych, które muszą go do tej pracy popychać. Wtedy, gdy inteligencja i inicjatywa jednostki odegrywa w procesie pracy rolę minimalną, gdy robotnik wykonywa swoje czynności prawie mechanicznie, — przymus fizyczny lub psychiczny mogą najzupełniej wystarczyć dla zabezpieczenia pewnej przeciętnej wydajności. Gdy jednak wysuwa się na pierwszy plan inteligencja i pomysłowość, czynniki bardzo trudno poddające się kontroli, przymus przestaje być dostatecznym motorem, pobudzającym robotnika do możliwie intensywnej działalności wytwórczej. Nie potrafimy, np., nigdy zmusić do intensywnej i wydajnej pracy nauczyciela, lekarza, adwokata, jeżeli oni sami nie zechcą, niezależnie od kwestji wynagrodzenia, osiągnąć maximum możliwych dodatnich wyników swych czynności zawodowych. Podobnie dziś, oczywiście w daleko słabszym stopniu, zaczyna się kwestja przedstawiać również w stosunku do pracy niektórych kategoryj robotników. Psychika ich musi się dziś powoli zbliżać do psychiki ludzi t. zw. wolnych zawodów.

Intelektualiści, tak bardzo zwalczani przez Sorela, jako warstwa nie mogąca zrozumieć twórczych ideałów producentów, w danym wypadku przez swój psychiczny stosunek do własnych za-

---

[1] Sorel. Les Illusions.... str. 283.

wodów dają wzór, do którego musi się upodobnić — zdaniem sorelistów — także i robotnik pracujący fizycznie.

Nowoczesny postępowy warsztat produkcyjny wymaga zupełnie nowego psychicznego typu robotnika. Określenie wszystkich zasadniczych właściwości tego typu jest zagadnieniem, które wysuwa się na pierwszy plan niemal we wszystkich pracach Sorela. Kult pracy musi być, w pojęciu Sorela, najcharakterystyczniejszą, najbardziej rzucającą się w oczy cechą tego typu. Ale pozatem Sorel mówi o całym szeregu innych właściwości producenta postępowego warsztatu. Do tych właściwości musimy zaliczyć popęd twórczy, przywiązanie do zawodu, bezinteresowność, pewne zasady moralne oraz pewne poczucie konieczności podporządkowania się wymaganiom kierownictwa technicznego.

VI.

Kapitalizm przez otwarcie szerokiego pola działania dla prywatnej inicjatywy, dla energji, pomysłowości i woli jednostki, zabija rutynę w metodach pracy i doprowadza dzisiejsze społeczeństwa do coraz większego rozpętania ich sił gospodarczo-twórczych. Kapitalistyczny warsztat coraz bardziej zmusza — zdaniem Sorela — inżyniera i robotnika do krytycznego ustosunkowania się względem istniejących narzędzi i metod pracy, coraz bardziej rozwija w ich psychice dążenie do szukania coraz to nowych udoskonaleń. Rozwijając w robotniku inteligencję, niszcząc w nim tradycjonalistyczne skłonności w zakresie metod pracy, warunki produkcji kapitalistycznej w wielu wypadkach kształcą w nim jednocześnie psychikę twórcy i wynalazcy.

Ten duch postępowości, zaczynający się coraz bardziej rozwijać na gruncie dzisiejszego warsztatu, jest dla Sorela jednocześnie jedną z najbardziej zasadniczych cech psychicznych producenta w przyszłym społeczeństwie. Zdaniem Sorela, fabryka przyszłości będzie musiała upodobnić się do naszych pracowni naukowych, gdzie uczniowe prowadzą samodzielne badania pod kierownictwem profesorów i asystentów. »Warsztat socjalistyczny zgrupuje producentów, którzy będą gotowi do krytykowania istniejących metod, którzy będą kierowani przez majstrów, podobnych do asystentów dzisiejszych profesorów chemji, oraz na czele których znajdą

się inżynierowie, ustosunkowujący się do swoich ludzi tak, jak nauczyciel dziś ustosunkowuje się do uczni« [1].

Warsztat ten w pojęciu Sorela musi stać się »polem doświadczalnem, które nieustannie pobudza robotnika do badań naukowych«. Robotnik będzie musiał mieć stale na uwadze, że ten sam cel może być osiągnięty drogą różnych kombinacyj, które jednak muszą być zawsze traktowane jako prowizoryczne. Trzeba będzie stale mieć oko baczne na niedogodności, jakie przedstawia dany sposób produkcji [2].

Typ robotnika, o którym marzy Sorel, jest raczej zbliżonym do typu artysty, niż do typu współczesnego najemnika. Cechą zasadniczą prawdziwego artysty jest dążenie do prześcignięcia wszystkich modeli, do stworzenia czegoś całkiem nowego, jakiejś kombinacji, która nigdy jeszcze przedtem nie istniała. Jest to dążenie do wyjścia poza wszystkie dotychczasowe wzory, do wylania swojej indywidualności w czemś własnem, nowem, wielkiem i pięknem. Nazwać to możemy psychiką twórcy.

Pod tym względem psychika wynalazcy technicznego jest bardzo podobna do psychiki artysty. Co prawda twórcze tendencje wynalazcy lub konstruktora technicznego nie zwracają się w dziedzinę estetyki, ale tak samo jak u artysty jest tu tęsknota do tworzenia rzeczy nowych, kombinacyj, które jeszcze nigdy dotąd nie istniały; tak samo, jak u artysty, jest tu tęsknota do wylania swojej indywidualności w pewnych oryginalnych, mających jaknajmniej cech naśladownictwa, efektach zewnętrznych. Im więcej każdy robotnik, chociażby w drobnym zakresie, będzie starał się wnosić do metod pracy i do konstrukcji narzędzi coś własnego, indywidualnego, jakieś choćby najmniejsze ulepszenie, tem bardziej będzie się on upodobniał do artysty. W tem też znaczeniu Sorel powiada, iż sztuka jest poprzedniczką wysoko rozwiniętej pod względem technicznym produkcji (anticipation de la plus haute production) [3].

Te twórcze tendencje, stanowiące najbardziej może zasadniczą różnicę pomiędzy psychiką ludzką i zwierzęcą, istnieją w gruncie rzeczy w charakterze każdego człowieka. Tylko u jednych, u większości ludzi, są one prawie zupełnie zagłuszone, podczas, gdy

---

[1] Sorel. Les Illusions... str. 354—355.
[2] Sorel. Les Illusions... str. 281.
[3] Sorel. Les Illusions... str. 283, Réflexions... str. 378.

u innych są znowuż rozwinięte bardzo silnie. Stanowią one całkiem irracjonalną i nieuchwytną cechę psychiczną, której zbadanie nasuwa ogromne trudności, a która czasami przybiera spontaniczny poprostu charakter popędu twórczego. W rozumieniu Bergsona przedstawiają one najpotężniejszy przejaw idącego przez świat organiczny pędu ewolucji twórczej.

Popęd twórczy może się przejawiać we wszystkich niemal dziedzinach działalności ludzkiej. Na terenie życia ekonomicznego przejawiał się on także nieraz, np., wśród średniowiecznych rzemieślników nieraz można było spotkać jednostki raczej przypominające pod względem swego stosunku do pracy artystów, niż robotników, przesiąkniętych pewną rutyną. W akcji organizacyjnej przedsiębiorców kapitalistycznych widzieliśmy także często silne przejawy popędu twórczego. W żadnym jednak z ustrojów, istniejących przed kapitalizmem, popęd twórczy nie był zjawiskiem koniecznem dla utrzymania normalnego funkcjonowania aparatu wytwórczego. Jeżeli spotykano tam pewne jego przejawy — to były to raczej wypadki sporadyczne, niż stan normalny. Dopiero w ustroju kapitalistycznym dla utrzymania postępowego charakteru techniki produkcyjnej stało się konieczne istnienie pewnej ilości ludzi, opanowanych dążeniem do czynienia coraz to nowych wynalazków i udoskonaleń. Jest to jednak dość ciasny zakres ludzi: inżynierów, konstruktorów maszyn, chemików i t. p. Robotnicy mogą, naogół biorąc, doskonale spełniać swoje funkcje bez przejawiania tych twórczych tendencyj.

Otóż ideałem Sorela jest stworzenie społeczeństwa o takiem podłożu psychicznem, gdzieby wszyscy pracownicy, począwszy od spełniającego najpodrzędniejsze funkcje robotnika do najbardziej utalentowanego inżyniera, byli opanowani jednem potężnem dążeniem do stworzenia jaknajwiększej ilości możliwie oryginalnych efektów swej działalności życiowej

»Wolny wytwórca przy postępowym warsztacie nie musi — powiada Sorel — mierzyć wysiłków, które dostarcza, jakąś miarą zewnętrzną; on uważa za zbyt mierne wszystkie modele, które ma przed sobą, on chce prześcignąć wszystko, co było zrobione przed nim. W ten sposób produkcja będzie wciąż się ulepszać pod względem jakości i ilości. Idea nieograniczonego postępu musi panować przy takim warsztacie« [1].

[1] Sorel. Réflexions... p. 377.

Pewne zarodki tego nowego społeczeństwa widzimy — zdaniem autorów »nowej szkoły« — już przy dzisiejszym postępowym warsztacie w fabryce kapitalistycznej. Sorel oczekuje, że dalszy rozwój stosunków ustroju kapitalistycznego będzie sprzyjał zabijaniu w charakterze robotnika przywiązania do rutyny w metodach pracy, oraz, że będzie kształcił ten typ postępowego producenta.

VII.

Postępowy warsztat, o którym marzy Sorel, jako o typowym warsztacie w przyszłem społeczeństwie, wymaga odpowiednio przygotowanych technicznie i psychicznie robotników. Robotników tych wychowuje w znacznej mierze dzisiejszy warsztat kapitalistyczny, w coraz silniejszym stopniu zmuszający — podług Sorela — swoich pracowników do dbania o coraz to nowe udoskonalenia. Ale to nie zawsze wystarcza. Poza warsztatem robotnik ma także pewne środowisko, w którem przebywa i z którem jest związany całym szeregiem więzów psychicznych.

Robotnik tak samo, jak i każdy inny człowiek, uczuwa potrzebę wyrobienia sobie pewnego światopoglądu, pewnego stosunku do narzucających się mu zewsząd problematów religijnych, moralnych, politycznych i t. d. Dla wytworzenia idealnego typu przyszłego producenta, trzeba, by nietylko przy warsztacie, ale i we wszystkich innych dziedzinach swego życia robotnik był otoczony warunkami, któreby w nim rozwijały cechy, niezbędne dla pracowników przy warsztacie postępowym.

Wysuwa się tu kwestja odpowiedniego zorganizowania szkolnictwa, zarówno ogólnego, jak i specjalnego. Sorel nieraz mówi w swoich pracach o współczesnej szkole francuskiej. Szkoła ta — jego zdaniem — ma przedewszystkiem jedną rzecz na względzie: chodzi jej o przygotowanie podłoża psychicznego dla ugruntowania panowania rządzącej w demokracjach politycznych elity intelektualistycznej. Wszystkie programy nauczania oraz ten duch, który w dzisiejszej szkole francuskiej panuje, są do tego dostosowane. Szkoła ta, wpajając w dzieci pewne zasady politycznego demokratyzmu oraz humanitaryzmu, szerząc kult ideałów narodowych, wychowuje raczej zastępy przyszłych wyborców, niż przyszłych intensywnych producentów. Wogóle dotychczasowa szkoła

miała bardzo mało zrozumienia dla potrzeby kształcenia w dzieciach pewnej psychologji gospodarczej.

Szkoła przyszłości, szkoła socjalistyczna będzie musiała — zdaniem Sorela — zwracać uwagę swoich wychowanków przedewszystkiem na zagadnienia produkcji. W swoich uczniach będzie ona musiała wyrabiać pogardę dla wszystkich, co nie pracują. Tylko człowiek, wykonywujący pewną użyteczną pracę fizyczną lub pracę związaną z fizyczną więzami technologicznemi, a więc tylko producent w sorelowskiem rozumieniu tego wyrazu, będzie godnym szacunku. Kult pracy będzie najbardziej zasadniczą ideologiczną cechą, którą szkoła przyszłości ma w swoich wychowankach rozwijać [1].

Szkoła będzie musiała także w dzieciach rozwijać tego ducha wynalazczego i twórczego, to dążenie do ciągłego postępu technicznego, o którym była mowa w poprzednim rozdziale. Rola szkoły stanie się tu szczególnie ważną z chwilą obalenia ustroju kapitalistycznego. Warunki kapitalistycznego ustroju stanowią bowiem czynnik, który stale pcha do coraz to nowych udoskonaleń w sposobach produkcji. »W warunkach nowoczesnego przemysłu nie można przyjąć na stałe żadnej określonej technologji; kierownicy przedsiębiorstw, inżynierowie i robotnicy są skazani na pozostawanie przez całe życie w terminie. Ludzie, postawieni w podobne okoliczności narzekają gorzko na swój ciężki los« [2]. Bowiem w psychice bardzo wielu ludzi istnieje chęć spokoju, chęć sprowadzenia swoich życiowych wysiłków do minimum. Tendencja ta jest jednym z czynników, doprowadzających ludzi w bardzo wielu dziedzinach do rutyny, do zmechanizowania. Jest ona zupełnym przeciwieństwem popędu twórczego, jest jednocześnie czynnikiem doprowadzającym często do stłumienia w psychice naszej tego popędu. Warunki produkcji kapitalistycznej, zabijając wszelki duch martwoty w sposobach produkcji, niszcząc coraz bardziej wszelką rutynę, niszczą i owe tendencje do spokoju i rutyny. Warsztat nowoczesny coraz bardziej zaczyna narzucać swym pracownikom nerwową gorączkę tworzenia.

Z chwilą jednak obalenia ustroju kapitalistycznego powstanie niebezpieczeństwo, iż owa tendencja do rutyny znajdzie sobie

---

[1] Sorel. Matériaux pour une théorie du proletariat, str. 136.
[2] Sorel. Matériaux... str. 699.

szerokie pole do rozwoju, iż zabije ona ten twórczy duch, który ożywia nowoczesny warsztat. Sorel uważa za konieczne temu niebezpieczeństwu zapobiec. Chce on tego dokonać przedewszystkiem przez rozwinięcie wśród mas odpowiedniej ideologji. Ideologję tę rozwijają syndykaty robotnicze. Szkoła jednak — zdaniem Sorela — musi tu także odegrać niepoślednią rolę.

Dlatego też Sorel uważa, iż szkolnictwo trzeba wyrwać z rąk rządzącej demokracji burżuazyjnej. Kilka lat przed wojną powstała we francuskich organizacjach syndykalistycznych aktualna po dziś dzień kwestja przejęcia przez syndykaty robotnicze kierownictwa pewnych kategoryj szkół dla dzieci robotniczych. Sorel uważa, że, gdyby żądania syndykatów w tym względzie zostały uwieńczone pomyślnym wynikiem, byłoby to zjawiskiem niezmiernie dodatniem z punktu widzenia dążenia do przebudowy obecnej struktury gospodarczej społeczeństwa[1].

Pozatem oczywiście bardzo znaczną rolę przypisuje Sorel szkolnictwu zawodowemu. Sorel doskonale uświadamia sobie dużą rolę, jaką ma dla wykształcenia robotnika postępowego warsztatu zaznajomienie go z pewnemi ogólnemi zasadami z dziedziny fizyki, mechaniki, chemji, technologji materjałów i t. p. Robotnik, mający pewne przygotowanie teoretyczne znacznie szybciej i łatwiej zrozumie oraz potrafi zastosować każde nowe udoskonalenie, niż ten, który takiego przygotowania nie posiada. Wykształcenie teoretyczne może w bardzo znacznej mierze przyczynić się do wykorzenienia szkodliwej rutyny w całym szeregu zawodów. Mimo to jednak Sorel uważa, iż współczesna szkoła zawodowa we Francji, udzielając nauczaniu teoretycznemu dość miejsca, zaniedbuje zaprawianie przyszłego robotnika do pracy fizycznej.

Nowoczesna technika produkcyjna w bardzo dużym stopniu przyczyniła się do zastąpienia w całym szeregu czynności produkcyjnych rutyny przez świadome wybieranie sposobów, dających najprędsze i najdoskonalsze osiągnięcie celu, jednem słowem zastąpienia instynktu zawodowego przez umysł. Mimo to jednak robotnik w dzisiejszym warsztacie musi mieć w całym szeregu czynności bardzo wiele wprawy, tak samo, jak muszą ją posiadać, choćby najbardziej uczeni: malarz, rzeźbiarz, chirurg

---

[1] Sorel. Matériaux... str. 135.

i t. p. Wprawa ta może się wyrobić tylko po odbyciu pewnego terminu praktycznego; nigdy zaś nie da się osiągnąć przez samo tylko teoretyczne opanowanie pewnych zasad, gdyż zależy ona nietyle od odpowiedniego wykształcenia mózgu, ile raczej od odpowiedniego dostosowania mięśni oraz układu nerwowego. Mózg bowiem — zdaniem Sorela — przy pracy fizycznej często odegrywa raczej rolę aparatu hamującego ruchy, niż centrum, które te ruchy wywołuje. To też, żeby wydoskonalić się w jakiejś sztuce, wymagającej bardzo znacznej wprawy, trzeba tak siebie wyrobić, by sprowadzić do minimum przeszkody, jakie stawia mózg przy komunikacji między okiem a ręką. Ludzie, posiadający szczególną zdolność w jakiejś specjalności, są właśnie jednostkami, których konstrukcja nerwowa i mięśniowa jest szczególnie przystosowana do danego rodzaju czynności [1]. Refleksja bowiem, która przy wybieraniu pewnego sposobu produkcji jest czynnikiem niezmiernie dodatnim, - w samym procesie pracy może w bardzo wielu wypadkach, szczególnie tam, gdzie chodzi o pewną szybkość ruchu i orjentacji, odegrać rolę czynnika raczej obniżającego, niż podnoszącego wydajność pracy.

Z innych jeszcze względów uważa Sorel za konieczne, możliwie szerokie uwzględnienie pracy fizycznej w nauczaniu. Jeszcze Marks zauważył, że robotnicy, którzy nabyli wiele zręczności w jednym zawodzie, bardzo łatwo dochodzą także do znacznego stopnia wykwalifikowania w innych zawodach. Sorel nie daje wyjaśnienia tego zjawiska. Chodzi tu widocznie o to, iż nabycie zdolności do szybkiego koordynowania, obserwacyj wzrokowych i ruchów ręcznych przy wykonywaniu jednego typu pracy ma pewne znaczenie ogólniejsze w tym sensie, iż przysposabia system nerwowy i mięśniowy do wykonywania jakiejkolwiek bądź pracy fizycznej. Zachodzi tu takie same zjawisko, jak to, które pozwala dobremu tenisiście łatwiej się stać dobrym szermierzem, niż człowiekowi, który nigdy żadnego sportu nie uprawiał.

Pozatem uważa Sorel za pożądane, żeby owe zaprawianie się do pracy fizycznej odbywało się nie przy jakimś warsztacie szkolnym, ale w miarę możności w fabryce, tak by to był naprawdę termin. Odbycie terminu Sorel uważa za moment niezmiernie ważny w procesie kształcenia robotnika dla nowoczesnego postę-

---

[1] Sorel Matériaux... str. 143.

powego warsztatu. Pomiędzy dzisiejszem terminowaniem, a terminowaniem dawnem zachodzi jednak zasadnicza różnica: dawny warsztat zaprawiał robotnika do rutyny w metodach pracy: tymczasem warsztat dzisiejszy w wielu wypadkach rozwija duch postępowy w daleko większym stopniu, niż nawet szkoły zawodowe; gdyż postępowy charakter tego warsztatu jest nietylko wynikiem pewnego psychicznego nastawienia, ale przedewszystkiem jest narzucony przez całokształt warunków, w jakich się dziś niektóre gałęzie wytwórczości znajdują. To też utrzymanie ścisłego kontaktu pomiędzy szkołą, gdzie jest wykład teoretyczny, a fabryką, gdzie młody robotnik lub inżynier nabywa niezbędną zręczność fizyczną, musi stać się zagadnieniem niezmiernie ważnem z punktu widzenia dążenia do tego, by nauczanie w szkołach specjalnych dostosowało się do wymagań nowoczesnej techniki produkcyjnej.

Za rzecz zasadniczą przy kształceniu zawodowem uważa Sorel wpojenie każdemu uczniowi poglądu na wszystkie środki, używane przez człowieka w jego walce z naturą, jako na coś bardzo niewystarczającego i niedoskonałego. Chodzi tu znacznie mniej o to, by zaznajomić robotnika ze wszystkiemi usługami, które oddają maszyny, niż żeby go nauczyć rozpoznawać wszystkie ich braki. Szkoła zawodowa musi — zdaniem Sorela — usiłować wyrobić w robotnikach dążenie do usuwania wad w tych narzędziach, któremi się oni przy pracy posługują. We Francji nawet wyższe szkolnictwo techniczne przedstawia — podług słów Sorela — pod tym względem bardzo wiele do życzenia.

W zakresie nauczania technicznego szczególnie dużą rolę przypisuje Sorel kwestji odpowiedniego wyszkolenia majstrów (contremaîtres); ci bowiem »podoficerzy przemysłu« w przyszłej fabryce postępowej będą mieli szczególnie doniosłe zadanie przed sobą. Dziś majster spełnia tylko funkcje nadzoru oraz udziela robotnikowi szeregu praktycznych wskazówek w pracy. Przy przyszłym warsztacie, gdzie każdy robotnik będzie przedewszystkiem przeniknięty myślą o brakach w stosowanych sposobach produkcji oraz dążeniem do wprowadzania udoskonaleń, majster będzie musiał umieć uchwycić każde, chociażby najdrobniejsze ulepszenie, wprowadzone przez któregokolwiek z podległych mu robotników i przeprowadzić zastosowanie go przez wszystkich innych. »To też — powiada Sorel — trzeba będzie, żeby majstrowie mieli zdolności ob-

serwacyjne takie, jakie dziś spotykamy u najlepszych pracowników laboratoryjnych« [1]. Dziś wykształcenie majstrów dla nowoczesnego postępowego warsztatu nasuwa — podług słów Sorela — niezmierne trudności; szkoły dzisiejsze pod tym względem posiadają ogromne braki. Długi termin przy jakimś postępowym warsztacie musi tu się stać warunkiem koniecznym.

Jeżelibyśmy teraz zechcieli ogólnie scharakteryzować stanowisko Sorela oraz jego szkoły w sprawie metod kształcenia przyszłych wolnych producentów, — to przedewszystkiem jedno musielibyśmy wysunąć na czoło: soreliści uważają, iż wszelka nauka i wszelka praca intelektualna musi być jednocześnie połączona także z produkcyjną pracą fizyczną. Chodzi tu oczywiście przedewszystkiem o wychowanie pokolenia, któreby istotnie potrafiło ów wymarzony przez Proudhona i Sorela okres niezmiernie intensywnej produkcji stworzyć. Ale pozatem to stanowisko sorelowskie ma jeszcze i inne oparcie. Wypływa ono z ogólnego światopoglądu pisarzy »nowej szkoły«. Zdaniem tych autorów, opierających się przedewszystkiem o filozofję bergsońską, umysł nasz nie jest zdolny przeniknąć najgłębszych zagadnień bytu; pęd idącej po przez tysiąclecia ewolucji życia, stale pozostaje dla niego czemś zupełnie niepojętem i nieuchwytnem. To też intelektualiści są w bardzo wielu zakresach działalności ludzkiej warstwą zupełnie bezpłodną i nietwórczą; nie mają bowiem zdolności wyczucia rzeczywistości życiowej; są skłonni do mechanistycznego i utopijnego ujmowania zjawisk, stanowiących najgłębsze może przejawy twórczej ewolucji życia społecznego. Tymczasem człowiek pracy fizycznej mniej się oddaje refleksji. ale więcej ma intuicyjnego wyczucia, idących po przez stulecia prądów ewolucyjnych, bowiem jego działalność, jego twórcza praca gospodarcza są już pewnemi przejawami, pewnem uzewnętrznieniem się tych prądów.

Tem też może w znacznej mierze należy tłumaczyć fakt, iż dziś grupy społeczne i polityczne, którym ton nadają intelektualiści, są tak często grupami niezdolnemi do jakiegokolwiekbądź twórczego czynu, do przeprowadzenia jakichkolwiek doniośle jszych przemian społecznych. Umysł bowiem — podług koncepcji bergsońskiej — jest skłonny wyłącznie prawie do ujmowania zjawisk materji martwej, jego zdolności poznawcze nie rozszerzają się na uchwycenie zjawisk ruchu życiowego. Stąd intelektualiści, przyzwyczajeni do ujmowania wszyst-

[1] Sorel. Les Illusions..., str. 357.

kiego w kategorjach martwoty i niezmienności, stają się nieraz zupełnymi impotentami tam, gdzie chodzi o twórczy czyn życiowy, o zespolenie się z jakimś prądem ciągłej przemiany. Natomiast robotnik, który stale ma do czynienia z przetwarzaniem i przerabianiem przedmiotów otaczającego nas świata, robotnik, którego całe życie jest stałem oddziaływaniem na otoczenie w celu dostosowania go do naszych potrzeb, potrafi prędzej uchwycić ową, tkwiącą w ciągłym wytrysku nowości, istotę zjawiska życia i prędzej też, niż inteligent, potrafi zdobyć się na jakiś zdecydowany, twórczy czyn, na wprowadzenie nowych kombinacyj i elementów do rozwoju społecznego. To też byłoby zjawiskiem pożądanem, by każdy człowiek chociaż nieznaczną część swego dnia roboczego poświęcał produkcyjnej pracy fizycznej. Praca wytwórcza jest poprostu czynnikiem koniecznym dla wychowania człowieka wszechstronnie rozwiniętego [1].

VIII.

Cechą wspólną większości ekonomistów wieku XIX jest uwzględnianie przy rozważaniu zagadnień produkcji wyłącznie tylko sił materjalnych, których kombinowanie może mieć doniosłe skutki dla naszej akcji wytwórczej. Warunki psychiczne produkcji, stanowiące ową »duchową stronę życia gospodarczego«, były przez nich stosunkowo bardzo nieznacznie uwzględniane.

Takie kwestje, jak wpływ moralnego poziomu robotnika na materjalne wyniki jego pracy wytwórczej, jak pewna współzależność pomiędzy zjawiskami religji a ekonomji i t. p., przez nieznaczną tylko ilość ekonomistów były poruszane. Odnosi się to zarówno do t. zw. ekonomistów burżuazyjnych, jak i do większości pisarzy socjalistycznych. Proudhon i Le Play należeli tu raczej do wyjątków. Znajdujemy, oprócz tego, pewne rozważania w tym względzie u szeregu pisarzy rozmaitych odcieni szkoły historyczno-etycznej. Tu jed-

---

[1] Tego zagadnienia w ujęciu autorów »nowej szkoły« nie należy mieszać z zagadnieniem fizycznego wyrabiania młodzieży za pomocą sportów. Nie chodzi tu bowiem o sprawność fizyczną, ale o pewne właściwości psychiczne, które wyrabiają się na tle zajmowania się pracą produkcyjną. Sport z punktu widzenia ekonomicznego nie jest wcale pracą, tymczasem Sorelowi chodzi o zaprawianie dzieci do pracy w ekonomicznym sensie.

nak przeważa raczej tendencja do wartościowania zjawisk gospodarczych ze stanowiska etycznego, niż chęć zbadania gospodarczego znaczenia zjawisk natury moralnej lub ideologicznej.

Burżuazyjnych ekonomistów odsuwała od tego rodzaju zagadnień, narzucona im przez klasyczną szkołę, metoda mechanistycznego i bezosobowego ujmowania wszystkich sił, kształtujących zjawiska produkcji i wymiany. Działała tu owa tendencja do traktowania robotników, jako zbioru jednorodnych jednostek, o której mówiłem powyżej. W obozie socjalistycznym znowuż doktryna marksowska, rozpowszechniona w tej formie, w jakiej ją rozumieli Engels i Kaucki, dawała pogląd na zjawiska moralności, religji, sztuki i kultury, jako na pewną »nadbudowę« nad fundamentem ekonomicznym życia społecznego. Przejawy życia duchowego i umysłowego nie miały — podług tego poglądu — dla ekonomisty większego znaczenia, gdyż były one w ogromnym stopniu tylko funkcjami tego, co się działo na terenie gospodarczym; jeżeli zaś i przypisywano im pewne znaczenie, to zaledwie wtórne. Na wszelkie prace nad podniesieniem poziomu moralnego ludzkości znaczna ilość socjalistów przyzwyczaiła się patrzeć, jako na jeden ze sposobów utrzymywania mas robotniczych w uległości i pokorze. Tak samo pojmowano społeczną rolę religji. Trzeba przyznać, że praca kleru, związanego w ogromnej ilości wypadków z warstwami posiadającemi, zdaje się ten socjalistyczny punkt widzenia całkowicie potwierdzać.

Wszystko to w dużej mierze spowodowało, iż zagadnienia moralne tak małą rolę odgrywały i odgrywają w ruchu socjalistycznym. Sorel przytacza szereg przykładów tego zupełnego braku zrozumienia dla zagadnień moralnych, z którym spotykamy się w obozie socjalistycznym. W »Réflexions sur la violence« podaje on, naprzykład, cytatę z jednego artykułu Lafargue'a, gdzie ten pisze, iż »w społeczeństwie komunistycznem moralność, która zapełnia mózgi cywilizowane, zniknie, jak straszny sen« [1].

Ten brak głębszych zainteresowań etycznych w dzisiejszym ruchu socjalistycznym w dużej mierze wynika — zdaniem Sorela — z przejęcia się tego ruchu metodami nowoczesnej demokracji. Cechą wszystkich partyj politycznych we współczesnych państwach demokratycznych jest dążenie do otrzymania możliwie

---

[1] Réflexions... 1919, str. 339.

większej ilości miejsc w ciałach ustawodawczych. W ogromnej większości tych partyj żyje wiara, iż uzdrowienie wszystkich bolączek państwowych zależy od dojścia do władzy ich grupy parlamentarnej. Jakiejś głębszej przemianie psychicznej w samem społeczeństwie nie przypisuje się żadnej donioślejszej roli. To też każda grupa dąży do obsadzenia możliwie większej ilości państwowych stanowisk przez swoich ludzi.

W walce o zdobycie tych miejsc stosuje się zwykle wszelkie możliwe środki. Otrzymując z jednej strony subsydja od zainteresowanych grup kapitalistycznych, z drugiej strony — oszukuje się często masy, posługując się nieliczącą się z niczem demagogją. Socjaliści ze swoim poglądem na moralność, jako na zjawisko zależne w przeważnym stopniu od ukształtowania stosunków gospodarczych, jako na jeden ze sposobów otumaniania mas, łatwiej, niż ktokolwiek inny mogą się do tej metody przystosować.

Inny punkt widzenia ma na te wszystkie rzeczy »nowa szkoła«. Autorowie tego kierunku uważają, iż wielkie przemiany dziejowe muszą być przemianami całkowitemi, to znaczy, iż muszą dokonywać się jednocześnie we wszystkich dziedzinach życia ludzkiego. Zdaniem ich, trudno powiedzieć, czy zjawiska kultury oraz życia duchowego okazują większy wpływ na kształtowanie się podłoża gospodarczego, czy też odwrotnie, czynniki ekonomiczne decydują o rozwoju świata duchowego. Natomiast nie ulega wątpliwości, że pomiędzy temi dwiema stronami rozwoju dziejowego stale musi istnieć pewne wzajemne dostosowanie. Pewne ukształtowanie sił gospodarczych wymaga odpowiedniego ukształtowania sił psychicznych. Jeżeli to ukształtowanie nie nastąpi — to dany ustrój gospodarczy albo wcale nie będzie mógł się utrzymać, albo w każdym razie nie będzie mógł doprowadzić do takiego wykorzystania możliwości produkcyjnych środowiska, jakieby nastąpiło w wypadku dostosowania pomiędzy czynnikami materjalnemi i organizacyjnemi produkcji a podłożem psychicznem. Zagadnienie utrzymania pewnego poziomu moralności staje się tu z ekonomicznego punktu widzenia zagadnieniem pierwszorzędnej wagi.

To też kwestja rewolucji syndykalistycznej jest dla Sorela nietylko kwestją ekonomiczną i organizacyjną, nietylko kwestją uświadomienia mas robotniczych, ale — i to może nawet przedewszystkiem — kwestją pewnej przemiany moralnej. Sorel staje wobec pytania, jakie cechy moralne musi posiadać robotnik przy-

szłego, kierowanego przez wolnych producentów warsztatu, jakie wartości moralne muszą się w tym robotniku wykształcić, żeby ów płomień popędu twórczego, który coraz bardziej w jego psychice zaczynają rozdmuchiwać warunki nowoczesnej techniki produkcyjnej, nie został przytłumiony przez szereg innych przeżyć psychicznych.

O pierwszej cesze moralnej mówiłem już w jednym z poprzednich rozdziałów: jest nią kult pracy, nadanie pracy takiego znaczenia, otoczenie jej taką czcią, takim szacunkiem, takim nimbem, by przestała ona być w naszej wyobraźni ciężką klęską ludzkości, ale by sumienne jej wykonywanie stało się zaszczytnym obowiązkiem, kwestją godności osobistej każdego dobrego obywatela, jak odwaga bojowa jest kwestją godności osobistej każdego dobrego żołnierza.

Kult pracy stanowi bezsprzecznie najbardziej oryginalną cechę światopoglądu moralnego Sorela. Nikt przed nim, oprócz chyba jednego Proudhona, nie uzasadnił tak dobitnie konieczności rozwinięcia wśród szerokich mas ideologji, opartej o poczucie moralnej wartości pracy. Pozatem ideologja Sorela w dziedzinie moralnej w wielu punktach zbliża się do doktryny etycznej katolicyzmu, jakkolwiek sam Sorel nigdy żadnego wyznaniowego stanowiska w swoich pracach nie zajmował[1]. Jest to przedewszystkiem ideologja wyrzeczenia się i ofiary.

Sorela przeraża ten ogromny rozwój psychiki użycia, który obserwujemy w dzisiejszych społeczeństwach kapitalistycznych. Formy polityczne demokracji z jej metodami kultywowania najniższych, najbardziej łatwych do rozbudzenia instynktów tłumu sprzyjają wzrostowi tej psychiki. Sorel jest najbardziej zawziętym, najbardziej stanowczym przeciwnikiem demokracji i kapitalizmu, narzucających społeczeństwu psychikę giełdziarzy i spekulantów oraz demoralizujących to społeczeństwo przez działalność agitatorów wyborczych, którzy rozbudzają pożądanie tłumów, żeby potem nie spełnić nawet dziesiątej części rozdawanych na wszystkie strony obietnic. Tak zwana ekonomja burżuazyjna z ową psychiką użycia godziła się; ta psychika, ta żądza użycia były dotychczas — można nawet powiedzieć — jednym z najbardziej za-

---

[1] Mam tu na myśli tylko niektóre punkty etycznego stanowiska Sorela, gdyż w innych, jak naprz., w zakresie swojej filozofji przemocy Sorel bardzo daleko odbiega od światopoglądu katolickiego.

sadniczych motorów, pobudzających do działalności w ustroju kapitalistycznym.

W miarę jednak tego, jak rozwój technicznych sposobów produkcji zaczyna żądać od robotnika coraz większej inteligencji, coraz większej samodzielności i coraz większego oddania się swemu zawodowi, to moralne podłoże, odpowiadające dotychczasowym warunkom ustroju kapitalistycznego, staje się niedostatecznem. Nowoczesny postępowy warsztat potrzebuje wykształcenia w psychice robotnika całego szeregu nowych moralnych wartości. Potrzeba przedewszystkiem, żeby robotnik miał możliwie jaknajsilniej rozwinięte poczucie obowiązku, żeby miał świadomość, iż praca, którą wykonywa, jest pewną służbą społeczną, i żeby tę pracę kochał, jak nieraz rolnik kocha swoje narzędzia, swoje zwierzęta oraz swój grunt. Bez dokonania tej przemiany moralnej niemożliwym staje się dalszy postęp ekonomiczny i techniczny.

Reakcja Sorela przeciwko psychice użycia, cechującej dzisiejsze społeczeństwa kapitalistyczne, idzie tak daleko, że propaguje on nawet chrześcijańskie ideały ubóstwa i ascetyzmu. We wstępie do »Les Méfaits des Intellectuels« Berth'a Sorel, jako wyraz swoich poglądów na te kwestje, przytacza następujące zdanie James'a: »Strach przed ubóstwem, który panuje wśród warstw inteligentnych, jest bezwarunkowo najgorszą z chorób moralnych, na które cierpi nasza cywilizacja« (James L'expérience religieuse p. 317)[1]. Ideał ascetyzmu i ubóstwa oraz ideał możliwie intensywnej i wydajnej produkcji dóbr materjalnych... Jest na pierwszy rzut oka jakiś dziwny paradoks w jednoczesnem wysunięciu tych dwu ideałów. A jednak istotnie produkcja najobfitszą i najbogatszą ilościowo i jakościowo stałaby się właśnie wówczas, gdyby każdy produkował, myśląc tylko o swoim obowiązku pracy, a jaknajmniej przejmując się kwestją swego własnego spożycia. Istotnie wówczas dobrobyt społeczeństwa, jako całości doszedłby do niewidzianej dotychczas wysokości.

Sorel marzy o takich robotnikach, którzyby pracowali dla samego dzieła bez wszelkiej myśli o wynagrodzeniu. Wzorem pod tym względem muszą być — jego zdaniem — średniowieczni rzeźbiarze, którzy nieraz całe swoje życie poświęcali uporczywej pracy

---

[1] E. Berth. Les méfaits des intellektuels. Préface de G. Sorel. str. XXXII.

nad wznoszeniem wielkich pomników sztuki średniowiecznej, nie dbając wcale ani o zapłatę, ani o sławę. Wśród robotników pracujących nad budową wielkich katedr, które nam pozostawiło średniowiecze, byli nieraz ludzie niezwykłych talentów o szerokim twórczym rozmachu. Zamieszani w tłumie towarzyszy, pozostawali oni jednak w ukryciu, nikomu nie znani, nigdy nie wyróżniani; świadczą nam dziś o nich tylko ich dzieła. Sorela, naprzykład, bardzo dziwi, iż archiwa Notre-Dame nie zachowały żadnych danych co do budowy tego olbrzymiego pomnika i że wogóle dokumenty średniowieczne tak mało nam dają wiadomości o wielkich artystach, którzy tworzyli arcydzieła średniowiecznej architektury.

Ten brak troski o to, jak zostaną ocenione zasługi, ta obojętność dla rekompensaty stanowią — zdaniem Sorela — doniosłą wartość moralną, która zabezpiecza nieprzerwany postęp. »Co stałoby się z nowoczesnym przemysłem — zapytuje Sorel — gdyby się znaleźli wynalazcy tylko dla tych rzeczy, które mogą zagwarantować pewne dochody? Zawód wynalązcy jest najbardziej może niepopłatnym ze wszystkich zawodów, a jednak on nigdy nie przestawał istnieć. Ileż to było wypadków, że drobne modyfikacje, wprowadzone do pracy przez pomysłowych robotników, doprowadziły w rezultacie do poważnych ulepszeń w ten jednak sposób, że właściwi wynalazcy nie mogli wyciągnąć żadnych trwałych i odpowiednich korzyści ze swojej pomysłowości« [1].

Ale owi, opanowani przez popęd twórczy, wynalazcy, dla których rezultaty ich pracy są najlepszem wynagrodzeniem ponoszonych trudów, stanowili dotychczas tylko wyjątki. Regułą pozostawało i pozostaje, iż ogromna większość ludzi spełnia swoje czynności gospodarcze w znacznej mierze pod wpływem dążenia do osiągnięcia jaknajwiększych korzyści dla siebie lub swoich rodzin. Ideałem, który w mniemaniu Sorela niesie syndykalizm ze swym mytem strajku generalnego oraz nowego społeczeństwa wolnych wytwórców, które w wyniku tego strajku powstanie, jest rozszerzenie owego bezinteresownego stosunku do wykonywanej pracy na ogromną większość producentów. Jest to bowiem niezbędny warunek dla utrzymania postępowego charakteru produk-

---

[1] Réflexions..., 1919, str. 385.

cji, którą mają zacząć organizować syndykaty nazajutrz po zwycięskim strajku.

Cechę postępowej metody gospodarowania w bardzo wielu zakresach jest stosowanie dużych inwestycyj, których skutki często dopiero tylko przyszłe pokolenia będą mogły odczuć. Naprzykład, budowanie jakichś wielkich kanałów, lub przeprowadzanie jakichś kolosalnych meljoracyj, które w przyszłości mają podniecić życie gospodarcze całych krajów i stworzyć zupełnie nowe możliwości wykorzystania ich zdolności produkcyjnych, wymaga nieraz od obecnych pokoleń czynienia tylko ofiar i nakładów, dając dopiero następnym możność korzystania z wyników tych prac.

Dziś w dużej ilości wypadków prowadzenia tych robót podejmuje się państwo, zmuszając społeczeństwo za pomocą swego aparatu przymusu do ponoszenia niezbędnych ciężarów, lub przerzucając w drodze zawierania pożyczek inwestycyjnych część tych ciężarów na owe następne pokolenia. W ustroju, o którym marzyli syndykaliści, znaczna część inicjatywy i władzy, skoncentrowanej dziś w rękach państwa, przejdzie do samego społeczeństwa, do masy przyszłych wyzwolonych producentów. Jeżeli wśród tych producentów będzie panować charakteryzująca naszą epokę psychika użycia, jeżeli nie rozwinie się wśród nich popęd twórczy, nie rozwinie się zdolność do poświęcania się i do bezinteresownej upartej pracy — dokonywanie tych wszystkich dzieł inwestycyjnych, niezbędnych dla szerokiego rozwoju sił produkcyjnych ludzkości, stanie się rzeczą niemożliwą. Rewolucja syndykalistyczna, zamiast pchnąć naprzód, wstrzyma postęp gospodarczy.

Niską jest wartość bojowa tej armji, w której każdy żołnierz spodziewa się ścisłej rekompensaty za swoje czyny. To dążenie wśród robotników przyszłości będzie musiało całkowicie zaniknąć. Będą musieli oni upodobnić się do owych żołnierzy kolumny atakującej, którzy idą w pierwszych szeregach, mając pewność, iż czeka ich śmierć i że nie im przypadnie sława zdobycia nieprzyjacielskich fortów. Takich właśnie żołnierzy miał Napoleon. Wychowała mu ich rewolucja. Sorel powiada, że najlepszymi, najbardziej dzielnymi i najbardziej ofiarnymi żołnierzami armji napoleońskiej byli właśnie ci, którzy przebyli epopeję walk rewolucyjnych [1].

---

[1] Sorel twierdzi, iż Napoleon w ostatnich latach swego panowania spowodował upadek prawdziwego ducha bojowego, gdyż zdusił myt ożywiający dawnych żołnierzy rewolucyjnych.

Zasadniczą siłą, która ożywiała rewolucyjnych oraz napoleońskich żołnierzy, była tęsknota do wielkich czynów, wielkich rzeczy, do spełniania jakichś doniosłych zadań historycznych. Żołnierzy tych prowadziła wiara w myt, prowadziły rozbudzone w ich duszy uczucia »wzniosłości«. »Żołnierz napoleoński — cytuje Sorel słowa Renana — wiedział, iż on zawsze pozostanie biednym człowiekiem, ale czuł że epopeja, dla której pracuje, będzie wieczną, że on zawsze żyć będzie w sławie Francji... Prawdziwego żołnierza nie wychowuje się zapomocą obietnic nagród doczesnych. Koniecczną mu jest nieśmiertelność. W braku raju, (który obiecywali swoim żołnierzom Turcy) musi wyjść na widownię sława, która także przecież stanowi rodzaj nieśmiertelności« [1].

Dlatego, by rewolucja syndykalistyczna mogła stworzyć przejście do nowej ery cywilizacyjnej, opartej o całkiem nową strukturę gospodarczą, trzeba, żeby masy robotnicze także miały swój myt, któryby je natchnął energją do czynu, do ofiar, do pracy, któryby wlał w nie entuzjazm oraz wychował w nich całkiem nową moralność producentów, któryby sprawił, że każdy robotnik przy warsztacie czułby się tak samo współtwórcą epopeji, jak współtwórcami epopeji czuli się żołnierze w czasie bitw napoleońskich.

Takim mytem — zdaniem Sorela — jest dla naszych czasów myt strajku generalnego, znaczenie którego coraz bardziej potęguje się w miarę tego, jak walka klasy robotniczej z kapitalizmem zaczyna przybierać coraz bardziej ostre formy. Właściwością tego mytu jest, iż, budząc entuzjazm dla tej walki, wychowując w robotnikach zdolność poświęcania się, rozwija on w nich jednocześnie kult dla ich zasadniczej funkcji życiowej — dla pracy produkcyjnej; uczy robotników, iż praca nie jest klęską ludzkości, jak to głosiło szereg myślicieli w przeszłości, ale, przeciwnie, jest najwyższym, najgłębszym, najbardziej szlachetnym przejawem człowieczeństwa.

Moralność — zdaniem Sorela — nie może się oprzeć na samych tylko rozumowych podstawach. Moralność racjonalistyczna jest utopją, wymyśloną przez nie mających poczucia realizmu życiowego intelektualistów. Myt strajku generalnego oraz myt przyszłego społeczeństwa wolnych wytwórców mogą dostarczyć, w wypadku jeżeli w dostatecznie silnym stopniu zostaną rozwinięte, niezbęd-

---

[1] Réflexions... 1919, str. 385—386.

nego podłoża uczuciowego dla tego, by wychowała się nowa moralność producentów.

Niemniej dużą wagę, jak bezinteresowności przy wykonywaniu czynności produkcyjnych, przypisuje Sorel kwestji moralności płciowej i rodzinnej. Dziedzinę przeżyć, rodzących się na tle życia płciowego, uważa Sorel za najbardziej może »ciemną« dziedzinę psychiki naszej, dziedzinę, gdzie działa szereg sił zupełnie nieuchwytnych. Nie ulega jednak żadnej wątpliwości, że siły te oraz pojęcia, które w tym zakresie rządzą, okazują bardzo znaczny wpływ na naszą działalność produkcyjną. Sorel niejednokrotnie to podkreśla, oraz oburza się na współczesnych filozofów i socjologów, iż sprowadzają oni moralność tylko do nauki o prawidłach, mających zabezpieczyć porządek społeczny [1]. Wówczas, gdy w istocie rzeczy moralność, a szczególnie moralność płciowa, jest czynnikiem, który potężnie wpływa na ogólny rozwój naszego życia psychicznego, silnym refleksem odbijając się także w dziedzinie naszej działalności gospodarczej.

W historji możemy zaobserwować szereg przykładów współodpowiedniości pomiędzy okresami wzmożonej twórczości pewnej rasy, a moralnością, która wśród niej wówczas panowała. Okresy wzmożonej twórczości, okresy wielkich podbojów lub tworzenia doniosłych czynników cywilizacyjnych wymagają od szeregu jednosek uporczywej, ofiarnej pracy, wymagają dla wielkiego dzieła dziejowego ciągłych poświęceń z czasu, z przyjemności, z dobrobytu, a nawet z samego życia, jednem słowem wymagają wyrzeczenia się. Wymagają zaniku psychiki użycia, a natomiast rozwoju psychiki twórczej. Wszystko, co ową psychika użycia niszczy, co zmusza nas, żebyśmy w imię pewnych żyjących w naszej duszy świętości robili ofiary z zadowolenia, którego może nam dostarczyć użycie, jest jednocześnie czynnikiem kształcącym owe twórcze, silne, przejęte uczuciami »wzniosłości« jednostki, o których Sorel marzy, jako o twórcach nowej cywilizacji pracy. Twarda, wymagająca ciągłego poskramiania swoich namiętności, moralność płciowa może być tu niezmiernie ważnym czynnikiem kształcącym charaktery. Wystarczy porównać moralność dawnego Rzymu w okresie wzrostu jego potęgi z moralnością w okresie rozkładu tej potęgi.

Moralność współczesna zbliża się — zdaniem Sorela — do

---

[1] Réflexions... 1919, str. 285.

moralności rozkładającego się Rzymu. Szereg czynników na to się złozyło. Filozofja XVIII wieku, która w znacznej mierze była wyrazem dążenia przeżywających się warstw arystokratycznych do stworzenia sobie warunków jaknajbardziej przyjemnego życia bez troski o pokolenia następne, a która tak znaczny wpływ okazała na kształtowanie się pojęć, rządzących w dzisiejszych społeczeństwach; ogromny rozwój w wieku XIX materjalistycznego światopoglądu; ogólny zespół warunków ekonomicznych i politycznych, pozwalających na zdobycie sobie znacznych środków bez jakiegokolwiekbądź udziału w pracy produkcyjnej, czy to, naprzykład, drogą spekulacyj giełdowych, czy też przez zdobycie sobie wpływowego stanowiska politycznego zapomocą uzyskania mandatu poselskiego — wszystkie te momenty, łącznie z całym szeregiem innych, złożyły się na to, iż w dzisiejszych społeczeństwach wzmogło się ogromnie dążenie do jaknajwiększego dobrobytu i użycia.

Typowym wyrazem rozwinięcia się tej psychiki jest w dzisiejszych społeczeństwach stan kwestji rozwodów. Zdaniem Sorela, przepis o całkowitej nierozerwalności małżeństwa musi zniknąć ze wszystkich prawodawstw; ale rozwody muszą mieć miejsce tylko wyjątkowo. Tymczasem w naszych społeczeństwach zaczyna się coraz bardziej rozpowszechniać pogląd, traktujący związek małżeński, jako skazany na rozerwanie z chwilą, gdy tylko namiętności erotyczne zgasną. Sorel natomiast uważa, iż »zadaniem człowieka jest uszlachetniać związek płciowy przez poświęcanie naszych instynktów w imię obowiązku«.

Socjalizm — zdaniem Sorela — niesie właśnie ten dzisiejszy zdegenerowany pogląd na małżeństwo. Socjalizm nie przedstawia się tutaj Sorelowi, jako ruch tworzący fundamenty nowego świata i nowej kultury. Socjalizm — zdaniem Sorela — jest wyrazem tego rozkładu, tej zgnilizny moralnej, która jest wytworem warunków i psychiki upadającego kapitalizmu. Tezie socjalistycznej małżeństwa Sorel przeciwstawia swoją tezę. Małżeństwo on traktuje nietyle jako związek, mający na względzie dostarczenie pewnego wzajemnego zadowolenia stronom, ile raczej, jako teren, gdzie człowiek musi stale czynić pewne ofiary ze swego dobra i zadowolenia dla dobra innych. W miłości widzi Sorel potężną siłę psychiczną, zdolną rozbudzić w człowieku przeżycia »wzniosłości«, wyczarować owe wewnętrzne nieuchwytne i twórcze »ja«, które w myśl światopoglądu bergsońskiego w każdym z nas drzemie.

Rodzinę uważa Sorel za podstawową komórkę społeczną, która okazuje ogromny wpływ na nasze predyspozycje w całym szeregu innych zakresów życia. Człowiek przyzwyczajony do skrupulatnego i ofiarnego wypełniania swoich obowiązków na terenie życia rodzinnego zawsze prędzej potrafi tak samo ofiarnie wypełniać swoje obowiązki społeczne, niż ten, który rodzinę traktuje wyłącznie z punktu widzenia swego egoistycznego zadowolenia. W ten sposób wpływy wychowawcze rodziny mają swój bardzo silny refleks i na terenie życia gospodarczego. U Sorela, tak samo jak i Proudhona. jest poprostu kult rodziny. Uszlachetnienie więzów rodzinnych, uduchowienie stosunków rodzących się na tle pociągu płciowego uważa on za jeden z podstawowych czynników odrodzenia moralnego dzisiejszych kapitalistycznych społeczeństw.

Tak znaczna rola etycznych zainteresowań w teoretycznych rozważaniach Sorela, stanie się dla nas bardziej zrozumiałą, jeżeli weźmiemy jeszcze pod uwagę niektóre specyficzne warunki współczesnego życia francuskiego. Francja od kilkudziesięciu lat przeżywa ciężki kryzys ludnościowy. Wówczas, gdy w innych krajach ilość urodzin przewyższa śmiertelność, we Francji naodwrót, ilość zgonów jest większa, niż ilość urodzin. Zjawisko to jest oczywiście wynikiem działania całego szeregu sił, z których wiele całkiem nie da się uchwycić. Nie ulega wątpliwości jednak, że do najbardziej zasadniczych czynników, powodujących ten stan rzeczy, należy zaliczyć przedewszystkiem ogromny wzrost potrzeb i ogromne wzmnożenie się tej właśnie psychiki użycia, o której pisał Sorel. Podniesienie stopy życiowej wśród warstw niższych, dążenie do możliwie lekkiego i nieskrępowanego żadnemi więzami życia wśród warstw średnich i wyższych, oraz ogólne rozprzężenie obyczajów wytworzyły strach przed rodziną. Upadek życia rodzinnego jest bezwarunkowo czynnikiem, który może pociągnąć groźne skutki dla przyszłości narodu francuskiego. Niebezpieczeństwo to wywołało duże zainteresowanie się warstw oświeconych kwestjami moralności płciowej. Dziś we Francji wychodzi szereg pism o najróżnorodniejszym podkładzie ogólno-światopoglądowym, poświęconych specjalnie propagowaniu życia rodzinnego oraz walce z neo-maltuzjanizmem. Trzeba także przypuszczać, że to odrodzenie katolicyzmu, które dziś obserwujemy wśród znacznej części inteligencji francuskiej jest w dużym stopniu związane ze wspomnianem dążeniem do dania społeczeństwu jakichś trwałych podstaw moral-

nych. W surowej bezwzględnej etyce katolicyzmu wielu Francuzów widzi potężną siłę, zdolną w znacznym stopniu przyczynić się do rozwiązania obecnego kryzysu moralnego.

W oczach Sorela ten kryzys przybierał charakter szczególnie katastrofalny, gdyż widział on w nim nietylko groźbę dla rozwoju kulturalnego i narodowego Francji, ale głęboki kryzys całej naszej cywilizacji, grożący katastrofalnemi skutkami przedewszystkiem w dziedzinie ekonomicznej. Pracując przez kilkadziesiąt lat jako inżynier, wyrobił on sobie przekonanie, iż nowoczesny rozwój narzędzi produkcji oraz metod pracy wymaga od robotnika coraz bardziej wysokiego poziomu moralnego. Tymczasem jego obserwacje, jako socjologa, na każdym kroku doprowadzały do przekonania, iż społeczeństwa europejskie coraz dalej idą po drodze rozkładu moralnego Pomiędzy technicznemi warunkami a podłożem psychicznem produkcji zaczyna zarysowywać się coraz silniejszy rozdźwięk. Dążenie do możliwie jaknajwiększego zysku przy jaknajmniejszym wysiłku oraz psychika ciągłego kalkulowania wyrodziły się w psychikę użycia. Jest to jeden z przejawów dekadencji kapitalizmu. Dziś ta psychika użycia coraz bardziej zaczyna się stawać jedną z największych przeszkód dla dalszego rozwoju gospodarczego. Nowe społeczeństwo wymaga zupełnie innego etycznego typu człowieka, jak ten, którego wychowuje demokracja kapitalistyczna. Twarda, podporządkowana mocnemu poczuciu obowiązku moralność płciowa, wydaje się Sorelowi jednym z najbardziej twórczych czynników o wielkiej wartości społecznej, który w ogromnym stopniu może się przyczynić do wychowania nowego typu producenta, przejętego ideałami »pracy, ubóstwa i czystości« [1].

Drugim czynnikiem, który w znacznej mierze musiał pobudzać Sorela do tych rozważań na temat odrodzenia moralnego oraz do połączenia zagadnień moralnych z zagadnieniami gospodarczemi, są dzieła Proudhon'a. Sorel bardzo dobrze znał prace Proudhona i wiele poglądów proudhońskich okazało na niego bardzo znaczny wpływ. Można nawet powiedzieć, iż dzieła Sorela w znacznym stopniu przyczyniły się do odrodzenia prudonizmu. Wszystkie też zasadnicze cechy światopoglądu moralnego Sorela znajdujemy u Proudhon'a. Kult pracy, kult ideałów ascezy i czystości, walka z psychiką użycia, propaganda obowiązkowości, su-

---

[1] Berth. Les Mefaits... str. XXXIV.

mienności — wszystko to znajdujemy w pracach Proudhon'a. Cały system ekonomiczny Proudhon'a, wszystkie, proponowane przez niego projekta reform, pozostaną niezrozumiałe, jeżeli nie uwzględnimy jego roli, jako propagatora odrodzenia moralnego. »Proudhon-ekonomista, potrzebuje, by Proudhon moralista rozczyścił mu drogę« -- powiada prof. Bouglé[1]. To samo możemy powiedzieć o Sorelu.

Ale pomiędzy Sorelem a Proudhon'em jest w tej dziedzinie jedna bardzo zasadnicza różnica. Proudhon głosił moralność niezależną od jakichkolwiekbądź wierzeń religijnych. Proudhon wierzył w potęgę ludzkiego umysłu i wierzył w to, iż na podstawie racjonalistycznych spekulacyj można zbudować system moralny, wynikający niejako z natury rzeczy. Takim systemem wydawał mu się ten właśnie system, który on budował w oparciu o podstawową zasadę całego swego światopoglądu: zasadę w z a j e m n o ś c i, która głosi. że wszystkie stosunki w społeczeństwie będą musiały się oprzeć o wzajemne usługi, wzajemne poświęcanie się, wzajemne ofiary. Przemiana gospodarcza, do której dążył Proudhon, jest ściśle związana ze zwycięstwem w psychice naszej tej kardynalnej zasady »wzajemności«.

Była to jednak zasada oparta nie o jakieś tło uczuciowe, tak jak, naprzypład, chrystjanizm swoje przepisy etyczne opiera o rozbudzenie w sercach naszych uczucia miłości bliźniego — ale zasada, która u każdego przy spokojnem logicznem rozumowaniu musi wyniknąć ze zdrowego rozsądku. Proudhon głosił etykę świecką w całem tego słowa znaczeniu i był stanowczym przeciwnikiem tego nastawienia mistyczno-religijnego, które za jego czasów można było zaobserwować wśród niektórych socjalistów francuskich. Jakkolwiek we wstępie do »Contradictions Économiques« rozwinął on swoją hypotezę Boga, traktował to jednak wyłącznie jako pewne spekulacje metafizyczne. nic nie mające wspólnego z jakimkolwiekbądź mistycyzmem religijnym. Wszelką religję Proudhon zawsze uważał za zjawisko, które w dzisiejszych czasach jest czynnikiem powstrzymującym wszelki postęp. Proudhon głosił, iż epoka religijna w dziejach ludzkości na zawsze już odchodzi w przeszłość. Nowa moralność musi być moralnością,

---

[1] Bouglé. La sociologie de Proudhon, Paris 1911.

którą nam dyktuje rozum. Pod tym względem uważał siebie Proudhon za spadkobiercę encyklopedystów [1].

Inne jest stanowisko Sorela. Sorel stanowczo zwalcza racjonalizm XVIII wieku. Sorel nie wierzy w to, aby moralność oparta o rozum mogła się ugruntować w społeczeństwie. Mało bowiem ludzi stosuje swoje postępowanie do nakazów tylko samego rozumu. To też moralność musi opierać się na pewnych świętościach, które my w swoich duszach nosimy i do których stosunek jest przedewszystkiem uczuciowy. Postępowanie nasze — podług zdania Sorela — opiera się w ogromnej większości wypadków o pewne przeświadczenia (convictions), które opanowują całą naszą świadomość i zmuszają nas do działania przedtem, niż zdobędziemy się na refleksje [2]. Moralność Proudhona, tak samo jak i moralność stoicka oraz moralność kantowska, była skazana na bezsilność, bo Proudhon nie widział potzeby wychowania niezbędnych dla utrzymania wszelkiej etyki irracjonalnych podstaw.

To też teoretycznie jest Sorel zwolennikiem etyki religijnej. Religja daje mocną irracjonalną podstawę moralności, czyniąc z owych świętości główny motor postępowania. Ale Sorel nie widzi jednak, by jakiekolwiek ze współczesnych wyznań odpowiadało moralnym wymaganiom epoki. Wiele francuzów wierzy, iż odrodzenie katolicyzmu potrafi wyprowadzić dzisiejszą Francję z obecnego kryzysu moralnego. Sorel niema tej wiary. Nie dlatego jednak żeby on był wrogo usposobiony dla katolicyzmu; przeciwnie, Sorel bardzo często mówi o katolicyzmie z ogromnym szacunkiem. Sorel uznaje jego wielką rolę wychowawczą w przeszłości. W życiu dawnych ascetów, w duchu, który ożywiał klasztory, w entuzjazmie wiernych, gotowych na największe ofiary w imię swoich wierzeń, widzi on największe w historji przykłady heroizmu, zrodzonego z uczuć »wzniosłości«. Kościół był czynnikiem twórczym w przeszłości, bo właśnie owe doniosłe, pobudzające do czynów uczucia »wzniosłości« umiał w duszach ludzkich budzić. Ale dziś katolicyzm sam przeżywa głęboki kryzys moralny. Rozkładowa psychologja kapitalistycznej demokracji zaczęła zatruwać także organizm Kościoła. Kościół zaczął powoli godzić się z opanowującą dziś wszystkich psychiką użycia. Kościół stracił

---

[1] Bouglé. La sociologie de Proudhon, str. 91.
[2] Réflexions..., 1919, str. 316—317.

swoją dawną bezwzględność; dostosowując się do ducha czasu, poszedł na kompromisy. Uwydatnia się to — naprzykład — doskonale w stanowisku Kościoła w całym szeregu spraw rozwodowych. Kościół dziś w bardzo wielu wypadkach traktuje małżeń- wyłącznie, jako połączenie interesów świeckich i pieniężnych. Jeżeli małżeństwo zaczyna stronom ciążyć, Kościół dziś często zgadza się na rozwód pod pozorem unieważnienia, gdy tylko małżonkowie mają dostateczne środki na prowadzenie procesu. Kościół coraz bardziej zaczyna zarzucać staro-rzymską zasadę nierozerwalności małżeństwa [1].

Ale nietylko z powodu osłabienia bezwzględności moralnego stanowiska Kościoła Sorel niema wiary w jego twórcze siły. Największym zarzutem, jaki Sorel stawia Kościołowi, jest brak zrozumienia dla zagadnień gospodarczych. »Nie wyobrażam sobie — powiada Sorel — aby mogli być ludzie mniej zdolni do zrozumienia ekonomji produkcyjnej, jak księża« [2]. Zdaniem jego — księża, rozumując o kwestjach gospodarczych, zawsze biorą pod uwagę tylko zagadnienia podziału, nigdy zaś produkcji. »W świecie katolickim panuje nieuczciwość ogólna (une improbité générale), wyrażająca się w przekonaniach wiernych, iż stosunki ekonomiczne zależą przeważnie od kaprysów ludzi trzymających w swoim ręku kasę. Wszelki człowiek, który korzysta ze szczęśliwego przypadku (une bonne aubaine) — a zysk kapitalisty jest, podług tego rozumowania, zawsze szczęśliwym przypadkiem — musi podzielić się z osobami, które mają prawo do jego miłości i szacunku: a więc przedewszystkiem z proboszczami, a potem z kljentelą proboszczów. Świat klerykalny ma bardzo znaczne trudności, gdy trzeba sobie wyobrazić, iż stosunki mogą się rozwijać inaczej, jak przez względy silnych, faworytyzm i przekupstwo« [3].

Ta psychika, panująca wśród kleru, uwydatnia się także i w taktyce katolików społecznych, których zasadniczym ideałem jest zachowanie wpływów Kościoła wśród mas robotniczych. Dążąc do tego celu chcą oni pociągnąć robotników przez danie członkom związków katolickich większych korzyści, niż te, jakie dają związki socjalistyczne. Zwykle katolicy społeczni budują tu

---

[1] Réflexions... str. 362.
[2] Réflexions... str. 313.
[3] Réflexions... str. 312—315.

swoje nadzieje na tem, iż kapitaliści zechcą zrzec się części swoich dochodów, aby związkom katolickim zabezpieczyć powodzenie niezbędne dla celów tej polityki religijnej. Rozwiązanie problematu robotniczego staje się tutaj w znacznym stopniu kwestją dobrej woli kapitalistów.

Księża nie mogą zrozumieć, iż rozwój stosunków gospodarczych nie jest zależny od dobrej woli pewnej ilości posiadaczy kapitału, ale, że u fundamentów struktury gospodarczej społeczeństwa tkwią przedewszystkiem zjawiska produkcji, i że od tego, jakie formy organizacyjne i techniczne ta produkcja przyjmuje, jakie metody w procesie pracy stosuje, zależy w ogromnym stopniu rozwój społeczeństwa we wszystkich innych dziedzinach życia. Dziś pomiędzy formami organizacyjnemi produkcji oraz psychiką robotników — z jednej strony, a stanem techniki produkcyjnej — ze strony drugiej, zaczyna zarysowywać się coraz większe niedostosowanie. Nowoczesne warunki organizacyjne krępują dalszy rozwój techniki. Tkwi w tem podstawa dla rewolucyjnych ideałów kolektywizmu. Ale jednocześnie ta technika produkcyjna wymaga zupełnie nowego typu etycznego producenta. Przyzwyczajeni w ciągu wieków do patrzenia na dobroczynność i jałmużnę, jako na zasadnicze środki rozwiązania kwestji socjalnej, księża zupełnie nie są w stanie wniknąć w najbardziej istotne wymogi rozwoju gospodarczego. To też katolicyzm, który był w przeszłości czynnikiem wielkiej twórczości dziejowej, dziś przez niezrozumienie wymogów współczesnej ekonomji, staje się — zdaniem Sorela — zawadą dla dalszego rozwoju cywilizacyjnego.

Sorel jednak uczuwał potrzebę znalezienia jakiejś siły, któraby tę nową moralność kształtowała. W fakcie tych poszukiwań tkwi — mojem zdaniem — klucz dla zrozumienia tych wszystkich transformacyj, tych wszystkich przemian ideologicznych, które Sorel przechodził w ciągu swojej działalności pisarskiej. Nie mogąc znaleść tych twórczych elementów moralnych we współczesnym katolicyzmie, Sorel szukał ich w socjalizmie, szukał potem w syndykalizmie rewolucyjnym. Przez dłuższy czas Sorel wierzył, iż myt strajku generalnego oraz myt społeczeństwa wolnych wytwórców potrafi rozbudzić w psychice robotników owe przeżycia »wzniosłości«, niezbędne — zdaniem jego — dla wyprowadzenia dzisiejszych społeczeństw z obecnego ciężkiego kryzysu moralnego. Jednak około 1912 roku, gdy w łonie »Confederation Generale du

Travail«, coraz silniej zaczęła uwydatniać się przewaga kierunku reformistycznego, związanego z obozem demokracji politycznej, Sorel odszedł od syndykalizmu. Nastąpił wówczas okres zbliżenia się z »Action Française« oraz z George'em Valois, dzisiejszym wodzem faszyzmu francuskiego. Po wybuchu rewolucji rosyjskiej Sorel stał się zwolennikiem III Międzynarodówki i jako zwolennik bolszewickiego komunizmu umarł.

Komunizm leninowski — to było ostatnie złudzenie wielkiego myśliciela i moralisty. Że Sorel, gdyby żył dłużej, musiałby się pozbyć i tego złudzenia, wydaje mi się nie ulegać żadnej wątpliwości. Kto widział rewolucję rosyjską na własne oczy, kto nazajutrz po dojściu do władzy partji komunistycznej przyglądał się tym robotnikom, gawędzącym bezpiecznie przy zatrzymanych maszynach, kto obserwował ten zupełny zanik poczucia obowiązku pracy i to straszne rozprzężenie obyczajów, którym się odznaczała Rosja przedrewolucyjna i odznacza się porewolucyjna, — ten zrozumie, jak dalekiem jest państwo sowietów od ideałów Sorela. Tylko tem, iż Sorel był oddzielony od terenu doświadczeń bolszewickich tysiącami kilometrów, że nigdy Rosji przedtem nie widział, można tłumaczyć tę tak dziwną dla każdego z polskich czytelników wiarę w to, iż w zamęcie rosyjskim wykuwa się dziś nowa, twórcza, twarda moralność producentów. Śmierć jednak oszczędziła sędziwemu pisarzowi tego ostatniego rozczarowania.

IX.

Ideałem, do którego zmierza ruch syndykalistyczny, jest stworzenie społeczeństwa wolnych wytwórców. Myt tego społeczeństwa, pewien jego obraz, który się zrodził w wyobraźni robotników, stawał się — podług zdania teoretyków syndykalizmu rewolucyjnego — potężną siłą motoryczną, pchającą masy robotnicze do ofiarnej walki z kapitalizmem. Nigdy jednak przywódcy robotniczy w ciągu owego »heroicznego okresu« w historji francuskiego syndykalizmu nie próbowali określić szczegółowo form organizacyjnych tego przyszłego społeczeństwa.

Podług pisarzy »nowej szkoły«, było to stanowisko jedynie słuszne i realne, gdyż uchwycenie form, do których ma doprowadzić rozwijający się proces ewolucji, jest rzeczą przekraczającą zdolności naszego umysłu. Człowiek może rozpętać pewne siły

dziejowe, może nadać rozwojowi tych sił pewien kierunek, może stwierdzić, że niektóre z nich kryją w sobie potężne zdolności twórcze — ale nigdy nie może przewidzieć konkretnych form, które wytrysk nowości, wywołany przez działanie tych sił wytworzy. Szczegółowe malowanie obrazów przyszłości, tak jak to robili Fourier, Owen czy Cabet, jest, pozbawioną wszelkiej podstawy w rzeczywistym ruchu przemiany życiowej, utopją. Robotnicy syndykalistyczni intuicyjnie niejako stanęli tu na tem samem stanowisku, do którego po długich rozumowaniach teorjopoznawczych doszedł Bergson.

To też teoretycy syndykalizmu rewolucyjnego nie dawali nam żadnego szczegółowego planu przyszłego społeczeństwa. Określali oni tylko pewne najbardziej ogólnikowe ideje, które strajk generalny ma zrealizować. Ideją taką jest w pierwszym rzędzie hasło »wyzwolenia pracy«.

We wszystkich prawie znanych nam w historji zasadniczych formach organizacyjnych, wszędzie prawie, gdzie tylko spotykamy się z kooperacją w procesie wytwórczym, czynnik pracy bywał uzależniony w większym lub mniejszym stopniu od pewnej zewnętrznej w stosunku do robotników woli. Wola ta osiągała zawsze podporządkowanie sobie robotnika zapomocą pewnego przymusu. We wszystkich poprzednich ustrojach spotykamy się z tym elementem przymusu; czy to będzie brutalny przymus fizyczny przy produkcji niewolniczej lub pańszczyźnianej, czy też bardziej wyrafinowany, bardziej szanujący swobodę osobistą jednostki, przymus w warunkach produkcji kapitalistycznej, czy też, oparty o panujące w danej grupie przywiązanie do tradycji, przymus w ustroju patryarchalnym. Ideałem syndykalizmu jest stworzenie takiej organizacji produkcji, gdzieby ten, stanowiący niezbędny element dyscypliny, panującej przy współczesnym warsztacie, przymus zewnnętrzny zosiał zastąpiony przez pewien przymus wewnętrzny, oparty wyłącznie na takiem ukształtowaniu psychiki robotnika, któreby nie pozwoliło robotnikowi inaczej postępować, jak zgodnie z wymaganiami możliwie intensywnej produkcji.

Tkwi tu bardzo poważna różnica pomiędzy ideologją syndykalistów a ideologją znacznej większości współczesnych socjalistów. Socjaliści bowiem w ogromnej większości wypadków nie myślą o ustroju, gdzie całkiem zniknie element podporządkowania się w procesie pracy pewnej zewnętrznej woli. Ideałem dla całego

szeregu socjalistów jest tylko usunięcie prywatnego przedsiębiorcy, a zastąpienie go przez władzę kierowniczą, opierającą się na mandacie otrzymanym w drodze wyborów. Ideał socjalistów to transpozycja form demokracji politycznej na teren zakładów produkcyjnych. Władza, którą posiędą te ciała wyborcze, może okazać się w praktyce jeszcze bardziej arbitralną i bardziej bezwzględną, niż władza prywatnego przedsiębiorcy. Rewolucja socjalistyczna ma dać robotnikom zadowolnienie się fikcją, iż oni sami kierują akcją produkcyjną społeczeństwa przez wybieranie członków ciał kierowniczych, taksamo jak nowoczesny parlamentaryzm daje fikcję zwierzchnictwa ludu.

To też rewolucja syndykalistyczna musi wnieść do stosunków, panujacych w zakładach, daleko większy i daleko głębszy przewrót, niż ten. któryby wniosła rewolucja socjalistyczna. Sorel powiada, iż pewnego wyobrażenia o syndykalistycznym ideale nowego warsztatu możemy nabrać, gdy zbadamy sposoby wojowania armji narodowej w okresie Wielkiej Rewolucji. Siły psychiczne, które kształtowały stosunki w wojsku rewolucyjnem, są analogiczne do tych, które będą kierować robotnikami w okresie strajku generalnego, oraz które potem w nowem społeczeństwie staną się motorem intensywnej produkcji. »Podczas wojen wolnościowych każdy żołnierz, zamiast uważać siebie tylko za część mechanizmu bojowego, oddaną całkowicie pod kierownictwo dowódcy, traktował siebie jako indywidualność powołaną do dokonania czegoś szczególnie ważnego dla wyniku bitwy. W literaturze tych czasów ciągle się widzi przeciwstawianie w o l n y c h l u d z i z armij republikańskich a u t o m a t o m armij królewskich«[1]. Sorel uważa, iż bitwy tamtych czasów w żaden sposób nie mogą być porównane do gry szachowej, gdzie ludzie zastępują miejsce pionków. Pola bitew Wielkiej Rewolucji były — podług słów Sorela — »wielkiemi zbiornikami energji bohaterskiej, wytwarzanej przez ludzi, dla których entuzjazm był zasadniczym motywem ich postępowania«.

»Aż do momentu zjawienia się Napoleona wojny rewolucyjne nie miały wcale tego charakteru naukowego, który późniejsi teoretycy strategji chcą czasami im nadać. Ulegając złudzeniom analogji pomiędzy tryumfami armij rewolucyjnych a armij napoleońskich, historycy nieraz wyobrażali sobie, iż generałowie przed-

[1] Réflexions..., 1919, str. 371.

napoleońscy robili jakieś duże plany kampanji. Plany te albo nie egzystowały wcale, albo w każdym razie miały tylko wpływ bardzo nieznaczny na przebieg operacji. Najlepsi oficerowie tych czasów doskonale zdawali sobie sprawę, że ich talent polega tylko na dostarczaniu swym oddziałom środków materjalnych, niezbędnych dla przejawiania ożywiającego te oddziały zapału. Zwycięstwo było zapewnione za każdym razem, gdy żołnierze mogli dać swobodny upust temu zapałowi, oraz gdy tylko nie byli skrępowani złem administrowaniem środkami żywnościowemi lub głupotą reprezentantów ludu, udających strategów. Na polu bitwy dowódcy dawali przykłady najbardziej budującej odwagi i byli wówczas tylko pierwszymi szeregowcami na wzór prawdziwych królów homerycznych. Tem się tłumaczy ten ogromny autorytet, który zdobyło nad młodem wojskiem tak wiele podoficerów ancien regime'u, wyniesionych już na początku wojny przez jednogłośne uznanie żołnierzy aż do najwyższych stopni.

Jeżeli się zechce znaleźć w tych pierwszych armjach to, co zajmowało miejsce późniejszej ideji dyscypliny, można będzie wówczas powiedzieć, iż każdy żołnierz był przekonany, że najmniejsza słabość najmniej znaczącego szeregowca może narazić sukces całości oraz życie wszystkich towarzyszy i że w akcji swojej każdy żołnierz stale wyciągał z tego przeświadczenia konsekwencje«.

»Jest się nadzwyczaj uderzonym — powiada dalej Sorel — charakterami o silnych rysach indywidualnych, które spotykamy w tych armjach. Nie znajdujemy tam nic, coby było podobnem do posłuszeństwa, o którem mówią współcześni autorowie. Nie popełnilibyśmy dużej nieścisłości, gdybyśmy powiedzieli, iż bezprzykładne ówczesne zwycięstwa francuskie zostały odniesione przez inteligentne bągnety«[1].

Podobny duch ma panować także w przyszłym warsztacie produkcyjnym. Dyscyplina armij rewolucyjnych daje nam właśnie wzór tego typu dyscypliny, który kształcą dziś w środowisku robotniczem organizacje syndykalistyczne i który będzie musiał się stać jedną z cech charakterystycznych organizacji pracy w społeczeństwie wolnych wytwórców. Wyrabianie się tej dyscypliny nie jest jednak tylko rezultatem akcji organizacyjnej mas robotniczych;

---

[1] Réflexions... 1919, str. 373—574.

kształci ją także sam nowoczesny warsztat. W roli wielkiego wychowawcy występuje tu maszyna.

Przy warsztacie stosującym mało siły maszynowej, przy warsztacie, gdzie współczynnik pracy przeważa, konieczne jest najczęściej utrzymywanie bardzo licznej służby nadzoru, którąby doglądała nad odpowiedniem zachowaniem się robotników w trakcie pracy. Inaczej przedstawia się sytuacja tam, gdzie robotnik musi ściśle współpracować z maszyną. Tu w bardzo znacznej ilości wypadków maszyna narzuca poprostu robotnikowi pewną intensywnośc pracy; wszystkie swoje czynności, przerwy, jakie pomiędzy poszczególnemi ruchami zachodzą, szybkość tych ruchów — wszystko absolutnie musi tu nieraz robotnik ściśle stosować do ruchów maszyny. Maszyna narzuca robotnikowi przeświadczenie, iż jest on kółkiem w wielkim mechaniźmie wytwórczym, kółkiem, ściśle od tego mechanizmu uzależnionem, ale jednocześnie kółkiem, najmniejsze nieprawidłowości w funkcjonowaniu którego mogą wywołać poważne zaburzenia w akcji całego mechanizmu Maszyna w ten sposób wyrabia często w robotniku poczucie konieczności pracy o pewnem napięciu i o pewnej, dostosowanej do wymagań technicznych, punktualności, niezależnie od tego, czy pewna zewnętrzna wola żąda od robotnika tego napięcia i tej punktualności, czy też nie To poczucie jest — podług zdania sorelistów — podstawą dla wykształcenia nowego typu dyscypliny produkcyjnej.

Stosunek wewnętrzny robotnika do pracy i do narzędzi bezwarunkowo odbywa w miarę rozwoju gospodarczego pewną ewolucję. Tylko że my, przyzwyczajeni do stwierdzania nowości przedewszystkiem w tych rzeczach, gdzie powolny ruch przemiany daje się uchwycić, nie możemy często tego zauważyć, tak samo jak umykają z pod naszej obserwacji powolne zmiany w układzie geologicznym gruntu, po którym chodzimy.

W »Introduction à l'économie moderne« Sorel przytacza bardzo ciekawe rozważania na temat wymagań, jakie były stawiane kierownikowi fabryki w okresie formowania się nowoczesnego przemysłu w końcu XVIII i początku XIX wieku, a temi, jakie są stawiane dziś. »Dyrektorami dawnych zakładów — powiada on — bywali zwykle ludzie, którzy dążyli przedewszystkiem do tego, by się ich bano; właściciele fabryk wybierali zwykle dyrektorów raczej w zależności od ich energji oraz uczciwości, niż w zależności od

ich wiadomości technicznych. To była epoka, w której widzieliśmy jedną dużą fabrykę chemiczną w okolicach Lyon'u, kierowaną przez dawnego żandarma; inną na Zachodzie — przez marynarza; jeszcze inną na Południu — przez bednarza«[1]. Potrzebni wówczas byli na stanowiska kierownicze przedewszystkiem ludzie mocnej ręki, ludzie bezwzględni, twardzi, może nawet czasami bezlitośni, ludzie przyzwyczajeni do dawania sobie rady z tłumem niesfornych podwładnych.

Inne natomiast wymogi stawiane są współczesnym kierownikom wielkich warsztatów produkcyjnych. »Nowi dyrektorowie przynoszą ze sobą usposobienie, które trudno było przypuszczać u ich poprzedników; są to ludzie wykształceni w laboratorjach; dla swoich badań teoretycznych potrzebują oni pomocy robotników zręcznych, inteligentnych, przejętych chęcią powodzenia doświadczeń... Dla nowych dyrektorów cała fabryka jest przedewszystkiem dużem laboratorjum«. Są to także ludzie o zupełnie innem usposobieniu, jak ci dawni dyrektorowie, przypominający raczej swoją psychiką jakichś dowódców wojskowych kompanij karnych. Są to przeważnie ludzie grzeczni, humanitarni, dalecy od brutalności swoich poprzedników z przed 100 lat; a jednocześnie posiadają oni duże wykształcenie fachowe oraz mocne przeświadczenie o konieczności pobudzania całego zespołu pracującego do wprowadzania coraz to nowych udoskonaleń technicznych.

Ten typ nowoczesnego dyrektora jest zupełnie dostosowany także do typu robotnika dzisiejszego postępowego warsztatu. Robotnika tego można nazwać niewolnikiem maszyny; maszyna go dyscyplinuje. Ale jednocześnie maszyna czyni go w znaczeniu społecznem bardziej wolnym, gdyż czynnikiem, który go zmusza do podporządkowania się rozkazom kierownictwa jest już nietyle strach przed ewentualnemi represjami, ile mocne przeświadczenie, że to podporządkowanie się jest koniecznym warunkiem trwania samego procesu produkcyjnego. To też fabryki dzisiejsze mniej potrzebują rozwiniętej służby nadzoru, niż fabryki dawniejsze. Opisy nowoczesnych postępowych warsztatów zdają się potwierdzać to zdanie Sorela. Tak, naprzykład, p. Witold Krzyżanowski w swoim opisie

---

[1] Sorel. Introduction à l'économie moderne 1922 str. 226.

organizacji zakładów Forda podaje, że fabryki Forda stosunkowo niewiele wydają na służbę nadzoru [1].

Podział pracy oraz funkcjonowanie maszyn same narzucają robotnikowi pewną intensywność pracy, niezależnie od tego, czy jakaś ludzka wola żąda od niego tej intensywności, czy też nie. Gdyż bez dostosowania akcji robotnika do akcji całego mechanizmu fabrycznego praca często staje się wogóle niemożliwą; robotnik, który nie dostosowuje się do całości, łatwo może się stać czynnikiem wprowadzającym zaburzenia do funkcjonowania całego mechanizmu. »Głębokie zespolenie się dyscypliny i wolności, oto co charakteryzuje nowoczesny udoskonalony warsztat — powiada Eduard Berth — ta dyscyplina nie jest już dyscypliną mechaniczną i autokratyczną, polegającą na pasywnem posłuszeństwie: nie — to jest dyscyplina, którą można nazwać bezosobową, gdyż narzucają ją techniczne konieczności podziału pracy. Tu nie ma więcej podporządkowania się ludzkich wól jednej woli wyższej, a jedynie podporządkowanie się robotnika dziełu; i to podporządkowanie się jest wolne, rozumne, inteligentne: robotnik rozumie i kocha swoje dzieło; on z radością skupia dokoła niego całą swoją istotę, całe swoje życie, robi z niego w pewnym stopniu centrum dla swojej egzystencji...« [2].

Drugim czynnikiem utrzymania dyscypliny ma być — podług Sorela — poszanowanie przez robotników autorytetu i wiedzy inżynierów oraz majstrów... »Dyscyplina robotnika przesiąkniętego rutyną przypuszcza, iż ma on do wykonania pewne czynności podług przepisów, zawierających w sobie naukę całkiem gotową, umieszczonych ponad inteligencją« [3]. Tu w bardzo wielu wypadkach potrzebny jest dość ścisły nadzór oraz pewna groźba represji w celu zmuszenia robotnika do skrupulatnego wykonywania tych przepisów. Inaczej ma być przy postępowym warsztacie przyszłości. Tam każdego robotnika będzie przedewszystkiem pchała do pracy owa chęć do osiągnięcia możliwie znacznych rezultatów swej działalności produkcyjnej, ów popęd twórczy, o którym była mowa w jednym z poprzednich rozdziałów. Dążeniem każdego robotnika będzie tu prześcignięcie wszystkich dotychczasowych wzorów, wynalezienie

---

[1] »Przegląd Współczesny« luty — marzec 1926 r. Witold Krzyżanowski: Organizacja zakładów Forda.

[2] E. Berth. Les Méfaits des Intellectuels, 1914 str. 126.

[3] Sorel. Introduction..., str. 220—221.

jakichś nowych, przez nikogo jeszcze nie zastosowanych udoskonaleń. Ten nastrój będzie miał pewien charakter społeczny, będzie udzielał się jednemu robotnikowi od drugiego. Każdy robotnik, który trafi do takiej fabryki, będzie musiał, ulegając poprostu pewnej sugestji środowiska, tem ogólnem usposobieniem się przejąć, tak samo, jak rekrut, rzucony w czasie wojny do oddziału, gdzie jest wyłącznie tylko stary żołnierz, siłą rzeczy szybko dostosowuje się do ogólnego poziomu. Służba nadzoru nad intensywnością pracy, stosowanie jakiegokolwiekbądź przymusu w tym kierunku, staną się wówczas rzeczami całkiem zbędnemi. Robotnicy zaś staną się podobnymi do uczni, prowadzących w doświadczalniach pod kierownictwem profesorów pewne samodzielne badania naukowe. Dyscyplina w takich zakładach jest oparta o szacunek, jaki dla wiedzy i doświadczenia profesorów mają uczniowie. Tak samo i przy przyszłym warsztacie postępowym szacunek dla wyższości fachowej inżynierów i majstrów narzuci robotnikom posłuszeństwo wobec rozkazów kierowników. Będzie to wymarzona przez Sorela dyscyplina w o l n e g o w a r s z t a t u.

Te poglądy Sorela na dyscyplinę są ciekawe nietylko, jako pewna teoretyczna koncepcja, ale także, jako wyraz pewnych właściwości, charakterystycznych dla francuskiego ruchu robotniczego. Jest w nich wyraz pewnego swoistego romańskiego indywidualizmu. U nas robotnika przeciętnie pociąga do socjalizmu przedewszystkiem nadzieja znacznego poprawienia swojej sytuacji materjalnej. Ustrój socjalistyczny nasi robotnicy wyobrażają sobie przedewszystkiem, jako okres ogromnego podniesienia się dobrobytu klasy robotniczej, oraz ogromnego zmniejszenia trudu ponoszonego przy pracy. Zagadnienia organizacyjne oraz zagadnienie stosunku, który zapanuje pomiędzy szeregowcami produkcji a przyszłym kierownikiem warsztatu, naszego robotnika w gruncie rzeczy bardzo mało wzruszają.

Inną jest natomiast psychika robotnika francuskiego. Chodzi mu nietylko o stworzenie epoki powszechnego dobrobytu, ale także o to, by się tej krępującej jego wolną indywidualność zależności od właściciela zakładu produkcyjnego pozbyć. Robotnik ten zgadza się na konieczność dyscypliny, ale chce, aby ona wypływała z jego swobodnej woli, a nie była mu narzuconą groźbą represji, robotnik francuski chce się czuć gospodarzem swego warsztatu. Przedwojenny syndykalizm rewolucyjny był szczególnie silnym

i jaskrawym wybuchem tej tęsknoty francuskich mas robotniczych do wolności i niezależności. Był to właśnie okres, kiedy ta tęsknota, ten myt społeczeństwa wolnych wytwórców stanowiły w psychice wielu robotników czynnik motoryczny, znacznie silniejszy, niż dążenie do dobrobytu. Dlatego też okres rozkwitu syndykalizmu rewolucyjnego nazwano heroicznym okresem w historji francuskiego ruchu robotniczego. Tu też w znacznej mierze tkwi przyczyna, dla której syndykalizm tak silnie zaimponował inteligentom z obozu »Le Mouvement Socialiste«.

Tego ideału francuskich robotników nie są w stanie zrozumieć ortodoksalni marksiści. Marksiści ze szkoły Engelsa i Kauckiego wyobrażają sobie przeważnie przyszły ustrój w formie zorganizowanego przez przedstawicieli robotniczych silnego państwa socjalistycznego, które przejmie na swoją własność wszystkie środki produkcji. Dzisiejsza Rosja Sowiecka w znacznym stopniu ten właśnie ideał ortodoksalnych socjalistów realizuje. W tej koncepcji niemieckiego marksizmu wyraziła się w znacznym stopniu ta sama psychika, która na innym zupełnie terenie swój wyraz znalazła w osławionej pruskiej dyscyplinie. Ideologja zaś syndykalizmu rewolucyjnego jest przejawem tych samych cech psychiki francuskiej, które zaobserwować możemy we francuskim regulaminie polowym.

W armji pruskiej istniała zawsze tendencja do możliwie jaknajwiększego zmechanizowania jednostki ludzkiej, uczynienia z żołnierza pionka, któryby się dawał poruszać przy jaknajmniejszym udziale jego własnej woli. Francuski regulamin polowy, przeciwnie, usiłuje nadać każdemu żołnierzowi pewną indywidualność, wyznaczyć mu pewną określoną funkcję, tak iżby każdy szeregowiec w szyku bojowym czuł wyraźnie, jaka luka wyniknie w akcji całości w wypadku jego ubycia ze stanu bojowego. Bezsprzecznie dzisiejsza francuska taktyka małych oddziałów jest w znacznej mierze rezultatem ogromnego rozpowszechnienia się szeregu nowoczesnych technicznych środków walki, ale z drugiej strony przejawiła się w niej owa charakterystyczna dla psychiki francuskiej dążność do dania możliwie jaknajszerszego pola dla przejawów swobodnej akcji ludzkiej indywidualności. Tak samo w wyniku połączenia wpływów podłoża technicznego nowoczesnej produkcji z pewnemi specyficznemi właściwościami francuskiego charakteru narodowego zrodził się ideał wolnego wytwórcy.

Ideał wolnego wytwórcy wyrósł na podłożu nowoczesnej postępowej techniki produkcyjnej. Nie we wszystkich jednak gałęziach działalności wytwórczej postęp techniczny rozwija się w jednakowem tempie. Są zakresy produkcji, gdzie jest jeszcze niezmiernie wiele elementów tradycjonalistycznych, lub gdzie nawet te elementa przeważają. W innych znowuż działach wymogiem zasadniczym jest możliwe zmechanizowanie się robotnika, tak jak to było w dawnej manufakturze. Syndykalizm rewolucyjny reprezentuje tylko robotnika z najbardziej postępowych gałęzi produkcji. Tylko ten bowiem robotnik może należycie zrozumieć i odczuć syndykalistyczny ideał dyscypliny, opartej o głębokie przejęcie się robotnika dokonywanem dziełem. Dla ogromnej ilości robotników zajątych w bardziej zacofanych pod względem technicznym zawodach psychika panująca w środowisku rewolucyjnego syndykalizmu musi być siłą rzeczy psychiką obcą. Robotnicy zgrupowani dokoła haseł rewolucyjnego syndykalizmu to — w rozumieniu Sorelistów — elita klasy robotniczej. I tylko ta elita ma istotnie głębokie wyczucie tego ideału ustrojowego, tego mytu, który z sytuacji gospodarczej klasy robotniczej oraz z jej roli w produkcji musi wynikać. Robotnicy postępowych fabryk odgrywają tu rolę pionierów nowego społeczeństwa, rolę tego czynnika, któremu sądzone właśnie będzie przy przyszłej rewolucji porwać za sobą mniej uświadomione i mniej zdecydowane masy robotników bardziej zacofanych.

Pomiędzy tą elitą a resztą warstwy robotniczej zawsze będzie istnieć pewna różnica w stopniu przygotowania do roli przyszłych wolnych producentów. »Świat robotniczy — powiada Berth — wcale nie ma tego charakteru jednorodności, który on posiada podług pojęć socjalizmu abstrakcyjnego; przeciwnie, świat robotniczy przedstawia ogromną różnorodność, tak samo jak i świat produkcji« [1]. Dalej zajmuje się Berth pytaniem, jaka właśnie gałęź produkcji wychowuje typ robotnika najbardziej odpowiadający ideałom syndykalistycznym; porównuje on tu federacje robotników »książki«, górników oraz metalowców, oraz znajduje, iż z tych trzech zawodów jedynie zawód metalowca wychowuje ten właśnie psychiczny typ robotnika, o który syndykalistom chodzi. Warunkami technicznemi pracy górników oraz drukarzy tłumaczy on także

---

[1] Berth. Les Méfaits... str. 115.

fakt, iż wśród nich przeważały w okresie przedwojennym tendencje reformistyczne.

Tak samo ideologja »marksizmu ortodoksalnego« ma — zdaniem Bertha — pewne oparcie w technicznych warunkach niektórych działów produkcji. »Formą ekonomiczną odpowiadającą marksizmowi ortodoksyjnemu jest duża fabryka kapitalistyczna, gdzie robotnik zupełnie despecjalizowany jest sprowadzonym do roli wykonawcy prostych ruchów fizycznych. Produkcja jest tutaj zupełnie automatyczną, zupełnie abstrakcyjną, jeżeli tak się można wyrazić; wydaje się ona podatną etatyzacji« [1].

Dziś rozwój gospodarczy stworzył już nowe bardziej postępowe formy. Tem niemniej jednak zawsze w pewnych gałęziach produkcji będą pozostawały dawne metody pracy oraz dawne ustosunkowanie się różnych elementów produkcji. Powstaje pytanie, czy syndykalistyczny ideał dyscypliny da się zastosować do robotników, przyzwyczajonych do owych mniej postępowych metod, robotników, w których fabryka kapitalistyczna nie wychowała cech postępowego producenta? Pewna groźba represji, pewna sankcja karna może się w takim wypadku okazać czynnikiem niezbędnym.

Tu właśnie zachodzi najbardziej zasadnicza różnica pomiędzy sorelowską koncepcją dyscypliny a anarchizmem. Dla anarchistów ich zaprzeczenie wszelkiej władzy wynika z wiary w pewne absolutne prawo ludzkiej jednostki do całkowitej swobody. Dla sorelistów ich wolnościowy ideał jest ściśle związany z warunkami gospodarczemi epoki. Twarda brutalna dyscyplina fabryki kapitalistycznej początku XIX wieku jest w oczach zwolenników Sorela całkowicie usprawiedliwiona temi wymaganiami, które wynikały z ogólnego ukształtowania warunków produkcyjnych epoki. Ta dyscyplina stała się nawet czynnikiem wychowującym robotnika dla roli intensywnego producenta w przyszłem społeczeństwie wolnuch wytwórców. »Uznanie, które syndykalizm winien jest kapilizmowi — powiada Berth — nie ogranicza się jedynie do bogactw materjalnych, które ten wytworzył, ale chodzi tu przedewszystkiem o przemianę moralną i duchową, którą on dokonał w robotnikach; dzięki swojej żelaznej dyscyplinie on ich wyrwał ze stanu pierwotnego lenistwa, aby ich uczynić zdolnymi do pracy kolektywnej coraz bardziej udoskonalanej« [2].

[1] Berth. Les Méfaits... str. 116.
[2] Berth. Les derniers aspects du socialisme 1923, str. 76.

Możliwość więc zastosowania syndykalistycznego ideału dyscypliny zależy tu od stopnia przygotowania psychicznego robotnika. Jeżeli więc po rewolucji syndykalistycznej okaże się, że pewne elementa warstwy robotniczej nie zostały dostatecznie wychowane przez kapitalizm do roli robotników-twórców, to siłą rzeczy trzeba będzie do nich zastosować stare metody utrzymywania dyscypliny i posłuszeństwa. »Warsztat bez pana«, odpowiadający koncepcji syndykalistycznej — powiada Berth — niema nic wspólnego z »abbaye Thélème«, o którym marzą anarchiści. Panowanie syndykatów, które zastąpi panowanie przedsiębiorców, będzie niewątpliwie, i z większem jeszcze prawem, tak samo ostre, tak samo twarde, tak samo nielitościwe dla niedyscyplinowanych, leniuchów, nieposłusznych, jakim tylko kiedykolwiek mógł być kapitalizm« [1].

Przymus więc nie jest rzeczą zupełnie wykluczoną w sorelowskiej koncepcji dyscypliny. Tendencją syndykalizmu będzie zastąpić go przez inne bardziej szlachetne, bardziej wzniosłe i godne człowieka czynniki motoryczne. Gdy jednak pewnych jednostek lub nawet pewnych liczniejszych grup nie uda się podnieść na wyższy szczebel moralny, siłą rzeczy trzeba będzie do nich zastosować i metody organizacyjne, odpowiadające stanowi niższego rozwoju cywilizacyjnego; trzeba będzie zastosować przymus, nawet chociażby dlatego, żeby w pewnych elementach zacofanych pod względem kultury pracy wyrobić przyzwyczajenie do tej pracy.

Natomiast istotną częścią obrazu społeczeństwa wolnych wytwórców jest — podług sorelistów — przeniknięcie się elity robotniczej temi wszystkiemi właściwościami psychicznemi, które muszą cechować przyszłego producenta i które mają zagwarantować dyscyplinę w przyszłym wolnym warsztacie. Dopóki taka elita nie wychowa się, trudno jest liczyć na wielkie i twórcze wyniki rewolucji socjalnej. Wśród robotników, należących do tej elity, nie może być mowy o jakimkolwiekbądź wyraźnym przymusie do pracy, bo z chwilą, gdy okaże się konieczność takiego przymusu, stanie się jednocześnie jasnem, iż nie mą warunków dla stworzenia tego »warsztatu bez pana«, o którym, jako o pewnym najbardziej ogólnikowym ideale przyszłości marzą syndykaliści. To jednak nie wyklucza, iż ta wyższa pod względem moralnym i technicznym

---

[1] Berth. Les derniers aspects du socialisme, str. 73.

elita będzie mogła zastosować przymus w stosunku do elementów stojących na niższym stopniu kultury gospodarczej.

Robotnicy, należący do tej elity, stanęliby tu w roli twórców nowego porządku gospodarczego, tak samo jak twórcami nowego ukształtowania stosunków politycznych byli ci dzielni skandynawscy marynarze z przed tysiąca lat, którzy podbojami swymi tworzyli w szeregu miejsc Europy nowe formacje polityczne. Byłaby to twórcza przemoc ze strony ludzi, opanowanych popędem do tworzenia nowych form cywilizacyjnych, przemoc, którą Sorel nietylko że usprawiedliwia, ale nawet gloryfikuje.

X.

Wszystkie prace Sorela przenika jedna myśl, która, można powiedzieć, jest zasadniczą pisarską ambicją autora. Jest to ambicja realnego odtwarzania rzeczywistości społecznej, umiejętnego uchwycenia zasadniczych sił, kształtujących rozwój gospodarczy, socjalny i ogólnocywilizacyjny. Sorel nie chciał tworzyć żadnych nowych systematów ideologicznych. Sorel bowiem nie wierzył w twórczą wartość zrodzonych w drodze pracy naszego intelektu idej. Koncepcje, które rodziły się w wyniku pewnego abstrakcyjnego rozumowania były — jego zdaniem — prawie zawsze koncepcjami utopijnemi. Stawały się one najczęściej tylko faktami w historji ludzkiej myśli, zaledwie w wyjątkowych wypadkach nabierając znaczenia pewnych twórczych sił dziejowych. Były one podobne do motorów puszczonych w ruch w próżni.

Tem właśnie i odróżniają się — podług Sorela — myty od utopij, że myt jest zawsze związany ogromną ilością bardzo subtelnych więzów, zarówno z podłożem materjalnem, jak i psychicznem środowiska, wówczas gdy utopja, będąc najczęściej tworem oderwanej gabinetowej myśli, jest czemś zawieszonem w próżni. I utopja i myt mogą być czemś absolutnie niezniszczalnym. Ale myt zwykle odpowiada pewnej potrzebie rozwojowej społeczeństwa, jest siłą motoryczną pchającą masy do tworzenia wielkich faktów historycznych. Utopja zaś, będąc tworem nie mających poczucia rzeczywistości życiowej inteligentów, nie ma dla swego rozwoju oparcia w realnem ukształtowaniu stosunków.

Sorel był typowym intelektualistą o bardzo głębokiej i wszechstronnej kulturze umysłowej. Od czasu, gdy on się zaczął zajmować kwestjami społecznemi, był on typowym gabinetowym myśli-

cielem, uciekającym nawet od szumu wielkiego miasta, by w prowincjonalnem ustroniu spokojnie snuć wątek swoich myśli. Sorel, który tak zawzięcie występował przeciwko tego typu gabinetowym teoretykom socjalnym, doskonale rozumiał paradoksalność własnych teoryj powstających w takich warunkach.

To też on niejednokrotnie podkreślał, iż nie ma zamiaru tworzyć jakiejś specjalnie nowej ideologji. Uważał on siebie tylko za interpretatora tego mytu, który spontanicznie zrodził się w środowisku syndykatów robotniczych. Określenie więzów, któremi ten myt był połączony z warunkami gospodarczemi, wytłumaczenie jego szerszego cywilizacyjnego znaczenia, wskazanie na twórcze możliwości, które on z sobą niesie, uważał Sorel za sasadnicze swoje zadanie. Jego zasadniczą ambicją było tylko wierne w miarę możności odtworzenie obrazu płynnej i zmiennej rzeczywistości społecznej. Sorel chciał, by uważano go nie za ideologa jakiegokolwiekbądź kierunku społecznego, ale tylko za spokojnego bezstronnego badacza.

Z tem też łączy się i jego rozumienie materjalizmu dziejowego. Sorel uważał siebie za zwolennika marksowskiej teorji materjalizmu dziejowego. Tylko że tę teorję on pojmował zupełnie inaczej, jak to powszechnie przyjęto. Przeciętnie przez teorję materjalizmu dziejowego rozumie się taki światopogląd, który albo twierdzi, że wszystkie zjawiska życia społecznego, nawet najbardziej uduchowione, są jedynie i wyłącznie zależne od ukształtowania się warunków gospodarczych; albo, jeżeli nawet uznaje współzależność wszystkich zjawisk życia społecznego, — to wpływ czynników gospodarczych uważa za zasadniczy, wpływowi zaś wszystkich innych zjawisk przypisuje znaczenie zaledwie drugorzędne. Pogląd ten wydaje się Sorelowi w najwyższym stopniu mylnym i niezgodnym ze stanowiskiem samego Marksa. Problemat tego, czy na działalność człowieka większy wpływ okazują motywy gospodarcze, czy też pozagospodarcze wydaje się mu problematem zupełnie nierozwiązalnym [1].

Materjalizm dziejowy w rozumieniu Sorela nie jest wcale światopoglądem opartym o jakieś określone stanowisko filozoficzne. Materjalizm dziejowy, w ujęciu sorelistów — to przedewszystkiem pewna metoda badania zjawisk życia społecznego. Me-

[1] Sorel. La ruine du monde antique, str. 298—299.

todę tę można pogodzić z różnemi stanowiskami filozoficznemi. Takie samo ustosunkowanie się do materjalizmu dziejowego przypisuje też Sorel Marksowi. »Materjalizmu w powszechnym znaczeniu tego wyrazu — powiada on — w systemie Marksa nie ma wcale. Przez termin materjalizm Marks rozumie to wszystko, co może być zdefinjowane naukowo, co posiada precyzyjność wiedzy przyrodniczej«[1]. Materjalizm dziejowy jest — podług poglądów Sorela — poprostu naukową metodą badania zjawisk społecznych, metodą, która nam nakazuje posługiwać się tylko danemi doświadczenia oraz temi prawdami, które z tych danych w drodze logicznego rozumowania mogą wyniknąć.

Chodzi tu przedewszystkiem o to, by, przystępując do tych badań, zdusić w sobie wszelkie irracjonalnie przyjęte wierzenia, które istnieją w psychice każdego niemal człowieka, a które bardzo często okazują kolosalny wpływ na sposób ujmowania zjawisk społecznych. W »La ruine du monde antique« Sorel daje szereg przykładów, wykazujących, jak znaczny wpływ na wynik badań szeregu najwybitniejszych historyków chrystjanizmu okazały ich zasady światopoglądowe, w całkiem irracjonalny sposób przyjęte. Chodzi więc o to, by posługiwać się tylko tem, co stanowi przedmiot wiedzy, odrzucając to wszystko, co jest oparte na jakiejkolwiekbądź nie dającej się sprawdzić, wierze. Jest to stanowisko bardzo przypominające poglądy na tę kwestję Labriola, który także powiada, że uznawać materjalizm marksowski — to znaczy przystępować do badania zjawisk społecznych z umysłem wolnym od wszelkich uprzedzeń idealistycznych i od wszelkiej nienaukowej wiary[2].

Ale starać się wyzwolić od wpływu irracjonalnych momentów na naszą pracę naukową — to jeszcze nie znaczy zaprzeczać istnieniu całego szeregu zjawisk psychicznych, których genezy i źródła nasz umysł zupełnie nie jest zdolny uchwycić. Sorel jest bardzo daleki od materjalistycznego monizmu, właściwego większości marksistów. Materjalizm metafizyczny, ten, który całe nasze życie, całą historję, wszystkie dzieła myśli ludzkiej wyprowadza z jednego źródła: z materji stanowiącej jedyną i ostateczną substancję wszechświata, — nic nie ma wspólnego z sorelowskiem

---

[1] Seligman. L'interprétation économique de l'histoire. Préface de Georges Sorel, str. XXXVIII.

[2] Labriola. Karl Marks, str. 31—32.

rozumieniem marksowskiej teorji materjalistycznego pojmowania dziejów.

Jeżeli tylko w nieznacznym stopniu możemy określić źródło siły takich czynników socjalnych, jak religja, jak popęd twórczy, jak skłonność do przyjęcia tego czy innego stanowiska etycznego, lub też nawet tych czy innych poglądów społecznych, jeżeli nie możemy dobrze uchwycić ich podstawy psychologicznej, — to tem niemniej możemy jednak stwierdzić bardzo znaczny wpływ tych, opierających się o całkiem irracjonalne podstawy naszej psychiki, zjawisk na całokształt stosunków społecznych. To też wpadlibyśmy nieuniknienie w abstrakcję, gdybyśmy wpływ tych czynników na kształtowanie się różnych faktów socjalnych zechcieli pominąć.

Ujmując syntetycznie stanowisko Sorela w omawianej kwestji, moglibyśmy powiedzieć, iż życie — podług niego — jest jakby rzeką, której koryto leży na granicy dwóch światów: świata dostępnego poznaniu przez nasz umysł, świata przestrzeni, oraz świata innego, świata potęg irracjonalnych, których nasz umysł przystosowany do ujmowania tylko tego, co nam jest niezbędne w naszej walce o byt, uchwycić i pojąć nie umie. Jedne fale tej rzeki przelewają się na terenie jednego świata, inne — na terenie drugiego. Zastosować przy badaniach życia społecznego metodę materjalizmu dziejowego — to znaczy uwzględnić tylko to, co płynie na terenie świata dostępnego naszemu umysłowi. Jeżeli zaś z owego nieuchwytnego dla władz naszych zmysłów i dla naszego umysłu świata przypływają jakieś prądy — to musimy tylko ten fakt zaregestrować. Nie możemy zaś wchodzić w rozważania tego, co na terenie owego tajemnego świata się dzieje, gdzie jest źródło tych prądów. Bo w takim razie z dziedziny studjów naukowych wkroczylibyśmy w niesprawdzalną dziedzinę wiary.

Materjalizm dziejowy jest przy takiem postawieniu kwestji poprostu stanowiskiem jaknajdalej posuniętego realizmu życiowego; jest dążeniem do jaknajbardziej wiernego odtwarzania stosunków życia i rozwoju społecznego. Stosowanie takiej właśnie realistycznej metody jest jedną z głównych ambicyj Sorela. On bardzo często z pewną pogardą mówi o ideologach burżuazyjnych i socjalistycznych, którzy więcej przy konstruowaniu swoich teoryj opierają się na zrodzonych we własnych głowach myślach, niż na obserwowaniu konkretnych stosunków życiowych.

To swoje stanowisko realistyczne Sorel ciągle podkreślał. Tu tkwi jednak jeden z największych paradoksów jego działalności pisarskiej. Sorel był autorem, który wogóle lubował się w paradoksach; paradoksy w pracach Sorela spotykamy na każdym kroku; ten jednak nie leżał w intencjach autora. Mianowicie, gdy czyta się dzieła Sorela, trudno się oprzeć wrażeniu, że pisał je człowiek, noszący w głębi duszy jakiś, niezbyt może sprecyzowany, ale mimo to w najbardziej ogólnych zarysach określony ideał nowego świata i nowego społeczeństwa, człowiek, który o tym nowym świecie marzył, tęsknił do jego zrealizowania i który wierzył, iż w łonie dzisiejszego społeczeństwa istnieją pewne siły, kształtujące warunki, niezbędne dla wcielenia w życie wymarzonego ideału. Trudno się oprzeć wrażeniu, że ta właśnie wiara w pewien całkiem irracjonalnie przyjęty ideał, stanowiła jakby pryzmat, przez który autor patrzył na otaczającą go rzeczywistość gospodarczą i socjalną.

Nie zamierzam tutaj wdawać się w krytykę całokształtu poglądów tak skomplikowanego i pełnego sprzeczności autora, jakim był Sorel. Trudno jednak nie zauważyć pewnej sprzeczności, która zachodzi pomiędzy ciągłem powtarzaniem autora o konieczności opierania ideologji gospodarczej i socjalnej na konkretnych zjawiskach życiowych, a pewną dowolnością twierdzeń, leżących u podastawy jego własnych poglądów w wymienionym zakresie.

Trzy zasadnicze twierdzenia stanowią fundament ideologji ekonomicznej Sorela, którą usiłuje przedstawić jako ideologję syndykalizmu rewolucyjnego: 1) iż nowoczesne warunki techniczne wymagają od każdego robotnika rozwinięcia maksimum pomysłowości i zdolności twórczych; 2) iż ruch syndykalistyczny wychowuje nowy typ moralny producenta, odpowiadający wymaganiom nowoczesnego postępowego warsztatu; 3) iż zagadnienia organizacji wymiany i podziału dóbr stanowią kwestję bardzo małej wagi wobec przemian w sposobach produkcji. Postaramy się sprawdzić, w jakiej mierze wszystkie te twierdzenia opiera on na konkretnych danych doświadczenia.

Trudno oczywiście wydać stanowczy sąd o tem, w jakiej mierze rozwój nowoczesnego warsztatu idzie w kierunku, wychowującym ów typ robotnika-wynalazcy, o którym mówi Sorel. Zakres zjawisk produkcyjnych jest zakresem niezmiernie szerokim i na potwierdzenie różnych, najbardziej nawet sprzecznych stano-

wisk, dałoby się tam znaleźć przykłady. Ale, wydaje mi się, że postawienie ogólnikowego twierdzenia, iż nowoczesne warunki produkcji wymagają od robotnika stałego wysiłku twórczego, stałego dążenia do coraz to nowych udoskonaleń technicznych, jest jednak bardzo ryzykownem postawieniem kwestji.

Rzecz charakterystyczna, że u Sorela nie znajdujemy prawie wcale konkretnych faktów, na których to swoje twierdzenie opiera. W »Les Illusions du progrès« Sorel mówi o postępowym charakterze nowoczesnej techniki produkcyjnej; wskazuje na zasadnicze tendencje rozwojowe w dziedzinie konstrukcji maszyn, na stałe dążenia do uniknięcia nieużytecznego rozpylania się energji, do zmniejszenia tarcia, do utrzymania możliwie równomiernego i szybkiego ruchu maszyny, na ważne dla produkcji masowej dążenie do nadania produktom możliwie prawidłowej geometrycznej formy.

Są to wszystko rzeczy słuszne, ale z faktu ich istnienia jeszcze nie wynika konieczność wyrabiania się u robotnika pewnej psychiki twórczej. Wynika z nich conajwyżej konieczność dla robotnika pewnego poziomu inteligencji, któraby mu pozwoliła na szybkie dostosowywanie się do tych coraz to nowych udoskonaleń. Ale dlatego nie jest wcale potrzebny bezpośredni udział robotnika w pracy wynalazcy. Możliwem jest, naprzykład, na dużych fabrykach zorganizowanie pracowni doświadczalnych, stanowiących całkiem odrębny organizm, pozostający tylko w luźnym związku z funkcjonowaniem całości przedsiębiorstwa. O takiej, naprzykład, pracowni doświadczalnej opowiada nam p. Witold Krzyżanowski w swoim opisie zakładów Forda[1].

Natomiast w nowoczesnym postępowym warsztacie spotykamy się bardzo często z objawem, który wydaje się nawet w pewnej mierze zaprzeczeniem tezy sorelowskiej. Jest nim tayloryzm. Tayloryzm, jako system, polegający na drobnostkowej analizie każdej czynności produkcyjnej i nieraz bardzo drobnostkowym podziale pracy, w znacznej ilości wypadków prowadzi właśnie do tego zmechanizowania robotnika, które Sorelowi wydawało się jedną z najbardziej ujemnych cech dawnej manufaktury. Tymczasem tayloryzm nie jest wcale metodą zanikającą, ale przeciwnie,

---

[1] Przegląd Współczesny, luty—marzec 1926 r.

rozszerza się on coraz bardziej, i to nietylko w Ameryce, ale i w Europie.

To też trudno uznać twierdzenie Sorela o narzucaniu przez nowoczesną fabrykę robotnikowi dążenia do coraz to nowych wynalazków i udoskonaleń, jako o jednej z najbardziej charakterystycznych cech nowoczesnego postępu gospodarczego, tembardziej, że w dziełach swoich wcale nie wyjaśnia na jakiej podstawie sobie to przekonanie wyrobił. Odnosi się mimowoli wrażenie, iż teza sorelowska w tym zakresie jest nietyle oddźwiękiem pewnej konkretnej rzeczywistości gospodarczej, ile raczej wyrazem pewnego ideału, który autor w duszy swojej nosił i do którego chciałby tę rzeczywistość podciągnąć.

Tak samo z pewnem naciąganiem rzeczywistości spotykamy się w twierdzeniach Sorela, iż w środowisku syndykatów robotniczych wychowuje się nowy, odpowiadający ideałom »nowej szkoły«, moralny typ producenta. Bezsprzecznie ruch syndykalistyczny okazał bardzo znaczny wpływ na rozwój wśród mas robotniczych pewnej psychiki produkcyjnej, może też nawet w znacznej mierze założył fundamenty pod rozwój ideologji kultu pracy. Ale już jeżeli chodzi o ową twardą moralność producentów — to trudno powiedzieć, aby w środowisku robotniczem była ona bardziej bezwzględna, niż wśród innych warstw. Raczej odwrotnie, jeżeli chodzi, naprzykład, o moralność rodzinną — to wśród robotników francuskich jest ona znacznie niższa, niż wśród inteligencji, lub drobnej burżuazji. Heroizm rewolucyjny także nie okazał się tak silnym, jak to początkowo wydawało się Sorelowi. Dowodem tego jest zwycięstwo na początku wojny w łonie Confédération Générale du Travail kierunku reformistycznego, pod wpływem którego większość francuskich robotników pozostaje do dnia dzisiejszego. Sorel sam zrozumiał, iż rozwój syndykalizmu poszedł po innej drodze, niż ta, o której marzyła »nowa szkoła«; dlatego też około roku 1912 zerwał on stosunki z syndykalizmem, szukając w łonie współczesnego mu społeczeństwa innych sił, zdolnych wyłonić wymarzoną przezeń nową cywilizację pracy.

Co prawda Sorel nigdy nie twierdził, iż wywalczenie przez syndykaty robotnicze nowego ustroju wolnych producentów jest nieuniknioną koniecznością rozwojową. Sorel daleki był od właściwego marksistom mechanistycznego ujmowania zjawisk dynamiki gospodarczej i nie wierzył w możność przewidzenia przy-

szłości na podstawie choćby najbardziej dokładnej, choćby nadludzkiej znajomości elementów teraźniejszości. Ustrój kolektywistyczny jest dla niego jedną z możliwości, do których może doprowadzić dalszy rozwój sił, tkwiących w łonie dzisiejszego społeczeństwa. Ale w ocenie tych sił Sorel nieraz wpada w przesadę, nadaje im właściwości odpowiadające raczej pewnym jego koncepcjom ideologicznym, niż realnemu ukształtowaniu się stosunków. W budowaniu teoretycznych uzasadnień dla ideologji syndykalizmu rewolucyjnego Sorel mijał się z jedną z najbardziej podstawowych zasad, głoszonych przez siebie: z zasadą stałego opierania się na faktach konkretnej rzeczywistości.

Tak samo jeżeli chodzi o przekonanie Sorela o małej wadze zagadnień organizacji wymiany i podziału dóbr w porównaniu z zagadnieniami produkcji, to wcale tego stanowiska nie uzasadnia, przyjmując go poprostu jako pewnik. Wydaje mu się, iż dla przejścia do ustroju kolektywistycznego rzeczą zasadniczą jest ukształtowanie się warunków, sprzyjających intensywnei akcji wytwórczej wewnątrz fabryki. Lekceważy on natomiast to, co w warunkach ustroju towarowo-indywidualistycznego przyzwyczailiśmy się określać mianem strony handlowej przedsiębiorstwa.

Sorelowi wydaje się, iż wystarczy w robotnikach rozwinąć kult pracy, popęd twórczy, zamiłowanie do swego zawodu, wykształcić wśród nich pewien bezwzględny i wymagający ofiar ideał moralny — a reszta sama się ułoży. Krytykom socjalizmu, którzy wskazywali na trudności, związane z administrowaniem gospodarki społecznej oraz zorganizowaniem aparatu wymiany w społeczeństwie kolektywistycznem, Sorel odpowiada, iż ustrój indywidualistyczny polegał także na zupełnie nieuregulowanej akcji jednostek, a jednak pchnął ogromnie naprzód rozwój zdolności produkcyjnych ludzkości. Każdy, ktoby przed nastaniem tego ustroju zechciał ocenić jego możliwości, logicznie rozumując, musiałby dojść do przekonania, iż na samym początku kapitalizm będzie musiał doprowadzić do jakiejś strasznej katastrofy; a jednak ustrój indywidualistyczny przetrwał wiele dziesiątków lat. Tak samo i kolektywizm antyetatystyczny będzie mógł prawdopodobnie doprowadzić do pewnej harmonji w dziedzinie gospodarki społecznej, tylko, że umysł nasz, przyzwyczajony do rozumowania wyłącznie w kategorjach przeszłości, nie może sobie wyobrazić kombinacji socjologicznej, która jeszcze nie istniała.

Pod tym względem był Sorel wiernym wyrazicielem tych nastrojów, które panowały przed wojną w syndykalizmie rewolucyjnym. Nastroje te nie były jednak w dostatecznej mierze oparte na zjawiskach konkretnej rzeczywistości gospodarczej. Tymczasem przykłady rewolucji włoskiej w roku 1920, kiedy robotnicy w szeregu miejscowości przez miesiąc trzymali w swoim posiadaniu fabryki, oraz rewolucji rosyjskiej, pokazały, jak mało robotnicy są przygotowani do pełnienia funkcyj analogicznych do tych, które w ustroju kapitalistycznym określa się mianem strony handlowej przedsiębiorstwa. W łonie Confédération Générale du Travail powstał problemat wychowania w klasie robotniczej odpowiednich zdolności. Prace Gospodarczej Rady Pracy (Conseil Économique du Travail), zorganizowanej w 1920 r. przy CGT w celu opracowania projektów socjalizacji niektórych gałęzi wytwórczości, w znacznej mierze to właśnie zadanie miały na względzie. Ten także cel przyświecał szeregowi syndykatów, gdy po wojnie wysunęły żądanie dopuszczenia robotników do udziału w zarządzie przedsiębiorstw. Lekceważenie zagadnień organizacji wymiany i podziału dóbr było bezsprzecznie poważną wadą zarówno dawnego syndykalizmu rewolucyjnego, jak i zrodzonego na jego tle sorelowskiego systematu teoretycznego.

Jednak, pomimo wszystkich paradoksów, wszystkich sprzeczności oraz wszystkich naciągnięć rzeczywistości, Sorela należy uważać za jednego z największych myślicieli socjalistycznych. Był on przedewszystkiem wybitnym teoretykiem w zakresie badania sił, pchających człowieka do działalności produkcyjnej. Jego wielką zasługą jest, iż z ogromną siłą, większą, niż u kogokolwiek przed nim wykazał, że przejście do ustroju kolektywistycznego — to nietylko zagadnienie przemiany technicznej, prawnej i organizacyjnej, ale także, a może nawet przedewszystkiem, przemiany psychologicznej. Człowiek jest zasadniczym materjałem, z którego się tworzy każdy ustrój społeczny. Każdy też ustrój społeczny wymaga odpowiedniego typu psychicznego człowieka. Sorel w swoich pracach dążył do wykazania tych cech, które są niezbędne dla obywatela ewentualnego społeczeństwa »wolnych producentów« dla tego, aby to społeczeństwo stało się zdolne do nowej i wielkiej twórczości cywilizacyjnej.

Wśród socjalistów współczesnych jest bardzo mało zrozumienia konieczności ukształtowania odpowiedniego podłoża psychicznego

do tego, by głoszona przez nich rewolucja stała się nietylko siłą burzącą stary świat, ale także siłą, budującą nowe, zdrowe i twórcze społeczeństwo. Wśród socjalistów współczesnych pokutuje bardzo wiele elementów mechanistycznego ujmowania zjawisk gospodarczych, właściwego tak zwanym ortodoksalnym marksistom. Trzeba przypuszczać, że rozpowszechnienie poglądów Sorela przyczyni się w bardzo dużej mierze do zrozumienia w obozie socjalistycznym tej prawdy, iż przekształcenie społeczeństwa jest ściśle związane z odpowiedniem przekształceniem jednostki.

Bibljografja.

Prace Sorela. Contribution à l'étude profane de la Bible, 1889; L'avenir socialiste des syndicats, 1898; Le procès de Socrate, 1889; La ruine du monde antique, 1901; Essais sur l'Eglise et l'Etat, 1902; Introduction à l'économie moderne, 1903, 2-gie wydanie — 1922; Le système historique de Renan, 1906; Réflexions sur la violence, 1908, 2-gie wydanie — 1910, 3-cie wydanie — 1912, 4-te wydanie — 1920; Les Illusions du progrès, 1-sze wydanie — 1908, 2-gie wydanie — 1911; 3-cie wydanie — 1922; La décomposition du marxisme, 1908; La révolution dreyfusienne, 1909; Matériaux pour une théorie du proletariat, 1919; L'utilité du pragmatisme, 1921. Wszystkie wymienione prace zostały wydane w Paryżu. Od roku 1906 aż do śmierci Sorela stałym wydawcą jego prac była księgarnia Marcel Rivière w Paryżu.

Dla zrozumienia światopoglądu Sorela bardzo wiele materjału dają obszerne przedmowy, które on pisał dla szeregu dzieł innych autorów. Są to przedmowy do: Labriola, Essais sur la conception matérialiste de l'histoire, 1897, Merlino, Formes et essences du socialisme, 1897; Colajanni, Le socialisme, 1900; Pelloutier, Histoire des bourses du travail, 1902; Gatti, Le socialisme et l'agriculture, 1902; Labriola, Karl Marx, 1910: Griffuelhes, Les objectifs de nos luttes des classes, 1910; Seligman, L'interprétation économique de l'histoire, 1911; Berth, Les méfaits des intellectuels, 1914. Wszystkie wymienione książki zostały wydane w Paryżu.

Oprócz tego wiele artykułów Sorela można znaleźć w zeszytach Le Mouvement Socialiste (od roku 1899 do roku 1915 wyszło 25 tomów) oraz Revue de Métaphysique et de Morale. Pozatem zamieszczał Sorel także artykuły w Revue Politique et Parlamentaire, Revue Internationale de Sociologie, Revue socialiste, Journal des Économistes. W ostatnich latach swego życia zamieścił on także kilka artykułów w Revue Communiste.

Prace sorelistów oraz prace o sorelizmie. Książki: Berth, Dialogues socialistes; Berth, Les nouveaux aspects du socialisme; Berth, Les méfaits des intellectuels, 1914; Berth, Les derniers aspects du socialisme, 1923; Berth, Guerre des Etats ou guerre des classes, 1924; Guy-Grand (Georges), La philosophie syndycaliste, 1911;

Johannet (René), Itinéraires des intellectuels, 1921; Pirou, Proudhonisme et syndicalisme révolutionnaire, 1910; Serbos, Une philosophie de la production: Le neomarxisme syndicaliste, 1913; Valois (Georges), L'homme qui vient, 1906; Valois, d'un siècle à l'autre, 1921; Wiktor Czernow, Konstruktiwnyj socializm, Praga, 1925. Wszystkie wymienione francuskie prace wydano w Paryżu.

Artykuły: Najwięcej artykułów w obchodzącej nas kwestji można znaleźć w zeszytach »*Le Mouvement Socialiste*«; sporo materjałów jest także w wydawanych przez jakiś czas we Francji zbiorkach pod tytułem *Cahiers du Cercle Proudhon* (szczególnie zbiorek z marca—kwietnia 1912 r.); pozatem zasługują na uwagę artykuły: Bouté (Paul) Les sympathies catholiques de Georges Sorel (*Revue des Jeunes* 10. II. 1920); Guy-Grand, Georges Sorel et les problèmes contemporains (*Grande Revue*, décembre 1922); Maletsky, Georges Sorel (*L'Internationale Communiste*, mars 1923); Du Passage — Edouard Berth, Georges Sorel et les anti-démocrates de gauche (*Étude*, janvier—mars 1913); Pirou, A propos du syndycalisme révolutionnaire (*Revue Politique et Parlementaire*, octobre 1911); Salomé, Le lyrisme de Georges Sorel (*Revue de Jeunes*, février 1923); Pirou, Georges Sorel (*Revue d'Histoire Économique et Sociale*, N. 1, 1924.

Prace o syndykalizmie francuskim: Krytsky, L'évolution actuelle du socialisme en France, 1912; André May, Les origines du syndycalisme révolutionnaire, 1913; Lagardelle, Le socialisme ouvrier; Carcanagues, Sur le mouvement syndycaliste réformiste, 1912; Pelloutier, Histoire des bourses du travail Paris 1902; Paul Delesalle, Les Bourses du Travail et la C. G. T., Paris; Guesde, Lagardelle, Saillant, Le Parti socialiste et la Confédération du Travail, Paris 1908; Challaye, Syndicalisme réformiste, 1908; Paul Louis, Le syndicalisme Contre l'Etat; Paul Louis, Le syndicalisme français d'Amiens à Saint-Étienne, Paris 1924; M. Vosgueritschian, L'ideede socialisation dans le syndycalisme français d'aujourd'hui, 1922; Georges Moreau, Le syndicalisme, le mouvement politique et l'évolution économique, Paris 1925; Cazalis, Syndicalisme ouvrier et évolution sociale, Paris 1925; Le Roy (Maxime), Les techniques nouvelles du syndicalisme. Pozatem wiele materjałów dla charakterystyki syndykalizmu francuskiego możemy znaleźć w rocznikach następujących socjalistycznych i syndykalistycznych czasopism: *Voix du Peuple, La Revue Syndicaliste, La Bataille Syndicaliste*, *La Vie Ouvrière*, *La Voix Burrière, L'Humanite* (obecnie oficjalny organ partji komunistycznej oraz Confédération Générale du Travail Unitaire), *Le Peuple* (oficjalny organ Conf. Gén. du Travail), *L'Atelier*, *Le Mouvement Socialiste*, a przedewszystkiem w tygodniku *L'Information Sociale*.

Prace w zakresie innych zagadnień, poruszonych w powyższej rozprawie. Proudhonizm: P.-J. Proudhon, Système des contradictions économiques, Paris 1923; P.-J. Proudhon, Idée générale de la Révolution au XIX siècle, Paryż 1923; P.-J. Proudhon, De la capacité politique des classes ouvrières, Paris 1924; Bouglé, La sociologie de Proudhon, Paris 1911; Proudhon et notre temps (praca zbiorowa), Paris 1920; Cahiers du Cercle Proudhon.

Marksizm: Marx, Kapitał, tom I, Lipsk 1884; Nowodworski, Istoriczeskij matierjalizm (*Izwiestija Istoriko-filologiczeskago Instituta kn. Bezborodko w Nieżynie*, tom XXIX); Witold Nowodworski, Istota

i zadanie dziejów powszechnych; Cathrein, Socjalizm, Warszawa 1908; Mering, Istorija germanskoj social-demokracji, 2 tomy; Bernsztejn, Istoriczeskij matierjalizm; Bernsztejn, Wozmożen li naucznyj socializm?, Odesa, 1906; Bernsztejn, Spornyje woprosy socializma, Berlin; Kaucki, Erfurtskaja programma, Moskwa, 1905; Kaucki, Otwiet Bernsztejnu (antikritika), Odesa 1905; Labriola, Karl Marx, Paris 1910; Seligman, L'interprétation économique de l'histoire, Paris 1911; Nowgorodcew, Ob obszczestwiennom idieale, Praga 1922; Charles Rappoport, La Philosophie de l'Histoire, commescience de l'évolution, Paris 1925.

Metoda szkoły klasycznej: Dawid Ricardo, Zasady ekonomji politycznej i podatkowania, Warszawa, 1919; John Stuart Mill, Zasady ekonomji politycznej, Petersburg 1860; E. Taylor, Statyka i dynamika w teorji ekonomji, Kraków, 1919; Wł. Zawadzki, Wartość i cena (wypisy), przedmowa, Warszawa 1919; Schumpeter, Epochen der Dogmen- und Methodengeschichte (Grundriss der Socialökonomik, I Abteilung, I Teil).

Bergsonizm: Bergson, Ewolucja twórcza, Warszawa 1913; Bergson, O bezpośrednich danych świadomości, Warszawa 1913. Stosunek bergsonizmu do sorelizmu obszerniej omawiają: Serbos, Une philosophie de la production, Paris 1913; Guy-Grand, Philosophie syndicaliste, Paris 1911; Bouglé, Syndicalistes et bergsoniens (*Revue du mois*, 1909); Esquerre, Le Néosyndicalisme et le mythe de la grève générale, Bordeaux 1913.

Wiele materjału dla zrozumienia filozoficznego stanowiska Sorela mogą dać także dzieła Stanisława Brzozowskiego.

W kwestjach psychicznego podłoża produkcji oraz związku jego z podłożem technicznem powstała w ostatnich dziesiątkach lat bardzo znaczna literatura niemiecka. Obszerną jej bibljografję podają: Gottl — Ottlilienfeld, Wirtschaft und Technik (Grundriss der Sozialökonomik, II Abteilung); Herkner, Arbeit und Arbeitsteilung (Grundriss der Sozialökonomik, Abt. II); Weyermann, Die ökonomische Eigenart der modernen gewerblichen Technik (Grundriss der Sozialökonomik, VI Abteilung). Sorel jednak w swoich pracach tej literatury prawie wcale nie uwzględniał.

W języku polskim zagadnienia psychicznego podłoża produkcji obszernie rozważa prof. Wł. Zawadzki w »Teorji produkcji« (Warszawa, Gebethner i Wolff, 1923).

Dr. Władysław Wolter
docent i zast. profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Zbieg przestępstw (ustaw)
w projekcie kodeksu karnego polskiego i niemieckiego.

Przed nami leżą dwa projekty ustaw karnych: »Projekt przygotowawczy części I. kodeksu karnego polskiego uchwalony przez sekcję prawa karnego Komisji Kodyfikacyjnej Rzeczypospolitej Polskiej« i »Urzędowy projekt kodeksu karnego niemieckiego z 1925 r.«. W jakiej mierze projekty te staną się ustawami, przewidzieć trudno. W każdym razie stwierdzić należy, że projekt niemiecki wywołał pod wieloma względami bardzo ostrą krytykę [1], z którą nie spotkał się projekt kodeksu karnego polskiego ze strony osób stojących poza Komisją [2]. I rzeczywiście w wielu zasadniczych kwestjach stanowisko projektu kodeksu karnego polskiego wydaje się trafniejsze. Ta niższość projektu niemieckiego uderza tembardziej, jeśli się uwzględni, że projekt urzędowy jest czwartym z rzędu (1-szy z 1909 r., 2-gi z 1913 r. 3 z 1919 r.). Zarzuca się mu, że w niejednem zagadnieniu jest on w stosunku do poprzednich projektów raczej krokiem wstecz i że nie zdobył się na jasne określenie podstawowych pojęć prawno-karnych, które przez szczegółowe badania naukowe należycie oświetlone zostały. Nie brak naturalnie w projekcie niemieckim i stron dodatnich. W tym charakterze wysunięto między innemi unormowanie zbiegu przestępstw. Ponieważ pod tym względem projekt polski idzie po zgoła odmien-

---

[1] Ostatnio: v. Hippel. Zeitschrift f. d. g. Strafrechtsw. 47. B. 1. H.

[2] Różnica poglądów spowodowała prof. W. Makowskiego, wiceprezesa sekcji prawa karnego Kom. Kod., do złożenia projektu odrębnego ogłoszonego w Nr 21. Gazety Adm. i Pol. Państw z 1924 r.

nej linji, a odnośnie do projektu niemieckiego jeden z niemieckich autorów domaga się jeszcze radykalniejszej reformy, przeto nie od rzeczy będzie, poświęcić tej sprawie kilka uwag.

Projekt polski w rozdziale VI, zatytułowanym »Zbieg przestępstw i przepisów ustawy«, odróżnia zbieg realny (art. 32. § 1. W razie jednoczesnego skazania za kilka przestępstw i t. d.), w którym to wypadku przewidziana jest kara łączna, i zbieg przepisów ustawy karnej (ar.. 37. Jeżeli czyn, zagrożony karą, podpada pod kilka przepisów ustawy karnej i t. d.), przy którym stosować należy zasadę absorpcji. Projekt polski idzie więc po linji ustawy niemieckiej z 1871 r. i dawniejszych projektów.

Natomiast § 63 projektu niemieckiego, umieszczony pod nagłówkiem »Zbieg kilku przekroczeń ustawy« brzmi następująco:

»Jeżeli tensam czyn podpada pod kilka przepisów ustawy karnej albo jeżeli popełniono kilka samodzielnych czynów, które równocześnie osądzone zostają, należy orzec tylko jedną karę«.

§ 64 określa karę łączną.

Różnica jest widoczna. I projekt niemiecki odróżnia zbieg idealny (ustaw) od zbiegu realnego, ale przy wymiarze kary stawia obie formy na równi. Ocena więc obu tych zjawisk jest identyczna

Chodzi teraz o to, które ujęcie jest teoretycznie i praktycznie trafniejsze, a w szczególności, czy w projekcie polskim odnośna redakcja winna ulec zmianie po myśli ujęcia w projekcie niemieckim, czy też winna pozostać taką, jaką jest obecnie, czy też należałoby ją zmienić, ale nie zupełnie w tym kierunku, w jakim poszedł projekt niemiecki. Odpowiedzi na te pytania wymagają pewnego teoretycznego rozważania, które będziemy starali się przeprowadzić. Uważamy przy tem, że w obecnej dobie, kiedy filozofja prawa odsłania przed dogmatykiem nowe jasne horyzonty, nieodzowne jest, wybrać z pośród licznych kierunków filozoficznych jeden, aby w ten sposób uzyskać jednolitość metody i w konsekwencji czystość rezultatów. Niewątpliwie wybór jest dzisiaj jeszcze trudny, gdyż filozofowie prawa zwalczają się bardzo silnie, a temsamem i praca dogmatyka wystawiona jest na ataki z dziedziny teorji prawa; jednakowoż innego wyjścia niema. Lepiej mieć kilku nieprzyjaciół, niż być zwalczanym przez wszystkich teoretyków prawa, a tej przykrej konsekwencji uniknąć nie można, jeśli się nie idzie po myśli jednej koncepcji teoretycznej. Dlatego

też już tu na wstępie zauważyć należy, że wywody nasze opierać się będą na zasadniczych założeniach metody aksjologicznej w prawie, która n. zd. przy obecnym stanie wiedzy daje wyniki jaknajlepsze i która już od dłuższego czasu nurtowała w zagadnieniach prawno-karnych, jak tego dowodzi moment wartości przy charakteryzacji t. zw. dóbr prawnych, przy określeniu bezprawności (»Unwerturteil«) przy teologicznem ujęciu prawa[1] i t. d.

Przystępując do rzeczy samej już z góry stwierdzić można, że rezultat rozważań zależny jest od kąta widzenia, pod jakim patrzy się na prawo[2]. Dzięki badaniom filozofów prawa odróżnić możemy dwie kategorje uczonych. Jedni to naturaliści, dla których przestępstwo jest czynem, skutek efektem związanym z czynem łańcuchem przyczynowości, zaniechanie zerem, wina związkiem psychicznym między sprawcą a skutkiem[3] i t. d. Drudzy to nie-naturaliści, którzy do prawa stosują inną metodę, niż do zjawisk przyrodniczych; czy ta metoda polega na fikcji, to jest kwestja, która nas chwilowo nie interesuje. Dla tej drugiej grupy przestępstwo jest bezprawiem, a więc oceną pewnego czynnego lub biernego zachowania się, które może być prawną jednością lub wielością, przyczem obojętne jest, czy jest naturalną jednością lub wielością; to zachowanie się jako dążność (tendencja) związane jest ze skutkiem, który nie musi być czemś realnem, konstrukcją teleologiczno normatywną t. zw. adekwatnością, przyczem całe badanie nastawione jest »ex ante«, a nie jak przy rozpatrywaniu naturalistycznem »ex post«. Poruszyliśmy już powyżej pierwszy punkt, który nas tu interesuje, a który równocześnie przesądza kwestję zbiegu idealnego. Zbieg realny bowiem nie nasuwa w teorji żadnych wątpliwości.

Jeśli przestępstwo jest czynem, to jeden czyn może być tylko jednem przestępstwem. Przeprowadzenie tego kryterjum nasuwa jednak poważne trudności, a to z tego powodu, że rzeczywiście trudno określić, kiedy coś jest jednym czynem a kiedy nie, gdyż zawsze mamy do czynienia z całemi kompleksami ruchów. Konieczne więc jest jakieś kryterjum, za pomocą którego dałoby się

---

[1] Słusznie zwraca na to uwagę Honig: Studien zur juristischen und natürlichen Handlungseinheit. Mannheim 1925, str. 5.

[2] Identycznie Honig l. c. str. 5.

[3] Że wina a związek psychiczny to dwie różne kwestje patrz: Wolter. Czynnik psychiczny w istocie przestępstwa. Kraków 1924.

stwierdzić, kiedy pewien kompleks ruchów jest jednym czynem, a kiedy jest wielością czynów. Takie kryterjum musiałoby być czemś naturalnem, wtedy zachodzi wątpliwość, czy nadaje się ono do rozważań prawnych albo musi być prawne, wtedy jednak nastąpiło już przesunięcie w sferę innej metody.

Najwybitniejszym reprezentantem tego naturalistycznego kierunku jest Liszt. Jego zdaniem o jedności czynu decydują następujące czynniki:[1]

1) Jedno działanie woli i jeden skutek;
2) » » » i kilka skutków;
3) Wielość działań woli i jeden skutek;
4) Jeden skutek przy przestępstwach trwałych.

Dla krytyki tego twierdzenia wystarczy badanie, czy rzeczywiście ta jedność jest »naturalna«, t. zn. leży w tejsamej płaszczyźnie, w jakiej znajduje się pojęcie rodzajowe czynu. Różnica między p. 1) a p. 2) leży w ilości skutków. Zdaje się nam jednak, że »jeden skutek« w wypadku pierwszym jest już wynikiem rozumowania prawniczego, gdyż naturalnych skutków jest znacznie więcej. Trafnie charakteryzuje ten moment Kohlrausch:[2] »Również jeśli pytamy o skutek jakiegoś czynu, stoimy wobec zadania, z niedającej się objąć zwrokiem ilości zjawisk, konsekwencyj, wykroić część. I tu chodzi o pytania wstępne: dlaczego pytamy o skutek? Z jakiego stanowiska należy ten wykrój przedsięwziąć? Bez zajęcia stanowiska odnośnie do tych pytań wstępnych, stwierdzenie skutku czynności prowadzi do dowolności. Co jest skutkiem działania woli, za pomocą którego zgina się palec wskazujący oparty o kurek strzelby? Czy jest nim zapalenie się prochu czy ruch powietrza? Czy jest nim zmiana fizjologiczna, która odbywa się w trafionym człowieku lub zniszczenie podmiotu praw? i t. d.«. Jeżeli więc Liszt twierdzi, że ad 1) zaliczyć należy wypadki, jak jeden strzał i śmierć człowieka, zaś ad 2) wypadki jak jeden strzał i śmierć większej ilości osób, to zd. n. ta dystynkcja opiera się już na prawniczem rozumowaniu, gdyż obserwuje się jedynie zjawiska socjalnie szkodliwe pod kątem widzenia prawa, a w takim razie pytanie brzmieć winnno nie, czy mamy tu do czynienia z »naturalną« jednością działania lecz, czy »prawnie« istnieje tu

---

[1] Lehrbuch. 1908, str. 233.
[2] Irrtum und Schuldbegriff im Strafrecht. Berlin 1903, str. 91.

jedność czy wielość czynów (dążności), gdyż punkt widzenia prawa jedynie decydować może o zagadnieniach »prawnych« (nie zaś naturalnych). Że więc w drugim wypadku mamy jeden »naturalny« czyn, to nie może przesądzić sprawy, czy w tym jednym czynie nie mieści się kilka »dążności« interesujących prawo[1].

W wypadkach ad 3) i 4) Liszt już całkiem otwarcie uwypukla punkt widzenia prawa. Czyż można bowiem nazwać zagadnieniem naturalnem rozważanie, że, o ile chodzi o dobra ściśle osobiste, o jedności czy wielości skutków decyduje ilość zaatakowanych osób, zaś, o ile chodzi o dobra dające się oddzielić od osoby uprawnionej, jedność skutku może istnieć mimo większej liczby osób poszkodowanych (kradzież okryć z garderoby)? Również trudno dostrzec, jaka nić wspólna ma łączyć przestępstwa trwałe (ograniczenie wolności, swobody ruchów) z zagadnieniami »natury«. Liszt zwraca jeszcze uwagę na to, że niekiedy sama ustawa wskazuje na tę jedność działania, ze względu na jednolitość (Einheitlichkeit) skutku, i twierdzi (contra Buriemu) że tę jedność nie tworzy ustawa. Niewątpliwie jednak, ta jedność właśnie powstała pod kątem widzenia prawa.

Znamienne jest jednak następujące oświadczenie Liszta:[2] »Naturalnie rozpatrywanie pojęcie działania następuje z punktu widzenia kryminalisty. Musi ono wpierw abstrahować od prawnej oceny działania, musi jednak równocześnie do niej prowadzić«. Kto przeczytał znakomite dzieło Sauera[3], ten zdumiony jest znajdując tego rodzaju twierdzenie u Liszta. Wszak tosamo mówi Sauer, ten przeciwnik naturalistycznego patrzenia na prawo. »Przedmiot (oceny) musi odpowiadać jurydycznej ujemnej ocenie«[4], czyli od samego początku nie powinno się badać naturalnego czynu ale dążności. To twierdzenie Liszta podkopuje całą jego metodę naturalistyczną. Czyn, który następnie ma ulec ocenie, nie może być czynem w naturalistycznem pojęciu, a temsamem i jego jedność czy wielość zależeć musi od założeń prawnych.

W bliskiem pokrewieństwie z teorją Liszta pozostaje kon-

---

[1] Ortmann (Zur Lehre von der Idealkonkurrenz. Goltd. Arch. 1887, str. 31) zaznacza, że każde poszczególne przestępstwo nie wymaga odrębnego naturalnego czynu.

[2] l. c. str. 120.

[3] Grundlagen des Straftrechts, Berlin — Leipzig 1921.

[4] l. c. str. 244.

strukcja Makarewicza, którego zapatrywania są dla nas w szczególności dlatego ważne, że jego indywidualność niewątpliwie zadecydowała o redakcji odnośnych ustępów w projekcie polskim [1]. Jego zdaniem, jednem działaniem dopuścić się można w zasadzie jednego tylko przestępstwa [2]. Jedno działanie polega na rozwinięciu w świecie zewnętrznym jednego kompleksu ruchów. Jednakowoż Makarewicz zdaje sobie dobrze sprawę z trudności wynikających z takiego twierdzenia. Dlatego też znajdujemy u niego dwa znamienne oświadczenia.

1) Wszelkie konstrukcje rozbić się jednak muszą w praktyce życia o przepisy ustawy;

2) Jedno działanie zachodzi zatem wtedy, kiedy sprawca realizuje jeden stan przestępny przez ustawę przewidziany.

Mamy pewne wątpliwości, w jakim stosunku pozostaje twierdzenie pierwsze (jeden czyn w zasadzie jedno przestępstwo) do twierdzenia drugiego (jeden czyn tam, gdzie jeden stan przestępny). Między niemi istnieje bowiem n. zd. sprzecznośc. Pierwsze twierdzenie rzeczywiście wyklucza konstrukcję zbiegu idealnego. Drugie natomiast nie, bo jeśli o jedności czynu decyduje stan przestępny, to znaczy punkt widzenia prawa, wtedy i odwrócenie tego zdania jest logicznie dopuszczalne; a więc tam, gdzie kilka stanów przestępnych, musi być kilka czynów w zrozumieniu prawa, a niczego więcej do uzasadnienia zbiegu idealnego nie potrzeba. Jeśli natomiast odwrócimy pierwsze twierdzenie, to dochodzimy do następującego wniosku: jeśli jednemu przestępstwu odpowiada jeden czyn, to kilku przestępstwom odpowiadać musi kilka czynów, a ponieważ przy zbiegu idealnym istnieje tylko jeden kompleks ruchów, więc zbieg idealny nie może być zbiegiem przestępstw. Jeżeli Makarewicz dalej twierdzi, że ustawa nie może z jednego czynu zrobić dwu, to zdanie to jest jedynie wtedy słuszne, gdy uzupełnimy je małym ważnym dodatkiem; ustawa nie może z jednego czynu naturalnego zrobić dwa czyny »naturalne«. Cała kontrowersja między Lisztem a Bindingiem na temat zbiegu idealnego chroma właśnie z tego powodu, że Liszt nie doceniał odmiennego punktu widzenia, z jakiego wychodził Binding. Nie chodzi nam

---

[1] Uchwała sekcji karnej Kom. Kod.: Takzwanego jednoczynowego zbiegu nie uznaje się za zbieg przestępstw (III 103).

[2] Prawo karne. Lwów—Warszawa 1924, str. 187.

o to, czy Binding w każdym punkcie miał rację; jedno jest jednak pewne, Binding nie chciał nigdy twierdzić, że przy zbiegu cudzołóstwa i kazirodztwa mamy do czynienia z dwoma aktami »spółkowania« w znaczeniu naturalnem. Dlatego też odpowiedź Liszta: »ja mogę przy najlepszych chęciach widzieć jedynie jeden akt spółkowania« [1] trafia w całem tego słowa znaczeniu w próżnię.

Zaznaczyliśmy już, że drugie twierdzenie otwiera drogę do konstrukcji zbiegu idealnego. Pierwsze twierdzenie nie wydaje się być słusznem, a to z następujących powodów:

1) Przestępstwo wogóle nie potrzebuje być czynem naturalnym, jak tego dowodzi najlepiej kwestja przestępstw z zaniechania. Zaniechanie pojęte naturalistycznie jest zerem. W bliższe szczegóły w tem miejscu wchodzić nie możemy [2].

2) Zaznaczyliśmy już, że do prawa stosujemy metodę aksjologiczno-normatywną. Bezprawność (objektywna i subjektywna) to ocena, która polega na porównaniu czegoś niższego z czemś wyższem. To porównanie jest jednak tylko wtedy możliwe, jeżeli istnieje pewne pokrewieństwo co do samej istoty [3]. To co podlega ocenie musi być samo w sobie »wertbezogen«, nie może więc być czemś naturalnem, lecz musi się opierać na ujęciu teleologicznem. Dlatego też obojętne jest dla prawa, czy coś jest jednością czy wielością czynów w zrozumieniu naturalistycznem, a decyduje jedynie moment, czy to co podlega ocenie jest jednością czy wielością dążeń w zrozumieniu prawa.

3) Prawo może z jednego naturalnego czynu zrobić dwie dążności w znaczeniu prawnem. Jeśli to nawet jest fikcja, to nie powinno nas to powstrzymywać od tego rodzaju konstrukcji. Fikcja przestała już dawno być tym straszakiem. Najnowsze badania prawno-filozoficzne wykazują w prawie bardzo wiele fikcyj, a nawet całe prawo jest dla niektórych teoretyków prawa fikcją [4]. Choć sami nie uważamy, by wszystko w prawie było odstępstwem od rzeczywistości, to jednak fiktywność prawa nie zwalczamy twierdzeniem, że prawo jest czemś naturalnem lub że możliwe są

[1] Liszt. Rechtsgut und Handlungsbegriff im Bindingschen Handbuche. Straftrechtliche Aufsätze und Vorträge 1. B. Str. 243.

[2] Porównaj uwagę 4.

[3] Sauer l. c. str. 243.

[4] Wobec konstrukcyj, fikcyj w prawie zajęliśmy stanowisko w pracy »Zur Methodologie des sogenannten Kausalproblems«. Archiv für Rechts- und Wirtschaftsphilosophie, B. XIX. H. 4.

w prawie założenia naturalne, lecz zdaniem, że prawo jest innym sposobem patrzenia, że prawo nie odbiega od natury, a właśnie na tem polega istota fikcji, lecz, że prawo wogóle na naturze mierzone być nie może.

Po tych rozważaniach dedukcyjnych, które miały wykazać, że nie możemy się zgodzić ani z Lisztem ani z Makarewiczem, gdyż wychodzimy z zgoła odmiennych założeń, przypatrzmy się, jak kwestję naturalnej jedności działania rozstrzyga doktryna niemiecka, a za jej wzorem niekiedy Trybunał Rzeszy. Materjału dostarcza nam ostatnia publikacja z tej dziedziny, praca Honiga[1]. Jako punkty oparcia służą: jedność zamiaru czy celu (moment subjektywny), jednorodność działania (moment objektywny). Za czynnikiem subjektywnym przemawia Schröter[2]. Przeciwko temu stanowisku występuje później Trybunał Rzeszy (4, 187 i 190) i zgodnie z nim Binding[3] i Bar[4]. Od czysto subjektywnej dowolności działającego nie może zależeć złączenie kilku przestępstw w jedno. Jedność czynu musi być dana z natury rzeczy; jedności zaś niema, gdzie działania są czasowe rozdzielone i każde z nich jest wypływem nowej samodzielnej decyzji. Ale i te dwa kryterja nie okazały się dostateczne. Co się tyczy samoistności decyzji, to wątpliwości powstały w wypadkach czasowej rozbieżności i tu Trybunał Rzeszy (10, 53) stanął na stanowisku, że ta jedność decyzji to jedynie jedność planu działania, która nie wyklucza wielości kierunków woli potrzebnych do realizacji stanu przestępnego[5]. »Pytanie: wielość decyzji czy jedność? przesądza tylko wtedy kwestję jedności czy wielości działania, jeśli odpowiedź brzmi: sprawca musiał powziąć kilka decyzyj. Tylko wtedy bowiem można z pewnością wnioskować na wielość samodzielnych czynów. Odwrotnie jednak z tego, że sprawca działał na zasadzie jednej decyzji, nie wynika jedność działania, ponieważ jedność decyzji nie dotyka samoistności zamysłów, wymaganych przez odmienne stany faktyczne«[6]. Zawieść musiał również moment czasowy, bo pomi-

---

[1] Na wstępie cytowana oraz w »Gerichtssaal« B. XCII H. 1/3 1926 p. t. »Zusammentreffen mehrerer Gesetzes verletzungen«.

[2] Handbuch des peinlichen Rechts, cytowane przez Honiga, str. 15.

[3] Handbuch des Strafrechts I., str. 524.

[4] Gesetz und Schuld im Strafrecht III., str. 509.

[5] Identycznie R. Schmidt (Grundriss der deutschen Strafrechts. Leipzig 1925, str. 179).

[6] Honig. l. c. str. 18.

jając trudności w skonstatowaniu, kiedy dwa przestępstwa popełnione są równocześnie, słusznie zwrócono uwagę na to, że współczesność nie wpływa na bliższy związek niż rozbieżność czasowa; kilka czasowo rozdzielonych czynów może pozostawać w bliskim kontakcie, jeżeli jeden czyn przedsięwzięty zostaje, by móc zrealizować drugi i t. d., z drugiej strony można równocześnie popełnić dwa czyny, ze sobą niczem nie związane, np. oddać dwoma rękoma dwa strzały na dwie osoby. Widzimy więc, że kryterja »naturalne« dla uzasadnienia »naturalnej« jedności nie są należycie ufundowane i nie odpowiadają prawniczej ocenie [1].

Powyżej poddaliśmy krytyce dążenia, które kwestję jedności czy wielości działań, jedności czy wielości przestępstw chcą załatwić na zasadzie naturalistycznych rozważań. Tej metodzie przeciwstawia się cały szereg autorów [2], którzy i przy jednym naturalnym czynie przyjmują możliwość czy to wielości dążności (czynów w znaczeniu prawnem), czy to realizacji kilku stanów przestępnych, a temsamem wielość przestępstw. Nie będziemy ich tu przytaczali. Natomiast w krótkości streścimy poglądy Sauera [3], a to z tego powodu, że jego metodę n. zd. zaliczyć należy do najcenniejszych nabytków nauki w ostatnich latach, gdyż jego aksjologiczno normatywny pogląd na prawo umożliwia mu łatwe i teoretycznie czyste rozwiązanie zawiłych kwestyj prawnych. Naturalnie ze względu na temat naszej pracy wyłączyć musimy cały szereg zagadnień związanych z naszą kwestją, jak sprawę legis

---

[1] R. Schmidt zwraca uwagę na to, że pewne zdarzenie zewnętrzne (np. jakiś skandal wśród domowników) nie może uzasadnić zbiegu idealnego (l. c. str. 179).

[2] Binding. Handbuch I 1885.
Coenders. Über die Idealkonkurrenz, ein Vorschlag zum neuen Strafgesetz 1921.
Dohna. Zusammentreffen mehrerer Strafgesetze und mehrerer strafbarer Handlungen. Die Reform des Reichsstrafgesetzbuches. I. 1910.
Finger. Lehrbuch I. 1904.
Frank. Das Strafgesetzbuch für das deutsche Reich. 1924.
Köhler. Die Grenzlinien zwischen Idealkonkurrenz und Gesetzeskonkurrenz. 1900.
Merkel. Konkurrenz. V. D. d. D. u. A. Strafrechts. Allg. Teil V. B. 1908.
Ortmann. Zur Lehre von der Idealkonkurrenz Goltd. A. 1887. etc. etc.
Z polskich autorów Krzymuski. Wykład prawa karnego. 1911.

[3] l. c. str. 749 i squ.

specialis i legis subsidiariae, konsumpcji, przestępstwa ciągłego, z narowu, rzemiosła i t. d. Sauer zwraca uwagę na punkt widzenia faktyczny (podlegający ocenie) i normatywny (wartościowujący). Dla pierwszego problem przedstawia się jako pytanie, kiedy mamy do czynienia z prawną jednością, a kiedy z prawną wielością czynów. dla drugiego jako pytanie, kiedy mamy do czynienia z jednem, a kiedy z wieloma przestępstwami? Czyli zagadnienie przedstawia się, należycie ugrupowane, w sposób następujący:

1) Kiedy naturalna wielość czynów przedstawia się jako prawna jedność, a naturalna jedność jako prawna wielość?

2) Kiedy prawna wielość czynów przedstawia się jako jedno przestępstwo?

3) Kiedy prawna jedność przedstawia się jako wielość przestępstw?'

ad 1) Sauer daje następującą odpowiedź: Kilka czynów naturalnych tworzy wtedy prawną jedność, jeżeli je bez zmiany wartości całości zastąpić można jednym aktem. Widzimy tu doskonale metodę Sauera; czyn, zachowanie się, nie jest jeszcze tym momentem normatywnym, ale musi być do niego należycie zbliżony, jedność więc ujęta zostaje z wyżyn wartości, decyduje substytucja czynu bez zmiany wartości. Z drugiej strony mimo naturalnej jedności istnieć będzie prawna wielość tam, gdzie dla prawa obojętne jest, czy skutki osiągnięte zostały kilkoma czynami czy jednym czynem. Jeżeli ktoś za pomocą kilku strzałów zabija człowieka mamy jeden czyn w zrozumieniu prawa, jeżeli ktoś za pomocą jednego strzału zabija kilka osób mamy wielość czynów. Kwestja naturalnej jedności czy wielości jest więc zgoła obojętna. Rozstrzyga zaś w pierwszym rzędzie ilość dążności (tendencyj); ale i skutek ma swoje znaczenie, mianowicie o tyle, o ile odróżnić należy, czy naruszono dobra osobiste, czy też dobra znamienne. Jeżeli przestępstwo skierowane jest przeciwko dobrom osobistym, należy przyjąć wielość działań (dążności, np. jedno słowo obraża dwie osoby), jeżeli zaś skierowane jest przeciw dobrom zamiennym nie należy z góry przyjmować jedności działania, ale conajmniej nie należy jej wykluczyć. Kradzież kilku kapeluszy z garderoby będzie jednością, natomiast posypanie obroku, przeznaczonego dla koni, trucizną, może być traktowane jako wielość działań.

ad 2) Pytanie to dotyczy przestępstwa ciągłego i kolektywnego, musi więc pozostać poza nawiasem rozważań.

ad 3) Odpowiedź na to pytanie wymaga rozwinięcia problemu zbiegu idealnego. Trzy wypadki mogą tu wchodzić w grę:

a) znany przykład zgwałcenia zamężnej córki przez ojca;

b) jeden czyn naturalny powodujący śmierć jednego człowieka uszkodzenie cielesne drugiego i uszkodzenie jakiejś rzeczy;

c) jeden czyn powodujący śmierć dwóch osób.

ad b) i c) Sauer przyznaje, że można tu w dwojaki sposób rozumować; albo przyjmuje się tu jedną tendencję, w konsekwencji jedno przestępstwo, wtedy wogóle nie może być mowy o jakimś zbiegu, albo przyjmuje się wielość dążności, wtedy jednak będzie to zbieg realny a nie idealny. Pierwsza ewentualność przypomina żywo stanowisko Liszta, który zaprzecza by tu zachodził wogóle jakiś zbieg[1]. Sauerowi odpowiada raczej konstrukcja druga, ponieważ jest ona bardziej normatywno-teleologiczna i daje bardziej zadawalające rezultaty. W każdym więc razie Sauer nie traktuje tych wypadków jako zbieg idealny.

ad a) Zdaniem autora jest to klasyczny przykład zbiegu idealnego, gdyż jeden (naturalny) czyn z jednym skutkiem podpada pod kilka stanów przestępnych, z których żaden nie wyczerpuje w zupełności stanu faktycznego. Jeden przedmiot poddany zostaje kilkakrotnej subsumpcji. Termin zbieg idealny odpowiada autorowi, gdyż zaznacza on, że zbieg jest tylko »pomyślany«.

Niestety co się tyczy zbiegu idealnego nie jesteśmy w stanie zgodzić się z Sauerem. W wypadkach ad 2) i 3) przyjmujemy zbieg przestępstw, odrzucamy pierwszą konstrukcję Sauera, w konsekwencji twierdzenie Liszta, pozostawiamy zaś na uboczu kwestję, czy to jest zbieg idealny czy realny.

Natomiast nie możemy zgodzić się na sposób rozwiązania zagadnienia ad 1), a to z następujących powodów:

a) Autor rozważa daną kwestję pod nagłówkiem: Wielość przestępstw przy »prawnej« jedności działania, operuje zaś później »naturalnym« czynem. Nasuwa się tu pytanie: czy ten naturalny czyn jest prawną jednością? Jeżeli nią jest, wtedy nie może być mowy o jakimś zbiegu, wszak sam Sauer stwierdza to odnośnie do wypadków ad 2) i 3), albo ten czyn jest prawną wielością

[1] Lehrbuch, str. 233 i 240.

wtedy jednak wypadek ten prawnie nie różni się niczem od wypadków ad 2) i 3). Jest niezrozumiałe, dlaczego obecnie za podstawę służyć ma twierdzenie, jeden naturalny czyn i jeden skutek. A nawet więcej twierdzenie to jest wręcz chybione, a na dowód tego przytoczyć można własne zapatrywania Sauera wyrażone w innych miejscach[1]. Obecnie rozważany wypadek odznacza się wedle Sauera i tem, że mamy tu do czynienia tylko z »jednym« skutkiem. Twierdzenie to pozostaje jednak w sprzeczności z tem, co autor poprzednio podniósł jako cechy charakterystyczne skutku[2]. Skutek nie musi być zmianą na widowni świata zewnętrznego, może polegać na zmianie w psychice drugiej osoby, na nadwyrężeniu publicznego interesu, etc. Nie decyduje więc skutek w znaczeniu naturalistycznem ale w znaczeniu normatywno-socjologicznem. Na podstawie tych twierdzeń autora, które wydają się jedynie słuszne, niezrozumiałe jest dlaczego w obecnie rozważanym wypadku miałby być tylko jeden skutek, wręcz odwrotnie widzimy tu własnie trzy skutki: pierwszy skutek, to nadwyrężenie tego interesu, na którego straży stoi zakaz zgwałcenia, drugi to nadwyrężenie interesu publicznego, na którego straży stoi przestępstwo kazirodztwa, trzeci, to wiarołomstwo czy zamach na instytucję małżeństwa. W stosunku do wypadków ad 2) i 3) różnica leży w tem, że skutki ad 2) i 3) podpadają pod zmysły, a skutek ad 1) nie. Mógłby ktoś zarzucić, że i tu jest jeden skutek podpadający pod zmysły, który nie odcina się od samego działania (przestępstwo formalne)[3] i polega na doprowadzeniu czynności do pewnego punktu (akt obcowania). Zapewne. Ale ten akt obcowania, jako czynność naturalna, jest prawie obojętny, nabiera jedynie znaczenie jako dążność w trzech poprzednio zaznaczonych kierunkach. Temsamem nie możemy się dopatrzeć różnicy prawnej między wypadkami ad 1, i ad 2) i 3); i tu i tam następują dwie (wzgl. trzy) subsumpcje ze względu na dwie (trzy) tendencje, na dwa (trzy) skutki. Sauer twierdzi, że ten zbieg jest tu jedynie »pomyślany«; niewątpliwie trzy realne skutki nie są w zbiegu, ale czy wogóle w prawie chodzi o realny skutek? Sauer sam się

---

[1] Wszak i ad 2) i 3) był tylko jeden czyn naturalny, a przecież autor przyjął wielość czynów prawnych, dlaczego zaś obecnie nie przyjmuje wielości czynów?

[2] l. c. str. 420.

[3] Krzymuski, l. c. str. 163.

temu sprzeciwia i zaznacza wyraźnie, że nie chodzi o skutek realny ale o skutek idealny. »Idealny skutek i realny cel są wyszczególnionym przedmiotem oceny«[1].

Całe odróżnienie zbiegu idealnego i zbiegu realnego jest wypływem naturalistycznego nastawienia[2]. Gdzie niema dwóch realnych skutków, a przecież w grę wchodzą dwa przepisy ustawy mówi się o zbiegu idealnym, wzgl. o zbiegu ustaw, albo też neguje się jakikolwiek zbieg (jeden strzał zabija dwie osoby) i twierdzi, że tu zachodzi tylko jedno przestępstwo. W jaki sposób dochodzi się do negacji zbiegu idealnego, wykazaliśmy wyżej, realizację dwóch stanów przestępnych uzasadnia się zbiegiem ustaw. Rozumowanie to wydaje nam się prawnie chybione.

Wszystko to jednak miałoby znaczenie czysto teoretyczne, gdyby nie dwie kwestje. Jak karać zbieg przestępstw? Czy przy wymiarze kary odróżnić należy zbieg realny od zbiegu idealnego? Wszyscy zgadzają się na to, że przy zbiegu realnym kara za najcięższe przestępstwo winna być podwyższona, celem uwzględnienia innych przestępstw, natomiast panuje rozbieżność zapatrywań co do kary za zbieg idealny. Jedni stawiają zbieg idealny na równi z zbiegiem realnym, drudzy twierdzą, że przy zbiegu idealnym karać należy tylko za najcięższe przestępstwo, inni wreszcie wymagają jedynie, by zbieg idealny był lżej karany niż zbieg realny. Za absorpcją przy zbiegu idealnym przemawiają ci, którzy widzą w nim tylko zbieg przepisów ustawy, którzy negują wielość przestępstw[3]. Dlatego też projekt polski, nie uznający zbiegu idealnego, każe stosować absorpcję. Kto w zbiegu idealnym widzi również wielość przestępstw, musi być przeciwnikiem absorpcji, natomiast

---

[1] l. c. str. 289.

[2] I Sauer padł tu ofiarą chwilowego naturalistycznego myślenia. Trafnie podkreśla teoretyczną fałszywość tego odróżnienia Finger (Strafrecht 1902, str. 286 i 291), bezzasadność, bezcelowość i zbędność. Coenders l. c. str. 12. Binding (Handbuch I., str. 571) nazywa to rozróżnienie »najnieszczęśliwszem«; »pozbawionem prawniczej wartości« jest ono dla Hälschnera (Deutsches Strafrecht I, str. 672). Zdaniem R. Schmidta (Grundriss des deutschen Straftrechts, Leipzig 1925) łagodniejszy wymiar kary przy zbiegu idealnym jest jedynie wynikiem względów »słuszności« nie zaś logiczną konsekwencją założenia, że przy jednym czynie przyczynowym i dwu skutkach istnieje tylko jedno przestępstwo (str. 179).

[3] W tem tkwi jedyna praktyczna doniosłość sporu, czy zbieg przestępstw, czy zbieg ustaw. Słusznie na to zwraca uwagę Honig l. c. str. 3.

może bronić zasady, że zbieg idealny karać należy mniej surowo niż zbieg realny [1]. Dla obu tych kierunków istnieje jednak jedno wielkie »ale«, które każe poważnie zastanowić się nad tem, czy należy stosować odmienne zasady. Istnieje jedna wielka trudność, mianowicie, zadecydować w granicznych wypadkach, czy mamy do czynienia z zbiegiem idealnym (ustaw) czy z zbiegiem realnym.

Pod tym względem dostarczyła wiele materjału wyżej wspomniana praca Honiga. Wykazuje on, że w wypadkach granicznych, kwestja, czy przestępcę skaże się za zbieg realny czy za zbieg idealny zależna jest od okoliczności całkiem przypadkowych, które w zupełności nie mogą uzasadnić rozbieżności w wymiarze kary. Formuła za pomocą której Trybunał Rzeszy stwierdza zbieg idealny brzmi następująco (wyrok IV Senatu z 28. IV 1899, 32, 137): »Dla jedności czynu z § 73 wymagane jest, by działania woli, które realiznją odmienne stany przestępne, jeżeli nie w zupełności, to przynajmniej częściowo w ten sposób się pokrywały, by conajmniej część jednolitego działania przyczyniała się do realizacji stanu faktycznego obu przestępstw«. W formule uwidocznione są doskonale oba wypadki zbiegu idealnego. Tak długo niema wątpliwości, jak długo działania woli pokrywają się w zupełności. Z tą chwilą jednak, gdy pokrywają się jedynie częściowo, a te wypadki bodaj czy nie są częstsze, sprawa się wikła. Indukcyjny materjał dostarczył Honig: nie zamierzamy go tutaj reprodukować, lecz scharakteryzujemy go krótko teoretycznie. Jeżeli jako prawnicy przypatrzymy się jednemu działaniu naturalnemu, to nie zawsze w całem tem działaniu widzieć będziemy dwie dążności, ale niekiedy dopiero późniejszy punkt tego działania przedstawiać się będzie jako początek drugiej dążności; przesuwając ten punkt zaczepienia tej drugiej dążności, dochodzimy aż do końca działania; odtąd niewątpliwie mamy do czynienia z zbiegiem realnym. Przypadkowość i w konsekwencji niesprawiedliwość, jaka możliwa

---

[1] Ten moment contra jednolitemu uregulowaniu wysuwa Hippel. (Die allgemeinen Lehren vom Verbrechen im Strafgesetzentwurf von 1925. Zeitschrift f. d. g. Strafrechtsw. 47. B. 1. H. str. 60).

Za niższą karą ze względów słuszności przemawia R. Schmidt l. c, str. 179.

Jednakowoż takie stanowisko pociąga za sobą konieczność przeprowadzenia tego teoretycznie chybionego rozróżnienia.

jest przy niezupełnem pokrywaniu się obu dążności wynika z następujących okoliczności:

1) Rzeczywiście od ślepego przypadku zależy czasem, czy punkt zaczepienia drugiej dążności wpada w granice czynu realizującego pierwsze przestępstwo. Przykłady podaje Honig.

2) Punktem zaczepienia drugiej dążności jest ten moment działania, w którym ona przedstawia się jako usiłowanie, jako początek wykonania drugiej dążności, nie zaś jako czynność przygotowawcza, czyli od subtelnego i trudnego w praktyce odróżnienia czynności przygotowawczej od początku wykonania zależna jest kara łączna wzgl. absorpcja.

3) Przy przestępstwach trwałych zbieg idealny będzie możliwy aż do chwili ukończenia (nie dokonania) przestępstwa.

N. zd. zbieg idealny jest zbiegiem przestępstw i z tego tytułu należy go bezwzględnie karać ostrzej, niż pojedyncze przestępstwo. Zasadę absorpcji uważamy więc za niesprawiedliwą jeśli przy zbiegu realnym przepisuje się karę łączną. Ta niesprawiedliwość staje się jednak z powodu zależności od powyżej scharakteryzowanej przypadkowości i subtelności w odróżnieniu jeszcze dotkliwsza. Jeśli się już nie chce zbiegu realnego i idealnego traktować na równi, to w każdym razie powinno się stępić ostrze wynikające z trudności w odgraniczeniu zbiegu idealnego i realnego i to, co się uczyniło przy zbiegu realnym, uczynić przy zbiegu idealnym. Przy zbiegu realnym w myśl pr. kod. kar. pol. możliwa jest absorpcja, przy zbiegu idealnym winna istnieć również możliwość podwyższenia kary, choćby nie do granic kary łącznej [1].

Nie należy również zapominać o proceduralnej doniosłości omawianej kwestji. W myśl art. 478 § 1 p. b) projektu ustawy postępowania karnego nieprawidłowa wykładnia ustawy przy określeniu przestępstwa i »wymierzeniu kary«, uzasadnia kasację. Będziemy więc świadkami, że w wypadkach granicznych jedna albo druga strona zakładać będzie kasację domagając się kary łącznej względnie absorpcji, a Sąd Kasacyjny będzie musiał przedsięwziąć trudne, subtelne rozważania i w konsekwencji rozstrzygając na ko-

---

[1] Wprawdzie równomierność zachodzi o tyle, że i przy zbiegu realnym możliwa jest absorpcja. Ale stosowanie tej zasady przy zbiegu realnym uważamy za niesprawiedliwą łagodność; w każdym jednak razie absorpcja nie jest zasadą, tylko wyjątkiem, eo ipso przy zbiegu idealnym (ustaw) kara wyższa winna być conajmniej również wyjątkiem.

rzyść jednej lub drugiej strony uzależni wymiar od przypadku, który łatwo może spowodować niesprawiedliwość.

Nikt nie będzie mógł sędziemu zabronić, przy wymiarze kary za zbieg idealny orzec karę wyższą [1] niż za pojedyńcze przestępstwo, ale ta wyższa kara będzie zawsze absorpcją i będzie uzasadniała kasację, choć w rzeczywistości odpowiadać może będzie karze wymierzonej na zasadzie kary łącznej.

Kilkakrotnie podkreślone zapatrywanie na zbieg idealny oraz wszystkie niedomagania wynikające z odmiennego wymiaru kary, każą uważać nam za słuszniejsze sformułowanie zbiegu, jakie znajdujemy w projekcie niemieckim [2], a nawet więcej, skłaniają nas do przyznania racji Honigowi, który odróżnienie zbiegu idealnego i realnego pragnie usunąć z kodeksu karnego — niema go wszak i w kodeksie austrjackim — za którego wzorem proponujemy następującą redakcję art. 32, § 1:

»W razie jednoczesnego skazania za kilka przekroczeń ustawy karnej albo za kilkakrotne przekroczenie tejsamej ustawy karnej należy orzec karę łączną«.

art. 37 musiałby ulec skreśleniu [3].

Sformułowanie to posiada tę zaletę w stosunku do ujęcia w projekcie niemieckim, że, skoro zasadniczy wymiar kary przy

---

[1] Odnośnie do zbiegu idealnego jednorodnego Liszt (l. c. str. 240) przyznaje sędziemu prawo uwzględnienia wielości skutków przy wymiarze kary.

Projekt polski przy zbiegu ustaw umożliwia stosowanie kar dodatkowych i środków zabezpieczających ex re nie uwzględnionego co do kary zasadniczej drugiego przepisu. To unormowauie wydaje nam się nielogiczne. Przecież te kary dodatkowe etc. czerpią swój tytuł do zastosowania z zrealizowania drugiego stanu przestępnego. Jeśli ten uwzględniony (co do kary zasadniczej) stan przestępny przewiduje również kary dodatkowe etc. dlaczego nie przyjmuje się tu kolizji ustaw, która wykluczyłaby możliwość stosowania obu kar dodatkowych? A jeśli nie przewiduje, co uprawnia do odłączenia kary dodatkowej od kary zasadniczej i do wyłączenia jej w ten sposób z pod kolizji?

[2] Za projektem niemieckim, a więc za jednolitem uregulowaniem zbiegu idealnego i realnego, przemawiają: Ebermayer, Jur. Woch. 1925, Lilienthal, Aschaff. Mon. 1925, Wach, D. Jur. Z. 1925.

Przeciwko projektowi występują: Gerland, Der Entwurf 1925, Wachenfeld, Der Allgemeine Teil des Strafgesetzentwurfes von 1925, Goltd. Arch. 1925, broniąc zasady, że zbieg idealny jest jedynie zbiegiem ustaw.

[3] Projekt odrębny W. Makowskiego nie odbiega w omawianej kwestji od projektu komisji.

zbiegu realnym i idealnym jest identyczny, usuniętą została odrębna charakteryzacja obu form zbiegu, jako niepotrzebny i niebezpieczny balast, i że tego rodzaju uregulowaniem objęty został zbieg idealny jednorodny.

Ponieważ jednak projektodawcy najprawdopodobniej nie odstąpią od swych zasad, które wyrazili w projekcie polskim, przeto, licząc się z tem, że art. 32 i 37 nie ulegną zmianie, pozwalamy sobie zwrócić się do nich z jednem zapytaniem, czy nie należałoby jasno postanowić, wedle jakich zasad należy traktować t. zw. zbieg idealny jednorodny? Pod przypis art. 37 podpadać on nie może (»kilka przepisów ustawy«); istnieje możliwość konstruowania zbiegu realnego[1]. Twierdzenie, że tu zachodzi jedność czynu, ergo jedno przestępstwo, jest czysto teoretyczne i nie wiąże sędziego. Pozytywnie ten wypadek nie jest więc uregulowany, a rozbieżność zdań istnieje i istnieć będzie, w szczególności, jeśli się uwzględni, że communis opinio skłania się raczej do przyjęcia wielości przestępstw.

---

[1] Sauer l. c. str. 499.

Eugenjusz Bautro

Husserlizm w teorji prawa.

Ogólna charakterystyka[1].

Zapoczątkowany przez Kanta aprioryzm i formalizm a przez to i puryzm został w drugiej połowie XIX w. na nowo we filozofji — zwłaszcza niemieckiej — podjęty i w różny sposób zrozumiany i zinterpretowany a to w tak zwanym nowokantyźmie. I nie ominął ten prąd, głoszący, mniej lub więcej bezwzględnie, hasło: Zurück zu Kant[2], również i nauk prawniczych, wówczas beznadziejnie a monotonnie treściwo nastawionych. Wlał on tedy w te umiejętności świeżą krew, która poczęła odtąd żywo pulsować, a mianowicie spowodował, że filozofja prawa zwróciła się ku teorji poznania i tak zatem zrodziła się idea czystej teorji (nauki) prawa (reine Rechtslehre,-theorie).

Z pierwszem, już na większą skalę a systematycznem zastosowaniem tego rodzaju myśli w obrębie i na terenie prawa i dyscyplin prawniczych spotykamy się w koncepcji Stammlera. Atoli ta próba, jako dopiero początkowe choć już zasadnicze w tym kierunku kroki, oprócz dodatnich ma też i ujemne strony i to natury bardzo doniosłej. Mianowicie podstawową jej wadą jest jej założenie, punkt wyjścia tudzież ujścia, wskutek czego uzyskała

---

[1] Jest to wstęp do przygotowanej do druku większej pracy pod tym tytułem. Zarazem będzie ona syntezą kelsenizmu wogóle a też i tegoż takich postaci, z jakiemi spotykamy się w naszej literaturze prawniczej (prof. Jaworski, mec. Rundstein).

[2] V. np. Liebmann: Kant u. d Epigonen Stutgart 1865 (Neudruck Berlin Reuter 1912), który na końcu każdego z czterech krytycznych rozdziałów, powtarza refren: »(Al)so muss auf Kant zurückgegangen werden«.

ona pewne znamię, pewien nalot, bynajmniej przybliżające filozofję prawa do uchwycenia właściwej tegoż istoty tudzież tejże zadań. A choć w porównaniu do sytuacji i rynku ówczesnej myśli prawno-filozoficznej stanowi ona niewątpliwie znaczny postęp, to jednakowoż musi się ją poczytać jeno za pierwszy szczebel, za stadjum zaczątkowe, które następnie miało skierować i poprowadzić na właściwe drogi myśl filozofów prawa, dotąd tylko mozolnie a przytem z niewielkim rezultatem pracującą.

Istotny, zasadniczy jej błąd tkwi w tem, że tego rodzaju czysta teorja prawa przejęła się zbytnio Kanta Krytyką praktycznego rozumu aniżeli czystego rozumu. I jakkolwiek niektóre tej ostatniej pojęcia przeniosła ona do dziedziny prawa i tu je, mniej lub więcej szczęśliwie i udatnie stosowała, to jednakowoż dokonywało się to w nader szczupłych i do tego w niewłaściwych granicach, tak, iż w następstwie tego wszystkiego cały ten proceder, już w swem założeniu wadliwy i niedostateczny, musiał za sobą pociągnąć to, że jej krytyczna metoda niekoniecznie w rzeczywistości taką się okazała. Wobec tego, rzeczone usiłowania nie mogły wystarczyć do należytego ujęcia istoty zjawiska prawnego i zagadnień prawnych. Dopiero dalsze poszukiwania i badania właściwszą w tym względzie znalazły dla siebie drogę przez to właśnie, że poczęły w pełni czerpać z Krytyki czystego rozumu i to przedewszystkiem z analityki transcendentalnej.

Skutkiem tego metodologicznego przeoczenia stammlerowskiej czystej teorji prawa było to, że tchnie ona 1) treściwością 2) psychologizmem 3) socjologizmem a więc łącznie empiryzmem, mimo wszelkie usilne starania w przeciwnym idące kierunku, wszak jej puryzm właśnie w wyzbyciu się wszystkich tego rodzaju naleciałości i rysów miał tkwić.

Zadanie uzupełnienia rzeczonej filozofji krytycznej prawa względnie jej poprawienia a nawet rzec można całkowitej a istotniejszej przebudowy przypaść tedy musiało innym myślicielom po części tego samego kierunku a po części o odmiennem nastawieniu. Pozostaje to zresztą w pewnym związku wogóle z antypsychologistycznym ruchem na całym prawie terenie filozofji a w szczególności z rozpoczynającem się logizowaniem tudzież ze spadaniem się logiki z matematyką czyli jednem słowem łączyło się to ze zmatematyzowaniem myśli i jej wyrazu a to głównie w następujących kierunkach: 1) aksjomatyzacji zasad (formalnych)

2) ekonomiczności i zmechanizowania treści i formy 3) formalizacji i abstrakcji wyrazu i znaczenia 4) uprzedmiotowienia treści i jej zatomizowania a przez to bądź zkinetyzowania elementów, rzeczywistych lub terminologicznych (tj. algiebra i mechanika nazw (pojęć) lub składników ontycznych) 5) zlogizowania i zmatematyzowania metody, która przestała być indukcyjną s. str. a też nie jest czysto-dedukcyjną, ale opiera się na intuicji i oczywistości i jest ich analizą i syntezą.

Przy takim stanie rzeczy i filozofja prawa, aby mogła stać się naprawdę czystą teorją prawa a nie krypto:-etyką, -socjologją, polityką itp., musiała się wyzbyć wszelakiego absolutyzmu treści czy nawet formy, każdego genetyczno-psychologicznego ujęcia i rozstrząsania, wszelkiej teleologji itp. metaprawniczości, co bowiem wszystko razem wzięte to jeno sprawiało, że umiejętności prawnicze, w porównaniu do innych, najmniej były sobą i najmniej miały na swem własnem podwórku do mówienia, oczywiście chodzi tu o ogólną teorję a nie o dogmatykę poszczególnych gałęzi prawa. Dopiero logicyzm, opanowawszy prawie zupełnie a wszechwładnie inne dziedziny, a przedewszystkiem oczyściwszy swą własną domenę tj. samą logikę z wszelkich psychologistycznych pozostałości czy naleciałości, przyniósł umiejętnościom prawnym właściwe światło, kazał się im patrzeć na prawo przez tak przystosowany i odpowiedni dlań pryzmat i w ten sposób je pojmować i ujmować.

I bynajmniej nie odciągnął myśli prawno-filozoficznej od tego dopiero właściwego, bo determinującego się istotną naturą prawa, kierunku, silny prąd treściwości w postaci filozofji wartości szkoły badeńskiej (Windelband, Rickert), który też i na terenie filozofji prawa znalazł swój wyraz i zastosowanie (Lask). Równie zdołała zmieszać ją na dłużej filozofja kultury, jako pewna, tylko nieznaczna, odmiana powyższej, a to np. w kształcie poglądów Mayer'a czy też świeżych koncepcyj Sauer'a, mimo widoczne u tego ostatniego formalizowanie i szematyzowanie treści w tzw. Grundgesetze. Tego rodzaju ujęcia rzeczy mocno już bowiem podważał sceptycyzm relatywistyczny Simmel'a i Radbruch'a (i innych tak nastawionych) a przedewszystkiem szczere, męskie wyznanie filozofji fikcyj Vaihinger'a, każącej patrzeć się na to wszystko pod właściwym a należytym tu kątem widzenia, bo dostrzegającej w tem wszystkiem jasno a zasadnie, jedyne

i wyłączne: *als ob.* Można wogóle śmiało powiedzieć, że myśl filozoficzna za nadto już wówczas była przesycona treściwością i że chętnie przeto zwróciła się w stronę, gdzie dla niej otwierał się nowy całkiem świat ujęć i perspektyw.

Zwrócenie się tedy ku logicyzmowi, można rzec, wprost uratowało filozofję prawa w znaczeniu teorji prawa, jako tu jedynie zasadnego jej rozumienia i przyjęcia, od zagłady jako samodzielną i odrębną treść i metodę. Niewątpliwie i bezspornie jest to zasługą H. Kelsena, który dokonał w rzeczonym kierunku naprawdę kopernikańskiego zwrotu. On to śmiałym a pełnym rozmachu rzutem swej myśli zapoczątkował właściwe dociekania nad prawem, dostrzegłszy istotny przedmiot badań prawniczych tudzież jedynie tu odpowiednią a nawet konieczną metodę tj. zdanie prawne i tegoż rozbiór. Dopiero więc z tą chwilą można mówić o czystej teorji prawa w ścisłem a rzeczywistem tego słowa znaczeniu.

Atoli koncepcja Kelsena, mimo wszystkie swe w tym względzie walory i zasługi, raczej odznacza się puryzmem prawniczości aniżeli obfituje w bogate i liczne związki z logiką, zwłaszcza ze zmatematyzowaną. Przebiją się to nazbyt widocznie z jej podwaliny tj. powinności prawnej tudzież z tylko hipotetyczności zdania prawnego. W każdym razie stanowi ona drugi etap w ewolucji myśli prawnej, który przygotował miejsce dla dalszego, trzeciego z rzędu, stadjum jej w kierunku rzeczonym. A dokonało się to dzięki przenikaniu fenomenologizmu, obecnie tylko samego husserlizmu, na teren ogólnych nauk prawniczych.

Jak dotąd wpływ husserlizmu trojaką na się przybrał postać, a to odpowiednio do trzech jemu imanentnych pierwiastków, jakie on, wchłonąwszy w siebie, swoiście stopił w oryginalny całokształt myśli. Istota jego polega na szczególniejszem nastawieniu. Fenomenologiczna postawa — to swoisty akt naszej psyche, skierowany ku oglądaniu istoty przedmiotu, logistycznie wyrażanej. W tym eidetyźmie, w tej ideacji, podwójne zachodzi oderwanie, uprzedmiotowienie: 1° od kauzalności i genezy psychicznej 2° od przypadkowych właściwości fenomenów, czego wszystkiego następstwem jest dwojakiego rodzaju intelektualizm, gdyż rozszczepia się go na logicyzm treści duszy czyli aktów i logicyzm właściwości (predykacyj) przedmiotu. W ten tylko sposób można dotrzeć do istoty. Chodzi więc tu o »leibhafte Selbstgegebenheit«

przedmiotu wobec nas, jak się w swych pracach wyraża Husserl. Wobec tego można tutaj mówić, oczywiście ze znacznem zastrzeżeniem, o trzech momentach, znamionujących zasadniczo husserlizm, a mianowicie 1) psychicznym 2) ontycznym 3) logicznym (gramatycznym), a to odpowiednio do jego 1) punktu wyjścia (akt) 2) przedmiotu tegoż intencjonalności (istota cieleśnie samoobecna w przedmiocie i bezpośrednio dana) 3) tegoż ujęcia i wyrażenia. Stąd też centralnemi pojęciami husserlizmu są 1) przeżycia, jednak w rozumieniu ich treści a nie procesów psychicznych, jako uwarunkowań czy form, absorbujących całą psychę czy jeno jedną z jej »władz« 2) przedmiot (swoista struktura danej treści) 3) wyrażenie i znaczenie treści. Powiązania, ustosunkowania, relacje wraz ze swojemi pochodnemi pojęciami zależności, całości, części itp. przedmiotów, zrefleksowane w treściach umysłu, ich aprioryczność itp. — oto cele dociekań i stwierdzeń metody fenomenologicznej. Postępowanie zaś jej — to tego rodzaju rozbiór logiczno-gramatyczny a przez to i ontologiczny o wybitnej cesze matematycznego spojrzenia, ujęcia i oddania.

Otóż te trzy momenty, tkwiące w husserliźmie, trafnie wyczuli i oddali trzej prawnicy, którzy, jak dotąd, pierwsi transponowali tegoż ideje na teren prawa. Każdy z nich inny wysunął naprzód element rzeczonej filozofji, silnie go podkreślając i uwypuklając. atoli przez to właśnie rozczłonkowanie, niekoniecznie naturalne i właściwe, obraz husserlizmu w prawniczym obrębie pozostaje rozcałkowany i niejednolity, które to zjawisko jest zresztą zwyczajnym objawem, towarzyszącym zawsze rodzeniu się ideji a w tym wyższym stopniu jej transpozycji i przystosowywaniu. Wszak husserlizm prawniczy jest dopiero in statu nascendi. Dodatnia strona takiego stanu rzeczy polega na tem, że przy takiem kotłowaniu się pomysłów powstają różne możliwości i perspektywy, że poczyna się wyrabiać coraz bardziej adekwatna metoda, co wszystko razem wzięte, dostarczyć jeno musi wiele a różnorodnego materjału, z którego dopiero później da się zbudować konsekwentny, jednolity system myśli.

Tak więc narazie są trzy próby prześwietlenia umiejętności prawniczych fenomenologizmem a dokonali tego: 1) A. Reinach: w *Die apriorischen Grundlagen des bürgerlichen Rechts* (Jahrbuch für Philosophie und phänomenologische Forschung Bd I 1913 — cytuję jednak wedle zbiorowego wydania jego pism pt.: A. Reinach

Gesammelte Schriften herausgeb. von seinen Schülern Halle 1921 str. 166—376), 2) Felix Kaufmann w a) *Logik und Rechtswissenschaft* Grundlage eines Systems der reinen Rechtslehre, Tübingen 1922, b) *Die Kriterien des Rechts*, eine Untersuchung über die Prinzipien der juristischen Methodenlehre, Tübingen 1924, 3) Fritz Schreier w *Grundbegriffe und Grundfomen des Rechts*, Entwurf einer phänomenologisch begründeten formalen Rechts- und Staatslehre, Leipzig und Wien 1924.

Reinach interesuje się więcej istotą stosunków prawnych, którą też fenomenologicznie ujmuje, stąd tedy jego dociekania odznaczają się nalotem ontologicznym, oczywiście sui generis. Przypomina to naturę rzeczy dawnej treściwej filozofji prawa, ale zamkniętą w granicach mniej więcej czystego ustosunkowania prawnego. Natomiast inny charakter mają badania Kaufmanna i Schreiera. Przedewszystkiem dla tych ostatnim punktem wyjścia tudzież podstawą rozważań jest teorja Kelsena zdania prawnego itd., przyczem Kaufmann w dużym stopniu matematyzuje i logizuje, podczas gdy u Schreiera dostrzega się się silniejsze uwypuklenie momentu psychicznego, oczywiście w tegoż rozumieniu husserlistycznem. Gdyby wolno było dla określenia najogólniejszych cech prac rzeczonych użyć skrótowych terminów technicznych, jakimi dawniej oznaczano realizm, nominalizm i konceptalizm, to — oczywiście można tu mówić tylko o bardzo dalekiem podobieństwie — Reinachowi niejako chodzi o universalia ante rem, Schreierowi o universalia in re, zaś Kaufmannowi o post rem. Ponadto dwaj ostatni w większej mierze trzymają się platformy prawniczej, w wyższym stopniu są prawnikami. Idą oni coraz więcej w kierunku formalnym, wykluczając najmniejszą choćby treść materjalną, usuwając najdrobniejszy ślad empiryzmu, w następstwie czego ich puryzm w porównaniu do »czystości« Kelsena (a tem więcej oczywiście np. do Stammlera) jest podniesiony do drugiej potęgi. Oprócz tego, pod niewątpliwym wpływem Leibniza, przejęci są oni tegoż ideą o scientia (mathesis) universalis (generalis), o characteristica universalis (specieuse générale) (por. Leibniz: *De arte combinatoria* i inne szkice i fragmenty w tym przedmiocie, wydane przez Couturat w Opusc. et fragm. ined.). Zwłaszcza zauważa się to u Kaufmanna, który w swych pracach znacznie uwydatnia i uwypukla współczynnik matematyczno-fizykalny i u którego logizowanie husserlizmu, będące

w gruncie rzeczy raczej opisem analitycznym a więc, ściśle biorąc, mimo wszystko, alogiką, przemienia się w matematyczne ufundowanie, ujęcie i rozprowadzenie. U obu tych autorów ontologizm Husserla, z uwagi na naturę prawa, staje się wprost algiebrą elementów prawnych, relacjonizmem oderwanych, usamodzielnionych i uruchomionych nazw (pojęć) i »faktów« tj. sytuacyj »idealnych«. Przez ich wysiłek myślowy normatywizm Kelsena został znacznie rozszerzony i pogłębiony tak, iż rzeczywiście przyjął na się postać abstrakcyjno-formalną, anonimową, jednakowoż nie w tym celu, aby te krosna wypełniać w ten sposób treścią, jak to czyniło dawne prawo natury czy choćby dzisiejsze »Naturrecht mit wechseldem-Inhalt« Stammlera, ale jedynie i wyłącznie, ażeby mógł być kryterjum prawniczości i by ilustrował i oddawał prawdziwą budowę i mechanizm prawa i wskazywał dla teorji właściwy jej przedmiot, a dla dogmatyki by był drogowskazem, zaś dla praktyki szematem.

Dr Franciszek Bossowski

Ze studjów nad pierwotnym testamentem rzymskim

(Krytyka dotychczasowych poglądów — próby nowej hipotezy).

Początki testamentu rzymskiego, pytanie, czy spadkodawca miał pierwotnie swobodę testowania wówczas, gdy pozostawiał heredes suos i t. d., należą wciąż jeszcze do spornych w literaturze. W ostatnich czasach sprawę tę poruszyli Lenel (Zur Geschichte der heredis institutio w »Essays in legal history« Akta kongresu historycznego w Londynie), z którym polemizował Bonfante, a w ścisłym związku z tym tematem pozostaje polemika co do usucapio pro herede między Perozzim i Bonfantem, w której głos zabrał także i Wróblewski. Pomimo, że prace tych autorów rzuciły nowe światło na naszą kwestję, to jednak nie wyświetliły jej ostatecznie, a chęć dorzucenia pewnych nowych uwag jest pobudką niniejszej pracy.

I T e s t a m e n t p i e r w o t n y (testamentum in comitiis calatis, testamentum in procinctu).

Jako źródła przytoczyć tu należy: fragmenty XII tablic (Tab. V)[1]

(3) »Uti legassit super pecunia tutelave suae rei, ita ius esto,

(4) Si intestato moritur, cui suus heres non escit, adgnatus proximus familiam habeto,

(5) Si adgnatus nec escit, gentiles familiam habento,

oraz Gai II 101. Testamentorum autem genera initio duo

---

[1] cytuję wedle Girarda: Textes de droit romain 1923.

fuerunt: nam aut calatis comitiis testamentum faciebant, quae comitia bis in anno testamentis faciendis destinata erant, aut in procinctu id est cum belli causa arma sumebant: procinctus est enim expeditus et ornatus exercitus. Alterum itaque in otio faciebant, alterum in proelium exituri.

Wreszcie należy wspomnieć tutaj o Gelliusa Noctes atticae (XV 27, 1) stwierdzających udział pontificum przy sporządzaniu testamentu in comitiis calatis.

Zajmując się tzw. ustawą XII tablic musimy zaznaczyć nasze stanowisko wobec wątpliwości poruszonych przez Paisa i Lamberta co do autentyczności tej ustawy. Jakkolwiek trudno się zgodzić z Lambertem, odmawiającym całkowicie charakteru ustawy XII tablicom i uważającym ten pomnik za zbiór prywatny, powstały gdzieś w ciągu II wieku przed Chr., to jednak nie da się zaprzeczyć, że są tam normy prawne wcześniejsze obok późniejszych i że te normy późniejsze są późniejszymi wtrętami i uzupełnieniami pierwotnego tekstu ustawy [1]. Nie można jednak wątpić, że główny zrąb postanowień, zawartych w t. zw. ustawie XII tablic, pochodzi istotnie z dość wczesnej i jak na owe czasy obszernej kodyfikacji. Literatura dotycząca XII tablic, zestawiona u Bonfantego Storia del diritto romano t. I str. 304 i nast., tudzież u Lenela w Holtzendorfa Enzyklop. wyd. 7, t. I str. 325 uw. 2.

Jeżeli weźmiemy pod uwagę powyżej przez nas przytoczone postanowienia ustawy XII tablic, to pochodzą one najwidoczniej z czasów rozkładu ustroju rodowego i z tego okresu, kiedy poszczególne rodziny (familia) uzyskały już samodzielność w stosunku do władzy rodowej, a samodzielność ta idzie tak daleko, że pater familias w rozporządzeniu ostatniej woli może ustanowić opiekuna, a tem samem nawet wykluczyć opiekę rodową nad pozostawio-

---

[2] Do argumentów, przy pomocy których Pais obala całą legendę o powstaniu ustawy XII tablic, przybywa jeszcze jeden, mianowicie fakt stwierdzony przez Taubenschlaga w pracy p. t. »Proces o Virginię«, Kraków 1917 (odbitka z Rozpraw Akademji Umiejętności). Wedle T. przedstawiony przez tradycję rzymską proces o Wirginję rozgrywa się wedle greckich, nie rzymskich norm procesowych. Okoliczność ta pozwala przypuszczać, że całe podanie o tym procesie sfabrykowane zostało przez Greków, pozostających na usługach Rzymian, którzy zetknąwszy się z Grecją i ulegając urokowi kultury greckiej, pragnęli wykazać, że i w swej przeszłości Rzym nie pozostawał w tyle za Grecją (ob. Pais: Storia critica di Roma tom II wyd. z r. 1915 str. 270 i nast.).

nemi przez niego niedojrzałemi dziećmi. Jakkolwiek trudno jest czynić jakieś pewne wnioski wobec fragmentarycznego charakteru zachowanych tekstów, to jednak jest wielce prawdopodobnem, że wyżej przytoczone fragmenty miały na celu rozciąć konflikty, które na tem tle wyrastały między rodem, jako całością, a poszczególnemi rodzinami (familia) w skład rodu wchodzącemi. Tą okolicznością tłomaczy się między innemi obszerne i wyczerpujące unormowanie jednych materyj przy przelotnem dotknięciu, a nawet zupełnem przemilczeniu innych [1].

Jakkolwiek data samej ustawy XII tablic, a raczej może poszczególnych jej części składowych może być sporną, to jednak postanowienia jej — o ile dotyczą ustroju rodu i rodziny (gentis et familiae) i uznają niezależność rodziny od władzy rodowej — stanowią razem z ustawami, przypisywanemi przez tradycję królowi Serviusowi Tulliusowi, ogniwo tej wielkiej ewolucji, która polega na rozkładzie organizacji rodowej i na stworzeniu administracji terytorjalnej (podział na tribus) celem uzupełnienia luki stąd powstającej [2]. Z tego punktu widzenia przyjrzyjmy się poszczególnym postanowieniom ustawy XII tablic, dotyczącym ustroju rodu i rodziny.

Podstawą rodziny jest władza patris familias. Treść tej władzy, ustalona przez prawo zwyczajowe i uświęcona przez tradycję, nie była kwestjonowaną i dlatego ustawa XII tablic pomija ten temat milczeniem, wprowadzając jedynie następujące jej ograniczenie czy też złagodzenie (Tab. IV, 2): »si pater filium ter venum duuit filius a patre liber esto«. Wobec nieograniczonej władzy patris familias majątek rodziny uważany jest przez prawo jako majątek wyłącznie patris familias, nie zaś jako majątek wspólny członków rodziny, ale nawet w epoce klasycznej utrzymuje się świadomość, że tzw. heredes sui mają przecież pewne prawa do majątku swego patris familias jeszcze za jego życia, że te prawa jednakże są sparaliżowane skutkiem absolutnej władzy patris familias i występują dopiero w całej pełni w chwili śmierci patris familias tj. wówczas, gdy odpadną ograniczenia tychże praw,

---

1 Podnosi to Lenel w Holtzendorfa Enzyklopädie, t. I, str. 326, (wyd. 7).

2 O dacie powstania tribus nie da się nic pewnego powiedzieć; comitia centuriata natomiast w tej postaci, którą nam przekazała tradycja, mogły istnieć dopiero w IV w. przed Chr. (ob. Lenel w Holtzendorfa Enzykl. I, wyd. 7, str. 322).

wywołane władzą patris familias (ob. Paulus w D, 28, 2, 11 ... Itaque post mortem patris non hereditatem percipere videntur, sed magis liberam bonorum administrationum consequuntur).

Majątek rodziny składa się z dwóch mas, mianowicie z tzw. familia i pecunia Wedle ogólnie przyjętej opinji familia obejmuje res mancipi, pecunia res nec mancipi Pecunia stanowiła od samego początku własność indywidualną poszczególnego członka rodu (będącego sui iuris), familia stanowiła pierwotnie wspólną własność całego rodu, a ta wspólność dopiero stopniowo ulegała likwidacji i ustępowała miejsca własności indywidualnej poszczególnego patris familias. W prawie XII tablic widzimy już zupełne zwycięstwo własności indywidualnej także przy res mancipi. Kiedy jednak indywidualny charakter prawa własności przy pecunia i swoboda właściciela do rozporządzania swą pecunia między żyjącymi pominiętą zostaje w ustawie XII tablic zupełnem milczeniem, jako rzecz rozumiejąca się samo przez się, to inaczej ma się sprawa przy res mancipi (familia)[1]; pozostałości dawnej wspólnej własności rodowej utrzymywały się długo pod postacią ograniczeń właściciela (patris familias) w rozporządzaniu swemi res mancipi nawet między żyjącymi; wydaje się bardzo prawdopodobnem, że dopiero tzw. ustawa XII tablic uznała swobodę rozporządzania tzw. familia między żyjącymi i że właśnie uznanie tej swobody było w tej materji główną zdobyczą rodzin dążących do niezależności od władzy rodowej. »Si nexum faciet mancipiumque, uti lingua nuncupassit, ita ius esto« (Tab. VI 1). Te słowa są — mem zdaniem — stwierdzeniem tej swobody i usunięciem wszelkich ograniczeń istniejących w prawie dotychczasowem[2].

Z ograniczeń tych w ustawie XII tablic utrzymały się jeszcze

---

[1] Co do różnicy między familia a pecunia tudzież przyczyn, które tę różnicę wywołały, ob. Bonfantego Forme primitive ed evoluzione della proprietà romana w Scritti giuridici varii t. II str. 1—306.

Być może, że indywidualny (od początku) charakter prawa własności przy pecunia, w przeciwstawieniu do wspólnej pierwotnie własności rodowej przy familia — wywołał różnice w sposobie ochrony dotyczących praw własności, a różnice te utrzymywały się już i po przekształceniu prawa własności na familia we własność indywidualną i dały powód do ogólnie przyjętego dziś w nauce twierdzenia, że pierwotnie prawo rzymskie za przedmiot własności cywilnej uznawało jedynie res mancipi, a przy res nec mancipi uznawało jedynie posiadanie.

[2] Pozostawiam tu na boku różnicę (nie dość wyjaśnioną) między nexum, a negotium per aes et libram.

tylko dwa, mianowicie opieka rodu nad niedojrzałymi (impuberes) i nad kobietami. Instytucja opieki pojmowana była wówczas nie jako obowiązek, lecz jako prawo najbliższego agnata, któremu w razie śmierci pupila czy kobiety miał przypaść jej majątek. Celem prawa było zabezpieczenie majątku pupila względnie kobiety przed jego uszczupleniem na szkodę rodu; środkiem do celu nieważność aktów prawnych, za pośrednictwem których niedojrzały czy kobieta rozporządzaliby swym majątkiem między żyjącymi bez interpositio auctoritatis ze strony opiekuna, co później skonstruowane zostaje jako konsekwencja ograniczonej zdolności do działania D 26, 4, 1 pr. ob. Sohm wyd 16 str. 658 uw. 3. Jak się zdaje wynikać z Gaia II, 47 »Mulieris, quae in agnatorum tutela erat, res mancipi usu capi non poterant, praeterquam si ab ipsa tutore auctore traditae essent, idque ita lege XII tabularum cautum erat« — ograniczenie powyższe dotyczyło w owym czasie tylko res mancipii a nie dotyczyło pecuniae, a dopiero później rozciągnięte zostało na cały majątek, gdyż w przeciwnym wypadku nie możnaby zrozumieć dlaczego wspomniany cytat wyklucza zasiedzenie tylko przy res mancipi pozbytych bez interpositio auctoritatis ze strony tutora por. Sohm wyd. 16, str. 661 uw. 1. Powyższe ograniczenia osób sui iuris w interesie rodu miały jednak w ustawie XII tablic złagodzone ostrze skutkiem przyznania patri familias prawa do ustanowienia w rozporządzeniu ostatniej woli opiekuna dla osób pod jego władzą pozostających (uti legassit super pecunia tutelave suae rei ita ius esto), a taka tutela dativa wyklucza opiekę rodową sprawowaną z mocy prawa przez najbliższego agnata. Już w tem tkwią zawiązki innego pojmowania opieki.

Bardzo znamienne są postanowienia dotyczące furiosos, (Tab. V 7 a). »Si furiosus escit, ast ei custos nec escit adgnatum gentiliumque in eo pecuniaque eius potestas esto«.

Dlaczego milczeniem zostaje tutaj pominięta familia (res mancipi), o której zachowanie przecież jako o część majątku rodowego w pierwszej linji ówczesne prawo troszczyć się powinno? Mojem zdaniem cura prodigi była instytucją znacznie starszą od tej normy prawnej, a pierwotnie zadaniem curatoris furiosi była piecza nad familia furiosi i o tem powyżej przytoczony fragment ustawy XII tablic całkiem nie wspomina jako o rzeczy niewątpliwej, ale obok tego wprowadza inowację, mianowicie przyznanie kuratorowi fu-

riosi władzy nad samym furiosus i nad jego pecunia, co jest również dowodem zmieniających się zapatrywań na zadania kuratora.

Tradycja ustawie XII tablic przypisuje interdykcję majątkową, tj. odjęcie marnotrawcom zarządu ich majątkiem (Tab. V 7 b): Lege XII tabularum prodigo interdicitur bonorum suorum administratio (D 27, 10, 1). Lex XII tabularum prodigum, cui bonis interdictum est, in curatione iubet esse agnatorum (Ulpianus Lib. reg. XII 2).

Na podstawie naszych dotychczasowych studjów nad ustawą XII tablic możemy na pewne przyjąć, że w tej formie powyższe postanowienie nie może być autentycznym tekstem XII tablic, gdyż pojęcie majątku jako całości (bona) jest tej ustawie obce i jest ono wytworem znacznie późniejszym, a bardzo znamiennem jest, że formuła interdykcji majątkowej, stosowana znacznie później, bo przez pretora, brzmi (wedle Paulusa Sententiae III 4 a, 7): »Quando tibi b o n a p a t e r n a a v i t a q u e nequitia tua disperdis liberosque tuos ad egestatem perducis ob eam re tibi (ea?) re commercioque interdico«. Ustawa XII tablic zna tylko familiam et pecuniam, a wobec stanowiska, zajętego przez wspomnianą ustawę, wydaje nam się bardzo nieprawdopodobnem, aby w myśl tej ustawy interdykcja majątkowa stosowana była do pecunia marnotrawcy, choćby to nawet była odziedziczona po ojcu względnie dziadku (paterna avitaque)[1]; bardzo natomiast jest prawdopodobnem, że wedle ustawy XII tablic ród (gens) mógł względem marnotrawcy zastosować interdykcję t y l k o c o d o f a m i l i a (tj. res mancipii), aby nie dopuścić do jej lekkomyślnego pozbycia, a temsamem do uszczuplenia majątku rodowego. Dopiero później, kiedy — jak zobaczymy — zatarła się różnica między familia a pecunia i powstało pojęcie majątku jako całości (bona), wtedy interdykcję majątkową marnotrawcy rozszerzono na cały majątek (tj. zarówno familia i pecunia); podobnie postąpiono z instytucją opieki nad impuberes et feminae, wymagając później interpositionis auctoritatis ze strony tutora nietylko przy pozbyciu familiae, lecz także przy pozbyciu lub obciążeniu jakiejkolwiek części składowej majątku.

Obok familia i pecunia ustawa XII tablic zna już wierzytel-

---

[1] Co do historji tej interdykcji por. Wróblewski: Zarys Wykładu t. I str. 295.

ności (C 3, 36, 6, C 2, 3, 26). Ani wierzytelności, ani odpowiadające im zobowiązania dłużników, wedle ustawy XII tablic, nie mogą być przenoszone przez czynności prawne między żyjącymi i dlatego kwestje, powyżej roztrząsane co do familia i pecunia, — w stosunku do wierzytelności i zobowiązań były nieaktualne.

O ile rozchodzi się o swobodę rozporządzania swym majątkiem na wypadek śmierci, to ustawa XII tablic robi zasadniczą różnicę między familia z jednej strony, a pecunia ze strony drugiej. Pater familias może swą pecunia rozporządzać zupełnie swobodnie w formie legatów czyli zapisów[1] (uti legassit super pecunia... suae rei, ita ius esto)[2]. Jeżeli ustawa XII tablic pomija milczeniem swobodę rozporządzania swą pecunia przez czynności prawne między żyjącymi, uważając tę sprawę jako zupełnie niewątpliwą, to uważa za potrzebne wyraźnie stwierdzić swobodę rozporządzenia swą pecunia na wypadek śmierci, co pozwala nam przypuszczać, że i tutaj mamy do czynienia z inowacją, mianowicie z nową koncesją prawodawcy na rzecz samodzielności patris familias, polegającą na usunięciu dotychczas istniejących ograniczeń w rozporządzaniu swą pecunia.

W myśl powyżej przedstawionej swobody spadkodawca mógł swą pecunia zapisać zarówno swym heredes sui (ob. niżej), jak i obcym (extranei), ale — zwłaszcza w owych czasach — rozporządzenie swą pecunia na rzecz obcych należało do bardzo rzadkich wypadków; jeżeli zaś było kilku heredes sui, a pater familias swą pecunia im przeznaczał w drodze zapisu, to wówczas zapis ten przedstawiał się jako przeprowadzony przez spadkodawcę patrem familias podział pecuniae między haeredes sui. W tej formie zapis

---

[1] Legat ten jest identyczny z późniejszym legatum per vindicationem. Do jego sporządzenia nie była wówczas wymagana forma testamentu; nasza hipoteza co do ówczesnej formy legatu będzie przedstawiona niżej w związku z formą testamentu per aes et libram.

[2] Wbrew communis doctorum opinio należy podnieść, że w tekście przytoczone słowa przyznają swobodę czynienia zapisów a nie swobodę testowania (legare, nie zaś testare) i że ta swoboda czynienia zapisów dotyczy tylko pecunia, a nie familia. Jeżeli teorja późniejsza (Gaius II 224, Pomponius z D 50, 17, 120) słowa te wbrew ich oczywistemu brzmieniu pojmowała jako przyznanie swobody testowania, to mamy tutaj próbę oparcia późniejszego prawa i to prawa zwyczajowego na postanowieniach ustawy XII tablic (ob. niżej), przyczem co do Pomponiusa podnieść należy, że opiera się on na zmienionym nieautentycznym tekście XII tablic: »uti legassit suae rei, ita ius esto«.

pecuniae przypominał pojawiający się często w rozporządzeniach ostatniej woli, opartych na prawie greckiem (διαθηκη), podział majątku dokonany przez spadkodawcę między swe dzieci (ob. Rabel, Elterliche Teilung w Festschrift der 49 Versammlung der Philologen; Bonfante, Scritti giuridici varii, t. I [1916] str. 380—429).

Jeżeli spadkodawca nie rozporządził swą pecunia w drodze zapisu, to przypadała ona jego dziedzicom (heredes sui lub testamentarii)[1], jeżeli spadkodawca rozporządził częścią swej pecuniae w drodze zapisów, to dziedzicom przypadała pozostała reszta pecuniae. Jeżeli dziedziców nie było (tj. ani haeredes sui, ani heredes testamentarii), to znane nam fragmenty ustawy XII tablic zachowują w tej kwestji zupełne milczenie. Wykluczonem jest, aby w tym wypadku pecunia przypadała iure caduco najbliższemu agnatowi, czy też gentylom, tak jak to ustawa XII tablic wyraźnie postanawia co do familia, gdyż przy familia postanowienie takie jest pozostałością dawnej wspólnej własności rodowej, której przedmiotem była familia, a pecunia przeciwnie od początku istnienia swego (jako instytucji prawnej) była własnością indywidualną patris familias. Gdyby na tym punkcie ustawa XII tablic, wbrew dotychczasowemu stanowi prawnemu, zrównała pecuniam z familia, to niewątpliwie taka zasadnicza inowacja nie byłaby została pominięta milczeniem w ustawie XII tablic. Wobec tego nasuwa się nam jedno przypuszczenie, mianowicie, że pecunia w razie, jeżeli pater familias nie rozporządził nią w drodze zapisu, a zmarł nie pozostawiając dziedzica (ani haeredes sui, ani testamentarii), to pecunia taka stawała się res nullius i jako taka mogła być nabyta w drodze zasiedzenia[2] przez jakąkolwiek osobę mającą potrzebną zdolność prawną[3]. Instytucję podobną spotykamy i w innych pra-

[1] Wynika to z pojęcia dziedzica (heredis sui lub testamentarii) jako kontynuatora domu i familji.

[2] tj. usucapionis. Pomimo, że pecunia taka stanowiła rzecz niczyją, to jednak nie mogła w owym czasie być nabytą na własność w drodze zawłaszczenia (occupatio), albowiem zawłaszczenie, jako sposób nabycia własności, jest instytucją znacznie późniejszą od ustawy XII tablic, mianowicie wytworem jurysprudencji z końca republiki rzymskiej (ob. Costa Storia del diritto romano privato dalle origini, wyd. 2, str. 212, Turyn 1925).

[3] Ponieważ pecunia obejmowała tylko ruchomości, więc termin zasiedzenia był jednoroczny ob. Tab. VI 3 (Cicero Top. 4, 23). Nasza hipoteza co do pierwotnej usucapio pecuniae będzie uzasadniona poniżej w związku z losami spadku bezdziedzicznego i usucapio pro haerede przy testamencie per aes et libram.

wodawstwach na analogicznym stopniu rozwoju, np. w pierwotnych prawach słowiańskich; tam spadek, pozostawiony przez zmarłego, uważany był za res nullius i z tego powodu zwany był »puściзną« tj. rzeczą opuszczoną (derelicta) i jako taki był przedmiotem wolnej okupacji; dopiero późniejszy rozwój swobodę tę ogranicza (ob. Dąbkowski, Prawo prywatne polskie, t. I str. 49, t. II 12—16). Gdyby nasza hipoteza była trafną, to mielibyśmy tutaj zawiązek, z którego w prawie rzymskiem rozwinęła się późniejsza usucapio pro herede (lucrativa), gdy z rozwojem prawa zatarła się różnica między familia i pecunia i gdy te obydwie masy majątkowe stanowiły już tylko części składowe jednolitej masy spadkowej (hereditas). W każdym razie instytucja usucapionis pro herede w swej późniejszej formie (ob. Gaius II 52—58) nie mogła istnieć w ustawie XII tablic, gdyż opiera się ona na pojęciu masy spadkowej jako całości (hereditas), a pojęcie to jest jeszcze zupełnie obce ustawie XII tablic, znającej tylko familiam et pecuniam; ponadto w ustawie XII tablic usucapio familiae pro herede jest wykluczona wobec postanowień, przyznających familiam w braku dziedzica ipso iure najbliższemu agnatowi, ewentualnie gentylom tak, iż usucapio pro herede w ustawie XII tablic mogłaby mieć zastosowanie tylko do pecunia w braku zapisobierców (legatarjuszy) i w braku dziedziców. Okoliczność ta potwierdza naszą hipotezę.

Co do wierzytelności i odpowiadających im długów, to były one nieprzenośne, a z tego powodu spadkodawca nie mógł nimi rozporządzać tak, jak mógł rozporządzać swą pecunia; przechodziły one (tj. wierzytelności i długi) na dziedziców (heredes sui lub testamentarii); jeżeli było kilku współdziedziców, a przedmiot świadczenia był podzielny, to wierzytelność rozpadała się na tyle częściowych wierzytelności, ilu było dłużników. (C. 3, 36, 6 Gordianus: »Ea quae in nominibus sunt... ipso iure in portiones hereditarias ex lege XII tabularum divisa sunt«, ob. także C 2, 3, 26, Dioklecjan).

Jeżeli czy to wierzyciel czy dłużnik nie miał dziedzica (heres suus lub testamentarius), to zobowiązanie gasło. Zgaśnięcie zobowiązania skutkiem śmierci dłużnika bez pozostawienia dziedziców wynika z pojęcia ówczesnego zobowiązania, które nie ciążyło na majątku (tak jak to było w późniejszem prawie greckiem ob. Partsch. Griechisches Bürgschaftsrecht, I, str. 232, 238 i n. 243, cyt. przez v. Woessa, Das römische Erbrecht, str. 266 uw. 3, tudzież ob. Bonfante, Scritti giur. varii, t. I (1916), str. 188 i nast.), lecz

było osobistym obowiązkiem dłużnika, popartym jego odpowiedzialnością osobistą, nie zaś majątkową. Dopiero pretor pozwala wierzycielom dochodzić swych wierzytelności na majątku spadkowym w razie, jeżeli dłużnik umarł bez pozostawienia dziedziców (ob. Riccobono w Archiv für Rechts- und Wirtschaftsgeschichte, t. XVI, zeszyt 4, str. 510 i n.)[1].

Co do familia, to dochowane fragmenty ustawy XII tablic nie dają żadnej odpowiedzi na pytanie, czy i w jakim zakresie prawo to uznawało swobodę rozporządzeń ostatniej woli w stosunku do res mancipii (familia), gdyż normują one tylko jeden wypadek, mianowicie śmierć patris familias bez pozostawienia testamentu i bez pozostawienia heredes suos. Wspomniany fragment operuje przytem pojęciami »heredes sui« i »testament« bez bliższego ich określenia. Zajmijmy się otóż najpierw pojęciem heredis sui. Samo pojęcie heredis sui musiało być w owym czasie ustalonem i niewątpliwem, jeżeli treść jego we wspomnianym fragmencie nie została bliżej określona. Nie ulega wątpliwości, że prawnicza konstrukcja heredis sui nie zmieniła się od tzw. ustawy XII tablic aż do epoki klasycznej prawa rzymskiego, tzn. przez heres suus należy rozumieć osobę alieni iuris, która bezpośrednio podlegała władzy spadkodawcy jako patris familias, a skutkiem śmierci patris familias staje się automatycznie ab intestato sui iuris i dziedzicem zmarłego jako nowy pater tejże familias. Natomiast nasuwają się wątpliwości, czy wśród heredes sui kobiety były równouprawnione na równi z mężczyznami, w szczególności, czy wogóle mogły być heredis sui, a jeśli tak było, czy dziedziczyły dopiero w braku heredes sui płci męskiej, czy też na równi z mężczyznami. Wspomniany fragment XII tablic i tę kwestję pomija milczeniem. Ogólnie przyjęte jest zapatrywanie, że wedle dochowanego fragmentu, podobnie jak w późniejszem prawie spadkowem, kobiety były równouprawnione z mężczyznami[2]. Przy bliższem zbadaniu

---

[1] Zmiana ta pozostaje w związku z wprowadzeniem przez pretora egzekucji na majątek, tudzież z przyznaniem w drodze restitutionis in integrum actionum fictitiarum wierzycielom tej osoby, która uległa capitis deminutioni.

[2] Z powyższych jedynie Rabel, chociaż przychyla się do tego zapatrywania, to jednak wyraża się z pewną rezerwą »anscheinend« (w Holtzendorfa Enzyklopädie t. I wyd. 7, str. 572). Z dawniejszych romanistów jedynie Hugo w Ziv. Magazin 2, 98 i Griesinger Geschichte und neue Theorie der Suität 1807 utrzymywali, że ustawa XII tablic dotyczyła

pogląd ten musi się wydać co najmniej wątpliwy. Przeciwko równouprawnieniu mężczyzn i kobiet wśród heredes sui przemawiają następujące względy:

a) interes rodu, którego organizacja w owych czasach była jeszcze bardzo silna — jak na to wskazują wyżej przedstawione instytucje np. opieka nad niedojrzałymi, nad kobietami, kuratela nad osobami umysłowo chorymi, nad marnotrawcami. Interesem rodu podyktowane było ograniczenie w rozporządzaniu »familią« (res mancipi) na wypadek śmierci. Wszystkie te instytucje podyktowane były dążnością zachowania dla rodu nieuszczuplonej jego »familia«. Tymczasem dziedziczenie kobiet w charakterze heredes sui na równi z mężczyznami (zwłaszcza przy istniejących jeszcze wówczas ograniczeniach w rozporządzaniu »familią« na wypadek śmierci) musiałoby doprowadzić do tego, żeby części tej familiae skutkiem małżeństw kobiet sui iuris wychodziły z rodu)[1]. Jeżeli z powyższych względów u wszystkich narodów na tym stopniu rozwoju kobiety w prawie dziedziczenia nie były równouprawnione z mężczyznami[2], to wprost jest wykluczonem, aby było inaczej w prawie rzymskiem; może być tylko wątpliwem, czy to upośle-

---

tylko suos nie suas, ale ich wystąpienie przeszło bez echa (ob. von Woess, Das römische Erbrecht, str. 65 uw. 2).

[1] Małżeństwo kobiety sui iuris (a zatem już sieroty), nie mogło być rzadkością wobec częstych wojen w owym czasie przez Rzym prowadzonych, skutkiem których pater familias często przedwcześnie w walce ginął. Zwyczaj nieprzyjmowania nowonarodzonych córek do rodziny (repudiare, negare liberum) gdyby nawet istniał, to jednak nie mógłby usunąć przedstawionego w tekscie niebezpieczeństwa dla interesów rodowych. Tymczasem faktem jest, że nieruchomości, stanowiące najważniejszą część składową »familiae« (rerum mancipi), pozostawały jeszcze później w Rzymie przez bardzo długie lata w rękach jednego rodu, od niego były nazywane (fundus Cornelii, fundus Sempronii etc.), a nawet w razie przejścia do innego rodu zachowywały w swej nowej nazwie ślad dawnej przynależności (fundus Cornelianus = fundus olim Cornelii), (ob. Cuq, Institutions juridiques des Romains wyd. 1, t. I str. 504, t. II str. 190, oraz Fronto de diff. 520 cyt. u Cuq'a I str. 85 uw. 2). Gdyby kobiety jako haeredes sui były równouprawnione z mężczyznami i to w okresie, kiedy ograniczoną była swoboda rozporządzeń ostatniej woli, dotyczących res mancipii (familia), toby takie długotrwałe pozostawanie nieruchomości w jednym rodzie było niemożliwem.

[2] Co do upośledzenia kobiet w porównaniu z mężczyznami w prawie greckiem a nawet w późniejszem prawie hellenistycznem (księga prawna rzymsko-syryjska) ob. Mitteis, Reichsrecht und Volksrecht, str. 65 i nast., str. 350.

dzenie kobiet usuniętem zostało dopiero później po tzw. ustawie XII tablic, czy też przeciwnie już w ustawie XII tablic jest to usunięcie faktem dokonanym. Badając dostępne nam źródła z tego punktu widzenia, spostrzeżemy, że gdyby tzw. ustawa XII tablic znała równouprawnienie kobiet z mężczyznami jako heredes sui, to byłaby to z pewnością instytucja nowa i dlatego to równouprawnienie byłoby, pomimo lapidarnej stylizacji XII tablic, wyraźnie podkreślone, a gdyby świeżo zostało wprowadzonem to nie mogłoby zostać pominięte milczeniem jako zasada ustalona od dawna i niesporna, jak to widzieliśmy już na dotychczasowych przykładach. Ponadto zasada równouprawnienia kobiet z mężczyznami w dziedzinie prawa prywatnego dopiero znacznie później poczęła sobie zdobywać uznanie; jeżeli się przegląda restytucję edyktu pretorskiego, muszą uderzać nas pleonastyczne dla naszego ucha podkreślenia, że pewien ustęp dotyczy zarówno mężczyzn jak kobiet, np. de capite minutis [1], de servo corrupto [2], de bonis libertorum (tamże punkt 150) si suus heres erit (tamże p. 209, 210). Charakterystycznem jest, iż Ulpian D 50, 16, 1 libro primo ad edictum uważa za stosowne wyraźnie zaznaczyć »Verbum hoc »si quis« tam masculos, quam feminas complectitur«. A zatem w III wieku po Chr. nie wydaje mu się pleonazmem wyraźne podkreślenie równouprawnienia kobiet z mężczyznami w dziedzinie prawa prywatnego jako reguły interpretacyjnej mającej zastosowanie o tyle, o ile wyjątkowy przepis czegoś przeciwnego nie postanawia. Dla pretorów w chwili redakcji dotyczących ustępów edyktu nawet taka ostrożna stylizacja, jak Ulpiana, wydawała się niebezpieczną i dlatego pretorowie woleli w każdym ustępie przy zachodzącej wątpliwości zaznaczyć, że dotyczy on zarówno kobiet jak mężczyzn. Wśród przytoczonych przez nas ustępów edyktu pretorskiego dwa mianowicie »de bonis libertorum« i »si suus heres erit« dotyczą prawa spadkowego, co pozwala przypuszczać, że w chwili redakcji tych postanowień, równouprawnienie kobiet z mężczyznami w dziedzinie prawa spadkowego było zasadą jeszcze nieustaloną i dlatego potrzebującą wyraźnego potwierdzenia przy poszczególnych kwestjach. Zwłaszcza na uwagę zasługuje wyżej wspomniany ustęp edyktu »si suus heres erit«. Ustęp ten do-

---

[1] ob. rekonstrukcję u Girarda (w Textes du droit romain) p. 42.
[2] ob. tamże, p. 63.

tyczy beneficium abstinendi istniejącego już za czasów republiki [1], a w tej postaci, którą otrzymał w redakcji Juliana [2], podkreśla silnie, że beneficium to przyznane zostaje heredi suo zarówno płci męskiej jak i żeńskiej, co wygląda na walkę pretora z upiorem dawnego prawa, odmawiającego równouprawnienia kobiecie jako heredi suo. Jeżeli się uwzględni, że koniec republiki jest okresem rozkładu dawnego ustroju rodowego, z którego odtąd pozostają tylko przeżytki, obchodzone przez praktykę, np. tutela legitima mulierum, to stanie się dla nas prawdopodobnem, że w takiej sytuacji pretor w swym edykcie starał się usunąć upośledzenie kobiety jako heredis sui istniejące w prawie cywilnem [3]. Istotnie zrównanie kobiet z mężczyznami jako heredes suos przy dziedziczeniu ab intestato spotykamy napewno dopiero w pretorskiem prawie dziedziczenia, mianowicie w ustępie »unde liberi«. Bardzo znamiennem jest, że pierwotnie pretor w edykcie »si de hereditate ambigitur« [4] bonorum possessionem przyrzekał jedynie heredibus extraneis (nie zaś suis), a przyrzekał ją, oczywiście dopiero w braku heredis sui, dziedzicowi testamentowemu. W braku dziedziców testamentowych, będących heredes extranei, bonorum possessionis mogli się od pretora domagać dziedzice ab intestato wedle prawa cywilnego (unde legitimi) z wykluczeniem heredes sui. Dopiero później w albumie pretorskim w związku z innemi zmianami odpadły słowa »si de hereditate ambigitur« (ob. Lenel, Edictum perpetuum, str. 336), a obok tego stworzoną została przez pretora nowa kategorja osób »liberi«, którym pretor przyrzekał udzielenie bonorum possessionis jeszcze przed heredes legitimi. Powszechnie tłumaczy się zmianę powyższą tą okolicznością, że pierwotnie stanowisko heredum suo-

---

[1] ob. Cicero, Philipp II, 16, 44 in fine »... cum ipse haereditatem patris non adiisses« (cyt. u Cuq'a Instititions jur. wyd. 1, t. II, str. 632, uw. 6).

[2] Lenel, Edictum perpetuum, str. 403, 404.

[3] Jeszcze u Gaia spotykamy przy testamencie kobiet postanowienia, które przedstawiają się jako widoczne uprzywilejowanie męskich agnatów, celem utrzymania majątku w rodzie (II 118—122). Dalszem tego rodzaju uprzywilejowaniem była lex Voconia (Gaius II 274). Wreszcie dziedziczenie agnatów bocznych płci żeńskiej ograniczone było tylko do sióstr spadkodawcy (ob. Paulus, Sententiae IV, 8, § 20 [22]). Wszystkie te ograniczenia dadzą się zrozumieć jako przeżytki dawnego, znacznie dalej sięgającego upośledzenia kobiet w prawie spadkowem, które się utrzymały pomimo rozkładu organizacji rodowej (ob. niżej).

[4] Tekst tego edyktu przytoczony przez Lenela (Edictum perpetuum, str. 336), za Ciceronem in Verr. II[1] c. 45 § 117).

rum jako członków tej samej familia dawało im nie zakwestjonowane prawo spadkowe, wobec którego zbytecznem było przyznanie im przez pretora bonorum possessionis; natomiast gdy rozwinęła się swoboda testowania przez uznanie testamentu per aes et libram i gdy nadto pretor przyznał heredibus suis beneficium abstinendi, przynależność do familia spadkodawcy przestała być tak pewnem kryterjum prawa dziedziczenia i dlatego pretor uznał za wskazane także i tym dziedzicom przyrzec w swym edykcie przyznanie bonorum possessionis (ob. zamiast wszystkich Sohm, wyd. 16. str. 697 uw. 8). Zastanowić jednak nas musi, że pretor bonorum possessionem przyrzeka nie heredibus suis lecz »liberis«. Być może, że pretor skorzystał ze sposobności, aby powołać do spadku także syna emancypowanego, który skutkiem emancypacji już przestał być heres suus, a tem samem pretor uwzględnił zasady kognacji przy dziedziczeniu obok agnacji. Obok tych czynników mógł istnieć dla pretora jeszcze jeden bardzo ważny powód, mianowicie powołanie w tej klasie kobiet na równi z mężczyznami wbrew upośledzeniu kobiet jako heredes sui, istniejącemu w dotychczasowem prawie cywilnem, a to tembardziej, że wprowadzenie edyktu »unde liberi« przypada na czasy po Cyceronie, zatem na czasy rozkładu ustroju rodowego. Byłoby to więc zrównanie w prawie pretorskiem kobiet upośledzonych przez prawo cywilne jako heredes suos. Za przypuszczeniem, że zrównanie kobiet z mężczyznami jako heredes suos pochodzi od pretora, przemawia i ta okoliczność, że prawo pretorskie hołdowało zasadzie równouprawnienia kobiet z mężczyznami w dziedzinie prawa familijnego i z tego powodu nie wymagało auctoritatis tutoris do ważności czynności prawnych nie opartych na ius civile (ob. Wróblewski, Zarys wykładów, I, str. 293). To tłomaczyłoby nam z łatwością odrzucenie pojęcia heredes sui przez pretora i posługiwanie się w jego miejsce pojęciem »liberi«. Wbrew dążności prawa rzymskiego, aby nawiązywać do pojęć już istniejących, sama chęć uwzględnienia syna emancypowanego takiej innowacji usprawiedliwić nie zdoła, gdyż — gdyby rozchodziło się o samego syna emancypowanego — pretor mógłby go uwzględnić przy pomocy jakiejś fikcji. Na podstawie powyższych okoliczności wydaje się wielce prawdopodobnem, że kobiety jako heredes sui zostały zrównane z mężczyznami dopiero przez pretora w ustępie edyktu »unde liberi«. Tradycja rzymska, odnosząca to równouprawnienie do cza-

sów dawniejszych, jest taksamo błędną, jak błędna jest tradycja historyczna rzymska przenosząca wiele zdarzeń historycznych wstecz o parę wieków (ob. Pais, Storia critica di Roma)[1] [2].

Stwierdziwszy upośledzenie kobiet w dawnem prawie spadkowem rzymskiem wogóle, a w szczególności także ich upośledzenie jako heredes sui, musimy zapytać, na czem to upośledzenie polegało. Tutaj możemy się posługiwać tylko hipotezami; najprawdopodobniejszą jest hipoteza, że kobiety wedle ustawy XII tablic nie mogły być heredes sui, a to wykluczenie od prawa dziedziczenia było zrównoważone przez swobodę patris familias w rozporządzaniu swą pecunia za pośrednictwem legatów. Za hipotezą powyższą przemawia ta okoliczność, że tego rodzaju upośledzenie kobiet pojawia się w innych prawach szczepów indoeuropejskich na tym samym stopniu rozwoju i to zarówno w świecie starożytnym jak nowożytnym [3]. Za hipotezą tą przemawia cały szereg

---

[1] Stanowisko kobiet przy tzw. formalnym systemie dziedziczenia koniecznego i przy bonorum posessio contra tabulas udzielonej przez pretora liberis, — przedstawię poniżej.

[2] Przeciwko poglądowi przedstawionemu w tekscie przemawia C. VI 58, c. 14 pr. 15 pr., c. ale te świadectwa z czasów Justyniana należy brać z wielką ostrożnością (co do wiarygodności Justyniana por. von Woess, Das römische Erbrecht, str. 152, 153) i nie mogą one zachwiać argumentów, rozwiniętych w tekscie. Taksamo, jak opinja Justyniana, nie mogą stanowić dowodu i Receptae sententiae Paula (4, 8 § 20 [22]) nie będąc autentycznem dziełem Paula, lecz wyciągiem z jego dzieł sporządzonym w IV w. po Chr. w chwili zupełnego upadku klasycznej nauki prawa i w okresie zupełnej nieznajomości tego prawa.

[3] Co do prawa greckiego ob. von Woess, Röm. Erbrecht, str. 65—120, Mitteis, Reichsrecht und Volksrecht str. 63 i n., str. 350, Bauchet, Droit privé de la republique athen. t. III str. 457 i nast.; co do prawa polskiego ob. Dąbkowski, Prawo prywatne polskie t. I str. 388, t. II str. 17—27; co do prawa prywatnego niem. ob. Hübner, Deutsches Privatrecht i Brunner w Holtzendorfa Enzyklopädie wyd. 7, t. I str. 147—149. Kobieta, pierwotnie pozbawiona prawa dziedziczenia, ma jedynie prawo do wyposażenia ewentualnie zaopatrzenia na wypadek staropanieństwa. Dopiero stopniowo prawo to się rozszerza i przekształca w prawo dziedziczenia na równi z mężczyznami. To stadjum przejściowe przedstawia oczywiście wielką rozmaitość u poszczególnych narodów. W Europie nowożytnej dopiero ideje wieku oświecenia, przypadając na chwilę rozkładu stanów, dają kobiecie prawo dziedziczenia na równi z mężczyznami. W Austrji np. projekt kodeksu cywilnego, zwany kodeksem Terezjańskim, ukończony w r. 1766, przyznawał kobietom tylko prawo do wyposażenia, którego wysokość starał się oznaczyć cyfrowo zależnie od stanu (hrabiowskiego, baronowskiego, rycerskiego i t. d.); dopiero projekt Hortena proponuje dla kobiety prawo dziedziczenia na równi z mężczyznami, a równouprawnienie to staje się ustawą dopiero

okoliczności. Gdyby kobiety mogły być heredes sui, to pozostała wdowa, będąca za życia in manu męża (a zatem będąca filiae familias loco), w braku dzieci zabierałaby jako heres suus cały majątek zmarłego patris familias; ówczesne prawo nie dopuściłoby napewno do konsekwencyj, które mogły być wprost groźne dla interesów rodu i które tylko w drobnej mierze mogły być złagodzone przez tutela legitima mulierum, a to tembardziej, że już wedle ustawy XII tablic (T. V, 6, ob. Gaius I, 155) opieka rodowa agnatów mogła być wykluczoną przez opiekę, ustanowioną w rozporządzeniu ostatniej woli zmarłego patris familias, a taka opieka nie zawsze dawała agnatom dostateczne gwarancje. Ponadto zwrócić należy uwagę na język; mianowicie udział w spadku, przypadający każdemu z dzieci, dziedziczącemu jako coheres suus, nazywał się portio virilis już w owych czasach, kiedy kobiety jako heredes sui dziedziczyły ab intestato na równi z mężczyznami (ob. np. Gaius II 124). Nazwa ta pozostaje w owym czasie w jaskrawej sprzeczności z istotą oznaczonej przez nią rzeczy, a jeżeli się zważy ścisłość, z jaką prawo rzymskie i Rzymianie w praktyce prawnej starali się sformułować tekst ustaw czy treść czynności prawnych, to wykluczonem jest, aby taka sprzeczność mogła istnieć od początku; przeciwnie, musimy przyjąć, że pierwotnie heres suus czy coheres suus mógł być tylko mężczyzna i dlatego przypadający nań udział spadku nazywał się portio virilis tj. częścią przypadającą jednemu mężczyźnie[1].

Nasza hipoteza tłomaczy nam również ograniczenie prawa spadkowego kobiet przy dziedziczeniu ab intestato ex iure civili (ob. Gaius III 14, Paulus Sent. IV, 8 § 20 [22]), mianowicie wykluczenie od tego prawa kobiet »ultra consanguineas«. W źródłach

---

w kodeksie zachodnio-galicyjskim (wprowadzonym w życie w r. 1797 najpierw w Galicji Zachodniej, potem w Galicji Wschodniej) oraz w powszechnym kodeksie cywilnym austrjackim z r. 1811. W Cesarstwie rosyjskiem aż do r. 1912 prawo przyznawało córkom dziedziczącym ab intestato obok synów tylko po $^1/_{14}$ części majątku nieruchomego a po $^1/_8$ części majątku ruchomego. Zrównanie córek z synami nastąpiło dopiero na podstawie nstawy z 11/5 1922 poz. 358 D. U. R. P., uzupełnionej następnię nowelą z 18/5 1922. Przy dziedziczeniu w linjach bocznych dziś jeszcze majątek nierodowy (tzw. nabyty) przechodzi wyłącznie na krewnych po ojcu, majątek rodowy wraca do tej rodziny, od której przeszedł na spadkodawcę.

[1] W nowoczęsnym języku prawniczym mówi się w analogicznym wypadku o podziale spadku »wedle głów«.

nie znajdujemy żadnej podstawy do oznaczenia, kiedy tego rodzaju ograniczenie wprowadzone zostało; natomiast wedle naszej hipotezy byłoby ono tylko pozostałością dawniejszego całkowitego wykluczenia kobiet od dziedziczenia ab intestato. Na tej podstawie moglibyśmy w przybliżeniu oznaczyć tę epokę, w której prawo dziedziczenia ab intestato ex iure civili przyznane zostało kobietom, będącym agnatami bocznemi; prawo dziedziczenia kobiet, będących heredes sui jest prawdopodobnie wcześniejsze (ob. niżej).

Dalszym argumentem, przemawiającym za naszą hipotezą, są postanowienia legis Voconiae z r. 169 przed Chr. zabraniające obywatelom I klasy (100,000 asów census) powoływać kobiety na dziedziców (ob. Gaius II, 274). Postanowienia tej ustawy są wprost niezrozumiałe na tle powszechnie przyjętego lecz mojem zdaniem całkiem błędnego poglądu, że w chwili wydania tej ustawy kobiety ab intestato dziedziczyły na równi z mężczyznami. Skutkiem tego w nauce prawa rzymskiego przyjmowano albo, że równocześnie lex Voconia odjęła kobietom i prawo dziedziczenia ab intestato[1], albo, że lex Voconia wyzyskiwała opinję publiczną, pojmującą sporządzenie testamentu jako pierwszorzędny obowiązek moralny rzymskiego patris familias, a śmierć bez testamentu jako śmierć niehonorową[2]. Pogląd pierwszy został odrzucony z tego powodu, że źródła nie dawały najmniejszej podstawy do takiego przypuszczenia. Pogląd drugi nie liczy się z tą okolicznością, że opinja publiczna może się zmienić pod naciskiem pewnych nowych potrzeb, a zatem gdyby prawo dziedziczenia kobiet było powszechnie uznawane jako potrzebne i pożądane, to opinja publiczna przestałaby uważać za rzecz niehonorową niesporządzenie testamentu w tym celu, aby pozostawić kobietom ich prawo dziedziczenia ab intestato. W dodatku postanowienia o konieczności wydziedziczenia córek przynajmniej inter ceteros pozwalałyby bardzo łatwo zachować dla córki jej prawo dziedziczenia ab intestato nawet przy pozostawieniu ważnego testamentu. Natomiast nasza hipoteza, że kobiety w chwili wydania legis Voconiae nie miały prawa dziedziczenia nawet w linji prostej zstępnej jako heredes sui (a tem bardziej w linjach bocznych), pozwala nam z łatwością zrozumieć

[1] ob. Bachofen, Die lex Voconia und die mit ihr zusammenhängenden Rechtsinstitute 1843, cyt. przez v. Woessa, Das römische Erbrecht, str. 76 uw. 50.

[2] von Woess, Das römische Erbrecht, str. 76 i nast.

tę ustawę. W chwili wydania tej ustawy uznany był już testament per aes et libram, który dawał spadkodawcy swobodę rozporządzeń ostatniej woli, dawniejszemu prawu nieznaną (ob. niżej). Spadkodawcy korzystali z tego, aby ustanawiać dziedzicami kobiety (najczęściej swe córki w braku synów lub wnuków) które nie dziedziczyłyby ab intestato. Lex Voconia stara się temu zapobiec w interesie silnych jeszcze wówczas związków rodowych. Lex Voconia nie zmieniła jednak dawniejszego prawa, które pozwalało kobietom pozostawiać legaty, a tylko zmieniło postanowienia poprzedniej legis Furiae codo maksymalnej wysokości tych legatów pozwalając legatarjuszowi nabyć tytułem legatu nie więcej niż dostają dziedzice (Gaius II, § 226). W ten sposób stają się zrozumiałe dla nas ustępy źródłowe, wskazujące, że lex Voconia zwracała się w pierwszej linji przeciwko dziedziczeniu córek[1] oraz biadania Cycerona, że córce swej nie może pozostawić całego majątku[2].

Postanowienia legis Voconiae stały się powodem, że w praktyce pojawia się tzw. legatum partitionis[3]; uderzającem bowiem jest, że w największej ilości wypadków takiego legatum partitionis legatarjuszem jest kobieta[4]. Tu jednak codo maksymalnej wysokości legatów, zakreślonej w tej ustawie nasuwają się nam jeszcze wątpliwości; mianowicie wedle Gaia poszczególny legatarjusz nie mógł mieć legatu przewyższającego wartość tego, co wszystkim dziedzicom ze spadku pozostaje. Natomiast inne źródła wyrażają się tak, jak gdyby kobietom (a one wchodziły w rachubę jako

---

[1] Ustępy te są następujące: (cyt. wedle v. Woessa Röm. Erbrecht str. 70 uw. 30) Gai II 226, 274, Cicero in Verrem secunda I 41—44, (§ 104—114), Cicero de senectute 5 § 14; de finibus boni et mali 17 § 55; de republica 3, 10 § 17; pro Balbo 8 § 21, Ps. Asconius do Cicerona in Verrem secunda 1, 41 § 106 v. cum intelligam legem Voconiam, Livius epit. lib. 41 (sam tekst zaginął), Dio Cassius, hist. rom. 56, 10, Plinius paneg. § 42, Augustinus de civitate Dei 3, 20, Gellius noctes atticae 6 (7) 13; 17, 61; 20, 1, 23. Paulus Sent. 4, 8 § 20 (22) mos. et rom. legum coll. 16, 3 § 20 I. 20, 22 p. oraz do tego parafraza grecka Theophila. Quintilianus inst. or. 9, 2, 73, 74. Zdaniem v. Woessa nie dotyczy legis Voconiae przypisywana Quintylianowi 264-ta z pomiędzy tzw. declamationes minores.

[2] De rep. 3, 10, § 17 in Verrem sec. 1, 44 § 112 (cyt. v. Woessa Röm. Erbrecht, str. 88 uw. 1).

[3] ob. Cuq, Institutions juridiques des Romain, wyd. 1, t. I, str. 353, 354. U Ulpiana XXIV, 25 zachowała się formuła tego legatu »Heres meus cum Titio hereditatem meam partitor, dividito«.

[4] ob. ustępy cytowane przez Cuq'a, tamże, t. I, str. 554 uw. 4.

legatarjusze) można było pozostawić tylko połowę wartości spadku, druga połowa musiałaby pozostać dla dziedziców[1]. Kwestję tę na razie pozostawiam na boku.

Wydaje się również, że postanowienia nakazujące córki albo wydziedziczyć albo ustanowić dziedzicami dadzą się żadną jedynie wytłomaczyć przez naszą hipotezę o wykluczeniu kobiet od dziedziczenia ab intestato jako heredes sui. Jeżeli się jednak bliżej tym postanowieniom przyjrzymy (Gaius II, 124), to zobaczymy, że pochodzą one z dwóch różnych okresów, a nawet wcześniejszy z tych przepisów musi być późniejszy od lex Voconia, bo wskazuje na jej przeżycie się. Pierwszy z tych przepisów córkom, pominiętym w testamencie[2] przy ustanowieniu w testamencie dziedzicem extraneusa, przyznaje razem tylko połowę spadku; drugi przepis córkom, pominiętym w testamencie przy ustanowieniu w testamencie dziedzicami synów, przyznaje portionem virilem tj. części równe z synami. Nierównomierność traktowania córek w obu tych wypadkach rzuca się w oczy; gdy nie dziedziczą synowie, gdy zatem cały spadek powinienby przypaść córkom, tam otrzymują one razem tylko połowę spadku, zatem każda z córek tylko połowę udziału przypadającego na nią, jako na dziedzica ab intestato; natomiast gdy dziedziczą na mocy testamentu synowie, a zatem bliżsi testatorowi i gdy uprzywilejowanie synów w stosunku do córek przy dziedziczeniu testamentowem odpowiadało obyczajom rzymskim jeszcze w epoce klasycznej[3] córce przypada pełna portio virilis, taka jak synowi. Wytłomaczyć nam tę sprzeczność może tylko nasza hipoteza, że pierwotnie córki były wykluczone od dziedziczenia ab intestato jako heredes sui, a lex Voconia zabroniła powoływać je do dziedziczenia w testamencie. Kiedy ze zmianą stosunków poczęły się zmieniać poglądy na kwestję dziedziczenia przez kobiety, spróbowano pominiętym córkom przyjść z pomocą w wypadku najbardziej rażącym tj. w razie pominięcia ich przy ustanowieniu w testamencie dziedzicem extraneusa; ale pierwszy ten krok był nieśmiały i dlatego zadowolono się przyznaniem pominiętym córkom tylko połowy spadku, załatwiono zatem sprawę

[1] ob. von Woess, Röm. Erbrecht, str. 71, 72 zwłaszcza Gai II 226 Quintilian (?) decl. minores 264, por. wyżej uwagi o legatum partitionis.

[2] tj. nie wydziedziczonym inter ceteros.

[3] ob. zamiast wszystkich von Woess, Das römische Erbrecht, str. 65—120.

kompromisowo[1]. Niebawem zrobiono krok dalszy; postanowiono przyjść z pomocą córkom pominiętym także i wtedy, gdy ustanowieni dziedzicami w testamencie byli synowie lub wnukowie zmarłego, a ponieważ tymczasem opinja oswoiła się z przyznaniem kobietom prawa dziedziczenia, więc pomoc w tym wypadku była śmiałą i konsekwentną na stanowisku równouprawnienia kobiet z mężczyznami jako heredes sui. Ta okoliczność wskazuje, że to ostatnie prawidło musi być mniejwięcej współczesne powstaniu edyktu pretorskiego »unde liberi«. W ten sposób powstała jednak rażąca nierównomierność, którą złagodził dopiero nowy edykt pretorski, udzielający bonorum possessionem contra tabulas dzieciom zmarłego pominiętym (tj. formalnie nie wydziedziczonym w testamencie)[2]. Na zwyczaj zaopatrywania córek legatami wskazuje postanowienie, że osoby domagające się pretorskiej bonorum possessionis z powodu pominięcia ich w testamencie, nie mogą kumulować legatu, przyznanego im w testamencie, z bonorum possessio przypadającej im portionis virilis, lecz muszą między temi alternatywami wybierać (ob. Zoll-Lisowski, Rzymskie prawo pryw. T. V, str. 96, Gai II, 132, por. także Ulp. reg. 22, 21).

Nasuwa się pytanie, w jaki sposób ta reforma została przeprowadzona. Oczywiście i tutaj skazani jesteśmy na hipotezy; najprawdopodobniejszą wydaje mi się następująca: Testator — jak wiadomo — w testamencie per aes et libram musiał swych heredes suos albo ustanowić dziedzicami. albo ich wydziedziczyć; pominięcie pociągało za sobą nieważność testamentu. Pierwotnie,

---

[1] To postanowienie musi być bezwarunkowo późniejsze od lex Voconia, bo gdyby już obowiązywało w chwili wydania legis Voconiae, musiałoby przez nią zostać uchylonem jako ubezwładniające tę ustawę.

[2] Dopiero później za Antonina zrobiono krok wstecz, postanawiając, że kobieta, uzyskując jako heres suus z powodu swego pominięcia w testamencie bonorum possessionem, nie może uzyskać więcej niż jej przypada wedle prawa cywilnego (Gaius II 126). Ta okoliczność dowodzi mojem zdaniem, że zasada równouprawnienia kobiet z mężczyznami jako heredes sui, w prawie rzymskiem się nie przyjęła, pomimo przeprowadzenia jej w prawie pretorskiem, a uznania jej przez prawo cywilne. Dalszych dowodów dostarcza nam praktyka sądu centumwiralnego z powodu querela inofficiosi testamenti, która w zasadzie oddalała córkę już odpowiednio wyposażoną, a zupełnie inaczej traktowała querelam inofficiosi testamenti synów lub wnuków. Również w testamentach wydziedziczano zazwyczaj córki, pozostawiając im legaty, o ile już nie otrzymały wcześniej posagu, ob. von Woess, Das römische Erbrecht str. 84 i nast.

nawet o ile rozchodziło się o synów, wystarczała exheredatio inter ceteros (ob. von Woess, Das romische Erbrecht, str. 153, 173); później dopiero mniejwięcej za czasów Cycerona, praktyka sądu centumwiralnego poczęła wymagać wydziedziczenia imiennego, uważając wydziedziczenie inter ceteros za dostateczne tylko co do innych heredes suos, tj. wnuków po zmarłych lub emancypowanych synach itd. Jak długo kobiety były wykluczone od prawa dziedziczenia jako heredes sui, wspomniane wydziedziczenie inter ceteros nie odnosiło się oczywiście całkiem do córek testatora. Kiedy jednak opinja publiczna została już nastrojona na tę nutę, że niesłusznem jest wykluczenie kobiet od prawa w charakterze heredes sui, i kiedy prawnicy rzymscy i sądy, mianowicie sąd centumwiralny starali tej dążności iść na rękę, poczęto rozumować, że tem wydziedziczeniem inter ceteros objęte są także córki i że takie wydziedziczenie córek jest konieczne z tego powodu, że one są heredes sui ab intestato tak samo jak synowie, pozostający pod władzą spadkodawcy. W ten sposób przez praktykę wprowadzoną została nieznacznie nowa zasada do prawa cywilnego[1], a sądowi centumwiralnemu tego rodzaju konstrukcja prawnicza pozwalała przyjść z pomocą córce wówczas, gdy córka nie została zaopatrzoną w testamencie odpowiednim legatem, a testator tej klauzuli »ceteri exheredes sunto« nie umieścił w testamencie dlatego, że ona wedle prawa dotychczasowego była zbyteczna np. dlatego, że z synów jednych ustanowił dziedzicami, a drugich wydziedziczył nominatim[2]. Ci jednak, którzy sami w ten sposób dali kobietom

---

[1] Wobec tego staje się zrozumiałem, że Justynian w C. 6, 58 c. 14 pr. i c. 15 pr., tudzież Sententiae Paula, IV, 8, § 20 (22) a nawet Gaius III 2—4 równouprawnienie kobiet z mężczyznami w prawie spadkowem cofają aż do XII tablic. Postąpienie tak samowolne, jak zostało przedstawione w tekście, nie będzie się wydawało niemożliwem, a nawet wydawać się będzie prawdopodobnem, jeżeli zważymy, że sąd centumwiralny, czując się wyrazem poważnej opinji publicznej, w sprawach spadkowych postępował z wielką swobodą i że przy jego współdziałaniu, bez żadnego aktu ustawodawczego, powstała querela inofficiosi testamenti, krępująca dotychczasową swobodę patris familias przy sporządzaniu testamentu.

[2] Tego rodzaju niespodzianki, zgotowane testatorom przez praktykę sądu centumwiralnego, następnie podobna niespodzianka, polegająca na tem, że sąd centumwiralny — mniej więcej za czasów Cycerona — począł do ważności testamentu wymagać wydziedziczenia syna nominatim, kiedy poprzednio wystarczało wydziedziczenie inter ceteros itd. — były prawdopodobnie powodem, że później tę klauzulę »ceteri exheredes

stanowisko prawne heredum suorum, nie brali tego poważnie i nie wyciągali stąd konsekwencji, którąby być musiało uznanie całego testamentu za nieważny z powodu pominięcia w nim córki jako heredes sui, gdyż taka pominięta a niewydziedziczona córka stając się automatycznie dziedzicem przez śmierć spadkodawcy, jako jego heres suus, musiałaby tem samem wykluczyć dziedziców testamentowych (nie będących równocześnie heredes sui) tak jak wykluczał syn, pominięty w testamencie przez testatora. Tymczasem — jakto widzieliśmy — praktyka sądu centumwiralnego uważała testament taki za ważny, a tylko obok dziedziców testamentowych dopuszczała pominięte przez testatora córki. To dopuszczenie dziedziców ab intestato obok dziedziców testamentowych przedstawia się jako wyjątek od starorzymskiej zasady: »nemo pro parte testatus, pro parte intestatus decedere potest«, a bardzo być może, że takie rozwiązanie konfliktu przypisać należy wpływom prawa greckiego, dopuszczającym bez skrupułów osoby dziedziczące z ustawy obok osób, opierających swe prawa do spadku na rozporządzeniu ostatniej woli [1].

Pierwszy wyłom w postanowieniach legis Voconiae stworzyła lex Papia Poppaea z r. 9 po Chr. stwarzająca wyjątek na korzyść pewnej kategorji mężatek (ob. von Woess, Röm. Erbrecht. str. 80), a po zrównaniu kobiet z mężczyznami przy dziedziczeniu ab intestato (ob. wyżej) straciła lex Voconia siłą rzeczy wszelkie znaczenie.

Widzimy zatem, że analiza późniejszego prawa potwierdza nasze hipotezy co do prawa z czasów XII tablic [2]. Po tym ekskur-

---

sunto« umieszczano dla bezpieczeństwa w każdym testamencie bez względu na to, czy była potrzebna, czy nie. (Por. przykłady przytoczone przez von Woessa w Das römische Erbrecht, str. 162 i nast.

[1] Co do prawa greckiego ob. von Woess Das römische Erbrecht str. 270 i nast., tudzież Bonfante, Scritti giuridici varii, t. I (1916), str. 337 i nast., zwłaszcza 397, 398.

[2] Mogą się nasuwać wątpliwości, czy nasza hipoteza, wykluczająca kobiety od prawa dziedziczenia wedle ustawy XII tablic, nie pozostaje w sprzeczności z wyżej przez nas przedstawioną instytucją, mianowicie opieką rodową nad kobietami (tutela legitima mulierum) zwłaszcza wobec naszego przypuszczenia, że pierwotnie kobieta auctoritatis tutoris potrzebowała tylko do ważności tylko tych aktów prawnych, za pośrednictwem których rozporządzała swą »familia«. Mojem zdaniem sprzeczności takiej nie ma, gdyż najpierw kobieta mogła mieć res mancipi nabyte przez czynności prawne między żyjącymi, a ponadto funkcje opiekuna nie ograniczyły się do interpositio auctoritatis przy zawieraniu przez ko-

sie powracamy do naszego właściwego tematu, mianowicie do kwestji, jakie były losy familiae czyli rerum mancipii w razie śmierci spadkodawcy. Heres suus stawał się — jak wiadomo — przez śmierć spadkodawcy osobą sui iuris czyli pater familias; ponieważ podstawą rodziny była władza patris familias i w braku patris familias rodzina się rozpadała — jak to niżej zobaczymy — więc istnienie nowego patris familias podtrzymywało nadal byt rodziny [1]; równocześnie heres suus jako nowy pater familias nabywał majątek spadkodawcy, a raczej jego prawo współwłasności dotychczas ubezwładnione skutkiem zależności od władzy patris familias na równi z jego zdolnością prawną czynną, po odpadnięciu tego ograniczenia występowało w całej pełni (Paulus, D 28, 2. 11) [2]. Jeżeli było kilku współdziedziców, to dotychczasowa familia rozpadała się na kilka nowych, a na czele każdej stał jeden ze współdziedziców jako jej pater familias. Odpowiednio do tego i majątek spadkodawcy stawał się wspólnym majątkiem współdziedziców [3] [4] (córki stawały się sui iuris, ale nie były heredes sui). W konsekwencji tego i familia czyli res mancipi przechodziły na heredem suum względnie heredes suos, a raczej pozostawały w rodzinie, w której tylko zmieniał się pater familias.

Obok heredes sui, przytoczony powyżej fragment XII tablic (Tab. V, 4), zna jeszcze dziedzica testamentowego. Uprzedzając

---

bietę czynności prawnych, zmierzających do pozbycia lub obciążenia rerum mancipii, ale obejmowały niewątpliwie funkcję osobistej fizycznej opieki nad kobietą, a zatem funkcję niezmiernie ważną w epoce samopomocy, a nadto obejmowały zastępstwo kobiety przed sądem w procesie legisakcyjnym, od którego kobieta była również wykluczona (ob. Cuq, Institutions juridiques des Romains, wyd. 1, t. I, str. 317).

[1] Przychylam się tutaj do poglądu Scialoji i Bonfantego n.a pierwotną naturę prawa dziedziczenia (Scritti giuridici varii, t. I, str 101—307), inne poglądy zestawione przez Rabla w Holtzendorffa Enzyklopädie wyd. 7, t. I, str. 517 uw. 2 i 520 oraz przez von Woessa Das römische Erbrecht, str. 1 nast., ob. nadto Wróblewski, Zarys Wykładu, t. I, str. 507—515.

[2] ob. Rabel w Holtzendorffa Enzyklopädie, t. I, str. 520 i Sohm Institutionen, wyd. 17, str. 557 i nast.

[3] Z tem jednem zastrzeżeniem, że wierzytelności, o ile były podzielne, dzieliły się ipso iure między współdziedziców, a pecunią mógł spadkodawca swobodnie rozporządzać za pomocą legatów i prawidłowo korzystał z tego, aby ją podzielić między dzieci i tem samem nie dopuścić do powstania wspólności krępującej — jak wiadomo — współwłaścicieli.

[4] Co do stanowiska heredis sui ob. nadto w Holtzendorffa Enzyklopädie wyd. 7, t. I, str. 520.

nasze późniejsze wywody zaznaczamy, że na dziedzica testamentowego — podobnie jak na heredem suum — przechodził majątek spadkodawcy w drodze sukcesji uniwersalnej, nadto obowiązek do kontynuowania kultu domowego spadkodawcy (Sacra ob. Cicero de legibus, 2, 19—21); natomiast władzy nad rodziną spadkodawcy dziedzic testamentowy nie nabywał, gdyż — jak to niżej zobaczymy — wówczas powołać dziedzica w testamencie można było tylko w braku heredis sui, a córki (i żona in manu) o ile je miał spadkodawca, stawały się sui iuris, lecz dziedzicami nie były. Konsekwencją wyżej przedstawionego stanowiska dziedzica testamentowego, jest przejście nań familiae tj. rerum mancipii spadkodawcy.

Tutaj wypada mi uzasadnić wypowiedziany już pogląd, że testament w owym czasie mógł być sporządzony tylko w braku heredis sui, a to tembardziej, że sprawa ta należy do najbardziej spornych w literaturze romanistycznej. Przyznanie spadkodawcy możności sporządzenia testamentu wówczas, gdy są heredes sui, wychodziłoby przedewszystkiem na przyznanie mu swobody rozporządzenia swą familia (rebus mancipii) na wypadek śmierci, a taka swoboda nie mogła istnieć w czasie, z którego pochodzą postanowienia zawarte w wyżej przez nas przytoczonych fragmentach XII tablic. Przedewszystkiem przemawiają przeciwko temu względy systematyczne i historyczne. Pecunia była własnością ściśle indywidualną od samego początku, a mimo tego ustawa XII tablic uważa za stosowne, wyraźnie stwierdzić swobodę rozporządzania nią na wypadek śmierci; familia stanowiła pierwotnie wspólną własność całego rodu, z której dopiero stopniowo wyłoniła się drogą działów własność indywidualna, ale ślady dawnej własności rodowej utrzymują się w licznych ograniczeniach właściciela familiae, (ob. wyżej) a nawet o ile chodzi o czynności prawne między żyjącemi, ustawa XII tablic uważa za stosowne wyraźnie zaznaczyć swobodę rozporządzania familią między żyjącymi; w tych warunkach milczenie o swobodzie rozporządzania familią na wypadek śmierci nie może pozostawiać najmniejszej wątpliwości, że pater familias tej swobody nie miał [1] i że odjęcie mu tej swobody przed-

[1] Przy tej sposobności podnieść należy przyczynę odmiennego traktowania przez prawo przedmiotowe czynności prawnych między żyjącymi, a na wypadek śmierci pomimo, że rozporządzają one tym samym majątkiem. O ile bowiem chodzi o czynności prawne między żyjącemi, to sam interes osoby sporządzającej daną czynność prawną

stawia się jako ograniczenie jego w interesie rodu Dalszy rozwój historyczny popiera w zupełności powyższy pogląd. Testamentum bowiem per aes et libram da się zrozumieć jedynie jako obejście prawa zabraniającego rozporządzania familią na wypadek śmierci; mianowicie wobec niemożności rozporządzania familią na wypadek śmierci, pater familias przez czynność prawną między żyjącymi przenosił na osobę zaufaną własność swej familia (pecuniae ten akt całkiem nie dotyczył, dopóki nie zatracił swej pierwotnej natury prawnej, ob. niżej)[1]. Ponadto warto zwrócić uwagę na actio familiae hereiscundae, która wedle świadectw rzymskich prawników miała być znaną ustawie XII tablic. W czasach późniejszych actio familiae hereiscundae była powództwem (skargą) o podział spadku, przysługującem jednemu współdziedzicowi przeciwko innym współdziedzicom Wedle XII tablic powództwo to musiało mieć inne zastosowanie, a to najpierw z tego powodu, że w czasach późniejszych nazwa tego powództwa nie odpowiada jego naturze; powództwo służy do uzyskania podziału spadku (hereditas) a nosi nazwę powództwa o podział samej tylko familia; jestto dla nas wyraźna wskazówka, do czego ono pierwotnie służyło. Potwierdzeniem powyższego wniosku będzie ta okoliczność, że pojęcie spadku jako całości jest wytworem znacznie późniejszym i powstanie jego dopiero niżej przedstawimy; ustawa XII tablic zna tylko dwie odrębne części majątku, mianowicie familiam i pecuniam. Jeżelibyśmy się zapytali, dlaczego ustawa XII tablic współdziedzicowi daje tylko powództwo o podział familiae, a nie daje powództwa o podział pecuniae[2], to wyżej przedstawiony nasz pogląd daje bardzo prostą odpowiedź: oto pater familias mając swobodę rozporządzeń ostatniej woli w stosunku do pecunia za pośrednictwem legatów rozdzielał ją między osoby pozostające pod jego władzą, i w ten sposób nie dopuszczał do powstania współwłasności; przy familia nie mając swobody rozporządzania nią na wy-

---

powstrzymywać go będzie od lekkomyślnego pozbycia lub obciążenia pewnej rzeczy; natomiast przy czynnościach na wypadek śmierci, wzgląd na spadkobierców ab intestato może być niejednokrotnie nie tak silnym hamulcem.

[1] Czy pater familias chciał swą familiam przeznaczyć dla obcego, czy też — co najczęściej bywało — dla jednego ze swych synów, aby zapobiec rozdrobnieniu majątku, to naszej tezy w niczem nie zmienia.

[2] Actio communi dividundo jest późniejszą od actio familiae herciscundae i ustawie XII tablic nieznaną, ob. Berger, Die Teilungsklagen.

padek śmierci, nie mógł przeprowadzić działu familiae pomiędzy heredes suos i dlatego współdziedzicom trzeba było dać do ręki jakiś środek do zniesienia współwłasności oddziedziczonej familiae, mianowicie actionem familiae herciscundae.

W ten sposób dochodzimy do wniosku, że rzymski pater familias mógł z rodziny wykluczyć osoby do tej rodziny należące i z tego tytułu pozostające pod jego władzą: żonę przez rozwód (repudium), synów przez trzechkrotną sprzedaż itd., nie mówiąc już o ius vitae ac necis, i na odwrót decydował o przyjęciu nowych osób do rodziny (tollere, suscipere liberos, arrogacja itd.), ale mogąc decydować o składzie rodziny, nie mógł od tej rodziny oderwać familiae (res mancipii) za pośrednictwem rozporządzenia ostatniej woli [1].

Aby zrozumieć, jakiemu celowi mógł służyć pierwotny testament, dający patri familias tak małą swobodę rozporządzenia ostatniej woli, musimy sobie zdać sprawę z następstw, jakie wedle ówczesnego prawa pociągała za sobą śmierć patris familias bez pozostawienia ani heredis sui, ani dziedzica testamentowego.

Przedewszystkiem skutkiem śmierci patris familias bez pozostawienia dziedzica (ani heredis sui ani successoris testamentarii) gasł kult domowy, polegający na czci zmarłych jego przodków zwłaszcza na perjodycznych ofiarach i uroczystościach dla uczczenia ich pamięci obchodzonych. Utrzymanie tego kultu było jednym z najpierwszych obowiązków religijnych Rzymianina [2] [3], niepozo-

---

[1] Przeciwnicy przedstawionego w tekscie poglądu powołują się na Pomponiusa D 50. 16, 120. Przedstawienie Pomponiusa będzie całkiem ścisłe, jeżeli swobodę testowania (później stopniowo zacieśnianą) odniesiemy nie do ustawy XII tablic, lecz do chwili, kiedy się wytworzył testament nunkupacyjny. Przesunięcie wstecz tej swobody aż do ustawy XII tablic nie powinno nas zadziwiać wobec tylokrotnego przesuwania wstecz przez tradycję rzymską zdarzeń znacznie późniejszych, a w niniejszym wypadku przesunięcie to (rzucające się w oczy, bo »legare« jest co innego niż »testare«) tłomaczy się to okolicznością, że testament nunkupacyjny nie opiera się na żadnej ustawie, lecz (tak, jak np. prawo dziedziczenia kobiet na równi z mężczyznami, jako heredes sui) jedynie na sfałszowaniu dawnego prawa.

[2] ob. Fustel de Coulanges La cité antique passim. Cicero de leg 2 19—21 por. Gaius II 55.

[3] Tutaj mamy jeszcze jednę przyczynę, dla której kobiety były pierwotnie wykluczone od prawa dziedziczenia ab intestato, mianowicie tę okoliczność, że one nie mogły kontynuować rodziny i kultu domowego.

stawianie zaś dziedzica było wykroczeniem przeciwko temu obowiązkowi. Ponadto przez śmierć bez pozostawienia dziedzica gasły wedle prawa cywilnego wszystkie długi zmarłego patris familias, gdyż zobowiązanie pojmowane było w prawie cywilnem jako węzeł osobisty wierzyciela z dłużnikiem, poparty również ściśle osobistą odpowiedzialnością dłużnika. Dopiero stosunkowo późno pretor w razie śmierci dłużnika bez pozostawienia dziedzica pozwala wierzycielom wdrożyć egzekucję na majątek po dłużniku pozostały [1], a pozostaje to w związku z reformami pretora, polegającemi na wprowadzeniu egzekucji majątkowej w miejsce znanej prawu cywilnemu egzekucji przeciwko osobie dłużnika. Z tych samych przyczyn tj. z powodu pojmowania obligacji jako ściśle osobistego węzła między wierzycielem a dłużnikiem gasły wszystkie wierzytelności w razie śmierci wierzyciela bez pozostawienia dziedziców [2]. Codo familia, to ustawa XII tablic zawiera na ten wypadek (tj. śmierci bez pozostawienia ani heredis sui, ani dziedzica testamentowego) następujące postanowienie »adgnatus proximus familiam habeto. Si adgnatus non escit, gentiles familiam habento«. Przedewszystkiem zaznaczyć należy, że adgnatus i gentiles oznaczają jedynie adgnatów i gentylów płci męskiej; użycie formy wyłącznie męskiej »adgnatus«, nie formy męskiej i żeńskiej »adgnatus adgnatave« wobec naszych poprzednich wywodów, dotyczących heredes suos, nie pozostawia wątpliwości. Pozatem spornem jest, jak rozumieć to postanowienie »familiam habeto«, mianowicie czy oznacza ono nabycie na własności familiae ipso iure skutkiem samej śmierci dotyczącego patris familias bez pozostawienia dzie-

[1] ob. Gaius III 77, 78; codo szczegółów, ob. Riccobono w Archiv für Rechts- und Wirtschaftgeschichte t. XVI, zeszyt 4, str. 510 i nast. Że kontynacja familiae (tj. rodziny) była conditio sine qua non utrzymania długu, tego dowodzą także skutki arrogacji (ob. zamiast wszystkich Wróblewski, Zarys Wykładu t. I, str. 508, 509 oraz Czyhlarz Institutionen wyd. 18, str. 320, 321). Z tej przyczyny np. przy arrogacji gasły wedle prawa cywilnego wszystkie długi arrogowanego pomimo, że przy arrogacji arrogans nabywał majątek arrogowanego w drodze sukcesji uniwersalnej (ob. Ferrini Pandette Nr. 603), dopiero pretor złagodził konsekwencje przez restitutio in integrum.

[2] Że wierzytelności były nieprzenośne i że czynność prawna, zmierzająca do ich przeniesienia uważana była przez prawo cywilne jako jej zrzeczenie się przez wierzyciela, tego dowodzi między innemi Gaius II 35, a nadto zgaśnięcie zobowiązań arrogowanego skutkiem arrogacji wedle prawa cywilnego (Gaius III 84). (Złagodzone później przez pretorską restitutio in integrum).

dzica. czy też — jakto np. utrzymuje Bonfante — najbliższy agnat przez śmierć dotyczącego patris familias uzyskiwał jedynie możność nabycia na własność pozostałej familiae (tj. res mancipii) przez jej objęcie [1]. Mojem zdaniem należy bezwarunkowo oświadczyć się za pierwszym poglądem. Przedewszystkiem prawo najbliższego agnata ewentualnie gentylów do bezdziedzicznej familia (res mancipii) jest pozostałością dawnej wspólnej własności rodowej tychże rzeczy. Jak długo pater familias był właścicielem swej familia (res mancipii), to prawa innych agnatów ewentualnie gentylów pozostawały w stanie zawieszenia; gdy jednak skutkiem bezdziedzicznej śmierci patris familias familia (res mancipii) pozostałyby bez właściciela, najbliższy agnat, względnie gentylowie automatycznie stawali się właścicielami tak pozostałej familiae. Za pogladem moim przemawia interpretacja gramatyczna dotyczącego fragmentu ustawy XII tablic; cechą znamienną tej ustawy — jakto podnosi Lenel [2] jest bardzo ściśle i staranne rozróżnianie pomiędzy rozkazem, a upoważnieniem; użyte przez ustawę XII tablic słowo »habeto« nie pozostawia najmniejszej wątpliwości, że nie mamy tu do czynienia z upoważnieniem do nabycia własności, leez z nabyciem własności ipso iure [3]. Za naszym poglądem przemawia również ta okoliczność, iż zachowane fragmenty XII tablic nie wskazują na to, aby usucapio pro herede miała zastosowanie do familia pozostałej skutkiem bezdziedzicznej śmierci dotychczasowego jej właściciela, a przecież ta instytucja prawna musi być instytucją bardzo starą. Tak samo brak w ustawie XII tabl. postanowienia, że w razie nie objęcia pozostałej familiae przez najbliższego agnata, prawo do objęcia uzyskuje najbliższy z pomiędzy pozostałych; ponieważ agnat ewentualnie gentylowie nabywają pozostałą familiam na własność ipso iure, więc postanowienia powyższe są zupełnie zbyteczne; w przeciwnym wypadku prawo bez nich nie mogłoby się obejść, a to

---

[1] Bonfante Scritti giuridici varii I, str. 489—492 (r. 1916) w każdym razie — jakto z całym naciskiem podnieść należy, — prawo najbliższego agnata, ewentualnie gentylów do pozostałej familia nie jest prawem dziedziczenia, gdyż najbliższy agnat nabywa tylko na własność pozostałą familiam, a nie wstępuje w ogół praw i zobowiązań zmarłego.

[2] W Holtzendorffa Enzyklopädie wyd. 7, t. I, str. 326.

[3] Wyjątkowo extraneus, powołany w testamencie na dziedzica w tych samych słowach rozkazujących »Titius heres esto« nabywał spadek dopiero przez jego przyjęcie; wyjątek ten wytłomaczony zostanie poniżej.

tembardziej, że chodzi tutaj o części majątku rodowego, który mógłby dla rodu przepaść, o ile go nikt z agnatów ani gentylów nie obejmie. Wreszcie za naszym poglądem przemawia brak jakiejkolwiek przyczyny de lege ferenda, dla której nabycie na własność pozostałej familiae przez najbliższego agnata ewentualnie przez gentylów miało być zależnem od ich woli wobec tego, że nabywają oni tylko prawa bez obowiązków, w szczególności bez długów. Nasza hipoteza tłumaczy nam dalej bardzo zagadkową instytucję cesji praw spadkowych przez heres extraneus ab intestato przed przyjęciem spadku. (Gaius II 35). Prawo spadkowe heredis extranei nie jest żadnem prawem podmiotowem, lecz jedynie sumą okoliczności, dających możność nabycia prawa (facultas) a zatem niema tu prawa, któreby mogło być przedmiotem in iure cessionis. Sprzeczność tę można tylko usunąć przy pomocy hipotezy, że proximus adgnatus ewentualnie gentylowie nabywali ipso iure familiam (res mancipii) w razie śmierci jednego z członków rodu (i to patris familias) bez pozostawienia dziedzica i to prawo własności mogli oni przenieść na inną osobę w drodze in iure cessionis tak jak każde inne prawo własności. Później kiedy skutkiem dokonywującej się ewolucji prawa spadkowego zamienili się oni na dziedziców ab intestato, nabywających spadek dopiero skutkiem jego przyjęcia. wtedy ta właściwa Rzymianom dążność do utrzymywania instytucji dawnych, zwłaszcza w dziedzinie prawa spadkowego[1] sprawiła, że utrzymano i tę in iure cessionem, która jednak zamieniła się w prawniczy dziwoląg, w in iure cessionem facultatis adeundi hereditatem. Po przyjęciu spadku, a zatem po nabyciu poszczególnych praw wchodzących w skład spadku taka in iure cessio ogólna tj. całej hereditas stała się niemożliwa wopec tego że nie nadawała się ona ani do przejęcia długów, ani do cesji wierzytelności i dlatego wywoływać mogła tylko skutki częściowe (ob. Gaius II 35). Jeżeli przez chęć zachowania wytworzonych historycznie i tradycją uświęconych instytucji Rzymianie utrzymali taką anomalję prawniczą, to jednak nie chcieli dopuścić do rozszerzenia jej zastosowania w myśl zasady »quidquid contra rationem iuris constitudum est, non est ducendum ad consequentias« i dlatego wykluczyli jej zastosowanie przy dziedziczeniu testamentowem, jakkolwiek w późniejszym prawie nie było pod wzglę-

[1] ob. Rabel w Holtzendorffa, Enzyklopadie wyd. 7 t. I, str. 306' 517—520.

dem konstrukcji prawniczej żadnej różnicy między prawami heredis extranei dziedziczącego ab intestato z jednej strony, a na podstawie testamentu z drugiej strony i analogja nasuwała się sama przez się. Ten brak analogji można wytłomaczyć jedynie w sposób powyżej przedstawiony. W końcu co do losów familiae unormowanych we wspomnianym fragmencie XII tablic, to bardzo znamiennem jest, że najpierw przypada ona najbliższemu agnatowi, a dopiero w braku agnatów gentylom; jestto bowiem oznaką już dokonywującego się i dość daleko w owym czasie posuniętego rozkładu rodu na poszczególne linje do tego stopnia, iż prawo rodu do bezdziedzicznej familia musi ustąpić pierwszeństwo prawu agnatów z najbliższej linji do tejże familia.

Co do losów pecuniae w razie śmierci patris familias bez pozostawienia dziedzica, to — jak to już powyżej zaznaczyliśmy — stawała się ona res nullius i była przedmiotem usucapionis, za którem to przypuszczeniem przemawiałyby analogiczne instytucje prawne u innych narodów na tym samym stopniu rozwoju np. słowiańska puścizna, będąca rzeczą niczyją i skutkiem tego przedmiotem swobodnego zawłaszczenia[1]. Obecnie to poprzednio wypowiedziane zdanie należy poprzeć rezultatami naszej dotychczasowej pracy. Usucapio pro herede jest instytucją niewątpliwie bardzo dawną, jak tego dowodzi brak wymogów wiary i słusznego tytułu prawnego, ale nie jest napewne instytucją pierwotną, lecz późniejszem przekształceniem a raczej może zniekształceniem pierwotnej usucapio znanej ustawie XII tablic[2], a zatem przemawia po pierwsze ta okoliczność, że w ustawie XII tablic — sądząc z dochowanych fragmentów — niema wzmianki usucapio pro herede, a po drugie ta okoliczność, że usucapio pro herede prowadzi nie do nabycia na własność poszczególnych rzeczy, lecz całego spadku hereditas, a widzieliśmy, że pojęcie spadku jako całości jest obce ustawie XII tablic, która zna tylko familiam et pecuniam i każdą odmiennie traktuje, a zobaczymy później, w jakich warunkach i kiedy wytworzyło się pojęcie spadku jako całości (hereditas) Wobec tego wszystkiego pozostaje tylko jedno przypuszczenie, mianowicie, że

[1] ob. Dąbkowski, Prawo prywatne polskie I 49, II 12—16.

[2] Co do usucapio pro herede ob. Gaius II 52 i nast. Z nowszej literatury wymienić należy Perozziego Istituzioni II, str. 385 i n. (1908). Bonfantego Scritti giuridici varii t. II, str. 641 i n. 646 i n. i Wróblewskiego w Czasopiśmie prawniczem i ekon. Krak. XXI, Nr. 1—6, str. 212 i nast.

pierwotnie ta usucapio miała zastosowanie tylko do rzeczy materjalnych i to ruchomych, tak jak normalna usucapio, znana nam z zachowanych fragmentów XII tablic (Tab. VI, 3 por. Cicero. Top. 4. 23), a ponieważ zastosowanie takiej usucapio wykluczone było do bezdziedzicznej familia nietylko z przyczyn wyżej przedstawionych, ale także z tego powodu, że do familia mogły należeć nieruchomości, przy których termin zasiedzenia był dwuletni. więc pozostaje tylko jedno przypuszczenie. mianowicie, że przedmiotem usucapionis być mogła wedle XII tablic tylko pecunia w razie śmierci jej właściciela bez pozostawienia dziedzica[1]. Dopiero później, gdy — jak zobaczymy — powstaje pojęcie spadku jako całości, którą można dzielić na części ułamkowe, ale której nie można rozrywać na poszczególne części składowe, wtedy i ta usucapio pecuniae pro herede przekształca się i ze sposobu nabycia na własność rzeczy staje się sposobem nabycia praw spadkowych, zachowując przytem jednoroczny termin zasiedzenia, mający zastosowanie przy zasiedzeniu rzeczy ruchomych. Wszystko to razem stanowi jaskrawą anomalję prawniczą, dającą się również tylko historycznie wytłomaczyć. Co do praktycznych konsekwencji, płynących z wyżej przedstawionych prawideł. to podnieść należy, że nawet córki zmarłego patris familias (i jego żona in manu), nie będąc heredes sui, nawet w braku synów nie nabywały na własność pozostałej pecuniae, o ile zmarły pater familias nie przeznaczył tej pecuniae dla nich drogą legatów; a tylko jako uczestniczki tego samego gospodarstwa domowego miały faktyczne ułatwienie w objęciu tej pecuniae w usus przed innymi, a temsamem w konsekwencji nabycia jej na własność drogą zasiedzenia.

Powyższe wywody dają obraz — można bez przesady powiedzieć — katastrofy, jaką pociągała za sobą wedle ówczesnego prawa śmierć bez pozostawienia dziedzica. Tem się też tłomaczy z łatwością, dlaczego religja i obyczaj nakazywały troszczyć się o pozostawienie potomków, którzyby mogli być heredes sui[2]. Jeżeli jednak jakiś pater familias czyli obywatel rzymski sui iuris widział nadchodzącą śmierć, a nie miał naturalnych heredes suos, wówczas

[1] Przypomnieć należy, że jeszcze w prawie klasycznem res mancipii mogły być nabyte na własność tylko w drodze usucapionis, a nie okkupacji, i że nawet przy res nec mancipii okkupacja jest późniejszym stosunkowo sposobem nabycia, nieznanym jeszcze w omawianej przez nas epoce.

[2] ob. Fustel de Coulanges La cite antique.

mógł — jak wiadomo - stworzyć sobie heredem suum przez arrogację[1]. Wspomniana arrogacja była czynnością prawną między żyjącymi i już za życia arrogującego arrogowanego czyniła jego filium familias, przy zupełnem zerwaniu węzłów agnatycznych między arrogowanym a jego dotychczasową rodziną. Prawo dziedziczenia w charakterze heredis sui przysługujące arrogowanemu było tylko konsekwencją jego stanowiska jako filius familias, uzyskanego przez arrogację. Obok arrogacji możemy stwierdzić źródłowo na podstawie dochowanych i powyżej przytoczonych fragmentów XII tablic (Tab. V., 3. 4, 5) że pater familias mógł sobie stworzyć dziedzica przez testament. Sam fakt istnienia testamentu i instytucji dziedzica testamentowego nie ulega żadnej wątpliwości, ale natura prawna tego pierwotnego testamentu jest dla nas niejasna, a w szczególności niejasnym jest jego stosunek do arrogacji. Wszystkie te trudności się zwiększają, jeżeli się przychylimy do bardzo dziś rozpowszechnionego i powagą studjów porównawczych prawa popartego poglądu, że pierwotny testament rzymski, podobnie jak starogrecki i starobabiloński tndzież starogermańska affatomia[2] były tylko pewną specjalną odmianą adopcji. Znamieniem Rzymian była dążność do tego, aby bez koniecznej potrzeby nie tworzyć nowych instytucji prawniczych, w połączeniu z umiejętnością mistrzowskiego wyzyskania, a nawet nieraz naciągania już istniejących instytucji dla zadośćuczynienia nowowystępującym potrzebom. Wobec tego, jeżeli istniała instytucja arrogacji, pozwalająca na zapewnienie sobie sztuczną drogą heredis sui w braku

---

[1] pierwotnie arrogacja miała zastosowanie przy przyjęciu jako syna tak obywatela rzymskiego sui iuris, jak alieni iuris; dopiero później przez wyzyskanie postanowienia XII tablic o uwolnieniu syna z pod władzy ojca skutkiem 3-krotnej sprzedaży stworzono nową instytucję prawną adopcji, która mogła mieć zastosowanie tylko do osób alieni iuris, a nad arrogacją miała tę wyższość, że pozwalała obejść się bez udziału comitiorum calatorum i z tego powodu w tym zakresie wyparła zastosowanie arrogacji. Ponieważ powstanie adopcji przypada już na czasy późniejsze, a w tekście zajmuję się stanem prawnym z czasów tzw. ustawy XII tablic, więc uwzględniam tylko arrogację, pomijając adopcję, która później taksamo adoptowanego czyniła filium familias a to konsekwencji heredem suum adoptującego.

[2] ob. Sohm Instit. wyd. 17, str. 585, Nr. 4 oraz cytowana tam literatura zwłaszcza Koschaker, Observations juridiques sur Ibila — Ablum w Revue d'Assyriologie t. 11, str. 29 i nast. (r. 1914) co do prawa greckiego (εἰσποίησις) ob. Bonfante Scritti giuridici varii t. I, str. 381 i nast. (1916).

naturalnego, to trudno pomyśleć, aby mając taką instytucję Rzymianin tworzył jeszcze drugą nową odmienną, lecz służącą do tego samego celu mianowicie testament. Trudność tę usuwa hipoteza Perozziego [1], że testament in comitiis calatis pierwotnie miał zastosowanie wówczas, gdy rozchodziło się o powołanie przez testatora swego niewolnika na dziedzica. Istotnie ta hipoteza usuwa nam wszystkie trudności Stanowisko niewolnika, będącego własnością testatora jest tak odmienne od stanowiska obywatela rzymskiego, nie pozostającego pod władzą spadkobiercy, iż bezwarunkowo trzeba dwóch wręcz odmiennych aktów prawnych, aby każdemu z nich zapewnić stanowisko dziedzica. Ten ostatni jest tak samo jak filius familias obywatelem, ale nie należy do rodziny ewentualnego spadkodawcy i nie podlega jego władzy. Stanowisko dziedzica (heredis sui) pozyskuje on przez wejście do rodziny ewentualnego spadkodawcy i przez poddanie się jego władzy jako patri familias. Niewolnik należy do familia ewentualnego spadkodawcy [2], podlega jego władzy, która w dziedzinie prawa prywatnego prawie się nie różni od władzy patris familias nad filius familias, ale filius familias jest obywatelem rzymskim, a skutkiem tego ma potrzebną zdolność prawną, aby stać się pater familias, a temsamem być kontynuatorem rodziny; niewolnik natomiast jest tej zdolności pozbawiony. on w razie śmierci swego pana, jest przedmiotem praw, nabytych przez heredem suum lub przez najbliższego agnata ewentualnie gentylów. Aby niewolnik był dziedzicem nie trzeba przyjmować go do rodziny i do rodzinnego związku sakralnego, tak jak przyjmuje się arrogowanego, lecz trzeba zmienić jego stanowisko w rodzinie, trzeba go uczynić jej kontynuatorem i przyszłym pater familias, co oczywiście oddziała i na stanowisko niewolnika poza obrębem rodziny, mianowicie w dziedzinie stosunków prawa publicznego i z niewolnika zrobi obywatela rzymskiego. Czynnością prawną, która zmierzała do tego celu, był właśnie pierwotny testament rzymski in comitiis calatis. Przy tej hipotezie utrzymaną zostaje ponadto ta ciągłość w rozwoju prawa i związek nowopowsta-

---

[1] Instituzioni II, § 196, str. 357—381 (r. 1908) zwłaszcza str. 364 i nast.; co do tego poglądu Bonfante Scritti giuridici varii I, str. 474 i nast.

[2] Skutkiem tego, o ileby został dziedzicem, byłby taksamo heres necessarius i domesticus jak filius familias i tak samo nabyłby spadek ipso iure, jak filius familias, bez potrzeby jego przyjęcia.

jących instytucji z instytucjami dawniejszemi, które tak są znamienne dla rzymskiego prawa prywatnego zwłaszcza dla prawa spadkowego. Ponadto ta hipoteka tłomaczy nam jednę zagadkę prawa cywilnego rzymskiego; prawo to poza testamentem nie zna czynności prawnej. służącej wprost do wyzwolenia niewolnika, lecz tylko czynności prawne, zmierzające do tego drogą okrężną, rzec nawet można, obejściem ustawy, mianowicie manumissio vindicta drogą procesu pozornego zmierzającego do uzyskania wyroku niezgodnego z istniejącym stanem prawnym, lecz mającego znaczenie w myśl zasady »res iudicata pro veritate habetur«, a podobnie manumissio censu polega na niezgodnem z prawdą wpisaniem niewolnika za zgodą jego pana do listy obywatelskiej przez cenzora, a urzędowe stwierdzenie obywatelstwa — podobnie jak w poprzednim wypadku wyrok — pokrywały poprzednią niewolę. W przeciwieństwie do tego w testamencie testator udziela niewolnikowi wolności verbis imperativis: »Stichus servus meus liber heresque esto« lub »heres liberque esto« (Gaius II 186) tak, jak rozkaz wydany przez pater familias we własnym zakresie władzy, a ta forma wyzwolenia za pomocą testamentu stosowaną była i wówczas, gdy wyzwolenie następowało bez powołania na dziedzica[1] i do testamentu późniejszego tj. mancypacyjnego przyjętą została niewątpliwie z testamentu in comitiis calatis. Widzieliśmy że pater familias miał większą swobodę rozporządzania swą familia (do której należeli także niewolnicy) przez czynności prawne między żyjącymi, niż na wypadek śmierci; tu natomiast jest odwrotnie. Wytłomaczeniem tej sprzeczności byłby bardzo dawny wiek testamentu in comitiis calatis, znacznie wcześniejszego od manumissio vindicta et censu[2]; w chwili kiedy powstawał testament in comitiis calatis, państwo było tylko federacją rodów a przynależność do jednego z rodów decydowała o przynależności do państwa rzymskiego; skutkiem tego państwo rzymskie wówczas uważało to za wewnętrzną sprawą rodową, kogo ród w swym obrębie uważać będzie za niewolnika, a kogo za wolnego członka (gentilis), a ponieważ — jakto widzieliśmy z przytoczonych powyżej fragmentów XII tablic — w obrębie rodziny pater familias miał władzę w za-

---

[1] Swoboda wyzwoleń zapomocą testamentu ograniczoną została — jak wiadomo — znacznie później przez leges Aelia Sentia, Fufia Canina itd.

[2] Wedle Bonfantego testament in comitiis calatis istniał już za czasów królewskich Scritti giuridici varii t. I, str. 370.

sadzie nieograniczoną przez ród (poza pewnemi wyżej przedstawionymi wyjątkami), więc stąd rozkaz patris familias mógł niewolnika uczynić wolnym członkiem rodu, tem samem zaś obywatelem rzymskim, a także uczynić go dziedzicem tj. kontynuatorem familiae testatora[1]. Później w tych czasach, z których pochodzą manumissio vindicta et censu, ustrój państwowy już się zmienił; związki rodowe straciły na znaczeniu i p o l i t y c z n e znaczenie przynależności do rodu ustąpiło na drugi plan wobec przynależności do państwa, a obywatel rzymski stał się klasą uprzywilejowaną w stosunku do licznej ludności napływowej, wolnej lecz pozbawionej obywatelstwa, znajdującej się na terytorjum państwa rzymskiego, (peregrini) oraz w stosunku do sprzymierzeńców italskich, którzy byli podstawą potęgi militarnej Rzymu, a dla których prawo obywatelstwa rzymskiego było celem gorących pragnień i zabiegów. W konsekwencji tego nadanie obywatelstwa mogło nastąpić prawidłowo tylko w drodze ustawy[2]; w tych warunkach naturalnem jest że wyzwolenie niewolnika przy nadaniu mu obywatelstwa nastąpić może tylko drogą obejścia prawa, jak przy manumissio vindicta lub censu i że późniejsze ustawy (np. Junia Norbana, Aelia Sentia itd.) swobodę tych wyzwoleń ograniczają, starając się wyzwolonemu niewolnikowi dać tylko stanowisko peregrina lub Latyna bez prawa obywatelstwa i kiedy jeszcze wcześniej (z początkiem wieku IV przed Chr.)[3] poczęto ograniczać prawo głosowania na komitiach, przysługujące obywatelom rzymskim – wyzwoleńcom. Na tem tle testamentum in comitiis calatis, ustanawiające dziedzicem niewolnika, któremu w tym celu testujący pater familias nadaje wolność i obywatelstwo rzymskie, — jest instytucją bardzo starą. Ustanowienie niewolnika dziedzicem przy równoczesnem nadaniu mu wolności i obywatelstwa przez jego pana przedstawia się prawniczo jako akt władzy patris familias, zmieniający stano-

[1] W odwrotnym kierunku mógł pater familias zmienić stanowisko prawne ludzi pozostających pod jego władzą przez sprzedaż syna itd. (mancipio dare), co — jak wiadomo — pierwotnie sprzedanego syna czyniło niewolnikiem, a dopiero później w swych skutkach o tyle zostało złagdzonem, że filius familias mancipio datus nie tracił przez to swego obywatelstwa, ob. Wróblewski. Zarys wykładu, t. I, str. 278.

[2] Np. nadanie prawa obywatelstwa sprzymierzeńcom italskim ob. Lenel w Holtzendorffa, Enzyklopädie wyd. 7, t. I, str. 334, Cuq. Instit. jurido, wyd. 1, t. 2, str. 5, 10.

[3] ob. Lenel w Holtzendorffa, Enzyklopädie wyd. 7, t. I, str. 334, 335.

wisko prawne pewnego niewolnika w obrębie swej rodziny tak, aby on mógł być na wypadek śmierci patris familias kontynuatorem jego familiae zarówno w dziedzinie kultu domowego jak stosunków majątkowych. Przy ówczesnym ustroju rodziny i państwa zmiany tej mógł dopełnić pater familias na mocy swej własnej władzy[1], ale ponieważ skutki te sięgały poza obręb rodziny i rodu w sferę stosunków państwowych, czyniąc dotyczącego niewolnika obywatelem rzymskim i kontynuatorem kultu domowego, więc tem tłomaczy się wymagana przez prawo forma tej czynności prawnej, mianowicie sporządzenie jej in comitiis calatis i przyzwanie obywateli zgromadzonych na tych komicjach na świadków tejże czynności prawnej (Testamentum od testari jak supplementum od supplere oznacza przyjęcie do wiadomości przez przyzwanych w tym celu świadków; zdaje się że formuła testamentu mancypacyjnego »...ita... testor itaque Vos Quirites mihi testimonium perhibetote« [Gaius II 104] przejęta jest przez testament mancypacyjny z testamentu in comitiis calatis, gdyż odwołanie się do 5 świadków aktu mancypacyjnego jako »Quirites« brzmi paradoksalnie przy jego właściwem zastosowaniu tj. przy przeniesieniu własności

---

[1] Tem tłomaczy się użycie słów rozkazujących »heres esto« lub »heredem esse iubeo« (ob. Gaius II 115—117) wymaganych do ważności testamentu mancypacyjnego. Przy testamencie mancypacyjnym, o ile on ustanawiał dziedzicem extraneum, nabywającego spadek dopiero przez jego przyjęcie, formuła ta, jako forma rozkazu, pozostaje w sprzeczności ze skutkami dotyczącej czynności prawnej; przy powołaniu w testamencie mancypacyjnym na dziedzica heredem suum, formuła ta również nie odpowiada treści dotyczącej czynności prawnej, gdyż heres suus już ab intestato jest dziedzicem. Sprzeczności te dadzą się wytłomaczyć jedynie przez naszą hipotezę, że forma ta została przyjętą z testamentu in comitiis calatis do testamentu mancypacyjnego, a przedstawiona w tekście hipoteza Perozziego, że testament in comitiis calatis służył pierwotnie do ustanowienia dziedzicem niewolnika, tłomaczy nam doskonale tę formę rozkazującą ustanowienia dziedzicem; forma heredem esse iubeo zawiera iussus tj. rozkaz udzielany filio familias przez pater familias lub niewolnikowi przez jego pana np. iussus do zaciągnięcia zobowiązania (por. actio quod iussu) lub do przyjęcia zapłaty od osoby postronnej (D. 12, 1, 41 i D 46, 3, 18). Całkiem podobnym rozkazem jest forma »liber esto« (stanowiąca zupełną analogję do »heres esto«) przy testamentowem i pozatestamentowem wyzwoleniu (ob. Gaius II 186 i Ulp II, 7). Widocznem jest zatem, że pierwotny testament in comitiis calatis był równoczesnem wyzwoleniem niewolnika i powołaniem go na dziedzica; później — jak zobaczymy — te dwa elementy się rozdzieliły; testament mógł ustanawiać dziedzicem obywatela rzymskiego lub cudzego niewolnika bez jego wyzwolenia, a na odwrót mógł wyzwolić niewolnika bez ustanowienia go dziedzicem.

na res mancipii, gdzie ani mancipio dans, ani manu capiens do świadków się nie zwracają; natomiast takie odwołanie się do »Quirites« tj. do ogółu zgromadzonych obywateli, jest zupełnie naturalnem i zrozumiałem przy testamencie, sporządzonym in comitiis calatis). Znamiennem jest też, że tylko w prawie rzymskiem nazwa rozporządzenia ostatniej woli niema nazwy odpowiadającej treści tego aktu, jakto np. jest przy greckiej διαθήκη, lecz ma nazwę zaczerpniętą z formy czynności prawnej, a ta okoliczność da się jedynie wytłomaczyć naszą hipotezą (inaczej Bruck w Grünhuts Ztschft. t 40, str. 549 uw 47, str. 553—559). Dziedzicem w testamencie in comitiis calatiis mógł być ustanawiony tylko niewolnik płci męskiej; niewolnica nie mogła być z tego powodu, że kobiety jak to widzieliśmy wyżej nie miały zdolności do dziedziczenia i nie mogły mieć potomstwa, któreby będąc ślubnem zarazem ich ród kontynuowało. Za wnioskiem powyższym przemawia również analogja z arrogacją, która — jak widzieliśmy — służyła do podobnych celów, a jeszcze Gaius (I 101) stwierdza, że pomimo pewnych wahań przeważająca opinja uważa za niedopuszczalną arrogację kobiety

Powołaniem niewolnika na dziedzica w testamencie in comitiis calatis tłomaczy się następnie cały szereg właściwości tego testamentu, które stąd przeszły do testamentu mancypacyjnego, lecz pozostają w jaskrawej sprzeczności z naturą tego testamentu i tylko wyżej wspomnianą cechą testamentu in comitiis calatis dadzą się wytłomaczyć. Pater familias sporządzający testament mniej liczył się ze swym niewolnikiem, powoływanym na dziedzica, niż z obywatelem rzymskim arrogowanym przez siebie; stąd przy określeniu skutków testamentu silniej i bardziej jednostronnie uwzględniany jest interes patris familias, sporządzającego testament. Z tego powodu za życia testatora testament nie zmienia stanowiska prawnego niewolnika, powołanego na dziedzica, pozostaje on niewolnikiem aż do śmierci testatora; natomiast arrogacja już za życia arrogującego daje arrogowanemu stanowisko jego filii familias, innemi słowy skutkiem tego ukształtowania skutków prawnych testament przybiera charakter czynności prawnej na wypadek śmierci, kiedy arrogacja jest czynnością prawną między żyjącymi. Punktem wyjścia testamentu mancypacyjnego była mancypacja, a zatem czynność prawna między żyjącymi; przyczepienie zaś do niej charakteru czynności prawnej na wypadek śmierci da się wytło-

maczyć tylko recepcją tej cechy z testamentu in comitiis calatis. Ponadto pater familias sporządzający testament in comitiis calatis i powołający w tym testamencie niewolnika na dziedzica, czynił to z obawy, że nie będzie miał heredes suos, a woli jego nie odpowiadało utrzymanie skutków takiego testamentu na wypadek, gdyby po sporządzeniu jego uzyskał heredem suum np. przez urodzenie się syna itd. Ponadto takie ograniczenie skuteczności już sporządzonego testamentu in comitiis calatis odpowiada tendencji ówczesnego prawa, które swobodę testowania przyznawało jedynie w braku heredis sui. Konsekwencją tego jest dalsze ograniczenie skuteczności testamentu in comitiis calatis, mianowicie prawidło »agnatione postumi testamentum rumpitur« a z tymi postumi postawiono na równi tzw. »quasi postumi« tj. inne osoby, które już po sporządzeniu testamentu stały się heredes sui testatora. Natomiast z naturą testamentu per aes et libram prawidło to jest najzupełniej sprzeczne, albowiem najpierw podstawą testamentu per aes et libram jest swoboda testowania, — bez względu na heredes suos, — istniejąca dzięki możności ich wydziedziczenia (exheredatio) przez testatora[1], a ponadto zawiązkiem testamentu per aes et libram jest pozorny akt mancypacyjny (ob. niżej) za pomocą którego spadkodawca przenosił własność swej familiae na osobę zaufaną (familiae emptor), konsekwencją zaś tej konstrukcji wydaje się być nieodwołalność testamentu per aes et libram[2] i utrzymanie w mocy dokonanej alienacji, bez względu na adgnatio postumi vel quasi postumi, a to tembardziej że nawet ze stanowiska ówczesnego

[1] Instytucja wydziedziczenia nieznana przy testamencie in comitiis calatis z tego powodu, że można go było sporządzić tylko w braku heredis sui, pojawia się dopiero w testamencie per aes et libram.

[2] Istotnie wedle ius civile testator nie mógł odwołać swego testamentu mancypacyjnego (Gaius II 151, 151 a), mógł jedynie pozbawić go mocy przez sporządzenie późniejszego testamentu (Gaius II 144), a znamiennem jest, że edykt pretorski, przy postanowieniach dotyczących bonorum possessionem secundum tabulas p. 149, (ob. Lenel Edictum, str. 336 i nast.) za czasów Cycerona nie uwzględniał ewentualności istnienia dwóch testamentów tejże samej osoby, wcześniejszego i późniejszego, gdyż opiewał (Cicero in Verr. II c. § 117) »Si de hereditate ambigitur et tabulae testamenti obsignatae non minus multis signis quam ex lege opportet ad me proferentur, secundum tabulas testamenti potissimum possessionem dabo«. Dopiero w album pretorskiem za czasów Hadrjana, obok innych zmian, zamiast słów »secundum tabulas«, spotykamy słowa »secundum supremas tabulas«. Przy odwołaniu testamentu w sposób dorozumiany np. przez jego zniszczenie dopiero pretor odmawia dziedzicowi testamentowemu bonorum possessionis. Z tego wszyst-

prawa niemożliwem jest dodanie warunku rozwiązującego polegającego na adgnatio postumi vel quasi postumi. W dodatku prawidło o agnatio postumi vel quasi postumi najczęściej było sprzeczne z wolą testatora przy testamencie per aes et libram wobec przyjętego wówczas zwyczaju powoływania na dziedzica jednego ze synów a wydziedziczenia pozostałych heredes suos, gdyż w tych warunkach prawidło to nie odpowiadało przypuszczalnej woli testatora. Trudności ważnego wydziedziczenia wszystkich możliwych postumi i quasi postumi sprawiały, że testator rzadko mógł być bezpieczny, czy skutkiem nieprzewidzianej adgnatio postumi lub quasi postumi testament jego nie stanie się nieważnym (dowodem tego kazuistyka przytoczona u Gaia II 130 i n). Wobec tego jurysprudencja wysilała swą pomysłowość na wynalezienie takich formułek, aby zapobiedz takiej ruptio testamenti przez wydziedziczenie (exheredatio) tych postumi (ob. Gaius II 130—146), ale mimo tego jurysprudencja nie zdołała wynaleść formuł wydziedziczenia zapewniających skuteczne wydziedziczenie wszystkich możliwych postumi i dopiero tym usiłowaniom poczyna iść na rękę akcja ustawodawcza, pozwalając na wydziedziczenie tych kategorji postumorum et quasi postumorum, którzy w chwili sporządzenia testamentu nie byli heredes sui a stali się nimi dopiero później i których z tego powodu wedle dotychczasowego prawa niemożna było skutecznie wydziedziczyć i przez to wydziedziczenie ważności testamentu zabezpieczyć przed ruptio, (należy tu wspomnieć o postumi Aquiliani, postumi Vellaeani od lex Junia Vellaea z r. 26 po Chr., postumi quasi Vellaeani, postumi Juliani ob. Girard Manuel oraz Zoll - Lisowski t. V, § 326, co do postumi legitimi ob. nadto Albertario w Bulletino d'Instituto di diritti romano t. r. 33, fasc. I—III). Nie może ulegać wątpliwości, że zasada tak zacieśniana przez jurysprudencję i osłabiana przez prawodawstwo, jest przeżytkiem dawnego prawa tj. w niniejszym wypadku może pochodzić tylko z testamentum in comitiis calatis,

Obok tego przy testamencie mancypacyjnym spotykamy zasady, trudne do pogodzenia z jego naturą; natomiast znajdujące swe objaśnienie w naturze testamentu in comitiis calatis z którego najwidoczniej zostały zaczerpnięte. Zasady, o których wspominam

---

kiego wynikałoby, że testament per aes et libram pierwotnie był nieodwołalny i że testator mógł sporządzić nowy testament in comitiis calatis dopiero wówczas, gdy odpadł (np. umarł) dziedzic ustanowiony w pierwszym testamencie.

nie mają nic wspólnego z powołaniem niewolnika na dziedzica, lecz wywołane są właściwościami ówczesnego ustroju rodzinnego. Tutaj zaliczam zasadę »nemo pro parte testatus pro parte intestatus decedere potest«, której uzasadnienie nowoczesnym romanistom przyczynia tyle trudności Jeżeli jednak porównamy stan prawny, istniejący wówczas, gdy pater familias pozostawia heredem suum lub testamentarium ze strony jednej, a stan wytworzony śmiercią patris familias bez pozostawienia dziedzica, to zasada ta stanie się dla nas zrozumiałą. W pierwszym wypadku — jakto wyżej przedstawiłem — utrzymany zostaje kult domowy, utrzymane zostają długi i wierzytelności zmarłego patris familias, pecunia nie staje się res nullius, jednem słowem familia istnieje nadal, a dziedzic jest jej pater familias. W razie śmierci bezdziedzicznej familia się rozpada, kult domowy wygasa, długi i wierzytelności gasną, pecunia staje się res nullius, a familia (res mancipii) przypada na wzór naszego prawa kaduka — najbliższemu agnatowi ewentualnie gentylom. Jest przecież zupełnie naturalnem, że familia (rodzina) nie może się w połowie rozpaść a w połowie być utrzymaną kult nie może w połowie wygasnąć, a w połowie być utrzymany, pecunia w połowie przypaść dziedzicowi. a w połowie stać się res nullius, familia (res mancipii) w połowie przypaść dziedzicowi jako część spadku, a w połowie najbliższemu agnatowi jako rzecz bezdziedziczna skutkiem wygaśnięcia rodziny itd.[1]. Ponieważ — wedle

[1] Jeżeli będziemy pamiętali o tych fatalnych następstwach rozpadnięcia się rodziny skutkiem śmierci patris familias bez pozostawienia dziedzica, to zrozumiałem się stanie, dlaczego Rzymianie sporządzenie testamentu uważali za tak ważny obowiązek patris familias (np. Kato robi sobie ciężkie wyrzuty, iż o 3 dni opóźnił się ze sporządzeniem testamentu po uzyskaniu możności jego sporządzenia); istotnie w tych warunkach zaniechanie sporządzenia testamentu stawało się ciężkiem wykroczeniem przeciwko obowiązkom religijnym, nielojalnością względem wierzycieli itd. Kiedy powstał testament mancypacyjny, który można było sporządzać nawet mając heredes suos, przekonanie o obowiązku sporządzenia testamentu się utrzymało, a przytem sama zasada uzyskała szersze zastosowanie, gdyż teraz każdy mogący sporządzić testament, uważał jego sporządzenie za swój obowiązek, pomimo, że nawet miał heredes suos. Jeżeli von Woess, mając już na oku czasy jedynowładztwa (Das römische Erbrecht und die Erbanwärter, str. 38, tekst i uw. 33), przekonanie Rzymian o moralnym obowiązku do sporządzenia testamentu stara się uzasadnić sprzecznością między obowiązującem wówczas prawem spadkowem, a zwyczajami spadkowymi, uwzględnianymi w testamentach, to należy zauważyć, że taka sprzeczność mogła przyczynić się do utrzymania w społeczeństwie przekonania o obowiązku do sporzą-

naszych poprzednich wywodów — testament in comitiis calatis można było sporządzić tylko w braku heredis sui, więc z tego powodu heres suus nie mógł nigdy dziedziczyć obok dziedzica testamentowego; a znowu istnienie testamentu i dziedzica testamentowego wyklucza rozpadnięcie się rodziny wywołane brakiem dziedzica. Przy testamencie mancypacyjnym, który sporządzać można nawet przy istnieniu dziedziców ab intestato, zasada omawiana staje się czemś sztucznie przyczepionem, nie wynikającem z istoty tego testamentu i istotnie nawet dość wcześnie w pewnych wyjątkowych wypadkach zostaje przełamaną — jakto wyżej widzieliśmy przy dziedziczeniu przez córki pozostające pod władzą testatora a przezeń pominięte w testamencie; później w prawie justyniańskiem pod wpływem prawa greckiego wyjątki te stają się bardzo liczne; (ob. von Woess, Das römische Erbrecht str. 248 i n. str. 272 i n.). Widocznem jest zatem, że prawidło »nemo pro parte testatus, pro parte intestatus decedere potest« mogło się wytworzyć tylko przy testamencie in comitiis calatis i z niego do testamentu mancypacyjnego zostało przyczepione.

Dalszą taką zasadą jest zasada, iż testament sporządzić może ważnie tylko osoba sui iuris; w konsekwencji tego już sama niepewność testatora co do swego stanu lub samo jego mylne przekonanie, iż jest alieni iuris pociąga za sobą niemożność testamentu D 28, 1, 15. Podobnie capitis deminutio testatora dotykająca go po sporządzeniu testamentu, np. dostanie się testatora pod władzę innego patris familias skutkiem arrogacji, o ile testator przed śmiercią nie stanie się znowu sui iuris, popadnięcie w niewolę nieprzyjacielską itd. pociąga za sobą nieważność poprzednio ważnie sporządzonego testamentu (por. Gaius II 147); dopiero później złagodzono skutki popadnięcia w niewolę za pośrednictwem fictionis legis Corneliae (D 28, 1, 12 Sohm Inst. wyd. 16, str. 209, 210) przyjmującej, że obywatel rzymski wzięty do niewoli nieprzyjacielskiej tam zmarły, zmarł w chwili, zanim go wzięto do niewoli, a zatem jako obywatel, skutkiem czego i sporządzony przezeń testament utrzymywał się w mocy. Prawidła te są zupełnie obce naturze testamentu mancypacyjnego, albowiem raz dokonana ważna mancypacja i będące jej skutkiem przeniesienie własności nie staje się nieważnem skutkiem capitis deminutio mancipio dantis. Przy

---

dzenia testamentu, ale nie mogła jeszcze sama wytworzyć tej egzaltacji, którą spotykamy u Rzymian, gdy mowa o obowiązku do sporządzenia testamentu.

testamencie in comitiis calatis sprawa przedstawia się inaczej; ustanowienie dziedzica za pośrednictwem takiego testamentu jest ustanowieniem kontynuatora rodziny dokonanem przez jej patrem familias na podstawie przysługującej mu władzy nad rodziną. Kto nie jest pater familias, lecz jest alieni iuris, temu brak władzy potrzebnej do ważnego ustanowienia dziedzica; z tego punktu widzenia z łatwością możemy sobie wytłomaczyć instytucję substytucji pupillarnej tj. ustanowienie dziedzica przez pater familias dla filius familias na wypadek, gdyby syn zmarł przed dojściem do dojrzałości; instytucja ta jest późnym już wytworem jurysprudencji rzymskiej, ale przedstawia się jako konsekwentne rozwinięcie zasad tkwiących w testamencie in comitiis calatis i stąd przeniesionych do późniejszego testamentu per aes et libram.

Powyżej naszkicowaliśmy główne kontury testamentu in comitiis calatis, o ile one dadzą się odtworzyć na podstawie późniejszego prawa. Jakkolwiek instytucja testamentu in comitiis calatis wytworzoną została specjalnie w tym celu, aby pater familias mógł swego niewolnika w braku heredis sui uczynić dziedzicem, i z powodu zależności niewolnika od testatora jednostronnie uwzględniała interes tego ostatniego, to jednak w pewnych warunkach i dla obywatela rzymskiego ten sposób powołania go na dziedzica mógł się okazać korzystniejszym od arrogacji lub adopcji, a to z tego powodu, że nie pociągał za sobą capitis deminutionis adoptowanego względnie arrogowanego i nie zrywał przez to węzłów agnatycznych łączących go z jego rodziną, płynącej stąd nadziei spadku ab intestato itd. Nie potrzeba dodawać, że dostanie się pod władzę arrogującego względnie adoptującego, jako patris familias, mogło nie odstraszać tylko przy zupełnem zaufaniu arrogowanego do arrogującego, a adoptowanego do adoptującego. co nie było chyba tak częstem wypadkiem. Wobec tego wszystkiego zrozumiałą się staje dążność, aby zapomocą testamentu in comitiis calatis powoływać nietylko niewolnika ale i obywatela rzymskiego. Tu jednak nasuwają się pewne komplikacje Niewolnik podlega władzy testatora, dlatego w razie powołania go na dziedzica nie może uchylić się od spadku (heres necessarius) pomimo, że niekiedy np. ze względu na ciężary sakralne, na przeciążenie długami spadku może to być dla niego pożądanem. Obywatel rzymski, nie pozostający pod władzą testatora, jako patris familias, nie może być skrępowany nakazem testatora »heres esto«; do tego potrzeba

jego własnej zgody. W jaki sposób prawo ten problem rozwiązywało, dziś na podstawie zachowanych źródeł odpowiedzieć trudno; teoretycznie możliwe są dwie ewentualności. Pierwsza ewentualność, to postanowienie, że obywatel rzymski powołany na dziedzica przez testament in comitiis calatis staje się dziedzicem – tak jak późniejszy heres extraneus — dopiero przez jego przyjęcie; druga ewentualność, to postanowienie, że ustanowienie dziedzicem obywatela rzymskiego przez testament in comitiis calatis może nastąpić tylko za jego zgodą, a wówczas staje on się dziedzicem już przez otwarcie spadku tak jak heres necessarius. Osobiście ta druga hipoteza wydaje mi się prawdopodobniejszą, gdyż ściślej nawiązuje ona do poprzedniego stanu prawnego; pierwsza hipoteza przedstawia się jako bardzo śmiała innowacja i jako stworzenie hereditatis iacentis w czasie między otwarciem spadku a jego przyjęciem, a taka śmiała innowacja wydaje mi się w owych czasach mało prawdopodobna. Źródła wspominają następnie o testamencie in procinctu (Gaius II 101 etc). Przy obecnym stanie źródeł trzeba zrezygnować z pewności i ograniczyć się do hipotez; najprawdopodobniejszą jest hipoteza, że testament in procinctu różnił się od testamentu in comitiis calatis formą zaświadczenia dotyczącej czynności prawnej; mianowicie przy testamencie in comitiis calatis zaświadczenie ustanowienia dziedzica następowało przed obywatelami, zebranemi na comitia calata, natomiast przy testamencie in procinctu zaświadczenie to następowało w obecności zgromadzonych towarzyszy broni, również będących obywatelami rzymskimi. Zasadnicza koncepcja prawna jest wciąż tasama, a dla dalszego rozwoju instytucji testamentu w prawie rzymskiem testamentum in procinctu ma to tylko znaczenie, że oswoiło prawników rzymskich z możnością zaświadczenia testamentu (tj. aktu ustanowienia dziedzica) nietylko przed obywatelami zgromadzonymi na comitia calata, ale także przed jakiemkolwiek innem zgromadzeniem obywateli, byle tylko w sposób, któryby temu aktowi zapewniał notoryjność. Wyłom w zasadach dotychczasowego prawa i uznanie swobody testowania pojawiają się dopiero przy późniejszej formie testamentu, mianowicie przy testamencie per aes et libram[1].

---

[1] Pod względem chronologji należy zauważyć, że na kilka lat przed wzięciem Numancji (r. 133 przed Chr.) żołnierze 5 kohort legjonowych, idąc na zdobycie Contrebii, wszyscy sporządzili testamenty in procinctu tak, jak gdyby szli na śmierć pewną, Vell. Paterc. II, 5 cyt. u Cuq'a

II.

Gaius II (102) Accessit deinde tertium genus testamenti quod per aes et libram agitur. qui neque calatis comitiis neque in procinctu testamentum fecerat, is si subita morte urguebatur, amico familiam suam, [id est patrimonium suum][1] mancipio dabat, eumque rogabat quid cuique post mortem suam dari vellet. quod testamentum dicitur per aes et libram, scilicet quia per mancipationem peragitur, (103) Sed illa quidem duo genera testamentorum[2] in desuetudinem abierunt; hoc vero solum, quod per aes et libram fit, in usu retentum est. Sane nunc aliter ordinatur, quam olim solebat. namque olim familiae emptor, id est qui a testatore familiam accipiebat mancipio, heredis locum optinebat, et ob id ei mandabat testator. quod cuique post mortem suam dari vellet; nunc vero alius heres testamento instituitur, a quo etiam legata relinquntur, alius dicis gratia propter veteris iuris imitationem familiae emptor adhibetur, (104). Eaque res ita agitur: qui facit testamentum, adhibitis, sicut in ceteris mancipationibus V testibus civibus Romanis puberibus et libripende, postquam tabulus testamenti scripserit, mancipat alicui dicis gracia familiam suam; in qua re his verbis familiae emptor utitur. F a m i l i a p e c u n i a q u e — t u a e n d o m a n d a t e l a m c u s t o d e l a m q u e m e a m, q u o t u i u r e t e s t a m e n t u m f a c e r e p o s s i s s e c u n d u m l e g e m p u b l i c a m, h o c a e r e, et ut quidam adiciunt, a e n a e a q u e l i b r a, e s t o m i h i e m p t a; deinde aere percutit libram, idque aes dat testatori velut pretii loco; deinde testator tabulas testamenti tenens dicit. H a c e i t a u t i n h i s t a b u l i s c e r i s-

---

Institutions juridiques wyd. I, t. I, str. 521, uw. 1. Wedle świadectwa Cycerona testament in procinctu istniał jeszcze za czasow Katona starszego obok testamentu mancypacyjnego (De orat. I 53) a dopiero za czasów Cycerona testament in procinctu już był popadł w desuetudo (Cic. De natura deorum II 3) ob. u Cuq'a l. c. t. I str 521, uw. 2, 3. W związku z powyższą chronologją należy zaznaczyć, że lex Furia testamentaria i lex Voconia (ta ostatnia z r. 169 przed Chr.) dowodzą istnienia testamenti per aes et libram i swobody testowania, (ob. niżej) a lex agraria z r. 643 a. u. c. (r. 110 przed Chr.) lin. 23 dowodzi, że już wówczas dziedziczenie testamentowe było regułą (ob. von Woess, Das römische Erbrecht, str. 31.

[1] Zdaje się, że te słowa są późniejszym dodatkiem, mającym objaśnić niezrozumiałe już wówczas słowa familia, a objaśnienie to jest fałszywe, gdyż familia to nie cały majątek, lecz res mancipii.

[2] tj. in comitiis calatis oraz in procinctu.

que scripta sunt, ita do ita lego ita testor itaque vos Quirites mihi testimonium perhibetote; et haec dicitur nuncupatio: nuncupare est enim palam nominare, et sane quae testator specialiter in tabulis testamenti scripserit, ea videtur generali sermone nominare et confirmare.

Z powyższego przedstawienia wynika — jakto już powyżej zaznaczyłem — że testament per aes et libram powstał z czynności prawnej, mającej na celu obejście prawa, pozwalającego na sporządzenie testamentu (in comitiis, in procinctu) jedynie w braku heredis sui, a poza tym wypadkiem niepozwalającego rozporządzać familią (res mancipii) na wypadek śmierci. Celem obejścia prawa pater familias, korzystając ze swobody rozporządzania familia przez czynności prawne między żyjącymi na podstawie ustawy XII tablic, przez akt mancypacyjny przenosił własność swej familia na osobę zaufaną (familiae emptor), mając zaufanie że ten familiae emptor przez dalszy akt mancypacyjny po jego śmierci odda poszczególne rzeczy, wchodzące w skład tej familia, tym osobom, dla których je pater familias przeznacza. Cały ten pozorny akt mancypacji dotyczył jedynie familiae (nie zaś pozostałych części majątku); dowodzi tego posługiwanie się w tym wypadku aktem mancypacyjnym, który służył do przeniesienia własności na res mancipii, a nie mógł służyć do przeniesienia własności na res nec mancipii; dalej dowodzi tego nazwa »familiae emptor«. Powyższa pozorna mancypacja familiae w połączeniu ze swobodą rozporządzania pecunią zapomocą legatów, uznaną przez ustawę XII tablic dawały obywatelowi rzymskiemu prawie zupełną swobodę rozporządzania swym majątkiem na wypadek śmierci; jedynie wierzytelności i długi nie mogły być w ten sposób oderwane od osoby dziedzica. Ponieważ akt mancypacyjny dostępny był obywatelom rzymskim nietylko płci męskiej, lecz i żeńskiej, więc za pośrednictwem takiego aktu mancypacyjnego mogły swą familia rozporządzać także obywatelki rzymskie sui iuris (oczywiście cum auctoritate tutoris) i można było rozporządzać swą familia także na korzyść obywatelek rzymskich, kiedy poprzednio testament in comitiis calatis sporządzony mógł być tylko przez pater familias i na dziedzica mógł powoływać tylko mężczyznę (niewolnika lub obywatela rzymskiego), co również przedstawia się jako rozszerzenie swobody rozporządzania swą familią w porównaniu z dotychczasowem prawem. Jakkolwiek skąpe są źródła z owych czasów, to jednak widać, że tę swo-

bodę rozporządzania swą familia starali się uzyskać Rzymianie nie w tym celu, aby majątek ze szkodą dzieci przeznaczać obcym; temu na przeszkodzie stał bardzo jeszcze silny wówczas zmysł rodzinny i widoczne jeszcze później pojmowanie rozporządzenia swym majątkiem na wypadek śmierci jako najważniejszego obowiązku (officium) patris familias względem rodziny [1] w połączeniu z właściwą Rzymianom niechęcią do hojności na zewnątrz kosztem swej rodziny. Następnie sama instytucja familiae emptoris dowodzi, że osobie rozporządzającej swą familia na wypadek śmierci za pomocą pozornego aktu mancypacyjnego chodziło prawidłowo o przeznaczenie tej familiae dla osób pozostających pod jego władzą, które z tego powodu jako alieni iuris niczego nie mogły nabyć dla siebie; dlatego też posługiwano się familiae emptorem, który rzeczy nabyte drogą mancypacji na własność oddawał dalej na własność po śmierci mancipio dantis osobom, dla których były one przeznaczone; gdyby rozchodziło się o inne osoby (tj. nie pozostające pod władzą osoby rozporządzającej swą familia na wypadek śmierci za pośrednictwem pozornego aktu mancypacyjnego), to ta ostatnia osoba bez pośrednictwa familiae emptora mogłaby przez pozorny akt mancypacyjny oddać poszczególne res mancipii na własność wprost tym osobom, dla których je przeznaczała, o ileby tylko nie bała się z ich strony nadużycia zaufania [2]. Wszystkie te poszlaki razem wzięte w połączeniu z jeszcze znacznie później utrzymującym się zwyczajem, aby dziedzicem ustanawiać jednego tylko syna, a resztę dzieci wydziedziczać pozostawiając im zaopatrzenie w formie legatów [3], przemawiają za przypuszczeniem, że Rzymianie o swobodę rozporządzania swą familia na wypadek śmierci walczyli głównie dla tego, aby przez rozporządzenia ostatniej woli niedopuścić do rozdrobnienia majątków [4]. Jako przyczyny, które mogłyby wywołać

[1] Bonfante Scritti giuridici varii t. I (1916), str. 115 i nast., str. 325 i nast. Cuq Inst. jurid. wyd. I, t. II, str. 585—586.

[2] ob. Cuq Institutions jur. wyd. I, t. I, str. 519—521.

[3] ob. Bonfante Scritti giuridici varii t. I, str. 115 i nast., str. 325 i nast., por. von Woess, Das römische Erbrecht str. 65—128.

[4] Podnosi to z silnym naciskiem Bonfante (Scritti giuridici varii t. I, str. 115 i n.). Twierdzenie powyższe jest najzupełniej słuszne w zastosowaniu do testamentu per aes et libram. Tamże u Bonfantego (t. I, str. 325 i nast.) spotykamy nadzwyczaj pouczające porównanie tego zwyczaju spadkowego rzymskiego z prawem spadkowem i zwyczajami spadkowymi Japończyków. Podobieństwo to jest wywołane podobnem pojmowaniem stosunku jednostki do rodu, mianowicie podporządkowaniem jej interesów interesom rodu.

lub przynajmniej spotęgować taką dążność wymienić należy prawo o składzie komicjów centurjalnych, przypisywane przez tradycję królowi Serviusowi Tulliusowi, a w istocie — jakto powyżej zaznaczyliśmy — pochodzące najwcześniej z IV wieku po Chr. Kiedy w dawnych komicjach kurjalnych prawo głosowania było niezależne od majątku, to przeciwnie było na komicjach centurjalnych; w tych warunkach rozdrobnienie się majątku przez równe działy między synów, dziedziczących ob intestato, mogło pozbawić ich prawa głosowania w klasie rycerskiej lub w pierwszej klasie obywateli (census 100.000 asów), a tem samem zepchnąć ich do liczby tych, którzy mieli prawo głosowania w klasach dalszych, pozbawionych — jak wiadomo — wedle pierwotnego ustroju komicji centurjalnych wpływu decydującego na uchwały tychże komicjów. Dalszym powodem był charakter dostojeństw magistratualnych rzymskich, które otwierały drogę do senatu i do tworzącej w miejsce patrycjatu nowej arystokracji (nobilitas). Dostojeństwa te były nie tylko bezpłatne, ale ponadto wymagały znacznych wydatków na cele reprezentacyjne; były więc dostępne tylko dla zamożnych. W okresie tworzenia się nowej arystokracji (nobilitas) po otwarciu dostępu plebejuszom do dostojeństw magistratualnych, te rodziny, które chciały podnieść lub co najmniej utrzymać swoje stanowisko socjalne, musiały się trzymać tego zwyczaju. aby niedopuścić do rozdrobnienia majątku. Z drugiej strony istnienie takiego zwyczaju wyjaśnia nam istnienie w Rzymie tej stosunkowo wielkiej ilości obywateli bezrolnych i dziwną siłę ekspanzji, którą Rzym okazywał przy tworzeniu ze swych obywateli najpierw kolonji Latyńskich, potem kolonji obywatelskich (municipia civium Romanorum).

Stan rzeczy, który się wytworzył w ten sposób, mianowicie swoboda rozporządzania swą familia na wypadek śmierci za pośrednictwem pozornego aktu mancypacyjnego, nie był pogwałceniem prawa dziedziczenia, którego główną funkcją było kontynuowanie familiae spadkodawcy, a treść majątkowa była tylko konsekwencją pierwszej funkcji, a to tem bardziej, że zazwyczaj familia pozostawała skutkiem takiego aktu mancypacyjnego w rodzinie, a tylko zostawała skupiona w jednym ręku w miejsce poddania jej równemu podziałowi między wszystkich współdziedziców. Mimo tego powyżej przedstawiony stan rzeczy wywołał cały szereg niedogodności. Jako takie niedogodności należy wymienić ciężar sakralny i długi spadkowe. Jeżeli zmarły pozostawił dziedziców, to

ciężary te przechodziły na nich, lecz oni najczęściej — poza jednym uprzywilejowanym przez przeznaczenie dlań familiae — dla braku środków materjalnych nie mogli im podołać[1]. Bardzo jest też prawdobnem, że nawet osoby nie mające heredis sui nie sporządzały testamentu (ani in procinctu ani in comitiis calatis), lecz swą pecunia rozporządzały w drodze legatów, a familia przez pozorny akt mancypacyjny; a wówczas dla braku dziedzica gasł kult i długi spadkowe[2]. Wobec tego jurysprudencja rzymska — pozostająca jeszcze wówczas, jak się zdaje, pod silnym wpływem kollegjum pontyfików, — poczyna dążyć do tego, aby z poszczególnych części składowych majątku spadkodawcy (familia, pecunia, wierzytelności, długi)[3] stworzyć jedną nierozerwalną masę spadkową, z którą byłby

---

[1] Te wypadki się rozgrywały prawdopodobnie jeszcze przed wprowadzeniem przez pretora egzekucji na majątek dłużnika, a zatem jeszcze wówczas, gdy dłużnik swą osobą odpowiadał wierzycielowi. Mimo tego jednak wzgląd na wypłacalność dziedziców dłużnika odgrywać musiał dużą rolę także przy systemie odpowiedzialności ściśle osobistej dłużnika, gdyż odpowiedzialność ściśle osobista dłnżnika była środkiem presji, skutecznym tylko wobec wypłacalnego dłużnika, a wobec niewypłacalnego zawodziła. Że z wymienionymi w tekście względami liczono się wówczas istotnie, tego dowodzi stwierdzony przez Gaiusa (II 55) wpływ tych samych czynników na powstanie instytucji usucapionis pro herede, która — jakto niżej zobaczymy — powstaje właśnie w owym czasie w związku z powstaniem testamentu per aes et libram.

[2] Powód powstania tego testamentu per aes et libram podany przez Gaia w przytoczonym powyżej ustępie II 102 (trudność sporządzenia testamentu in comitiis calatis lub in procinctu w razie zagrażającej nagłej śmierci) nie wytrzymuje krytyki, albowiem z jednej strony, ignoruje brak swobody testowania wówczas, gdy pater familias miał heredes suos i dążność do obejścia tych ograniczeń za pośrednictwem pozornej czynności prawnej, a z drugiej strony Rzymianie — gdyby tylko sama f o r m a czynności prawnej była przeszkodą dla sporządzenia testamentu, umieliby tę formę złagodzić, a to tem bardziej, że wówczas comitia calata i comitia curiata same zeszły do prostej formy i były reprezentowane przez 30 liktorów. Z całego opowiadania Gaia to tylko wydaje się możliwem, że bardzo często obywatel rzymski, nie mając heredes suos, nie sporządzał naumyślnie testamentu i ograniczał się do rozporządzenia swą familia za pośrednictwem pozornej mancypacji, a swą pecunia za pośrednictwem legatów, aby osobom tak honorowanym dać ten majątek wolny od długów i ciężarów sakralnych, (utrata wierzytelności w owym czasie nie odgrywała poważnej roli), a swe nielojalne postępowanie w stosunku do kultu domowego i w stosunku do wierzycieli starał się usprawiedliwić rzekomo niespodzianem zaskoczeniem go przez niebezpieczeństwo śmierci.

[3] Tem związaniem długów spadkowych z aktywami spadkowymi w jedną nierozerwalną masę majątkową tłomaczy się postanowienie

związany ciężar kultu domowego (ob. Cicero de legibus II 19, 47, oraz 52) a konsekwencją tego jest połączenie w jeden akt prawny wyżej przedstawionego rozporządzenia familią na wypadek śmierci zapomocą pozornego aktu mancypacyjnego z testamentem i ewentualnymi legatami. Połączenie to następuje w ten sposób, że uznaną i utrzymaną zostaje swoboda rozporządzania familią na wypadek śmierci za pomocą mancypacji uzyskana wyżej przedstawionym wybiegiem prawniczym, ale takie rozporządzenie wymaga do swej ważności, aby było połączone z powołaniem tejże osoby na dziedzica. Jeżeli czytamy wyżej przez Gaiusa przedstawioną formę tego, przez powyższe połączenie stworzonego, aktu prawnego, to rozróżniamy wyraźnie jego elementy składowe; jeden element — to akt mancypacyjny; drugi zaś element, to ustanowienie dziedzicem tego, dla którego przeznaczoną zostaje familia, mancipio data familiae emptori. Te dwa elementy zawierają jednak w sobie cały szereg sprzeczności, które jurysprudencja musiała usunąć. Najpierw trzeba było rozpocząć od zmodyfikowania skutków mancipationis. Formuła, którą wypowiada — wedle Gaiusa — familiae emptor przy testamencie per aes et libram, odbiegła znacznie od formuły, którą wypowiada manu capiens przy zwyczajnej mancypacji; formuła ta wspomina nietylko o familia ale i o pecunia, czyli o całym majątku; ponadto z formuły tej odpadła wzmianka o nabyciu własności przez manu capientem »hanc rem ex iure Quiritium meam esse aio« i pozostała z niej tylko wzmianka o nabyciu familiae pecuniaeque drogą fikcyjnego kupna »uno nummo« »esto mihi empta«, które tu nie ma żadnego znaczenia, gdyż jest tylko stwierdzeniem formy dotyczącej czynności prawnej (użycie wagi, fikcyjna zapłata ceny uno nummo); natomiast spotykamy się w omawianej formule ze stwierdzeniem swobody testowania przysługującej testatorowi (mancipio danti), a wypływającej z tej mancypacji »quo tu iure testamentum facere possis secundum legem publicam«, tudzież zaznaczenie, że mancypacja ta dokonaną zostaje wyłącznie dla celów testamentu »familia pecuniaque tua endo mandatelam custodelamque meam hoc aere aeneaque libra esto mihi empta«. To przekształcenie formuły wyraźnie wskazuje, jakim przekształce-

(Gai III 84), że w razie arrogacji dziedzica długi spadkowe przechodzą na arrogującego: podnieść należy, że powyższe postanowienie jest instytucją iuris civilis. Podobnie jest przy hereditatis in iure cessio ante aditionem (Gai II 34, 35).

niom uległy skutki tego aktu mancypacyjnego dla uzgodnienia go z powołaniem na dziedzica osoby, dla której familia zostaje przeznaczona, mianowicie akt mancypacyjny został pozbawiony swego znaczenia; majątek spadkodawcy (mancipio dantis) nie przechodzi za jego życia na własność familiae emptora, lecz dopiero po śmierci mancipio dantis ma wprost przypaść ustanowionemu przezeń dziedzicowi[1]. Równocześnie i forma testamentu, ustanawiającego dziedzica, musiała także uledz przekształceniu. Ustanowienie dziedzica wychodzi tutaj od osoby mancipio dantis, ale wypowiedzianem ono zostaje przed zgromadzeniem obywateli daleko mniej licznem i uroczystem, niż przy testamencie in comitiis calatis lub in procinctu, mianowicie przed 5 świadkami aktu mancypacyjnego, familiae emptorem i libripensem i do nich się zwraca testator o zaświadczenie dotyczącego testamentu w formule zapożyczonej — jakto już poprzednio zauważyłem — »...ita testor, itaque vos Quirites mihi testimonium perhibetote«. Pierwotnie testator dziedzica ustanawiał ustnie, później — jak widzimy z przedstawienia Gaia — wystarczało ustanowienie testamentu na piśmie (tabulae testamenti) w połączeniu z ustnem powołaniem się przed świadkami na treść spisanego dokumentu. Od ważności tego ustanowienia dziedzica zależy ważność całego omawianego przez nas aktu prawnego, będącego połączeniem przekształconej mancypacji z testamentem; stąd zasada, że institutio heredis caput et fundamentum testamenti (Gaius II 229). W dążności do skupienia wszystkich rozporządzeń na wypadek śmierci jurysprudencja rzymska poszła jeszcze dalej i postanowiła, że z tym aktem prawnym muszą być połączone ewentualne legaty, za pomocą którychby testator rozporządzał swą pecunia na rzecz innych osób (nie zaś dziedzica), dalej ustanowienie opieki, wyzwolenia. Przymusowe połączenie także ewentualnych legatów w jeden omawiany przez nas akt prawny uwzględnione zostaje w formule wypowiadanej przez testatora »ita do, ita lego...[2]. To przymusowe stworzenie nierozerwalnej hereditatis z po-

---

[1] Ponieważ w tem połączeniu pierwotny akt mancypacyjny zeszedł do prostej formy czynności prawnej, więc zrozumiałem jest, że pretor zrobił dalszy krok, czyniąc udzielenie bonorum possessionis secundum tabulas niezależne od dopełnienia formy mancypacyjnej, ob. Gaius III 119 Lenel Edictum perpetuum str. 336—337.

[2] Jaka była pierwotnie wymagana forma prawna dla ważności legatów i ustanowienia opieki przez patrem familias w rozporządzeniu ostatniej woli wedle XII tablic — nie jest nam wiadomem; być może, że wystarczał ustny, lecz w uświęconej przez tradycję formie (verbis

szczególnych części składowych majątku spadkodawcy, któremi on mógł dotychczas oddzielnie rozporządzać, zmusza go w razie powołania kilku współdziedziców, do podziału spadku między nich w kwotach ułamkowych w miejsce praktykowanego dotychczas przydziału poszczególnych rzeczy poszczególnym osobom [1]. Instytucja testamentu per aes et libram stworzyła jednak cały szereg dalszych trudności, które można było usunąć dopiero przez uzgodnienie materjalnego prawa spadkowego z nową formą testamentu. Zadania tego dokonała również jurysprudencja rzymska bez współdziałania władzy prawodawczej Pierwszą trudność sprawiało postanowienie prawa rzymskiego, że heredes sui stają się automatycznie dziedzicami zmarłego patris familias, a temsamem i nabywają pozostały po nim spadek już skutkiem śmierci swego patris familias i że to nabycie jest nieuchronną konsekwencją ich współwłasności tego majątku, istniejącej jeszcze za życia patris familias, lecz ubezwładnionej przez władzę tego ostatniego (ob. wyżej). Skutkiem tego jeżeliby heres suus nie był w testamencie ustanowiony dziedzicem, to mimo tego stawał się on automatycznie dziedzicem ab intestato, a temsamem wykluczał od spadku inną osobę, ustanowioną dziedzicem w testamencie per aes et libram. Aby temu zapobiedz i urzeczywistnić swobodę rozporządzeń ostatniej woli, stworzoną zostaje instytucja wydziedziczenia (exheredatio) [2]. Już poprzednio widzieliśmy trudności, które sprawiało ważne wydziedziczenie postumorum et quasi postumorum i tutaj tylko do tego przedsta-

imperativis) wypowiedziany rozkaz patris familias wobec osób pozostających pod jego władzą; za przypuszczeniem naszem przemawiałyby późniejsze postanowienia co do adsignatio libertorum, która była również wewnętrzną sprawą rodzinną i nie wymagała specjalnej formy (ob. D 38, 4). W każdym razie nieprawdopodobnem jest, aby pierwotnie przy legatach była wymagana forma testamentu, gdyż przy testamencie wymóg formy (potrzeba publicznego zaświadczenia) podyktowany był skutkami tego aktu wychodzącymi poza obręb rodziny (ob. wyżej); odmienny jest pogląd Lenel w Essays in legal history str. 120 i nast.

[1] nieco odmiennie. Rabel Elterliche Teilung cyt. przez von Woessa Das römische Erbrecht str. 145, uw. 24 por. Holtzendorffs Enz. wyd. 7, t. I, str. 525, nr. 2.

[2] Tak Rabel w Holtzendorfie Enzyklopädie wyd. 7, t. I, str. 520, 528, 529, odmiennie von Woess Das römische Erbrecht und die Erbanwärter str. 138 i nast.; że instytucja wydziedziczenia jest wytworem jurysprudencji i że uznanie zdołała sobie uzyskać nie bez oporu, na to wskazuje bardzo charakterystyczna uwaga Paulusa, że trudno patri familias odmawiać prawa do wydziedziczenia swych heredes suos, jeżeli ich może kazać zabić D, 28, 2, 11.

wienia rzeczy odsyłamy. Co do formy to pierwotnie wystarczała tzw. exheredatio inter ceteros (ceteri omnes exheredes sunto) nawet w zastosowaniu do synów[1]; później zaostrzono wymóg formy, wymagając wydziedziczenia imiennego najpierw synów, później nawet innych heredes suos płci męskiej itd. (co do szczegółów ob. Gaius II 123—146). Przy tem zaostrzeniu formy pewną rolę mogła odgrywać dążność do zapobieżenia wydziedziczeniu, wywołanemu błędem testatora np. przekonaniem, że syn nie żyje itd a obok tego w okresie już dość późnym pod koniec republiki, kiedy pod wpływem greckim poczęła występować dążność do ograniczenia bezwzględnej swobody testowania i kiedy na tej drodze stworzono bonorum possessionem contra tabulas i querelam in officiosi testamenti, to bardzo prawdopodobnem jest, że sądy wyszukiwały rzekome usterki w formie wydziedziczenia, aby uznać za nieważny testament, który ich zdaniem krzywdził heredem ab intestato — tak jakto niejednokrotnie w dzisiejszej judykaturze kiełkująca nowa myśl prawnicza wywalczać sobie musi uznanie przy pomocy różnych naciągań prawa, a taka judykatura sądu centumwiralnego przyczyniła się oczywiście do zaostrzenia formy wydziedziczenia, a nawet później popartą została przez ustawy np. lex Junia Vellaea wymaga wydziedziczenia nominatim tych wnuków, którzy się stali heredes sui skutkiem śmierci syna już po sporządzeniu testamentu, a przy wydziedziczeniu wnuczek w analogicznym wypadku wymaga ta ustawa albo wydziedziczenia nominatim, albo wydziedziczenia inter ceteros przy zaopatrzeniu ich legatem (Gaius II 134).

Dalszą trudność, a raczej konieczność niekonsekwencji stwarzała konieczność ustanowienia dziedzica w testamencie per aes et libram pod rygorem nieważności testamentu i to nawet wówczas, gdy testator przeznaczał swój majątek dla heredem suum, jakkolwiek ten heres suus miał nawet skutkiem swej przynależności do familia spadkodawcy prawa dalej sięgające niż extraneus, powołany na dziedzica w testamencie per aes et libram, mianowicie skutkiem swej ukrytej wspólnej własności nabywał majątek spadkowy automatycznie już z chwilą otwarcia się spadku, a nadto na heredem suum przechodzi prawo do zemsty i do okupu, z czego późniejszą pozostałością jest actio iniuriarum z powodu iniuriae wyrządzonej spadkodawcy lub jego zwłokom (później dopiero przy-

[1] ob. von Woess Das römische Erbrecht str. 153 i nast.

znawana wszystkim dziedzicom ob. Ulpian D 47, 10 fr. 1 § 4), prawo do korzystania z grobowca familijnego (w przeciwieństwie do sepulcra hereditaria) i prawo patronatu nad wyzwoleńcami (D 38, 4); prawa tych dwóch ostatnich kategoryj jeszcze w prawie klasycznem przechodzą na heredes suos niezależnie od dziedziczenia z testamentu [1]; z drugiej jednak strony heres suus ustanowiony dziedzicem w testamencie per aes et libram dziedziczy na podstawie testamentu (nie zaś ab intestato), co objawia się w ustanowieniu ewentualnych legatów, wyzwoleniu niewolników itd.

Jeżeli w testamencie per aes et libram powołanym na dziedzica był niewolnik testatora, to stan najmniej odbiegał od stanu prawnego stwarzanego przez pierwotny testament in comitiis calatis; z jednej strony niewolnik jako uczestnik (chociaż upośledzony w porównaniu z filius familias) rodziny spadkodawcy stawał się automatycznie dziedzicem z chwilą otwarcia spadku; z drugiej strony zależność od władzy testatora jako jego pana sprawiała, że rozkaz zawarty w testamencie »heres esto« niewolnika obowiązywał i nie pozwalał mu na usunięcie się od dziedzictwa nawet gdyby się obawiał przeciążenia długami itd.

Natomiast donioślejsze zmiany musiały wystąpić w tym wypadku, gdy testament na dziedzica powoływał extraneum. Jakkolwiek i na takim dziedzicu testamentowym ciążył obowiązek do kontynuowania kultu domowego spadkodawcy, obowiązek do ultio mortis spadkodawcy itd.; a nadto przysługiwało mu prawo do korzystania z sepulcra hereditaria, to jednak poczyna sobie torować drogę przekonanie, że te prawa i obowiązki łączą się tylko ze spadkiem, lecz nie stanowią jego części składowej, że przeciwnie pojęcie spadku obejmuje jedynie ogół praw i zobowiązań prywatnych majątkowych spadkodawcy [2], a prawo dziedzica testamentowego p o l e g a na sukcesji uniwersalnej w prawa majątkowe prywatne testatora (por. Wróblewski, Zarys wykładu 7, I, str. 510—515). Tak wytworzone przy dziedziczeniu z testamentu przez extraneum pojęcie spadku i prawo dziedziczenia musiało oddziałać i na dzie-

---

[1] ob. Rabel w Holtzendorfa Enzyklopädie, wyd. 7, t. I, str. 520.

[2] Stanowi to zasadniczą zmianę w stosunku do długów. Pierwotnie — jak widzieliśmy — dalsze istnienie długu i odpowiedzialność dziedzica (czy to heredis sui czy successoris testamentarii) uzasadnioną była tem, że byli oni kontynuatorami familiae zmarłego patris familias; obecnie długi stanowią część składową spadku niezależnie od stosunków prawa familijnego łączących spadkodawcę z dziedzicem (por. Gai III 84).

dziczenie z testamentu przez heredem suum, a także przez heredem tantum necessarium (non suum); i w tych wypadkach poczyna się odróżniać spadek jako ogół praw i zobowiązań majątkowych prywatnych spadkodawcy przechodzących na dziedzica, od praw, które ten dziedzic uzyskuje ze śmiercią spadkodawcy skutkiem swej przynależności do jego familia, a ta dystynkcja, uzyskawszy sobie w nauce prawo obywatelstwa stosowaną bywa wreszcie i przy dziedziczeniu ab intestato (Definicja hereditatis podana Juliana w D. 50, 17, 62, a przez Africana w D 50, 16 fr. 208 wskazuje, że przedstawiona przez nas ewolucja, była w owym czasie ukończoną; natomiast lex agraria z r. 643 a. u. c. [r. 110 przed Chr.] przeciwstawiając dziedziczenie z testamentu dziedziczenia ab intestato [lin. 23... quoive... is ager locus testamento hereditate deditionive obvenit] stwierdza, że w owym czasie odróżniano silnie dziedziczenie z testamentu (successio testamentaria) od dziedziczenia ab intestato przez heredem suum i to prawdopodobnie z tego powodu, że dziedziczenie z testamentu pojmowano już jako sukcesję uniwersalną w prawa i zobowiązania majątkowe prywatne spadkodawcy, a dziedziczenie ab intestato jeszcze jako instytucję prawa familijnego, mianowicie jako nabycie przez dziedzica pewnych praw wraz z obowiązkami z mocy stanowiska uzyskanego w rodzinie skutkiem śmierci spadkodawcy.

Dalszą zmianę przy dziedziczeniu przez extraneum wywołuje ta okoliczność, że extraneus nie podlegał władzy testatora i dlatego rozkaz testatora nie mógł go obowiązywać; skutkiem tego forma rozkazująca »heres esto« lub »heredem esse iubeo« (ob. Gaius II 117) straciła tutaj swe znaczenie i stała się tylko formą, dającą się wytłomaczyć historycznie, lecz pozostającą w sprzeczności z istotą danego aktu prawnego. Skutki testamentu, powołującego extraneum na dziedzica, musiały zostać dostosowane nie do formy, będącej przeżytkiem, lecz do natury tej czynności prawnej. Z tego powodu musiano pozostawić extraneo swobodę przyjęcia lub nieprzyjęcia spadku, co objawiło się postanowieniem, że extraneus staje się dziedzicem dopiero przez przyjęcie spadku[1]. Jestto poniekąd stanowisko i rozwiązanie kompromisowe, gdyż wedle prawa dawniejszego (naszem zdaniem przynajmniej) pecuniam nabywało się na

---

[1] Pozostawienie tej swobody extraneo było koniecznem także ze względu na długi spadkowe, które dla extraneusa były — odmiennie niż dla filius familias i dla niewolnika — długami obcymi.

własność dopiero przez jej usucapio, której początkiem było objęcie jej w usus; natomiast familia przypadała ipso iure proximo adgnato; obecnie gdy familia i pecunia stanowią tylko części składowe nierozerwalnej całości mianowicie spadku (hereditas), spadek ten nabyty zostaje przez jego przyjęcie (aditio). Przez to jednak między otwarciem a przyjęciem spadku powstaje luka; ponieważ poszczególne prawa wchodzące w skład spadku przez extraneum nabyte zostają dopiero z chwilą przyjęcia spadku, więc res hereditariae, antequam aliquis heres existat, nullius in bonis sunt. (Gaius w D 1, 8, 1 pr.); w dalszej konsekwencji furtum na takich rzeczach popełnionem być nie może, dopóki heres extraneus nie obejmie ich w posiadanie (Gaius III 201, ograniczenia u Marc. i Scaevoli D 47, 2, fr. 69—71) i z tego powodu dopiero za Marka Aurelego stworzone zostaje osobne crimen expilatae hereditatis (ob. D 47, 19, 1), aby tego rodzaju czynów zabronić. Z drugiej znowu strony jest wśród prawników rzymskich zupełnie zrozumiała dążność, aby nietylko zachować ciągłość prawną dla przyszłego dziedzica na ten wypadek, gdy on nabędzie spadek przez jego przyjęcie tak, aby mógł być uważany za następcę prawnego spadkodawcy, ale nadto występuje dążność, aby w czasie przed przyjęciem spadku majątek spadkowy skonstruować jako organiczną całość, mogącą być przedmiotem prawidłowej gospodarki np. w sprawie nabycia na własność owoców przypłodku itd z rzeczy należących do spadku, nabycia legatów przypadających niewolnikom, należącym do spadku itd. Między tymi dwoma punktami widzenia zachodzi zasadnicza sprzeczność, którą prawnicy rzymscy starają się w różny sposób usunąć; pierwotnie (aż do II wieku po Chr) służy do tego celu fikcja, że nabycie spadku działa wstecz do chwili otwarcia spadku (Cassius w D 45, 3, 28, 4); później bierze górę pogląd Juliana, że spadek aż do jego przyjęcia swą siłę nabywczą czerpie z osoby spadkodawcy i formułuje go się temi słowy, że przedstawia on »sustinet« osobę spadkodawcy, nie zaś dziedzica (Gaius D 28, 5 fr. 31, § 1. Marcel w D 41, 3, 15 pr. Ulpian 41 1, 34), niekiedy samą masę spadkową uważa się jako zdolną do tego, by samej pozostawać w stosunkach prawnych (Paulus w D 3, 5, 20, 1, Modestinus w D 45, 3, 35)[1]. Ostatecznie za Justyniana wyłania się z tego konstrukcja, uważająca nieobjętą masę spadkową za osobę

[1] Przedstawienie to zaczerpnięte z Rabla w Holtzendorfa Enzyklopädie wyd. 7, t. I, str. 532, 533.

prawniczą (D 9, 2. fr. 13, § 2 interpol. [dominus... habebitur] [1]. Skutkiem wyżej przedstawionej ewolucji tj. utworzenia z majątku, pozostałego po spadkodawcy, jednej nierozerwalnej masy spadkowej, obejmującej między innemi także familiam et pecuniam, tudzież skutkiem postanowienia, że heres extraneus nabywa spadek dopiero przez jego przyjęcie, było przekształcenie się instytucji usucapionis pro herede. Wobec stworzenia pojęcia hereditatis jako nierozerwalnej całości, najbardziej logicznem byłoby uznać, że dotychczasowa usucapio pro herede dotycząca tylko pecuniae, stała się bezprzedmiotową i przestała istnieć, a to tembardziej, że prawdopodobnie już wówczas poczęły występować w jurysprudencji tendencje, aby usucapionem uczynić zależną od dobrej wiary i tytułu prawnego; jeżeli tej drogi wbrew logice nie obrano i stworzono dziwoląg prawniczy, jakim jest znana nam ze źródeł usucapio pro herede (np. Gaius II 52—55), to przyczyną były następujące względy, mianowicie: testator i pontifices obawiali się, że powołany w testamencie heres extraneus nie przyjmie spadku dla uniknięcia obowiązków sakralnych i odpowiedzialności za długi spadkowe, a raczej, że będzie on zwlekał z przyjęciem spadku, a tymczasem obejmie on rzeczy należące do spadku i nabędzie je w drodze zwykłego zasiedzenia (nie pro herede); bardzo być może też, że heres extraneus, będący najczęściej najbliższym agnatem, a powołany na dziedzica cum cretione perfecta spodziewał się po nieprzyjęciu spadku z testamentu nabyć pozostałą familiam ipso iure z mocy ustawy XII tablic, z powodu braku dziedziców [2]. Potrzebnem zatem było stworzenie jakiegoś środka presji na powołanego w testamencie heres extraneus (Gaius II 55).

Do tego celu służyła wspomniana w formule wypowiedzianej przez familiae emptora »mandatela custodelaque«, oparta na dokonanej mancipacio familiae pecuniaeque. Tu mandatela custodelaque nie była już wówczas prawem własności ex iure Quiritium, ale służyła prawdopodobnie do tego, aby familiae emptor mógł heredem extraneum zgodnie z wolą testatora nie dopuścić do objęcia rzeczy spadkowych przed przyjęciem spadku, co temsamem otwie-

[1] Dla uniknięcia tych trudności prawodawstwo nowoczesne (kod. Napoleona, kod. cyw. niemiecki) poszły odmienną drogą, przyjmując, że dziedzic nabywa spadek ipso iure, a tylko może go odrzucić ze skutkiem wstecznym, — co jednak również stwarza cały szereg innych trudności.

[2] Prawo cywilne nie zakreślało terminu do przyjęcia spadku.

rało możność innym osobom, a przedewszystkiem samemu familiae emptorowi nabycia na własność tychże rzeczy spadkowych przez usucapionem. Tą genezą i tym celem tłomaczą się z łatwością dziwaczne właściwości tej usucapio pro herede, mianowicie wykluczenie od niej osoby uważającej się za powołaną na dziedzica, a ograniczenie jej zastosowania tylko do osób w złej wierze (ob. Perozzi Istituzioni, t. II (r. 1908), str. 385 i n., oraz Wróblewski w Czasopiśmie prawniczem krak., Rocznik XXI Nr. 1—6, str. 212 i nast., odmiennie Bonfante Scritti giuridici varii t. II, r. 1918, str. 641 i n. 646 i n.)[1]. W literaturze opierającej się na Gaiu (II 53, 54) przyjętym jest jednak pogląd, że pierwotnie przedmiotem tej usucapio pro herede były nie poszczególne rzeczy spadkowe, lecz cała hereditas (ob. np. Mitteis Röm. Privatrecht) i że usucapio poszczególnych rzeczy spadkowych jest późniejszem przekształceniem tej instytucji.

Ponieważ w tym okresie hereditas stanowi już jedną nierozerwalną całość, więc istotnie najprostszą byłaby konstrukcja tego rodzaju, że przedmiotem usucapionis pro herede jest cały spadek; temu jednak na przeszkodzie stoi ta okoliczność, że w skład hereditatis wchodzą obok rzeczy zmysłowych także wierzytelności, długi i ciężary sakralne, jednem słowem stosunki prawne, które wedle prawa rzymskiego nie mogą być przedmiotem zasiedzenia (XII tablic mówią wyraźnie o nabyciu przez zasiedzenie tylko własności rzeczy nieruchomych i innych)[2]. Skutkiem tego

---

[1] Później jak wiadomo, kiedy pretor stworzył w swym edykcie bonorum possessionem i successionem ordinum et graduum, mandatela i custodela familiae emptora nie mogła być stosowana, a usucapio pro herede straciła swą rację bytu i występują dążenia do złagodzenia jej skutków; dążeniu temu czyni zadość postanowienie cesarza Hadrjana, że nawet dokonana usucapio pro herede jest bezskuteczna wobec dziedzica (Gaius II, 57). Ponieważ za czasów Gaiusa mandatela et custodela familiae emptora już wyszła z użycia, więc milczenie Gaia o tej instytucji nie powinno nas zadziwiać, a bez przyjęcia tej instytucji niezrozumiałem jest, w jaki sposób usucapio pro herede ma być środkiem presji na heredem extraneum, aby spadek przyjął, kiedy usucapionem pro herede wyklucza nie przyjęcie spadku, lecz objęcie rzeczy spadkowych przez dziedzica.

[2] Przeciwko temu poglądowi, aby przedmiotem usucapionis pro herede mogła być kiedykolwiek hereditas jako całość, przemawiają postanowienia XII tablic, znające tylko zasiedzenie rzeczy zmysłowych, dalej postanowienia XII tablic o losach familiae w razie bezdziedzicznej śmierci jej właściciela, wogóle przedstawione przez nas losy majątku w razie bezdziedzicznej śmierci patris familias itd. Z pozorną mancypacją, ma-

zastosowanie usucapionis pro herede ograniczonem zostaje tylko do familia i do pecunia tj. do rzeczy zmysłowych, wchodzących w skład spadku; (analogję stanowi tu mojem zdaniem in iure cessio praw spadkowych proximi adgnati, nabytych już przez przyjęcie spadku, gdzie skutkiem in iure cessionis gasły wierzytelności spadkowe, jako nie mogące stanowić przedmiotu in iure cessionis ob. Gaius II 35). Mimo tego rozszerzenia usucapionis pro herede na familiam, z dawnej usucapio pecuniae utrzymany zostaje termin jednoroczny zasiedzenia, jakkolwiek w skład familiae mogą wchodzić nieruchomości, wymagające wedle XII tablic dwuletniego terminu zasiedzenia (Gaius II 54).

W związku ze skonstruowaniem hereditatis jako jednej nierozerwalnej całości, pozostaje także wytworzenie się prawa dziedziczenia ab intestato przez bocznych agnatów i gentylów. Wedle XII tablic — jakto wyżej zaznaczyliśmy — przypadała im na własność familia ipso iure w braku heredis sui lub testamentarii; obecnie wobec nowoskonstruowanej całości hereditatis, otwierają się dwie alternatywy; albo uznać, że nie mają oni już prawa do takiej familia, albo też postanowić, że familia im przypada, ale przypada jako część składowa hereditatis. Pierwsze rozwiązanie byłoby krzywdzącem dla agnatów i gentylów, a nie przynosiłoby

---

jącą na celu obejście zakazu rozporządzania familią na wypadek śmierci, usucapio hereditatis także nie może się łączyć, gdyż przedmiotem tej mancypacji była tylko familia, a nie cały majątek mancipio dantis. Pojęcie usucapionis hereditatis mogłoby się pojawić dopiero z chwilą, kiedy pojawia pojęcie hereditatis jako nierozerwalnej całości, a gdyby — wbrew istocie zasiedzenia — przyjąć, że hereditas może być przedmiotem zasiedzenia, to taki, który nabyłby hereditatem w drodze usucapionis pro herede, byłby sukcessorem uniwersalnym, obok wierzytelności przechodziłyby nań długi itd. Tymczasem wiemy, że dopiero pretor dał wierzycielom spadkodawcy możność dochodzenia swych wierzytelności na majątku spadkowym w razie bezdziedzicznej śmierci spadkodawcy (ob. wyżej). Gdyby prawo rzymskie raz przez instytucję usucapionis pro herede zabezpieczyło interes wierzycieli spadkowych, toby następnie nie robiło kroku wstecz, by ograniczać usucapionem pro herede do rzeczy zmysłowych z wykluczeniem długów i ciężarów sakralnych, co byłoby oczywistą zmianą na korzyść usucapientis. Dlatego wyrażenie Gaia, iż pierwotnie przedmiotem usucapionis pro herede była cała hereditas (II 54), pojmuję jako nieścisłość wyrażenia, wywołaną tem, że pierwotnie w majątku spadkowym długi i wierzytelności nie odgrywały dużej roli, a gdy poczęły odgrywać, wyraźnie jurysprudencja zaznaczyła, że nie mogą one być przedmiotem usucapionis pro herede. (Obowiązek do sacra spadał na usucapientem pro herede, gdyż sacra były związane z majątkiem ob. Cicero de legibus II 19—47 oraz 52).

nikomu żadnej korzyści; drugie rozwiązanie uwzględniało interes agnatów i gentylów, mający swą podstawę w bardzo silnem jeszcze poczuciu łączności rodowej, a nadto pozwalało zmniejszyć ilość spadków bezdziedzicznych, które — jak widzieliśmy — były zjawiskiem niepożądanem. Nic dziwnego, że w tych warunkach przychylono się do drugiego rozwiązania, które jednak znowu pociągnęło za sobą nowe trudności. Ponieważ w skład spadku wchodzić mogły długi spadkowe i ciężary sakralne, więc trzeba było agnatowi, powołanemu do dziedziczenia ab intestato, pozostawić swobodę przyjęcia lub nieprzyjęcia przypadającego mu spadku, a problem ten rozwiązano tak samo jak przy powołaniu na dziedzica extranei w testamencie [1] [2]. Że to dziedziczenie ab intestato powstało z rozszerzenia prawa przysługującego pierwotnie ipso iure najbliższemu agnatowi do bezdziedzicznej familiae, tego dowodem jest możność in iure cessionis takiego prawa przed przyjęciem spadku (ob. wyżej i Gaius II 35) tudzież powołanie tego tylko najbliższego agnata do dziedziczenia ab intestato, a nie powołanie następnego najbliższego agnata, w razie gdyby pierwszy spadku nie przyjął. Gdy nabycie familiae następowało ipso iure, takie ewentualne dalsze powołanie było bezprzedmiotowem; gdy proximus adgnatus powołany ab intestato do spadku miał swobodę jego przyjęcia lub nieprzyjęcia, to powołanie samego tylko proximi adgnati bez ewentualnego dalszego powołania dziedziców ab

[1] W ten sposób da się usunąć sprzeczność między brzmieniem ustawy XII tablic »proximus agnatus familiam habeto itd.« a twierdzeniem Gaia III 9, że w braku heredis sui spadek przypada agnatom ab intestato w myśl ustawy XII tablic. Jeżeli pamiętać będziemy, że tutaj — podobnie jak przy przyznaniu kobietom prawa dziedziczenia jako heredes sui — mamy do czynienia z przekształceniem pierwotnej instytucji prawnej przez jurysprudencję w drodze naciągniętej interpretacji, to nieścisłość w wyrażeniach Gaia wyda się nam zupełnie usprawiedliwiona, a wobec, wykazanych przez Paisa (Storia critica di Roma) tak częstych w tradycji historycznej rzymskiej, faktów przenoszenia wstecz do czasów wcześniejszych pewnych instytucji prawnych, zdarzeń historycznych, a nawet osobistości późniejszych, wyżej wspomniana nieścisłość Gaja nie powinna nas dziwić.

[2] Ponieważ brak było tu familiae emptora, więc brakło środka presji na heredem extraneum, aby spadek przyjął; bardzo być może, że celem usunięcia tego niedostatku pretor stworzył instytucję bonorum possessionis najpierw dla tego wypadku, a później dopiero rozszerzył na inne wypadki; (rozszerzenie instytucji bonorum possessionis na pierwotnie nią nie objęty wypadek, gdy spadkodawca pozostawił heredes suos, jest faktem niewątpliwym ob. wyżej).

intestato stawało się dotkliwym brakiem prawa spadkowego. Brakowi temu zapobiegła dopiero pretorska successio ordinum et graduum; w prawie cywilnem spotykamy jedynie nieśmiałą dążność do złagodzenia tego braku przez postanowienie, iż osobę proximi adgnati ocenia się nie według stanu rzeczy istniejącego w chwili otwarcia spadku, lecz »cum certum est, aliquem intestatum decessisse«. (Gaius III 11) »eo tempore, quo certum fuerit, aliquem intestatum decessisse« (tamże 13) tj. gdy np. extraneus powołany w testamencie na dziedzica nie przyjmie spadku w terminie cretionis zakreślonym mu przez spadkodawcę itd. Jestto wyjątek od zasady powszechnie przestrzeganej, że decydującym w prawie spadkowem jest czas otwarcia spadku, i Gaius zdaje sobie istotnie sprawę z tej niekonsekwencji, motywując ją względami oportunizmu »quia si quis testamento facto decesserit, melius esse visum est, tunc requiri proximum, cum certum esse coeperit neminem ex testamento fore heredem«. Rozstrzygnięcie bowiem kwestji, kto jest najbliższym agnatem, powołanym do dziedziczenia ab intestato, wedle stanu rzeczy w chwili otwarcia spadku, doprowadziłoby do następujących konsekwencji: jeżeliby osoba, będąca najbliższym agnatem w chwili śmierci spadkodawcy, zmarła np. zanim upłynie termin zakreślony przez testatora do cretio hereditatis, to gdy heres testamentarius w terminie cretionis spadku by nie przyjął, spadek ten stałby się bezdziedzicznym; co najwyżej mógłby być przedmiotem usucapionis pro herede, co już jest mało pożądaną ewentualnością. Tych niepożądanych konsekwencji unikamy, oceniając wedle stanu eo tempore, quo certum est, aliquem intestatum decessisse, tę kwestję, kto jako najbliższy agnat będzie powołany do dziedziczenia ab intestato.

Jak już poprzednio zaznaczyłem, familia (res mancipi) bezdziedziczne przypadały w myśl ustawy XII tablic jedynie agnatom (ewentualnie gentylom) płci męskiej, co stanowiło analogję do wykluczenia kobiet od dziedziczenia jako heredes sui przez ustawę XII tablic: kiedy później przez jurysprudencję sfałszowano pierwotne brzmienie prawa, przyznając kobietom prawo dziedziczenia jako heredes sui na równi z mężczyznami, to za tym pierwszym krokiem poszło i przyznanie kobietom prawa dziedziczenia ab intestato na równi z bocznymi agnatami płci męskiej. (Reminiscencją dawnego wykluczenia kobiet wydaje mi się wyraźnie podkreślenie przez Ulpiana w komentarzu do edyktu »unde legitimi«, że w tej

klasie powołane są także i kobiety D 38, 7 fr. 2. § 2). Tu jednakże prawo dziedziczenia kobiet uległo znacznym ograniczeniom; mianowicie nie były powołane agnatki »ultra consanguineorum gradum« (Gaius III 14), a tosamo ograniczenie spotykamy jeszcze w receptae Sententiae Paula IV 8, 20 (22).

Powyżej przedstawione zmiany tj. uznanie swobody rozporządzania swą familia na wypadek śmierci oraz uchylenie odmiennych postanowień co do losów familiae z jednej strony a pecuniae z drugiej strony w razie śmierci spadkodawcy bez pozostawienia ani heredes sui, ani heredes testamentarii zatarły istotną różnicę między familia jako majątkiem rodowym, a pecunia jako majątkiem ściśle indywidualnym; pozostała jedynie ta różnica, że tylko pecunią można było rozporządzać na wypadek śmierci za pośrednictwem legatu, a familią nie, oraz ta dalsza różnica w formach czynności prawnych, służących do przeniesienia własności (mancipatio przy res mancipii, traditio przy res nec mancipii), a praktyczne znaczenie tej ostatniej różnicy miał niebawem pretor złagodzić przez stworzenie tzw. własności bonitarnej i actionis Publicianae in rem dla jej ochrony [1]. Wobec swobody testowania i wobec zatarcia charakteru familiae jako majątku rodowego straciło swą rację bytu ograniczenie instytucji legatów jedynie do pecunia, a to tembardziej, że jeszcze przed uznaniem testamentu per aes et libram pozorny akt mancypacyjny dawał mancipio danti swobodę przeznaczenia poszczególnych res mancipii komu innemu, a nie tej osobie, która miała otrzymać główną masę familiae et pecuniae. Dlatego naturalnem się wydaje przypuszczenie, że uznanie testamentu per aes et libram przyniosło z sobą także uznanie swobody rozporządzania familią (res mancipii) za pośrednictwem legatów; ta jednak swoboda stwarza nowy problem ustawodawczy; mianowicie potrzebę ograniczenia tej części majątku, którą testator może rozporządzać za pośrednictwem legatów. Potrzeba ta była tem silniej odczuwana, że pecunia (którą poprzednio rozporządzać można było w drodze legatów) stanowiła przy ówczesnych stosunkach gospodarczych (w społeczeństwie rolniczem) podrzędną część majątku w stosunku do familia. Pierwszą próbą w tym kierunku jest lex Furia testamentaria, której wiek nie da się dokładnie oznaczyć, ale która jest w każdym razie wcześniejszą od lex Voconia z r. 169

[1] Actio Publiciana pochodzi prawdopodobnie z VI lub VII w. a. U. c. por. Cuq Institutions juridiques des Romains wyd. 1, t. I, str. 512, nr. 2.

przed Chr.[1]. Wspomniana lex Furia określa. maksymalną wysokość legatów i mortis causa capionum postanawiając, że poszczególny legat lub mortis causa capio — o ile nie są przeznaczone dla personae exceptae tj. dla bliskich testatora — nie mogą przenosić sumy 1000 assów (Gaius II 225)[2]. Można mieć pewne wątpliwości, czy istotnie ta ustawa miała cel ten, który jej Gaius podsuwa i czy z przyczyn przytoczonych przez Gaia (II 225) wspomniana ustawa okazała się nieodpowiednią. Wobec powszechnie przyjętego w Rzymie poglądu o obowiązku pozostawienia testamentu i o tem, że dziedziczenie po pewnej osobie ab intestato przynosi ujmę jej pamięci, prawo rzymskie mogło testatorowi zostawić troskę sporządzenia testamentu w ten sposób, aby testament się utrzymał i nie przyszło do dziedziczenia ab intestato a to tembardziej, że uznanie prawa dziedziczenia ab intestato bocznych agnatów w bardzo licznych wypadkach usuwało niebezpieczeństwo, że spadek zostanie bezdziedzicznym ze szkodą dla kultu domowego i wierzycieli spadkowych; w dodatku suma maksymalna legatów była dość skromna i przy spadkach po zamożniejszych obywatelach była nieznaczną w stosunku do wysokości spadku, a wiadomo, że rzymskie prawo spadkowe dość mało liczyło się z proletarjatem. Dlatego mnie osobiście wydawałoby się prawdopodobniejszem, że niebawem ze wzrostem zamożności w Rzymie, lex Furia okazała się zbyt krępującą, tj. maximum przez nią ustanowione zbyt małem.

Wobec tego lex Voconia z r. 169 przed Chr.[3] stara się określić maksymalną wysokość legatów i mortis causa capionum na innej podstawie, mianowicie wedle relacji do wartości części przypadających dziedzicom (Gaius II 226). Co do bliższego określenia tej wysokości istnieje — jakto wyżej zaznaczono — sprzecz-

---

[1] Około roku 174 przed Chr. — ob. Lenel w Holtzendorfa Enzyklopädie wyd. 7, t. I, str. 337.

[2] Dla porównania warto przypomnieć, że podobnie Codex Theresianus (który nie przyznawał prawa dziedziczenia córkom obok synów, lecz przyznawał córkom tylko prawo do wyposażenia) wysokość należnego córce wyposażenia określał cyfrowo bez względu na wysokość majątku ojca, a tylko zależnie od jego stanu (Grafenstand, Freiherrnstand, Ritterstand itd).

[3] Lex Furia i lex Voconia stanowią dla nas dowód, że już w owym czasie testamentum per aes et libram było uznane, gdyż premissą ich jest zatarcie różnicy między familia a pecunia i swoboda rozporządzania familią (res mancipii) za pośrednictwem legatów.

ność pomiędzy poszczególnymi ustępami źródłowymi[1]. Zakończeniem tej ewolucji była lex Falcidia z r. 40 przed Chr. postanawiająca, że dziedzicowi (względnie dziedzicom) musi pozostać $1/4$ części spadku, niewyczerpana legatami (Gaius II 227). Ponieważ nie możemy sobie dziś dokładnie odtworzyć postanowień legis Voconiae, więc nie można także odpowiedzieć na pytanie, w jakim kierunku szła ewolucja, stworzona przez lex Falcidia, mianowicie czy mamy tu jedynie techniczny postęp w redakcji ustawy przy określeniu maksymalnej wysokości legatów, czy też obok tego zmianę w duchu ograniczenia lub zwiększenia swobody testatora przy obciążaniu dziedzica legatami, a przy formułowaniu odpowiedzi na tak postawione pytanie należałoby pamiętać o tem, że lex Voconia wydana została wówczas, gdy kobiety nie miały prawa dziedziczenia ab intestato. Przez lex Voconia zabronionem zostało powoływanie kobiet na dziedziców przez obywateli pierwszej klasy (tj. mających census 100 000 assów), a równocześnie ta sama lex Voconia ustanawia maksymalną wysokość legatów i mortis causa capionum, które wobec powyższych ograniczeń stanowiły jedyną możliwą formę zaopatrzenia kobiet w rozporządzeniach ostatniej woli: natomiast lex Falcidia wydaną została wówczas, kiedy kobiety uzyskały już prawo dziedziczenia ab intestato jako heredes sui na równi z mężczyznami, a nadto prawo dziedziczenia ab intestato jako agnatki chociaż z ograniczeniem do consanguineorum gradum.

III.

W tym krótkim zarysie przedstawiłem swą hipotezę co do genezy rzymskiego prawa dziedziczenia opartego na zasadzie sukcesji uniwersalnej w prywatne prawa majątkowe zmarłego. Cechą charakterystyczną prawa rzymskiego jest zdumiewająca umiejętność

---

[1] W związku ze zwiększeniem maksymalnej wysokości legatów, a w szczególności z postanowieniem legis Voconiae (czy też może późniejszej jej interpretacji), że wartość poszczególnego legatu może wynosić tyle, ile uzyskują ze spadku wszyscy dziedzice razem (ob. Gaius II 226) oraz z powstaniem tzw. legatum partitionis (ob. wyżej) pozostaje prawdopodobnie dekret pontificum, wedle którego nawet na legatarjuszy nałożony zostaje obowiązek do ponoszenia sacrorum (Cicero de legibus II, 19—47 »exposita haec iura pontificum auctoritate consecuta sunt, ut ne morte patris familias sacrorum memoria occideret, iis essent ea adiuncta, ad quos eiusdem morte pecunia venerit, por. Bruck w Grünhuts Zeitschrift t. 40, str. 563, tekst i nr. 109).

operowania pojęciami prawnemi dla osiągnięcia pewnych rezultatów, których potrzebę społeczeństwo odczuwa; skutkiem tego w prawie rzymskiem instytucje pierwotne dadzą się użyć do osiągnięcia celu, dla którego w innych społeczeństwach stworzone zostają specjalne daleko wyżej rozwinięte instytucje prawne; tak np. w prawie rzymskiem instytucja testamentu, zatem instytucja wyrosła z adopcji niewolnika dokonywanej z powodu braku heredis sui w okresie nie znającym swobody rozporządzania majątkiem rodowym (familia), użytą została między innemi do tego, aby wierzycielom spadkodawcy zapewnić sukcesję w długi spadkodawcy; kiedy w prawie greckiem ten sam problem rozwiązany został przez specjalne postanowienie, iż długi spadkodawcy ciążą na majątku spadkowym [1]. Swoboda rozporządzeń ostatniej woli co do familiae uzyskaną zostaje w prawie rzymskiem przez zastosowanie pozornego aktu mancypacyjnego itd.

Pojęcia wytworzone w ten sposób w prawie rzymskiem jak np. pojęcie spadku jako całości, pojęcie sukcesji uniwersalnej jako podstawy prawa dziedziczenia, skutkiem swego mistrzowskiego opracowania i rozwinięcia wpłynęły na rozwój nowoczesnych prawodawstw w duchu romanistycznym, ale nie można zapominać, że jeszcze w państwie rzymskiem prawo spadkowe w dalszym swym rozwoju, mianowicie z chwilą kiedy ustrój rodziny, będący jego podstawą, począł się rozluźniać, ulegało silnym wpływom prawa greckiego np. dopuszczenie osobnego kodycyllu, pod warunkiem zatwierdzenia go w testamencie, przełamanie zasady »nemo pro parte testatus, pro parte intestatus decedere potest« przy dziedziczeniu kobiet, należących do heredes suos, a pominiętych w testamencie, tudzież przy testamencie żołnierskim, próba pogodzenia heredis ex re certa z systemem rzymskiego prawa spadkowego, quaerela inofficiosi testamenti, wprowadzenie odwołalności testamentu nawet bez równoczesnego sporządzenia nowego testamentu i t. d. Dużą niedogodnością — zwłaszcza wobec przymusu pozostawiania dziedzicom koniecznym części spadkowej (a nie tylko legatów), wprowadzonego przez Justyniana — była możność jedynie ułamkowego podziału spadku między współdziedziców,

---

[1] ob. Partsch Griechisches Bürgschaftsrecht, str. 232, 238 i n. 243 (cyt. przez von Woessa, Das römische Erbrecht, str. 266), tudzież Bonfante Scritti giuridici varii t. I, str. 337—429; tamże doskonałe porównanie prawa spadkowego rzymskiego z greckiem.

co prowadziło do niepożądanych wspólności majątkowych, które można było doskonale ominąć przy greckiej διαθήκη i przy wzorowanem na niej rzymskiem testamentum militis. Schrystjanizowanie państwa rzymskiego sprawia, że odpada obowiązek dziedzica do kontynuowania kultu domowego spadkodawcy; skutkiem tego zerwany zostaje ostatni węzeł, łączący sukcesję z prawem familijnem, z którego wyrosła. Dziedziczenie staje się czystą sukcesją uniwersalną w prawa i zobowiązania majątkowe prywatne zmarłego i jako takie jest definjowane w nowoczesnej teorji romanistycznej (ob. Wróblewski, Zarys wykładu rzymskiego, t. I, str. 510—515 i Ferrini Pandette 603—605).

Kodyfikacja Justyniańska przedstawia się jako usunięcie z prawa rzymskiego pierwiastków specyficznie, narodowo rzymskich i jako próba pogodzenia zasadniczych pojęć prawa rzymskiego z elementami prawnymi nierzymskimi, przedewszystkiem hellenistycznymi, które na Wschodzie przez prawo rzymskie nawet po Constitutio Antonina całkowicie wyparte nie zostały (ob. Mitteis Reichsrecht und Volksrecht, Collinet Études sur le droit de Justinien). W związku z tem byłoby rzeczą niezmiernie ciekawą zbadanie, o ile pod pokrywką kodeksowych pojęć romanistycznych wśród dzisiejszej ludności w praktycznem zastosowaniu utrzymało się lub wytworzyło instytucyj spadkowych obcych prawu rzymskiemu, ale pozostawiam na boku tę kwestję, jako należącą wyłącznie do studjów nad prawem cywilnem dziś obowiązującem i chciałbym tylko zwrócić uwagę, że obowiązujący na Ziemiach Wschodnich Rzeczypospolitej Polskiej T. X, cz. 1, Zbioru praw Cesarstwa rosyjskiego w swojem prawie spadkowem zawiera bardzo wiele elementów prawnych greckich. Tak np. wspomniana ustawa każde rozporządzenie ostatniej woli nazywa testamentem, nie robiąc temsamem żadnej różnicy między kodycylami, a testamentami; następnie długi spadkowe uważa — podobnie jak prawo greckie — za ciężar majątku spadkowego i odpowiedzialność za nie nakłada zarówno na sukcessorów uniwersalnych jak na sukcessorów syngularnych np. jakto najsilniej występuje przy dożywociu ustanowionem w rozporządzeniu ostatniej woli, a mianowicie w postanowieniu, że taki dożywotnik odpowiada za długi spadkowe w stosunku wartości swego prawa użytkowania do wartości praw dziedzica (ob. T. X, cz. 1, art. 533^{9} i Zoll—Bossowski, Prawo cywilne Ziem Wschodnich, str. 275, 276) i dopiero teorja prawa i praktyka Senatu pod wpływem niemieckiej teorji romanistycznej stara się do tego prawa

wprowadzić instytucję legatu w rzymskiem tego słowa znaczeniu tj. nabytku wolnego od odpowiedzialności stosunkowej za długi spadkowe. Z tych kilku przykładów, których możnaby daleko więcej przytoczyć, widocznem jest, że prawo cywilne Ziem Wschodnich przedstawia się jako dalszy etap ewolucji polegającej na przenikaniu zasadniczych pojęć rzymskiego prawa spadkowego elementami nierzymskimi, przedewszystkiem greckimi.

Uzupełnienie.

Przedstawione przezemnie hipotezy znajdują jeszcze jedno potwierdzenie w D 48, 22 fr. 3 (Alfenus libro primo epitomarum Paling 33).

[Eum qui civitatem amitteret][1] nihil aliud iuris adimere liberis, nisi quod ab ipso perventurum esset ad eos, si intestatus in civitate moreretur: [hoc est hereditatem eius et libertos et si quid aliud in hoc genere repperiri potest.] quae vero non a patre sed a genere, a civitate, a rerum natura tribuerentur, ea manere eis incolumia. itaque et fratres fratribus fore legitimos heredes et adgnatorum tutelas et hereditates habituros; non enim haec patrem, sed maiores eius eis dedisse[2].

Fragment ten w swej obecnej postaci jest na pewno nieautentyczny. Pod względem formalnym przechodził on dwie operacje: po raz pierwszy wówczas, gdy Paulus w III wieku po Chr. robił wyciąg z oryginalnego dzieła Alfenusa, napisanego w I wieku przed Chr., a po raz drugi wówczas, gdy kompilatorowie justyniańscy z tego wyciągu wybierali fragmenty dla swej kodyfikacji. Sama forma zewnętrzna (tj. stylistyczna i gramatyczna) tego fragmentu wskazuje na duże okrajanie pierwotnego tekstu, gdyż zawiera on same akkusatywy cum infinitivo bez czasownika, od któregoby one były zależne.

---

[1] Pierwotnie było jak się zdaje »Patrem exheredando«.

[2] Prawdopodobnie następowało tu dalsze zdanie »idem dicendum esse etiam de eo, qui libertate integra civitatem amitteret Alfenus scripsit«. Co do capitis deminutio media ob. zamiast wszystkich Costa Storia del diritto romano privato wyd. 2, Torino 1925, str. 162—164, zwłaszcza str. 164, uw. 4, 5 i cytowane tamże źródła.

Fragment omawiany — jak to wynika z umieszczenia jego w tytule D 48, 22, de interdictis et relegatis et deportatis — omawia skutki kar, połączonych z utratą obywatelstwa rzymskiego, co znowu musi się wydać dziwnem wobec tego, że w księdze pierwszej, z której ten fragment jest wyjęty, Alfenus Varus zajmował się prawem spadkowem (ob. uwagi Lenela w Paling, przy fr. 33). W dodatku sens słów »eum qui civitatem amitteret«, nie łączy się w żaden sposób z dalszem słowem »adimere«; między nimi jest wewnętrzna jakaś sprzeczność, gdyż trudno powiedzieć, że ten kto obywatelstwo traci za karę, przez to coś dzieciom swoim odbiera; obok tego słowa »eum qui civitatem amitteret« stanowią straszliwą, bezmyślną tautologję w połączeniu z określeniem tego, co dzieci mają tracić »quod ab ipso perventurum esset ad eos, si intestatus in civitate moretur«. Wszystkie te okoliczności razem wzięte upoważniają nas do uznania słów »eum qui civitatem amitteret« za nieautentyczne i do przypuszczenia, że fragment ten zajmował się pierwotnie jakimś problemem z dziedziny prawa spadkowego. Użycie słowa »adimere« pozwala nam przypuszczać, że tu była mowa (w pierwotnym tekście) o jakimś akcie prawnym patris familias, którego następstwem jest utrata przez dziecko tego wszystkiego, coby miało, gdyby jego ojciec »intestatus in civitate moretur«, a takim aktem jest właśnie wydziedziczenie.

Również nieautentyczną jest wstawka hoc est hereditatem... repperiri potest. Przeciwko autentyczności przemawia i indicativus (użyty błędnie zamiast conjunctivu) i stanowczo nieklasyczne określenie »si quid aliud in hoc genere repperiri potest«. Nieautentyczną jest jednak napewno i wzmianka o liberti w tem miejscu, albowiem — o ileby się rozchodziło o skutki kary polegającej na utracie obywatelstwa, — to dzieci skazanego nie pozbawia ona prawa patronatu nad wyzwoleńcami ojca (ob. D 37, 14 fr., 4 fr. 9, § 1). O ile znowu rozchodzi się o wydziedziczenie, to pierwotnie nie pozbawiało ono prawa patronatu (ob. Gai III 58), a później dopiero (w myśl reskryptu Marka Aurelego i Luciusa Verusa D 38, 2 fr. 16 § 4) pozbawiało tylko samego wydziedziczonego, nie zaś jego agnatycznych potomków, nie pozostających pod jego władzą. Dopiero w myśl C. 6, 7, 3 z r. 423 prawo patronatu miało przechodzić zawsze na dziedzica, a skutkiem tego wydziedziczenie pozbawiało wydziedziczonego i jego ewentualnych dziedziców także

i prawa patronatu nad wyzwoleńcem[1] i do tego stanu prawnego starał się tekst dostosować autor tego dodatku. Ponieważ ten dodatek nawiązuje najwidoczniej do postanowień o wydziedziczeniu, a kompilatorowie justyniańscy fragment ten nagięli do innego wypadku, mianowicie utraty obywatelstwa rzymskiego skutkiem kary, więc dodatek o wykluczeniu od prawa patronatu nad wyzwoleńcami skutkiem wydziedziczenia nie może pochodzić z rąk kompilatorów justyniańskich, lecz musi być glossemem przedjustyniańskim, którego celem było uwzględnienie konstytucji C. 6, 7, 3 z r. 423.

Jeżeli próba rekonstrukcji jest trafna, to Alfenus Varus zajmował się skutkami wydziedziczenia, które — jako wiadomo — było warunkiem ważności testamenti nuncupativi, o ile w nim którykolwiek z heredes sui nie został dziedzicem ustanowiony. Pierwotnie wydziedziczenie stosowane było tylko do agnatycznego potomka, który już za życia ojca był »abdicatus« tj. za karę został skazany na wygnanie z grona rodziny (ob. Cuq Institutions jur., wyd. I, t. I, str. 64, 157, 163, tekst i uw. 2, 3, str. 288, tekst i uw. 1, 2, 3). Kiedy później przy testamentum nuncupativum wydziedziczenie stało się koniecznym rekwizytem ważnego testamentu, w razie nieustanowienia dziedzicem któregokolwiek z pomiędzy heredes sui, wtedy straciło ono swój pierwotny charakter represji a równocześnie stało się dość pospolitem zjawiskiem. Te okoliczności razem wzięte wywołały potrzebę ścisłego określenia skutków exheredationis, co właśnie wziął sobie za cel Alfenus Varus w omawianym ustępie. Dla pełności obrazu dodać należy, że równocześnie toczył się spór o formę, potrzebną do ważności wydziedziczenia, mianowicie, czy wystarcza exheredatio filii inter ceteros (ob. Cicero de orat. 1 c. 38 cyt. przez Woessa Röm. Erbrecht, str. 152; tamże str. 152—168 bliższe wiadomości w tej kwestji).

Ponadto omawiany fragment potwierdza nasze poprzednio wypowiedziane twierdzenie, mianowicie, że pierwotnie kobiety wykluczone były od dziedziczenia ab intestato i że zasady powołania kobiet do dziedziczenia ab intestato wprowadzono znacznie później drogą naciąganej interpretacji. W omawianym bowiem fragmencie spotykamy zdanie »et fratres fratribus fore legitimos heredes«, które ignoruje zupełnie dziedziczenie ab intestato sióstr i po siostrach.

---

[1] ob. pracę autora w Roczniku prawniczym wileńskim I, str. 117 i n.

W innych fragmentach np. w I 2, 12 pr. D 39, 6, 42 pr. jeżeli jest mowa o dziedziczeniu ab intestato wyłącznie synów, czy też wyłącznie braci, to mamy wedle wszelkiego prawdopodobieństwa do czynienia z nieautentycznymi ustępami, przez które przebija upornie wbrew prawu rzymskiemu utrzymujący się na Wschodzie grecki pogląd prawny upośledzający kobiety w prawie spadkowem w porównaniu z męczyznami (ob. Mitteis Reichsrecht und Volksrecht). W omawianym przez nas ustępie D 48, 22 fr. 3 niema podstawy, aby co do tego przyjmować jakieś późniejsze zmiany — przeciwnie wzmianka o rodzie i prawach wypływających ze związku rodowego wskazuje, że ustęp ten musi pochodzić najpóźniej z I w. przed Chr., tj. pochodzi istotnie z ręki Alfena, a w takim razie Alfenus stwierdza, że w bocznych linjach tylko agnaci płci męskiej byli powołani do dziedziczenia ab intestato; powołanie agnatów płci żeńskiej (z ograniczeniami wymienionemi u Paula Sent 4, 8, 20) jest dziełem późniejszej interpretacji.

W prawie justyniańskiem wszystkie poruszone problemy prawa spadkowego zwłaszcza wydziedziczenia straciły swą aktualność; utrata obywatelstwa przy zdegradowaniu dotychczasowego obywatela do rzędu peregrinów (capitis deminutio media) — wobec nadania przez Justyniana obywatelstwa w zasadzie wszystkim wolnym — miała zastosowanie tylko jako kara i dlatego kompilatorowie justyniańscy skreślili w omawianym fragmencie wszystkie alluzje do wydziedziczenia, a wzmianki o capitis deminutio media przystosowali do tego wypadku, gdzie ona jeszcze była aktualna tj. w razie kary, ale przez to powstały sprzeczności wyżej przezemnie zaznaczone.

Dr. Andrzej Mycielski

Pojęcie wolności w Konstytucjach francuskich z epoki Wielkiej Rewolucji.

I.

Zaczynam moją pracę od przedstawienia genezy definicji pojęcia wolności w rewolucyjnych konstytucjach francuskich na tle współczesnej im literatury politycznej. Zanim zastanowimy się dogmatycznie nad ustalonymi już paragrafami, wchodzącymi w skład rewolucyjnych konstytucyj, musimy postawić sobie pytanie historyczne. które brzmi: skąd wzięły się owe paragrafy? Gdzie jest ich zawiązek, ich geneza? I czemu właśnie tak, a nie inaczej pojmował definicję pojęcia wolności rewolucyjny ustawodawca Odpowiedź na to pytanie jest jedna. Szukanej przez nas genezy dopatrywać się można w całokształcie myśli politycznej wieku XVIII, której jednym z wykładników jest współczesna literatura polityczna Francji. Konsekwencją tego jest, że także i tam należy szukać pierwszych zawiązków przyszłych form ustawodawczych. Niektórzy autorowie, przeceniając, naszem zdaniem, widoczny zresztą wpływ deklaracji amerykańskich, zaniedbują niemal zupełnie tę stronę badań [1].

[1] »Die französische Erklärung der Rechte ist im grossen und ganzen den amerikanischen bills of rights nachgebildet worden. Alle Entwürfe der französischen Deklaration, von denen der Cahiers angefangen, bis zu den einundzwanzig Projekten die der Nationalversammlung vorgelegt wurden, variiren mehr oder weniger, kürzer oder breiter, geschickter oder ungeschickter ihre Ideen. — Als selbständige Zuthaten weisen sie nur allgemeine doktrinäre Erörterungen auf, oder Ausführungen die in das Gebiet politischer Metaphysik gehören» (Jellinek, Die Erklärung der Menschen und Bürgerrechte, str. 11). Na str. 22 pisze dalej: »Die Fran-

Mówiąc o definicji pojęcia wolności podkreślam słowo definicja, ponieważ, badając francuską literaturę polityczną XVIII wieku nie mam najmniejszego zamiaru pisać o tem, kto z odnośnych autorów zajmował się wolnością. (Mówili o niej niemal wszyscy, aż nadto obszernie). Chodzi mi o co innego, a mianowicie o wykrycie momentów, w których autorowie ci, wchodząc w istotę wolności, pragnęli poznać, czem jest sama w sobie, innemi słowy zdefinjować jej pojęcie. Te na tle literatury politycznej XVIII wieku zdarzające się próby zdefinjowania pojęcia wolności, stanowić będą w pierwszym rzędzie temat naszych badań, ponieważ przyczyniły się w dużej mierze do powstania późniejszej, konstytucyjnie uznanej formy, której analiza historyczna stanowi główny cel naszej rozprawy.

Przyjrzyjmy się najprzód, jak definjuje wolność Monteskjusz. Mówi on na jej temat wiele, raz jednak tylko w całem swem dziele stara się ująć jej pojęcie w ramy krótkiego zdania, które nadają temu zdaniu charakter wyjątkowo ważny i zasadniczy, jako najbardziej podstawowemu punktowi wyjścia do wszystkich dalszych konkluzyj. Mówi on co następuje: »Il faut se mettre dans l'esprit, ce que c'est l'indépendance et ce que c'est la liberté. La liberté est le droit de faire tout, ce que les lois permettent, et si un citoyen pouvait faire, ce qu'elles défendent, il n'aurait plus de liberté, par-ce-que les autres auraient tout-de-même ce pouvoir« [1]. Wolność jest więc według Monteskjusza »le droit de tout faire, ce que les lois permettent«, czyli jest możnością ograniczoną jedynie ustawą. Wolność jest, według niego, obracającą się w ramach ustaw »indépendance«. Niema tu mowy jeszcze ani o interesie, ani o cudzem prawie podmiotowem. Granicą wolności jest jedynie norma. Autor »Ducha praw« w dalszych artykułach dzieli wolność na cywilną i polityczną, nie używa natomiast pojęcia wolności naturalnej, ponieważ wolność niczem nieograniczona istnieć, jego zdaniem, nie może, gdyż nie jest wolnością. Wolność prawdziwa zaistnieć może

zosen haben nicht nur die amerikanischen Ideen, sondern auch die Form rezipiert, die sie jenseits des Oceans empfangen haben. Gegenüber dem Wortreichtum der Amerikaner zeichnen sich die Franzosen sogar durch eine im Charakter ihrer Sprache, gelegene Kürze aus. Am meisten haben spezifisch französische Zuthaten art. 4—6 der Deklaration in den überflüssigen und nichts sagenden Definitionen der Freiheit und des Gesetzes«.

[1] L'esprit des lois, Ks. XI, Rozdz. III.

jedynie z chwilą zaistnienia ustawowej normy i zależnie od rodzaju tej ostatniej rozpaść się na cywilną i polityczną. Dalej nie idzie Monteskjusz ani o krok jeden w całem swem dziele.

Przyjrzyjmy się z kolei, jak definjuje wolność J. J. Rousseau. Mówi on na jej temat bardzo wiele, raz jednak tylko w »Contrat social« stara się wejść głębiej w jej istotę i uzewnętrznić, czem jest sama w sobie. Trzeba dodać, że czyni to całkiem nadprogramowo, wyraźnie na końcu zdania zaznaczając, że filozoficzne definjowanie wolności na tem miejscu nie wchodzi w zakres jego badań.

»Ograniczmy to całe porównanie (pisze on) do łatwo zrozumiałych zwrotów. To, co człowiek traci przez kontrakt społeczny, jest wolnością naturalną i prawem nieograniczonem do wszystkiego, co go nęci i co może osiągnąć. To, co zyskuje, jest wolnością cywilną i własnością wszystkiego co posiada. Żeby się nie pomylić w tych stratach i korzyściach, trzeba odróżnić wolność naturalną, która ma granice w sile jednostki, od wolności cywilnej, ograniczonej wolą ogółu; posiadanie, które jest wynikiem przemocy pierwszego przywłaszczyciela, od własności, która jedynie na tytule pozytywnym opierać się może. Możnaby na powyższej podstawie dodać na korzyść stanu cywilnego wolność moralną, która jedynie czyni człowieka panem swej woli, ponieważ uleganie żądzy jest niewolą, a posłuszeństwo normie, którą sobie człowiek sam naznaczył, wolnością. Ale powiedziałem już aż nadto w tej materji, a znaczenie filozoficzne słowa »wolność« nie wchodzi w zakres mego przedmiotu« [1].

O korzyściach, które człowiek, tracąc wolność naturalną, zyskuje w zamian przez kontrakt społeczny, pisze Rousseau na innem miejscu, co następuje: »skoro przyjmiemy to rozróżnienie wtedy fałszywem musi się wydać mniemanie, jakoby przez kontrakt społeczny musiała jednostka rzeczywiście zrzec się czegoś. Położenie jej na skutek tego kontraktu staje się korzystniejszem. Zamienia ona nic nie aljenując, stan pełen niepewności na inny lepszy i pewniejszy, niezależność naturalną na wolność, możność szkodzenia drugiemu na własne bezpieczeństwo, a siłę, którą inni mogli pokonać, na prawo, które unja społeczna czyni niezwyciężonem« [2].

Wolność cywilna jest według Rousseau'a możnością ograniczoną wolą ogółu. O tem, jak sobie wyobraża stosunek między

---

[1] Contrat Social, Ks. I, Ust. VIII.
[2] Contrat Social, Ks. II, Ust. IV.

tąże wolą a wolnością jednostki, pisze całkiem wyraźnie w ustępie I księgi II. »Przypuśćmy, że państwo składa się z dziesięciu tysięcy obywateli. Władca może być traktowany jedynie zbiorowo, korporatywnie, ale każda jednostka w charakterze podmiotu traktowaną jest indywidualnie, przeto władca ma się do jednostki tak jak dziesięć tysięcy ma się do jednego, to znaczy, że każdy członek państwa posiada jedną dziesięciotysięczną część władzy suwerennej, chociaż jest jej w całości poddany. Jeżeli naród składa się ze stu tysięcy obywateli, położenie jednostki nie zmienia się i każda w dalszym ciągu jest pod władzą ustawy, podczas gdy jej prawo głosu, zniżone na jedną setnotysięczną, ma dziesięć razy mniej wpływu w redagowaniu ustaw. Przeto jednostka pozostaje zawsze jedną, stosunek zaś władzy wzrasta w miarę wzrastania liczby obywateli, z czego wynika, że im państwo jest większe tem bardziej wolność się zmniejsza« [1].

Encyklopedja rozróżnia wolność naturalną, cywilną i polityczną. W artykule zatytułowanym »Wolność naturalna« mówi ona co następuje: »Wolność naturalna, prawo, które natura daje ludziom, polegające na możności swobodnego rozporządzania osobą i mieniem w sposób najlepiej ich szczęściu odpowiadający, pod warunkiem, że czynić to będą wedle zasad prawa naturalnego i bez szkody drugich. Prawo więc natury jest regułą i granicą tejże wolności, bo chociaż ludzie w prymitywnym stanie natury są w niezależności jeden od drugiego, to wszyscy mimo tego są pod panowaniem praw natury, wedle których swymi uczynkami kierować mają. Pierwszą rzeczą, którą człowiekowi daje natura i która uważana jest za najcenniejszą ze wszystkich, jest wolność. Człowiek nie może ani zmienić się na kogoś innego, ani się sprzedać lub zgubić, ponieważ naturalnie wszyscy ludzie rodzą się wolnymi, to znaczy, że nie podlegają władzy żadnego pana i że nikt niema na nich prawa własności. Z racji tego ludzie mają, od samej natury daną możność robienia wszystkiego, co im się podoba i dysponowania wedle woli uczynkami i mieniem, byle tylko nie czynili tego wbrew normom władzy, której się poddali«. Kończy się artykuł wzmianką o Rzymianach, u których obywatel, wzięty do niewoli przez nieprzyjaciela. tracił swą wolność naturalną. Chrześcijaństwo zniosło ten rodzaj niewoli. Państwa chrześcijańskie uznają w zasa-

[1] Contrat Social, Ks. II, Ust. I.

dzie prawo życia i śmierci pana nad niewolnikiem za sprzeczne z zasadami religji, mimo tego jednak te same państwa nie sprzeciwiają się niewoli murzynów, ponieważ jest im potrzebna dla celów materjalnych [1]. Artykuł zatytułowany »Wolność cywilna« mówi co następuje: »Wolność cywilna jest to taka wolność naturalna, z której nie wypływa niezależność jednostek i wspólność majątkowa, a która zapewnia człowiekowi ochronę ustaw, bezpieczeństwo i własność. Wolność cywilna polega równocześnie na tem, że nikt nie może być zmuszony do robienia czegoś, czego ustawa nie nakazuje. Stan ten tedy zaistnieć może tylko pod panowaniem ustaw cywilnych i dlatego im te ustawy są lepsze, tem szczęśliwszą jest owa wolność«. (Dalszy ciąg artykułu wyjęty z »Esprit des lois« Monteskjusza, Ks. XI, Rozdz. II, III, IV, Ks. XII, Rozdz. II).

Artykuł »Wolność polityczna« jest wyjęty w całości z »Esprit des lois« (Ks. XI, Rozdz. VI, Ks. XII, Rozdz. IV) [2].

Jak widać z powyższego przedstawienia, Monteskjusz wywarł na wszystkie trzy artykuły Encyklopedji wpływ bardzo znaczny, rzec można przemożny. Cały artykuł »Wolność polityczna« i znaczna część artykułu »Wolność cywilna« są dosłownem powtórzeniem wywodów zawartych w »Duchu praw«.

Poza jednak Monteskjuszowemi działają na Encyklopedję jeszcze inne wpływy, wpływy, które przy bliższem przyjrzeniu się, wydają się pochodzić ze szkoły Rousseau'a. Nie trzeba zapominać, że o ile pierwsze tomy Encyklopedji (tom III—VII) ukazują się i powstają między rokiem 1752 a 1757, to dalsze tomy, a między innemi i tom IX, wychodzą znacznie później, po dłuższej przerwie spowodowanej wypadkami roku 1757. Ukazują się one ostatecznie w druku dopiero w roku 1772, powstają zaś w umysłach twórców po roku 1760, a więc w chwili, kiedy ci z myślą polityczną Rousseau'a w całej pełni obeznanemi być mogli (Contrat social 1761).

W czem Encyklopedja poszła dalej od Monteskjusza? Przedewszystkiem, dzieli ona wolność na trzy, nie zaś na dwa artykuły, mówi bowiem o wolności naturalnej, cywilnej i politycznej, nie tak jak Monteskjusz jedynie o cywilnej i politycznej.

Ta wolność naturalna »Liberté naturelle«, to jedyna, rzec można, mimo że ostro rysująca się nadbudowa, różniąca Encyklo-

---

[1] T. IX.
[2] T. IX.

pedję od »Esprit des lois«, — nadbudowa, której powstanie przypisywać należy, naszem zdaniem, wpływom szkoły Rousseau'a.

Wolność naturalna jest według Encyklopedji prawem, danem człowiekowi przez samą naturę, które ma zapewnić mu szczęście, a polegać ma na możności swobodnego rozporządzania osobą i majątkiem. Ta możność rozporządzania nie jest jednak nieograniczona, ograniczają ją bowiem prawa natury, których zasadnicza podstawa leży w regule, że nikt, chociaż wolny, nie ma prawa szkodzić drugiemu. Według więc Encyklopedji nawet ludzie, żyjący w prymitywnym stanie natury, podlegają prawom niespisanym, od których uzależnić mają swoje postępowanie. Czem zaś według Encyklopedji jest wolność cywilna? Jest to wolność naturalna pozbawiona tej strony, z której wynikała niezależność jednostki i wspólność majątkowa. Człowiek podlegający ustawom traci tę stronę bezpowrotnie, zyskując na jej miejsce bezpieczeństwo i własność. Wolność cywilna polega równocześnie na tem, że w razie jej zaistnienia nikt nie może być zmuszony do robienia czegoś, czego ustawa nie nakazuje. Jak widać z powyższego przedstawienia, poszła Encyklopedja znacznie dalej od Monteskjusza, ponieważ:

1) Uznaje wolność naturalną, podczas gdy Monteskjusz wspomina tylko o wolności politycznej i cywilnej.

2) Ogranicza ją prawami natury.

3) Uznaje za prawo natury regułę, że nikt nie powinien szkodzić drugiemu.

Te trzy momenty, w których Encyklopedja nie pokrywa się z zapatrywaniami autora »Ducha praw«, są, naszem zdaniem, niewątpliwym wynikiem wpływu, jaki na Encyklopedję wywierają dzieła Rousseau'a i tegoż szkoła.

Na pierwszy rzut oka, każdy dostrzec musi wielkie podobieństwo jakie zachodzi między przytoczonym przez nas wyżej ustępem Encyklopedji, a zacytowanymi wyjątkami z dzieła Rousseau'a. W czem zaznacza się to podobieństwo?

1) Tak tu, jak tam uznaną jest wolność naturalna za dar przyrodzony każdemu człowiekowi.

2) Tak tu, jak tam umowa społeczna uznaną jest za powód zamiany wolności naturalnej na cywilną.

3) Co do korzyści, płynącej z owej zamiany, »Kontrakt Społeczny« Rousseau'a i Encyklopedja stoją dalej na wspólnej platformie. Człowiek, tracący wolność naturalną, traci wprawdzie nie-

zależność i wspólność majątkową, zyskuje jednak w zamian wolność cywilną i razem z tą ostatnią własność i bezpieczeństwo. Wolność cywilna jest ograniczona ustawową normą, będącą emanacją woli ogółu.

Obok przytoczonych przez nas momentów wspólnych pierwszorzędnego znaczenia, istnieją jednak między zapatrywaniami Rousseau'a a Encyklopedją pewne różnice. A mianowicie:

1) Wolność naturalna, ograniczona według Encyklopedji prawami natury, od istnienia spisanej normy niezależnemi, przedstawia się u Rousseau'a jako coś prawnie nieograniczonego i jednoznacznego z niezależnością. Granice wolności jednostki prymitywnej wyznacza, jego zdaniem, nie prawo, lecz siła[1].

2) Encyklopedja, ograniczając wolność naturalną prawami natury, stoi na stanowisku, że nikt nawet w stanie prymitywnym nie ma szkodzić drugiemu, ponieważ czyniąc to, czyniłby rzecz prawami natury zakazaną. Rousseau przeciwnie określa stan natury, jako okres wszelkiego bezprawia, w którym bliźni szkodzi bliźniemu i szkodzić mu w całej pełni może. Z okresu tego wyprowadza ludzkość umowa społeczna, która pierwsza, stwarzając normę ustawową, zakazuje jednostce szkodzić drugiej jednostce.

Reasumując na końcu, cośmy na podstawie dotychczasowych naszych badań zauważyli, stwierdzamy przedewszystkiem rzecz następującą. W kształtowaniu się definicji pojęcia wolności w literaturze francuskiej przedrewolucyjnej, zachodzą trzy momenta pierwszorzędnej wagi. Pierwszym z tych momentów jest Monteskjusz, drugim Rousseau, trzecim Encyklopedja. Monteskjusz nie mówi jeszcze o wolności naturalnej. Rousseau idzie o krok dalej, przyjmuje wolność naturalną, ale identyfikuje ją z nieograniczoną prawami natury niezależnością[2].

---

[1] »Dieser letzter Gedanke von der Einschränkung der natürlichen Freiheit durch die Rücksicht auf die gleichen Rechte der Mitmenschen ist uns schon bei Locke entgegengetreten. Der Philosoph gründet ihn auf ein natürliches Gesetz, das schon vor Begründung des Staates die Menschen beherrschte. Anders Rousseau. Bei ihm hat die natürliche Freiheit keine Schranken, da die Menschen nicht aufeinander angewiesen sind, da nie ein Konflikt entstehen kann und deshalb ein Gesetz zur Regelung des Naturzustandes nicht notwendig ist und nicht besteht«. (Redslob. Die Staatstheorien der französischen Nationalversammlung von 1789, str. 13).

[2] Nasze zapatrywanie nie pokrywa się z teorją Jellinka, według której Rousseau nie przyczynił się w niczem do powstania deklaracji

Dopiero Encyklopedja przyjmuje istnienie ograniczenia wolności naturalnej. Ograniczeniem tem są, według niej, prawa natury, których najważniejsza podstawa leży w regule, że nikt nie ma prawa szkodzić drugiemu. Po przejściu przez ową ostatnią fazę, wolność naturalna jednostki staje przed nami jako przyrodzona możność robienia wszystkiego, co nie szkodzi drugiemu. Nie koniec jednak na tem. Nie trzeba mniemać, aby Encyklopedja zamykała definitywnie przedrewolucyjny okres kształtowania się pojęcia wolności na tle współczesnej literatury politycznej. Okres ten, naszem zdaniem, zamyka całkiem ktoś inny, ktoś jakby na granicy stojący dawnego i nowego reżimu. Najbardziej rewolucyjny demokrata epoki królewskiej — Sieyes.

Sieyes nie był tylko autorem literackim, ale był on także projektodawcą ustawodawczym. To też badacz jego zapatrywań musi, w celu zorjentowania się w całokształcie tychże, poznać go w tej podwójnej roli. Przyjrzyjmy się, co mówi o wolności Sieyes-autor przy końcu słynnej broszury »Qu'est-ce-que Le Tiers État?«. »W sercach ludzkich (pisze on) dostrzec należy trzy rodzaje interesu: 1) Interes, który łączy wszystkich obywateli, a który jedynie przedstawić nam się może jako interes ogółu. 2) Interes, którego skutkiem jest łączenie się jednostki tylko z kilkoma innemi, a który

praw: »Die Prinzipien des Contrat social sind demnach einer jedem Erklärung der Rechte feindlich. Aus ihnen folgt nicht das Recht des Einzelnen, sondern die Allmacht des rechtlich schrankenlosen Gemeinwillens. Die Deklaration von 26. August 1789 ist im Gegensatz zum Contrat social entstanden. Wohl haben die Ideen dieses Werkes auf einige Formeln jener Erklärung, einen gewissen stilistischen Einfluss geübt. Der Gedanke der Erklärung selbst muss aber aus einer anderen Quelle stammen«. (Die Erklärung der Menschen und Bürgerrechte, str. 6).

Nieco innego zdania jest W. Rees, który w swem znakomitem dziele: Die Erklärung der Menschen und Bürgerrechte zajmuje w sprawie wpływu Rousseau'a na deklarację praw stanowisko kompromisowe: »Die Rousseausche Staatslehre, so dürfen wir sagen (pisze on na str. 256) widerspricht also in ihren Grundlagen der Theorie der Menschenrechte nicht, sie sieht vielmehr den Zweck des Staatsvertrages geradezu in dem Schutz der Individualrechte und erkennt auch nach dem Abschluss des Contrat social eine Sphäre unantastbarer Rechte des Menschen an«. (na str. 263 pisze dalej) »Es dürfte also deutlich sein das nicht in den extremen Ansichten Jellineks und Janets die Wahrheit liegt. Rousseaus Staatslehre widerspricht zwar eine Erklärung der Menschenrechte nicht. Aber die Deklaration kann anderseits auch nicht als die Formulierung eines Staatsvertrages betrachtet, die Theorien können in ihrem gesamten Umfange nicht als identisch bezeichnet werden«.

nazwać można interesem korporacyjnym, i wreszcie 3) Interes, skutkiem którego każdy się odosabnia myśląc tylko o sobie, to interes osobisty. Interes, w którym człowiek godzi się ze wszystkimi swymi współziomkami, jest niewątpliwym przedmiotem woli wszystkich i zgromadzenia ogólnego. Każden z głosujących może jednak przynieść na zgromadzenie poczucie dwóch innych interesów. Pewno, ale naprzód nie potrzeba się obawiać interesu osobistego: każdy bowiem ma swój i jest odosobniony, wielka zaś jego różność jest najlepszem na niego lekarstwem. Największa trudność rodzi się z interesu, którego wynikiem jest wiązanie się jednego obywatela z kilkoma innymi. Ten prowadzi do porozumiewania się i łączenia, i z niego to wychodzą najniebezpieczniejsze dla ogółu pomysły i rodzą się najgroźniejsi dla państwa wrogowie. Historja pełną jest tej smutnej prawdy«. Po omówieniu srogich niebezpieczeństw, jakie jego zdaniem przedstawia dla społeczeństwa tak zwany »Intérêt de corps«, pisze Sieyes trochę dalej co następuje: »Korzyści, któremi różnią się obywatele między sobą, nie dotyczą wcale charakteru obywatelstwa. Różnice własności i zajęcia są równoznaczne z różnicami wieku, płci, postawy i barwy. Nie niszczą one wcale istniejącej równości stanu cywilnego, gdyż prawa cywilne nie mogą zależeć od tego rodzaju różnic. Naturalnie, że korzyści jednostkowe są pod opieką prawa, ale stanowienie o tych kwestjach i dawanie przywilejów jednym a odmawianie ich drugim, nie jest rzeczą ustawodawcy. Ustawa nic nie daje, ona opiekuje się tem, co jest, aż do chwili, gdy to, co jest, zaczyna szkodzić interesowi ogółu. Tu tylko znajdują się granice wolności indywidualnej. Przedstawiam sobie ustawę w samym środku ogromnej kuli, wszyscy obywatele bez wyjątku zajmują na obwodzie równe w stosunku do niej miejsca. Wszyscy zarówno zależą od prawa, wszyscy dają mu pod ochronę swą wolność i własność, i to jest co nazywają prawem powszechnem, wobec którego wszyscy obywatele są równi«.

Każdy przyznać musi, że zacytowane wyżej słowa są aż nadto wyraźne. W świetle tych słów wychodzi ich autor, jako pierwszy a zarazem ostatni przedrewolucyjny pisarz polityczny, który umie wyrazić w prostej i jasnej formie to wszystko, o czem poprzednicy myśleli lub pisali nieśmiało i zawile. Dzieło Sieyesa, to niejako zestrzelenie i zogniskowanie w jedną potężną całość wysiłku generacji i ostateczny etap w przedrewolucyjnem tworzeniu się pojęcia wolności.

Czem krępuje wolność jednostki Sieyes? Krępuje ją słowem »nuire«[1], a więc interesem, wyraźnie przy tem podkreślając, że interes ten nie jest, w jego pojęciu, ani interesem jednostki, ani żadnej klasy, warstwy lub korporacji. Ponad tymi dwoma stoi jego zdaniem całość interesów, interes ogółu (intérêt commun) i tam jedynie należy się dopatrywać granic wolności indywidualnej. Wolność indywidualna jest tedy możnością robienia wszystkiego, co nie sprzeciwia się całości interesów, na których straży stoi norma.

W swoim »Projekcie ustawodawczym deklaracji praw człowieka i obywatela« podkreśla Sieyes swoje stanowisko jeszcze dobitniej, niż w broszurze o Tiersie. O skutkach kontraktu społecznego pisze tam co następuje: »Człowiek wchodząc w stan społeczny nie robi ofiary z części swej wolności. Nawet poza więzem społecznym nikt nie miał nigdy prawa szkodzić drugiemu. Ta zasada jest prawdziwą we wszystkich fazach rozwoju ludzkości, prawo szkodzenia nie mogło nigdy wchodzić w skład wolności«. O granicach wolności pisze dalej: »Granice wolności indywidualnej istnieją tam, gdzie owa wolność zaczynałaby szkodzić wolności drugich. Do ustawy należy uznanie tych granic i wyznaczenie ich. Poza ustawą wszystko wolno wszystkim, ponieważ unja społeczna chroni nie tylko wolność jednostki lub kilku jednostek, lecz wolność wszystkich«.

O tem, jak sobie Sieyes wyobraża stosunek normy do całości interesów, świadczy najlepiej następujące zdanie: »La loi étant un instrument commun, ouvrage d'une volonté commune, ne peut avoir pour objet que l'intérêt commun. Une société ne peut avoir qu'un intérêt général«[2].

Reasumując to, cośmy dotychczas powiedzieli musimy stwierdzić następującą analogję między teorją Sieyesa, a zapatrywaniami Encyklopedji, a mianowicie:

1) Tak tu, jak tam, już w prymitywnym stanie krępowanym jest człowiek prawem natury.

2) Tak tu, jak tam, podstawą prawa natury jest odwieczny nakaz nieszkodzenia drugiemu.

---

[1] »Sieyes nimmt in seine Erklärung der Menschenrechte den Satz auf, dass alle Menschen frei sind in der Ausübung ihrer persönlichen Fähigkeiten, unter der einzigen Bedingung den andern nicht zu schaden« (Redslob. Die Staatstheorien der franz. Nationalversammlung von 1789, str. 15—16).

[2] Arch. par., T. VIII, str. 422.

W czem idzie Sieyes dalej od Encyklopedji?

Idzie od niej dalej tłomacząc, jakiemu interesowi nie ma się szkodzić. Tym interesem nie jest według niego, ani interes jednostki, ani korporacji, lecz wolą ogólną sankcjonowana »całość interesów«.

II.

Z kolei starać się będziemy przedstawić, jak definicja pojęcia wolności kształtuje się na tle dyskusji parlamentarnej w Konstytuancie.

Jest rzeczą jasną, że pominiemy przy tem momenta mniej ważne, a dążyć będziemy do podkreślenia tych wszystkich, które na tworzenie się definicji w ostatecznem jej brzmieniu wywierają wpływ decydujący. Konstytuanta wyłoniła długi szereg projektów deklaracji praw.

Do najważniejszych należą:

1) Projekt Lafayette'a [1].
2) » Target'a [2].
3) » Mounier'a [3].
4) » Servan'a [4].
5) » Sieyes'a [5].
6) » Szóstego Biura [6].
7) » Komitetu Pięciu [7].

Żaden z tych projektów, jak wiemy, nie został przez Zgromadzenie zaakceptowany, największem powodzeniem cieszyły się projekty Lafayette'a, Sieyes'a, Mounier'a i Szóstego Biura. Projekt Komitetu Pięciu został potępiony niemal przez całą Konstytuantę. Projekty Target'a i Servan'a przeszły bez silniejszego echa.

Na posiedzeniu z 19 sierpnia 1789 r., zebranem pod przewodnictwem hrabiego Clermont-Tonerre, po dyskusji, w której zabierają głos liczni mowcy, i po dłuższej przemowie de Lally Tollendal'a zapada ważna uchwała, która sprawę z martwego punktu posuwa pierwszy raz naprzód.

---

[1] Arch. par., T. VIII, str. 221.
[2] » » » » » 288.
[3] » » » » » 289.
[4] » » » » » 306.
[5] » » » » » 422.
[6] » » » » » 431.
[7] » » » » » 438.

Zgromadzenie postanawia:

1) Nie przyjmować »en bloc« żadnego z projektów.

2) Wybrać jeden, jako podstawę do dyskusji szczegółowej mającej się toczyć na plenum izby, artykuł po artykule.

Jako podstawa do dyskusji szczegółowej na plenum został wybrany projekt Szóstego Biura, z pozostałych projekt Sieyes'a uzyskuje najwięcej głosów, co stanowi, naszem zdaniem, jeszcze jeden dowód wpływu, jaki teorje Sieyes'a wywierają na współczesnych [1].

Po przyjęciu wstępu (préambule) według redakcji Komitetu Pięciu z pewnemi zmianami Desmeuniers'a i trzech pierwszych artykułów ułożonych »ad hoc« przez Mounier'a [2], przystępuje Konstytuanta 21 sierpnia do badania artykułów 7, 8, 9 i 10 projektu Szóstego Biura.

Z tejże to dyskusji 21 sierpnia powstaje w ostatecznej swej redakcji interesujący nas tu artykuł czwarty uchwalonej deklaracji praw człowieka. Artykuły 7, 8, 9, 10 i 11 projektu Szóstego Biura składają się na późniejsze artykuły 4, 5, 6 Wielkiej Deklaracji.

Jak się zaraz przekonamy, służący za podstawę dyskusji projekt Szóstego Biura wywarł na uchwalone ostatecznie 21 sierpnia artykuły wpływ nieprawdopodobnie mały: Przyjrzyjmy się, jak wyglądają artykuły 7, 8, 9 i 10 projektu Szóstego Biura.

Art. 7. Dans l'état de société chaque homme pour obtenir l'éxercice libre et légitime de ses facultés, doit le reconnaitre dans ses semblables, le respecter et le faciliter.

Art. 8. De cette réciprocité necessaire résulte entre les hommes réunis la double relation des droits et des devoirs.

Art. 9. Le but de toute société est de maintenir cette double relation dans l'établissement des lois.

Art. 10. L'objet de la loi et donc de garantir tous les droits et d'assurer l'observation de tous les devoirs.

Opierając się na wyżej przytoczonych ustępach zabiera na posiedzeniu 21 sierpnia rano głos Aleksander de Lameth (gentilhomme d'honneur du comte d'Artois). Na początku przemówienia stwierdza on swój zamiar silniejszego rozwinięcia i podkreślenia zasad zawartych w artykułach 7, 8, 9, 10 projektu Szóstego Biura.

---

[1] Arch. par., T. VIII, str. 459.
[2] » » » » » 463.

Z zamiaru swego wywiązuje się, projektując na ich miejsce tylko dwa artykuły o treści następującej:

Art. 1. La liberté consiste à pouvoir faire tout, ce qui ne nuit pas à autrui: ainsi l'éxercice des droits naturels de chaque homme n'a évidemment de bornes, que celles, qui assurent a tous les autres membres de la société la jouissance des mêmes droits. Ces bornes ne peuvent être déterminées, que par la loi.

Art. 2. La loi ne peut défendre, que les actions évidemment nuisible à la société: tout ce qui n'est pas défendu par la loi ne peut être empêché et nul ne peut être contraint à faire, ce qu'elle n'ordonne pas.

Powyższe artykuły stają się przedmiotem ożywionej dyskusji[1], w trakcie której proponowane są pewne ich zmiany. Camus, Blin, Mougins de Roquefort, Martineau domagają się opuszczenia słowa »évidemment«, umieszczonego w pierwszym artykule. Pozostawienie tego słowa równa się, ich zdaniem, twierdzeniu, że każdy obywatel jest sam sędzią dla swego prawa. Czego ostateczną konsekwencją zupełna niemożność ustawodawcy zabraniania czynności szkodliwych. Każdy w tym wypadku może ich zdaniem powiedzieć przy każdej okoliczności, że ustawa nie powinna była zabraniać danej czynności. W razie panowania tego rodzaju stosunków stałaby się ustawa czczym frazesem.

W rezultacie słowo »évidemment« jest skasowane. Co do drugiego artykułu Martineau proponuje zamiast słów »La loi ne peut défendre« słowa »La loi ne doit défendre«. Duport sprzeciwia się temu wnioskowi, znajdując więcej energji w słowie »peut«. Deklaracja praw istnieje, jego zdaniem, głównie na to, aby ukrócić nadużycia ciała ustawodawczego. W razie zamiany słowa »peut« na »doit« przyjmuje się prawną możliwość zaistnienia tychże nadużyć. Ażeby skrócić tę dyskusję jeden z członków zgromadzenia (nazwisko nieznane) proponuje użycie słów »ne peut et ne doit«. Wniosek Martineau jest przyjęty. Ks. de la Luzerne (biskup Langres) radzi zacząć pierwszy artykuł słowami: »la liberté civile consiste etc., zamiast proponowanych słów »la liberté consiste«... Ta uwaga pociąga za sobą dłuższą wymianę słów na temat stosunku, zachodzącego między prawem cywilnem, a prawem natury. Biskup z Langres stwierdza, że wolność, zawarta w deklaracji

[1] Arch. par., T. VIII, str. 464.

praw, nie jest wolnością naturalną, ale jedynie wolnością polityczną. Z tem zdaniem nie zgadzają się i słownie walczą Populus, Volney i Rhedon. Rhedon stwierdza, że dotychczasowe artykuły odnoszą się do człowieka, nie będącego jeszcze członkiem społeczeństwa a tam, gdzie nie ma społeczeństwa, nie może być i prawa. O co, pyta on, chodzi do tej chwili w deklaracji praw? Chodzi o wolność naturalną, czyli prawo, które człowiek, rodząc się, przynosi ze sobą na świat. Nie ma tu jeszcze mowy o wolności cywilnej, nie chodzi bowiem o człowieka skrępowanego w swobodnem używaniu swych władz i możności, ale o człowieka o pełni praw. Wolność ograniczają, jego zdaniem, albo prawa naturalne, albo społeczne konwencje, i jedynie w drugim wypadku może być ona nazwana wolnością cywilną. Te uwagi powodują odrzucenie wniosku biskupa z Langres.

André proponuje zredukowanie artykułów o wolności do jednego i to w brzmieniu projektu Komitetu Pięciu: »La liberté du citoyen consiste a n'être soumis, qu'a la loi et à n'être tenu d'obeir, qu'a l'autorité établie par la loi: à pouvoir faire sans crainte de punition tout usage de ses facultés, qui n'est pas défendu par la loi«.

Pozatem jeszcze jeden z członków zgromadzenia (nazwisko nieznane) podnosi głos przeciwko definicji de Lameth'a, twierdząc, że nie wystarcza powiedzieć, że wolność polega na możności robienia wszystkiego, co nie szkodzi drugiemu. Lepiej będzie, mówi on, zainteresować się tem, co mówi o wolności prawo moralne, które już w pierwszych wiekach świata definjuje ją daleko piękniej i potężniej: »Libertas est non solum quod liceat, sed etiam quod honestum sit«. Rozpoczyna się głosowanie i wniosek de Lameth'a z pewnemi nieznacznemi stylistycznemi zmianami i opuszczeniem słowa »évidemment« przechodzi w brzmieniu następującem:

Art. 1. La liberté consiste à pouvoir faire tout, ce qui ne nuit pas à autrui: ainsi l'exercice des droits naturels de chaque homme n'a de bornes, que celles, qui assurent aux autres membres de la société la jouissance de ces mêmes droits. Ces bornes ne peuvent être déterminées, que par la loi.

Art. 2. La loi n'a le droit de défendre, que les actions nuisibles à la société. Tout, ce qui n'est pas défendu par la loi ne peut être empêché et nul ne peut être contraint à faire, ce qu'elle n'ordonne pas.

Z powyższego przedstawienia widzimy aż nadto jasno, jak mały wpływ na cały tok dyskusji wywarł projekt Szóstego Biura. Uchwalone w ostatecznej redakcji artykuły 4 i 5 deklaracji praw rożnią się najkompletniej i to tak treścią, jak formą od odnośnych artykułów projektu Szóstego Biura, które formalnie miały być dla nich punktem wyjścia.

Pod jakim wpływem konstruował artykuł 4 deklaracji praw Aleksander de Lameth? Naszem zdaniem jest ten artykuł wynikiem zręcznego zestawienia zdania, wyjętego z projektu Mouniera ze zdaniem, wyjętem z projektu Lafayette'a i to w brzmieniu dosłownem.

Art. 7. projektu, przedstawionego Komitetowi Konstytucyjnemu przez Mounier'a na posiedzeniu z 27. lipca brzmi, jak następuje:[1] »La liberté consiste à pouvoir faire tout, ce qui ne nuit pas à autrui: ce qui n'est pas défendu par la loi ne peut être empêché et nul ne peut être contraint à faire, ce qu'elle n'ordonne pas«.

Zdanie trzecie projektu Lafayette'a, przedłożonego na posiedzeniu z 11. lipca[2] brzmi, jak następuje: »L'éxercice des droits naturels n'a de bornes, que celles, qui en assurent la jouissance aux autres membres de la société«.

Zestawmy zdanie Mounier'a ze zdaniem Lafayett'a a wypadnie nam niemal w dosłownem brzmieniu, proponowany przez Lameth'a artykuł 4 deklaracji praw.

Końcowa część art. 7 projektu Mounier'a tworzy również końcową część, proponowanego przez Lameth'a art. 5 deklaracji praw (ce qui n'est pas défendu par la loi ne peut être empêché et nul ne peut être contraint à faire, ce qu'elle n'ordonne pas).

Archiwa parlamentarne rewolucji francuskiej mówią bardzo nie wiele o tak zwanej Konstytucji Girondystów, która jak wiemy jest projektem, który nigdy nie doczekał się sankcji ustawodawczej. Wydaje ów projekt Komitet Konstytucyjny powołany przez Konwencję, złożony z 8 członków, a urzędujący pod przewodnictwem Condorceta. Wchodzą w jego skład, prócz Condorceta, Gensonné, Barrére, Barbaroux, Payne, Pétion, Vergniaud, Sieyes.

[1] Arch. par., T. VIII, str. 289.
[2] » » » » » 222.

Tom 58 Archiwów parlamentarnych podaje »in extenso« przemówienie Condorceta, w którem wyłuszcza główne zasady, mające obowiązywać w projektowanej przez Komitet Konstytucyjny konstytucji. Po przemówieniu Condorceta, zabiera głos Gensonné i odczytuje »Projekt deklaracji praw naturalnych, cywilnych i politycznych«, którego artykuł 2 głosi: »La liberté consiste à pouvoir faire tout, ce qui n'est pas contraire aux droits d'autrui: Ainsi l'éxercice des droits naturels de chaque homme n'a de bornes, que celles, qui assurent aux autres membres de la société la jouissance de ces mêmes droits« [1]. Po deklaracji praw przychodzi kolej na konstytucję. którą w całości odczytują różni mowcy, w ciągu dwóch posiedzeń Konwencji (1793, 15 i 16 luty). Nad projektem Condorceta nie ma dyskusji na plenum. a w każdym razie nie figuruje ona w Archiwach parlamentarnych. Po wysłuchaniu lektury projektu uchwala Konwencja 16 lutego, że cała mowa Condorceta. jakoteż projekty deklaracji praw i konstytucji, mają być wydrukowane i w liczbie 6 egzemplarzy rozdane członkom zgromadzenia. Pozatem mają być rozesłane w liczbie wystarczającej do 85 departamentów, z kolei do okręgów i poszczególnych gmin. Władza wykonawcza ma zająć się rozdaniem ich wojsku. Z chwilą wydania swego projektu rozwiązuje się Komitet Konstytucyjny. Projekt nie uzyskuje nigdy sankcji ustawodawczej.

15 kwietnia 1793 roku Konwencja postanawia, że przed dyskusją nad konstytucją otworzy się najprzód dyskusja ogólna nad prawami człowieka i obywatela [3]. 17 kwietnia wygłasza Romme analizę filozoficzną poszczególnych projektów praw [4], a zaraz potem otwiera się dyskusja ogólna, w której między innemi zabierają głos Cambon i Barrère. Na posiedzeniu z 19 kwietnia [5], otwiera się dyskusja nad artykułem 2 projektu Condorceta, zawierającym definicję wolności. Barrère, jako sprawozdawca Komitetu Konstytucyjnego stwierdza, że przeciwko artykułowi 2 podniosły się zarzuty, jakoby jego ułożenie było zbyt zawiłe. Komitet tedy postanowił zastąpić starą redakcję nieskomplikowanym zwrotem, zawierającym

---

1 Arch. par., T. LVIII, str. 601.
2 » » » LVIII, » 625.
3 » » » LXII, » 126.
4 » » » LXII, » 263.
5 » » » LXII, » 706.

podstawę wszelkiej moralności publicznej. Zamiast słów »Ainsi l'éxercice des droits naturels de chaque homme n'a de bornes, que celles, qui assurent aux autres membres de la société la jouissance de ces mêmes droits« użyto następujących: »La liberté consiste à pouvoir faire tout, ce qui n'est pas contraire aux droits d'autrui: elle repose sur cette maxime: ne fais pas aux autres, ce que tu ne voudrais pas qu'on te fît«.

Projekt jest przyjęty burzliwemi oklaskami. Dawny artykuł 2 projektu Condorceta staje się artykułem 5 nowego projektu Komitetu Konstytucyjnego [1].

22 kwietnia prosi Maksymiljan Robespierre, o udzielenie mu pozwolenia, proponowania kilku zmian w projekcie praw. Konwencja udziela mu tego pozwolenia [2].

Dwa dni później, na posiedzeniu z 24 kwietnia, wywiązuje się on ze swego zamiaru i po dłuższem przemówieniu odczytuje nowy projekt praw z pewnemi wprowadzonemi przez siebie zmianami. Definicja wolności zawarta jest w artykule 4 projektu Robespierre'a [3]. Artykuł ten opiewa: »La liberté est le pouvoir, qui appartient à l'homme d'éxercer à son gré toutes ses facultés: elle a la justice pour règle, les droits d'autrui pour bornes, la nature pour principe et la loi pour sauvegarde«. Artykuł 4 przyjęty jest entuzjastycznie. Konwencja uchwala wydrukowanie przemówienia Robespierre'a i jego projektu deklaracji praw człowieka i obywatela. Na posiedzeniu z 29 maja [4] proponuje Barrère, jako sprawozdawca Komitetu Konstytucyjnego, ostateczną redakcję całości artykułów już przedyskutowanych, które składają się na projekt deklaracji praw człowieka w społeczeństwie. Artykuł 5 w definitywnej redakcji Komitetu wygląda tak, jak poprzednio: »La liberté consiste à pouvoir faire tout. ce qui ne nuit pas à autrui. Elle repose sur cette maxime: Ne fais pas aux autres, ce que tu ne veux pas, qu'ils te fassent«. Konwencja tak jak poprzednio przyjmuje tę redakcję [5].

Na posiedzeniu z 23 czerwca [6] zabiera w imieniu Komitetu Zbawienia Publicznego głos Herault-Sechelles i przedstawia nowy

---

1 Arch. par., T. LXII, str. 707.
2 » » » LXIII, » 116.
3 » » » LXIII, » 198.
4 » » » LXV, » 579.
5 » » » LXV, » 580.
6 » » » LXVII, » 106.

projekt deklaracji praw. Przed odczytaniem odnośnych artykułów zaznacza on, że głównem pragnieniem twórców deklaracji było tak ją zredagować, aby mogła być zrozumiana i umysłowo dostępna dla najszerszych warstw społeczeństwa. Trzymano się pod tym względem przykładu szlachetnie wskazanego przez Amerykanów. Deklaracja praw, mówi on, to nie to samo, co konstytucja. Konstytucja może być zwięzła. Deklaracja powinna być pojęta możliwie jak najszerzej i najszczegółowiej, aby mogła być przez ogół należycie zrozumianą. Po tem przemówieniu odczytuje on projekt deklaracji. Definicja wolności zawarta jest w artykule 6[1]. Opiewa on: »La liberté est le pouvoir qui appartient à l'homme de faire tout, ce qui ne nuit pas aux droits d'autrui: elle a pour principe la nature, pour règle la justice, pour sauvegarde la loi: sa limite morale est dans cette maxime: Ne fais pas à un autre, ce que tu ne veux pas, qu'il te soit fait«.

Projekt deklaracji praw Komitetu Zbawienia Publicznego przyjmuje Konwencja przez aklamację, po drugiem jego odczytaniu przez Herault-Sechelles'a. Wniosek du Trouillet'a, aby projekt zamiast nazwy »Deklaracja praw« nosił nazwę »Deklaracja praw i obowiązków człowieka w społeczeństwie«, po krótkiej dyskusji, w której zabiera głos Robespierre, odrzucono.

Jak z powyższego przedstawienia widać jakobińska definicja wolności, tak jak wygląda w jej ostatecznie ustawodawczo sankcjonowanej formie, jest wynikiem umiejętnego zespolenia projektu Komitetu konstytucyjnego z projektem Robespierre'a.

III.

Wszystkie deklaracje praw człowieka i obywatela, które do francuskich konstytucji dołączonemi zostały, starają się za wzorem pierwszej deklaracji z roku 1789 zdefinjować to, czem jest wolność. Między temi definicjami istnieje konieczne w tym wypadku podobieństwo, wypływające ze spólności prawnego podłoża, istnieją jednak także istotne, głębiej idące różnice. Pierwszym celem mojej pracy będzie właśnie najważniejsze z tych różnic wykazać, wydobywając na jaw przedewszystkiem kwestje, dotyczące wewnętrznej treści, a nie formy poszczególnych paragrafów.

[1] Arch. par., T. LXVII, str. 106 i 107.

Każdy porównujący rewolucyjne definicje wolności musi przedewszystkiem według mojego zdania zauważyć rzecz jedną. Wszystkie trzy stoją na wspólnym gruncie, jeśli chodzi o zdefinjowanie wolności, jako ograniczonej możności robienia wszystkiego. Wszystkie trzy godzą się na słowa »tout faire«, które w niezmienionej formie powtarzają i na pewne ograniczenie słowa »tout«. W czem więc leży ewentualna różnica? Leży ona właśnie w odmiennej stylizacj owego ograniczenia, która naszem zdaniem jest wypływem dwóch sprzecznych idei. Ideami temi to prawo podmiotowe i interes. — Wolność jest więc możnością ograniczoną. Pytanie zachodzi w kwestji co ogranicza tę możność interes, czy prawo podmiotowe. Problem jest szczególnie trudny do rozwiązania, ponieważ żadna z definicji nie stawia kwestji całkiem jasno. Zastanówmy się nad tekstem pierwszej definicji, uchwalonej w roku 1789, która stała się jak wiemy podstawą dla wszystkich późniejszych, Pierwsza jej część brzmi: »La liberté consiste à pouvoir faire tout, ce qui ne nuit pas à autrui«. Na czem według tych słów polega wolność? Polega ona na możności robienia wszystkiego co nie szkodzi drugiemu. Pewna niejasność leży, naszem zdaniem, w braku ściślejszego sprecyzowania słowa »autrui«.

Zastanówmy się nad drugą częścią definicji, połączoną z pierwszą aż nadto wymownem słowem »ainsi«, które ją spaja w jedną logiczną całość. Nazywa ona wolność »l'éxercice des droits naturels de chaque homme« twierdzenie, które wcale nie pokrywa się z poprzedniemi słowami »tout faire« i pozostaje z niemi w pewnej sprzeczności. Według bowiem pierwszej części zdania wolność jest ograniczoną możnością robienia wszystkiego, według zaś drugiej jego części, ograniczoną możnością używania praw naturalnych. Drugie pojmowanie rzeczy wydaje się zbyt ciasne. W skład bowiem wolności wchodzi możność używania i wykonywania całego szeregu uprawnień, z których nie wszystkie są naturalnemi, według pojęcia twórców deklaracji. Ale idźmy dalej »L'éxercice des droits naturels de chaque homme n'a de bornes, que celles, qui assurent aux autres membres de la société la jouissance de ces mêmes droits«. Co znaczy to zdanie? Używanie praw naturalnych nieograniczone byłoby samowolą, ograniczone jest dopiero prawdziwą wolnością. Używanie praw naturalnych jest ograniczone używaniem tych samych praw przez osoby inne. Jeżeliby słowa drugiej części definicji dalej nie sięgały, możnaby mniemać,

że zachodzi sprzeczność między niemi, a pierwszą jej częścią. Dowiedzieliśmy się na początku zdania, że wolność nie ma szkodzić drugiemu, jest więc ograniczona jego interesem, na końcu zdania dowiadujemy się, że jest ograniczona jego prawem. Czy tak jest rzeczywiście? Moim zdanie nie. Jaskrawa na pierwszy rzut oka sprzeczność znacznie blednie po głębszem zastanowieniu się nad tekstem. Wolność każdego musi się poruszać w ramach pewnych granic (bornes), które zapewniają innym członkom społeczeństwa możność używania pewnych praw. Co według tego zdania ścieśnia samowolę, zmieniając ją w wolność? Czy prawa podmiotowe osób innych, owe »mêmes droits?« — Definicja mówi co innego. Wolność ścieśniona jest nie czem innem tylko pewnemi granicami, podkreślam granicami, które są jej koniecznym elementem i które ją niejako tworzą z tworzywa samowoli. Definicja więc mówi to tylko wyraźnie i to trzeba uważać za zasadnicze. Mówi dalej, że granice te mogą być jedynie pewnego rodzaju, a mianowicie, że mogą być tylko takiemi, które zapewniają innym członkom społeczeństwa możność używania pewnych praw. Zastanówmy się nad słowem »tylko«, co ono oznacza? Oznacza ono jedynie to, że nie mogłyby istnieć granice, któreby innym członkom społeczeństwa możności używania pewnych praw nie dawały, nie oznacza bynajmniej tego, aby granice, o których mowa, miały dotyczyć jedynie i wyłącznie praw innych członków społeczeństwa. Mogą one dotyczyć całkiem czegoś innego. Że tak jest a nie inaczej świadczy jeszcze jeden dowód i to mojem zdaniem najdobitniej. Jest nim sam koniec artykułu 4, który opiewa: »Ces bornes ne peuvent être deteminées, que par la loi«. Dowiadujemy się z niego, że granice, o których mowa, oznacza ustawa, czyli, że w praktycznem znaczeniu, owe granice są niczem innem, jak właśnie ustawą. W tem rozumieniu wolność jest ograniczona normą przedmiotową, stojącą na straży nie tylko podmiotowych praw ale i interesów, czego jaskrawem poparciem fakt, że pod pojęcie przedmiotowej normy podpada wszelka norma administracyjna, która równie, rzec można, często chroni interes, jak prawo podmiotowe. Okrężną drogą doszliśmy do naszego punktu wyjścia. Ostatnie zdanie artykułu 4 w innych słowach mówi to samo, co tegoż artykułu zdanie pierwsze. Wolność polega na możności robienia wszystkiego, co nie szkodzi drugiemu. Szkodzić znaczy, jak wiemy, nadwyrężać kogoś w jego interesie. Z pierwszych słów artykułu 4 mogliśmy sądzić, że wolność

ograniczona jest interesem wogóle. Z ostatnich jednak słów, w których mowa jest o normie, przekonywujemy się, że chodzi jedynie o dziedziny regulowane normą, a więc w naszem rozumieniu o interes prawnie chroniony. Dla jaśniejszego obrazu tego, cośmy dotychczas powiedzieli. pozwolimy sobie całość naszych rozumowań dotyczących artykułu 4 Deklaracji z 1789 r. ująć przy końcu tychże w określone paragrafami twierdzenia. Artykuł 4 rozpada się na trzy główne części:

a) La liberté consiste à pouvoir faire tout, ce qui ne nuit pas à autrui.

b) Ainsi l'éxercice des droits naturels de chaque homme n'a de bornes, que celles, qui assurent aux autres membres de la société la jouissance de ces mêmes droits.

c) Ces bornes ne peuvent être determinées, que par la loi.

Część a) stwierdza primo, że wolność jest możnością robienia wszystkiego ograniczoną interesem drugiego. Secundo, nie precyzuje dokładnie kto jest tym drugim.

Część b) primo nazywa wolność ograniczoną możnością swobodnego używania praw naturalnych. Secundo, określa ją granicami, o których wiemy jedynie, że mogą być tylko takiemi, które zapewniają innym członkom społeczeństwa możność swobodnego używania praw naturalnych. Natomiast kwestje, czy granice te dotyczą praw czy interesów drugiego i pytanie, kto jest tym drugim, pozostawia część b) bez odpowiedzi.

Część c) stwierdza, że wolność krępowana jest normą przedmiotową. Celem i treścią normy ochrona interesu. Część c) nie informuje nas o tem, kogo ów chroniony interes dotyczy.

Reasumując powyższe zestawienie w kwestji problemu, którym się zajmujemy, stwierdzamy, że

część a) krępuje wolność interesem drugiego,

część b) określa ten interes interesem chronionym,

część c) nic o nim nie mówi.

Ostateczna konkluzja brzmi następująco: Wolność wedle artykułu 4 jest możnością ograniczoną prawnie chronionym interesem drugiego. Artykuł 4 nie mówi wyraźnie, kto jest tym drugim [1].

---

[1] »Die Betonung der natürlichen Freiheit hat aber hier nirgends den Sinn, dass die staatliche Macht an ihr eine Schranke finde. Das wird später gezeigt werden. Es wird hier überall nur das eine wieder-

Art. 2 »Projektu deklaracji praw człowieka«, poprzedzającego tak zwaną Konstytucję Girondystów, brzmi następująco: »La liberté consiste à pouvoir faire tout, ce qui n'est pas contraire aux droits d'autrui, ainsi l'exercice des droits naturels de chaque homme n'a de bornes, que celles, qui assurent aux autres membres de la société, la jouissance de ces mêmes droits«.

Porównując ten artykuł z artykułem 4 pierwszej deklaracji będziemy się trzymać w celu ułatwienia sobie pracy tego samego podziału, któregośmy już używali. Dzielimy więc artykuł 2 na takie same części a, b, c, na jakieśmy podzielili artykuł 4. Podział wpływa na postawienie następującego wniosku. Część a) artykułu 2 różni się treścią od części a) artykułu 4. Część b) artykułu 2 powtarza słowa części b) artykułu 4. Części c) w artykule 2 brak. Wchodzi ona w skład artykułu 3 Deklaracji Girondystów, różniąc się treścią od części c) artykułu 4.

Część a) artykułu 2 opiewa: »La liberté consista à pouvoir faire tout, ce qui n'est pas contraire aux droits d'autrui«. Zestawmy ją ze słowami: »La liberté consiste a pouvoir faire tout, ce qui ne nuit pas à autrui«.

Każdy na pierwszy rzut oka zauważyć może, że różnica między powyższemi dwoma zdaniami sięga daleko.

»Wolność to możność robienia wszystkiego, co nie szkodzi drugiemu« mówi zdanie pierwsze. »Wolność to możność robienia wszystkiego, co nie sprzeciwia się prawu drugiego«, mówi zdanie drugie. Różnica jest tak jasna, że podkreślać ją prawie zbyteczne. Tu nie wolno szkodzić drugiemu, tam nie ma się tego robić co sprzeciwia się cudzemu prawu. Konkluzja z tego taka, że o ile zdanie pierwsze krępuje wolność interesem drugiego, o tyle zdanie drugie krępuje ją jedynie prawem drugiego. Mówię »jedynie«, ponieważ wiemy, że prawo podmiotowe jest pojęciem ciaśniejszem od interesu wogóle, a w szczególności od interesu chronionego. Czytając część a) definicji z r. 1789 przyszedł nam na myśl interes wogóle, pojęcie, które ścieśniły słowa części c) tejże samej definicji, określając go interesem chronionym. Część a) definicji Girondystów ścieśnia to pojęcie jeszcze bardziej, ograniczając go jedynie do

holt, dass der Staat berufen sei die natürliche Freiheit der Menschen zu beschirmen. Die natürliche Freiheit gilt als der Zweck nicht als die Grenze seiner Tätigkeit«. (Redslob, Die Staatstheorien, str. 15).

prawa podmiotowego. Co więc różni obie definicje? Obie bowiem uznają prawo podmiotowe za ograniczenie wolności, nie uznając za nie interesu niechronionego. Różni ich właśnie ów interes chroniony normą, który definicja z r. 1789 uważa za ograniczenie wolności, a który definicja Girondystów za takie nie uważa. Na tej właśnie rzeczy opiera się cała różnica między ideą, którą nazwaliśmy ideą interesu, a ideą nazwaną przez nas ideą prawa podmiotowego. Idei pierwszej hołduje naszem zdaniem artykuł 4. Idei drugiej artykuł 2. Ze słów prawo podmiotowe drugiego nie dowiadujemy się kto jest tym drugim, może nim być równie dobrze jednostka jak państwo.

Część b) artykułu 4 opiewa: »Ainsi l'éxercice des droits naturels de chaque homme n'a de bornes, que celles, qui assurent aux autres membres de la société la jouissance de ces mêmes droits«.

Część b) artykułu 2 brzmi dosłownie tak samo.

Muszę się przyznać, że o ile te same słowa niczem mnie nie dziwią na gruncie deklaracji pierwszej, o tyle na gruncie deklaracji drugiej robią mi wrażenie czegoś postawionego nie na swoim miejscu. Kto wie, czy powtórzenie tych samych słów nie było powodowane chęcią zachowania uświęconego już tradycją frazesu. O co chodziło deklaracji pierwszej. Chodziło jej przedewszystkiem o podkreślenie wagi, znaczenia i korzyści praw naturalnych. Podkreśleniem owych korzyści jest właśnie jej część b), logiczne uzupełnienie jej części a). W części a) stwierdza, że nie wolno działać na drugiego niekorzyść, w części b) mówi: przeto wolność może być jedynie taką, która pozwala drugiemu używać praw naturalnych. Czyli innemi słowy, mówi część b), ponieważ nie wolno działać na drugiego niekorzyść, nie powinno się nigdy krępować ludzi w wykonywaniu naturalnych praw podmiotowych, które są największą ich korzyścią. Sens prosty i logiczny. Sądzę, że przy innej interpretacji trudno będzie wytłomaczyć znaczenie słowa »ainsi«. Całkiem inaczej ma się rzecz, jeśli chodzi o część b) definicji Girondystów. Część bowiem a) artykułu 2 mówi nie o interesie, ale o prawie podmiotowem drugiego. Krępuje wolność prawem drugiego. Część b) w tych warunkach traci swoje pierwotne znaczenie. Jeśli bowiem wolność krępowana jest prawem drugiego, to jasnem się wydaje, że jej granice będą jedynie takiemi, które zapewniają innym członkom społeczeństwa używanie praw

naturalnych. Jest to innemi słowy stwierdzenie tego, że jeżeli ktoś ma mieć zapewnione swobodne używanie swego prawa, ma mieć również zapewnione swobodne używanie swego prawa naturalnego. Jest to kręcenie się w kółko, wytłomaczalne z jednej strony przywiązaniem do dawniejszego tekstu, z drugiej pewną »idée fixe«, którą rewolucyjny ustawodawca stale żywi, a która nosi miano »prawo natury«.

Części c) w artykule 2 Deklaracji Girondystów brak. Wchodzi ona naszem zdaniem w skład artykułu 3 tejże deklaracji, stanowiąc jego pierwsze zdanie. Porównajmy to, co nazywamy częścią c) definicji Girondystów, ze znaną nam już dobrze częścią c) pierwszej definicji, która mówi: »Ces bornes ne peuvent etc.«.

Część c) definicji Girondystów brzmi: »La conservation de la liberté dépend de la soumission à la loi, qui est l'éxpression de la volonté générale«.

O ile zdanie pierwsze stwierdza, że granice wolności mogą być jedynie określone normą przedmiotową, o tyle zdanie drugie tego nie mówi. Jego treść brzmi następująco: Zachowanie wolności zależy od poddania się normom, będącym wyrazem woli ogółu. Ażeby zachować własną wolność trzeba, poddając się normie, uszanować wolność drugiego. Ażeby ukrócić cudzą samowolę, trzeba najprzód zrezygnować z własnej. Sens, jak widzimy, najzupełniej różny od tego, który widzi w normie jedynie określenie granic wolności. Deklaracja girondystów tego nie twierdzi. Według niej teoretycznem określeniem granic wolności cudze prawo podmiotowe. Warunkiem zachowania wolności poddanie się normie, która granic tejże wolności jest praktycznem określeniem. Że według Deklaracji Girondystów norma w praktyce życia stawia wolności namacalne granice, wynika choćby z końcowych słów artykułu 3. »Tout ce qui n'est pas défendu par la loi ne peut être empêché et nul ne peut être contraint à faire ce qu'elle n'ordonne pas«.

Artykuł 6 Deklaracji praw człowieka i obywatela, poprzedzający Konstytucję Jakobińską z 24 czerwca 1793 roku, brzmi jak następuje: »La liberté est le pouvoir qui appartient à l'homme de faire tout, ce qui ne nuit pas aux droits d'autrui: elle a pour principe la nature; pour règle la justice; pour sauvegarde la loi. Sa limite morale est dans la maxime: ne fais pas à un autre, ce que tu ne veux pas qu'il te soit fait«.

O ile definicja z roku 1789 przechyla się w stronę interesu, definicja zaś Girondystów w stronę prawa podmiotowego, o tyle co do definicji jakobińskiej ani jedna ani druga rzecz zauważyć się nie da. Jest ona, naszem zdaniem, kombinacją dwóch pierwszych, wyżej zacytowanych definicyj, hołdując równocześnie idei interesu i idei prawa bez dawania pierwszeństwa żadnej z nich. Przypatrzmy się pierwszym jej słowom »La liberté est le pouvoir qui appartient à l'homme de faire tout, ce qui ne nuit pas aux droits d'autrui«. Różnią się one od analogicznych słów dwóch pierwszych definicji zwrotem »est le pouvoir qui appartient à l'homme«. Pierwsze dwie definicje mówiły: »La liberté consiste à pouvoir faire«... O co chodzi definicji jakobińskiej. Chodzi jej o podkreślenie słowa możność (pouvoir). Wolność jest według jej zdania możnością, która należy do człowieka, podczas gdy dwie pierwsze definicje mówią: Wolność polega na tem, gdy się może etc. Tutaj użyto rzeczownika, tu czasownika. Jakobini definjując wolność, jako należącą do człowieka możność, chcieli najwyraźniej podkreślić jeszcze silniej, niż w dwóch poprzednich definicjach, charakter wolności, jako czegoś przyrodzonego i niepozbywalnego. Chcieli jeszcze konkretniej zadokumentować swą wiarę w istnienie wrodzonych praw naturalnych. Co mówi dalej art. 6? Mówi, że wolność jest możnością robienia wszystkiego »ce qui ne nuit pas aux droits d'autrui«, (co nie szkodzi prawom drugiego). Szkodzić prawom. Czy można szkodzić czyjemuś prawu podmiotowemu? Zdaje mi się, że nie. Prawo bowiem to rzecz czysto abstrakcyjna, której. jako takiej, zaszkodzić niepodobna. Szkodzimy człowiekowi nadwyrężając jego korzyść, interes. Prawu samemu nie szkodzimy, ale jedynie robimy coś, co z nim koliduje. co mu się sprzeciwia. Definicja z 1789 mówiła, że wolność niema szkodzić drugiemu. Definicja Girondystów, że nie ma się sprzeciwiać prawu drugiego. Definicja wreszcie jakobińska chce, aby wolność nie szkodziła prawom drugiego (nuire aux droits). Jak widzimy definicja trzecia jest, pod tym względem, kombinacją dwóch pierwszych. Chce zachować słowo »droits«, ale i słowo »nuire«. Uważa prawo podmiotowe za ograniczenie wolności. Równocześnie jednak uważa każde prawo za interes, któremu można szkodzić. Jednym z dobitnych objawów chęci pogodzenia tych dwóch przekonań jest niefortunne zestawienie wyrazów »nuire« i »droits«.

»Elle a pour principe la nature, pour régle la justice, pour sauvegarde la loi«. Brzmią dalsze słowa definicji. Wyrażenie »pour principe la nature« podkreśla jeszcze raz charakter wolności, jako czegoś wrodzonego i niezbywalnego, czerpiącego swe źródło w samej naturze ludzkiej. »Pour règle la justice« oznacza wiarę w pewną wyższą, oderwaną od praw pozytywnych, sprawiedliwość wieczną i niezmienną, która stanowi tejże wolności regułę. Wolność jest koniecznym wynikiem nakazu sprawiedliwości. Zdanie »Pour sauvegarde la loi« stwierdza, że stróżem wolności i jej zabezpieczeniem jest norma przedmiotowa, której każdy, pod groźbą utraty swojej własnej swobody, poddać się musi. »Pour sauvegarde la loi« to to samo, innemi słowy, co zdanie pierwsze artykułu 3 Deklaracji Girondystów: »La conservation de la liberté etc.«.

»Sa limite morale est dans la maxime: »Ne fais pas a un autre, ce que tu ne veux pas qu'il te soit fait«. Słowa, które dadzą się na polskie przetłumaczyć: »Jej granica moralna leży w przysłowiu«, »Nie rób drugiemu, co tobie nie miło«. Co oznaczają te słowa? Oznaczają one, że wolnosć ograniczona jest moralnie, podkreślam moralnie, cudzą korzyścią, której naruszenia nikt normalnie myślący pragnąć nie może. Słowa »granica moralna« podkreślają abstrakcyjność tego rodzaju ograniczenia, opartego na nakazie jakiejś wyższej etyki, nie mającej z prawem nic wspólnego. Nasuwają one raczej myśl, że jeżeli moralnie tak jest, to tylko moralnie. prawnie zaś musi być całkiem inaczej. W każdym razie, według mego zdania, nie wyklucza wyżej zacytowane zdanie następującej interpretacji: wolność krępowana jest moralnie interesem drugiego, prawnie cudzem prawem podmiotowem. Nie potrzeba mówić, że gdyby tak było, byłby to jeden jeszcze więcej dowód chęci kompromisowego postawienia kwestji. Dążenie do kompromisu, to istotna treść jakobińskiej definicji.

Po omówieniu trzeciej z koleji definicji pozwolimy sobie jeszcze raz skonkretyzować ostateczne wnioski, wyciągnięte z naszych dotychczasowych rozumowań. Są one następujące. Tak definicja z roku 1789, jak Girondystów i Jakobinów uznaje za praktyczne ograniczenie wolności normę przedmiotową, która, jak wiemy, chroni nietylko prawa podmiotowe, ale i interesy prawami nie będące. Czyli, innemi słowy, wszystkie trzy w praktycznem rozumieniu uznają interes chroniony za ograniczenie wolności. Teoretycznie ma się rzecz inaczej. Definicja z r. 1789 uważa za ogra-

niczenie wolności interes drugiego. Definicja Girondystów uważa za nie prawo podmiotowe drugiego. Jedynie definicja jakobińska nie mówi nic jasnego pod tym względem.

Przyjrzyjmy się jeszcze całości z innego stanowiska. Wiemy, że interes jest pojęciem szerszem od prawa podmiotowego. Logicznem tego następstwem jest fakt, że interes krępuje wolność bardziej niż prawo podmiotowe, czyli, że wolność krępowana interesem ma zakres ciaśniejszy od wolności krępowanej prawem podmiotowem. Skutkiem tego jeżeli prawdą jest, że definicja pierwsza ogranicza wolność interesem choćby teoretycznie, musi wyznaczać jej zakres ciaśniejszy od tego, który przypada jej w udziale według definicji Girondystów, ograniczającej wolność prawem podmiotowem drugiego. Przyjrzyjmy się, czy tak jest naprawdę? Czy naprawdę Deklaracja z roku 1789, postępując logicznie w myśl swego 4 artykułu, wyznacza wolności granice ciaśniejsze od tych, które przypadają jej w udziale w Deklaracji z 16 lutego 1793 roku. Dowiemy się tego z artykułów omawiających poszczególne gałęzie swobód obywatelskich, wchodzących w skład ogólnego pojęcia wolności. Są niemi w Deklaracji z r. 1789 w pierwszej linji art. 10 i art. 11.

Art. 10 opiewa: Nul ne doit être inquiété pour ses opinions, même religieuses, pouvru que leur manifestation ne trouble pas l'ordre public établi par la loi.

Art. 11 mówi: La libre communication des penseés et des opinions est un des droits les plus précieux de l'homme, tout citoyen peut donc parler, écrire, imprimer librement, sauf à répondre de l'abus de cette liberté dans les cas determinés par la loi.

Co mówią analogiczne artykuły Deklaracji z 16 lutego 1793 r.?

Art. 4. Tout homme est libre de manifester sa pensée et ses opinions.

Art. 5. La liberté de la presse et de tout autre moyen de publier ses pensées ne peut être interdite, suspendue ni limitée.

Art. 6. Tout homme est libre dans l'exercice de son culte.

Każdy porównujący artykuł 10 Deklaracji z r. 1789 z artykułem 6 Deklaracji Girondystów musi dojść do przekonania, że pierwszy różni się od drugiego znacznie mniejszym liberalizmem. Słowa »même religieuses« uderzają wprost swym brakiem postępowości. Oprócz słowa »même«, mniejszy liberalizm art. 10 zaznacza się

w całej końcowej jego części, która zewnętrzne objawy kultu regijnego ogranicza wymogami porządku publicznego [1]. W artykule 6 Deklaracji Girondystów o porządku publicznym nie ma mowy. Mówi on krótko »Tout homme est libre dans l'exercice de son culte«. Pod słowo »exercice« podpada nie tylko wyznawanie kultu religijnego, ale zewnętrzne tegoż objawy. Nie chcę jednak być fałszywie zrozumianym, nie twierdzę wcale, jakoby według Girondystów, nawet wykraczający przeciw porządkowi publicznemu, kult religijny miał być tolerowany. Chodzi mi jedynie o zaznaczenie, że opuszczony zwrot o porządku publicznym, tak samo jak nie powtarzające się słowo »même« nadają artykułowi 6 Deklaracji Girondystów zabarwienie bardziej liberalne od artykułu 10 Wielkiej Deklaracji. Dosyć co do kultu religijnego. Przyjrzyjmy się z kolei drugiej kwestji. Będzie nią wolność myśli, słowa i druku. Art. 11 Deklaracji z roku 1789 mówi, że każdy obywatel może swobodnie mówić, pisać i drukować z wyjątkiem pewnych nadużyć tejże swobody w wypadkach określanych normą.

Jak widzimy z treści tego artykułu, nie mówi on wcale o nieograniczonej wolności prasy i druku wogóle, ponieważ nie wiemy jakie wypadki zostaną określone przes normę jako nadużycie [2].

Art. 5 Deklaracji Girondystów mówi wręcz co innego, a mianowicie wyraźnie stwierdza, że jakikolwiek sposób publikowania myśli nie może być ani zakazany ani zawieszony ani ograniczony [3].

Art. 16 (rozdział 10, sekcja 6) Konstytucji Girondystów potwierdza w zupełności artykuł 5 deklaracji, brzmi on: »La liberté de la presse est indéfinie. Nul homme ne peut être recherché ni poursuivi pour raison des écrits, qui'il aura fait imprimer, ou publier en quelque matière que ce soit, sauf l'action en calomnie de la part des citoyens qui en sont l'objet contre l'auteur ou l'imprimeur«. Jak z tego widać wolność myśli, słowa i druku przedstawia się znacznie ciaśniej w Deklaracji z r. 1879 niż w Deklaracji Girondystów. Reasumując to, cośmy powiedzieli, stwierdzamy, że mniejszy liberalizm Deklaracji z r. 1789 w kwestjach tak doniosłych, jak

---

[1] Esmein, L'histoire du droit français, str. 149, w rozdz. Les cultes et l'état.

[2] Esmein, L'histoire du droit français, str. 191, w rozdz. Les droits individuels.

[3] Esmein, L'histoire du droit français, str. 194, w rozdz. Les droits individuels.

wolność kultu religijnego, myśli, słowa i druku, jest potwierdzeniem naszej tezy zasadniczej.

O innych swobodach obywatelskich nie wspominamy, ponieważ w pojmowaniu ich przez obie deklaracje niema znaczniejszych odchyleń. Deklaracja jakobińska nie będzie z tego punktu widzenia przez nas rozpatrywana.

Bibljografja.

R. Redslob: Die Staatstheorien der französischen Nationalversammlung von 1789.

W. Rees: Die Erklärung der Menschen und Bürgerrechte von 1789.

G. Jellinek: Die Erklärung der Menschen und Bürgerrechte (1895).

E. Walch: La déclaration des droits de l'homme et du citoyen et l'assemblée constituante.

E. Blum: La déclaration des droits de l'homme et du citoyen en 1789.

A. Esmein: Precis élémentaire de l'histoire du droit français de 1789—1814.

A. Aulard: Histoire politique de la revolution française.

A. Aulard: Les orateurs de la constituante, de l'assemblée législative et de la convention

Caron: Mannuel pour servir à l'étude de la révolution française.

Fahget: La politique comparée de Montesquieu, Rousseau et Voltaire.

Heitzman: J. J. Rousseau.

Alix: (Revue des études historiques I. Fevrier 1899) Sieyes.

Archives parlamentaires.

Moniteur.

Les constitutions et les principales lois politiques de la France depuis 1789. (Duguit et Monnier).

Encyklopedja (wyd. z r. 1773).

Montesquieu Oeuvres complètes.

Rousseau » »

Sieyes » »

Mably » »

Condorcet. Des progrès de l'ésprit humain.

Réflexions sur l'ésclavage des négres.

Recenzje.

S t a n i s ł a w C h e l i ń s k i: »*Pojęcie rozkazu w świetle ogólnej teorji norm*«.

Nietzsche mówi o systemach filozoficznych, iż w dany system wierzy tylko jego autor. W zapatrywaniu tem jest z pewnością tyle prawdy, że o wartości naukowej dzieła filozoficznego nie może decydować, czy krytyk zgadza się na nie. Druga uwaga, którą chcę wysunąć na czoło moich rozważań, odnosi się do pytania, jakie nowe oryginalne myśli przynosi dana rozprawa. Jest to sprawa bardzo delikatna. W kwestjach szeroko omawianych niejednokrotnie trudno odkryć drobny nuance, który przecież ma wartość naukową.

Z drugiej strony nowość pomysłu nie jest identyczna z samodzielnością myślenia. Nieraz z uzasadnieniem można twierdzić, że autor samodzielnie doszedł do jakiejś koncepcji, już znanej. Ma to znaczenie, gdy idzie o stwierdzenie dojrzałości naukowej autora.

Nie można czynić zarzutu drowi Chelińskiemu, że dał bardzo pobieżną charakterystykę pojęcia normy, rozprawa jego bowiem, nie odnosi się do tego pojęcia, a tylko do ustanowienia normy i do jej jednostronności. Kompozycja jego pracy zyskała przeto tylko na tem, że o pojęciu normy powiedział tylko tyle, co przez nią rozumie, a całą siłę wywodów skoncentrował na tematach, którym pracę poświęcił.

Pojęcia »powinno« i pojęcia woli nie określił, ale przytem nie potrzebował powoływać się na Husserla, bo tego dotychczas nikt nie zrobił.

Nie można też zarzucić drowi Chelińskiemu, że trzyma się bezkrytycznie Reinacha lub Somla. Stosunek swój do pierwszego określa na str. 11. Różnice są subtelne, ale istnieją. Niezależnie też od Reinacha stworzył dr. Cheliński kategorję zdarzeń jednostronnych i dwustronnych i czynności jednostronnych i dwustronnych. Stosunek swój do Somla omawia na str. 31 i wykazuje wyraźnie różnicę, jaka między niemi zachodzi. W szczególności o ile idzie o różnicę między określeniem obowiązku, jako »obciążenia« podmiotu przez normę (Somlo), a określeniem obowiązku, jako »ograniczenia« podmiotu przez normę (Cheliński), to określeń tych, ani też różnicy między nimi nie należy przeceniać, oba określenia bowiem są przecież tylko porównaniami. Takie powoływanie się autora na Stammlera i na Bierlinga jest tylko przypadkowe, bo kwestje, do których te cytaty się odnoszą, są szeroko w literaturze omawiane.

Wogóle jednak dr. Cheliński daje pierwszy dokładną analizę pojęcia rozkazu. Wykrycie nowych jego myśli nie jest łatwe wobec tego, że każda taka analiza czyni wrażenie wydobywania rzeczy znanych.

Wrażenie takie czyni znana praca Reinacha, któremu przecież nikt nie może odmówić samodzielności myślenia. Wskażemy na szereg szczegółów tej analizy, z których okazuje się, że myśli jasno i że potrafi w samodzielny sposób konstruować swoje poglądy. W rozkazie heteronomicznym odróżnia dwa pierwiastki — utylitarny i normatywny (str. 17). Samodzielnie określa jednostronność jako cechę rozkazu (str. 19). Zawiadomienie jest u niego przekształcone w postulat skierowania do adresata (str. 20). Analizuje też dr. Cheliński formę objawu woli rozkazodawczej (str. 25). Zupełnie oryginalnym jest jego pogląd, że przyrzeczenie jest pewną postacią rozkazu. Potrzeba bardzo skrupulatnego badania, aby powiedzieć, że we wywodach dra Chelińskiego między umową a uchwałą (str. 49) nie przyniósł dr. Cheliński nic nowego. Zwracam wreszcie uwagę na stosunek dra Chelińskiego do Kuntzego (str. 58), wskazujący, że potrafi zająć własne zdecydowane stanowisko.

Bardzo charakterystycznym jest pogląd dra Chelińskiego na wolę zbiorową (str. 47): »Wola zbiorowa jest to więc zespół odbywających się świadomości różnych osób aktów woli, posiadający następujące wspólne znamiona: 1) tożsamość celu, 2) pragnienie tej tożsamości, 3) objaw woli dotyczący tego pragnienia i dokonany w przekonaniu, że te objawy nastąpią także ze strony innych uczestników, 4) uzależnienie następstw od całego zespołu, a nie od poszczególnych aktów woli.

Wszystkie te cztery elementy mają wszakże wspólne źródło w zastosowaniu do wielości stanów psychicznych różnych osób, idei całości i części. W świadomości uczestników woli zbiorowej, a także osób postronnych, mamy tutaj do czynienia z pojmowaniem tej wielości jako jednej całości, mającej swój byt specyficzny, odrębny od indywidualnych aktów woli, będących jej częściami. Do wytworzenia tej całości nadają się oczywiście tylko akty woli o tym samym przedmiocie; niema aktu woli bez określonego przedmiotu (to, czego chcę), ten zaś musi być zgodnie określony przez indywidualne akty woli. Ponieważ cały zespół traktujemy jako jeden akt woli, przeto wszelkie następstwa, jakie łączymy z aktem woli, są związane z całością, a nie częściami. Cechy pierwsza i czwarta dotyczą więc przedewszystkiem całości, jako takiej, natomiast cechy druga i trzecia charakteryzują stanowisko części tkwiących niejako w tej całości. Każdy z uczestników woli zbiorowej jest świadom cząstkowości swego aktu woli; ten ostatni w odosobnieniu nie może wywołać następstw, o które chodzi; stąd wynika pragnienie, aby inni chcieli tego samego, oraz potrzeba wyjścia aktu woli z jego odosobnienia, co może nastąpić tylko przez ujawnienie aktów woli wszystkich uczestników. Indywidualne akty woli noszą więc cechę dążenia do wytworzenia woli zbiorowej jako całości i tem dążeniem jest uwarunkowane ich istnienie«.

Pogląd ten nosi w literaturze nazwę neoromantycznego. Jeżeli pokolenie, do którego ja należę, bliższe romantyzmowi, wychowywało się w atmosferze pozytywistycznej, to tembardziej stwierdzić to można o dalszem od romantyzmu pokoleniu, do którego należy dr. Cheliński. Pokolenie to nie czyta ani Adama Müllera, ani Novalisa, a z najnowszych Spann jest mu albo nieznanym, albo nie jest przez nie zrozumianym. Nie zna też z pewnością tego kierunku dr. Cheliński, a jednak doszedł samodzielnie do poglądu, który tego kierunku jest cechą. Wedle mnie złożył przez to dowód samodzielności myślenia. Omówię jeszcze bliżej tę kwestję dalej.

Kwestja rozkazu autonomicznego, w której dr. Cheliński wykazał wiele oryginalności, nasuwać może wątpliwości. Jakkolwiek jednak jest, czy przyjmiemy jego teorję, czy ją odrzucimy, przyznać musimy, że do postawienia jej musiał dojść, jeżeli chciał być konsekwentnym. Oto jak przedstawiam sobie jego stanowisko naukowe i proces myślenia, który go doprowadził do jego pojmowania rozkazu.

Odróżnić możemy z pewnego punktu widzenia dwa obszary badań: logiczno-ontologiczny i psychologiczny. Badanie ontologiczne daje w rezultacie byty stałe, niezmienne, objektywne. Dochodzi się do nich przez intuicję. Metodę jej starał się podać Husserl w swoich ideach czystej fenomenologji. Jest to stanowisko Platona, które modernizują Herbart, Frege, Bolzano, Husserl i szkoła fenomenologów. Badanie psychologiczne jest empirycznem, subjektywnem i relatywistycznem. Rozróżnienie tych obrazów znanem jest drowi Chelińskiemu, ale ontologicznem badaniem nie zajmuje się i problemy swoje stara się rozwiązać psychologicznie, niestety jednak nie może się uchronić od wkraczania w ontologję. Ontologiczne badanie znanem jest drowi Chelińskiemu, bo to wynika z jego zapatrywania, że istnieje »istota« umowy (str. 50). Wynika to dalej z jego pojmowania woli zbiorowej, jako całości (str. 42, 55). O ile co do umowy w ontologicznem znaczeniu zajmuje stanowisko zdecydowane, o tyle w przyznaniu woli zbiorowej, jako całości, bytu specyficznego jest ostrożnym, stara się bowiem obronić swoją teorję nawet na przypadek, gdyby owa »całość« była fikcją lub mitem. W każdym razie rozprawa jego znajduje się na terenie psychologji. Musiał ją tam umieścić, skoro istotę rozkazu dojrzał w »ustanowieniu« normy. Z tą chwilą musiał już konsekwentnie myśleć psychologicznie i posługiwać się personifikacjami. Personifikuje więc państwo, dopuszcza w »ja« szereg osób i nie zdaje sobie sprawy, że w jego normach bezosobowych, któremi się zajmuje, jest także personifikacja. W tem jednak psychologicznem badaniu napotyka na trudności. Co bowiem w takim razie uczynić z normą, którą pojmuje, jako zdanie zawierające w sobie wyraz »powinien«, a więc zawiera byt objektywny. Z trudności tej stara się wydobyć w ten sposób, iż uważa, że norma jest abstrakcją konkretnego zdarzenia, którem jest ustanowienie normy (str. 13). W ten sposób sprowadza normę, jako byt objektywny, do zjawiska empirycznego psychologicznego. Drugą trudność ma dr. Cheliński w tem, że musi przyznać, że rozkaz jest rozkazem, choćby adresat nie dosłyszał, choćby rozkaz był skierowany przez pomyłkę do drzewa, choćby rozkaz z góry w świadomości rozkazodawcy był nierealny i t. d. Te momenty ontologiczne stara się dr. Cheliński w ten sposób uchylić, że dążenia do zawiadomienia adresata nie wkłada do definicji rozkazu, ale czyni je tylko konsekwencją logiczną pewnika normatywnego »impossibilum nulla obligatio«.

Z innego punktu widzenia możemy podzielić obszar badań na badania posługujące się myśleniem odbijającem fakty (nazwijmy je racjonalistyczne) i na badania posługujące się myśleniem (cogitatio w znaczeniu Decarta) religijnem albo moralnem, albo transcendentalnem. Otóż wedle mojego zapatrywania, zdania zawierające wyraz »powinien«, należą do obszaru drugiego. W obszarze racjonalistycznym niema miejsca na tego rodzaju zdania. Powołuję się tutaj na najkonsekwentniejszą w tym w tym względzie logikę Wittgensteina »Tractatus logico-philosophicus«. Z tego powodu moje pojęcie normy nie zawiera wyrazu »powinien«.

Gdy jednak ktoś ma myślenie urobione na moralności, mimowoli przestaje niejednokrotnie odróżniać racjonalistyczne stawianie problemu od moralnego stawiania problemu. Dr. Cheliński przyjmuje określenie normy z wyrazem »powinien« i dlatego ponosi wszystkie tego konsekwencje.

Gdyby dr. Cheliński stanął na gruncie ontologicznym, odpadłaby dla niego kwestja ustanowienia normy, zawiadomienia adresata, cały wreszcie proces psychiczny. Oczywiście jego teorja rozkazu byłaby całkiem inną. Przedewszystkiem odpadłaby możność wielości »ja«, a wskutek tego odpadłaby jego teorja rozkazu autonomicznego.

Gdyby dr. Cheliński oczyścił był swoje myślenie z nastawienia moralnego, nie przyszłoby mu nawet było na myśl pytanie, czy może istnieć rozkaz autonomiczny.

Ponieważ dr. Cheliński stanął na gruncie psychologicznym i nie dojrzał, że zdanie z wyrazem »powinien« jest zdaniem transcendentalnem, moralnem (co do nastawienia myślowego), przeto w konsekwencji musiał dojść do pojęcia rozkazu autonomicznego. Nie stało się to bez szeregu poprawek, o którychśmy mówili. Musiał przyjąć, że norma jest abstrakcją konkretnego zdarzenia, jakiem jest ustanowienie normy; musiał przenieść dążenie do zawiadomienia adresata do konsekwencyj logicznych, musiał wreszcie przyjąć wielość »ja«.

W rezultacie uważam dra Chelińskiego za poważną siłę naukową. Dr. Cheliński wszystko, co przeczytał, przeczytał gruntownie, przemyślał, umie przedstawić jasno, bez cienia blagi i blichtru. Sumienność jego charakteryzuje to, że nie schodzi z drogi żadnej kwestji nasuwającej się z jego problemu, a więc np. kwestji prośby, żądania, postanowienia, umów na rzecz osób trzecich i t. d. Starałem się wyżej wykazać, że w myśleniu swem jest samodzielny, że nie brak mu daru konstruowania. Jeżeli osobiście kwestję rozkazu postawiłbym inaczej i do innych doszedłbym z pewnością rezultatów, to dlatego, że moje zainteresowania naukowe idą w innym kierunku. Jeżeli teorja dra Chelińskiego nie rozwiązuje problematów ważnych dla prawa, to mojem zdaniem dzieje się to dlatego, że rozwiązania tego nie należy szukać w psychologji. Dr. Cheliński jest innego zdania, ale to w obecnym stanie nauki nie wpływa na wartość jego naukowego wysiłku.

Władysław Leopold Jaworski.

Z powodu recenzji prof. Jaworskiego o »*Pojęciu rozkazu*«.

Rozróżnienie stanowiska psychologistycznego i logiczno-ontologicznego jest ważne tam szczególniej, gdzie te dwa stanowiska łatwo pomięszane być mogą. Niebezpieczeństwo tego pomięszania zachodzi w mniejszym lub większym stopniu we wszystkich naukach zajmujących się przedmiotami t. zw. idealnymi (tylko pomyślanymi), ale w prawoznawstwie to niebezpieczeństwo jest szczególniej groźne, bo ta nauka musi uwzględniać oba powyższe stanowiska. Zarówno przy myśleniu tworzącem pewne normy (prawodawstwo, formułowanie norm prawa t. zw. przyrodzonego) jak i stwierdzającem normy już dane (t. zw. dogmatyka prawa) przedmiotem nie jest czyjekolwiek myślenie normy, ale norma sama niezależnie od tego, kto i kiedy ją pomyślał. Gdy ktoś for-

mułuje zdanie »pacta sunt servanda« jako normę prawa przyrodzonego, to. nie wypowiada on ani sądu, iż on lub ktokolwiek inny to pomyślał, ani tembardziej, że ludzie rzeczywiście umów dotrzymują, lub że w przyszłości niektórzy z nich umów dotrzymywać będą. Chodzi tu jedynie o czystą treść myślową polegającą na tem, iż wszyscy mają obowiązek umów dotrzymywać. Możemy tu najzupełniej oderwać przedmiot myśli w niej tylko istniejący od myśli samej, tak samo jak w tabliczce mnożenia myślimy o stosunkach ilościowych w oderwaniu od jakichkolwiek procesów myślenia o tych stosunkach. Badania dotyczące psychologji prawa przyrodzonego są oczywiście możliwe (np. Petrażyckiego teorja prawa intuicyjnego), ale myślenie w zakresie prawa przyrodzonego jest od tych badań niezależne.

Zupełmie inny stan rzeczy zachodzi w dziedzinie prawa pozytywnego. I tutaj koniecznem jest stanowisko logiczno-ontologiczne, ale oderwać się od faktów psychologicznych, wyrzec się ich stwierdzenia tu nie można. Prawnik analizuje treść ustawy w oderwaniu od jakichkolwiek faktów ale do pewnego punktu tylko. Do pewnego punktu interpretacja projektu ustawy niczem nie różni się od interpretacji ustawy. Ale badacz ustawy nie może ograniczać się do badania danych treści, nie zadając sobie pytania, dlaczego one stanowią normy obowiązujące. Odpowiedź brzmieć musi: dlatego, iż pewni ludzie w określonym czasie oświadczyli, iż chcą, aby treści powyższe były normami obowiązującemi. I tu nauka prawa nie może pominąć pytania, czem jest ten kompleks zjawisk psychicznych i fizycznych te pierwsze oznaczających (objaw woli) i jaki jest tego kompleksu stosunek do norm, które na nim »opierają« swoją moc obowiązującą. Do badań tych zmusza w tym wypadku naukę prawa sama natura przedmiotu badanego (ustawy i rozporządzenia), który powołuje się na fakt ustanowienia normy jako na swe »źródło«. Dlatego normę ustanowioną jako, taką musimy rozważać jako abstrakcję z tego konkretnego zdarzenia, jakiem jest ustanowienie normy. To samo zachodzi w dziedzinie prawa zwyczajowego, tylko, że tu fakty, na które norma się powołuje, różnią się pod wieloma względami od faktów będącvch źródłem ustawy czy rozporządzenia.

W prawie t. zw. przyrodzonem i w etyce możemy w myśleniu o normach (i w myśleniu norm) oderwać się w zupełności od wszystkiego, co nie jest normą. W badaniu prawa pozytywnego o takiem oderwaniu mowy być nie może. Tu należy nietylko badać czystą treść myślową (bez tego wogóle jest niemożliwą dogmatyka prawa), ale także stwierdzać zdarzenia psychiczne polegające na tem, iż określone osoby myślały te normy (względnie o tych normach) i chciały ich. Dlatego dla prawoznawstwa koniecznością jest uwzględnienie obu tych stanowiska. Ze popełnianie błędów polegających na pomięszaniu tych dwóch punktów widzenia jest możliwe i że dało się już dotkliwie uczuć nauce prawa, to prawda. Ale z tego nie wynika jeszcze, aby w uwzględnianiu tych obu stanowisk tkwił chociażby cień niekonsekwencji.

Wogóle wydaje mi się, że od czasu epokowych badań Petrażyckiego stanowisko psychologistyczne w prawoznawstwie jest ugruntowane na niespożytych podstawach. Nie znaczy to oczywiście, aby svstem Petrażyckiego był jedynym możliwym wyrazem stanowiska psychologistycznego.

Zgadzam się z prof. Jaworskim, iż praca moja o rozkazie pozostaje a terenie psychologji. Zdaniem mojem wogóle badanie rozkazu musi

być przedewszystkiem badaniem psychologistycznem. Rozkaz jest faktem ustanowienia normy, a więc chceniem i pomyśleniem pewnej treści jako normy zobowiązującej; kto analizuje to zjawisko, ten musi zejść na grunt psychologji. Ale badanie zjawisk myślenia tylko do pewnych granic jest możliwe bez zejścia na grunt logiczno-ontologiczny. Analiza faktu psychologicznego polegającego na myśleniu pewnej treści nie może oderwać się od tej treści, przeciwnie musi uwzględnić ją jako składnik danego zjawiska. Dlatego analiza rozkazu musi rozważyć także i pojęcie obowiązku, jakkolwiek obowiązek nie jest zjawiskiem psychologicznem, ale przedmiotem idealnym. Tak samo ten, kto zajmuje się psychologiczną analizą myślenia syllogistycznego, nie może pominąć kwestji, czem jest syllogizm. Wszelka wogóle psychologja myślenia o jakimś przedmiocie nie może oderwać sią całkowicie od tego przedmiotu, choć naodwrót badanie tego przedmiotu myśli, nie jest badaniem psychologicznem.

Nie mogę się zgodzić z prof. Jaworskim, iż określenie obowiązku jako ograniczenia przez normę jest tylko porównaniem. Rzeczywiście mówiąc bądź o zjawiskach psychicznych bądź o przedmiotach idealnych posługujemy się bardzo często wyrazami urobionymi dla oznaczania zjawisk fizycznych. Mówimy np. o jasności myśli, napięciu woli, potędze uczucia, zakresie pojęcia. Nie znaczy to jednak, aby tego rodzaju powiedzenia miały wartość tylko porównania. Norma zobowiązując daną osobę do określonego działania lub zaniechania, tem samem wyłącza takie zachowanie się tej osoby, które polega na powstrzymaniu się od nakazanego przez normę działania, albo na działaniu przez normę zabronionem. Tak więc podmiot zobowiązany nie może zachować się w pewien sposób i zarazem pozostać w zgodzie z normą; pewne określone zachowanie jest mu wzbronione, a więc norma ogranicza go. Ale to jest czysto logiczne odniesienie normy do podmiotu, które bynajmniej nie oznacza, aby zobowiązany rzeczywiście odczuwał to ograniczenie, jako pewien nacisk na swoją wolę. Obciążenie przez normę (definicja obowiązku Somlo) znaczyłoby, ściśle biorąc, iż zobowiązany przeżywa swój obowiązek, jako pewien przymus psychiczny, jako coś sprzecznego ze swą wolą czy też przykrego. Ale pomijając już różnicę pomiędzy realnem zjawiskiem psychicznem (przeżycie obowiązku), a przedmiotem idealnym (obowiązek), należy tu zauważyć, iż definicja Somlo jest błędna nawet jako definicja przeżycia obowiązku. Zobowiązany może spełniać swe obowiązki chętnie i nawet z żywem uczuciem zadowolenia. Swiadomość obowiązku nie jest wówczas dla niego żadnym ciężarem. Teorja obowiązku Somlo nie jest wcale psychologistyczną, ale dlatego właśnie definicja jego, która byłaby tylko błędną jako definicja przeżycia obowiązku, jako definicja obowiązku jest właściwie tylko grą słów.

Prof. Jaworski widzi pewną rozbieżność zachodzącą pomiędzy myśleniem odbijającem fakty, a myśleniem normatywnem, należącem, jego zdaniem, do sfery myślenia religijnego względnie moralnego lub transcendentalnego. Zdaje się, iż historja filozofji potwierdza to zapatrywanie. Epoki, szkoły i poszczególni myśliciele, dla których na pierwszym planie stoi stwierdzanie faktów i stosunków między faktami, wykazują przeważnie pewien brak zrozumienia, albo nawet wyraźną niechęć do snucia myśli na temat tego, co być powinno, co ma wartość i co jest celem. W etyce wyraża to się w skłonności do zajęcia się wyłącznie badaniem przeżyć moralnych ze stanowiska psychologji, socjologji i etnologji;

określanie tego, co jest dobre i złe, ma być czemś jak gdyby niegodnem myślenia »naukowego«. W prawoznawstwie odpowiednikiem jest tu negacja prawa przyrodzonego i ograniczenie się do historji i dogmatyki prawa pozytywnego. Dążność omawiana, przeważająca w drugiej połowie XIX wieku, znalazła swój wyraz nawet w dziedzinie tak nawskróś teleologicznej jak polityka; szkoła Marxa naprzekór naturze rzeczy czyni tu usiłowania, aby uniknąć wartościowania i teleologji i urzeczywistnienie przyszłego ustroju stara się ująć jedynie jako konieczny skutek całego łańcucha przyczyn, a nie jako urzeczywistnienie celu zakreślonego przez wolę ludzką w granicach możliwości.

Ale jeżeli powyższa rozbieżność rzeczywiście istnieje, to jest to rozbieżność czysto psychologiczna pomiędzy usposobieniem do stwierdzania faktów i usposobieniem do myślenia, które najlepiej możnaby określić jako filozoficzno-praktyczne. Sprzeczności logicznej pomiędzy jednem i drugiem myśleniem niema i być nie może żadnej; każde z nich porusza się w zupełnie innej płaszczyźnie. Niezależnie od tego najbardziej objektywne stwierdzanie faktów psychologicznych i społecznych musi prowadzić do stwierdzenia także i tego, że myśl ludzka rzeczywiście posługuje się kategorjami powinności, wartości i celu. Z drugiej znów strony posługiwanie się powyższemi kategorjami w sensie tworzenia i ustalania norm, celów i wartości nie stoi wcale na przeszkodzie stwierdzaniu faktów wartościowania, dążenia do celów i przeżyć normatywnych. W pracy swej o rozkazie starałem się ograniczyć do badania zjawisk psychicznych i społecznych nacechowanych myśleniem normatywnem, zaznaczając zarazem, iż bynajmniej nie odrzucam myślenia praktyczno-normatywnego.

Że badanie zjawisk powyższych natrafia na fakty, które stanowią bardzo dogodny punkt zaczepienia dla hypotez metafizycznych (np. zjawisko rozkazu autonomicznego) to nie ulega wątpliwości. Stwierdzanie wszakże tych faktów ani nie jest metafizyką, ani nie prowadzi w sposób konieczny do metafizyki. *Stanisław Cheliński.*

Logika a pośpiech w teorji prawa. Odpowiedź na replikę P. Cz. Znamierowskiego (»Czasopismo prawn. i ek.« R. XXIII, Nr. 1—12, str. 390—416).

1. Uwagi wstępne. Na moją recenzję »Podstawowych pojęć teorji prawa« autor tej książki odpowiedział obszerną repliką, która wskutek dłuższego trwania druku rocznika 1925 mogła być umieszczona w tymże roczniku bezpośrednio po recenzji. Replika ta charakterem swym odbiega od zwykłego typu współczesnych prac naukowych; przez wprowadzenie do swych wywodów charakterystyk osób, biorących udział w sporze, wraz z ich obliczem moralnem i intelektualnem, przez żywy dramatyzm wyrazu, przez swą wybitnie zaznaczoną dążność wychowawczą w stosunku do przeciwnika — przypomina nieco djalogi platońskie, na które autor niedarmo tak często się powołuje; tylko w formach ujawniania swego stosunku do przeciwnika autor wziął sobie za wzór raczej młodą popędliwość Trazymacha niż dojrzałą pogodę i powściągliwość Sokratesa.

Dramatis personae są nam przedstawione na wstępie. Oto oblicze autora: »pełne religijnej niemal pokory poczucie wobec ogromu za-

gadnień«, pojmowanie nauki jako »rwącego naprzód prądu wątpliwości,... nieoczekiwanych jak stany łaski olśnień i zwątpień beznadziejnych...« — skłoniły go do wywołania dyskusji, aby wytworzyć pracę zbiorową dla »wspólnego przedzierania się przez gąszcz trudności«. Na to wezwanie odezwał się »pan Lande«, którego oblicze dwoiste i zdradzieckie z kolei odsłania djalog. Oto człowiek ten ujawniał pracowitość, sumienność, przenikliwość i rozwagę krytyczną (391, 393, 416), jako uczeń Petrażyckiego był nawet »niewątpliwie bardzo zdolny« (394), — lecz to trwało tak długo, póki polemizował z innymi autorami; gdy stanął w szranki z p. Znamierowskim, sprawił mu »dotkliwy zawód« (391). Nauka stała się dla niego »stereotypowem powtarzaniem raz ukutych formułek« (390); w polemice wykazał całkowity brak rzeczowości i kompetencji, zwłaszcza w dziedzinie logiki (391, 396, 397 i inne), niezdolność i nieumiejętność zrozumienia intencyj i twierdzeń autora, zrozumiałych dla innych (392, 393, 397, 399), i w braku tych kwalifikacyj uciekł się do »metody«, istotnie urągającej nietylko dobremu smakowi i zasadom przyzwoitości literackiej, ale wprost zasadom sumienności naukowej: »metoda« ta, której charakter stały i jednolity jest wielokrotnie podkreślany (393, 397, 398; 405, 406, 412, 413, 414, 416), posługuje się humorem podrzędnego gatunku, skoro przeciwstawiany mu jest »dobry humor platoński« (393), operuje przeinaczeniami i dodatkami, godnemi »bieżącej publicystyki«, lecz nie rozważań naukowych (397—8), a w istocie swej polega na »systematycznej błędności interpretacji« (393), na »zniekształcaniu tekstu przez podsuwanie autorowi swoich własnych przesłanek« (394), gorzej, na »zniekształcaniu tekstu przez podsuwanie mu obcych mu problematów« (399) i »wyczytywaniu w tekście czego w nim niema« (406). Skąd taka zmiana oblicza? Rzecz się wyjaśnia łatwo: oto nieszczęsny ten osobnik dał się opanować całkowicie swemu mistrzowi Petrażyckiemu, którego postać znów odmalowana zostaje na tle dłuższego wywodu charakterologicznego jako złowrogie wcielenie sofistycznej »metody Gorgjasza«, przeciwnej »metodzie Sokratesa« (393—4). Niefortunny uczeń przyjął jego naukę jako dogmat niezmienny, ostateczny i niewzruszony, będący dlań przedmiotem ślepej wiary, i używa go jako jedynej miary słuszności innych poglądów (392, 394, 404, 414, 415, 416). Dlatego też, znając źródło błędów przeciwnika, p. Znamierowski, choć piętnuje jego dzisiejszą metodę, jednak w dobrotliwości swej udziela mu w końcu zbawiennej rady, wskazując mu możliwość powrotu na drogę mądrości i cnoty pod warunkiem wyzwolenia się z pod dzisiejszego wpływu i... zajęcia się innemi tematami (416).

Tak więc, przechodząc do zwykłej, bardziej prozaicznej mowy dzisiejszej, — krytyka moja nigdzie, w żadnym punkcie nie nasunęła autorowi nic godnego rozwagi, natomiast wszędzie okazała się nierzeczową i niekompetentną, nieścisłą, niesumienną i nietaktowną. Tak więc też, zapewne, charakter tej krytyki zmusił p. Znamierowskiego do wzięcia za przedmiot swej repliki nie samych twierdzeń recenzji, lecz przedewszystkiem osoby jej autora z jego charakterem, umysłowością i kolejami życiowemi, — zmusił go do napisania ostrej »odprawy« przeciwnikowi, co porwał się na jego dzieło, uzbrojony w środki pod względem naukowym niedostateczne, a pod względem etyki i taktu literackiego naganne.

Jakże się sprawa przedstawia objektywnie? Czy autor miał rzeczowe podstawy do wysnucia takich wniosków i zajęcia wobec mnie

takiej postawy, — jeżeli nie »z wieku i urzędu«, to z tytułu różnicy walorów naukowych i etycznych, w naszej dyskusji ujawnionych? Usuwając sprawę ogólnej oceny porównawczej naszych kwalifikacyj, a opierając sąd jedynie na zbadaniu materjału zawartego w recenzji i w replice, śmiem sądzić, że cała reprymanda autorska nie posiada uzasadnienia objektywnego, a zdradza natomiast wyraźne źródło subjektywne: autor pisał replikę, jak sam to stwierdza, bezpośrednio po otrzymaniu mojej krytyki w korekcie i musiał się spieszyć, aby przesłać swój tekst Redakcji przed zamknięciem numeru. I wskutek tego zapewne podrażnienie krytyką i pośpiech, nie pozwalający dostatecznie przemyślić moich argumentów ani skontrolować swoich zarzutów, odbiły się niepomyślnie zarówno na tonie jak na treści repliki. Samo zestawienie tekstów wykazuje łatwo, że różne »grzechy« moje stanowią w olbrzymiej większości urojenie autora, a natomiast grzechy podobne, lecz znacznie większego kalibru, tkwią w jego własnych wywodach; czasem pośpiech i nieuwaga dochodzi do tego, że autor wypiera się kategorycznie własnych swoich słów i konstrukcyj z »Podstawowych pojęć«, nie mówiąc już o sprzecznościach w wywodach samej repliki. Zanim się zajmę, w miarę potrzeby, analizą poszczególnych zarzutów, przytoczę na uzasadnienie tej diagnozy parę przykładów potwierdzających jej trafność.

P r z y k ł a d p i e r w s z y. »Pewniki dotyczące obowiązywania«, sformułowane przez autora w charakterze próby »aksjomatyzacji teorji prawa« (Podst. poj. 53 i nast.), zakwalifikowałem w krytyce jako próbę wskrzeszenia »prawa rozumowego«. Pozatem z powodu jednego z tych »pewników«, który dla podmiotu izolowanego rozstrzyga całą zawiłą sprawę kolizji norm w czasie przez ustalenie jednej zasady *lex posterior derogat priori*, — postawiłem pytanie, »czy a k t, którymby ktoś p o s t a n o w i ł sobie ograniczyć powyższą zasadę przez i n n ą — *lex posterior generalis non derogat legi priori speciali* — byłby ważny czy też nieważny ze względu na sprzeczność z »pewnikiem«? (382—3). Na to autor odpowiada (str. 414 p. E): »Znowu błędna interpretacja: ja nigdzie nie ustalałem, że zasada *lex posterior generalis non derogat legi priori speciali* jest aprioryczną. Wywody na ten temat szanownego recenzenta są własną jego interpretacją« — i na tem zamyka sprawę. Jak widać z przytoczonego mego tekstu, w którym decydujące wyrazy obecnie podkreśliłem, ja w tym wypadku, po pierwsze, zasady *lex posterior generalis* nie przypisywałem autorowi, lecz przeciwnie, wysunąłem ją od siebie jako zasadę i n n ą od autorskich, a powtóre nie przypisywałem jej charakteru apriorycznego, lecz przeciwnie, za pomocą wyrazów używanych przez samego autora wyraźnie zaznaczyłem jej charakter tetyczny (pozytywny). Tak tedy autor zarzucił mi »błędną interpretację«, gdy nie było ani błędu, ani interpretacji, — sam zaś nie odpowiedział na postawione pytanie i tembardziej nie odpowiedział na zarzut wskrzeszania »prawa naturalnego«.

P r z y k ł a d d r u g i. Autor zarzuca mi z widocznem oburzeniem, że »w sposób niewskazany operuję... przytoczeniami (jego) tekstu«, mianowicie podkreślam w cytatach poszczególne wyrazy, nie zaznaczając przy tem, że podkreślenia są moje. Ma to zachodzić »w wielu wypadkach« (397—8); na dowód zaś została przytoczona cytata ze str. 386 mego tekstu. Otóż na stronicy omawianej mówię: »Definicja prawna, operująca tak niezwykłą ilością wyrazów nieokreślonych (k t ó r e w t e k-

ś c i e p o d k r e ś l i ł e m)...« — czyli spełniam ściśle wymaganie, którego niespełnienie autor mi zarzuca. Mówię to wprawdzie nie bezpośrednio po zamknięciu cytaty, lecz o 12 wierszy niżej, ale w granicach ustępu, stanowiącego nieprzerwany szereg uwag na temat cytaty przytoczonej. Autor tego nie zauważył, i na tem swojem niedopatrzeniu oparł pełne emfazy oskarżenie, przez łatwe, a innym dowodem niepoparte uogólnienie dostarczające jednego z punktów do charakterystyki »metody krytycznej pana Landego«. — Oba te przykłady, po dodaniu do nich szeregu podobnych, mogłyby skłonić do przemianowania odkrytej przez autora »metody pana Landego« na »metodę pana Znamierowskiego«, lecz uważając, że wszelka metoda musi posiadać cechę świadomości, wolę je uznać za objawy — chyba dość wyraźne — wielkiego pośpiechu.

P r z y k ł a d t r z e c i. Zwalczając zasadę podziału zdań i nauk na teoretyczne i praktyczne (401—2), autor przedstawia rzecz tak, jakby ta zasada była wynalazkiem i monopolem pp. Petrażyckiego i Landego: np. odrzucenie argumentu, którym p. Znamierowski tę zasadę metodologiczną zwalcza, panowie ci, zdaniem jego, »mogliby uzasadniać conajwyżej wzajemnem odwoływaniem się do swego autorytetu«. Trudnoby było w odpowiedzi przytoczyć listę całkowitą myślicieli i szkół całych — od Arystotelesa do Husserla, — które ten podział zasadniczy (w tej czy innej formie szczegółowej) uznają, gdyż stanowią oni zapewne około 100% ludzi, co na ten temat pisali. Nadarzałaby się tu sposobność do podania w podejrzenie kompetencji autora w dziedzinie kierunków logicznych. Niema jednak ku temu żadnej racji: autor zna niewątpliwie odpowiednią literaturę, i sam w »Podstawowych pojęciach« uwzględnia przeciwstawienie *Sein* — *Sollen* u neokantystów. Znów więc tylko mamy *lapsus* przypadkowy wskutek pośpiechu i braku czasu na kontrolę niedość przemyślanego ruchu pióra, *lapsus* nabierający tem wyraźniejszej cechy mimowolnego humoru, że, jak się to okaże, sam p. Znamierowski w tym samym roku 1925 stanął w szeregu obrońców »oczywistego« charakteru tego odróżnienia i zarzucał pomieszanie stanowisk teoretycznego i praktycznego Duguit'owi.

P r z y k ł a d c z w a r t y. »Metoda polemiczna pana Landego« jest jasno i niedwuznacznie scharakteryzowana przez autora jako metoda nieuctwa, świadomego przekręcania i różnych uchybień przeciwko etyce i przyzwoitości pisarskiej. Otóż w zakończeniu (416) metoda ta okazuje się już »tradycją polemiczną s z k o ł y, do której należy« (podkr. moje), — szkoły, to znaczy znów niedwuznacznie Petrażyckiego. A na str. 393—4 autor twierdzi, że tenże Petrażycki stosował w Uniwersytecie Petersburskim, stosuje i lubi stosować »metodę Gorgjasza«, która polega między innemi na dogmatycznem narzucaniu słuchaczom jako prawd niezmiennych myśli, które przedtem mogły być dla niego samego wątpliwe, oraz na nieżyczliwości względem wszelkiej krytyki ze strony słuchaczy. Oba te pociski polemiczne w stronę człowieka, którego sam autor, mimo różnicy poglądów, uważa za wybitnego uczonego, byłyby czemś dość dziwnem ze stanowiska zarówno uzasadnienia rzeczowego, jak zwykłej kurtuazji, gdyby były wypuszczone z rozwagą i całkowitą świadomością: nie wyobrażam sobie, aby autor potrafił znaleźć w pismach Petrażyckiego jakikolwiek objaw niesumiennej i niekompetentnej krytyki, jak również nie rozumiem, na jakiej podstawie p. Znamierowski, który, o ile mi wiadomo, nie uczęszczał na wykłady petersburskie Petrażyckiego i nie czytał książki jego »Uniwersytet i nauka«, zawierającej sze-

roko uzasadnione poglądy na nauczanie uniwersyteckie, — mógłby dopatrywać się w nich metod nauczania tak biegunowo sprzecznych z temi, które znają słuchacze i czytelnicy. Sprawa może się tłumaczyć znów tylko ze stanowiska psychologicznego: irytacja autora względem ucznia (Landego) przeniosła się w drodze kojarzenia również na mistrza (Petrażyckiego). Rzecz to ludzka (i łączy się zapewne z odwieczną zasadą odpowiedzialności zbiorowej): na ulicy, na wsi słyszy się nieraz jak ktoś, chcąc wyrządzić przykrość osobie, z którą się spiera, wypowiada rzeczy niepochlebne o jej matce, ojcu, zwierzchnikach i t. d. Jeżeli jednak objaw w treści swej pokrewny, choć w formie wyrażenia pozornie spokojny, zachodzi u osobnika tak wysokiej i wykwintnej kultury, jak prof. Znamierowski, dowodzi to chwilowego stanu podrażnienia wymykającego się z pod zwykłej kontroli.

Tych kilka przykładów wystarcza, jak mi się zdaje, aby poważnie poprzeć moją diagnozę, że replika z jej charakterem ostrej admonicji ma za źródło pewien chwilowy stan psychiki autora, nieprzychylny dla ścisłej pracy naukowej, stan, który uwzględnić należy jako czynnik zmniejszający odpowiedzialność naukową twierdzeń.

Jakaż rola przypada wobec tego autorowi recenzji? Rola istotnie kłopotliwa. Jeżeli niemiłą jest zawsze sytuacja człowieka spokojnego, który zmuszony jest do dyskusji z człowiekiem zagniewanym, to tembardziej niemiłem staje się dlań zajmowanie stanowiska wobec objawów irytacji człowieka, przytem kolegi, który się gniewał przed rokiem, a obecnie zapewne się uspokoił i w niektórych wypadkach wedle wszelkiego prawdopodobieństwa samby swoich słów dawnych nie podpisał, a w innych wyraźnie podpisał poglądy przeciwne. Wyjściem najprostszem i najprzyjemniejszem byłoby tedy zaniechanie dalszej dyskusji. Wprawdzie charakter polemiki p. Znamierowskiego ułatwiałby mi znacznie tryumf osobisty, dając mi możność odwrócenia przeciwko niemu wszystkich osobistych oskarżeń w formie nawet wzmocnionej: już przykłady przytoczone, planowo wybrane, wskazują, że mógłbym łatwo obronić siebie i zrewanżować się memu przeciwnikowi wytoczeniem mu bardziej uzasadnionych zarzutów o przekroczenie ścisłości logicznej i prawdy (przykłady 1, 2), kompetencji (przykład 3) i taktu literackiego (przykład 4), — lecz praca tego rodzaju bynajmniej mnie nie nęci. Dowodzenie, że jestem inteligentniejszy, bardziej wykształcony, ściślejszy i skrupulatniejszy, niż to przedstawia mój oskarżyciel, nie wydaje mi się tematem stosownym do publicznego rozwijania, a wykazywanie przez to samo, że autor posiada te i inne zalety w mniejszym stopniu niżby sam sądził, nie odpowiadałoby również moim obyczajom ani memu przekonaniu, skoro rozumiem przemijający charakter nastroju polemicznego repliki i nie chciałbym wyzyskiwać dla celów osobistych przypadkowej przewagi, jaką on mi daje. — Zapęd zaś oskarżycielski repliki jest tak silny, przepaja i zabarwia cały jej tekst w taki sposób, że oddzielenie sprawy rzeczowej od sprawy różnych moich »grzechów« staje się bardzo trudnem. Nieraz stwierdzenie, że w moim tekście oddałem jakąś myśl autora innemi wyrazami, niżby on ją wypowiedział, wystarcza mu nietylko do oskarżenia mnie o »zniekształcenie tekstu«, ale do ogłoszenia swego tryumfu bez dotknięcia wogóle istoty argumentu.

Są jednak i względy, przemawiające przeciwko milczeniu. Przedewszystkiem *scripta manent.* W oczach niejednego czytelnika, który nie miał czasu czy chęci zestawić zarzutów repliki z tekstami, a uległ

suggestji twierdzeń, wysuniętych w niej z siłą przekonania i wyrazu, — zaniechanie odpowiedzi przezemnie oznaczałoby kapitulację. A że zarzuty te dotyczą nietylko mej umysłowości, której walorów bronićbym nie umiał i nie chciał, lecz również, i w znacznej mierze, dziedziny etyki i taktu, trudno mi pominąć je milczeniem. Dalej do odpowiedzi skłania mię ta okoliczność, że recenzję moją wydrukowała Redakcja »Czasopisma Pr. i Ek.«; nie chciałbym ściągnąć na nią zarzutu, że lekkomyślnie dała głos na swych łamach zadufanemu nieukowi, którego ostra »odprawa« autorska zmusiła do milczenia. Wreszcie przykroby mi było wraz z całą Sodomą i Gomorą nieporozumień topić w milczeniu kilku »sprawiedliwych« między zarzutami, jakkolwiekby te zarzuty były błahe albo słuszność ich częściowa, — przyznanie się bowiem do błędów uważam za zasadę lojalnej polemiki obowiązującą, przyjemną i pożyteczną.

W myśl więc uwag, jakie wypowiedziałem, odpowiem na to, co odpowiedzi wymaga, pomijając całkowicie wszystkie momenty osobiste, o ile dadzą się one oddzielić od rzeczowych i nie zawierają zarzutów przeciwko uczciwości i przyzwoitości pisarskiej. Stając przy tem na gruncie wytworzonym przez replikę, zachowam granice zagadnień, zakreślone w polemice, i nie rozszerzę ich na inne zagadnienia, w niej nieporuszone, jakie mogłyby nasuwać jeszcze w liczbie niemałej »Podstawowe pojęcia«.

2. Dwie logiki. Replika wysunęła na plan pierwszy pewne zagadnienia logiczne, dotyczące definicji, jej sformułowania i jej stosunku do teorji. Tekst mojej krytyki daje temu mało uzasadnienia, gdyż o sprawy te potrąciłem zaledwie lekko mimochodem, nie formułując w tej dziedzinie żadnych zarzutów, z wyjątkiem dwóch wypadków zarzucenia nieścisłości definicjom własności i prawa. Autor jednak na tym właśnie gruncie buduje główne zarzuty swego aktu oskarżenia, a szczupły materjał do niego wzbogaca za pomocą środków wzorowanych widocznie na metodach »domyślności« i »przeinaczeń« »pana Landego«. Gdyby nie specjalny nacisk, kładziony przez autora na różnicę dwóch logik, oraz z drugiej strony gdyby nie jeden punkt, wymagający odemnie częściowego przyznania się do błędu, — cały ten dział nadawałby się wogóle do pominięcia. Skoro jednak z powyższych względów wypada o tych sprawach mówić, zastanówmy się nieco nad »dwiema logikami«.

Podstawowa teza autora, jak się zdaje, da się ująć w ten sposób: p. Znamierowski stosuje w swej pracy logikę nową, ja zaś, nie znając i nie rozumiejąc tej nowej logiki, wysuwam przeciwko niemu argumenty, oparte na logice starej, tradycyjnej. Obawiam się, że sprawa została tu zbytnio uproszczona ze szkodą dla ścisłości.

Jeżeli chodzi o mój stosunek do »nowej« logiki, to ja ze swej strony kompetencji w niej sobie nie przypisuję. Nie jest mi ona może tak obcą, abym różnych rzeczy »nie domyślał się« i »nie przypuszczał«, jak to bez wahania stwierdza autor, ale np. nie podjąłbym się orzekania o tem, czy i o ile kompetentnym i wiernym przedstawicielem tej nowej logiki jest sam p. Znamierowski. Sprawę tę świadomie pozostawiłem specjalistom, spodziewając się, że zechcą w niej zabrać głos[1]. Z drugiej strony, jeśli pozostawić na boku sprawę dowodów jej prawego

---

[1] Temu oczekiwaniu memu odpowiedział jak dotąd prof. Wilkosz w Przeglądzie Filozoficznym R. 28 zesz. 3—4. Autor ten szeregiem dowodów uzasadnia

urodzenia, sama logika p. Znamierowskiego jako taka budziła i budzi we mnie pewne wątpliwości co do konsekwencji wewnętrznej i płodności jej zastosowania w teorji prawa.

Co do drugiej logiki, tej, którą sam się posługuję, to identyfikowanie jej z logiką tradycyjną nie wydaje mi uzasadnione. Bliższe słuszności byłoby już wskazanie na »logikę Petrażyckiego«, której swoistość oraz związek z poglądami teoretycznemi stwierdza sam autor mimochodem (394). Istotnie, niektóre zasady tej logiki uważam za godne uwagi i stosuję w mej własnej pracy teoretycznej, lecz stosunek tej logiki do tradycyjnej i »nowej« (matematyczno-dedukcyjnej) niedałby się tak łatwo określić: znalazłyby się w niej pewne przeciwieństwa do obu, ale opozycyjne jej stanowisko względem logiki tradycyjnej, reprezentowanej przez Milla, Sigwarta, Wundta i t. p., jest wyraźne i jaskrawe. Szkoda więc istotnie, że autor, pisząc replikę, nie miał pod ręką, jak sam to stwierdza (400), dzieł Petrażyckiego; uchroniłoby go to od wielu pracowitych a nietrafnych domysłów i uchroniłoby nas obu od potrzeby »pouczania się« wzajemnego, — rzeczy dla czytelników mało pouczającej [1]. Ze względu właśnie — między innemi — na trudność krótkiego ujęcia stosunku »mojej logiki« do spraw definicji i budowy teorji wolałem tych spraw w krytyce bliżej nie poruszać. Wobec twierdzeń repliki dam eż obecnie tylko niezbędne wyjaśnienia.

tW wywodzie uogólniającym na str. 392 autor maluje przedziwny obraz stosunku »pana Landego« do nauki; karykatura wypadła bardzo uciesznie, lecz zawiera tyle dowolnej twórczości autora, że wszelkie podobieństwo z modelem zostało zatracone.

Nie jest prawdą, abym nie uznawał w nauce wątpliwości i poszukiwań, a cenił tylko sądy apodyktyczne i przekonania niewzruszone i niezmienne. Wniosek ten uzasadnia autor w taki sposób, że mnie samemu przypisuje pogląd, który wkładam w usta hypotetycznego »czytelnika« i wyraźnie usuwam jako błędny, a ignoruje, widocznie uważając za nieszczery, mój pogląd własny, w którym pochwalam jego szczere i sumienne odsłanianie szkicowego i tymczasowego charakteru swej próby i tę pochwałę uzasadniam (366—7). Przeciwko takiej metodzie polemicznej muszę się zastrzec zasadniczo: w ten sposób bowiem możnaby dowodzić np., że p. Znamierowski jest w głębi duszy gorącym zwolennikiem Petrażyckiego; nie zdaje mi się, by tędy wiodła droga do dyskusji »rzeczowej«. Następnie, cała kwestja ostrożnego czy apodyktycznego wygłaszania poglądów nie ma nic wspólnego z »mojemi przekonaniami nau-

---

tezę, że p. Znamierowski »nie zdaje się dosyć orjentować w celach i metodach logiki nowszej (po-Jevonsowskiej naprz.)«. W myśl wypowiedzianej zasady nie chcę oceniać słuszności tego orzeczenia. Żałuję tylko, że p. Wilkosz oparł swój sąd jedynie na uwagach polemicznych p. Znamierowskiego, wydrukowanych w tymże Przeglądzie, i że ani on, ani inny specjalista nie zajął się sprawdzeniem podstaw logicznych »Podstawowych pojęć teorji prawa«.

[1] Większa szkoda, że p. Znamierowski w swem obszernem studjum krytycznem o Petrażyckim (»Psychologistyczna teorja prawa«) również bardzo mało udzielił uwagi zagadnieniom logiki i metodologji, jak definicja, istota i zasady tworzenia klasy i t. p., a tam gdzie o nie potrącił mimochodem (np. na str. 19 w sprawie kompleksów i teorji dorównanej), nie zadał sobie trudu ich poprawnego ujęcia i rozminął się zupełnie z autorem. Poważna analiza i krytyka tych tez ze strony zawodowych logików byłaby nietylko bardzo cenną dla uczniów Petrażyckiego, jakkolwiek »bardzo nielicznych«, lecz może nawet niebezużyteczną dla samej logiki.

kowemi«, opartemi na niewzruszonych dogmatach Petrażyckiego, obie te kwestje nie mają nic wspólnego ani z moją krytyką ścisłości definicyj i z mojem żądaniem uzasadnienia definicyj przez »prawdy przekonywające«, ani ze sprawą »nowości« teorji p. Znamierowskiego, a wszystko to poprzednie nie ma nic wspólnego z przeciwstawieniem definicyj »klasycznych« i »aksjomatycznych«. Kombinacja, jaką z tych różnych kwestyj utworzył autor na str. 392 i następnych, jest tyleż dowolna i sztuczna, ile efektowna w wyrazie.

Usuńmy najpierw nieporozumienia, nie wymagające dłuższych rozważań. O teorji Petrażyckiego, którą wysoko cenię, sam nieraz wypowiadałem pogląd, że jest pierwszą próbą zastosowania nowego stanowiska, próbą, która wykazuje tego stanowiska płodność teoretyczną, lecz wymaga dalszych badań (np. »Prace z dziedz. t. pr.«, str. 65, 348), a w razie zastąpienia przez próbę lepszą, której możliwy kierunek nawet wskazuję (np. tamże str. 345, odsyłacz), może być usunięta. Tak się więc przedstawia przeciwstawienie »dogmatów« »ostrożnym próbom«. Stwierdzając »nowość« teorji p. Znamierowskiego, popierwsze nie analizuję jego intencyj, tylko wyniki, powtóre zaś nie krzywdzę go posądzeniem, że przekraczając obietnicę ograniczenia się do »analizy podstawowych pojęć«, buduje nową teorję prawa: przeciwnie, stwierdzam kilkakrotnie, że właściwej teorji prawa nie daje, — ale nieuniknioną »nowość« możliwej przyszłej teorji widzę w »nowości« — chyba niewątpliwej — definicyj pojęć podstawowych, że wspomnę tylko pojęcia obowiązku, »wolno«, »uprawnienia«, »roszczenia«, »układu prawnego«. O ile zaś autor daje pewne, choćby próbne tezy z zapowiedzianej teorji prawa, podnoszę w tem jego zasługę.

Dalej, inną rzeczą jest ostrożne podawanie wyników, we własnem przekonaniu autora jeszcze »niegotowych«, — tę ostrożność szanuję i chwalę, — inną zaś zapożyczone od fenomenologów zamiłowanie do »płynności« pojęć[1], które budzi we mnie istotnie pewne zastrzeżenia tam, gdzie widzę u samego autora pojęcia »gotowe«, skrystalizowane; jeszcze inną wreszcie — sprawa pojęć »możliwych« i »niemożliwych do zdefinjowania«. A te trzy sprawy miesza autor w swym wywodzie, jakgdyby stanowiły jedną. Pozatem zaś w jednej sprawie stawia zarzuty sprzeczne: na str. 396 wysuwa jako rzecz oczywistą, że pojęcie obowiązku może być zdefinjowane, gdyż stanowi pojęcie »bardziej złożone«, a nie mogą być zdefinjowane pojęcia »podstawowe«; z tego wynikałoby, że »niewykończenie« pojęcia normy, w stosunku do którego wyraziłem wątpliwość, należy uważać za świadome i planowe, skoro norma jest »pierwszem« pojęciem systemu; lecz oto na str. 404 (A) autor wyraża znów niezadowolenie z tego właśnie, że definicji normy zarzucam brak precyzji, i twierdzi, że zagadnienie istoty normy rozwiązał. Nie wiedząc tedy, który z tych zarzutów wyraża istotną myśl autora, dyskusji podjąć nie mogę.

Domysły, jakiemi autor operuje na temat poglądów »mojej logiki« na formę definicji (395), w braku możności sprawdzenia ich źródła, są niestety dalekie od trafności. Nie jest prawdą, aby moja logika mówiła, że »jedynym środkiem zapoznania z treścią pojęcia jest definicja klasyczna«, ani że »definicja powinna wyrażać się w jednem zdaniu«. Wprost

---

[1] Używam tego terminu za wzorem R. Ingardena, Dążenia fenomenologów (Przegl. Fil. 1919, zesz. 3—4).

przeciwnie, Petrażycki wyraźnie odrzuca »tradycyjną doktrynę logików«, która żąda, aby »definicja koniecznie była zdaniem«, i uznaje możliwośc zapoznawania innych z pojęciami za pomocą środków, między innemi tak odległych od tradycji, jak ruchy wskazujące przedmiot konkretny, lub porównania i obrazy, podsuwające materjał do introspekcji (por. Wwiedenje, wyd. 3, str. 86 i nast., odsyłacz). O ile więc chodzi o formułę słowną definicji, niema mowy, aby »moja szkoła« odrzucała zasadniczo definicję »aksjomatyczną« czy nawet fenomenologistyczne operowanie obrazami. Nawiasem mówiąc, cały niemal spór między logiką tradycyjną a nową ukazywałby się z tego stanowiska jako nieistotny, gdyż dotyczy on przeważnie sprawy zewnętrznej terminów i formy słownej wogóle, a nie dotyka rzeczy samej, t. j. logicznego aktu tworzenia pojęcia. Tu bowiem musi się kończyć liberalizm: pojęcie naukowe musi być utworzone na podstawie ścisłego wyodrębnienia cech danego przedmiotu, i środek obrany do zapoznania z pojęciem (definicja), jakąkolwiek byłaby jego forma, musi jednoznacznie te cechy wskazać. Z tego też stanowiska krytykowałem niektóre definicje autora, zawierające tautologje lub wyrazy nieokreślone i wysuwałem przy tem tradycyjne »reguły definicji«, o ile te uznają podobne środki za niewłaściwe. Autor jednak sam obecnie stwierdza, że tych reguł »nie uważa za rzecz szkodliwą«, zdaje się więc, że co do zasad nie różnimy się tak dalece; stwierdza jednak zarazem, że on pewne pojęcia podstawowe wprowadza bez definicyj, które w stosunku do nich są niemożliwe do podania; lecz to nas znów przenosi na grunt innej sprawy; jak wskazałem wyżej, możnaby dyskutować nad tem, czy pojęcie normy jest lub nie jest możliwe do (słownego) zdefinjowania, ale warunkiem do tego byłoby, aby autor wybrał jedno ze swych stanowisk w tej sprawie.

Tak się rzecz przedstawia z szeregiem zarzutów natury ogólnej, które autor wysnuł z moich luźnych wypowiedzi, rzuconych mimochodem w toku krytyki; inne punkty podobnej natury pomijam, nie przez niewdzięczność za otrzymane »pouczenie«, lecz dlatego, że nie mogę nadużywać cierpliwości czytelników rozwlekaniem scholastycznych sporów o interpretację naszych tekstów polemicznych, których znaczenie w historji myśli nie zapowiada się doniosłe. Wyjaśnić natomiast muszę jedną pozycję »mojej« logiki, którą w krytyce stosowałem konsekwentnie, a której sens autor również niewłaściwie przedstawił: mianowicie pogląd na stosunek definicji do teorji.

Petrażycki uzasadnia w swej metodologji i popiera wynikami swej teorji pogląd następujący: definicja nie ma za zadanie analizy treści terminów ustalonych już co do zakresu w języku potocznym lub fachowym, lecz jest aktem wyodrębnienia klasy, aktem zasadniczo dowolnym, którego poprawność logiczna zależy tylko od ścisłości, ale celowość teoretyczna uzasadniona być może tylko przez wypowiedzenie o tak utworzonej klasie jakichś zdań ogólnie i zarazem specyficznie (w sposób »dorównany«) dla niej prawdziwych, a więc stworzenie teorji tej klasy. Zawarta w tej tezie zasada »wolności definicji« nie jest obcą ani logice dawnej ani nowej, głosi ją np. — zresztą w sposób budzący pewne zastrzeżenia — Russell, mówiąc, że definicja sama przez się nie może być ani prawdziwą ani fałszywą, gdyż oznacza nie myśl, lecz chcenie[1]; zasada legitymacji określenia przez twierdzenia o klasie również nie

[1] Principia mathematica, T. I, wyd. 2, str. 13—14.

jest całkowicie obcą innym logikom, — lecz sprecyzowanie tych zasad i wyjaśnienie ich związku wzajemnego wydaje mi się zasługą Petrażyckiego. Otóż wychodząc z tych zasad, nie krytykuję żadnej definicji autora ze stanowiska niezgodności jej z zakresem odpowiednich terminów, ustalonym czy to w mowie potocznej czy tradycyjno-fachowej, jakby to czynił każdy dogmatyk np. w stosunku do jego definicji prawa, ani ze stanowiska moich własnych przyzwyczajeń lub »przekonań« naukowych,— nie uważam za możliwe obalać jakichkolwiek definicyj ze względu na ich »niezgodność z oczywistemi prawdami«, jak tego odemnie żąda autor (414), ani nie potrafiłbym komuś zarzucić »fałszywego rozumienia« jakichkolwiek przedmiotów, co autor zarzuca mnie (396); definicje jako takie krytykowałem i krytykuję tylko ze stanowiska ich ścisłości logicznej, natomiast wypowiedzenie się co do ich wartości naukowej odkładałem zawsze do czasu uzasadnienia przez autora ich »wydajności« poznawczej przez wypowiedzenie o danem pojęciu jakichś zdań teoretycznych, t. j. właściwej teorji, czy też dokonanie za ich pomocą jakiejś dobrej konstrukcji normatywnej, czego jednak w »Podstawowych pojęciach« jeszcze niema. To tylko znaczenie ma moje żądanie »prawd przekonywających« jako uzasadnienia »nowych« definicyj, żądanie, tak opacznie przez niego interpretowane w replice (392). »Prawdy« mogą być przybliżone i szkicowe — jak szkicową jest w moich oczach cała teorja prawa Petrażyckiego, — lecz mogą dostarczać poważnego dowodu na rzecz trafności odpowiedniej definicji; natomiast podejmowania »analizy pojęć podstawowych«, połączonego z świadomem »rezygnowaniem z budowania teorji«, — nie rozumiem istotnie. Gdy Petrażycki definjuje prawo na podstawie cechy psychologicznej przeżycia, rozszerzając znacznie tradycyjny zakres tego pojęcia (obejmuje niem przecie przepisy gier, prawo dziecinne, bandyckie i t. p.), — to jestem skłonny uznać jego definicję, wprawdzie nie za »prawdziwą«, lecz za trafną, szczęśliwą, gdyż o tak zakreślonem swojem prawie wypowiada cały szereg twierdzeń, związanych z jego charakterystycznemi cechami, — daje płodną teorję prawa. Gdy ktoś inny wysunie nową definicję prawa, znów inną co do zakresu przedmiotów nią objętych, i wykaże choćby najbardziej szkicowo, że z tą jego definicją da się związać płodniejszy system twierdzeń, dających poznanie prawa, — to przyjmę jego definicję jako lepszą, i za wpojenie mi tej zasady, wyróżniającej się ostrożnością i tolerancyjnym, zawsze gotowym do ustępstw stosunkiem do pracy cudzej, będę nadal wdzięczny Petrażyckiemu. Lecz gdy p. Znamierowski wysuwa swoją definicję prawa, obejmującą zakresem tego pojęcia zbiór przedmiotów bardzo niezwykły (niektóre konsekwencje próbowałem wskazać w recenzji str. 387—8 i później w »Normie i zjawisku« str. 312, odsyłacz), — to wprawdzie w myśl tej samej zasady nie odrzucam tej definicji *a limine* (sprawę ścisłości logicznej w tej chwili pomijam), lecz poczuwam się do prawa wyrażenia żądania, aby autor ją uzasadnił przez wskazanie, że o tem swojem »prawie«, oznaczającem co innego niż ktokolwiek dotąd tym terminem oznaczał, wypowiedział jakieś zdania, dowodzące, że takie ujęcie prawa jest naukowo bardziej płodne, bardziej zdolne do wyjaśnienia istoty prawa, niż dotychczasowe. I gdy autor w odpowiedzi stwierdza, że z budowy teorji rezygnuje świadomie, to rezygnacji tej nie mogę przyjąć bez pewnego zdziwienia: czyżby dodanie nowej pozycji do olbrzymiego już katalogu formułek, mających określać prawo, mogło być celem

pracy uczonego, bez wszelkiej myśli o roli tej definicji jako narzędzia dalszej pracy?

Zresztą to hasło rezygnacji rzucone zostało, jak się zdaje, tylko w pośpiechu polemicznym: wszak autor w przedmowie do książki sam wskazuje jako cel swych analiz pojęciowych uczynienie z nich »wartościowej podstawy dla dalszej pracy teoretycznej«, wyznacza sobie obok definicyj zadanie »ustalenia prawd najprostszych« i zapowiada »ostrożne budowanie... wywodów dedukcyjnych«. I, dotrzymując słowa, próby tych prawd daje istotnie w książce, co podniosłem z uznaniem w krytyce; pod tym względem próba p. Znamierowskiego wyróżnia się korzystnie od prac nowszych, typu najbardziej jej pokrewnego, różnych Kaufmanów, Schreierów i innych niemieckich głosicieli »czystej«, t. j. dedukcyjnej teorji prawa. Rzecz inna, że właśnie to wyjście poza samą analizę pojęć i próba budowania właściwej teorji zdaje mi się dostarczać argumentu przeciwko możliwości stworzenia aprioryczno-dedukcyjnej teorji p r a w a. Jak długo pozostajemy w dziedzinie analizy pojęć, nie widzę istotnej różnicy między dawnemi teorjami »empirycznemi«, i nawet poczciwemi »encyklopedjami«, a nowemi teorjami »dedukcyjnemi«, poza nową szatą zewnętrzną ozdobioną symboliką, umiłowanemi »zdaniami hypotetycznemi« i t. p.: do szeregów dawnych przybywają tylko nowe formułki definicyjne, operujące zresztą przeważnie znanemi i dostatecznie skompromitowanemi cechami, jak sankcja i inne pozostałości ze spadku po przebrzmiałym niemieckim »realizmie«. Jeśli zas chodzi o teorję jako system zdań, to próba p. Znamierowskiego zdaje mi się dowodzić jasno, że gdy na gruncie pojęć prawnych chce się ustalić jakieś twierdzenia aprioryczne, to twierdzenia te siłą rzeczy otrzymują charakter nie teoretyczny, lecz normatywny, — i wchodzimy z niemi na drogę dawnych systemów »prawa naturalnego«. W krytyce mej starałem się to wykazać na »aksjomatach«, »pewnikach« czy innych tezach dedukcyjnych »Podstawowych pojęć«. Autor temu zaprzecza w replice, lecz dowodu przeciwnego, mimo kilkakrotnej obietnicy, nie daje: jedyny argument, podany na str. 410 (A), poza zwykłemi dowodami pośpiechu polemicznego, wskazuje tylko na możliwość zastosowania w dziedzinie normatywnej zasady sprzeczności,— a to sprawy nie rozwiązuje, gdyż sama zasada sprzeczności żadnych »prawd« normatywnych o określonej materjalnej treści dostarczyć nam nie może.

Tak więc, niestety, replika zawiera w sprawach definicji i stosunku jej do teorji wiele nieporozumień między autorem i mną lub między autorem i nim samym, a dyskusji na temat właściwy naprzód nie posuwa. Wyższość »nowej logiki« nad moją oraz kompetencję w niej p. Znamierowskiego gotów byłbym chętnie uznać, lecz wywody autora zdolne są raczej skłonić mię do ostrożności niż do skwapliwości w tym kierunku. Długie te — nie z mojej winy — rozważania uzupełnić jeszcze muszę sprawą »definicji« własności, która wymaga wzmianki osobnej. Za krytykę tej definicji dostało mi się specjalnie ostre »wcieranie«. Rozważmy tedy oskarżenie i, przedewszystkiem, usuńmy to, co nieistotne.

A więc najpierw zarzuty charakteru formalnego (przekroczenia etyki i taktu), sprowadzające się do trzech punktów. 1) Zapowiadając streszczenie ustępu słowami tekstu, użyłem tu jakoby wyrazów niewłaściwych, autor bowiem nie nazwał i nie mógł nazwać prawa własności »z e s p o ł e m o b o w i ą z y w a n i a całego szeregu norm«. Istotnie, widzę, że streszczenia dokonałem nieściśle: należało powiedzieć »zespołem, na

który się składa obowiązywanie całego szeregu norm«. Moja wina, ale czy znów tak wielka, aby uzasadnić patos oskarżenia i budowanie uogólnień o »metodzie pana Landego«? A z drugiej strony, czy nie jest znów nieostrożne twierdzenie autora, że »te słowa nie znajdują się w tekście mej pracy, co więcej... znajdować się w nim nie mogłyby w żadnym przypadku...« (pewnik aprioryczny? — przyp. recenzenta), — skoro faktem jest, że znajdują się tam wszystkie (114), a tylko połączenie ich było niezręczne, w dążeniu do możliwego skrócenia cytaty, i na tem cały błąd polegał? — 2) Drugą zbrodnią miało być podkreślenie wyrazów w cytacie bez omówienia, że podkreślenie jest moje. Wykazałem już wyżej (§ 1, przykład 2), że zarzut ten jest sprzeczny z moim tekstem. — 3) Zbrodnią trzecią ma być używanie za wzorem »bieżącej publicystyki« — »znaków i wyrazów, które mają pewne znaczenie uczuciowe, lecz nie są sformułowaniem żadnego określonego twierdzenia«: chodzi o stawianie przy pewnych wyrazach cytaty znaków zapytania w nawiasach oraz wyrazu »*sic*« z wykrzyknikiem. Otóż w mojej intencji (i pod tym względem moja symbolika nie różni się zapewne od przyjętej powszechnie) znaki zapytania były skróconem wyrażeniem pytania, co znaczy odpowiedni wyraz, inaczej — przyznaniem się, że go w danym kontekście nie rozumiem; i w tej roli okazały się najzupełniej celowe i zrozumiałe, gdyż autor w obu wypadkach udzielił mi wyjaśnienia. Wyraz zaś »*sic!*« miał na celu zwrócenie uwagi czytelnika na ustęp, do którego w dalszym ciągu dodałem komentarz, zawierający całkiem »określone twierdzenie«. Znów więc stan faktyczny nie odpowiada aktowi oskarżenia. W tym ostatnim wypadku jednak, chcąc być wobec sądu szczerym bez zastrzeżeń, muszę wyznać z pokorą, że obok »określonego twierdzenia«, które mię zasłania, ku wielkiemu memu zadowoleniu, od zarzutu autora, — nie mogłem i nie mogę się obronić wobec ustępu »Podstawowych pojęć«, opatrzonego przezemnie *sic*'em, poddaniu się pewnemu stanowi emocjonalnemu, o zabarwieniu zresztą uczuciowo dodatniem: cóż począć — konstrukcja »prawa do samowoli« (że użyję terminologji ustaw, na których mię wychowano) jako składnika prawa własności, czyni na starym dogmatyku wrażenie podobne, jakieby czyniło pojęcie »prawa zdradzonego małżonka do zabicia żony«; reakcja to niewątpliwie nieracjonalna *sub specie aeternitatis*, a nawet w świetle historji prawa, lecz może zasługująca na pobłażanie.

Po tych wyjaśnieniach przedwstępnych przejdźmy do istoty rzeczy. Charakterystykę własności krytykowałem, twierdząc, że podobna »definicja«, wobec nieścisłości i innych wad w niej zawartych, nie może spełnić swego zadania, którem było wykazanie doniosłych skutków, jakie autor osiąga, zastępując »mętne« pojęcie prawa podmiotowego przez swoją trójcę: »wolno-uprawnienie-roszczenie«. Autor wskazuje mi, że nie była to definicja, lecz tylko »analiza... mająca na celu przykładowe wyjaśnienie«... Słusznie, użyć wyrazu »definicja« nie miałem prawa, skoro go autor tu nie użył, choć jako okoliczność łagodzącą tę winę przytoczyć muszę trudność dla prawnika, nie mającego biegłości w »nowej« logice, przeprowadzenia granicy między takiemi »analizami« a »definicjami« o charakterze szkicowym i przygotowawczym. Lecz niech się stanie podług woli autora, jedynie tu decydującej: umarła definicja, niech żyje analiza przykładowa! Otóż, niestety, niewiele się przez to w sytuacji zmienia. W stosunku do »przykładowego wskazania« odpada zarzut użycia wyrazów nieokreślonych (cały szereg, pewne); jeśli chodzi wyłącznie

o wykazanie charakteru z ł o ż o n e g o danego »prawa«, to można też uchylić zarzut nieuwzględnienia specyficznych cech prawa w ł a s n o ś c i w stosunku do innych praw; pozostanie jednak zarzut podstawowy, że wprowadzenie trójcy »wolno-roszczenie-uprawnienie« zamiast tradycyjnego prawa podmiotowego nie wykazało w analizie własności żadnego postępu: jeżeli wraz z autorem ująć instytut własności w szerokich granicach, obejmujących zarówno sam stosunek materjalno-prawny, jak stosunki cywilno-procesowe, wynikające z n a r u s z e n i a tego prawa (»dochodzenie praw«), oraz postanowienia prawa k a r n e g o, łagodzące kwalifikację przestępstwa ze względu na ochronę własności (»samopomoc i obrona konieczna«), — to w takich warunkach każdy dogmatyk i teoretyk prawa uzna tu istnienie całości z szeregu różnych stosunków złożonej i — śmiem sądzić — dokona przy pomocy pojęć prawa podmiotowego i obowiązku analizy nie bardziej »mętnej«, niż autor przy pomocy swej trójcy, której niedomagania logiczne dość jasno tu występują. Same argumenty, któremi autor broni tak szerokiego zakresu pojęcia własności, mogą tu być pominięte, co nie znaczy, by nie nastręczały również poważnych wątpliwości.

Tak się sprawa przedstawia, gdy stanąć na gruncie analizy, mającej na celu wyłącznie tylko wykazanie charakteru złożonego prawa własności. Trudno jednak nie zaznaczyć, że gdy autor swoją analizę własności przeciwstawia tradycyjnemu »operowaniu tem p o j ę c i e m jako pojęciem prostem« (podkr. moje), gdy ją nam ukazuje jako wzór pożądanej »systematycznie i szczegółowo przeprowadzonej analizy różnych »praw«, o których mętnemi frazesami mówi i nauka i życie potoczne«, gdy wogóle wysuwa ją na dowód, że wprowadzenie na miejsce tradycyjnego »prawa podmiotowego« jego trójcy pojęciowej »wolno-roszczenie-uprawnienie« ma stanowić postęp dla konstrukcji prawnej, — to sam suggestjonuje czytelnika w kierunku przyjęcia analizy za definicję, a w każdym razie za coś mającego pretensję do ścisłości w przeciwstawieniu do »mętności« nauki tradycyjnej. Replika wysuwa jako rzecz oczywistą, że w planie książki miejsce to nie nadawało się do »wyczerpującego traktowania zagadnienia praw rzeczowych, a specjalnie własności«; zgódźmy się, że chodziło o przykład, — to sprawa jasna, — lecz dlaczego przykład zastosowania pojęć prostych, dopiero co »wyczerpująco« ustalonych, do konstrukcji pojęcia złożonego — ma posiadać nietykalny przywilej nieścisłości, — tego zrozumieć nie mogę.

I analiza własności jak była, tak pozostaje dla mnie jednym z powodów do zarzutu, jaki w recenzji postawiłem: dobre i szanowne jest nieukrywanie trudności i szczere ujawnianie swych wątpliwości lub niewykończenia systemu; lecz gdy autor swoje tak dalece szkicowe i świadomie nieścisłe konstrukcje przeciwstawia całej nauce tradycyjnej *en bloc*, zarzucając jej w wyrazach bezwzględnych i ostrych nieścisłość i mętność, a nie probując nawet wskazać, u kogo i na czem ona polega, — to na czytelnika nawet dalekiego od solidarności z tradycją dogmatyczno-prawniczą, jakim jestem, czyni to wrażenie metody doprawdy nieco zbyt wygodnej, i dziwi nieco nierównomiernością w szafowaniu ostrożnością i powściągliwością. Oto np. kwestja własności nasuwa mi pewne porównanie: w teorji prawa Petrażyckiego (T. I § 11) spotykamy nową próbę konstrukcji własności, również opartą na uznaniu tego »prawa« za złożone i również przeciwstawianą tradycji (ta analogja oczywiście nie nasuwa mi myśli o jakiemś zapożyczeniu, nawet nieświado-

mem, gdyż koncepcja p. Znamierowskiego wykazuje wszelkie cechy zupełnej oryginalności, — lecz Petrażycki daje sumienną krytykę różnych typów odrzucanych przez siebie koncepcyj i w swojej konstrukcji stara się o osiągnięcie ścisłości, aby jej wyższość okazać w sposób przekonywający. P. Znamierowski należy do »innej szkoły«: całą tradycię odrzuca pogardliwie bez krytyki, ale wysuwając konstrukcję własną, wyrzeka się odpowiedzialności za jej ścisłość; widocznie na tem polega różnica metod »gorgjaszowej« i »niegorgjaszowej«.

3. Nauki teoretyczne i praktyczne, normatywne i teleologiczne. Jako najważniejszy błąd metodologiczny, leżący u podstawy konstrukcyj p. Znamierowskiego i skazujący jego próby na niepowodzenie, wytknąłem mu, zarówno w dyskusji zjazdowej jak w recenzji, błąd pomieszania zdań teoretycznych i praktycznych, a wśród praktycznych — zdań normatywnych i teleologicznych. Starałem się wykazać, jak i dlaczego jego teorja prawa, która w zasadzie chce być »ontologją społeczną« i częścią socjologji, a więc nauką mówiącą o tem co jest, — staje się w wykonaniu najczęściej, choć znów niekonsekwentnie i niestale, nauką uzasadniającą jakieś przepisy postępowania, mówiącą o tem co być powinno, i dalej jak w tych przepisach postępowania identyfikowane są stale normy we właściwem znaczeniu, jakiemi są przepisy moralne i prawne, z przepisami teleologicznemi, wskazującemi środki do osiągnięcia celów.

Replika pozwalałaby sądzić, że to pomieszanie jest u p. Znamierowskiego świadome i (subjektywnie dla niego) uzasadnione naukowo. Autor bowiem nie broni się od poszczególnych zarzutów pomieszania, lecz oponuje zasadniczo przeciwko samej możliwości logicznej rozróżnienia tych typów zdań wogóle, lub conajmniej przeciwko możliwości »takiego skrupulatnego« ich rozdzielenia. Rzecz wydawałaby się nieco dziwną: oto zwolennik »nowej logiki«, która z taką skrupulatnością odróżnia — słusznie czy niesłusznie — np. stosunki logiczne przynależności i podporządkowania, czyli dwie interpretacje terminu »jest«, — nie uznaje czy nie chce uznać potrzeby skrupulatności w odróżnieniu terminu »jest« od terminu »powinien«, oraz różnych znaczeń terminu »powinien«. Okazuje się jednak, po zestawieniu repliki z wypowiedziami wcześniejszemi i późniejszemi autora, że ten pogląd radykalno-negatywny był tylko wynikiem przypadkowym potrzeb czy nastroju polemiki. Argument był dobry dla »pana Landego« — dla siebie zaś i dla innych autor myśli inaczej. Wszelki tedy niepokój z tego powodu byłby nieuzasadniony.

Skoro jednak te strzały demonstracyjne padły, sprawdźmy ich celność. Jakże p. Znamierowski dowodzi, przedewszystkiem, braku różnicy między zdaniami teoretycznemi a praktycznemi? Mamy tu trzy tezy dość różne od siebie, z których dwie pierwsze, połączone przez autora w jednym wywodzie na str. 401—2, muszą jednak być ze względów logicznych wyodrębnione.

Teza pierwsza, radykalniejsza i jedynie odpowiadająca radykalnemu w oczach samego autora wnioskowi końcowemu, że »niema tu różnic zasadniczych, że jest tu tylko jedna płaszczyzna teoretyczna« (403—4), — mówi co następuje: zdanie »*P* powinien *c*« niczem się nie różni od zdania »*P* wykonywa to a to«; w zdaniach z »powinien«... »zamierzone jest stwierdzenie... jakiegoś istniejącego stanu rzeczy, tak samo jak w zdaniach »śnieg jest biały«... Ta rzecz jest całkiem oczy-

wista i negacja tego ze strony pp. Petrażyckiego i Landego jest zupełną dowolnością, którąby mogli uzasadniać conajwyżej wzajemnem odwoływaniem się do swego autorytetu«.

Teza druga, wyrażająca myśl całkiem inną, ostrożniejszą, choć połączona z poprzednią w jednym wywodzie, — mówi, że odrębność zdań normatywnych mogłaby być uznaną chyba jako odrębność klasy w ramach obszerniejszego rodzaju nauk teoretycznych wogóle, albowiem zdania normatywne podobnie jak inne, mogą być prawdziwe i fałszywe.

Teza trzecia wreszcie, również odrębna od obu poprzednich i od wniosku końcowego, stwierdza (402—3) już tylko pewną »godną uwagi równoważność« (podkreślenie autora i moje) zdań z powinien »z pewnym typem« (podkr. moje) zdań bez tego słowa; »...mianowicie: gdy prawdziwe jest zdanie »w warunkach *w* *X* powinien *c*«, to zawsze równocześnie prawdziwe jest zdanie »czyn *c* osoby *X* w warunkach *w* jest najlepszy z jej czynów możliwych w danych warunkach« i odwrotnie«.

Rozważmy po kolei te twierdzenia; wprawdzie, jak się okaże, nie mogą one być uważane — w jedynym punkcie, gdzie dotykają istoty dyskusji — za wyraz istotnych poglądów autora, lecz zasługują na uwzględnienie jako rzadka w literaturze naukowej próba zakwestjonowania różnicy zdań teoretycznych i praktycznych.

Teza III nie ma nic wspólnego z moim zarzutem. Nie zarzucałem bowiem nigdy autorowi pomieszania zdań typu »*P* postępuje dobrze, gdy czyni *c*« ze zdaniami typu »*P* powinien *c*«. Zdanie »*P* postępuje dobrze, gdy czyni *c*« nie jest dla mnie zdaniem teoretycznem, choć ma jego formę gramatyczną; jest zdaniem wartościującem, zawierającem w sobie (w wyrazie »dobrze«) ocenę, więc teoretycznym się przeciwstawia, a z praktycznemi łączy je istotnie »pewna godna uwagi równoważność«. Zarzucałem zaś autorowi nierozróżnianie zdań zupełnie innych: zdań »*P* powinien *c*« i »*P* czyni *c*« albo »*P* będzie czynił *c*«, — które występuje jasno np. w ustępie o »stanowieniu przez wytwory«. »Teorja prawa« powinna się zdecydować, mojem zdaniem, na jeden z dwóch tematów: albo »wskutek zbudowania szosy przez inżyniera przechodnie chodzą po linji szosy«, albo »wobec zbudowania... ludzie powinni chodzić...«.

Teza II chwyta już trafniej istotę mego zarzutu, biorąc pod uwagę zdanie istotnie teoretyczne (*P* wykonywa *c*) i zdanie praktyczne (*P* powinien *c*), ale z istotą sporu znowuż się mija: oczywista że i ja »przeciwstawienie« tych zdań traktuję jako »ustalenie podziału« i — pozostawiając na stronie różnice terminologiczne oraz szczegóły budowy klasyfikacji — uważam je za odmiany, mieszczące się w klasie ogólniejszej, powiedzmy zdań naukowych wogóle. Wprawdzie, jak to już zaznaczałem w krytyce, uważałbym za dogodniejsze nie używać dla oznaczania kryterjum wartości poznawczej zdań praktycznych terminów »prawdziwy-fałszywy«, lecz uznaję możliwość pewnych kryterjów dla nich wspólnych. Niemniej, gdyby nawet przyjąć wspólne podpadanie obu typów zdań ocenie ze stanowiska prawdy i fałszu, to z tego nie wynikałby jeszcze brak różnicy między niemi, różnicy chociażby »gatunkowej«: wszak i zdania z symbolami $\supset$ i ε uznawane są za różne od siebie, choć i jedne i drugie mogą być prawdziwe i fałszywe. Nawiasem zaznaczę, że nazywając swoją ogólną klasę zdań »teoretycznych«, obejmującą moje

teoretyczne i praktyczne, terminem zdań »logicznych«, używa autor tego wyrazu »logiczny« w znaczeniu nowem i niezgodnem ze swą terminologją z »Podstawowych pojęć«, gdzie interpretacja »logiczna« — w znaczeniu mojej teoretycznej — przeciwstawiana jest interpretacji aksjologicznej i tetycznej.

Jako broń przeciwko moim zarzutom pozostaje więc tylko teza pierwsza, najradykalniejsza, że zdania teoretyczne i praktyczne są identyczne, że oba typy »stwierdzają jakiś istniejący stan rzeczy«. Dowodem tego ma być 1) oczywistość, 2) *reductio ad absurdum* zaprzeczenia tej tezy przez odniesienie go do autorytetu pp. Petrażyckiego i Landego. I otóż sytuacja układa się tak szczęśliwie (czy nieszczęśliwie), że mogę siebie i swego mistrza z tego sporu całkowicie usunąć, na inne autorytety się nie powoływać wcale, lecz oprzeć się na autorytecie samego p. Znamirowskiego oraz na jego własnej »oczywistości«, biegunowo odmiennej i bardziej dla mnie przekonywającej. Albowiem sam p. Znamierowski w »Podstawowych pojęciach« uznaje różnicę między zdaniami, które ja nazywam teoretycznemi, a temi, które ja nazywam praktycznemi, i na tej różnicy opiera definicję normy (str. 8 i nast.). I znowuż, trafem szczęśliwym czy nieszczęśliwym, to samo zdanie »śnieg jest biały«, które w replice z taką oczywistością ma »stwierdzać jakiś istniejący stan rzeczy tak samo...« jak zdanie »przyjaciel powinien przyjść dziś o piątej«, — tu w książce przytoczone jest jako przykład zdań, które »ustalają pewne fakty w sferze otaczającej nas rzeczywistości« w przeciwstawieniu do zdań, będących normami, które »nie stwierdzają zgoła żadnego istniejącego faktu, lecz tylko... zaistnienie pewnego faktu projektują... dają wskazanie, co czynić...« (str. 9, wszystkie podkreślenia moje). Jakkolwiek więc autor wykazuje przy tem pewną tendencję osłabiającą to przeciwstawienie — zwłaszcza w stosunku do normy »tetycznej« — przez wprowadzenie koncepcji normy jako »reguły włączenia do układu« i podkreślenie pokrewieństwa między interpretacją tetyczną i logiczną wyrazu »powinien« (§ 7, zwłaszcza str. 14), jednak faktem pozostaje, że jego własna definicja normy oparta jest na tem samem przeciwstawieniu, którego istnienia w replice tak kategorycznie zaprzecza. Jakiż to »cud ontologiczny czy logiczny« — że zapożyczę barwnego zwrotu autora — sprawił taką radykalną, a przy tem niepokojącą zmianę poglądów od »Podstawowych pojęć«, noszących datę 1924 r., do repliki na moją tejże książki krytykę, datowanej z r. 1925? Czyżby jej dokonała sama obawa zgodzenia się w czemkolwiek z heretycką »wiarą« Petrażyckiego i Landego?

Nie sądzę aby tak było. Przyczyną bardziej prawdopodobną od cudu wydaje mi się tenże przelotny stan psychiczny, na który już wskazałem jako na główny czynnik charakteru repliki. Albowiem rzeczywista ewolucja w poglądach autora idzie w kierunku wręcz przeciwnym. W jego pięknem studjum »Realizm w teorji prawa«, datowanem z r. 1925, a pisanem niewątpliwie po replice, znajdujemy nietylko całkowite uznanie omawianej różnicy, ale zakwalifikowanie jej jako »zupełnie wyraźnej« i nawet »oczywistej« (14); znajdujemy nawet zastosowanie do niej używanego przezemnie przeciwstawienia terminologicznego »teoretyczne-praktyczne« (14, 23), co stanowi nowość nieznaną nam z »Podst. pojęć«. Niedość na tem: przeciwstawienie stanowisk teoretycznego i praktycznego zostaje tu obrane za punkt wyjścia do konsekwentnej i trafnej krytyki koncepcyj Duguit'a, w których autor wykrywa i piętnuje pomieszanie

tych stanowisk. W ten sposób jeden z głównych punktów naszego sporu zostaje usunięty: autor »Realizmu« nietylko nie zaprzecza w zasadzie potrzeby odróżnienia zdań teoretycznych i praktycznych, ale solidaryzuje się ze mną w poszczególnych wnioskach z tej zasady wysnutych: skoro żąda od filozofji prawa Duguit'a, aby ta odróżniała wyrazy »musi« i »powinien«, »prawo przyczynowe« i »dyrektywę« (12—13), »zdanie opisowe i zdanie z powinien«, »prawa naukowe i normy« (14, 21), — to moje wywody krytyczne, skierowane do jego teorji prawa, a żądające obrania za jej temat bądź »stwierdzania jakichś realnych procesów«, bądź też »oceny działań ze stanowiska norm« (375 i nast.), nie wydadzą mu się już »nieprzekonywające« (400); skoro dziś rozumie, jak element wartości jest ściśle związany z terminami »powinność« i »obowiązywanie«, oraz z wszelkiem rozważaniem dotyczącem normy postępowania (18, 22), to nie podpisałby już zapewne twierdzenia, że zdanie, »norma zaczyna obowiązywać i obowiązuje« jest zdaniem teoretycznem (409), albo że socjologja może coś mówić o obowiązywaniu (411). — Nie przypuszczam, wobec niezmiennie negatywnego stosunku autora do twierdzeń moich i »mojej szkoły«, aby taka ewolucja poglądów autora w stosunku do »Podstawowych pojęć« doznała pomocy od moich skromnych uwag z recenzji, aczkolwiek takie przypuszczenie osłabiłoby niemiłe a wspólne nam przekonanie o zupełnej bezużyteczności naszej dotychczasowej polemiki, — sądzę raczej, że mamy tu do czynienia z samodzielną ewolucją myśli autora, opartą na »oczywistości« omawianego rozróżnienia. Bądź co bądź, dalszą polemikę z tezami repliki na temat odróżnienia i pomieszania zdań teoretycznych i praktycznych uznaję z przyjemnością za zbyteczną[1].

Z tego też powodu nie uważam za potrzebne obalania obu argumentów, które autor hypotetycznie wkłada w usta »psychologistów« ku obronie odróżnienia zdań teoretycznych i praktycznych (str. 402, ustępy »O ile rozumiem«... i »Tutaj znów«...). Wystarczy zaznaczyć, że pierwszy domysł jest nieścisły, a drugi wręcz fałszywy. Co do drugiego, wyjaśniałem już parokrotnie p. Znamierowskiemu (patrz recenzję str. 372, Norma a zjawisko str. 342 i w. i.), że »psychologizm« Petrażyckiego i mój daleki jest od uznawania pewnej normy za objektywnie obowiązującą dlatego, że jakiś osobnik przeżywa ją w swojem przekonaniu, gdyż nasz psychologizm odróżnia ściśle zdanie teoretyczne »*P* przeżywa normę *n*« od zdania praktycznego »Norma *n* obowiązuje« albo »*P* powinien zachować się podług normy *n*«. Autor mimo to stale nam to stanowisko imputował i czynił nam z jego powodu zarzuty, a z drugiej strony, jak to wykazałem w recenzji, sam konsekwentnie opierał obowiązywanie norm aksjologicznych i tetycznych na faktach przeżywania pewnych stanów duchowych przez ich adresatów. Obecnie, gdy p. Zna-

[1] Pozostając pod dodatniem wrażeniem stanowiska, zajętego przez autora w »Realizmie«, ze zdziwieniem przeczytałem znów polemikę jego z prof. Wilkoszem w Przegl. Fil. (R. 28, zesz. 3—4), gdzie pod tą samą datą 1925 r. znów kategorycznie odmawia uzasadnienia odróżnieniu zdań i nauk teoretycznych i praktycznych (w terminologji p. Wilkosza werytatywnych i normatywnych). Czy tekst ten pochodzi z momentu bliskiego okresowi pisania odpowiedzi na moją recenzję, czy stanowi nowy zwrot wstecz, czy też jest zastosowaniem aksjomatu, że prawdą jest zawsze negacja tezy przeciwnika, — te zagadnienia pozostawiam przyszłym biografom i komentatorom naszego autora; sam zaś z przyjemnością solidaryzuję się z jego stanowiskiem w »Realizmie«.

mierowski głębiej wejrzał w te sprawy i trafnie zarzuca Duguit'owi jako błąd »opieranie powinności na fakcie« oraz pomieszanie obowiązywania w znaczeniu subjektywnem i objektywnem (Realizm 19—20), — mam nadzieję, że i to nieporozumienie zostało między nami usunięte, a z niem razem zaprzeczanie oczywistej analogji między konstrukcją obowiązywania w »Podstawowych pojęciach« a teorją uznania, zaprzeczanie w replice tyleż kategoryczne co gołosłowne.

Może nie będzie jednak rzeczą bezużyteczną dodanie tu kilku słów w sprawie szczegółowej, która odbija w sposób charakterystyczny brak spoistości myślowej i pośpiech polemiczny repliki. Na str. 400—401 autor zaprzecza moim tezom, że ustalanie zgodności czynów z normą zawiera w sobie ocenę oraz że dogmatyka prawa — jak również i wysunięta tu przez autora etyka — jest nauką normatywną, i w tych moich tezach widzi różne »pomieszania«, których źródła stara się nawet ujawnić. Otóż, przypominając, że w mojem rozumieniu nauką normatywną jest każda nauka, która wypowiada zdania normatywne, czy to absolutne, czy pozytywne (sprawę wartości poznawczej takich »nauk« oraz kwestję, jaki dział »etyki« mógłby tu w grę wchodzić, zostawiam tu na stronie), widzę, że niezależnie od nowych poglądów autora w »Realizmie«, obie te moje tezy znajdują potwierdzenie w tekście repliki. Co do etyki autor stwierdza na str. 405, że w jej skład wchodzą »zdania z *powinien* w odniesieniu do czynu, a więc normy«; to rozstrzyga całkowicie obie wątpliwości wobec ustalenia już w »Podstawowych pojęciach« »równoważności« między normą aksjologiczną a oceną danego czynu jako »najlepszego«. Co zaś do dogmatyki prawa, która ma za treść normy pozytywne (»tetyczne«), to wprawdzie charakter jej normatywny — w znaczeniu powyżej ustalonem — nie powinienby budzić wątpliwości już na gruncie »Podstawowych pojęć«, lecz związek jej z wartościowaniem istotnie nie odpowiada dawnym poglądom autora, który w książce uznaje element wartościowania tylko w normach aksjologicznych, a usuwa go z norm tetycznych (»wskazywanie czynów wartościowych nie jest... związane z istotą normy tetycznej«..., str. 21), widząc w nich tylko ustosunkowanie czynu do »aktów ustanowienia« lub »aktów woli« (18—19). Tę to właśnie podstawę rozróżnienia norm aksjologicznych i tetycznych zakwestjonowałem w recenzji (369, 374), uważając, że wartościowanie tkwi w każdem normowaniu jako takiem, a cechą odróżniającą normy pozytywne jest tylko dodatkowe powołanie się na fakt normatywny (pozytywną podstawę obowiązywania). Omawiany ustęp repliki, zaprzeczający mojej tezie (400—1), stoi jeszcze na stanowisku »Podstawowych pojęć«, wysuwając w dalszym ciągu analogję — błędną mojem zdaniem — między normą tetyczną a miarą, której stosowanie nie ma związku z wartościowaniem. Lecz oto o jedną kartę dalej, na str. 402—3, autor stwierdza, jak sam to słusznie zaznacza, »całkiem rozumnie«, rzecz zupełnie nową, która świadczy istotnie o szczęśliwem przezwyciężeniu przez niego koncepcji dawnej i o zbliżeniu się do stanowiska, wysuniętego przezemnie w recenzji. Tu już zdania normatywne o b u t y p ó w (»w warunkach *w X* powinien *c*«) uznane są za równoważne zdaniom wartościującym (»czyn *c* osoby *X* w warunkach *w* jest n a j l e p s z y z jej czynów możliwych w danych warunkach«), a różnica między normami aksjologicznemi a tetycznemi polega tylko na tem, że te drugie do słów »najlepszy z czynów« d o d a j ą: »ze względu na sytuację powstałą wskutek ustanowienia normy« lub »ze względu na osiągnięcie

zgodności z ustanowioną normą« (podkr. moje). Tak więc na str. 403 »ustalenie zgodności czynu z normą« już i w normach tetycznych uznaje autor za równoważne z wartościowaniem i ściśle związane z wypowiadaniem samej normy; a skoro dogmatyka »konstatuje istnienie (obowiązywanie) normy« (401), a konstatowanie obowiązywania normy, jak wiemy z »Podstawowych pojęć«, jest równoznaczne z uznaniem jej prawdziwości, tedy dogmatyka ocenia działania ze stanowiska norm, *quod erat demonstrandum*. I zaprzeczając tej tezie jako mojej na str. 400, autor zaprzeczał sam sobie. »Pomieszania«, przypisywane na tej stronicy mnie, przestają być wobec tego interesujące, a pomieszania, popełniane przytem przez autora, np. pomieszanie dogmatyki, oceniającej czyny ze stanowiska norm, i polityki, oceniającej akty ustawodawcze ze stanowiska ich skutków, znajdą uwzględnienie na właściwem miejscu.

Że pozatem sędzia lub urzędnik formułuje normy i zgodność czynów z niemi »indywidualnie«, a dogmatyk »naukowy« czyni to »generycznie«, to jest pogląd całkiem słuszny, lecz przy tem pozostaje prawdą, że sędzia i autor traktatu wypowiadają zdania mające ten sam charakter normatywny, tak samo jak analogiczne zdania wypowiada autor podręcznika arytmetyki i osobnik rozwiązujący konkretne zadanie arytmetyczne. Co zaś do sprawy, czy »nauki« normatywne zasługują na nazwę nauk, — gotów jestem uznać kwestję za sporną i przedewszystkiem terminologiczną. W stosunku do systemów normatywnych absolutnych (t. zn. niepozytywnych) byłbym bardziej sceptyczny od samego autora, który, mimo zastrzeżeń co do odpowiednich nauk, uznaje jednak możliwość objektywnego poznania w dziedzinie »etyki« i »norm aksjologicznych«. W stosunku zaś do dogmatyki, ceniąc jej budowę systematyczną i wartość praktyczno społeczną, wartość jej poznawczą stawiam narówni z wartością wszelkiej systematyzacji poglądów czy zdań »czyichś«, a więc np. z nauką scholastyczną lub wykładem poglądów Ptolemeusza lub Kopernika.

Bardzo podobnie jak z różnicą zdań teoretycznych i praktycznych, ma się sprawa z różnicą zdań normatywnych i teleologicznych. I tu replika w odpowiedzi na moje wywody, w których starałem się przedstawić cały szereg niepożądanych objawów pomieszania, wynikających z nierozróżniania tych dwóch typów zdań praktycznych w »Podstawowych pojęciach« (por. str. 368, 371—2, 372—3, 379—80, 385), zwalcza zasadniczo samą potrzebę czy możliwość takiego odróżnienia. I tu negacja znalazła wyraz bardzo chwiejny, niejednolity i niejasny: raz zdania normatywne są »równoważne« teleologicznym, drugi — tuż obok — są ich »gatunkiem«, to znów zdania teleologiczne »nie stanowią jakiegoś zasadniczego swoistego rodzaju, różnego od zdań logicznych, lecz same są zdaniami logicznemi«, aż wreszcie w konkluzji ogólnej zlewają się z teoretycznemi i normatywnemi w zupełnej identyczności — »niema tu różnic zasadniczych, jest jedna płaszczyzna teoretyczna« (403—4).

Za jedyną próbę uzasadnienia tego niejasnego zaprzeczenia różnicy można uważać zapewne następujące twierdzenie: »Ogólna postać takiego zdania (t. zn. normy) przedstawia się jak następuje: »jeżeli ma być *a*, to musi być *b*«. W normie aksjologicznej *a* oznacza »maximum dobra«; w normie tetycznej zaś »czyn zgodny z normą *n*«. Z tego miałoby zapewne wynikać, że forma logiczna, wysuwana przezemnie dla zdania teleologicznego, ma być podług autora wspólną wszystkim zdaniom praktycznym. Niestety autor nie dodał, co oznacza owo »*a*« w zdaniach te-

leologicznych, i pozostawił nas w dalszej nieświadomości, czy są one identyczne, »równoważne« czy gatunkowo pokrewne normom wogóle i którym z nich — aksjologicznym czy tetycznym — w szczególności. Niechże mi będzie wolno wyjaśnić na tym gruncie myśl moją; nie będzie to rzeczą bezużyteczną wobec tego, że pomieszanie zdań i ocen normatywnych i teleologicznych, choć w stopniu nie takim jak u p. Znamierowskiego, zachodzi dość często w etyce i »aksjologji« współczesnej. Otóż dodatek »jeśli ma być *a*« jako część składowa formy logicznej normy jest i zbyteczny i błędny. Zbyteczność jego wynika z samego tekstu p. Znamierowskiego. Gdybyśmy bowiem spróbowali wyrazić cały jakiś system etyki lub dogmatyki prawnej w tej formie, toby się okazało, że każda norma systemu będzie miała hypotezę identyczną: każda norma etyczna hypotezę »jeżeli ma być maximum dobra«, każda norma prawna danego systemu hypotezę »jeżeli ma być czyn zgodny z Kodeksem Napoleona« lub t. p. Zresztą sam autor w »Podst. pojęciach« ustala to w stosunku do norm tetycznych, mówiąc (str. 18), że takie powołanie się na podstawę obowiązywania dotyczy całego układu, nie zaś poszczególnych norm. Widać z tego, że podobnej hypotezy w normach aksjologicznych niema racji włączać do budowy logicznej każdej normy, a w normach tetycznych włączać wypada tylko tam, gdzie powołujemy się na poszczególne artykuły większej ustawy. Natomiast w nauce teleologicznej, jak np. medycyna, każdy przepis będzie miał hypotezę odrębną, każde »*b*« przepisu hierarchicznie wyższego będzie się powtarzało jako »*a*« w odpowiednim przepisie niższym: jeśli chcesz *a*, czyń *b*, — jeśli chcesz *b*, czyń *c*, — jeśli chcesz *c*, czyń *d*... i t. d.; np. *a* może być uratowaniem życia pacjenta, *b* — usunięciem gangreny, *c*, — dokonaniem amputacji, *d* — użyciem narzędzia etc. — Lecz pozatem dodatek w formie »jeśli ma być *a*« do zdań normatywnych nie zgadza się z ich charakterem i może tylko wprowadzać w błąd. Dodatek, o którym była mowa powyżej, oznacza p o d s t a w ę o b o w i ą z y w a n i a normy (»jeżeli chcesz być uczciwym«, »w myśl artykułu *A* kodeksu *K*«). Czem innem już jest h y p o t e z a normy w znaczeniu używanem przez prawników: ta w niektórych normach nie istnieje wcale (normy kategoryczne), jeżeli zaś istnieje, to oznacza w a r u n k i f a k t y c z n e, w których norma ma znaleźć zastosowanie (»jeżeli dłużnik nie uiści długu w terminie«...); i, rzecz charakterystyczna, w innych sformułowaniach normy, nie wysuwanych specjalnie dla zwalczania mnie, autor nie używa — i słusznie — formuły »jeżeli ma być *a*«. Nigdy jednak w normach czyn wskazany w hypotezie (czyn »*a*«) nie ma znaczenia c e l u, do którego miałby prowadzić, jako ś r o d e k właściwy, czyn wskazany w dyspozycji (czyn »*b*«). Natomiast ten stosunek środka do celu charakteryzuje przepisy teleologiczne.

Na tem polega właśnie »różnica zasadnicza« między zdaniami normatywnemi a teleologicznemi i z tem się wiąże zasadnicza różnica w budowie logicznej odpowiednich nauk. Norma wskazuje dane postępowanie w sposób zasadniczy, t. zn. jako dobre, wskazane samo przez się: u samego p. Znamierowskiego »najlepszość« tkwi już w samem »powinien« i nie wymaga żadnych dalszych uzupełnień; norma poniekąd umieszcza wartość w samym czynie wymienionym w dyspozycji (»wewnętrzna wartość czynu« p. Znamierowskiego). Przepis zaś teleologiczny zaleca postępowanie wymienione w dyspozycji jedynie jako środek do osiągnięcia celu, wskazanego w hypotezie; wskazuje tylko skuteczność danego środka,

o ile pragniemy danego celu. I wskutek tego między zdaniami i naukami teleologicznemi a pewnemi zdaniami i naukami teoretycznemi istnieje »godna uwagi równoważność«, której niema w stosunku zdan normatywnych do teoretycznych. Mianowicie, aby uzasadnić przepis teleologiczny »jeśli chcesz *a*, to czyń *b*«, trzeba — warunek konieczny i wystarczający — udowodnić prawdziwość zdania teoretycznego »*b* jako przyczyna wywołuje *a* jako skutek«. Dlatego to nauki teleologiczne są naukami »stosowanemi« wobec odpowiednich nauk teoretycznych: medycyna opiera się na anatomji i fizjologji, wszelkie techniki na odpowiednich naukach przyrodniczych, polityka ekonomiczna na ekonomji i t. d. Inaczej rzecz się ma w naukach normatywnych. Tu niema żadnej zależności od prawd przyczynowych: byłoby rzeczą beznadziejną szukać oparcia na jakichś prawdach przyczynowych dla norm kodeksu cywilnego lub Ewangelji. Tu jedna zasada postępowania może być oparta tylko na innej zasadzie, ogólniejszej, hierarchicznie wyższej w obrębie danego systemu, sam system ma wszelkie cechy systemu dedukcyjnego, a podstawę ostateczną stanowi albo przekonanie intuicyjne (w normach absolutnych), albo fakt normatywny, — ustawa, rozporządzenie, Ewangelja (w normach pozytywnych)[1].

W »Podstawowych pojęciach« widziałem i wytknąłem nierozróżnianie i systematyczne pomieszanie rozważań normatywnych i teleologicznych. Najtypowszem jest przetworzenie »obowiązywania« norm pozytywnych w system rozumowania hedonistycznego (por. recenzję 379—80). Zaznaczam, że nie mam nic przeciwko uprawianiu teleologji hedoni-

---

[1] Ten odrębny w stosunku do teleologji charakter zdań normatywnych rozumieją przeważnie lub przynajmniej odczuwają prawnicy, wyćwiczeni w czynności systematyzowania i uzasadniania norm o treści określonej. W dziedzinie moralności natomiast, gdzie — zwłaszcza im bliżej do naszych czasów — wykład samych norm bywa odsuwany na dalszy plan lub całkiem usuwany (przez kierunki nie uznające etyki normatywnej) na rzecz rozważań metodologicznych i epistemologicznych, — poza Kantem, który trafnie ogranicza etykę do »kategorycznych« nakazów obowiązku, — dziedzinę norm moralnych miesza się z dziedzinami »celów«, jak szczęście, przyjemność, pożytek, »cel moralny«. Charakterystyczna jest chwiejność Arystotelesa, który dobro etyczne umieszcza w »celu, do którego dążymy dla niego samego« w przeciwstawieniu do innych dóbr, do których dążymy »jako do środków do niego służących«. Tu mamy z jednej strony dowód odczucia charakteru zasadniczego oceny etycznej, lecz z drugiej, mimoto, błędne umieszczenie etyki w dziedzinie teleologji: cel, do którego dążymy »dla niego samego« przestaje być celem, gdyż to pojęcie jest korelatywne w stosunku do pojęcia środka i poza stosunkiem do środka nie powinnoby być używane. Wpływ Arystotelesa odbija się dotąd, np. wyraźnie u Moore'a; tembardziej zaś nie są wolne od pomieszania wszystkie najnowsze próby »aksjologji« czy »teorji wartości«, które dążą do objęcia jednym systemem »wartości« wszystkich dziedzin oceny. Prof. Wilkosz w ciekawym swym referacie na zjeździe poświęconym teorji prawa (Prace z t. pr. 45—51), mówiąc o naukach »normatywnych« i o stosunku ich do nauk »werytatywnych«, miał na myśli oczywiście nauki, które ja nazywam teleologicznemi, i w odpowiedzi mej (tamże str. 68) podniosłem to, zaznaczając, że p. Wilkosz zdań i nauk normatywnych we właściwem tego słowa rozumieniu wcale w swym wywodzie nie dotknął. Dlatego też gdy p. Znamierowski w polemice swej w Przeglądzie Filozoficznym (R. 1925, zesz. III—IV) mówi, że »żartobliwe wywody prof. Wilkosza znalazły pełne uznanie i zrozumienie na zjeździe« wśród jego uczestników prawników, »którzy wykazywali niezłomną wiarę w swoisty charakter nauk normatywnych» (podkr. moje), — to mnie, choć dzielącego tę »wiarę« i skądinąd mającego wielkie uznanie dla wywodów prof Wilkosza, z liczby słuchaczy, żywiących całkowite dla nich uznanie, wyłączyć wypada.

stycznej w życiu i nawet w nauce, jeśli to się komuś podoba, aczkolwiek historja myśli wykazuje trudność osiągnięcia tu wyników należycie jednolitych (por. znane krytyki systemów Epikura, Benthama i t. p.); sam nieraz uprawiam to rozumowanie, np. gdy się zastanawiam, jak najprzyjemniej spędzić wieczór; niedość na tem, uznaję, że groźba sankcyj, zawartych w systemach moralnych i prawnych, wytwarza systemy motywów hedonistycznych, współdziałających potężnie z działaniem samych norm. Lecz myślę, że ze stanowiska naukowego lepiej jest te dwa systemy praktyczne oddzielać. Niech dogmatyk prawa w dalszym ciągu tak rozumuje jak rozumował dotąd: »X nie powinien kraść, — jeśli X ukradnie, to sędzia powinien go skazać, — jeśli sędzia nie skaże, to...« i t. d., i to wszystko dlatego, że normy te obowiązują w myśl ustaw danego państwa; i niech będzie pozostawione X-owi, sędziemu i t. d. jako osobom prywatnym, rozważać, czy postąpienie zgodnie z tym obowiązkiem będzie dla nich »najmniejszem złem«, czy też może opłaci się lepiej X-owi ukraść, sędziemu — sprytnego X-a uniewinnić i wejść z nim w spółkę etc. Oparcie obowiązywania, tego skromnego obowiązywania, którem operują dotąd prawnicy bez pięknej definicji jako »jedynej drogi« do »najlepszego z możliwych«, na hedonistycznem ważeniu zła i dobra indywidualnego, wprowadziłoby zamieszanie logicznie szkodliwe, a społecznie też nie wiem czy pożądane.

W replice p. Znamierowski zasadniczo zaprzecza potrzebie odróżniania zdań normatywnych i teleologicznych, w jaki sposób — widzieliśmy to wyżej. Nietrudno jednak dojrzeć, że w rozumowaniach szczegółowych tem odróżnieniem sam się posługuje. Na jakiej bowiem innej podstawie mogłoby być oparte odróżnienie np. medycyny od etyki lekarskiej, albo prawno-politycznej oceny aktów ustawodawczych podług ich skutków od etycznej oceny egoistycznych czy nieegoistycznych pobudek tych aktów? Ja w krytyce utrzymywałem, że w obu tych dziedzinach »Podstawowe pojęcia« popełniają szkodliwe pomieszania; autor twierdzi (406 F, 407 G, 405 E), że tego nie czyni: jeśli tak jest, to może tylko znaczyć, że odróżnia oceny normatywne i teleologiczne, dotyczące tych samych czynów.

I znowuż »Realizm w teorji prawa« przynosi tu postęp: autor używa już terminu »teleologiczny« (np. str. 13, 15), którego, o ile mi się zdaje, wcale nie używał przedtem, a nawet stwierdza zasadę możliwości »transformacji zdania przyczynowego na teleologiczne i odwrotnie« (15), na co kładliśmy nacisk, ja wielokrotnie, a prof. Wilkosz w swym referacie zjazdowym. Cieszy mię przy tem — nie ze względów ambicji osobistej, lecz pod kątem widzenia rzeczowym, — że przyjmując samą myśl, p. Znamierowski przyjął też terminologję moją, a zarazem najbardziej rozpowszechnioną, nie zaś terminologję p. Wilkosza, który używa nazw »werytatywny — normatywny«. Chociaż więc narazie zmiana poglądów autora w tej sprawie nie dokonała się tak szybko i całkowicie, jak w sprawie zdań teoretycznych i praktycznych, przypuszczam, że dalsza praca nad tem zagadnieniem, w istocie swej wcale nietrudnem, doprowadzi go równie łatwo do uznania potrzeby i ważności i tego również odróżnienia.

4. Kwestje szczegółowe. Wobec szeregu zarzutów, umieszczonych §§ 3 i 4 repliki sytuacja moja staje się bodaj bardziej jeszcze kłopotliwą, niż wobec pierwszych dwóch ustępów, ujętych bardziej

uogólniająco. Objawy podrażnienia i pośpiechu autorskiego występują ku końcowi coraz silniej, o czem świadczy chociażby ten szczegół, że z 12-tu punktów § 3-go, które miały przedstawiać listę szczegółową moich »nieścisłości i pomieszań pojęciowych« wiążących się z zarzutem »μετάβασις εἰς ἄλλο γένος w sprawie podstaw obowiązywania«, tylko 6 dotyka istotnie zarzutu pomieszania stanowisk poznawczych, a tylko 2 — sprawy podstaw obowiązywania. Podniecona myśl polemiczna rzuca się na drobne szczegóły o znaczeniu często incydentalnem i pomija tezy zasadnicze w taki sposób, że istotnej treści i planu mej krytyki trudno się z repliki domyślić; uderza przy tem w tyle punktów i sama popełnia tyle »pomieszań i nieścisłości«, że udzielenie odpowiedzi wyczerpującej wymagałoby więcej miejsca w »Czasopiśmie«, niż na to zasługują sprawy, kto z nas kogo »przeinaczył« i kto jest »domyślniejszy«. Pomijając więc cały szereg spraw tego rodzaju (dla Szanownego autora i każdego, ktoby się tem interesował, mam szczegółowe odpowiedzi do dyspozycji), omówię główne zarzuty; aby nie rozwlekać wykładu obszernemi cytatami, będę liczył na to, że czytelnik ma tekst repliki przed sobą. Lecz wbrew dążeniu do skracania, nie pominę ani jednego punktu, w którym choćby w najmniejszym stopniu mogę przyznać autorowi słuszność.

§ 3, A. Autor na str. 392 zarzuca mi niezrozumienie »przygotowawczego«, szkicowego, słowem nieostatecznego charakteru swoich wywodów, na str. 395 i 396 — niezrozumienie niemożliwości ścisłego zdefinjowania pojęć podstawowych, do których norma w jego systemie niewątpliwie należy. Tu czyni mi zarzut wprost przeciwny, twierdząc, że istotę normy określił ściśle. Taka »logika« jest zapewne celową, jeśli chodzi o mnożenie zarzutów, lecz czy stanowi dobry wzór »nowej logiki« dla nauczania prostaczków mnie podobnych, — skłonny jestem wątpić.

B. »Żaden cud logiczny czy ontologiczny nie może uczynić zdania zjawiskiem, wwiązanem w łańcuch przyczynowego związku, nie może go uczynić mocą, ingerującą w życie ludzkie. Mocą ingerującą może być i bywa istotnie świadomość normy« — powtarza autor na str. 409 za swym dawnym tekstem. Otóż to właśnie rozróżnienie — treści myślowej, leżącej poza rzeczywistością, i zjawiska, tkwiącego w rzeczywistości przyczynowej — ujmuję ja (za przykładem wielu innych) jako przeciwstawienie przedmiotów idealnych i realnych, autora za to rozróżnienie chwalę, a terminologji swojej mu nie przypisuję. O cóż więc chodzi?

C. »Praktyczny charakter zdań normatywnych« uznał sam autor w »Realizmie w teorji prawa«; normy przeciwstawiał »zdaniom logicznym« już w »Podstawowych pojęciach«, — ten więc spór można uważać za szczęśliwie zlikwidowany w kierunku wręcz przeciwnym niejasnym »wyjaśnieniom« § 2 go. Co zaś do różnicy zdań normatywnych i teleologicznych, obawiam się, że przekonywałem autora nawet zbyt obszernie, począwszy od dyskusji na zjeździe (Prace z t. p. 67—8); skoro bowiem moje argumenty pobudzają go stale i zasadniczo do zaprzeczania tego nawet, co sam gdzieindziej uznaje, — lepiejby było pozostawić sprawę jej naturalnej ewolucji w umyśle autora.

D. Że niektórzy prawnicy mówią rzeczy nieścisłe o »autonomji i heteronomji«, to wiem dobrze, czego dowodem choćby moje wywody w »Normie i zjawisku« (str. 272 i nast.). Dlaczego ma stąd wynikać, że ja coś mieszam, — pozostaje dla mnie tajemnicą.

E. Autor nie mówił w książce o n a u c e aksjologji, — niech i tak będzie. Przypuszczenie moje, że takie miano nosić będzie nauka, wykła-

dająca normy aksjologiczne, okazało się błędnem, gdyż nauka ta będzie się nazywała etyką. Cóż jednak było tak oburzającego w tem przypuszczeniu, wobec tego, że 1) system naukowy aksjologji autor jednak przewiduje, przynajmniej w programie, 2) stosunek »norm aksjologicznych« do »moralności« i »etyki« był w książce zupełnie nieokreślony, a więc dawał pole do wszelkich domysłów, i 3) dziś jeszcze, po wyjaśnieniu, nasuwa się wątpliwość, czy nazwa etyki jest szczęśliwie wybrana dla nauki mającej za treść normy aksjologiczne, skoro te normy, jak widać z treści książki i repliki, obejmują dziedzinę znacznie szerszą od przyznawanej zwykle etyce, obejmują mianowicie wszystkie dziedziny wartości łącznie z estetycznemi, technicznemi i t. p.

Poza tem wyjaśnieniem, którego samo udzielenie, choć z akompanjamentem gromów przezemnie niezasłużonych, podnieść można z uznaniem jako objaw rzadki w replice, — ustęp przynosi jeszcze oskarżenie, że to ja autorowi wmawiam wypowiadanie twierdzenia o idealnym charakterze moralności i realnym prawa, — oskarżenie niesłuszne, gdyż tekst mój (str. 369 łącznie z poprzedniemi) jasno wskazuje, że jest to mój komentarz i moja terminologja, — oraz wyraz »niepokoju« autora z powodu wyrażenia »rzeczywistość prawna«: niepokoju tego niestety usunąć nie potrafię, gdyż jest to termin własny autora (por. np. »Podst. pojęcia«, str. 2, 36) i dlatego podałem go w cudzysłowie.

A teraz, gdy poza temi i podobnemi jeszcze sprawami formalno-terminologicznemi zajrzeć do *meritum* sprawy, okaże się, że — po zastąpieniu, zgodnie z życzeniem autora, wyrazu »aksjologja« przez wyraz »etyka« — żadna z moich wątpliwości zasadniczych, stanowiących treść odpowiedniego ustępu recenzji (druga połowa str. 369), nie została nietylko usunięta, lecz nawet zaszczycona uwagą w replice.

E_1. 1) Z ustępu mego tekstu, przytoczonego na samym początku, nawet bez konfrontacji z recenzją, widać najwyraźniej, że program etyki normatywnej w y d a j e s i ę m n i e podjętym na nowo, nie zaś że to autor go wygłasza. 2) Wyrazu »zdania« przez wyraz »nauki« w cytacie zastępować nie miałem prawa, jeśli przytaczałem ten ustęp w cudzysłowie, — to słuszna. Lecz znowuż, poza formalną nieścisłością cytaty, na czem ma polegać zbrodniczość »tej metody«, skoro etyka dopiero co, w ustępie E, uznana została przez autora za n a u k ę, a pozatem za naukę, w której skład wchodzą n o r m y aksjologiczne, a więc za naukę w mojej terminologji normatywną? Jak widać, sama myśl autora nie została w najmniejszym nawet stopniu zmieniona.

F. Ustęp ten w odpowiedzi na moją krytykę programu »aksjologji« dodaje do sytuacji przez tę krytykę stworzonej — poza kilkoma silniejszemi objawami irytacji autora — tylko dwie interpretacje autentyczne: określenie »relatywizmu« oraz wyjaśnienie, że norma dla kiepskiego lekarza miała być »oczywiście« normą etyczną. Niestety, nie widzę, aby te wyjaśnienia wraz z innemi argumentami autora sytuację w najmniejszej nawet mierze zmieniły.

Przyjmijmy proponowaną definicję relatywizmu: w tym kierunku w krytyce świadomie zostawiłem drzwi otworem. Pozostaje jednak dawne pytanie, czy warto mówić o »absolutnej prawdziwości zdań aksjologicznych«, jeśli się zarazem możliwości poznania tych prawd kategorycznie zaprzecza? I czy warto mówić o tejże absolutnej prawdziwości norm aksjologicznych, skoro cały ich system sprowadza się ostatecznie do jednego zdania: »czyni najlepiej ten, kto czyni według najlepszego

swego rozumienia«, — skoro w jednych i tych samych warunkach objektywnych »prawdziwe« będą jednocześnie normy, zalecające użycie lekarstwa dobrego, gorszego i złego, w zależności od rozumienia adresatów-lekarzy? Te pytania pozostają, a powstaje nowe: czy można bez narażania się na kolizję z zasadą sprzeczności twierdzić (Podst. poj., str. 16), że »człowiek musi zrezygnować z poznania tego co absolutnie biorąc jest najlepsze«, albo: (tamże str. 21) »nie wiemy co jest najlepsze«, — a potem (replika str. 406), że »można stwierdzić w sposób absolutny, co jest dobre, co jest lepsze od czegoś innego i co jest najlepsze«, i tem się bronić od zarzutu relatywizmu?

Norma dla kiepskiego lekarza miała być normą etyczną, nie zaś przepisem medycznym. Ślicznie: dziękuję za wyjaśnienie i stwierdzam ze swej strony, że w mojem poczuciu m o r a l n e m również uniewinniłbym lekarza, stosującego gorsze lub nawet szkodliwe lekarstwo, jeśli czynił to w dobrej wierze i »w najlepszem rozumieniu«; moja moralność godzi się najzupełniej na »uzależnienie wartości czynu od subjektywnych warunków czyniącego«. Ale, będąc relatywistą (w rozumieniu autora), nie przypisuję tej mojej intuicji, gdy ją oceniam ze stanowiska poznawczego, prawdziwości absolutnej, i dowód przez »fałszywość« — *recte* niezgodność z intuicją — zaprzeczenia tej normy nie może mi tu wystarczyć. A co ważniejsza, nie śmiałbym twierdzić, że to moje usprawiedliwienie etyczne ma być normą aksjologiczną, wskazującą czyn objektywnie najlepszy z możliwych. Albowiem norma aksjologiczna podług autora ma wskazywać, co jest »najlepszą ze wszelkich możliwych ewentualności«, uczyć nas, »co... w danych wypadkach... czynić należy«, »który z danych czynów jest alternatywą najlepszą bezwzględnie« (Podst. poj. 16), to znaczy ustalić w danej sytuacji jedyny czyn dobry (czy najlepszy) podług jakiegoś kryterjum jednolitego, obejmującego czy zastępującego wszelkie inne znane dotąd kryterja — etyczne, estetyczne, utylitarne, hedonistyczne, medyczne, techniczne etc. Otóż myślę, zanim mi ktoś przez wyraźne wskazanie nie udowodni przeciwnego, że takiego kryterjum dobra niema i być dla nas nie może; poszczególne nasze kryterja, np. etyczne i medyczne, dadzą oceny nieraz wręcz przeciwne, jak to niechcący stwierdza sam autor, odrzekając się tu pomieszania etyki i medycyny; któreż z nich i na jakiej podstawie wybierze aksjologja, aby wskazać czyn jedyny, ewentualność najlepszą z możliwych? Z przykładów norm aksjologicznych autora widać, że przerzuca się on ciągle z jednej dziedziny ocen do drugiej: że »posąg powinien być taki a taki«, to mówi mojem zdaniem estetyka; że »wynagrodzenie szkody jest rzeczą najlepszą«, — to mówi prawo (Podst. poj. 16); że lekarz słusznie użył środka tylko zaleczającego, — to, jak stwierdza obecnie sam autor, mówi etyka; że tenże lekarz w tymże wypadku powinien był użyć środka objektywnie skuteczniejszego, to mówi, jak się bodaj obaj zgadzamy, medycyna. Wszystkie te »normy« są różne pod względem podstawy, charakteru, sposobu uzasadnienia; mogą czasem i częściowo ze sobą się zgadzać, częściej będą beznadziejnie sprzeczne. Gdzież wiec, pytam, jest owa »norma aksjologiczna«, jedyna, wszechogarniająca i decydująca o tem, że dany czyn jest pod każdym względem najlepszy z możliwych? Gdy autor uniewinnia kiepskiego lekarza, to zamyka się tu na moment w granicach etyki i pomieszania z medycyną nie popełnia; ale też zdradza swój program aksjologji, albowiem ta, mając nam wskazywać »jedyny

czyn najlepszy« pod każdym względem, miesza wszystkie możliwe dziedziny oceny *ex definitione.*

Takie są sprawy, poruszone przez autora w replice. I, jak to stale zachodzi, energiczne podniesienie kilku szczegółów incydentalnych pozwoliło mu pominąć całkowicie moje argumenty najistotniejsze. Oto cały mój wywód, dość szeroko umotywowany (369—372), starał się wykazać, że autor opiera objektywne obowiązywanie swych norm aksjologicznych na subjektywnych ocenach, zachodzących w psychice ich adresatów, i że takie stanowisko uznaje za naukowo nieuzasadnione nietylko jego recenzent w mojej osobie, nietylko ceniony przez autora Moore, lecz również sam autor, gdy krytykuje skonstruowanego przez siebie dla celów polemicznych, a dalekiego od rzeczywistego, Petrażyckiego. Cały ten wywód zbył p. Znamierowski uwagą, że ja nadaję znaczenie różne od potocznego terminowi »intuicjonizm subjektywny«. Oto dalej, na końcu, zaznaczyłem, że autor nie uważał za potrzebne nawet napomknąć, jakiem ma być kryterjum owej tak śmiało głoszonej »prawdziwości« norm aksjologicznych, — uwaga, której znaczenie dla jego systemu występuje jasno w rozważaniach powyższych, — lecz ta uwaga również została całkowicie pominięta.

G. Przyjąwszy za zasadę polemiki swoją nieomylność oraz moje krętactwo i niepojętność, autor, zamiast się przyznać do wypowiedzenia tezy nieostrożnej czy, ostatecznie, zbyt krótko i niedość ściśle sformułowanej, probuje ją ratować nową interpretacją, która, mimo jej autentyczność, musi być uznana za równie dowolną jak mało skuteczną. Wyraźny tekst str. 21 łącznie z innemi krótkiemi ustępami, poświęconemi »prawu słusznemu« (str. 140: zestawienie — całkiem błędne — »słusznego prawa« nie z polityką prawa, lecz z prawem intuicyjnem u Petrażyckiego, str. 111: zestawienie moralności i polityki prawa, str. 22: moralność jako kryterjum wartości prawa) nie pozostawia wątpliwości, że pisząc ten ustęp autor wysuwał motywy nieegoistyczne ustawodawcy jako kryterjum wartości prawa nie ze względu na połączoną z niemi zdolność trafnego przewidywania skutków, lecz ze względu na zasługiwanie przez nie aprobaty moralnej. Świadczy o tem nietylko jasny i niewątpliwy sens ustępu ze str. 21, cytowanego przez samego autora (»im mniej egoistyczne...«), ale i zdanie poprzednie: »faktycznie dokonywane akty stanowienia... ustalają jako powinność zawsze jakąś rzecz dobrą, przynajmniej dobrą dla stanowiącego normę«. Jesteśmy tu całkowicie na linji przyznawania wartości objektywnej »najlepszemu rozumieniu«, sankcjonowania subjektywnej dobrej woli, na tej samej, która uniewinniała kiepskiego lekarza, a która podług znanego nam komentarza autorskiego jest linją etyczną, nie zaś teleologiczną (medyczną etc.). Że gdzieindziej autor mówi o uwzględnianiu skutków czynu, o tem nie »zapomniałem«; przeciwnie, podkreślając, że aksjologja autora w programie miesza rozważanie normatywne z teleologicznem, wykazywałem zarazem, że w wykonaniu sprowadza się ona do popularnej etyki »dobrej woli«. Co zaś do nowej interpretacji, to teza jej, że motyw nieegoistyczny stanowi warunek »przewidywania bezstronnego i wszechstronnego«, wydaje mi się bardzo wątpliwa. Czyżby w chorobie — zakładając warunek obojętności kosztów — autor z pomiędzy dwóch lekarzy, jednego altruistyfuszera, a drugiego chciwego egoisty, lecz dobrego fachowca, wolał wybrać wezwanie pierwszego? Wogóle nieodróżnianie oceny normatywnej i teleologicznej, które autor z takiem przekonaniem włącza do swego

programu metodologicznego, odbija się bardzo wyraźnie we wszystkich jego wypowiedziach o ustawodawcy i jego aktach.

H. Ustęp ten nie gorzej od innych wykazuje nieostrożność, jakiej autor się dopuszcza przez odwoływanie się do sądu »uważnego czytelnika«.

Uważny czytelnik nie uwierzy, aby moje przypuszczenie, że norma moralna przestaje być moralną, a staje się tetyczną, jeśli podmiot powziął postanowienie jej wykonywania, — było sprzeczne z tekstem książki, który mówi, że »to samo zdanie będzie (normą) jedną i drugą (aksjologiczną i tetyczną) jednocześnie«... Albowiem tekst ten stwierdza tylko, i słusznie, że możliwa jest »zbieżność treści norm różnych« (podkr. moje), możliwość nakazywania tego samego czynu przez różne normy, możliwość wyrażania się dwóch norm różnych w jednej i tej samej formie zdaniowej (stąd, nawiasem mówiąc, nasuwa się wątpliwość, czy można uznawać zdanie samo za *genus proximum* normy). Natomiast intencja autora nadania mu sensu, że jedna i ta sama norma może być jednocześnie aksjologiczną i tetyczną — co zostało powtórzone na str. 394, jest wyraźnie sprzeczna z definicją tych odmian norm, która opiera różnicę między niemi na różnej interpretacji w nich terminu »powinien« (Podst. poj. 12, 15 i nast.). Jeśli normy aksjologiczne nadają inne znaczenie »powinności«, jeśli dalej słuszne jest moje przypuszczenie, że wszystkie normy moralne są aksjologiczne — a tego autor nie zakwestjonował, — to norma moralna z chwilą powzięcia postanowienia jej wykonywania staje się tetyczną i przestaje być moralną, — na to niema rady. Czyja więc interpretacja — moja czy autorska — okazała się trafniejszą i »domyslniejszą«, — oceni »uważny czytelnik«.

Niezadowolenie autora skierowało się dalej na moje pytanie, jaką normą w szczególności staje się owa norma, zdegradowana z aksjologicznej na tetyczną. Że w pytaniu wyliczyłem i normę prawną, opatrując ją uczciwym znakiem zapytania, to narażało mię istotnie na sprzeczność ze znaną mi autorską definicją prawa, lecz czemże tu zasłużyłem na oburzenie, skoro sam sens pytania szczerze daje do poznania, że rzeczy »nie rozumiem«?

Takie dwa momenty krytyki mojej zaszczycił autor swą uwagą. Niestety, nie zaszczycił nią znowu pozostałej, bardziej istotnej treści moich uwag, które stwierdzają (373—4): 1) zupełną nieokreśloność, jaka panuje w stosunku między podziałem norm na aksjologiczne i tetyczne a odmianami norm »etycznych«, »moralnych«, »prawnych«, »słusznego prawa«, »reguł jedzenia«, »manipulowania kijem« etc., których to terminów i im podobnych autor używa bez najbardziej nawet szkicowej definicji; 2) wątpliwość co do samej podstawy podziału norm na aksjologiczne i tetyczne.

W sprawie pierwszej replika, prócz bardzo wątpliwej wskazówki, udzielonej w innem miejscu co do stosunku etyki do aksjologji (405), nie daje nic. Sprawę drugą pomija zasadniczo milczeniem, lecz w innych miejscach, jak to wskazałem powyżej (§ 3, zakończenie ustępu o zdaniach teoretycznych i praktycznych), niespodziewanie wykazuje zwrot w kierunku zaniechania dawnej koncepcji (różnica tkwi w interpretacji terminu »powinien«, normy tetyczne nie zawierają wartościowania), i przyjęcia bronionej przezemnie (obie odmiany norm wartościują, różnica polega na posiadaniu przez normy tetyczne »dodatku« w postaci powołania się na akt stanowienia).

I, K, L. Ustępy te były odpowiedzią na część ogólną moich uwag, wskazujących na zasadnicze pomieszanie przez autora stanowiska teoretycznego i praktycznego u samej podstawy jego koncepcji teorji prawa (374—376). Streszczały się te moje uwagi w tezie: »teorja prawa musi być pojęta bądź jako nauka teoretyczna, konstatująca zjawiska i procesy realne, bądź też jako nauka normatywna, oceniająca działania ze stanowiska norm« (376), a pozatem zawierały próbę wyodrębnienia obu tych różnych elementów w koncepcji autora i wykazania, jak się ze sobą łączą. Replika wychodzi ze stanowiska, że zdań teoretycznych i praktycznych odróżniać nie można i nie należy i konsekwentnie twierdzi, że zdanie »norma zaczyna obowiązywać i obowiązuje« jest zdaniem teoretycznem (409), że »w uzależnieniu powinności od faktu psychicznego niema niedozwolonej μετάβασις« (410) i t. p. Wobec radykalnej zmiany poglądów na tę sprawę, jaką ujawnił autor w »Realizmie w teorji prawa«, wszelka odpowiedź moja na ustępy I, K, L stała się zbyteczna. P. Znamierowski, jak to wskazałem w § 3, sam dziś zarzuca Duguit'owi systematyczne pomieszanie stanowisk teoretycznego i praktycznego, a żądając odróżnienia prawa przyczynowego i normy, nazywając złudzeniem pogląd, że »sam fakt jakiś może narzucić jakąś powinność« (12), — wypowiada pod adresem prawnika francuskiego te same uwagi, które ja wypowiadałem pod adresem jego; gdy zaś wskazuje specjalnie, że Duguit »niepostrzeżenie dla samego siebie wprowadza moment wartościowania do swoich rozważań« przez samo użycie wyrazu »porządek«, — to wysuwa zarzut identyczny z moim, skierowanym pod adresem jego »układu«. Wobec tej zgodności między moją recenzją a »Realizmem« w sprawach podstawowych, sprawy szczegółowe, jak interpretacja poglądów Moore'a lub Reinacha i t. p. mogą być pominięte. Wprawdzie od czasu pisania recenzji moje własne poglądy uległy niejakiej zmianie, która kazałaby mi pewne zarzuty formułować nieco inaczej, niż to czyniłem pod wpływem neokantystów i tegoż Moore'a (nie Petrażyckiego), lecz skoro autor dziś zajmuje moje stanowisko z recenzji, sprawa ta wychodzi po za ramy zakreślone polemiką.

Jeden tylko punkt odrębny podniosę z ustępu K (str. 409) łącznie z inną uwagą autora na str. 396, — mianowicie sprawę definjowania normy prawnej przez układ. Takie definjowanie, którego dyskwalifikacji bynajmniej nie rozciągam na »wszystko«, uważam w tym wypadku, w stosunku do normy prawnej i moralnej, za objaw rezygnacji dlatego, że te typy norm dają się mojem zdaniem określić ściśle i płodnie pod względem teoretycznym podług ich cech specyficznych, inaczej, używając terminologji autora, podług różnych interpretacyj terminu »powinien«, jakie się w nich odbijają. Gdy więc ktoś, nie próbując krytykować dotychczasowych prób takich definicyj [1], zrzeka się z góry określenia tych odmian norm jako takich i różnicy ich szuka tylko w układach, do których należą, — to nie mogę w tem nie widzieć rezygnacji nieuzasadnionej.

[1] Dla ścisłości zaznaczyć muszę, że w stosunku do definicyj normy prawnej i moralnej Petrażyckiego p. Znamierowski dał pewne — przynajmniej pośrednie — próby krytyki w »Psychologistycznej teorji prawa«, kwestjonując określenia emocyj moralnych i prawnych oraz koncepcję normy jako »projekcji«. Niestety, próby te, jak wogóle większość argumentów krytycznych tej rozprawy, polegają, że użyję ulubionych kwalifikacyj autora, na »błędnych interpretacjach« i »tworzeniu iloczynów logicznych z przesłanek własnych i krytykowanego autora«.

§ 4, A. Ustęp miał przynieść kilkakrotnie obiecywany przez autora dowód, że »aksjomaty« jego teorji prawa nie stanowią analogji do norm prawa naturalnego, co ja im zarzucałem. Niestety, przynosi nam pod tym względem zawód. Że zasada sprzeczności może być stosowana również w dziedzinie poznania normatywnego, to nie dowodzi jeszcze, aby można było uzasadnić »prawdziwość« zdań normatywnych *a priori*. Zapewnienia autora, że swoje »twierdzenia o obowiązywaniu« z § 15-go może uzasadnić »w podobny sposób«, przyjąć na wiarę nie jestem skłonny; jeśli uzasadnienie to będzie polegało na wskazaniu, że zaprzeczenie tych twierdzeń nie uzyskałoby naszej aprobaty, to przypuszczam z góry, że dowód nie wypadnie przekonywająco, albowiem podstawą ostateczną będzie nie zasada sprzeczności, lecz ta intuicja etyczna, która ma nas skłaniać do przyjęcia jednej, a odrzucenia drugiej z tez sprzecznych.

Uwaga moja w odsyłaczu na str. 378 dotyczyła racjonalności używania terminu »prawdziwość« w stosunku do norm. Autor, sięgając do niej, pominął jej właściwą treść, a zajął się sprawą obowiązywania norm pozytywnych. Szkoda jednak, że przy tem nie zwrócił uwagi na przykład sprzeczności Konstytucji 17/III 1921 r. z licznemi znanemi ustawami. Z tej sprzeczności wynika jedno z dwojga: albo jeden układ może zawierać normy sprzeczne, albo kilka układów sprzecznych może obowiązywać jednocześnie, — a to zależnie od tego, czy zakwalifikujemy »obowiązujące prawo polskie« jako jeden czy kilka układów. Stanowi to przyczynek do dyskutowanych przez nas »prawd dotyczących obowiązywania«.

B. Moją analizę, wykazującą, że obowiązywanie norm zostało u niego uzależnione od stanów psychicznych podmiotów, autor potwierdza, choć zachowuje przy tem dla zasady swoją stałą postawę wojowniczej negacji; potwierdza ją bez zastrzeżeń w wypadku a, 1 (grupa dwuosobowa, nakaz poparty karą), potwierdza ostatecznie, mimo zastrzeżeń, w wypadkach a, 2 i b (»Lecz i tutaj«... »lecz w każdym razie i tutaj«...). Zaznaczyć przy tem należy, że książka uwzględniała tylko wypadek a, 1, a możliwości dwóch dalszych nie wskazywała wcale, wobec czego moja interpretacja była w stosunku do tekstu poprawna i wyczerpująca.

O ile chodzi o uzależnianie obowiązywania norm od subjektywnych stanów psychicznych, w czem ja widziałem szkodliwy »psychologizm« tego samego typu, jaki autor dawniej zarzucał Petrażyckiemu (por. moją recenzję str. 372, 380, oraz Norma a zjawisko 342, odsyłacz), spór dziś przestał być aktualnym. Wprawdzie autor w replice zasłania się od zarzutu psychologizmu przez powołanie się na swoją definicję tego kierunku, lecz termin ten, tyleż popularny dziś w roli straszaka, ile nieustalony jednoznacznie, możemy z powodzeniem wyłączyć z dyskusji wobec tego, że co do istoty zagadnienia autor w swej pracy o Duguit'cie ustalił swój pogląd zgodny z moim w sposób tak zdecydowany. Uznając dziś, jak to przytoczyłem wyżej, że fakty jako takie nie mogą narzucić powinności i że subjektywne uznanie jakiejś wartości (»czyn szkodliwy«, str. 19—20) nie upoważnia do uznania jej za wartość objektywną, — autor zsolidaryzował się z moją krytyką, Przez to samo przestaje być sporną analogja z teorją uznania. Godną zaznaczenia natomiast jest sprawa drugiego pomieszania, zarzucanego przezemnie autorowi — mianowicie sprowadzania normatywnego obowiązywania do hedonistycznego, a więc teleologicznego, obliczania grożącej przykrości. W omawianym punkcie repliki występuje w sposób charakterystyczny zarówno programowa

negacja tego rozróżnienia, jak narzucanie się go autorowi, siła logicznej konieczności. Ja mówiłem, że czem innem jest porównawcze obliczanie zła w przekroczeniu normy i w sankcji przez adresata normy, a czem innem obowiązywanie normy pozytywnej jako »podstawa dogmatyki prawnej i wymiaru sprawiedliwości«. Replika podstawia na miejsce obowiązywania normy, dogmatyki i wymiaru sprawiedliwości, — rozważania o skuteczności aktu ustawodawczego i politykę kryminalną, a czyni to w taki sposób, jakbym to ja tego podstawienia dokonywał: »...konsekwencyj takiego ujęcia rozkazu napróżno obawia się pan Lande w polityce kryminalnej«. Oczywista, że polityka kryminalna, mając za zadanie — między innemi — rozważanie skuteczności aktów ustawodawczych, opiera się i musi się opierać na uwzględnieniu, między innemi, motywów hedonistycznych adresatów; lecz że polityka jest nauką teleologiczną, oceniającą akty ustawodawcze ze stanowiska ich skutków, nie zaś normatywną, oceniającą te akty ze stanowiska ich »nieegoistycznych« motywów, — o to właśnie spierałem się z autorem gdzieindziej, i w tem miejscu p. Znamierowski, widocznie przez nieuwagę, zgodził się ze mną. A w tem miejscu właśnie tematem było obowiązywanie, którem operuje nie polityk, lecz dogmatyk i sędzia. W następnym wierszu autor tę różnicę już sobie uświadamia, lecz kwalifikuje tę moją (a zarazem powszechną, dogmatyczno-normatywną) koncepcję obowiązywania, jako »jakieś mitologiczne rozumienie obowiązywania« i w ten sposób odrzuca ją bez jakiegokolwiek uzasadnienia. A o kilkanaście wierszy niżej zachodzi nowa zmiana: autor już sam uznaje, że »z dogmatycznego (punktu widzenia), skoro ktoś ma prawo wydać rozkaz, to jego rozkaz obowiązuje", lecz wyciąga z tego wniosek, że »pan Lande... miesza punkt widzenia dogmatyczny i socjologiczny«. Doskonale! Wprawdzie pan Lande nietylko nie miesza, lecz, wprost przeciwnie, usiłuje właśnie od początku przekonać pana Znamierowskiego o różnicy tych punktów widzenia, lecz cieszy go w tej chwili, że ten zaczyna się zbliżać do uchwycenia różnicy. Jeszcze mały wysiłek, a cel będzie osiągnięty, — sprawa nie jest tak trudna. Usuńmy tylko termin »socjologiczny« i zastąpmy go przez »teleologiczny«: socjologja jako nauka teoretyczna, wypowiada tylko »prawa społeczne« (przyczynowe) nie zaś zdania o »obowiązywaniu«, gdyż te zawierają w sobie element praktyczny wartościowania, — z tem zastrzeżeniem nie zgodziłby się autor »Podstawowych pojęć« ani autor repliki, lecz zgodzi się zapewne autor »Realizmu w teorji prawa«, którego terminologji umyślnie użyłem.

A teraz zilustrujmy rzecz na przykładzie, znowu dla ułatwienia wziętym z repliki. Czy rozkaz przepłynięcia rzeki w styczniu pod groźbą ukłucia szpilką obowiązuje adresata? — to jest pytanie normatywne, i odpowiedź nań może zależeć tylko od przyjęcia innej normy, która decyduje o tem, czy rozkazodawca ma prawo wydać taki rozkaz i czy adresat ma obowiązek go słuchać; tu, o ile chodzi o normy pozytywne, rozumujemy jako dogmatycy. — Czy wydanie takiego rozkazu byłoby celowe? — to jest zagadnienie teleologiczne, i odpowiedź nań zależy, między innemi, od prawdziwości zdania teoretycznego, że obawa ukłucia szpilką będzie dostateczną pobudką dla adresata do przezwyciężenia obawy zimnej wody; tu przerabiamy rozumowanie polityki kryminalnej.

C. Sensacyjna nowelka kryminalistyczna, którą odczytuję z niezwykłą przyjemnością nietylko dla jej zalet literackich, lecz i dlatego,

że spotkał mię zaszczyt zostania jej bohaterem obok drugiego bandyty z tekstu. Niestety, ocena naukowa musi wypaść inaczej: w tej dziedzinie przestaje być wartością fantazja, a na niej to cała niemal rzecz została oparta. Bo rozważmy zbrodnie »pana Landego«.

1) Twierdzenie, że rozkaz obowiązuje nietylko adresata. lecz również ustawodawcę. nazwał (Nb. z zastrzeżeniem: »można je zapewne uważać«...) aksiomatem, gdy w intencji nim nie jest. Niech i tak będzie, choć nie wiem dlaczego. Na liście zbrodni wypełnił się Nr. 1.

2) Wytknął autorowi »niedorzeczność... która... wynikła, jak wszystkie domniemane konsekwencje niedorzeczne z założeń autora, z pomieszania pojęć przez niego (Landego)«: obowiązek bandyty nie był moralny, lecz tetyczny. Odpowiadam: nigdzie go nie nazwałem moralnym, rozumiałem i rozumiem, że jest tetyczny, zbrodnia więc jest tworem wyobraźni oskarżyciela. I jeżeli istotnie wszystkie konsekwencje moje wynikają z takich »pomieszań«, to zaczynam się pocieszać, że moja opinja naukowa nie jest przez replikę ostatecznie pogrzebana.

3) »Oczywista, bandyta nie ma obowiązku strzelania z nienabitego rewolweru« — mówi autor i oskarża mię o to, że twierdzenie przeciwne chce mu podsunąć jako jego konsekwencję, »aby obalić ją przez samą jej niedorzeczność«. Odpowiadam, przytaczając mój tekst ze str. 381, że nietylko nie próbowałem wmawiać autorowi tezy przeciwnej, lecz wyraźnie i przy tem dwukrotnie wypowiedziałem twierdzenie, odpowiadające jego intencji: 1) »wtedy nie istnieje... ani obowiązek A (bandyty) strzelenia«..., 2) »...dla bandyty... który uwolniony jest od obowiązku wystrzelenia z nienabitego rewolweru«.

4) »Konstrukcji takiej (władzy wierzyciela nad dłużnikiem) w mej pracy niema«. W odpowiedzi cytuję ze str. 42 »Podstawowych pojęć«: »B może mieć władzę nad A, gdy chodzi, powiedzmy, o zapłacenie zobowiązania«... Fantazja więc tem śmielsza, że polega na zaprzeczaniu własnego tekstu autora. Niedość na tem, konstrukcja stosunku między wierzycielem a dłużnikiem, niewątpliwie już własna, jaką autor daje w replice po sformułowaniu powyższego oskarżenia, potwierdza całkowicie moją interpretację: że żądanie uiszczenia na gruncie wierzytelności już powstałej (a taką sytuację miałem na myśli) odpowiada pojęciu rozkazu z »Podst. pojęć«, to stwierdzi każdy »uważny czytelnik«, że zaś, w logicznej konsekwencji, »kara lub egzekucja jest obowiązkiem«, — to stwierdza autor *expressis verbis*.

Tak się więc przedstawia bilans konfrontacji nowelki z rzeczywistością: z mojej strony jeden termin użyty niezgodnie z intencją autora, ale z odpowiedniem zastrzeżeniem i bez wpływu na rzecz, a ze strony autora trzy objawy całkowitego zaprzeczenia tekstu mojego i własnego. Być może, iż to niepowodzenie polemiczne zostało więcej niż wyrównane przez nowe odkrycie, które autor nam odsłonił w tekście nowelki, nie zdając sobie nawet sprawy z jego doniosłości, — odkrycie, że »wierzytelność może powstać przez rozkaz«, przy tem na rzecz rozkazodawcy (413); lecz ocenę tej koncepcji pozostawić należy cywilistom.

Wróćmy jednak na chwilę do istoty zagadnienia, odsuniętego w cień przez te ćwiczenia literackie. Mój pogląd przedstawiał się w sposób następujący. Zdanie »rozkaz obowiązuje rozkazodawcę« jest zdaniem normatywnem, równoważnem (używam rozmyślnie terminologji autora) ze zdaniem »wszyscy rozkazodawcy powinni... zaakceptować... i wykonać sankcję« albo ze zdaniem »jest rzeczą najlepszą, aby każdy rozkazo-

dawca«... i t. d. Ponieważ, zgodnie z kierunkami relatywistycznemi (czy sceptycznemi) nowoczesnemi mniemam, aż do udowodnienia mi tezy przeciwnej, że takie zdania, z których się składały systemy prawa naturalnego i moralności normatywnej, nie mogą być naukowo udowodnione, jeśli mają być normami absolutnemi, (»nie umiem oceniać norm powszechnie obowiązujących ze stanowiska ich prawdziwości« — 381), — próbowałem sprawdzić na przykładzie z książki autora, jakie konsekwencje wypływałyby z omawianej zasady w zastosowanin do wypadków konkretnych. Konsekwencje wysnute dla bandyty i jego ofiary wydały mi się zabawne, lecz nie przekonywające o potrzebie uznania zasady za »oczywistą«; ze stanowiska moich przekonań etycznych ich nie oceniałem, gdyż wogóle unikam operowania momentami irracjonalnemi w rozważaniach naukowych. Ponieważ, z drugiej strony, gotów byłbym uznać wartość zdania normatywnego, gdyby się dało je wyzyskać dla osiągnięcia jasności konstrukcji w dziedzinie dogmatyki pozytywnej, uczyniłem próbę w tej dziedzinie, lecz znowu stwierdziłem, że zasada dotycząca rozkazu nie daje się tam stosować, gdyż okazuje się sprzeczną z normami pozytywnemi. — Tych moich uwag, dotyczących wartości poznawczej jego systemu, autor, niestety, nie uznał za godne rozważenia merytorycznego i ograniczył się do wytknięcia mi — w wyrazach bardzo energicznych, jak zwykle — szeregu brzydkich czynów, przezemnie niepopełnionych.

D. Że p. Adolf Liebeskind w recenzji swej wykazuje więcej przenikliwości i sumienności odemnie, na to gotów jestem zgodzić się najchętniej. W tym jednak wypadku, gdy chodzi o przykład z szosą, mam wątpliwość, czy jego autorytet nie został powołany nadaremnie: p. Liebeskind wcale nie interpretuje tego przykładu, gdyż o nim wcale nie wspomina (Czasopismo pr. i ek. XXI, str. 155); ja zaś przytaczam go, interpretuję i krytykuję. Czy tedy, w tym wypadku specjalnie, patent na ścisłość nie jest w oczach autora uzależniony od tego, czy kandydat zajmuje przychylne lub nieprzychylne stanowisko względem jego poglądów?

Co do mojej interpretacji, to jej nieścisłość wydaje mi się bardzo wątpliwa. Autor twierdzi w replice, że mówiąc o »stałości i trwałości grupy społecznej«, nie miał tu na myśli »oczywista... grupy pasażerów«. Cytuję więc dosłownie ze str. 47: »I może nawet ta forma stanowienia norm postępowania dla innych ludzi jest b a r d z i e j s k u t e c z n a i w p ł y w o w a niż wszelka działalność ustawodawcza: szybciej zmieniają swą treść ustawy, niż s z o s y i k o l e j e ż e l a z n e swój kierunek. Inżynier, budujący szosę, stworzył przez dokonanie pewnego faktu fizycznego sytuację przymusową d l a d ł u g i e g o s z e r e g u l u d z i i p o k o l e ń... Inżynier stworzył te t r w a ł e w a r u n k i powstawania drugiego człona alternatywy, stanowiącej sytuację przymusową...«. Wydaje się dość jasnem, — że jeśli nie w intencji autora, której nam badać nie wolno, to w jego tekście — grupę tworzą ustawodawca-inżynier i pasażerowie-adresaci, i że grupa ta ma być trwała. Co zaś do własnej interpretacji autora, to zaznaczyć się godzi, że twierdzenie jego, iż »mówił« o murach miejskich oraz o okopach i fortyfikacjach, nie jest zgodne z prawdą: o żadnej z tych rzeczy on nie mówił, o ostatniej zaś mówiłem ja w recenzji, wysuwając ten przykład od siebie.

I znowuż, jak zwykle, Szanowny autor zaspokoił się wytoczeniem mi incydentalnego oskarżenia (w tym wypadku o to, że interpretowałem

tekst jego książki, nie zaś to czego w nim nie było), i pominął istotną treść mojej krytyki (str. 382—3).

E. Ustęp ten, jako typowy a krótki, omówiłem w § 1: za wzorem innych zawiera zarzut incydentalny i fałszywy, a sprawę istotną pomija.

F. Uwagę językową, zupełnie słuszną, przyjmuję z wdzięcznością.

G. Zestawienie tego ustępu repliki z moim tekstem (koniec str. 383—385) dostarcza istotnie »najlepszej ilustracji metody krytycznej pana Landego«, wykazując, jak ta »metoda« zrodziła się w wyobraźni pana Znamierowskiego pod wpływem pośpiechu i złego humoru.

Pan Lande »ustala... co nazywam obowiązkiem i uprawnieniem... a cokolwiek dalej zapomina o rozróżnieniu i miesza pojęcie uprawnienia z wolno«. — 1) Uprawnienia z wolno nie mieszam, tylko stwierdzam mimochodem (»nie mówiąc o niejasności granic między wolno a uprawnieniem«... 395), że to rozróżnienie jest dla mnie niejasne; żądanie uzasadnienia tego zarzutu miałoby podstawę, zarzut pomieszania jej nie ma. — 2) Gdy po ustaleniu, że stosunek u p r a w n i e n i a i o b o w i ą z k u jest jasny, widzę niejasność w granicy między u p r a w n i e n i e m a w o l n o, nie może to być dowodem ani zapomnienia, ani sprzeczności, gdyż chodzi o stosunek innej pary pojęć.

Pan Lande »jak zwykle nie krytykuje«... 1) Naogół tak jest, choć nie z motywów podsuwanych mi przez autora, lecz w myśl zasady i w recenzji i tu wyrażonej, że definicyj nie mierzę miarą ich prawdziwości, lecz jedynie wartością twierdzeń na nich opartych; w stosunku więc do definicyj autora, pod względem zakresu i treści nieraz bardzo »nowych«, czekam, jakie wyniki dadzą one w zastosowaniu do pracy teoretycznej lub konstrukcyj normatywnych. Nawiasem zaznaczę, że p. A. Liebeskind, którego autor mi tu znów przeciwstawia, wprawdzie przedstawia istotnie z wzorową ścisłością omawiane definicje na str. 161—2 swej recenzji, lecz na str. 165—6 w sposób zdecydowany wyraża wątpliwość, czy są one »lepsze od innych«; widać tedy, że stanowisko zupełnie analogiczne względem konstrukcyj autora mogą zająć prawnicy, nie zarażeni ani »dogmatyzmem«, ani bezmyślną »wiarą« w Petrażyckiego. — 2) Korelatywność pojęć obowiązku i prawa podmiotowego nie jest wynalazkiem Petrażyckiego, lecz rzeczą niemal powszechnie uznaną, że wskażę choćby na literaturę przytoczoną u B i n d e r a, *Rechtsnorm und Rechtspflicht*, str. 1. 3) Nie chcąc się ograniczyć do wyrażenia biernego oczekiwania, dałem uwagę krytyczną o pojęciu obowiązku jako »jedynej drogi«, wskazując, że takie właśnie pojmowanie obowiązku prowadzi do pomieszania dziedziny normatywnej z teleologiczną, oraz drugą uwagę o stosunku obowiązku do uprawnienia, o czem niżej.

»Prawo do maczania pióra« etc.: tej konstrukcji u a u t o r a nie zaczepiłem wcale, uważając że »wolno« mu tu czynić co mu się podoba, oponowałem tylko (w odsyłaczu str. 385) przeciwko nieostrożnemu twierdzeniu jego, że takich »praw« nie uznają prawnicy. Jeżeli tedy ktoś »nie zechciał czytać uważnie«, to chyba nie ja.

Wreszcie sprawa »czyszczenia butów«: »niepokoiło« mię i »dziwiło« bynajmniej nie to, że »t a s a m a c z y n n o ś ć może być... w jednym czasie i miejscu... uprawnieniem... (a)... gdzieindziej obowiązkiem«, co byłoby istotnie naiwnością, — lecz to, że c z y n n o ś ć w s k a z a n a p r z e z j e d n ą i t ę s a m ą n o r m ę będzie musiała być interpretowana raz jako obowiązek, to znów jako uprawnienie, zależnie od tego, jakie są konkretne warunki realizacji normy oraz od tego, czy bierzemy pod uwagę

tylko daną normę, czy też zarazem normę wyższą tego samego systemu. Tak był skonstruowany mój żartobliwy przykład w odsyłaczu, i sprawdzenie, czy ta konstrukcja odpowiada definicjom autora, było dla mnie rzeczą ciekawą. Niestety zamiast odpowiedzi otrzymałem znów reprymandę za naiwność, której się nie dopuściłem. Obecnie, wobec pretensji autora do mnie, że zamało krytykowałem jego określenia obowiązku i uprawnienia, dodaję uwagę następującą: czy twierdzenie repliki (413), że wymierzenie kary lub egzekucji jest obowiązkiem, nie jest sprzeczne z temi definicjami, skoro obowiązek wskazuje jedną możliwość czynu, jedną drogę działania, jedną ewentualność, a możliwość alternatywy, wyboru kilku czynów, ma charakteryzować uprawnienie? To samo da się zastosować do wszelkich obowiązków alternatywnych, przez prawników dotychczas uznawanych.

H. Nieco łaskawiej obszedł się ze mną autor w sprawie »przełażenia przez mur«. Wprawdzie i tu rzecz się zaczyna od ostrej admonicji (Nb. niezupełnie dla mnie zrozumiałej: kiedyż to odmawiałem autorowi prawa przytaczania własnych swoich myśli?), wprawdzie i tu pominął cały szereg uwag dotyczących jego definicji prawa, lecz bądź co bądź zwrócił uwagę na moją próbę zastosowania tej definicji do przykładu z murem. Niestety jednak co do istoty rzeczy znów się nie wypowiedział. Opierając się na przykładzie »układu«, wytworzonego przez właściciela parku, który »stanowi normę« dla niepożądanych intruzów, zaopatrując mur w drut kolczasty (Podst. poj., str. 48), próbowałem zbadać, czy i w jakich warunkach układ ten może być podciągnięty pod definicję układu prawego. Czyniłem to ostrożnie i z wahaniem (»zapewne«... »jeśli trafnie rozumiem autora«, str. 387—8), zdając sobie sprawę z subtelności i nowości dla mnie zagadnienia i oczekując wyjaśnienia autora, czy trafnie jego koncepcje rozumiem. I oto autor wyjaśnił tylko, że »mur nie jest organem«; przyjmuję to wyjaśnienie bez dyskusji, pomijając szczegół, że w moim tekście organem miał być nie mur, lecz drut (ze stanowiska logiki »nowej« byłoby to zapewne sprawą arcy-ważną, ale mnie, jak wiadomo, logika ta jest obcą); dalej, widzę obecnie, po sprawdzeniu tekstu, że w »Podstawowych pojęciach« organem karzącym miał być sam winny, czyli przełażący, który »ukarze się pokrwawieniem o drut kolczasty« (podkr. moje), co samo już wskazuje na błąd w mojej interpretacji, a przykład cały czyni tem ciekawszym. Lecz po tem wszystkiem istota rzeczy pozostaje niewyjaśnioną jak była: czy układ omawiany odpowiada definicji układu prawnego?

I. »Pojęcie organizacji nie da się zdefinjować bez pojęcia prawa« — pozwoliłem sobie powiedzieć w krytyce. Jedynym sposobem obalenia tej tezy było sformułowanie określenia organizacji bez pomocy pojęcia prawa. Że »każda grupa gry posiada organizację... nie... prawną«, — to nietylko sprawy nie rozstrzyga, lecz pozwala mi postawić nowy znak zapytania przy wyrazach »grupa gry«, które mi się wydają równie podejrzane.

Zamykając te uwagi, odczuwam z góry nieco wstydu wobec tych czytelników — na szczęście zapewne bardzo nielicznych, — którzy zainteresowawszy się naszą polemiką, mieli cierpliwość przeczytać w całości tę odpowiedź, konfrontując ją z repliką prof. Znamierowskiego. Kilka

zagadnień, mogących mieć pewne znaczenie dla metodologji nauk prawnych lub moralnych, utonęło tu w powodzi drobnych sporów o to, kto komu przeinaczył myśl lub przestawił wyrazy. A że dalsza dopiero przyszłość wyjaśnić może, czy »Podstawowe pojęcia teorji prawa« są dziełem, usprawiedliwiającem tak obszerną i drobiazgową pracę krytyczno-komentatorsko-apologetyczną, przeto dziś ta nasza polemika wykazuje w moich oczach — wyznać to muszę — analogię bliższą do średniowiecznych sporów scholastycznych lub do kłótni dziecinnych (»Mamo, on kłamie!« — »Nieprawda, to on sam kłamie!«), niż do współczesnej wymiany myśli naukowej.

Lecz tekst mego obszernego sprostowania wykazał — śmiem tak sądzić — zarówno to, że takie sprostowanie było z mej strony niezbędne, jak to, że wysunięta przezemnie na początku diagnoza źródeł repliki p. Znamierowskiego była trafna, a przeto, że wina całego incydentu na mnie nie spada w najmniejszej mierze. Replika, o ile stanowi akt oskarżenia przeciwko »metodzie polemicznej pana Landego«, wypełniona jest przeważnie bądź piętnowaniem czynów, których nie popełniłem, bądź też niewspółmiernem wyolbrzymianiem uchybień terminologicznych, nie mających w sporze znaczenia; i pod osłoną tego huraganowego ognia oskarżeń incydentalnych ukryte zostały istotne argumenty krytyczne recenzji. O ile zaś autor próbuje polemizować rzeczowo — jak np. w sprawie zdań teoretycznych i praktycznych, — wypowiada tezy dziwnie nieprzemyślane, pełne sprzeczności wewnętrznych i niezgodne z jego własnemi poglądami gdzieindziej wyrażonemi. A wobec takiej treści wywodów ton ich karcąco-pouczający osiąga efekt zupełnie różny od zamierzonego.

Znając warunki, w jakich p. Znamierowski pisał swą odpowiedź, i mając w pamięci styl rzeczowy i wykwintny oraz nastrój zupełnie inny, w jakim odpowiadał mi na zjeździe krakowskim na te same w istocie, krócej tylko wyrażone uwagi krytyczne o jego książce[1], mogę przypisać treść i charakter repliki tylko niefortunnemu zbiegowi wielkiego pośpiechu i chwilowego podrażnienia autora.

Udzielanie Szanownemu memu przeciwnikowi, na zakończenie tych uwag, jakichkolwiek rad i wskazówek co do kierunku i charakteru jego wystąpień pod moim adresem, a tembardziej jego dalszych prac naukowych wogóle, uważałbym za rzecz niewłaściwą i zbędną, choćbym miał przez to narazić się na zarzut niewdzięczności za jego łaskawe »życzenia«, na końcu repliki umieszczone. Sądzę, że będzie rzeczą stosowniejszą, gdy sobie pozostawimy całkowitą swobodę. Co zaś do mego własnego stanowiska względem jakiejś dalszej publicznej wymiany zdań między nami, uważam za wskazane zaznaczyć, że gdy z jednej strony, rozumiejąc całą przypadkowość i nieodpowiedzialność wielu tez repliki, gotów jestem najchętniej uznać ją za niebyłą i kontynuować »miłą i interesującą« dla nas obu polemikę, rozpoczętą na zjeździe krakowskim, podług metod tam między nami ustalonych, — to z drugiej strony, ze względu na »akt stanowienia«, jakim jest dla mnie ostatni głos polemiczny, opatrzony bądź co badź podpisem prof. Znamierowskiego, muszę uznać, że — jak długo ten akt nie jest uchylony — obowiązkiem moim jest wstrzymać się, zgodnie z jego wyraźną wskazówką, zawartą w ogólnej mej dys-

[1] Por. stenogramy przemówień w »Pracach z teorji prawa« — mojego str. 73—5 i prof. Znamierowskiego, str. 79—80, a w tem ostatniem jego zakończenie: »...odkładajac dalszą, miłą i interesującą polemikę z prof. Landem do »Czasopisma«...

kwalifikacji i w »życzeniach« zakończenia, od wszczynania z nim jakiejkolwiek polemiki w druku. Obowiązek ten pojmuję, oczywista, jako ściśle »tetyczny«; dokąd zaś wiedzie »jedyna droga do najlepszego z możliwych«, o tem, w myśl zasad »aksjologji«, każdy z nas sądzić może »podług najlepszego swego rozumienia«. *Jerzy Lande.*

J. Declareuil. *Histoire générale du droit français des origines à 1789.* Paris. Librairie de la Société du Recueil Sirey. 1925, in 8°, 1076 pages.

Francuska literatura historji prawa została wzbogacona w ostatnich czasach bardzo cennem dziełem profesora Declareuil'a, poświęconem historji francuskiego prawa publicznego od czasów najdawniejszych aż do Wielkiej Rewolucji. Zamierzeniem autora było napisać obszerny podręcznik dla studjów uniwersyteckich i tak też został określony w przedmowie cel i charakter książki, tymczasem z pod pióra znakomitego uczonego wyszło dzieło, które bynajmniej nie można poczytywać za zwykły podręcznik, tak bardzo bowiem przerasta jego ramy, lecz zarówno ze względu na głęboki sposób ujęcia przedmiotu, jak wielką ilość nowych, zupełnie oryginalnych koncepcyj należy zaliczyć do dzieł naukowych wyższej i naprawdę nie przeciętnej miary. Z tych właśnie względów wydaje nam się nie od rzeczy zapoznać i polskie sfery naukowe z książką profesora Declareuil'a.

W dziełach ogólnych, obejmujących tak szeroki materjał i na tak rozległej przestrzeni wieków, jak to ma miejsce w pracy profesora Declareuil'a, bardzo dużą i zasadniczą rolę odgrywa kwestja podziału przedmiotu. Od tego bowiem zależy cały sposób ujęcia oraz jasność i przejrzystość w przedstawieniu, a więc te czynniki, które zwykle w tak dużej mierze decydują o wartości książki naukowej. Szczególne trudności nastręczają się tutaj dla historyka prawa. Instytucje prawne bowiem, stanowiące przedmiot jego badań, wykazują w swym rozwoju tak wielką różnolitość i tak niespodziewane nieraz załamania, przytem tak ściśle są splecione z innemi zjawiskami życia współczesnego, życia społecznego, że trudno jest przeprowadzić bez reszty podział na poszczególne okresy w ten sposób, by każdy z nich stanowił odrębną i zamkniętą w sobie całość. Również dominująca ponad wszystko zasada ciągłości historycznej komplikuje ogromnie powyższą kwestję. Toteż, by uniknąć tych trudności należy brać za punkt wyjścia podziału różnice najistotniejsze, takie mianowicie punkty zwrotne, któreby stanowiły równocześnie epokę w rozwoju ogółu instytucyj prawnych, skąd wynika potrzeba podziału na okresy długie i jaknajbardziej ogólne. Tylko ta metoda podziału pozwala przedstawić rozwój poszczególnych instytucyj prawnych możliwie wszechstronnie i wyczerpująco. Tą drogą właśnie poszedł profesor Declareuil, dzieląc wielki czasokres od początków przedhistorycznych swojego narodu do Wielkiej Rewolucji na cztery wielkie perjody, ujęte w formę obszernych Ksiąg. Pierwsza Księga obejmuje pod mianem »początków« okres od czasów najdawniejszych do ukonstytuowania się monarchji Merowingów; druga Księga jest poświęcona dziejom monarchji Merowingów i Karolingów, trzecia feudalizmowi, wreszcie czwarta, zatytulowana »Le royaume de France« przedstawia obraz kształtowania się królestwa fran-

cuskiego i jego instytucyj prawnych od żmudnych początków za Hugona Kapeta do jego schyłku u progu Rewolucji.

Dociekając początków narodu francuskiego autor z całą świadomością niemożliwości gruntownego zbadania takowych, nie stawia bynajmniej żadnej, łatwo zawodnej w tych warunkach hipotezy, lecz rozstrzyga rzecz kompromisowo, poczytując swój naród w późniejszej jego formie za rezultat kolejnego zmieszania się wszystkich grup etnicznych, jakie znalazły się w różnych epokach na ziemi dzisiejszej Francji.

O pierwszych jej mieszkańcach, Iberach i Ligurach, nie mamy żadnych wiadomości. Co do późniejszych Celtów, w chwili podbojów Cezara stali oni na dość wysokim poziomie, wyszli już mianowicie z pierwotnego okresu rodu i zorganizowali się w szereg państw. Państwa te jednak, mimo że występują już w nich wszystkie zasadnicze elementy składowe, były bardzo słabe, co w znacznym stopniu ułatwiło ich romanizację, która zresztą przyszła tutaj do skutku niemal spontanicznie. Galowie okazali ogromną skłonność w kierunku przyjęcia wyższej kultury rzymskiej, Rzym ze swojej strony umiał pójść po linji skłonności, unikając wszelkiego gwałtu, stąd też wynikło to tak silne i zdumiewające skądinąd przywiązanie Gallji do zwycięzców. Wszelkie ruchy seperatystyczne, które później miały miejsce — jak to wykazuje profesor Declareuil — nie wypływały bynajmniej z dążności patrjotycznej w kierunku uzyskania niepodległości, lecz były wyrazem pospolitej ambicji awanturniczych jednostek. Ten stan rzeczy był zupełnie zrozumiały, jeżeli się zważy, jak wielkie korzyści płynęły dla Galji z jej nowej sytuacji. Wszak teraz dopiero pod skrzydłami opiekuńczemi Rzymu mogła się dokonać ostatecznie unifikacja etniczna kraju, co więcej, pod wpływem rzymskiej inicjatywy i na rzymskich wzorach zaczęła się realizować w Galji jedność polityczna i administracyjna. Z nieokreślonego konglomeratu różnych czynników, jaki przedstawiała dotąd Galja, zaczęła się wyłaniać nowa, silna indywidualność historyczna o wielkiej przyszłości.

Społeczeństwo galickie przystosowało się bardzo szybko do rzymskich urządzeń, szybko też w ramach nowej organizacji odbył się proces podporządkowania lokalnych tendencyj idei omnipotencji państwa, którą Rzym kultywował bardzo starannie, w tej formie przedewszystkiem, że akcentował bardzo silnie swą rolę opiekuńczą w stosunku do zjednoczonych pod jego berłem terytorjów. Mimo jednak ogromnie wygórowanych pretensyj w kierunku zapewnienia swym poddanym jaknajdalej idącej opieki, państwo rzymskie było już za słabe zarówno na zewnątrz, jak i na wewnątrz, by mogło dać odległej Galji dostateczne gwarancje i ochronę czyto przeciwko powtarzającym się raz po raz inwazjom barbarzyńców, czyto przeciwko niepokojom wewnętrznym. Okoliczność powyższa spowodowała, iż społeczeństwo, pozbawione szerszej opieki ze strony państwa, zaczęło jej szukać w instytucjach pozapaństwowych, rozwijając mianowicie z jednej strony silny ruch korporacyjny, obejmujący nietylko rzemiosła i poszczególne zawody, ale wogóle mieszkańców danej miejscowości jako takich, z drugiej zaś strony zapoczątkowując nowy, nieznany tutaj dotąd system zależności społecznych, wyrażający się w formie jużto c o m m e n d a t i o, t. j. indywidualnego poddania się jednostki w opiekę drugiej silniejszej jednostki, jużto p a t r o c i n i u m, t. j. pewnego rodzaju klienteli zbiorowej, rozpościerającej się nieraz na całe powiaty. Jakkolwiek jednak źródła tego całego ruchu i tych nowych instytucyj tkwiły w słabości państwa rzymskiego, to jednak państwo to

nie było jeszcze na tyle słabem, by nie móc zereagować na te tak logiczne w swym przebiegu przemiany, sposób zaś, w jaki zareagowało, dowodzi wielkiej mądrości politycznej i zmysłu organizacyjnego ze strony rządzących sfer Rzymu. Nie czyniąc mianowicie żadnych przeszkód w rozwoju tych nowych form życia społecznego, lecz przeciwnie jaknajgorliwiej go popierając, Rzym potrafił sprytnie obrócić nowy ruch na swoją korzyść: zasobna w siły żywotne i rozgałęziona po całym kraju, organizacja korporacyjna wcielona została w system administracji państwowej, co pozwoliło państwu za jednym zamachem uzupełnić swoje własne braki w zakresie tych sił żywotnych oraz wywiązać się wobec poddanych z zasadniczego obowiązku opieki, który tak wielką odgrywał rolę w rzymskiej koncepcji państwowej. Odtąd każde stowarzyszenie, poczytywane za organ administracji państwowej, miało za zadanie czuwać w interesie ogółu nad należytą sprawnością danego rzemiosła, czy też innej funkcji społecznej, stanowiąc równocześnie władzę dyscyplinarną wobec swoich członków. Dalszą konsekwencją tego stanu rzeczy był przymus przynależności do takiego stowarzyszenia, rozciągający się na wszystkich bez wyjątku mieszkańców i obejmujący nawet potomstwo i majątek stowarzyszonego. Stąd wynikła paradoksalna sytuacja. Korporacje, które w pierwotnem swem założeniu miały na celu obronę praw jednostek, stały się wskutek inicjatywy rzymskiej jaknajkategoryczniejszem zaprzeczeniem tychże praw, grobem jakiejkolwiek wolności indywidualnej. Jednostka stała się ślepem narzędziem w rękach potężnej organizacji, mało znaczącem kółeczkiem w ogólnej maszynerji. Był to, jak się słusznie wyraża autor, typowy i najskrajniejszy, jaki kiedykolwiek zanotowano w dziejach, obraz socjalizmu państwowego. Ofiarą tego systemu padły przedewszystkiem miasta; wieś, która nie rozwinęła u siebie silniejszego ruchu korporacyjnego, wyszła obronną ręką. I na wsi jednak dadzą się zaobserwować w owym czasie dwa bardzo ciekawe i nowe zjawiska pozostające w silnym związku z wyżej nakreślonym stanem rzeczy. Pierwsze z tych zjawisk — to szybko postępująca nacjonalizacja ziemi, na którą złożyły się liczne konfiskaty oraz inkorporacje ziem należących do miast i kościoła, drugie zaś — to przywiązanie rolników do ziemi. Ta ostatnia inowacja, zastosowana zarówno na ziemiach państwowych, jak i prywatnych, spowodowana została koniecznością zapewnienia miastom aprowizacji, a państwu podatków, objęła zaś nietylko rolników wraz z rodzinami, lecz także i rzemieślników wiejskich.

Rzecz jasna, że dla utrzymania podobnego systemu, opartego w pierwszym rzędzie na idei przymusu państwowego, okazało się rzeczą nieodzowną zorganizowanie silnej, wybitnie scentralizowanej administracji, którąby z jednej strony przeciwstawiła się wszelkim odruchom indywidualistycznym, z drugiej zaś strony skoordynowała zmechanizowaną wolę jednostek w kierunku jaknajszerzej pojętej solidarności socjalistycznej. Rzym rozumiał dobrze powyższą konieczność i na tych właśnie zasadach oparł swoją administrację; jej duch centralistyczno-socjalistyczny przeniknął wszystkie dziedziny życia publicznego i prywatnego. Ten stan rzeczy jednak, mimo tak potężnej racji państwowej, już w zarodku swoim nosił ogromne niebezpieczeństwo i ryzyko. Z chwilą bowiem kiedy zabrakło silnej administracji rzymskiej, musiała runąć równocześnie cała ta tak ściśle z nią związana koncepcja socjalizmu państwowego. Rzeczywiście wraz z upadkiem państwa rzymskiego znikła bez śladu organizacja korporacyjna po miastach; jedynie na wsi niewolnictwo w formie przy-

wiązania do gruntu zdołało się utrzymać mimo tego upadku, co więcej, wykorzystane przez wielkich właścicieli, p o t e n t e s, zaczęło przybierać coraz to ostrzejsze i uciążliwsze formy dla ludności rolnej.

Przechodząc do instytucyj frankońskich z okresu przed pojawieniem się Merowingów, profesor Declareuil stwierdza przedewszystkiem brak jakichkolwiek konkretnych źródeł, dotyczących tych instytucyj. Na podstawie źródeł historycznych, pochodzących z wcześniejszej lub późniejszej epoki, autor stawia następującą hipotezę: Frankowie po zainstalowaniu się na lewym brzegu Renu znajdowali się na stopniu organizacji klanowej. Ich państwo przedstawiało się jako obszerny klan z królem dziedzicznym na czele, którego władza cywilna i wojskowa opierała się z jednej strony na pewnego rodzaju d o m i n i u m w stosunku do klanu, należącem do jego rodziny, z drugiej zaś strony na węźle klienteli, jaki go łączył z poddanymi. Władca absolutny w obrębie swej grupy etnicznej, król frankoński, zależał jedynie od Rzymu i przed nim ponosił odpowiedzialność za zobowiązania całej grupy wobec I m p e r i u m. W ten sposób król frankoński spełniał równocześnie dwie funkcje: króla swojego klanu i urzędnika rzymskiego.

Charakteryzując koncepcję państwa patrymonjalnego Merowingów stwierdza autor, że właściwie nie można tu mówić o państwie we właściwem tego słowa znaczeniu, lecz o własności prywatnej króla, którą tenże przy pomocy osobiście mu poddanych wojowników rozszerzał w drodze podboju. Klodwig nigdy nie reprezentował w swojej osobie suwerenności narodu. Jego stosunek do klanu opierał się wyłącznie na kryterjach prawa prywatnego. Ten brak właściwych elementów państwowo-twórczych w królestwie Klodwiga odbił się ogromnie niekorzystnie na jego sile i spoistości wewnętrznej. Z jednej strony mianowicie charakter patrymonjalny państwa powodował ciągle jego podziały, z drugiej zaś strony przysięga wierności, jaka łączyła poddanych z monarchą, nie przedstawiała dość silnego węzła, skoro z racji owych podziałów przed poddanymi otwierało się tyle korzystnych sposobności zmiany swojego zwierzchnika.

Okoliczności, w jakich się odbyła zmiana dynastji i przyjście do władzy Karolingów, zmieniły gruntownie charakter monarchji. Władza królewska, poczytywana dotąd jako d o m i n i u m, stała się teraz m i n i s t e r i u m, funkcją, wykonywaną p r o u t i l i t a t e r e i p u b l i c a e. Powstała cała nowa teorja, która umieściła źródło władzy monarszej na zewnątrz królestwa — w Bogu; królowi przypisywała ta teorja charakter ministra Boskiego, powołanego na to, by zrealizował w swojem królestwie ideał pokoju i sprawiedliwości, czyli ideał, który stanowi cel ostateczny i rację bytu każdego państwa. Władza Merowingów, oparta wyłącznie na kryterjach prawa prywatnego, była wybitnie arbitralną; nie było jeszcze żadnych norm prawa publicznego, któreby tę władzę w jakimkolwiek kierunku ograniczały. Przeciwnie, władza Karolingów nie nosi już tego charakteru arbitralności; wykonywana p r o u t i l i t a t e r e i p u b l i c a e musiała się stosować do pewnych reguł orjentujących ją w kierunku tejże u t i l i t a s. Reguły te, wynikające ze współczesnych pojęć moralnych i religijnych, należały niewątpliwie do sfery prawa publicznego. Ten właśnie fakt oparcia władzy królewskiej na nowej, nieznanej dotąd podstawie prawa publicznego stanowi najdonioślejszą różnicę między monarchją Merowingów i Karolingów.

Ten nakreślony wyżej charakter władzy monarszej, zarówno jak panujący wówczas system prawa personalnego wywarły bardzo poważny wpływ na strukturę ówczesnego społeczeństwa. Głównym i charakterystycznym rysem tej struktury był w epoce Merowingów i Karolingów fakt równości pod względem politycznym przy równoczesnym braku tej równości w zakresie socjalnym. Wszystkie narody wchodzące w skład państwa frankońskiego były równo uprawnione; wszyscy ludzie wolni mieli jednakowe prawa i obowiązki wobec monarchy. Wprawdzie począwszy od VII wieku zaczęły się odzywać bardzo silne tendencje w kierunku zmiany tego stanu rzeczy, mianowicie z jednej strony wysunęła się na czoło społeczeństwa nowa warstwa arystokracji urzędniczej, z drugiej zaś strony praktyka oddawania się słabszych jednostek pod opiekę potężniejszych wciąż przybierała na rozmiarach, zwiastując przyjście epoki feudalnej, — narazie jednak tendencje powyższe obracały się w sferze pozaprawnej i znaczyły swój triumf tylko na polu faktycznem. Niemniej jednak już wówczas były to tendencje bardzo silne i niewątpliwie nosiły w sobie zapowiedź obalenia dotychczasowej równowagi, do czego też rychło doprowadziły, dzieląc społeczeństwo na odrębne warstwy polityczne. Pod koniec epoki frankońskiej widzimy już ludność zróżniczkowaną nietylko pod względem socjalnym, co było regułą od czasów rzymskich, ale i pod względem politycznym.

Przechodząc do epoki feudalnej, profesor Declareuil wysuwa nową i ciekawą koncepcję odnośnie do senjoratu i lenna. Zdaniem jego mianowicie system senjoratu i system lenny przedstawiają dwa zupełnie odrębne i w różnych płaszczyznach rozwijające się pojęcia. System senjoratu jest kategorją politycznego, system lenny zaś ekonomicznego i społecznego rządu. Senjorat określa autor jako podział sewerennosci, dokonany w formie uzurpacji ze strony urzędników królewskich tej władzy, którą dotychczas piastowali na podstawie delegacji od króla, a którą teraz zaczęli wykonywać w swojem własnem imieniu i suwerennie. Natomiast istotę feudalizmu, który obraca się w sferze stosunków prawnoprywatnych, stanowi kontrakt. Treścią tego kontraktu była początkowo koncesja używalności jakiegoś dobra wzamian za pewne usługi ze strony koncesjonarjusza wobec koncedenta. Wśród rozmaitych typów tych kontraktów najbardziej dominujące miejsce pod względem ekonomicznym i socjalnym zajęły te kontrakty, których przedmiotem była ziemia. Dalsza ewolucja zróżniczkowała lenna ziemskie na następujące kategorje: lenna szlacheckie, nadawane wzamian za usługi osobiste, przedewszystkiem rycerskie, lenna udzielane za czynsze i perjodyczne opłaty i wreszcie lenna udzielane ludności niewolnej. Praktyka zastrzegła rychło nazwę lenna tylko dla pierwszej kategorji, dla pozostałych używając nomenklatury ziemi czynszowych. Podstawą systemu stały się lenna szlacheckie, które zrazu udzielane czasowo, w dalszej ewolucji szybko stały się dożywotniemi, z dożywotnich zaś dziedzicznemi. Lenna powyższe, stwarzając silny węzeł pomiędzy kontrahentami przez nałożenie na nich wzajemnych obowiązków, spowodowały zasadnicze przemiany w ustroju społecznym. Zrodzone z tej samej tendencji, która tkwiła na dnie c o m m e n d a t i o i p a t r o c i n i u m w czasach rzymskich, lub k o m i t a t u za Merowingów, mianowicie odwiecznej tendencji ze strony słabych w kierunku szukania opieki u możnych wobec niedostateczności opieki państwowej, doprowadziły do podziału społeczeństwa na drobne, samowystarczające sobie grupy, złożone z większej liczby wasali, poddanych jednemu senjorowi.

Tak scharakteryzowawszy genezę i ewolucję obu systemów, profesor Declareuil obala twierdzenie, jakoby senjorat i lenno powstały i rozwijały się w ścisłej od siebie zależności. Spotkanie, zdaniem autora, nastąpiło dopiero później, kiedy oba systemy były całkowicie wykształcone i kiedy kumulacja okazała się koniecznością rozwojową. Kumulacja powyższa przyniosła w rezultatach bardzo poważne korzyści: przedewszystkiem senjorowie wzmocnili ogromnie swoje stanowisko, znajdując w feudalizmie dogodne narzędzie, pozwalające im uzależnić od siebie innych, słabszych senjorów przez przyjęcie ich wraz z ziemią w poczet swoich lenników, co doprowadziło do wytworzenia tak niezbędnej dla dalszego rozwoju hierarchji.

W tych warunkach stanowisko władzy monarszej było bardzo trudne. Emancypacja senjorów podkopywała ogromnie znaczenie funkcji królewskiej i godziła wprost w jej rację bytu. Jeżeli władza królewska mimoto zdołała się utrzymać, a nawet potem zatriumfować nad przeciwnościami, zawdzięczać to należy reminiscencjom dawnej jedności terytorjalnej, przedewszystkiem jednak bardzo mądrej i śmiałej polityce Kapetyngów. Kapetyngowie mianowicie, dopóki tylko mogli i przy każdej sposobności podkreślali, że uprawnienia senjorów nie mają charakteru samoistnego, lecz stanowią część władzy publicznej, delegowaną na nich przez króla; kiedy zaś ten charakter urzędniczy senjorów zaczął się coraz bardziej zacierać z postępem czasu, a na czoło wysunął się ich charakter lenny, potrafili i w tej sytuacji zeskontować na swoją korzyść wyniki ewolucji, wiążąc mianowicie jaknajściślej obowiązek hołdu z posiadaniem senjoratu, który w tych warunkach przybrał charakter zwykłego lenna, koncedowanego przez króla jako najwyższego suwerena. Ten logiczny zresztą obrót spraw był z jednej strony ukoronowaniem systemu lennego, z drugiej zaś strony stawiając monarchę na szczycie hierarchji lennej, uratował w ten sposób zachwianą w swoich posadach tradycję państwową.

Terytorjum senjora stanowiło zamkniętą w sobie całość i zorganizowane na wzór państwa, posiadało wszystkie te instytucje, które poprzednio stanowiły wyłączny monopol tego państwa. Węzeł, który łączył teraz poddanych z senjorem, był bardzo silny, opierał się bowiem na kontrakcie lennym, który będąc zarazem personalnym i realnym, wprowadzał bardziej solidną i trwałą podstawę tego stosunku, niż to miało miejsce dotychczas.

Każdemu autorowi, przedstawiającemu historję prawa publicznego swego narodu, musi się nasunąć w pewnym momencie zasadnicze pytanie, czy naród ten wytworzył w swojej przeszłości konstytucję, tj. szereg takich zasad, które obowiązując wszystkich bez wyjątku, a więc nawet i najbardziej absolutnego monarchę, służyły z jednej strony za fundament dla całej budowy państwowej, z drugiej zaś strony, jako pewne stałe i niezmienne punkty, orjentowały tę budowę w pewnym ściśle wytyczonym kierunku. Profesor Declareuil rozstrzyga to pytanie w sensie pozytywnym, powołując się przedewszystkiem na świadectwo współczesnej bardzo bogatej literatury politycznej. Wedle zgodnej opinji tej literatury istniały i istnieją prawa wyższe ponad osobę królewską i jego ustawy— prawa królewstwa, których nikomu, nawet królowi nie wolno naruszyć, ani zmienić. Początek tych praw nie jest wyjaśniony; w każdym razie zwyczaj i czas odegrały przy ich tworzeniu rolę niepoślednią. Zresztą na powstanie ich złożyły się różne czynniki, jakoto warunki historyczne

i życiowe społeczeństwa, naturalne i sztuczne tendencje ustrojowe, mądrość i spryt monarchów, a wreszcie wielka praca legistów, którzy nadali tym prawom ściśle sprecyzowaną formę i logiczne uzasadnienie. Mimo, że wielu późniejszych teoretyków zaprzeczało istnienia tych praw, przetrwały one przez cały czas i, uznawane zarówno przez króla, jak inne czynniki, pracujące około budowy państwowej, stały się podstawą ustroju monarchji francuskiej. Reprezentując czynnik stałości w tym ustroju, prawa zasadnicze nie były jednak martwą literą, pozbawioną zdolności do stosowania się do wciąż zmieniających się form życia państwowego i społecznego. Przeciwnie, nawet najbardziej konserwatywni legiści uznawali konieczność ich zmiany w pewnych wyjątkowych wypadkach. By jednak pogodzić tę konieczność z wyżej nakreślonem założeniem i celem praw zasadniczych musieli wynaleźć stosowną formę i organ powołany do tego rodzaju wyjątkowej zmiany. Za punkt wyjścia przyjęli tu legiści moc obowiązującą tych praw. Ponieważ, zdaniem ich, obowiązywały one zarówno monarchę, jak i poddanych, przeto nie mogły być zmienione, jak tylko za wspólną zgodą obu tych czynników, tworzących razem tzw. »corps national«. Organem, który reprezentował lud w tym wypadku były Stany Generalne; ich posłowie mieli, jak się wyraził Guy Coquille, mandat imperatywny nietylko do radzenia, ale i do rządzenia.

Lista tych praw zasadniczych, ustalona i tradycyjnie powtarzana w literaturze, obejmowała następujące zasady: dziedziczność korony, legitimité tj. zasadę, iż król obejmował władzę nie z mocy własnego prawa subjektywnego, lecz na podstawie objektywnej normy prawnej, która go desygnowała na tę najwyższą godność, następnie niemożność dysponowania koroną ze strony dynastów, niepodzielność terytorjum państwowego, wreszcie zasadę, iż król francuski musi być katolikiem.

Polemizując z utartym wśród historyków francuskich poglądem, który w absolutyźmie władzy królewskiej widzi epokę i ściśle odgranicza od siebie dwie kolejno po sobie następujące formy władzy królewskiej, z których tylko drugą poczytuje za absolutną, profesor Declareuil stwierdza, iż niema żadnych podstaw do takiego rozgraniczenia, skoro władza królewska w obu tych formach opierała się na jednej i tej samej zasadzie rządów ściśle osobistych przy równoczesnem poszanowaniu praw fundamentalnych, że natomiast zmieniła się tylko współczesna doktryna o suwerenności i to właśnie zaważyło tak silnie na dalszych losach monarchji. Mniejwięcej do wieku XVI uważano suwerenność tj. sumę uprawnień najwyższej władzy za produkt historyczny i w historji szukano dla niej oparcia i uzasadnienia. Od tego czasu jednak doktryna zerwała z metodą dociekań historycznych i posługując się abstrakcyjnem rozumowaniem, zbudowała metafizyczną koncepcję suwerenności państwowej, przedstawiając ją jako oderwaną potęgę, która absorbuje wszystkie elementy życia państwowego i tworzy punkt centralny, skąd wszystkie instytucje biorą swe źródło i siły do życia.

Silny w teorji absolutyzm monarszy miał jaknajwiększe szanse powodzenia w praktyce głównie dzięki temu, że opowiedziała się za nim ta warstwa narodu, która przez bogactwa materjalne i wykształcenie zdobywała sobie coraz większe znaczenie, mianowicie burżuazja. Z niej wyszli najgorliwsi pomocnicy królewscy i tak oddani idei absolutyzmu legiści. Mając tak silną podporę w społeczeństwie mogli królowie francuscy wieku XVI, XVII i XVIII przeprowadzić konsekwentnie swoje

plany absolutystyczne, przedewszystkiem więc stworzyć silny, centralistycznie zorganizowany system administracji.

Zorganizowanie administracji centralnej nie napotkało większych trudności. Tu bowiem albo tworzono instytucje nowe, albo przerabiano dawne, które zawsze znajdowały się w ścisłej zależności od monarchy. Gorzej było z administracją prowincjonalną, która od szeregu wieków wskutek rewolucji, dokonanej przez senjorat, wysunęła się z rąk monarchy tak, że trzeba ją było dopiero odbudowywać w miarę, jak równolegle postępował proces unifikacji terytorjów francuskich pod berłem królewskiem. Królowie francuscy nie mogli tu zastosować jednolitego schematu, odnoszącego się do wszystkich ziem, lecz licząc się z jednej strony z tym stanem rzeczy, który zastali w chwili inkorporacji, z drugiej zaś strony z całym szeregiem innych względów, wśród których nieostatnią rolę odgrywały względy oszczędnościowe, musieli pogodzić się z faktem niejednolitej organizacji, tak pod względem obszaru i granic poszczególnych jednostek administracyjnych, jak i kompetencji ich szefów. Dopiero w późniejszej epoce, z chwilą wprowadzenia instytucji intendantów, nastąpiło w tym względzie pewne wyrównanie i ujednostajnienie.

Jeszcze większe trudności napotykali monarchowie francuscy przy organizowaniu jednolitego sądownictwa w kraju. Mimo bowiem, iż zasada przypisująca królowi najwyższe zwierzchnictwo w zakresie wymiaru sprawiedliwości nie przestała nigdy obowiązywać, pod koniec wieków średnich istniały we Francji najrozmaitsze kategorje sądownictwa, które w żadnej, albo bardzo małej pozostawały zgodzie z wyżej wymienioną zasadą. Z jednej strony mianowicie jurysdykcja senjorów i feudalna, z drugiej jurysdykcja municypalna i kościelna stanowiły poważną i niebezpieczną konkurencję dla królewskich organów sądowych. Podporządkowanie tych jurysdykcyj organom królewskim, albo gdzie tylko to było możliwem, zniesienie ich i zastąpienie przez sądy monarsze — to były główne etapy walki, jaką królowie francuscy podjęli w celach unifikacji wymiaru sprawiedliwości, walki długiej i wytrwałej — aż do zupełnego zwycięstwa.

Charakteryzując władzę ustawodawczą w monarchji absolutnej podkreśla autor, że jakkolwiek w epoce feudalnej pojawiały się próby podziału tej władzy między króla i assemblée, jak to miało miejsce w Anglji, to jednak ostatecznie pod wpływem rzymskiej i frankońskiej tradycji zwyciężyła koncepcja monopolu legislacji w rękach monarszych, co współczesna doktryna wyraziła w sławnej formule: »qui plet au roy, vaut loy« lub »que veut le roy, ce veut la loy«. Tak pojęta władza ustawodawcza królów francuskich nie miała żadnych granic, te bowiem ograniczenia, które przytacza Beaumanoir, mianowicie, by ustawy królewskie były wydawane »pour le commun pourfit« i »par grand Conseil«, zdaniem autora, nie miały istotnego znaczenia, skoro zawsze monarcha mógł je przekroczyć i raczej należy im przypisać znaczenie moralne, jako wyrazowi pewnej, poważnej zresztą, opinji. Również nie miały nigdy charakteru granic remonstrancje ze strony kollegjów suwerennych, w szczególności Parlamentu, ani tembardziej caliers Stanów Generalnych, które, jak to słusznie wykazuje profesor Declareuil, w zakresie ustawodawczym nie były nigdy niczem innem, jak tylko ciałem doradczem. Jednak będąc najwyższym ustawodawcą, król francuski podlegał tak, jak każdy z jego poddanych, prawom przez siebie wydanym. Ten tak pozornie niezrozumiały stan rzeczy był

zwykłą konsekwencją koncepcji, jaką wyrobiono sobie wówczas o prawie jako takiem. Mianowicie współczesna opinja utrzymywała, że prawo jest zjawiskiem objektywnem i że król nie stwarza go bynajmniej, lecz już istniejące odkrywa i głosi. Chwila odkrycia tego prawa jest równocześnie chwilą zobowiązania się władcy wobec niego.

Co do Stanów Generalnych, autor zwalcza opinję, jakoby instytucja ta zawdzięczała swój początek kłopotom finansowym monarchy, który wyczerpawszy wszystkie zasoby domen królewskich, zwoływał senjorów świeckich i duchownych oraz reprezentantów wolnych miast, by od nich uzyskać przyzwolenie na podatki. Opinji tej bowiem przeczy z jednej strony ówczesna teorja legistów, według której król jako »souverain par dessu tous« ma prawo żądać od poddanych tak służby wojskowej, jak pieniędzy, bez żadnego pytania ich o pozwolenie, z drugiej zaś strony i praktyka ówczesna wykazuje, że królowie nakładając podatki, powodowali się wyłącznie własnem uznaniem, a w najlepszym wypadku radą swego przybocznego Conseil. Raczej więc przewijający się wciąż przez wieki średnie obowiązek rady ze strony poddanych był celem, a zarazem główną sprężyną pierwszych Stanów Generalnych. Dopiero później władza królewska postawiła przed Stanami kwestję podatków i to spowodowało zasadniczą przemianę w charakterze tej instytucj, która z prostego ciała doradczego stała się w ten sposób reprezentacją narodu. Ewolucja powyższa tkwiła zresztą swojemi korzeniami w koncepcji feudalizmu. Mianowicie idea przyzwalania podatków opierała się na zasadzie feudalnej, iż wasal jest obowiązanym do świadczeń wobec senjora tylko do pewnej granicy, określonej ściśle w kontrakcie, poza którąto granicą niezbędnem jest jego przyzwolenie. Ta zasada została rozciągnięta w drodze analogji na wszystkie trzy stany. Rychło jednak cała ta koncepcja starła się z drugą, krańcowo jej przeciwną, wysuniętą przez legistów, o której była wyżej mowa i która przypisywała monarsze prawo nakładania podatków w sposób autokratyczny bez konsultowania poddanych. Ostatecznie zwyciężyła koncepcja legistów, zanim jednak to się stało, Stany Generalne przeżyły swój okres rozkwitu i wśród ciągłych walk z absolutyzmem królewskim odegrały, trudną rolę reprezentacji narodowej. Ta ostatnia rola Stanów Generalnych doznała szczególnego wzmocnienia przez wyposażenie ich w atrybucje konstytucyjne w tak doniosłej kwestji, jaką były prawa zasadnicze. Wreszcie, jak wielkie przypisywano znaczenie Stanom Generalnym świadczą liczne głosy ówczesnej opinji, domagające się zwoływania Stanów w chwilach krytycznych, gdy władza królewska z tych czy innych powodów nie mogła być należycie wykonywana.

Bardzo dużo ustępów w swej książce poświęca profesor Declareuil historji źródeł prawnych. Mianowicie co do źródeł rzymskich stwierdza autor, że kompilacja Justynjańska była prawie nieznana w obrębie dawnej Francji: panującem prawem był tu Kodeks Teodozjański i on też pozostał tem prawem dla ludności gallicko-rzymskiej. Z rzadką precyzją kreśli następnie autor historję pomników barbarzyńskich jakoto Lex Wisigothorum vulgata, Lex Gundobadi, Lex Romana Winigothorum, Lex Romana Burgundionum, Lex Salica i Lex Ribuaria, podzielając zresztą we wszystkich wypadkach znane poglądy swoich poprzedników.

Przechodząc do źródeł z epoki Merowingów, autor przeciwstawia się twierdzeniu niektórych historyków, jakoby Leges znajdowały się

poza obrębem królewskiej działalności legislacyjnej i jakoby zakres tej działalności obejmował tylko edicta, decreta, praeceptiones i constitutiones. Wielki Prolog i Epilog w Lex Salica oraz prolog w Lex Ribuaria wykazują aż nadto dowodnie, że królowie i w Leges czynili modyfikacje, jakie uważali za stosowne. Zdaniem autora ta tylko zachodziła różnica pomiędzy temi dwiema kategorjami źródeł, że podczas gdy Leges w zasadzie obowiązywały tylko poddanych, należących do jednej narodowości, edicta, decreta itd. rozciągały swoją moc na wszystkich bez wyjątku poddanych królewskich.

W sprawie Kapitularzy Karolińskich, profesor Declareuil zwalcza pogląd Waitza i Brunnera, jakoby capitula legibus addita vel addenda reformujące Leges miały być wydawane za uprzednią zgodą ludu. Wprawdzie Kapitularze powyższe były zaprzysięgane przez uczestników królewskich conventus oraz za pośrednictwem missów przez niższych sędziów, a nawet nieraz przez wszystkich mieszkańców missaticum — przysięga ta jednak nie może być uważaną za wyraz udziału ludu w ustawodawstwie, skoro odbierana była post factum, a więc po zakończeniu właściwego procesu ustawodawczego. Raczej był to sposób promulgacji ustawy, manifestacja lojalizmu ze strony poddanych, którzy w ten sposób zobowiązywali się osobiście do posłuszeństwa wobec woli monarszej.

Bardzo ciekawe są uwagi autora odnoszące się do systemu tzw. prawa personalnego. Profesor Declareuil mianowicie uważa za niesłuszną opinję, jakoby ten system był pochodzenia germańskiego i wypływał z uczucia litości Germanów wobec zwyciężonych. Na poparcie swego poglądu przytacza autor tę okoliczność, że ani Ostrogoci nie stosowali tego systemu we Włoszech, ani Wizygoci nie posługiwali się nim w Hiszpanji, ani wreszcie tak typowy lud germański, jak Saksonowie w Bretanji nie znali go zupełnie w swoich stosunkach prawnych. Zdaniem autora, źródło powyższego systemu tkwi w stosunkach rzymskich. Rzymianie mianowicie stosowali go wobec ludów podbitych, skąd system powyższy przybrał formę doktryny i, jako taka, został przyjętym przez Burgundów a potem Franków. Niestety autor nie przytacza żadnych szczegółów tego procesu recepcyjnego i stąd jego teza wydaje nam się nadto ryzykowną.

Pod koniec X wieku system prawa personalnego ustąpił miejsca systemowi prawa terytorjalnego. Przyczyną tej zmiany był, zdaniem autora, przewrót w stosunkach państwowych, spowodowany wprowadzeniem senjoratu i wynikający zeń podział kraju na szereg drobnych, ściśle zamkniętych i niezależnych od siebie terytorjów. Fakt zamieszkiwania takiego terytorjum określał teraz stanowisko prawne jednostki i nadawał jej etykietę danego prawa terytorjalnego w stosunkach zewnętrznych i wewnętrznych. To prawo terytorjalne było przedewszystkiem prawem zwyczajowem. Wprawdzie senjorowie wydawali od czasu do czasu prawa i zarządzenia, zwłaszcza w sprawach organizacji i funkcjonowania władz terytorjalnych, zarządzenia te jednak nie mogły zaspokoić wszystkich potrzeb prawnych ludności. Każde więc terytorjum senjora wykształciło swoje własne, odrębne zwyczaje prawne. Zwyczaje te cechowała w chwili ich powstania wielka oryginalność i samodzielność. Zrodzone z istotnej potrzeby chwili i ściśle dostosowane do zapatrywań prawnych swego środowiska, rychło stały się one potężnym czynnikiem w rozwoju życia prawnego społeczeństwa. Lecz w miarę jak

to życie stawało się coraz bardziej skomplikowanem i w miarę jak wyłaniały się nowe zjawiska i potrzeby prawne, zwyczaje lokalne zaczęły niewystarczać. Stąd w podobnej sytuacji uciekano się w praktyce do źródeł prawa rzymskiego, które jakkolwiek nigdy nie zostało przyjęte oficjalnie, niemniej jednak w ówczesnej epoce odegrało bardzo poważną rolę, jako zbiornik, z którego można było czerpać gotowe zasady i prawidła prawne w tych wszystkich wypadkach, w których prawo zwyczajowe wykazywało luki. Ten charakter uzupełniający prawa rzymskiego wpłynął bardzo poważnie na dalszy rozwój prawa zwyczajowego i znalazł swój wyraz w późniejszych prywatnych i półoficjalnych zbiorach tego prawa, a nawet uwzględniony został przy redakcji oficjalnej po własnym ordonansie z Montils-les-Tours. Charakteryzując następnie dzieje wszystkich kolejno po sobie następujących szkół prawa rzymskiego i ich filjacyj na terenie Francji, profesor Declareuil podkreśla jeszcze raz, jak wielki wpływ miało prawo rzymskie na rozwój prawa francuskiego i jak wiele rzymskich przepisów dostało się w drodze nieoficjalnej infiltracji w jego obręb.

Ogromnie interesujące są te ustępy, które autor poświęca historji Kościoła we Francji, w szczególności zaś jego stanowisku wobec państwa, sięgając do czasów najdawniejszych i studjując postępy chrystjanizmu w Galji; autor zwraca uwagę na bardzo silny zmysł organizacyjny, jaki cechował pierwsze kolonje chrześcijańskie — zjawisko, które niewątpliwie zawdzięczać należy wzorom rzymskim — oraz na ogromną lojalność Kościoła wobec władz świeckich, co także było najbardziej charakterystycznym rysem społeczeństwa chrześcijańskiego jeszcze w okresie rzymskim.

Niezależne z początku stanowisko Kościoła doznało pewnego upośledzenia z chwilą przyjścia dynastji Merowingów. Merowingowie bowiem mimo całej wdzięczności, jaką zachowali dla Kościoła za pomoc przy zakładaniu ich państwa, poczytywali zawsze Kościół jako instytucję rzymską i z tego tytułu należącą do zakresu ich prawa patrymonjalnego. Zależność Kościoła od państwa przejawiła się w tem, że królowie z dynastji Merowingów uzurpowali sobie cały szereg uprawnień, czyto gdy chodziło o zatwierdzanie wyboru biskupów, czyto o udzielanie pozwoleń na synody, czyto wreszcie o inne kwestje, dotyczące zewnętrznej organizacji Kościoła we Francji.

Ten stan rzeczy uległ zmianie na lepsze za dynastji następnej. Z czynnika podporządkowanego państwu stał się Kościół czynnikiem równorzędnym i równouprawnionym. Zmiana powyższa była konsekwencją nowej koncepcji cesarstwa rzymskiego, która w jedności państwa i Kościoła realizowała ścisłą kooperację obu tych czynników dla dobra pokoju i ludzkości. Zewnętrzną formą tej kooperacji była w państwie Karolingów unifikacja obu legislacyj, dualizm missów, charakter mieszany *conventus generales*, obowiązek dla duchownych uczestniczenia *w placitum*, obowiązek dla urzędników udzielania poparcia Kościołowi itd. Jak samo cesarstwo rzymskie, sytuacja powyższa nie okazała się trwałą, wszelako jej reminiscencje zachowały się i były nieraz później wyzyskiwane to przez Kościół, to przez państwo w walce, jaka się wywiązała między temi dwiema potęgami.

Przyczyny i źródła tej walki tkwiły, zdaniem autora, w wyjątkowej sytuacji, w jakiej znajdował się monarcha francuski wobec kościoła. Sytuacja ta miała dwa oblicza: jedno z nich — to autorytet króla francu-

skiego, jako najwyższego suwerena, z którego to tytułu uprawnienia monarsze wobec Kościoła nosiły ten sam charakter, co uprawnienia wobec innych poddanych, a korporacyj w szczególności. Drugie oblicze przedstawiało monarchę w położeniu wyjątkowem, jako protektora Kościoła, uświęconego przez sakrę i powołanego z jednej strony do czuwania nad interesami instytucyj kościelnych, z drugiej zaś strony do reprezentowania i symbolizowania w swojej osobie jedności narodowej Kościoła francuskiego. Ten ostatni charakter monarchy uwydatnił się tem silniej, że we Francji, w przeciwieństwie do innych krajów Europy, nie było żadnej instancji pośredniczącej między klerem francuskim a Stolicą Apostolską, jakoto patrjarchatu, prymatu, lub synodu narodowego. W ten sposób monarcha francuski miał wobec Kościoła stanowisko naprawdę uprzywilejowane, toteż nic dziwnego, że z tego tytułu rościł sobie bardzo wygórowane pretensje, zwłaszcza w tak spornej i drażliwej kwestji Kollacji beneficjów. W tej kwestji spoczywała ostateczna przyczyna i zarzewie konfliktu. Konflikt ten rozwijał się w warunkach o tyle korzystnych dla Francji, a przedewszystkiem dla duchowieństwa francuskiego, że był prowadzony przez szefów, t. j. papieża i króla, podczas, gdy społeczeństwo i duchowieństwo nie brało w nim czynnego udziału, co z jednej strony pozwoliło uniknąć tak niebezpiecznego w tego rodzaju wypadkach roznamiętnienia walki, z drugiej zaś strony umożliwiło ostatecznie przygotowanie i zawarcie zgody. Po długich etapach walki zgoda powyższa przyszła do skutku w Konkordacie z 1516 r., który rozstrzygnął spór kompromisowo, choć z wybitnem uprzywilejowaniem stanowiska monarchy przez oddanie w jego ręce wszystkich beneficjów konsystorjalnych. Zdaniem autora jednak to uprzywilejowanie monarchy miało dla Francji skutek raczej dobroczynny, uczyniło bowiem zbędną całą Reformację skoro najsilniejszy pretekst zwalczania Kościoła — jego majątek przestał się znajdować w jego wolnej dyspozycji.

Tak się przedstawia w ogólnych zarysach treść książki profesora Declareuila. Brak miejsca nie pozwolił na szersze jej przedstawienie, już z tego jednak, co podaliśmy, można sobie zdać sprawę, jak imponujący materjał historyczny został przerobiony przez znakomitego uczonego. Bogatą treść uzupełnia wspaniała forma. Nadzwyczajna jasność w przedstawieniu, wytrawna umiejętność w analizowaniu faktów i dociekaniu przyczyn i skutków omawianych zjawisk, głęboka ich ocena, wreszcie piękny, mimo swej »prawniczości«, styl i język czynią z książki profesora Declareuil'a dzieło pod każdym względem nieprzeciętne i niepospolite. *Marjan Jedlicki.*

Totalistyczna (uniwersalistyczna) teorja (filozofja) prawa. (à propos Schreiera: Grundbegriffe und Grundformen des Rechts. Entwurf einer phänomonologisch begründeten formalen Rechts- und Staatslehre, Wien, 1924, p. X+188).

W naszej literaturze ogólno-prawniczej zauważać się dają dwa główne prądy: teoretyczny i filozoficzny. Wprawdzie oba zajmują się mniej więcej tymi samymi przedmiotami, problemami, atoli różni ich zasadniczo nastawienie i sposób ujęcia. Pierwszy typ reprezentuje prof. Znamierowski, drugi, o ile chodzi o krakowski uniwersytet: prof. Jaworski, prof. Krzymuski i prof. Gołąb. Atoli najwięcej wypo-

wiedział się w przedmiocie filozofji prawa prof. Jaworski. Otóż tę »szkołę krakowską« znamionuje przedewszystkiem jednolity a na ogólnej filozofji ufundowany pogląd na prawo. I podczas gdy prof. Krzymuski jest wyznawcą filozofji treści prawa (idealizm prawno filozoficzny), a prof. Gołąb zwraca się ku teorji poznania prawa tudzież bada stosuuek prawa do moralności, norm prawnych do norm moralnych, i różnych z tem związanych zagadnień, to prof. Jaworski dał nam już podstawy, punkt wyjścia, kontury, a nadto wiele szczegółów. Nadewszystko dał nam jednolitą platformę, na której można i trzeba stanąć silnie, i stały kierunek, w którym bezwarunkowo należy pospieszyć.

We współczesnej literaturze niemieckiej, w porównaniu i w przeciwstawieniu do innej, dostrzega się żywy i głęboki ruch w dziedzinie nauki prawa. Pilnie szuka się tu kontaktu z filozofją i usiłuje się oprzeć na niej. Jedną z takich prób jest wymieniona praca Schreiera, która adaptuje fenomenologizm.

Wśród współczesnych poglądów filozoficznych między innymi wysuwa się na plan pierwszy i filozofja uniwersalistyczna, totalistyczna. U nas głosi ją usilnie a wytrwale prof. Jaworski, i autor niniejszych uwag zalicza się do jej zwolenników, przezwyciężywszy dawne (por. Czasopismo prawn. i ekon. z r. 1925) wątpliwości w tym względzie[1].

Filozofja totalistyczna — to ten kąt patrzenia na świat i życie, w którym dostrzega się jedność i całość, zależność i funkcję, dynamiczność, ciągłość itd. zjawisk i rzeczy itd. Szczytową jej formę stanowi uniwersalizm, zwłaszcza w tej postaci, jaką wyznaje prof. Jaworski, gdyż opiera ją o Boga i miłość. Punktem wyjścia a zarazem podstawą filozofji totalności, jest stwierdzenie tego, o czem pisze np. Spann w »Kategorienlehre« 1924: »Alles was ist, besteht als Glied eines Ganzen«. Myśl ta nie nowa. Idea totalności jest, jak słusznie zauważa np. Driesch w swych pracach (Ordnungslehre, Wirklichkeitslehre) a zwłaszcza w rozprawie »Das Ganze und die Summe« 1921, »ein Urbegriffliches«, z którą spotykamy się już w zaraniu naszej myśli. I rzeczywiście tę ideę natrafiamy w myśleniu już przedfilozoficznem, a więc: dziecka, człowieka pierwotnego, w myśleniu mitycznem i mistycznem. Mowa, muzyka itd. są jej przejawami. Dostrzegamy ją na każdem polu naszej wiedzy, naszego poznania. Idąc za Höffdingiem (por. Der Totalitätsbegriff 1917, Der menschliche Gedanke 1911), możemy mówić, że naszą energję psychiczną cechuje popęd i uzdolnienie do tworzenia totalności. Lecz idea totalności nie tylko jest ufundowaną konstytucją naszej psyche, ale również i samą rzeczywistością. Otóż na widowni świata zachodzą różnego rodzaju wielkości itp. totalności czyli postacie, zespoły (tzw. filozofja postaci, zespołów)[2],

---

[1] Wyrazem tego jest moja praca »Idea totalności we filozofji i teorji prawa«, wygłaszana obecnie w krak. Towarzystwie filoz.

[2] Co do postaci, zespołu (Gestalt) por. następującą literaturę: 1) Anschütz: Uber Gestaltqualitäten 1909. 2) W. Kohler: Die physischen Gestalten in Ruhe und im stationären Zustand 1920 i tegoż 3) Gestaltprobleme und Anfänge einer Gestalttheorie (w Jahresbericht ü. d. ges. Physiologie 1922, tudzież krytykę tych prac 4) Driesch: »Physische Gestalten und Organismen« (w Annalen d. Philosophie, V Bd. H. 1) 5) Becher: Über Köhlers physikalische Theorie usw. (w Zeit. f. Psych. 87, 1921 — por. też tegoż Naturphilosophie) 6) Kohlschütter: Die Form der Stoffe im chem. Vorgang (w Naturwiss XI H. 43 (1923) 7) Driesch: Begriff d. Organischen Form, Berlin 1909, (też inne dzieła a zwłaszcza Philosophie d. Organischen II Aufl. 1921), 8) Faigl: Ganzheit u. Zahl, Jena 1926.

które łączą się ze sobą w coraz wyższe twory, o coraz więcej skomplikowanym składzie, spoidle, natężeniu itp., by wreszcie utworzyć kosmos, jako przeciwieństwo chaosu.

Totalizm znajdujemy nie tylko w przyrodzie (np. organizmy), lecz również i w naszem życiu psychicznem (Struktur-Gestaltpsychologie)[1]. Nasza osobowość (Person) jest też totum[2]. Nasze myślenie, nawet kategorje są niem uwarunkowane. Stąd mamy totalistyczną teorję poznania, logikę (Spann, Driesch (Ordnungslehre) itd. Jej szczególniejszą postacią jest socjologiczne pojmowanie poznania (Durckheim, Lévy-Bruhl, Jerusalem, Andrei).

Totalizm głosi, że całość — to bynajmniej suma, a więc luźny, zewnętrzny, przypadkowy agregat. W całości elementy są uwarunkowane sobą tudzież ogólną formą całości (εἶδος i ἰδέα μια — u Platona).

Totalizm w zastosowaniu do dziedziny prawa może być: 1) materjalny 2) formalny. Pierwszy — to totalizm treści, drugi zaś — to punkt widzenia od strony formalnej. Pierwszy bada stosunek jednostki do społeczności i chce rezultaty swych dociekań ubrać we formy prawnych przepisów i uregulowań. Idzie tu o to, aby treść norm prawnych wypływała z idei totalistycznego pojmowania społeczeństwa i jego przejawów. Jest to uniwersalizm, o ile opiera się o Boga i uczucie miłości. Takim jest pogląd prof. Jaworskiego, jego absolutna filozofja, absolutna moralność. Formalny zaś totalizm — to teoretyczny punkt widzenia na prawo, jako ogół norm. Dawniej: św. Augustyn, św. Tomasz a dziś w szkole katolickiej, chodziło względnie jeszcze idzie o gradację norm i ich hierarchję, zależność pod względem treści. Tego rodzaju stopniowa budowa znachodzi swój wyraz w nauce o *lex aeterna*. Dziś atoli (Merkl, Verdross i inni) ma się na uwadze jeno czysto prawniczy *modus aspiciendi*. Taką jest ich »Stufenbaulehre« norm. Idzie tu o zależność, gradację, kontynuum, dynamiczność itp. norm, lecz jeno logiczno-formalną. Atoli można jeszcze i o innym rodzaju totalizmu mówić, a mianowicie o takim, jaki dostrzegamy w pracy Schreiera. Ten bowiem ma na oku »postacie«, zespoły prawne.

Otóż tak się przedstawiają istota i zadania totalizmu prawniczego w szkicowem ujęciu. Bliżej to uzasadniam i rozwijam w powołanej pracy: »Idea totalności we filozofji i teorji prawa«.

Jak zaznaczyłem, jest to pójście z mej strony śladem prof. Jaworskiego. Te wszystkie bowiem myśli znalazłem przy głębszem wniknięciu w jego filozofję. Uzasadniam je jeno bliżej i szerzej rozwijam i nawiązuję do całego ruchu totalistycznego współczesnego czy dawniej-

---

[1] Por. zwłaszcza prace Koffki, Wertheimera, Sterna, (np. Differentielle Psychologie, Sprengera (Lebensformen, Psychologie d. Jugendalters) Ogólnie o tych psychologjach traktują: 1) Zollinger, Strukturpsychologie (w Schweiz. pädag. Zeitsch, 33 Jhg., H. 2, 1923, str. 44 i n.); 2) Wagner: Das Problem d. Psychischen Strukturen (w Zeitschr. f. pädag. Psychologie, 24 Jhg. 7/8 (1923) str. 193 i n.); 3) Hans Hennig: Psychologie d. Gegenwart, Berlin 1925; 4) Müller: Komplextheorie u. Gestalttheorie, Göttingen 1924 i inne podręczniki czy dzieła najświeższej daty. Por. też Krüger: Der Strukturbegriff in der Psychologie, Jena 1924, tudzież: Wertheimer: Gestaltpsychologie w zbior. pracy pt.: Einführung in neuer. Psychologie her. v. Saupe, Osterwieck 1927.

[2] Por. prace Sterna (Person u. Sache, 3 tomy 1923); Schelera (Formalismus in d. Ethik etc., II wyd. 1921. Co do Schelera, por. zwłaszcza: Daniels: Die Gemeinschaft bei M. Scheler u Thomas v. Aquin, München 1926.

szego: filozofja jońska, Sokrates, Plato, Arystoteles, nowoplatończycy, św. Augustyn, scholastyka zwłaszcza św. Tomasz, renesans zwłaszcza G. Bruno, Descartes, Spinoza, Leibniz, Kant, Goethe, Hegel, Schopenhauer, Driesch, Höffding, Spann, Rickert, Husserl, Pauler *(principium cohaerentiae* — por. Grundlegung z. Philosophie (1925) i inni.

Totalistyczne ujęcie problemów prawniczych, podobnie jak i innych przejawów współżycia np. gospodarstwa, przedstawia się bardzo płodnie i dodatnio. Rzuca ono bowiem wiele nowego światła na stare kwestje, dostarcza nam całkiem nowych myśli, ujęć i rozwiązań. Ono przezwycięża antytetykę tj. zjawisko przeciwstawności, z jakiem się spotykamy nie tylko w świecie pomyśleń, ale i realności. Chodzi zatem też i o stworzenie nauki o prawniczej antytetyce. I o tej kwestji traktuję też w powołanej pracy.

A teraz przystępuję do przedstawienia treści książki Schreiera. Streszczam ją dokładnie, gdyż jest to, jak powyżej zaznaczyłem, *sui generis* totalistyczna koncepcja prawa. Jest to niejako szczegółowe rozwinięcie poglądu prof. Jaworskiego w zastosowaniu do »wewnętrznych spraw« prawa (norm prawnych). Znajduję nadto pewne inne jeszcze analogje między poglądem Jaworskiego a koncepcją Schreiera, które oczywiście niezależnie od siebie powstały. Np. tak silne akcentowanie u prof. Jaworskiego sytuacji faktycznej znachodzimy również i u Schreiera (Tatbestand)[1]. Z tych i innych jeszcze powodów praca Schreiera zasługuje, aby polski Czytelnik zapoznał się z nią, gdyż w ten czy inny świat filozoficzny nie wprowadzą go z pewnością książki takie, jak powołana praca prof. Znamierowskiego.

Husserlizm, fenomenologizm prawniczy znajduje się dopiero *in statu nascendi,* wskutek czego nie można właściwie wydać o nim dostatecznego i ostatecznego sądu. To bowiem, co autorowie nam dali w swych pracach, — to raczej programy, szukanie i wskazywanie drogi, dostrzeganie problemów itd. i tego wszystkiego szkicowanie. I dlatego też nie powinno się wobec tych nowych prób zajmować zdecydowanego stanowiska, a tem mniej odrzucać to wszystko *a limine*, jak to już czynią niektórzy autorowie-krytycy, np. J. Binder[2] czy Baumgarten[3]. Owszem w tym nowym kącie widzenia na świat norm i »zjawisk« prawnych, zauważa się nadzwyczaj oryginalne i płodne myśli i pomysły. To też słuszniejszem jest stanowisko tych krytyków, którzy tego rodzaju usiłowania wogóle, a próbę Schreiera w szczególności, objektywnie i w przeważnej części dodatnio oceniają[4].

---

[1] Nie krytykuje jej, gdyż I. w znacznej części odpowiada ona memu totalistycznemu nastawieniu, II. bliżej ją omawiam i analizuję w pracy Husserlizm w teorji prawa, której wstęp powyżej został wydrukowany. Niniejsza recenzja ma zatem charakter przedewszystkiem sprawozdawczy.

[2] Philosophie des Rechts, Berlin 1925, str. 136 i n., co do zaś Schreier'a, str. 208.

[3] Die reine Rechtstheorie der neuen Wiener Schule und ihre Gefahren (w Monatsschrift f. Kriminalpsychologie und Strafrechtsreform, 15 Jhg. 1924 (Heidelberg), 8/9 H., str. 225—237).

[4] Por. np. Hippel w Archiv d. öffentl, Rechts Neue Folge, 3 Bd., 1 H., Tübingen 1925, str. 119 i n, tudzież Neuner w Archiv f. Rechts u. Wirschaftsphilosophie XVIII Bd, 1 H., str. 95 i n. Por. też J. Kraft: Die wissensch. Bedeutung d. phänom. Rechtsphilosophie (Kantstudien, Bd. XXXI (1926) H. 2/3 p. 286 cons. — J. Dobretsberger: Die Begriffsbestimmung des Rechtes in d. phänom. Rechtsphilosophie (Zeit. f. öff. Recht, Bd. VI, H. 2, p. 246 (1927).

Pogląd Schreiera — to synteza myśli Kelsena i Husserla. Schreier bowiem przez transpozycję i adaptację fenomenologistycznej metody i treści dochodzi do tych samych wyników, co Kelsen, i w ten sposób stwierdza i tak utrwala jego czystą naukę prawa. Można mieć pewne zastrzeżenia co do sposobu obchodzenia się Schreiera z poglądami Husserla przy sposobności tej transpozycji np. że może nieco dowolnie tu postępuje, lub np. że to czyni mechanicznie, zewnętrznie, lub np. że nie stosuje tego wszystkiego w tem samem znaczeniu i wobec tych samych materyj, jak to widzimy z terminem niesamodzielności (Unselbständigkeit), lecz mimo to musi się przyznać, że przynosi nam owocne rezultaty z tej swej wycieczki w fenomenoligistyczne okolice. Z drugiej znów strony, jak to zawsze dostrzega się u prozelitów, zbyt jest on olśniony i przejęty swym pomysłem i stosowaniem, wskutek czego przeocza niektóre dobre strony dotychczasowej nauki i nie dostrzega, że i tu można częściowo odnaleźć zalążki tego, co on wyolbrzymia. W każdym razie zasługą jego bezwzględną jest cały ten proceder transpozycji husserlizmu pod innym, aniżeli to dotąd uczyniono, kątem widzenia, przez co otworzył nowe a dalekie horyzonty dla dalszego rozwoju teorji prawa.

Przedewszystkiem to mu się musi policzyć jako plus, iż we większej mierze zwrócił uwagę na stan faktyczny (Tatbestand), oczywiście w formalnem jego ujęciu, jak przystało na »czystego teoretyka«. Przez to skierował on się do dociekań nad problemami bardziej szczegółowymi, bo widzimy tu próbę sprowadzenia czystej nauki prawa od ogólnych zagadnień i kwestyj do jej szczegółowych części. W ten sposób rzeczona nauka przestaje być jeno metodologicznem czy pryncypialnem rozważaniem. Bardzo doniosłej natury jest ta okoliczność, że Schreier zwrocił się głównie do prawa prywatnego i chce je fenomenologicznie ująć i zinterpretować.

Praca Schreiera rozpada się na dwie części, z których pierwsza traktuje o wyprowadzeniu podstawowych pojęć prawnych (Ableitung der rechtlichen Grundbegriffe) i stanowi niejako część ogólną, druga zaś — to prawnicza nauka o formach (Juristische Formenlehre), czyli — to część szczegółowa.

Schreier zaznacza, że filozofja prawa ma się zajmować pytaniem i odpowiedzią, co jest prawo. Atoli nie można wyprowadzać określenia prawa ani z natury człowieka, ani też na podstawie indukcji, a w te błędy dawniej popadano. Definicja prawa jest metaprawniczą i nauki prawnicze nie mogą jej podać. Idzie o aksjomatyzację prawa tj. o niedające się już dalej zredukować a oczywiste zdania, lecz tylko w znaczeniu formalnem, a nie materjalnem, jak to czyni prawo natury. Wyszukać takie najwyższe zasady jest właśnie celem Schreiera. Chce on to uzyskać przy pomocy fenomenologicznej metody, przez fenomenologiczną analizę.

Punktem wyjścia Schreiera jest akt psychiczny Husserla. Idąc za tym filozofem tak określa Schreier akt: »Das Bewusstsein eines bestimmten einzelnen Gegenstandes« (p. 7). Stwierdza zatem intencjalność każdego aktu i korelację wzajemną aktu i przedmiotu. Każdy przedmiot ma swoistą postać »dania« (Gegebenheit), którą autor nazywa konstytucją przedmiotu *(ib.)*. Tak ma się sprawa przy naturalnej postawie (natürliche Einstellung) tj. w naszem ustosunkowaniu się do otaczających nas przedmiotów świata zewnętrznego. Inaczej jest natomiast przy fenomenologicznem nastawieniu (phänomen. Einstellung). Tu bowiem zwra-

camy się ku samym aktom tego rodzaju, które w ten sposób stają się przedmiotami. Lecz refleksja nie ma nic wspólnego z psychologiczną samoobserwacją, gdyż idzie w tem wszystkiem jeno o czyste akty (die reinen Akte — p. 8). Tylko ta droga może nam pozwolić na uzyskanie zasad, jakie są ważne w oznaczonych przedmiotach. Wśród tych aktów ważne są tzw. wyrażeniowe (die ausdrückenden Akte — p. 9), tj. te akty, przez które wyrażamy (przedewszystkiem językowo) przedmioty. W takim akcie dadzą się wyróżnić te części składowe: 1) wyrażenie się, a więc wedle fizycznej strony np. dźwięków itp.; 2) znaczenie (Bedeutung); 3) przedmiot (Gegenstand); 4) ogląd (raczej faktyczność, realność, rzeczywistość (Anschauung).

Te rozważania Schreiera, które są jeno transpozycją zresztą jasną i przystępną bądź co bądź zawiłych i trudnych wywodów samego Husserla (por. Logische Untersuchungen, Bd. II, Teil I, III Aufl., Halle 1922, I—VI Untersuchungen), stanowią wstęp, a zarazem podstawę do dalszych dociekań autora. Przedewszystkiem jego punktem wyjścia jest akt prawny (Rechtsakt — p. 12, 13), który Schreier tak określa: »Im Rechtsakte konstituiert sich Recht, wir sind auf Recht intentional gerichtet«; »im Rechtsakt erfassen wir Recht, in ihm wird es uns gegeben...«. Nie można tego aktu prawnego pojmować wedle tradycyjnego podziału władz naszej psyche, gdyż w ten sposób popadlibyśmy w empiryzm, tj. pomieszania przedmiotu z oglądem. Przy tej okazji, Schreier, w oparciu się o pracę D. Hildebrandta (Die Idee der sittlichen Handlung w Jahrb. f. Phil. und phänom. Forschung, III Bd. 1916) odróżnia akty: postawowe (stellungnehmende) i »wiadomościowe« (kenntnisnehmende), np. radość jako postawa naszej jaźni wobec jej przedmiotu, a spostrzeganie farby. Różnica między obu temi rodzajami na tem zwłaszcza polega, że wypowiedzi o przedmiocie aktu w pierwszym wypadku wymagają uzupełnienia ze strony danego podmiotu czyli postawy — to akty ufundowane (fundierte Akten)[1]. W odniesieniu do aktów prawnych to odróżnienie nie jest pozbawione doniosłości. Dzieląc akty na 1) stanowiące prawo (rechtsetzende Akte) i 2) ujmujące prawo (rechterfassende Akte), tj. na akty np. ustawodawcy sędziego i na akty, w których ujmujemy normę, zaznacza Schreier, że akty pierwsze — to akty ufundowane przez drugie, które są tu fundującymi aktami. Akty pierwsze — to tylko zajęcie pewnej postawy wobec aktów drugich[2].

W rezultacie swych rozważań tego rodzaju Schreier tak wreszcie określa akt prawny (v. p. 27): »Der Rechtsakt ist also ein eine Kennt-

---

[1] V. p. 21: »Fundierte Akte sind solche, die nicht für sich allein bestehen können, sondern einen anderen Akt voraussetzen, an den sie sich anlehnen Dieser fundierende Akt dagegen ist unabhängig, er besteht auch ohne den fundierenden Akt«. Co do Husserla por. op. c. III Untersuchung zur Lehre von den Ganzen u. Teilen, str. 224 i n., zwłaszcza str. 261 i n: Der Begriff der Fundierung u. zugehörige Theorien.

[2] V. p. 23: »der Gesetzgeber muss den Rechtsgedanken erst fassen, bevor er ihn wollen kann — por. Husserl op. c. p. 30 i n., Theoretische Disziplinen als Fundamente normativer. Schr. ufundowanie, idąc zresztą za Husserlem (zob. op. c. str. 261) tak później (tj. na str. 97) określa: »Kann ein *a* als solches (also gesetzlich) nur existieren in einer umfassenden Einheit, die es mit einem *m* verknüpft, so sagen wir, es bedürfe ein *a* als solches der Fundierung durch ein *m*«. Zaznaczam, że w książce Schr. po słowie »Kann ein« opuszczono słówko »a«, które należy wstawić (co też uczyniłem), jak to zachodzi u Husserla.

nisnahme ausdrückender Akt, der Rechtsatz in doppelten Sinne als Aussage und ausgedrückte Kenntnisnahme, ein Urteil«.

Jak z aktami, podobnie ma się sprawa i ze znaczeniami. I tutaj Schreier idzie śladem myśli Husserla i przejmuje jego w tym względzie zapatrywania i pomysły[1]. A więc pisze (str. 40): »selbständige Bedeutungen sind solche, die für sich bedeutsam sind, unselbständige solche, die ergänzungsbedürftig sind«. Są to już dawniej znane tzw. kategorematyczne i synkategorematyczne wyrazy. Samoistność znaczeń bynajmniej nie pokrywa się z niezależnością przedmiotów np. farba jako wyraz i jako przedmiot. O całkowitem zaś znaczeniu mówimy wówczas, gdy ono wyraża wszystkie oznaczenia jakiegoś samoistnego przedmiotu[2].

Norma prawna jest samoistnym przedmiotem (irrealer Gegenstand — p. 44), zdanie zaś prawne jest jej pełnem i samoistnem wyrażeniem[3]. Do tych zupełnych zdań prawnych musi się odnieść niecałkowite zdania prawne np. pozwolenia.

Piastunem (Träger) normy prawnej są tylko stany faktyczne (Tatbestände) tj. »reale, zeitliche Vorgänge«[4]. Zatem prawo może wszystko normować. Prawne regulowanie to: »Anschluss von Rechtsfolgen an Rechtsvoraussetzungen« (str. 51). Mamy tu zatem do czynienia z relacją[5].

I tu znów Schreier po raz trzeci mówi o samoistności czy zależności, lecz obecnie w zastosowaniu do pojęć. Otóż odróżnia on pojęcia: 1) a b s o l u t n e, 2) r e l a t y w n e (str. 52). Pierwsze dadzą się określić przez substancję, drugie zaś dla swego całkowitego zdefinjowania wymagają podania związanych z nimi innych jeszcze pojęć[6]. Schreier zaznacza (str. 54), że relacja zachodzi jeno między pojęciami a nie faktami. Należy czynić różnicę między relacją (Nicht — ohne — einander — gedacht — werden — können) a koegzystencją (Nicht — ohne — einander — sein — können).

Tylko przez pojmowanie normy jako relacji możemy zrozumieć prawne związanie.

Norma prawna jest relacją *sui generis,* albowiem zachodzą tu pewne cechy, które wyodrębniają, wedle Schreiera, relację prawną od relacji wogóle. Idzie tu o to, co wiąże skutek prawny ze stanem faktycznym. Tem spoidłem jest: powinność (Sollen)[7]. Prawo zatem — to »Sollrelation« (str. 66).

Relacja prawna wymaga: 1) podmiotu, 2) przedmiotu (Sollsubjekt, Sollobjekt). Osoba i świadczenie (Person u. Leistung — str. 69/70), to

---

[1] Por. op. c. IV Unter.: Der Unterschied der selbständigen und unselbständigen Bedeutungen und die Idee der reinen Grammatik (str. 294 i n.).

[2] Str. 40: »Eine Bedeutung, die einen selbständigen Gegenstand mit allen dazugehörigen Bestimmungen zum Ausdruck bringt, nennen wir eine vollständige Bedeutung«.

[3] Ibid: »er ist selbständig, d. h. in keiner Hinsicht mehr ergänzungsbedürftig, wir verstehen ihn ohne jede Zuhilfenahme von anderen, als was in Rechtssatz selbst steht; er ist vollständig: er bringt den selbständigen Gegenstand Rechtsnorm mit allem, was in seinem Wesen liegt, zum Ausdruck«.

[4] Str. 50.

[5] Str. 55: »Durch die Rechtsrelation werden als relative Begriffe die Rechtsvoraussetzung, der hypothetische Vordersatz und die Rechtsfolge, der hypothetische Nachsatz gesetzt«.

[6] Str. 52: »Die Relation findet selbst wieder ihre Bestimmung durch die Angabe der zu ihr gehörigen relativen Begriffe«.

[7] »Sollen« autor nazywa »Rechtsnenner« (str. 67), przyczem dodaje: »Das rechtliche Sollen ist ein reinformaler Begriff« (wpływ Kelsena, a zatem jego »Zuordnung«).

zatem korelaty. Dalszem pojęciem relatywnem jest sankcja, która zachodzi, gdy »obowiązek« nie zostanie spełniony.

Oto na tej drodze wywodów i rozumowań dochodzi do następującego stwierdzenia (str. 70):

»Somit haben wir die vier rechtlichen Grundbegriffe aufgefunden: Tatbestand, Person, Leistung, Sanktion. Die Form des Rechtssatzes lautet: Wenn der Tatbestand vorliegt, soll die Person bei Sanktion die Leistung erbringen«.

I Schreier schematyzuje to w formułkę:

T... AlS.[1].

Sankcja[2] — to wskazanie na nową normę, która się odnosi do niespełnienia świadczenia. Formułka będzie opiewać:

T... AlS, *non* Al.., BlS.

Prawna relacja jest asymetryczna tj. nieodwracalna ani tranzytywna w łańcuchu norm, np. pierwszy stan faktyczny *(a)* nie może być podstawą skutku prawnego *c*, tylko *b* (str. 72).

Schreier zastrzega się, jakoby jego pogląd miał co wspólnego z tzw. »Zwangstheorie«. Przymus bowiem — to pojęcie empiryczne, wskutek czego nie może mieć miejsca w prawie.

Wedle więc powyższego relacja prawna jest czysto formalną, zatem leży ona w obrębie logiki, przez co i czysta nauka prawa jest tylko częścią logiki (str. 81). Jej zdania są *a priori*, gdyż mówią o istocie prawa. Wskutek tego Schreier (w oparciu o myśl Kanta) pojmuje czystą naukę prawa jako »Lehre vom möglichen Recht« (str. 85). Jej zdania — to »Lehrformen«. Nie jest to bynajmniej prawo natury, gdyż nic w nich nie ma materjalnego, oglądowego; nie są to bynajmniej pełne normy prawne. To jeno możliwe prawo. Gdy się je zaś wypełni stanem faktycznym, to wówczas otrzyma się rzeczywiste prawo (wirkliches Recht — str. 88), co odróżnić należy od urzeczywistnionego prawa. Jeszcze raz (str. 90) Schreier wyraźnie podkreśla: »Die Sätze, die mit den formalen Bedingungen übereinkommen, sind Sätze des möglichen Rechtes und das in einer wesensmässig vollziehbaren Modifikation: sie können zu geltendem d. i. positivem Recht werden«. Czysta nauka prawa wskazuje ustawodawcy możliwe uregulowania. Jako taka nauka o możliwościach prawnych (Rechtsmöglichkeiten) przedstawia się zatem jako »juristische Mannigfaltigkeitslehre« (str. 92).

W drugiej części swej pracy Schreier zajmuje się już poszczególnemi zagadnieniami, oczywiście pod dotychczasowym kątem widzenia i w tem samem ich oświetleniu. Mianowicie szerzej i głębiej analizuje poszczególne podstawowe pojęcia, których powyżej to jest w części ogólnej jeno z grubsza dotknął w swych zasadniczych rozważaniach. Wnika on tu więc w istotę następujących postaci, zespołów (Gestalt), że się tak wyrażę: 1) stan faktyczny; 2) osoba i prawo podmiotowe; 3) świadczenie i sankcja. Nadto pisze jeszcze w ostatnim rozdziale o państwie. Stosunkowo najlepiej i najwięcej opracowany jest problem stanu faktycznego, tudzież szereg kwestyj z nim związanych. Widać z tego, że u Schreiera

---

[1] Na wzór Leibniza Caracteristique universelle.

[2] Str. 71: »Sanktion bedeutet demnach den Hinweis auf eine neue Norm, die sich auf die Nichterfüllung, das Unrecht bezieht«. — Zachodzi tu kontradyktoryczne przeciwieństwo.

stan faktyczny znaczną odgrywa rolę w jego konstrukcjach. I rzeczywiście jego w tym względzie dociekania musi się uznać za dodatni przyczynek, a to wobec pewnego zaniedbania, jakie się na tem polu okazuje. Przeważnie bowiem pisze się czy mówi o naturze itp. normy prawnej, natomiast jeno pobieżnie traktuje się stan faktyczny, skład czynu, jak się wyraża R u n d s t e i n (Zasady teorji prawa).

Schreier zaznacza przedewszystkiem, iż przez stan faktyczny rozumie się: 1) czasowo-przestrzenne zdarzenie (por. wyżej), 2) założenie prawne (Rechtsvoraussetzung), i, że on używa tego terminu w jego drugiem znaczeniu.

Otóż Schreier pisze, że w tym względzie mamy tu do czynienia z tzw. »juristische Kausalitätsgesetz«, które opiewa: niema prawnego skutku bez stanu faktycznego, tudzież: niema zmiany pierwszego bez drugiego. Autor podkreśla, że nie jest to analogon do przyczynowości naturalnej, ale wypływem stosunku do korelacji, jaka między temi pojęciami zachodzi. Lecz idzie tu tylko o »rechtlich relevanter Tatbestand«, a nie o »natürlicher Tatbestand«.

Stan faktyczny jest »notwendige und hinreichende Bedingung« skutku prawnego (str. 94). Jednakowoż można się w nim dopatrzeć składników wprawdzie koniecznych, atoli bynajmniej nie wystarczających (dostatecznych — »nicht hinreichende«). Wobec tego można odróżnić dwa rodzaje stanów faktycznych: 1) s a m o i s t n e (selbständige czyli Volltatbestände) i 2) n i e s a m o i s t n e (unselbständige czyli Teiltatbestände). I Schreier zaznacza, że nie można tu mówić o »Gesamtheit« (Tuhr), »Komplex«, (Zitelmann), »Inbegriff«, (Eltzbaher) itp., gdyż mamy tu do czynienia z różnego rodzaju i rozmaitej formy połączeniami. Otóż Schreier chce właśnie dać nam takie uporządkowanie i usystemizowanie stanów faktycznych, lecz wyraźnie i dobitnie zastrzega się, że idzie mu nie o »wirkliche Tatbestände«, ale jedynie i wyłącznie o »leere mögliche Tatbestandsformen«. Wyklucza zatem wszelką zasadę i podstawę materjalną. Jego analiza co do tego przedmiotu znowu pozostaje w związku z dociekaniami Husserla nad stosunkiem części do całości (zob. III Unters. w II tomie Log. Unters., str. 225 i n.). W tych rozstrząsaniach Schreiera przebija się należyte zrozumienie totalistycznej filozofji i jej konsekwentne ujęcie i przeprowadzenie na pewnym wycinku, choć mowa raczej o *entia rationis*, a nie realia.

Schreier słusznie więc podkreśla, że musi się odrzucić termin: ogół (Inbegriff) dla »zupełnego« stanu faktycznego (Vollstatbestand). Ogół[1] bowiem obejmuje wprawdzie wiele stanów faktycznych, atoli nie spaja i nie przetwarza ich w jedność. Poszczególne składniki nie wchodzą też w bliższy stosunek; to tylko czyste ich zesumowanie. Wskutek tego i skutek prawny — to również tylko suma. W następstwie tego poszczególne zdarzenia mogą zniknąć, a przez to skutek prawnych innych bynajmniej nie dozna uszczerbku czy zmiany.

---

[1] Zob. 95 Schreier powołuje się jeno na cyt. już pracę Husserla, str. 282, a nie uwzględnia innych autorów. Otóż w powołanej pracy mej, którą przygotowuję do druku, piszę i o innych filozofach i uczonych, którzy ten problem należycie, niekiedy może i lepiej, niż Husserl ujmują, i również go analizują. Również w historji filozofji wogóle spotykamy się z tym problemem, lecz go należycie i w pełni nie rozwiązano, ani też go nie przeprowadzono na wszystkich polach naszej wiedzy.

Definjując[1] niesamoistne stany faktyczne w myśl koncepcji Husserla, Schreier słusznie zaznacza, że nie każde stany faktyczne mogą się łączyć i zlewać w samoistne twory. Istnieją bowiem prawa, które to regulują. Atoli w tem tkwi już moment materjalny, wskutek czego, formalna nauka prawa nie może dać tu odpowiedzi.

Schreier odróżnia dalej dwa rodzaje niesamoistności: 1) absolutną, 2) relatywną (str. 96) (zob. wyżej). Pierwsza ma miejsce wówczas, gdy stany faktyczne wogóle nie pociągają same za sobą prawnego skutku. Druga zaś, kiedy jakieś stany faktyczne wprawdzie wywołują same przez się pewien skutek prawny, atoli »eine bestimmte Rechtswirkung anderer Art nur zusammen mit anderen relativ oder absolut unselbständigen Tatbeständen haben können« *(ib.)*. I Schreier jako przykłady podaje ad 1) *mora*, ad 2) oddanie zastawu ręcznego dla ustanowienia »Volltatbestand« w kontrakcie zastawu. Przy relatywnej niesamoistności, pisze Schreier, znów idąc za Husserlem (op. c. p. 261), że mamy do czynienia z »ufundowaniem« (Fundierung) tak, iż wedle autora pojęcia »unselbständig relativ zu« i »fundiert in« — odnoszą się do tego samego stanu rzeczy, choć w różny sposób: »Im ersteren Falle erfolgt die Bestimmung mit Hilfe des Ganzen, hinsichtlich dessen die Unselbständigkeit besteht, im anderen Falle mit Hilfe des ergänzenden Teiltatbestandes, der selbst im gleichen umfassenden Ganzen unselbständig ist« (str. 97). W pierwszym wypadku chodzi zatem o stosunek części do całości, w drugim zaś części do części.

Ufundowanie może być znów 1) wzajemne, 2) jednostronne, o ile rzeczony stosunek między częściami jest odwracalny, czy też nie. W wypadku drugim skutek prawny fundującego czynu prawnego zachodzi nawet wówczas, gdy nie nastąpi ufundowane zdarzenie (str. 98). W razie zaś pierwszym skutek fundującego stanu faktycznego uwarunkowany jest istnieniem ufundowanego zdarzenia. Tutaj każdy stan faktyczny jest zarazem fundującym i ufundowanym. Trudniejsza jest sprawa przy warunkowo niesamoistych stanach faktycznych (relativ unselbständige Tatbestände). Ponieważ te same przez się wywołują »swoje« skutki, przeto muszą uzyskać specjalną »kwalifikację«, aby nie mogły tych, ale inne skutki prawne wywołać. Ta »kwalifikacja« jest znów stanem faktycznym (str. 99). Jako przykład przytacza tu Schreier środek prawny przeciwko wyrokowi, niewykonanie normy pierwotnej jest fundującym stanem faktycznym dla normy drugorzędnej, itp.[2].

Schreier po ukończeniu takiej analizy i na jej podstawie przystępuje do rozważań stosunku prawnego. Zaznacza (str. 106), że jest on samem zespoleniem czyli relacją. Jedność jego — to jedność normy

---

[1] Str. 95: »Unselbständige Tatbestände sind Tatbestände solcher Art. in Beziehung auf welche das Gesetz besteht, dass sie wenn überhaupt so nur als Teile umfassender Ganze von gewisser Art existieren (das heisst Rechtsfolgen haben«). Jako przykład, że np. w austr. ust. kar. wykluczony jest »Tatbestandsinbegriff«, cyt. Schr. § 35 austr. ust. kar. o zbiegu przestępstw, dalej § 44 tejże ust. o okolicznościach obciążających.

[2] Schreier uważa za takie niesamoistne stany faktyczne też tzw. »Kannrechte« i »potentielle Rechte«. Zarazem pisze o tzw. Rechtsfreier Raum = »alle jene natürlichen Tatbestände, die keine Rechtsfolgen nach sich ziehen« (str. 104). Zaznacza dalej w tym względzie (ibid): »Der rechtsfreie Raum besteht also aus Tatbeständen: bei welchen 1) beide Seiten, 2) die positive Seite, 3) die negative Seite des kontradiktorischen Gegensatzes keine Rechtsfolge hat«.

prawnej, jedność zupełnego zdania prawnego. Zdaniem autora stąd należy wyjść, a nie z czegoś, co znajduje się poza niem. A właśnie dzisiejsze prawoznawstwo wykracza przeciwko temu i miasto formalnej jedności akcentuje jedność materjalną (stosunek prawny = stosunek życiowy!).

Schreier tak określa (str. 109) stosunek prawny sensu largo: »Ueberall also, wo es sich um Rechtsnormen handelt, deren Tatbestände in einem und demselben Tatbestand fundiert sind, können wir von einem Rechtsverhältnis im weitesten Sinn sprechen«. Przedewszystkiem są takim stosunkiem wedle autora normy prymarne i sekundarne.

Co się tyczy stosunku stanu faktycznego do związanego z nim skutku prawnego, to Schreier wypowiada w tym względzie, tj. na temat zmian w stanie faktycznym i korespondujących im zmian w skutku, szereg uwag i spostrzeżeń. A mogą one dotyczyć: 1) świadczenia, 2) osoby, 3) sankcji. Autor ujmuje to wszystko w szereg formuł, które są jeno różnemi warjacjami na temat zasadniczej D... AlS. Pisze o recepcji, lecz tylko w takim wypadku!

$$\begin{array}{ll} t & A\, l_1\, S_1 \\ t + t_1 & B\, l_2\, S_2 \quad \text{i} \\ t + t_1 & A\, l_1\, S_1 \\ t + t_2 & B\, l_2\, S_2 \end{array}$$

(np. zachowanie się różnych posterunków w razie alarmu).

Oprócz powyżej wspomnianych rodzajów czy kombinacyj niesamoistnych stanów faktycznych, Schreier odróżnia ich jeszcze dwie grupy, a mianowicie (str. 116): »verträgliche und unverträgliche[1] Tatbestände« (zgadzające się ze sobą i nie zgadzające się, lepiej: dające się zespolić i nie dające się złączyć). Idzie tu oto, że albo stany faktyczne wytwarzają jakąś wyższą całość, albo wzajemnie się znoszą, np. warunek zawierający nowy testament itp. itd. I znów można to wszystko podzielić tak, jak to powyżej widzieliśmy w odniesieniu do niesamoistnych stanów faktycznych, a więc rzeczona »zgodliwość« może być absolutną itd. Przytem mogą zachodzić tu różne kombinacje i komplikacje. Dotyczy to zwłaszcza nowacji sensu *largo*. Tu bowiem mogą zachodzić trzy możliwości[2], przez co otrzymuje się trzy typy: 1) zmianę prawa, 2) niewłaściwą, 3) właściwą nowację.

W związku z tem wszystkiem autor rozstrząsa: spełnienie (Erfüllung), *datio in solutum* i *concursus*. Atoli w tych rozważaniach nie znachodzimy nic nowego.

Rozstrząsania swe co do stanu faktycznego zamyka Schreier uwagami nad czasem, zaznaczając, że idzie mu tylko o »Rechtszeit«, a nie o »natürliche Zeit«. I te w tym względzie jego dociekania stoją w ścisłym związku z poprzedniemi a wyżej zaznaczonemi badaniami. Przy tej

---

[1] Autor i w tym wypadku idzie za Husserlem; por. Log. Unters., tom II, część II II wyd., Halle 1921, VI Badanie, rozdz. IV, str. 105 i n.

[2] Str. 120: 1) Der neue Tatbestand ist im alten hinsichtlich seiner eigenen Rechtsfolge fundiert oder nicht fundiert; 2) der neue Tatbestand ist blosse Aufschichtung oder Aufhebung (unverträglich); 3) der neue Tatbestand hat nur Rechtswirkung, wenn der alte zerstört ist oder seine Rechtswirkung ist davon unabhängig. Voraussetzung hiefür ist, wie wir oben sahen, teilweises Auseinanderfallen der Erfordernisse der Unverträglichkeit und Rechtsfolgenbegründung«.

okazji pisze Schreier o »rechtlich relevante Zustände« (str. 131). Autor zaznacza, że w prawie chodzi tylko o zdarzenia, zajścia (Vorgänge), a nie o stany (Zustände). Te pierwsze należy sprowadzić do drugich. Z drugiej znów strony, każdy stan faktyczny jest »stanem« między istnieniem swem, a spełnieniem względnie zniesieniem (str. 434). Ważnem jest następujące znaczenie »stanu«: prawny porządek może żądać, aby w momencie, w którym następuje skutek prawny, kiedy stan faktyczny staje się samoistny, wszystkie jego elementy były »obecne« (istniały). Atoli może się on zadowolić tem, że poszczególne z tych stanów faktycznych były tylko przedtem obecne, a później zostały znihilowane przez »niezgodliwe« (unverträglich) stany faktyczne (str. 136). Pierwsze nazywa Schreier »kontinuierlich«, drugie zaś »punktuelle Tatbestände« (itd.), przyczem zaznacza, że ten podział nie pokrywa się z odróżnieniem wcześniejszych (vorzeitige) i zmienno-czasowych (wechselzeitige) stanów faktycznych.

Na podstawie powyżej przedstawionej nauki o stosunku całości do części, Schreier również totalistycznie ujmuje i pojmuje i drugi podstawowy element relacji prawnej, tj. podmiot. Wszystkie wyżej dokonane odróżnienia niesamoistności, ufundowania i t. d. stosuje konsekwentnie i co do tej materji. Dlatego też nie zajmiemy się szczegółowem rozprowadzeniem i uzasadnieniem wywodów Schreiera, tylko zaznaczymy główną myśl autora.

Punkt wyjścia Schreiera stanowi formalne ujęcie relacji prawnej. Każda powinność (Sollen) wymaga podmiotu. I tu spotykamy się z problemem osoby prawnej. Dotąd ujmowano ją różnie, ale zawsze empirycznie. Trzeba wyjść z platformy tej: piastunowości normy prawnej. Otóż piastunem jej jest zawsze stan faktyczny. I osobę prawną musimy uważać za taki stan faktyczny, oczywiście w znaczeniu formalnem. Jeśli zanalizujemy relację prawną, to odróżnimy w niej stan faktyczny, który wskazuje nam, kto ma wykonać pewne świadczenie. Schreier nazywa go: »Beziehungstatbestand«. Atoli między tym stanem faktycznym, a tzw. »Leistungstatbestand« nie zachodzi bezpośredniość. Owszem konieczne tu jest ogniwo zasadnicze, które Schreier nazywa: »Grundtatbestand« i dopiero wówczas powstaje osoba, jako »Volltatbestand« (str. 144). I Schreier stawia ogólną zasadę: »In jeder Norm also weist der Bezeichnungstatbestand zurück auf einen Grundtatbestand, der in ihm enthalten ist und der die einzelne Person, als solche konstituiert« (str. 145). Przykład najlepiej zilustruje i wyjaśni, o co chodzi Schreierowi. Weźmy *actio de positis et suspensis*. Stanem faktycznym wskazującym (wskaźniczym) jest tu własność, stanem zaś podstawowym jej uzyskanie. Pierwszy wskazuje nam, że odpowiedzialną osobą jest właściciel domu, kto zaś nim jest, to już mówi nam stan »faktyczny« nabycia własności.

To samo wypowiada Schreier co do prawa podmiotowego (str. 156): »Das subjektive Recht besteht also entweder darin, dass die Bezeichnung des Rechtssubjekts für den Tatbestand der primären oder für den Tatbestand der sekundären Norm erbracht wird«. Pierwsze nazywa Schreier uprawnieniem (Befugnis), drugie roszczeniem (Anspruch)[1].

Ten sam tok, rodzaj, cel itp. myśli wywodów Schreiera znamionuje i dalsze jego dociekania co do innych podstawowych pojęć prawnej

---

[1] Co do derywacji Schreier zauważa to (str. 158): »Derivation ist neue, fundierte Bezeichnung (Ersetzung), Originarität erste (unfundierte) Bezeichnung«.

relacji. Ponieważ atoli wypowiedział się zasadniczo poprzednio, przeto w tych późniejszych rozważaniach nie spotykamy się właściwie z niczem nowem, jak tylko ze stosowaniem i bliższem tego wszystkiego uzasadnieniem, a nadto przedewszystkiem z polemiką z dotychczasowemi ujęciami tych kwestyj. Tu zaliczyć należy ustępy traktujące zwłaszcza o obligacji, winie, odpowiedzialności itp.

Przewodnia myśl całej koncepcji Schreiera stała się też podstawą jego definicji państwa, a mianowicie (str. 180): »Der Staat ist also die Gesamtheit aller jener Rechtssätze, deren Gültigkeit (Positivität) auf einem gemeinsamen Grundtatbestand der Setzung beruht«. I pozytywność norm prawnych pojmuje Schreier podobnie, pisze bowiem, że ona = »Setzungstatbestand«, wskutek czego to, co wyżej wyłuszczono o stanie faktycznym wogóle, również odnosi się i do rzeczonego »stanu stanowienia«. Lecz autor zastrzega się wyraźnie *(ibid.)*: »der Begriff des Setzungstatbestandes, — als Sinnträgers fungierenden Tatbestandes enthält kein materiales Element«. Jednakowoż formalna nauka prawa jako taka nie może oczywiście podać, jakiego rodzaju są te stany faktyczne. Wobec tego pytanie co do ważności (Gültigkeit) prowadzi do oznaczonego autorytetu, który ustanowił normę (Quelle). I tu może zachodzić wspomniane wyżej warstwowanie takich stanów faktycznych tak, iż stąd powstaje »nauka o stopniach« (juristische Stufenlehre) (M e r k l). Rola tych stopni polega na tem: »Jede Stufe schaltet einen neuen Tatbestand der Positivierung ein, der in dem Grundtatbestand, der Quelle, fundiert ist« (str. 182). Chodzi tu zatem też o »Sinnzusammenhang«. W tym względzie Schreier wyraźnie zaznacza, iż »der Sinn der niederen Stufe nicht über den ihr von der höheren vorgeschriebenen Rahmen hinausgehen darf, wenn nämlich die niedere Stufe Gültigkeit beanspruchen will« *(ib.)*[1].

* * *

Jeśli obejmiemy całokształt myśli i wywodów Schreiera, to musimy stwierdzić, że właściwie nie wiele w jego koncepcji jest fenomenologizmu. To bowiem, coby stanowiło *clou* jego fenomenologicznej metody i takiegoż *modus aspiciendi*, zostało jeno na początku potrącone, tylko niejako wskazane, naszkicowane a bynajmniej nie rozprowadzone. A byłaby tem analiza aktu prawnego. Tej atoli Schreier nie przeprowadził. Natomiast, co autor wziął od Husserla, tj. nauka o części i całości — to stanowi istotę t o t a l i s t y c z n e g o kąta widzenia, t o t a l i s t y c z n e j filozofji. Wskutek tego musimy rozważania Schreiera poczytać za *par excellence* totalistyczne. Jest to jeno j e d n a m o ż l i w o ś ć totalistycznego patrzenia i ujmowania zjawisk, a raczej świata norm prawniczych. Autor prawdopodobnie nie zdaje sobie z tego sprawy, gdyż jest zapewne nawskróś przekonany, że jest husserlistą tylko. Lecz Husserl tylko lepiej zgłębił i ujął problem i istotę totalności. Autor też dlatego nie przeczuwa, jak jego myśli znajdują się w związku z ruchem totalistycznym we filozofji i teorji. Jego próbę można też poczytać za podświadome dążenie w tym kierunku.

---

[1] Z dalszego toku wywodów podkreślić należy jeszcze następujące myśli Schreiera: str. 184: »Die Rechtskraftnorm besorgt also allgemein: Wenn ein Setzungstatbestand niederer Stufe die ihm durch den Sinn der höheren Stufe gezogene Grenze überschreitet, so sollen dennoch jene Rechtsfolgen eintreten, die die gesetzte — ungültige Norm vorschreibt«. Str. 186: »Während Nichtigkeit der Unselbständigkeit gleichzusetzen war, steht Anfechtbarkeit mit Unverträglichkeit in Zusammenhang«.

Totalizm Schreiera wskazuje nam kierunek, w którym pójść należy. To tylko program, bardzo ciekawie i oryginalnie postawiony i ujęty. Idąc tą drogą, teorja prawa może wiele przyczynić się do należytego wyświetlenia pojęć itd w obrębie prawa i prawniczych umiejętności. I gdy dotąd dociekano istotę norm i ich związki, to Schreier przez swą próbę udowodnił, że dużo jeszcze pola do pracy leży odłogiem, i że właśnie takie dociekania są w stanie głębiej wniknąć w istotę i mechanizm prawa.

Oczywiście, jak zawsze przy pierwszych krokach, są jeszcze w pracy Schreiera luki, a nawet przeskoki, załamywania się, niesprecyzowanie, niedokładność, niezupełność itp., a nawet błędy, atoli to nie umniejsza znaczenia książki autora, która jest bardzo głęboka, wnikliwa a nadewszystko oryginalna. Lecz należy spodziewać się, że dalsze dociekania własne autora czy tych, którzy wogóle tak są nastawieni, niechybnie umocnią fundament i ściany tej zaczynającej się dopiero wznosić budowli. W porównaniu do Schreiera prof. Jaworski świadomie dąży do prawniczego totalizmu i jest Jego zasługą zwrócenie nam nań uwagi i wskazanie drogi w tym kierunku. Idzie teraz o dokładne a pełne opracowanie pomysłu prof. Jaworskiego. *Eugenjusz Bautro.*

Prof. Władysław Leopold Jaworski: »*Reforma rolna*«, str. 569, Kraków 1926.

Uważam, że życie Polski współczesnej poza problemem gospodarczo-finansowym, który niejednokrotnie usuwa w cień wszelkie inne troski, płynące z budowy własnego państwa, wykazuje trzy sprawy, których załatwienie nie wyszło jeszcze poza ramy konturów. Mam tu na myśli prawo małżeńskie, konstytucję i przebudowę ustroju rolnego Uregulowanie tych trzech spraw zadecyduje o układzie naszych stosunków społecznych i politycznych. W dyskusji nad każdem z tych trzech doniosłych zagadnień słyszymy zdanie prof. Jaworskiego. Rozwiązanie pierwszego starał się ułatwić pierwszym tomem swego »Prawa cywilnego«. W komentarzu do konstytucji wykazał, że jest ona dziełem ułomnem, zredagowanem nieściśle, w wielu miejscach bez należytego przemyślenia. Nie poprzestając na komentarzu, zainicjował ankietę o konstytucji i wydał ją w pracy zbiorowej. Obecnie rzuca na szalę dyskusji swój głos w postaci imponującej już samym rozmiarem książki o reformie rolnej. Książka jest przedewszystkiem wydawnictwem naszego ustawodawstwa agrarnego i obejmuje całokształt materjału w tej rozległej dziedzinie. Już samo wydawnictwo tekstu ustaw i rozporządzeń stanowi dostateczny tytuł do zasługi. Autor zaopatrzył ustawę z dnia 28 grudnia 1925 o wykonaniu reformy rolnej komentarzem, a całość swej pracy poprzedził uwagami ogólnemi, w których pewną ręką wprowadza nas w krąg zagadnień, związanych z tematem książki.

Przechodząc do omówienia »Reformy rolnej«, zaznaczam, że całość materjału jest ugrupowana przejrzyście w sześciu punktach, które obejmują: zasady reformy rolnej i obrót ziemią, wykonanie reformy rolnej, organizację urzędów ziemskich, scalenie gruntów, likwidację serwitutów i ochronę drobnych dzierżawców. W uwagach wstępnych podnosi autor, że społeczeństwo polskie jest społeczeństwem agrarnem, a więc w programie jego struktury należy uwględnić jako podstawę uporządkowanie

stosunków na wsi. Następnie rozwój naszego przemysłu zależy od rozwoju rolnictwa. W związku z temi kardynalnemi założeniami reforma rolna powinna oprzeć się — zdaniem autora — na tym odrębnym sposobie myślenia, który wytwarza sobie wieś, a który wykazuje momenty irracjonalne w przeciwstawieniu do myślenia miejskiego, przemysłowego, racjonalistycznego. Reforma rolna wszędzie, a nie tylko u nas, — stała się tytanicznem zmaganiem i ogromną walką o ziemię, w której uczestniczą dwie warstwy społeczne. W interesie państwa jako całości leży, ażeby na pobojowisku nie było ani triumfujących zwycięzców, ani zmiażdżonych zwyciężonych, ażeby rażącą nierówność w posiadaniu ziemi usunąć i zaopatrzenie w ziemię małorolnych i bezrolnych przeprowadzić w sposób możliwie najbardziej rozumny, unikając wstrząśnień gospodarczych i społecznych. Tymczasem u nas reforma rolna stała się demagogicznem hasłem wyborczem, atutem partyjnym, co wszystko rozogniło tylko socjalną bolączkę. Dlatego też powiada prof. Jaworski, że zamierzona reforma rolna w świetle ustawy z r. 1925 jest reformą indywidualistyczną, która uwzględnia wyłącznie interes pewnej liczby podmiotów gospodarczych, a pomija interes ogólny. Szkielet całej ustawy wykazuje wybitne znamiona etatystyczne. Państwo ma stworzyć »zapas ziemi«, Rząd ma kierować tworzeniem gospodarstw. Daleko sięgająca ingerencja państwa musi pociągnąć za sobą gwałtowną perturbację we wolnym obrocie ziemią. Autor rzuca pytanie: »Jakąż musiałaby być reforma rolna pojęta i przeprowadzona dla interesu ogólnego, a więc z punktu widzenia uniwersalistycznego?« i daje następującą odpowiedź: »Nie może ulegać wątpliwości, że reforma z tego ostatniego punktu przeprowadzona byłaby nią wówczas, gdyby powiększała majątek społeczny, w szczególności, gdyby z jednej strony nie wywoływała obniżenia ceny ziemi, z drugiej zaś strony zwiększała dochody z ziemi. Program dążący do osiągnięcia tego drugiego celu tj do zwiększenia dochodów ziemi nie wchodzi w zakres moich rozważań. Co do pierwszego zaś, to usiłowałem wykazać, że system tworzenia »zapasu ziemi« przez państwo winien być zarzucony, a obrót ziemią pozostawionym na gruncie »wolności obrotu«. Nawet wówczas państwu pozostaje ogromne pole do działania w kierunku stworzenia zdrowego ustroju rolnego«.

W swych rozważaniach wstępnych oświetla prof. Jaworski problem możliwie wszechstronnie, skupiając po kolei promienie swej uwagi na poszczególnych zagadnieniach, wiążących się w jeden splot, któremu na imię przebudowa ustroju rolnego. Podnosi konieczność uzyskania kredytu zagranicznego, co znowu uwarunkowane jest stabilizacją waluty i praworządnością państwa, podkreśla znaczenie sprawnego i uczciwego aparatu urzędniczego, akcentuje potrzebę świadomego współdziałania społeczeństwa. W ponurych barwach maluje autor wieś polską, która przecież stanowi objekt działania w reformie rolnej. Czytamy we wstępie: — »Musimy sobie powiedzieć otwarcie, że z wyjątkiem kresów zachodnich, wieś polska jest w chaosie. Aby to uznać, wystarczy zacytować: brak lub niedokładność ksiąg gruntowych, szachownicę, niezałatwione serwituty, wysoki procent gospodarstw karłowatych, wzmagającą się masę proletarjatu wiejskiego, niski poziom kulturalny ludności wiejskiej, pierwotne sposoby gospodarowania, słabo lub wadliwie zorganizowany handel wiejski, brak kredytu, niedostateczny odpływ do przemysłu. To wszystko musi objąć reforma, jeżeli ma być uzdrowioną«. Do tego należy dodać wadliwe ustawodawstwo gminne i system podatkowy,

ustawodawstwo społeczne stworzone na wyrost, wywrotową agitację polityczną. Pawdziwa »reforma rolna« powinna więc objąć usiłowania naprawy we wszystkich naznaczonych powyżej kierunkach. Tymczasem dookoła nas odzywają się głosy, aby reformę rolną ograniczyć tylko do zmian w stanie własności. Będzie to reforma rolna sensu stricto, mająca wszelkie znamiona fragmentu, a nie skończonej całości.

* * *

Kto chce ocenić istotną wartość dzieła, która w niem tkwi, ten musi zapoznać się z komentarzem do ustawy z dnia 28 grudnia 1925 o wykonaniu reformy rolnej, który obejmuje przeszło 170 stron. Przyznaję otwarcie, że praca to dla czytelnika niełatwa, ale też jest ona prawdziwą szkołą prawniczego myślenia. W uwagach wstępnych i w charakterystyce końcowej przemawia do nas Jaworski, który z głęboką troską, jako myśliciel, spogląda w przyszłość państwa polskiego. W komentarzu mamy przed sobą Jaworskiego, który interpretuje ustawę jako prawnik-dogmatyk, trzymając się ściśle jurydycznej podstawy i traktując wykładnię, jako stosowaną logikę. Chłodna i objektywna interpretacja, nieodparta argumentacja, stwarzają dookoła nas atmosferę, do której nie dochodzi szczęk walki partyjnej o ziemię. Kiedy wczytywałem się w komentarz, mimowoli przyszły mi na myśl słowa poety rzymskiego o *lucida atque serena templa doctrinae*. Cała jurydyczna precyzyjność myślenia, wnikliwość i subtelność analizy idąca w parze ze zdolnością syntetyzowania tam, gdzie chodzi o ujęcie wyników wykładni — występują w »Reformie rolnej« w pełni na jaw. Interpretacja dotyka aż w nazbyt wielu miejscach ostrzem dyskretnej ironji tekstu ustawy, podkreślając nie zasługującą na pochwałę niejednolitość prawniczych wyrażeń, braki płynące z nieścisłego określenia pojęć, czy wreszcie konieczność zastąpienia takich kryterjów, które nic nie mówią, innemi, dającemi się objektywnie stwierdzić. Gdzieindziej znowu stwierdza autor, że przepis ma w sobie coś tajemniczego lub, że stawia zbyt wielkie wymagania pod adresem wyobraźni czytelnika, gdy np. mówi, że grunty, wydzielone na potrzeby gminne, szkolne, zdrowotne, kościelne i inne cele publiczne i społeczne, przypaść mogą nietylko osobom prawnym, lecz i... fizycznym.

Ażeby dać pojęcie o tem, jak jest zredagowana ustawa i jaką jest analiza prawnicza, którą prof. Jaworski stosuje, pozwolę sobie zacytować ustęp na str. 267, odnoszący się do artykułów, które traktują o cenie sprzedażnej gruntów przy parcelacji: »...Jest zaletą ustawy, jeżeli jest napisaną w sposób przystępny dla ogółu. Ale nie trzeba przesadzać. Art. 68—71 są zbyt popularnie ujęte, dlatego też paść muszą wobec nawet skromnej analizy prawniczej. Mówią o trzech rodzajach ceny. Pomijam, że operują pojęciami wartości i ceny, jako identycznemi, bo nie chcę wkraczać w dziedzinę ekonomji. Przyjmijmy tę identyfikację za założenie i przypatrzmy się, jak się te trzy rodzaje przedstawiają.

Art. 68. l. 1 mówi o cenie opartej na »rzeczywistej« wartości, art. 69. l. 1, zaś o »istotnej specjalnej wartości względnie cenie rynkowej«. Nasuwają się dwa pytania:

1) czy »istotna specjalna wartość« nie jest wartością »rzeczywistą«,

2) czy cena rynkowa nie opiera się na wartości »rzeczywistej«, ale na »istotnej specjalnej wartości«?

Pomijam, jak powiedziałem, ekonomiczne rozważania, z którychby

wynikało, że cena jest wynikiem procesu, w którym wartość odgrywa rolę, ale nie można powiedzieć, że cena jest z wartością identyczna.

Stwierdzam tylko, że z tekstu ustawy wynika, że istnieje jakaś »rzeczywista wartość«, różna od »ceny rynkowej«, i stwierdzam dalej, że ustawa każe w pewnych przypadkach stosować cenę »specjalną«, a więc nie ogólną, lecz specjalną jednak cenę równą z ceną rynkową, jakkolwiekby się zdawało, że właśnie cena rynkowa jest ceną ogólną. Trudno wybrnąć z tych sprzeczności«. Dokładne przestudjowanie komentarza poucza nas o tem, iż ustawodawcy nie zdawali sobie sprawy, że ustawa zawiera pewne niedopowiedzenia, czy nieprzemyślenia do końca, które z konieczności muszą wyjść na jaw. Dzięki temu interpretacja ma sposobność najniepotrzebniej do stawiania różnych hipotez, co wywołuje tylko niepewność stanu prawnego i czyni w praktyce orzeczenia władz chwiejnemi. Omawiając prawniczą konstrukcję ustawy, prof. Jaworski odróżnia w niej dwie części. W części pierwszej mieszczą się przepisy o zapasie ziemi, o jego częściach składowych, o stworzeniu go i o przeznaczeniu na cele przebudowy ustroju agrarnego. Druga część ustawy jest poświęcona parcelacji. Syntetycznie ujmuje ją autor w następujących słowach: »Ze stanowiska prawniczego ta druga część wymaga troskliwego zbadania. Wydaje mi się, że ustawodawstwo polskie o parcelacji powinno być uporządkowane, że stosunek ustawy grudniowej do poprzednich przepisów winien być jasno i wyraźnie określonym. Ten stosunek ustawy grudniowej do poprzedzającego ustawodawstwa winien być dlatego wnikliwie zrewidowanym, że nowa ustawa wyznacza parcelacji inną rolę, jak ona jej wedle dawnej ustawy przypadała. Wedle dawnej ustawy rzeczą główną było wywłaszczenie, wedle nowej — główną rzeczą jest parcelacja. Podnosimy to dlatego, że to nam wyjaśnia, że przepisy o parcelacji były zredagowane w dawnej ustawie z innego punktu widzenia, patrzono na parcelację z innem nastawieniem myślowem, jak na nią patrzy nowa ustawa. Nowa ustawa usiłuje doprowadzić do tego, aby jej cele były spełnione przez dobrowolną parcelację, pragnie uczynić wywłaszczenie *ultima ratio*. Inaczej było w poprzedniej. Zaczynało się od wywłaszczenia. Ta różnica czyni z parcelacji zupełnie inny czynnik, jak w poprzedniej«.

Uwagi tyczące się parcelacji są tak doniosłe, że chciałbym je tutaj obszernie przytoczyć. Jako założenie, na którem powinno się oprzeć skodyfikowanie przepisów o parcelacji, należy przyjąć tezę, iż parcelacją jest już każdy jednorazowy podział, a niekoniecznie podział, obejmujący większy obszar i większą ilość aktów. Ponieważ parcelacja dobrowolna stanowi ośrodek całej akcji po myśli ustawy grudniowej, przeto pod tym kątem widzenia należy zredagować przepisy o parcelacji i dopiero w drodze odpowiedniego przekształcenia stosować do parcelacji rządowej. Z drugiej strony pamiętać należy, że wykonywanie w praktyce przepisów parcelacyjnych może wejść w konflikt z komasacją lub regulowaniem serwitutów. Zachodzi tedy uzasadniona obawa, że parcelacja padnie ofiarą na rzecz komasacji czy regulacji serwitutów, lub też naodwrót. Można temu niebezpieczeństwu zapobiec przez ujęcie całości zagadnienia, przy równoczesnem wykluczeniu fragmentarycznej kodyfikacji, a więc przez opracowanie pełnego kodeksu agrarnego.

W ogólnym zarysie charakterystyka ustawy grudniowej wykazuje, że nie jest ona bez zarzutu, ponieważ rozstrzyga tylko najczęstsze przypadki, a nie przewiduje wszystkich ewentualności, co jest obowiązkiem ustawodawcy. Niemal na każdej stronie komentarza autor podnosi, ile

wątpliwości musi rozstrzygnąć rozporządzenie wykonawcze, ile faktów i stanów musi być stwierdzonych, ile »cięć cesarskich« musi to rozporządzenie przeprowadzić. Ze względu na brak objektywnych kryterjów w ustawie w związku z niedostatecznym poziomem urzędów administracyjnych i brakiem należycie zorganizowanej kontroli ze strony władz, które decydują, — autor wyraża obawę, że ustawa będzie stosowaną dowolnie, zależnie od polityki każdorazowego ministra reform rolnych względnie rządu.

W zakończeniu rzuca autor wiązankę myśli, które — oby trafiły do przekonania społeczeństwa i przyoblekły się w celową i konsekwentną akcję, rozłożoną systematycznie na dłuższy okres czasu. W kształtowaniu nowych dróg reformy rolnej w Polsce należy przyjąć jako punkt wyjścia, że państwo jest niezdolne do przeprowadzenia reformy rolnej, czyli że należy wkroczyć na drogę dobrowolnej parcelacji — przy uwzględnieniu konstrukcji prawno-prywatnej, a nie prawno-publicznej. Szczególną uwagę poświęca autor stanowisku wierzycieli hipotecznych, których pretensje mają być zaspokojone z wynagrodzenia za wywłaszczone grunty. Znowu zazębiamy się tutaj o kwestję sfinansowania reformy rolnej, która łączy się ściśle z uzyskaniem pożyczki zagranicznej. W tej materji powinien ustawodawca postępować z wyjątkową ostrożnością ze względu na wierzycieli, upośledzonych w okresie inflacji i rozgoryczonych przepisami waloryzacyjnemi; chodzi przecież o odrodzenie długoterminowego kredytu realnego i o wzbudzenie zaufania w obrocie nieruchomościami.

Następnie podnosi prof. Jaworski, że reforma rolna jest koniecznością narodową a nie klasową i ma uporządkować chaotyczne stosunki na wsi. Dlatego też celem uzupełnienia ustawy grudniowej należy nie tylko opracować szereg ustaw i rozporządzeń, ale przystąpić do kodyfikacji pełnego kodeksu agrarnego.

Do uwag autora, że reforma rolna wymaga zmiany prawa spadkowego i ustawodawstwa o księgach gruntowych, niech mi wolno będzie dorzucić moją uwagę, że trzeba będzie zmienić także odpowiednio przepisy egzekucyjne i konkursowe, stworzyć typ nie wielkokmiecej lecz średniokmiecej osady i ująć w odpowiednie normy całą akcję osadniczą, odbierając jej wszelkie cechy chaotycznej dorywczości. Od odpowiedzi na te wszystkie kwestje zależy, czy reforma rolna ma nadal rzucać ponury cień na nasze stosunki polityczne i społeczne, czy przeciwnie ma się stać jutrzenką nowej ery w życiu współczesnej Polski.

Nauka stwierdza[1], że reforma rolna u nas wykazuje wszelkie znamiona radykalizmu agrarnego, który zmusza ustawodawstwo do gorączkowego pośpiechu, aby tylko złagodzić zaostrzone konflikty społeczne i ekonomiczne, zaspokoić chwilowo groźny głód ziemi, uwzględnić postulaty przelicytowujących się w demagogicznych hasłach stronnictw włościańskich, które doszły do władzy. Dzieło prof. Jaworskiego powinno naszych reformatorów natchnąć rozumem i twórczą odwagą i dopomóc im w trudzie tworzenia nowego ustroju rolnego.

Książka prof. Jaworskiego powstała z troski o dobro powszechne, a autor poświęcił ją tym, którzy ziemię kochają. Nie wątpię, że spotka się u nich z wdzięcznością i szczerem zainteresowaniem, a także — co najważniejsze — i z posłuchem. *Dr. Adolf Liebeskind.*

---

[1] Franciszek Bujak »Uwagi krytyczne o naszej reformie rolnej«. 1921. — Leon Władysław Biegeleisen »Reforma rolna głównych państw europejskich«. T. I. 1924.

D r. F r y d e r y k D o e r r, profesor prawa na Uniwersytecie w Monachjum. »*Proces Jezusa Chrystusa w oświetleniu prawno-historycznem*«. Przekład D r a S t e f a n a G l a s e r a, profesora Uniwersytetu Wileńskiego, ze słowem wstępnem K s. D r a W ł a d y s ł a w a S z c z e p a ń s k i e g o, T. J., profesora Uniwersytetu Warszawskiego, Wilno 1927.

Smutne to ale prawdziwe, że w kraju wybitnie katolickim, jakim jest Polska, nie znalazł się dotychczas nikt, ktoby oświetlił z punktu widzenia prawno-historycznego największy dramat, jaki kiedykolwiek rozegrał się na tym świecie, fakt historyczny wykonania kary śmierci na Założycielu Nowego Zakonu. Wiadomości, jakie na ten temat posiadamy, są raczej natury religijnej; śmierć Chrystusa to uwieńczenie dzieła wybawienia zapoczątkowanego przybraniem postaci ludzkiej przez Syna Bożego. Ale wszak skazanie Chrystusa odbyło się przed *forum Sanhedrynu* i magistratury rzymskiej, z powołaniem się na przepisy prawa. Każdy więc prawnik pragnie zapoznać się z przebiegiem tego tragicznego procesu, który w imieniu prawa doprowadził do zgładzenia najbardziej świetlanej postaci tego świata, a i u nieprawnika, u człowieka kulturalnego, który *eo ipso* interesować się musi zjawiskiem prawa w formie nieodzownego porządku społecznego, skrupulatne oświetlenie prawno-historyczne tego dziejowego zdarzenia wzbudzić musi jak najżywsze zaciekawienie. Literaturze zagranicznej problem ten nie jest obcy, monografji polskiej dotychczas niema. Z radością więc powitać należy fakt, iż polski uczony prawa karnego podjął się żmudnej pracy przełożenia na język polski nader cennej monografji prof. D o e r r a, uzupełniając temsamem dotkliwą lukę naszego piśmiennictwa i przypominając naszym uczonym o istnieniu tego nader ciekawego zagadnienia.

Celem, do którego zmierza praca prof. Doerra, jest zbadanie procesu »na podstawie czysto ludzkiej miary obowiązujących podówczas urządzeń prawnych«, by »rozpoznać, czy postępowanie odbywało się po myśli ustaw, czy było uporządkowane pod względem procesowym a materjalnie usprawiedliwione«. W kwestji prawności procesu zapatrywania uczonych nie są zgodne; jedni stoją na stanowisku, że naogół proces przeciwko Jezusowi Chrystusowi odbył się zgodnie z żydowskiemi i rzymskiemi przepisami procesowemi i że wyrok był rzeczowo uzasadniony, choć był wynikiem fanatycznego zaślepienia, któremu poszedł na rękę prokurator rzymski ze względów politycznych oraz z obawy o własne stanowisko; inni znów podkreślają, że osądzenie i stracenie Jezusa nastąpiło z przełamaniem ustawy, że nie był to żaden proces, ale prosty samowolny akt zaślepionego tłumu fanatyków, kierowanego przez wpływowych kapłanów, przy poparciu stronniczego prokuratora rzymskiego, nie wymiar sprawiedliwości, lecz prosty gwałt, zwyczajne morderstwo. Prof. Doerr stara się rozstrzygnąć ten dylemat na podstawie sumiennego badania źródeł, logicznego rozumowania i kombinacji, gdzie źródła zawodzą lub wykazują sprzeczność. Rozwija on przed nami tło całej akcji, teokratyczno-polityczne podłoże zatargu między Mesjaszem a faryzeuszami, charakteryzuje dobitnie mentalność i charakter wpływowych czynników żydowskich, ich religijny formalizm, który doprowadzić musiał do krwawego epilogu. Nie zapominając na chwilę o tem, że pisze rozprawę prawno-historyczną, przedstawia on w części pierwszej fakta poprzedzające uwięzienie, samo uwięzienie, rozprawę przed sądem żydow-

skim oraz wyrok sądu żydowskiego, w części drugiej postępowanie delibacyjne, rozprawę przed prokuratorem rzymskim, nakaz stracenia i uzasadnienie, oraz samo stracenie.

Najwyższe zainteresowanie budzi naturalnie stanowisko autora w stosunku do dwóch poprzednio zaznaczonych poglądów. Co się tyczy formalnego przeprowadzenia procesu przed *Sanhedrynem,* t. j. sądem żydowskim, to autor dowodzi, że dwukrotnie uchybiono przepisom proceduralnym, raz przez prowadzenie rozprawy w nocy, co tembardziej zasługuje na naganę, że sprawa była doniosła i to w oczach samych sędziów, drugi raz przez to, że wbrew przepisom ogłoszenie wyroku nie odbyło się dnia następnego, jak tego wymagała litera prawa, ale po krótkiej przerwie tego samego dnia rano, zaznacza jednak, że uchybienia te zdaje się nie powodowały nieważności wyroku. Natomiast z punktu widzenia ówczesnych pojęć sądzącego trybunału zarzut bluźnierstwa, który stanowił punkt ciężkości całego oskarżenia, udowodniony został samem przyznaniem się Oskarżonego: »Tyś, powiedział, Jam jest; odtąd ujrzycie Syna Człowieczego, siedzącego na prawicy mocy Bożej i przychodzącego w obłokach niebieskich«. Po ustaleniu tedy karalnej istoty czynu, zapadł wyrok śmierci zgodny materjalnie z ustawą, która za bluźnierstwo (w myśl prawa żydowskiego) przewidywała karę śmierci. Sąd był przekonany o winie Oskarżonego, pozostając przytem w błędzie dogmatycznym.

Sąd żydowski nie miał jednak prawa wykonać wyroku śmierci, które to *ius gladii* przysługiwało władzy rzymskiej i dlatego musiał skazanego postawić przed oblicze prokuratora Piłata. Zadaniem prokuratora było zbadać, czy i o ile faktyczna istota czynu, na której polegał wyrok żydowski, ulegała karze również według prawa rzymskiego. Autor maluje przebieg całego tego ponownego procesu, usiłowania prokuratora, by za wszelką cenę pozbyć się rozstrzygnięcia niemiłej dla niego sprawy. Charakterystyczne jest przytem, że oskarżyciele pomijają przed trybunałem rzymskim kwestję zbrodni przeciwko religji i wysuwają zarzut zbrodni stanu popełnionej przez usiłowanie obalenia ustroju państwowego, podżeganie do buntu i nieposłuszeństwa, ogłaszanie się »Królem«, a dopiero później wysuwają znów momenty religijne i wreszcie chwytają się ostatniej deski ratunku: wrogowie Rzymu grożą namiestnikowi, że doniosą cesarzowi, iż nie występuje przeciwko temu, który jako samozwańczy »Król« żydowski buntuje się przeciw władzy imperatora — wtedy Piłat ulega. Zatwierdzenie wyroku przez Piłata daje autorowi *asumpt* do rozważań, czy Chrystus w rzeczywistości popełnił przestępstwo polityczne, za które został skazany przez prokuratora rzymskiego i to przypuszczenie stanowczo odrzuca. »Tak więc decyzja Piłata, wydana pod względem zasad procesowych prawidłowo, była zatem mylną tak pod względem prawa materjalnego, jak i przedmiotowo, a opierała się na błędzie faktycznym«, zaprzecza jednak, jakoby Piłat miał o tem świadomość, uzasadniając swoje zdanie dość szczegółowo. Ocena postępowania prokuratora rzymskiego nie jest zapewne łatwa. Jednakowoż krytyka, jakiej się podjął autor, w zupełności, zdaje się, zadowolić nie może. Wszak prof. Doerr podkreśla kilkakrotnie, że Piłat ociągał się z zatwierdzeniem wyroku, że chciał uniknąć wykonania kary śmierci, zdając sobie sprawę z tego, iż kwestję religijną przesunięto na teren polityczny; w Chrystusie Piłat nie widział niebezpiecznego wichrzyciela, ale raczej sympatycznego marzyciela. Prokurator rzymski nie cofa się przed jawnem stwierdzeniem, że nie widzi żadnej winy po stronie Jezusa, i on, który nie był oprawcą

zmuszonym do wykonania kary śmierci, przecież wreszcie wyrok zatwierdza. Trudno się pogodzić z autorem, kiedy zaznacza, że skoro Piłat mimo wszystko wyrok zatwierdził, to działał w dobrej wierze. Całe zachowanie się Piłata przeczy tej konkluzji i ona wydaje się apodyktyczną i conajmniej należało wykazać, że prokurator zmienił swoje zdanie. bo wszak sam fakt wydania wyroku nie może przesądzać dobrej wiary sędziego. Autor zdaje się zbyt lojalnie ocenia charakter tego urzędnika.

Wykonanie wyroku, to ostatni akt tej tragedji, śmierć na krzyżu, to rzymska kara stosowana za zdradę w szczególności w prowincjach rzymskich.

Podniesiono tu tylko jeden zarzut przeciwko ocenie postępowania samego prokuratora. Czy i o ile trafne są zapatrywania autora w innych kwestjach, to wykazać może jedynie sumienne badanie źródeł i umiejętna krytyka zawartych tam szczegółów. Największą zasługą autora jest ściśle prawnicze oświetlenie tego dziejowego faktu, który jako ostatni etap Bożego posłannictwa stał się punktem zwrotnym w dziejach ludzkości. Za to należy się prof. Doerrowi wdzięczność w imieniu nauki.

Podkreślić należy również poprawny i sumienny przekład prof. Glasera, co ocenić potrafią ci, którzy wiedzą, ile trudności nastręcza tłumaczenie niemieckiego dzieła prawniczego.

Władysław Wolter jun.

Dr. Maciej Starzewski. *Konstytucja Republiki Czechosłowackiej.* Kraków 1926. Nakładem Krakowskiej Spółki Wydawniczej. Druk W. L. Anczyca i Spółki w Krakowie. Str. VI+182+2 nl.

W przedmowie scharakteryzowano metodę pracy następująco: 1) analiza przepisów Konstytucji oraz ustaw mających zarysowane w niej instytucje realizować i ścisłe ustalenie treści ich i znaczenie; 2) po uzyskaniu w ten sposób podstawy, określenie fizjognomji głównych organów Republiki, wyjaśnienie ich budowy i kompetencji, zastanowienie się nad praktycznemi możliwościami ich funkcjonowania, wyznaczenie wreszcie ich wzajemnego do siebie stosunku; 3) określenie wkońcu typu, do którego należy zaliczyć ustrój państwa czechosłowackiego, wydobycie momentów indywidualizujących ten ustrój i odtworzenie naczelnych idei organizujących mechanizm państwowy. Na tej drodze rozwiązania prawnicze stają się podkładem do wysnucia wniosków teoretyczno-politycznych. W pracy uwypuklone zostały przedewszystkiem te urządzenia i te ich cechy, które charakteryzują wydatnie gmach wzniesiony przez Konstytucję lub które mogą wzbudzić szczególny interes przez swoją oryginalność i nieszablonowe ujęcie lub rozwiązanie ważnych problemów.

Przy ustalaniu treści poszczególnych przepisów uwzględniono w szerokiej mierze literaturę przedmiotu, wskazano na wątpliwości nasuwające się przy interpretacji, przedstawiono różne rozwiązywania i poglądy, wyłaniające się stąd polemiki, przyczem starano się przyjąć wykładnię najbardziej zgodną z całokształtem systemu konstytucyjnego prawa czechosłowackiego. Największy interes może wzbudzić streszczenie dyskusji, w której zabierali głos prócz czeskich prawników, nadto także Kelsen, Hauriou, Duguit, a która toczyła się dookoła kwestji rozporządzeń rzą-

dowych, ich dopuszczalności wogóle, stosunku do ustaw, granic materjalnych i formalnych (str. 141—149).

Praca ułożona została według treści samej Konstytucji, tytuły rozdziałów Konstytucji odpowiadają mniej więcej tytułom rozdziałów pracy.

Rozdział I. »Zewnętrzna forma Konstytucji czechosłowackiej«. Stanowisko Konstytucji w czechosłowackim porządku prawnym ustala pojęcie ustawy konstytucyjnej według prawa czechosłowackiego — wylicza te ustawy, które prócz Karty Konstytucyjnej składają się na całość Konstytucji, — zajmuje się wreszcie zagadnieniami unormowanemi w ustawie wprowadczej. Wywody prowadzą do konkluzji, że ustawy konstytucyjne zajmują stanowisko odrębne i wyjątkowe w czechosłowackim porządku prawnym. Różnią się od ustaw zwyczajnych najpierw swą sztywnością, t. zn. że zmiana ich i uzupełnienie może nastąpić jedynie w trybie specjalnym, odmiennym od trybu przychodzenia do skutku ustaw zwyczajnych, — następnie zaś tem, że mają prawnie zabezpieczony charakter norm hierarchicznie wyższych. Na straży Konstytucji, jej nietykalności wobec ustawodawcy, stoi organ specjalny, nienależący do organizmu zwyczajnych władz sądowych: Trybunał Konstytucyjny; dzięki temu Trybunałowi prymat Konstytucyj posiada sankcję prawną, a Czechosłowacja cieszy się prawdziwą Konstytucją w formalnem znaczeniu (str. 21—30).

Rozdział II: »Zasady organizujące Konstytucję czechosłowacką« wywodzi z rozdziału pierwszego Karty Konstytucyjnej następujące najogólniejsze zasady ustroju Czechosłowacji: państwo jednolite, opierające swój ustrój na zasadach reprezentacji, podziału władz, demokratycznych wyborów, o republikańskiej formie rządu, z Prezydentem jako swoją głową, w zasadzie pod względem ustawodawczym, z jednym wyjątkiem Rusi Podkarpackiej, scentralizowane. Najdłuższy ustęp poświęcono określeniu stosunku Rusi Podkarpackiej do Czechosłowacji. W polemice z prof. Weyrem, który uznaje ustawy wydawane przez Sejm Rusi Podkarpackiej za tworzące odrębny porządek prawny i uważa na tej podstawie Czechosłowację za państwo związkowe, rozwinięto wywód o kryterjum odrębności porządku prawnego. Mieści się ono w dwóch cechach: 1) możność skonstruowania personifikacji danego porządku prawnego, ujęcia go jako pewnego podmiotu o charakterze stałym i niezmiennym, co da się przeprowadzić wówczas tylko, gdy norma najwyższa, z której się ten porządek wywodzi, bądź zakłada swą własną petryfikację, bądź przynajmniej zabezpiecza niezmienność odrębności zapomocą zawarowania organom, tworzącym normy mające się złożyć na odrębny porządek prawny, głosu stanowczego przy swojej zmianie; 2) całkowitość grupy norm mających tworzyć odrębny porządek prawny, całkowitość w znaczeniu formalnem, t. zn. wykonywanie (względnie możność wykazania) wszystkich formalnych rodzajów norm, składających się na pełny porządek prawny, od norm konstytucyjnych aż do norm wykonawczych. Na tej podstawie odmówiono ustawom Rusi charakteru odrębnego porządku prawnego, a Czechosłowację uznano za państwo jednolite (str. 39—45).

Rozdział III poświęcono Zgromadzeniu Narodowemu, jego organizacji, prerogatywie, stanowisku w ustroju. Mówiąc o wyborach, uwydatniono krańcowy proporcjonalizm ordynacji, zmierzający do bezwzględnie objektywnego i najściślej dokładnego odtworzenia w Izbach pomniejszonego obrazu sił w społeczeństwie. Nie ukrywając trudności, jakie ordynacja przez to nastręcza prawidłowemu funkcjonowaniu systemu rządów

parlamentarnych, starano się ją usprawiedliwić z jednej strony wymaganiami podyktowanemi przez narodowościową różnolitość Czechosłowacji, z drugiej strony dążnością do zrealizowania idei sprawiedliwości oraz chęcią wywarcia na społeczeństwo pewnego wychowawczego nacisku. Ordynację można mianowicie pojąć, jako próbę homeopatycznej niejako kuracji z choroby zbyt drobiazgowych partyj: wyrobione politycznie społeczeństwo musi poczuć się wkrótce zmuszonem, właśnie dzięki proporcjonalności uwydatniającej panujący w niem chaos, do konsolidowania się w partjach opartych na szerszych programach, zdolnych ogarnąć różne odłamy i dość silnych na to, by wziąć ewentualnie rządy w swoje ręce (str. 57—59). W dalszym ciągu uwydatniono znaczenie szczególne partyj, które nietylko korzystają z wielu ważnych praw politycznych, nietylko desygnują posłów przez wystawienie związanych list kandydatów, ale nadto mają przyznaną sobie ochronę prawną swoich interesów politycznych, mogą bowiem dochodzić naruszenia tych interesów ze strony posła z ich listy wybranego przed Trybunałem Wyborczym i żądać pozbawienia takiego posła mandatu. Urządzenie ciekawe, przypominające dawne instrukcje wiążące, uzależniające posła całkowicie od dyscypliny partyjnej, czyniące zeń jedynie posłańca partji i pozbawiające go charakteru przedstawiciela narodu, — jednakowoż zgodne z faktycznym stanem rzeczy i zapobiegające dalszemu, już w toku kadencji dokonywanemu rozbijaniu się Izb na atomy przez zapewnienie klubom trwałego stanu posiadania. W związku z działalnością Trybunału Wyborczego pozostaje także postanowienie ustawy o *incorupatibilitas* mającej zapobiegać korupcji poselskiej, złu, które opinja czeska wcześnie sobie uświadomiła (str. 62—68). Przy opisie funkcji Zgromadzenia zwrócono uwagę na troskę Konstytucji o zorganizowanie współpracy Izb, stworzenie środków usuwania konfliktów pomiędzy niemi, wreszcie o zapewnienie ciągłości prac legislacyjnych pomiędzy ustępującemi i odnowionemi Zgromadzeniami. Odnośnie do stanowiska Senatu podniesiono, że jest ono równorzędne z Izbą Posłów, przy pewnej tylko przewadze Izby Posłów, wyposażonej w nieliczne atrybuta nie przysługujące Senatowi, niezbyt wielkie jednak i nie posiadające praktycznie większej wagi. Pomimo bardzo silnej konstytucyjnej pozycji, Senat jednak faktycznie nie odgrywa wyznaczonej sobie w ustroju, a przez konstytucję zamierzonej roli. Przyczyny tego zjawiska upatruje się w jednakowych prawie ordynacjach do obu Izb, skutkiem czego Senat reprezentuje ten sam układ sił, co Izba Posłów. Gorzej zaś obsyłany przez stronnictwa, gdy ich przywódcy przenoszą mandaty do Izby Posłów, — nie może zdobyć się na wywalczenie sobie samodzielniejszego stanowiska (str. 99—102). Wniosek z charakterystyki stanowiska Zgromadzenia Narodowego w ustroju Czechosłowacji brzmi, że stanowisko to jest takie samo, jakie przypada legislatywie w Republikach parlamentarnych. Dzięki swoim ustawodawczym i politycznym atrybutom jest Zgromadzenie władzą naczelną, posiadającą we wszystkich najważniejszych sprawach państwowych głos decydujący, jest ciałem nadającem kierunek całej polityce państwa, regulatorem całej działalności Rządu, który jest obowiązany postępować w myśl inspiracyj idących od Zgromadzenia i który wbrew Zgromadzeniu niczego przedsięwziąć nie może. Przewaga parlamentu nie znaczy jednak jego wszechwładztwa, ani nie znaczy, by parlament niezdolny do rządzenia mógł zahamować całą działalność państwową. Rząd bowiem rozporządza kilku środkami zabezpieczającemi jego samoistność i pozwala-

jącemi mu próbować w razie wybuchnięcia konfliktu pomiędzy nim a Zgromadzeniem przeprzeć swoją wolę i nie odrazu uchylić posłusznie głowę przed Zgromadzeniem, a także w razie niezdolności Zgromadzenia do prowadzenia swych konstytucyjnych agend, zaapelować do wyborców. Z tych praw egzekutywy najważniejsze nieograniczone prawo Prezydenta rozwiązania Izb, — mniejsze znaczenie mają prawo Prezydenta obłożenia ustawy *vetem*, wreszcie prawo Rządu zarządzenia *referendum* (str. 102—103). Tę ostatnią innowację Konstytucji Czechosłowackiej charakteryzuje praca ujemnie, wytykając jej niekonsekwencje i odmawiając całkowicie praktycznego znaczenia (str. 86—90). Wkońcu zajmuje się rozdział III instytucją Stałego Wydziału, podnosząc szczęśliwość tego pomysłu (str. 103—110).

Rozdział IV zajmuje się organami władzy rządowo-wykonawczej, charakteryzuje budowę czechosłowackiej egzekutywy, analizuje wreszcie stanowisko i uprawnienia obydwu jej członów, Prezydenta i Rządu. — Budowa egzekutywy dwuczęściowa: zarówno Prezydent Republiki, jak Rząd są naczelnemi i bezpośredniemi organami państwowemi, samoistnemi i wobec siebie konstytucyjnie równorzędnemi. W Konstytucji atrybuta Prezydenta wybieranego przez Zgromadzenie Narodowe i nieodpowiedzialnego wyliczone taksatywnie, mogą być wykonywane jedynie za kontrasygnatą, względnie (przejawiające się nie w aktach pisemnych) za konstytucyjnie ustanowioną odpowiedzialnością za nie Rządu. Rządowi mianowanemu przez Prezydenta, odpowiedzialnemu przed Zgromadzeniem, przyznaną została przez Konstytucję cała reszta rządowo-wykonawczych funkcyj, jako jego własna domena, wykonywana kolegjalnie. Szczegółowy rozbiór wzajemnych stosunków Prezydenta i Rządu zamyka konkluzja: Aczkolwiek Konstytucja nie pozwala Prezydentowi wykonywać swej władzy samodzielnie, stawia go jednak jako istotną część całej maszyny ustrojowej, stara się umożliwić mu współpracę z Rządem i zapewnić mu wpływ na Rząd. Przedewszystkiem jednak dąży Konstytucja do stworzenia z Prezydenta trwałego czynnika ustrojowego, nieodpowiedzialnego, a więc stojącego ponad walkami i konfliktami Zgromadzenia i Rządu, tych właściwych motorów i kół ustroju, czynnika, który reguluje funkcjonowanie tamtych, utrzymuje je w mierze zakreślonej Konstytucją działalności, strzeże ich prawidłowego zazębiania się, baczy, by się nie rozluźniały, nie wykolejały, nie stawały niezdolnemi do spełniania swych zadań, czynnika harmonizującego i utrzymującego całą maszynę i wszystkie jej części w zgodzie z jej najwyższym celem. Karta, nie czyniąc Prezydenta kierownikiem państwa, czyni go jednak najwyższym regulatorem i czynnikiem równowagi. Zwrócono w pracy uwagę na moment, że cel ten byłby może w wyższym jeszcze stopniu osiągnięty przy innem unormowaniu wyboru Prezydenta, przez plebiscyt a nie Zgromadzenie Narodowe (131—134). Rozdział kończy ustęp o ministerstwach i niższych urzędach administracyjnych, przyczem uwzględniono też ustawę o urzędach żupanackich i okręgowych.

Dalsze, krótsze rozdziały poświęcono organom wymiaru sprawiedliwości (zwrócono uwagę na ustawę o ochronie Republiki, ustanawiającą Trybunał Stanu powołany do sądzenia zamachów przeciw Konstytucji, najwyższym organom Republiki, czynnikom życia państwowego), — dalej prawom i wolnościom obywatelskim, — wkońcu ochronie mniejszości. — Prawom obywatelskim przyznano przedewszystkiem to pozytywne znaczenie, że mają one na celu ograniczenie ustawodawcy bądź

w stanowieniu pewnych przepisów wogóle, bądź przekazywaniu pewnych materyj do unormowania w drodze rozporządzeń. Odnośnie do ochrony mniejszości stwierdzono, że Konstytucja starała się w szerokiej mierze zabezpieczyć zarówno językowe jak kulturalne prawa mniejszości. Twórcy Konstytucji mieli świadomość konieczności pozyskania mniejszości dla państwowości czechosłowackiej. Ustawa językowa posiada wady, zarzuty stawiane jej jednak są przesadne. Luki jej dadzą się usprawiedliwić tem, że jest ustawą konstytucyjną, a więc z konieczności ramową. Jej metoda odsyłania do rozporządzeń uregulowania ważnych nieraz kwestyj wydaje się ostrożną i celową; uwalnia Zgromadzenie od konieczności zajęcia się sprawą mieszczącą w sobie wiele materjału palnego, podczas gdy Rząd ma możność łatwiejszego i szybszego sformułowania zasad słusznego kompromisu.

Przy scharakteryzowaniu instytucyj stworzonych przez Konstytucję praca porównuje je często z odpowiedniemi urządzeniami francuskiemi i polskiemi. W ten sposób z jednej strony uplastycznia się odrębności ustroju czechosłowackiego, rzucając je na tło najbardziej typowego ustroju republiki parlamentarnej, który służył na wzór niejako wszystkim późniejszym państwom, przyjmującym tę formę rządów, — z drugiej zaś strony uwydatnia się różnicę dążności politycznych oraz ideologji Czechosłowaków w stosunku do polskich sejmowładczych tendencyj. Praca ukończona w styczniu 1926 r. nie mogła uwzględnić ostatnich przemian polskiego konstytucjonalizmu. W pewnej mierze, aczkolwiek szczupłej, uwzględniono momenta faktycznego funkcjonowania Konstytucji, życia konstytucyjnego tam, gdzie ono wpłynęło na ukształtowanie się zarysowanych w Konstytucji urządzeń, lub rzuciło światło na ich charakter i znaczenie.

Zakończenie podaje ogólną charakterystykę Konstytucji Czechosłowackiej. Stwarza ona typ ustroju republiki parlamentarnej, nawskróś demokratycznej, oparty na jak najszerzej pojętym liberalizmie politycznym, społecznym i narodowościowym. Konstytucję indywidualizują następujące momenta: 1) Jest ona Konstytucją prawdziwą w formalnem tego słowa znaczenia, dzięki zagwarantowaniu wyższości jej norm i postawieniu na Straży Trybunału Konstytucyjnego. Dzięki temu utworzony przez nią szkielet urządzeń państwowych, szkielet, który ma podtrzymywać i spajać w jednolitą, celowo skonstruowaną całość wszystkie organa życia publicznego, jest trwały, mocny i odporny. Dzięki temu Konstytucja może stać się regulatorką życia, które będzie zmuszone płynąć korytami przez nią wytkniętemi, i może stać się czynnikiem twórczo-kształtującym rzeczywistość życia publicznego Czechosłowacji. 2) Dąży do urzeczywistnienia idei sprawiedliwości, zapewniając jednostkom i grupom pewne nienaruszalne prawa i proporcjonalnością swoją powołując wszystkie odłamy społeczeństwa do współpracy i obrony swych interesów. 3) Wkońcu inspiruje się ideę równowagi, dbając o to, by egzekutywa — w systemie rządów parlamentarnych z natury rzeczy uzależniona od legislatywy — nie stała się jednak tylko organem legislatywy, lecz by zachowała swą odrębność, indywidualność i odporność. Obydwie naczelne władze wewnętrznie podzielone i zrównoważone równoważą się wzajemnie, przyczem Konstytucja dba nietylko, by hamowały wzajemnie ewentualne swe tendencje do przerostu i antykonstytucyjne poczynania, ale stara się tak je związać ze sobą i zahaczyć o siebie, by mogły razem owocnie współpracować. Ogólny sąd o Konstytucji wypada dodatnio: przedstawia

się ona jako pomnik dużej kultury umysłowej, specjalnie prawniczej i politycznej (str. 171—177).

Książkę zamyka wyczerpująca bibljografja (str. 178—182). Wspomnieć należy także o ustępie historycznym, informującym zwięźle o najistotniejszych faktach z historji powstania państwa Czechosłowackiego i jego Konstytucji.

Praca Dra M. Starzewskiego, której metodę i treść staraliśmy się podać możliwie dokładnie, zasługuje w pełni na uznanie. Konsekwencja metodycznego opracowania, sumienność w uwzględnieniu materjału, spokojny sąd są zaletami, które należy cenić. Rozprawa Dra Starzewskiego zajmie też piękne miejsce w naszej literaturze prawniczo-politycznej i pozwala mieć nadzieję, że w Drze M. Starzewskim zyskamy poważną siłę naukową. *W. L. Jaworski.*

Ze studjów nad prawem małżeńskiem. Dr. Arthur Lenhoff. Auflösung der Ehe und Wiederverehelichung. Beiträge zum österreichischen Eherecht. Wien 1926.

Książka, o której zamierzam pisać, powstała pod wpływem bezpośrednim tych patologicznych objawów, które na obszarze dzisiejszej Austrji zdradzają anormalne stosunki w dziedzinie prawa małżeńskiego. Potrzebę reformy odnośnych przepisów austrjackiego kodeksu cywilnego odczuwano już oddawna, a Ehrenzweig[1] nie wątpi nawet, w jakim kierunku ta reforma iść musi. Jeżeli uprzytomnimy sobie, że historja małżeństwa w ostatnich dwóch stuleciach jest jednym wielkim okresem rozluźniania się węzła małżeńskiego, że coraz usilniej domagano się oderwania cywilnego prawa małżeńskiego od jego religijnej podstawy, to nie będziemy ani oburzali się ani też nadmiernie temu dziwili, że ewolucja prawa małżeńskiego w poszczególnych państwach europejskich miała do wyboru dwie drogi. Drogę pierwszą, legalną, drogę reformy charakteryzują dwa momenty: obligatoryjny lub fakultatywny ślub cywilny dla wszystkich nupturjentów bez różnicy wyznania i rozwiązalność małżeństwa z pominięciem sakramentalnego charakteru tej instytucji według prawa kanonicznego. W ostatnich 30 latach na tem stanowisku stanęły kodeks cywilny niem. z r. 1896, kodeks cywilny szwajcarski z r. 1907, prawo szwedzkie z r. 1908, norweskie z r. 1918 i duńskie z r. 1922. Cyfry statystyczne, tyczące się Danji, nie powinny tu być przemilczane. W r. 1922 zawarto w Danji 1155 ślubów cywilnych, w r. 1923 ta liczba podniosła się przeszło o 3000 do 4682, natomiast obniżyła się liczba ślubów kościelnych z 23.911 w r. 1922 na 20.726 w r. 1923[2].

Na szczególną uwagę zasługuje prawo małżeńskie Czecho-Słowacji z 22 maja 1919, ponieważ jest ono pierwszą ustawodawczą próbą reformy obowiązujących dotąd u nas i w Austrji niem. postanowień kodeksu cywilnego. Między innemi zaprowadza cytowana ustawa nietylko fakultatywne śluby cywilne, ale usuwa także przeszkody, które w prawie austr. mają wyłącznie konfesyjny charakter, a więc *impedimentum ordinis* i *voti*

---

[1] Ehrenzweig: System des österreichischen allgemeinen Privatrechts. 6 Auflage Wien 1924, II Band, II Hälfte, str. 10.

[2] Neue Freie Presse, 8 VIII 1924

sollemnis z § 63 k. c., *impedimentum disparitatis cultus* z § 64 k. c., *impedimentum catholicismi* po myśli dekretów nadwornych z 1814 i 1835. Dla ścisłości wymienić tu jeszcze należy prawo małżeńskie Rosji sowieckiej po myśli dekretu z 28 grudnia 1917.

Inaczej wygląda druga droga, którą posuwa się ewolucja prawa małżeńskiego w tych państwach, w których reformy nie zdołano przeprowadzić. Wytwarza się sytuacja, o której pisze Jaworski[1]: »Jednostka zmusza Kościół i państwo do ustępstw, do reform, a gdzie się jej to nie udaje, obchodzi normę. I to jest dalsza charakterystyka prawa małżeńskiego: nigdzie tak jawnie i tak konsekwentnie nie obchodzi prawa jednostka, jak w prawie małżeńskiem. Powstają, w drodze oczywistego nadużycia norm, całe instytucje i tak się wielmożnią, że państwo i kościół uginają się wreszcie, po walce, przed niemi i swej przegranej dają wyraz w reformach«. Taki właśnie stan wytworzył się po wojnie w Austrji. Zmieniły się radykalnie poglądy społeczeństwa na istotę małżeństwa i na treść tej instytucji pod względem prawnym. Normy pochodzące z r. 1811, jednostronnie przez sądy stosowane i przez naukę interpretowane, nie mogły pomieścić nowej treści, którą życie wlewało w skostniałą formę jurydyczną. Treść okazała się silniejszą od formy, a wartko płynący strumień życia zerwał groblę ustawową. która w nauce nosiła dawniej szumną nazwę »niedającej się usunąć przeszkody«. »Rechtslogisch ist gerade »die Ehe« ein treffendes Beispiel, wie Sein und Sollen sich unterscheiden« czytamy na pierwszej stronie książki Lenhoffa, który nieco dalej rozumuje w ten sposób: »Zwischen dem »Norminhalt« und dem »Sein« zieht also die Statistik eine böse Scheidewand. Nicht was im *high life* noch vorkommt, sondern massgebend für die Beurteilung einer gesellschaftlichen Erscheinung ist ihre Wesenheit im Volksganzen«. Tą patologiczną instytucją, o której wspomniałem na wstępie, będącą wymownem świadectwem jaskrawej sprzeczności pomiędzy przepisem ustawy a wymogami życia, jest tzw. »Dispensehe«. Geneza tej instytucji jest następująca[2].

W r. 1919 udzielił starosta krajowy Austrji dolnej (»der niederösterreichische Landeshauptmann«) Sever wielu separowanym katolikom dyspenzy od przeszkody istniejącego węzła małżeńskiego i pozwolił im na wejście w nowe związki małżeńskie. Stąd też pochodzi nazwa »die Severehen«. Przykład ten naśladowały niebawem inne rządy krajowe, a postępowały przytem z taką swobodą, że dyspenza zaczęła zastępować poprzednie uznanie małżonka za zmarłego, u akatolików nie wymagano więcej rozwodów, a u katolików nie wymagano nawet separacji od stołu i łoża, zastępując w ten sposób orzeczenie władzy sądowej dyspenzą, pojętą jako akt władzy administracyjnej.

W literaturze prawniczej rozpoczęła się ożywiona dyskusja *pro* i *contra die Dispensehen*. Opinja wydziału prawa Uniwersytetu w Innsbrucku zredagowana przez Wössa uznała te małżeństwa za nieważne. Podobnie oświadczył się Sąd Najwyższy w Wiedniu w r. 1921. Efekt był taki, że w dziedzinie prawa małżeńskiego w dzisiejszej Austrji wytworzył się chaos, który trudno opisać. Sprzeczności w zapatrywaniach władz sądowych i administracyjnych nie dadzą się usunąć. Zawarcie

---

[1] Wł. L. Jaworski: Prawo cywilne na ziemiach polskich. Tom I. str. 43.
[2] Ehrenzweig, l. c., str. 64.

związku małżeńskiego na podstawie dyspenzy staje się grą na loterji[1]. Sędziowie zależnie od tego, jak pojmują swą niezawisłość sędziowską, uznają »die Dispensehe« już to za ważne, już też za nieważne, nie zawsze oglądając się na orzeczenie Sądu Najwyższego. Sędzia Sądu Apelacyjnego w Wiedniu Ratzenhofer, podobno jeden z pierwszorzędnych prawników wiedeńskich, szkicuje nam taki obraz:[2] »Wennn wir bekennen müssen, dass es bei uns in Österreich keine Ordnung mehr gibt, wenn jeder Richter eine andere Meinung hat und Gericht und Verwaltung einander widersprechen, ohne dass die Möglichkeit eines Ausgleiches bestünde, dann ensteht wohl die Frage: Haben wir noch ein Eherecht? Kein vernünftiger Gedanke beherrscht das Chaos von Normen, keine Einigung ist möglich, wie sie auszulegen sind, so dass es die betreffenden Parteien als Zufall, Unsinn oder Unrecht, aber niemals als Recht befinden müssen, wenn ein Fall so und genau derselbe Fall dann wieder anders behandelt wird«. Nad małżeństwami temi wisi miecz Damoklesa w postaci mogącego zapaść wyroku unieważniającego, a w związku z tem panuje denerwująca niepewność, czy kobiety w ten sposób poślubione są żonami czy też konkubinami, czy dzieci z tych małżeństw są ślubne czy nieślubne. Dodajmy do tego, że takich małżeństw było w Austrji w r. 1921 około 10.000, w r. 1926 blisko 50.000. Trudno przypuszczać, ażeby taki stan mógł istnieć dłużej i ażeby ustawodawca mógł nadal nań spoglądać, zachowując trwożliwe milczenie, zmuszony do tego antagonizmem stronnictw politycznych. W związku z powyższemi wywodami widocznem jest, że prawo małżeńskie austrjackie, stosowane w Austrji jest areną ożywionej polemiki naukowej, na którą i my w Polsce powinniśmy baczną zwrócić uwagę z dwóch powodów: 1) ponieważ u nas w Małopolsce obowiązuje dotąd to samo prawo małżeńskie; 2) ponieważ sami stoimy w obliczu reformy prawa małżeńskiego. Na tej właśnie arenie polemiki naukowej, w której krzyżują szpady szermierze poglądów przeciwnych, występuje ze swą książką docent Dr. Lenhoff.

Osią zagadnienia jest dla autora rozwiązanie małżeństwa. Wszelkie inne problemy z tem zagadnieniem się łączą i z niego wypływają. Książka powinna wykazać ich metodyczny związek. Ten ostatni znajduje swój wyraz w tych wszystkich usiłowaniach, które podejmowano gwoli rozwiązania małżeństwa. Są niemi: odpowiednia interpretacja § 111 k. c., powoływanie się na traktat w Saint-Germain, dyspenza od przeszkody istniejącego małżeństwa i następująca zwykle po niej lub nawet niezależnie od niej »die Dispensehe« i wreszcie wyjazd za granicę, który obywatelowi austrjackiemu miał ułatwić uzyskanie rozwodu i wstąpienie w powtórny związek małżeński. Kwestja rozwiązalności małżeństwa jest ujęta w prawie austrjackiem według następujących kategoryj:

1) Ważne małżeństwo między katolikami może być rozwiązane tylko przez śmierć jednego z małżonków. Podobnie nie może być rozwiązane małżeństwo, jeżeli już w czasie jego zawarcia jedna chociażby tylko strona wyznawała religję katolicką — § 111 k. c. Tutaj więc mamy do czynienia z całkowitą nierozwiązalnością małżeństwa katolików za życia małżonków.

2) Natomiast w tej części dzisiejszej Austrji, która dawniej należała do Węgier, w tzw. Burgenland, obowiązuje w dalszym ciągu wę-

---

[1] Dr. Adolf Bachrach: Recht, Gesellschaft, Ehe. Wien 1926, str. 25.

[2] Bachrach, l. c., str. 26.

gierskie prawo małżeńskie, które uznaje rozwód nawet katolickiego małżeństwa, jeżeli tylko po stronie jednego z małżonków zachodzi wina. Ale katolicy w Burgenlandzie nie mogą znowu korzystać z dobrowolnej separacji, która ułatwia katolikom w prawie austrjackiem zniesienie wspólności małżeńskiej. Lenhoff podnosi zarzut, że państwo, które wobec swych obywateli katolików stosuje dwie różne miary, zabija w nich nietylko ich etyczną wrażliwość, ale to poczucie prawne, które obok przymusu decyduje o obowiązywaniu ustaw. Sądzę, że uwaga ta byłaby na miejscu i w odniesieniu do naszych stosunków ze względu na rodzimą mozaikę obowiązujących u nas praw małżeńskich.

3) Małżonkom chrześcijańskim, nie wyznającym religji katolickiej, dozwala ustawa według zasad ich religji żądać rozwodu dla ważnych przyczyn — § 115.

4) Małżeństwa żydowskie mogą być rozwiązane za wzajemnem dobrowolnem zezwoleniem małżonków przez list rozwodowy, przez męża żonie dany, co ma tylko formalne znaczenie. Ustawa nie wymienia w § 133 ważnych przyczyn, o których wspomina w § 115.

Austrja jest jedynym krajem — mówi Lenhoff — w których istnieją cztery tak rozbieżne systemy, przyczem jeden z nich skazuje katolików po uzyskaniu separacji od stołu i łoża na życie w celibacie. Każdy z nich mieści w sobie niebezpieczeństwo dla szczęścia i wychowania dzieci; ich los niejednokrotnie zależy od nastroju chwili i pragnienia erotycznej zmiany, któremi się rodzice kierują. Rozwód i separacja stoją na równi pod względem skutków dla dzieci, etycznie należy oceniać je tak samo, co więcej separacja sprawia, że rozdzieleni małżonkowie znajdują się w stanie ustawicznej przestępczości, jeżeli nie chcą się zastosować do nakazu celibatu, dopuszczają się bowiem cudzołóstwa. Konkluzja autora jest tylko logicznym wnioskiem z powyższych przesłanek: należy stworzyć jednolite prawo małżeńskie dla całej Austrji dla wszystkich jej obywateli bez względu na przynależność wyznaniową i terytorjalną.

Kamieniem węgielnym, na którym opiera się nierozerwalność małżeństw katolickich za życia małżonków, jest zacytowany powyżej § 111 k. c. Autor nie zgadza się z tymi pisarzami, którzy kruszą kopje w obronie poglądu, że art. 66 traktatu w Saint-Germain znoszący wszelkie przywileje urodzenia, płci, stanu, klasy i w y z n a n i a, obalił wszelkie przeszkody małżeńskie, płynące z prawa kanonicznego, przedewszystkiem zaś *impedimentum catholicismi*. Wszak art. 16 niemieckich aktów związkowych z r. 1815 zawierał tę samą myśl, a przecież redaktorzy kodeksu cywilnego — acźkolwiek to było w 4 lata po jego ukazaniu się — nie mieli żadnych wątpliwości na temat, czy akty związkowe uchyliły jakiekolwiek przepisy ustawy.

Zapatrywanie powyższe, jakoby traktat pokoju zamierzał reformować austrjackie prawo małżeńskie, którego zdecydowanym obrońcą jest prezydent Senatu Sądu Najwyższego Burkart[1], nazywa Lenhoff »eine leicht widerlegbare Haarspalterei«. Drobiazgowość ta może tylko skompromitować postulat jednolitego, wolnego od różnic wyznaniowych prawa małżeńskiego.

W dalszym ciągu zwalcza autor wykładnię § 111, stosowaną przez niektórych prawników, których liczba wzrasta w geometrycznym postępie z każdym wyrokiem Sądu Najwyższego, orzekającym nieważność mał-

[1] Bachrach: l. c. 30; »Gerichtszeitung«. Oktober 1924.

żeństw na podstawie dyspenzy, a zmierzającą do wykazania, że małżeństwo mieszane jest nierozwiązalne jedynie dla tego małżonka, który był katolikiem nietylko w czasie rozwodu, ale »już w czasie« zawarcia małżeństwa. Autor przyznaje, że taka interpretacja odpowiadałaby życzeniom tych, którzy się nią posługują, ale ustawa mieści w sobie nie życzenia, lecz nakazy, a nakaz § 111 nie nastręcza autorowi żadnych wątpliwości ani też nie podsuwa możliwości zwalczanej przezeń wykładni.

Rozdział III poświęca Lenhoff tzw. »Dispensehe«.

Po myśli § 83 k. c. rząd krajowy, a więc władza administracyjna, może udzielić dyspenzy czyli zwolnienia od przeszkody do małżeństwa, jeżeli zachodzą ważne przyczyny. A zatem w konkretnym przypadku, który władza administracyjna swojem orzeczeniem indywidualizuje, władza ta na podstawie udzielonej jej przez ustawę delegacji stanowi normę szczególną i umożliwia w ten sposób nupturjentom zawarcie związku małżeńskiego. Z tą sytuacją prawną łączy się cały szereg kwestyj, które się nam nieodparcie nasuwają. Lenhoff wykazuje w ich analizie bardzo dużą ścisłość i umiejętność. Zarówno na podstawie tego jak i następnego rozdziału IV, w którym omawia właściwości austrjackiego międzynarodowego prawa małżeńskiego, doszedłem do przekonania, że jest on niebezpiecznym przeciwnikiem i krytykiem orzeczeń Najwyższego Sądu. Bystrość i djalektyka autora, szczęście, które mu sprzyja we wyszukiwaniu sprzeczności przy zestawieniu poszczególnych judykatów, nieubłagana logika w argumentacji w tych właśnie dwóch rozdziałach — znajdują otwarte pole do popisu. Kodeks cywilny austrjacki zostawia nierozstrzygniętą kwestję, które przeszkody są usuwalne przez dyspenzę, a które nie. Z protokołów Ofnera dowiadujemy się, że redaktorowie kodeksu rozmyślnie nie wypowiedzieli w tej sprawie ostatniego zdania. J a w o r s k i[1] zauważa, że w ten sposób prawo uzyskuje potrzebną elastyczność i możność dostosowania się do tych momentów, które wpływają na zmianę ustaw, na reformę prawa. Praktyka Sądu Najwyższego we Wiedniu była chwiejna tam, gdzie chodziło o rozstrzygnięcie pytania, od których przeszkód można udzielić dyspenzy. Tak np. orzeczenie z 15 czerwca 1905 Glaser-Unger N. F. 3092 wyklucza dyspenzę przy różnicy religji z § 64. Zdaniem W r ó b l e w s k i e g o[2] zachodzi tu brak dostatecznie silnego argumentu ustawowego. Zapatrywania Sądu Najwyższego na tę przeszkodę w ostatnich czasach się zmieniły, a zdaniem E h r e n z w e i g a[3] niema dziś żadnych wątpliwości co do usuwalności przeszkód katolicyzmu, różnicy wyznania, wyższych święceń i złożenia ślubów zakonnych. Każde małżeństwo, które przychodzi do skutku na podstawie dyspenzy od jakiejkolwiek przeszkody, wypadałoby nazwać »eine Dispensehe«. Tymczasem w austrjackiej literaturze prawniczej i praktyce sądowej ten termin naukowy — do pewnego stopnia *terminus odiosus* — zyskał sobie prawo obywatelstwa jedynie w odniesieniu do małżeństw zawieranych na mocy dyspenzy od przeszkody z § 62 »z powodu związku małżeńskiego«. Już tutaj mimochodem zaznacza Lenhoff, że ten napis § 62 jest niewłaściwy i że tą sprawą zajmie się osobno w piątym rozdziale. O te właśnie małżeństwa, o te »Dispensehen«, toczy

---

[1] Jaworski, l. c., str. 100.

[2] Wróblewski: Powszechny austrjacki kodeks cywilny, część pierwsza Kraków 1914, str. 68.

[3] Ehrenzweig, l. c., str 61.

się od kilku lat walka, w której najczęściej słyszy się następujące pytania: czy mogą istnieć obok siebie dwa ważne małżeństwa, pierwsze zawarte przed udzieleniem dyspenzy i drugie na niej właśnie się opierające? Przecież dyspenza nie wywiera żadnego prawnego wpływu na prawne istnienie pierwszego małżeństwa; wszak nie rozwiązuje tego pierwszego małżeństwa drugi związek małżeński, w który wstąpił małżonek z pierwszego małżeństwa — oto są rozumowania przeciwników.

A dalej przypuśćmy, że katoliczka, która miała dzieci w pierwszem małżeństwie, uzyskała naprzód separację od stołu i łoża, potem dyspenzę, następnie zawarła »eine Dispensehe«; czyżby za dziećmi zrodzonemi z tego drugiego małżeństwa nie przemawiało o costwo pierwszego męża i drugiego męża ich matki? Gdyby pierwszy mąż nie zaczepił ślubności takiego dziecka po myśli § 158, to dziecko pochodzące z »drugiego« małżeństwa »jego« żony miałoby dwóch ślubnych ojców, a więc prawa familijne i spadkowe wobec dwóch mężczyzn. Ci dwaj mężczyźni mieliby znowu prawa spadkowe wobec jednego dziecka i prawo do »wzajemnej pomocy« z § 44, a więc ewentualnie także prawo do utrzymania, a nadto roszczenia spadkowe w stosunku do tej samej kobiety, która dla każdego z nich byłaby równocześnie »jego« żoną. Oczywistą jest rzeczą, że te efektowne komplikacje, których łańcuch mógłby się przedłużać, stanowiąc w każdem ogniwie pyszny temat dla ironizującego i dowcipnego komedjopisarza lub dla posępnego dramaturga, możliwe są jedynie wówczas, kiedy uchylimy czoła przed powagą Najwyższego Sądu we Wiedniu i zgodzimy się z opinją wypowiedzianą w jego orzeczeniu, że pierwsze małżeństwo istnieje nadal obok »Dispensehe«. Sąd Najwyższy stanął na stanowisku, że przeszkoda węzła małżeńskiego jest nieusuwalna przez dyspenzę i że ważność »einer Dispensehe« nie da się pogodzić z pierwszem zdaniem § 111: »Ważne małżeństwo między katolikami może być rozwiedzione tylko przez śmierć jednego z małżonków«. Co więcej, podniósł w swem orzeczeniu, że byłby to jedyny przypadek w całej europejskiej cywilizacji, ażeby równocześnie istniały obok siebie dwa ważne małżeństwa, w którychby występowały tylko trzy osoby. Lenhoff atakuje skreślone powyżej zapatrywanie Sądu Najwyższego tą bronią, którą w judykaturze tegoż Sądu znajduje. Sąd Najwyższy, uznając w r. 1907 ważność tzw. małżeństw węgierskich, w które wstępowali obywatele austrjaccy, katolicy po uzyskaniu obywatelstwa węgierskiego, orzekał zarazem, że separowani małżonkowie po myśli austrjackiego prawa małżeńskiego pozostają we ważnych związkach małżeńskich. Tak więc judykatura tycząca się ważności małżeństw »węgierskich« pozostaje w sprzeczności z judykaturą tyczącą się tzw. »Dispensehen«, a zawikłania, które poprzednio opisałem, nie przeszkodziły Sądowi Najwyższemu uznać małżeństwa »węgierskie« za ważne. Cywilista wiedeński Walker[1] stwierdza, że sądy nie obawiały się uznawać równocześnie obok siebie dwóch małżeństw. Trzeba przyznać Lenhoffowi, że zdołał wykazać niekonsekwencję w orzecznictwie Najwyższego Sądu.

Z kolei musimy zainteresować się stosunkiem, który zachodzi pomiędzy sądami a władzami administracyjnemi i prawomocnością materjalną aktów administracyjnych. Wywody Lenhoffa na ten temat zaliczam do najciekawszych w książce tem bardziej, że zwalcza tu zapatrywanie przeciwne, wyrażone między innymi także przez prezydenta Senatu

---

[1] Lenhoff, l. c. str. 29. Walker: »Internationales Privatrecht«, str. 637.

Sądu Najwyższego Dr. Fischböcka[1], którego artykuł chwyta czytelnika w żelazną obręcz ścisłego rozumowania. Sąd Najwyższy zlekceważył w swej opinji i w swych rozstrzygnięciach prawomocne akty administracyjne, czego mu nie wolno uczynić nawet wówczas, gdyby je uważał za sprzeczne z ustawą. Zgodnie z kardynalną zasadą podziału władz, która sprowadza się w praktyce życiowej na płaszczyznę podziału funkcyj poszczególnych organów autorytetu państwowego, droga sądowa jest wyraźnie odgraniczona od drogi postępowania administracyjnego. O orzeczeniach władz administracyjnych może ostatecznie decydować Trybunał Administracyjny, ale nie Sąd Najwyższy. Sądy orzekają o ważności małżeństwa, Trybunał Administracyjny orzeka o tem, czy dyspenza prawnie została udzielona; sąd powinien tylko stwierdzić, czy dyspenza została udzielona, ponieważ stanowi ona prawną podstawę dla mającego przyjść do skutku małżeństwa. Lenhoff powołuje się na obowiązujące ustawodawstwo, na literaturę prawa administracyjnego, w szczególności na Bernatzika, Merkla, Herrnritta i wykazuje równość poszczególnych organów autorytetu, a więc w naszej kwestji: władzy sądowej i władzy administracyjnej tam, gdzie chodzi o znaczenie ich rozstrzygnięć w postaci wyroków czy aktów administracyjnych. Dzisiaj trudno przyjąć jakąkolwiek wyższość wyroku nad aktem administracyjnym.

Ażeby rozumieć, dlaczego ustawa cywilna w § 83 powołuje »rząd krajowy« do uwolnienia od przeszkód małżeńskich, należy sięgnąć w przeszłość i w drodze badań historycznych ustalić stosunek »rządów krajowych« do władz sądowych w okresie powstania kodeksu cywilnego. W tym czasie nie było wogóle mowy o jakiejkolwiek »niezawisłości« sądów, ponieważ władzę sądową sprawowały organa administracyjne. Nic więc dziwnego, że prawo do udzielania dyspenz przyznano najwyższym władzom krajowym tzn. rządowi krajowemu, a nie niższym organom administracyjnym, jak zwierzchności gminne, magistraty, jurysdykcje panów patrymonjalnych, które wymierzały sprawiedliwość. Ustawodawca z r. 1811 ani na chwilę nie mógłby przypuszczać, że ówczesne »sądy«, będące tylko podporządkowanemi organami administracyjnemi, mogą zbagatelizować dyspenzę udzieloną przez rząd krajowy. Czytamy w § 13 kodeksu: »Przywileje i uwolnienia, udzielone poszczególnym osobom lub nawet całym korporacjom, należy oceniać tak, jak inne prawa, jeżeli polityczne przepisy nie zawierają w tym względzie szczególnego postanowienia«. Zeiller dodaje w swym komentarzu obok słowa »uwolnienia« słowo »dyspenzy« i powiada, że ustawodawca może ich udzielić sam, aczkolwiek upoważnia wyższe władze polityczne do wykonywania przysługującej mu atrybucji. To wyjaśnienie Zeillera znakomicie odzwierciedla zapatrywanie miarodajne dla redaktorów kodeksu cywilnego, którzy widzieli w praktyce codziennej wyższość rządu krajowego nad magistratem lub zwierzchnością gminną. Lenhoff zupełnie słusznie zarzuca literaturze i sądom, że zajmując się dyspenzą po myśli § 83 nie sięgnęły do historycznych źródeł, nie uchwyciły prawnego znaczenia dyspenzy w rozumieniu kodeksu cywilnego, a przeciwnie postępują w tej całej sprawie tendencyjnie. W szczególności piętnuje postępowanie sądów, które postępują wbrew przepisom ustawy, zwłaszcza wbrew § 98. Przepis ten opiewa: »Jeżeli przeszkoda może być usuniętą, powinien sąd starać się usunąć ją stosownemi środkami i przez pogodzenie stron...« Ustawa

[1] N. Fr. Presse 8/VII 1925. Bachrach l. c, str. 21.

więc nakazuje sądom o ile możności sanować nawet nieważne małżeństwa, a tymczasem sądy usiłują ważne związki małżeńskie unieważnić. Chaos, który panuje w Austrji w związku z »Dispensehen«, wykazuje jeszcze inną właściwość. Niejednokrotnie w polemicznym zapale i tendencyjnem rozwiązywaniu nader skomplikowanego problemu prawnego i społecznego, jaki stanowi przeszło 50.000 Dispensehen, szermierze przeciwnego poglądu nie odróżniają właściwości kompetencyjnej władz administracyjnych, która to właściwość jest nieodzownym warunkiem ważności aktu administracyjnego, — od tego, czy dyspenza została prawnie udzielona. Ustawa powiada wyraźnie, że rząd krajowy jest uprawniony do udzielenia dyspenzy. Skoro to uczynił, można jedynie w drodze postępowania administracyjnego, a nie w drodze postępowania sądowego, zbadać, czy w konkretnym przypadku dyspenza prawnie udzieloną została. Jeżeli zdaniem Sądu Najwyższego odnośna przeszkoda jest przez dyspenzę nieusuwalna, to rząd krajowy i tak nie przekroczył granic swej kompetencji — jest bowiem powołany do dyspenzowania — tylko wydał rozstrzygnięcie pod względem swej osnowy bezprawne. Jeżeli w dalszym ciągu Sąd Najwyższy zarzuca władzy administracyjnej, że jej brak właściwości, to wówczas mamy spór kompetencyjny, który powinien rozstrzygnąć Trybunał Konstytucyjny (Verfassunggerichtshof). A to jest właśnie jedyny z trzech najwyższych sądów w Austrji, obok Sądu Najwyższego i Trybunału Administracyjnego, — który nie zabrał jeszcze głosu w sprawie »Dispensehen«. Przy tej sposobności rozprawia się Lenhoff z dwoma swoimi przeciwnikami. Woess twierdzi, że sądy mają prawo badać dyspenzy udzielone przez władzę administracyjną, ponieważ kodeks cywilny tą sprawą się zajmuje. *Mutatis mutandis*, odpowiada Lenhoff, możnaby postąpić tak samo z orzeczeniem władzy administracyjnej, kiedy ona zarządza wywłaszczenie, powołując się na § 365 k. c. A przecież nikomu taka myśl nie przyjdzie do głowy! Miejsce, w którem norma się znajduje, jest najzupełniej obojętne. Skoro sąd nie może pewnej normy stosować, to nie może także o jej stosowaniu rozstrzygać. Drugi przeciwnik, cytowany przezemnie powyżej prezydent Senatu Fischböck, powiada, że sądy nie są związane takiem orzeczeniem władzy administracyjnej, w którem ta władza pod tytułem dyspenzy od przeszkody małżeńskiej małżeństwo rozwiązuje lub zezwala na bigamję. Autor książki nie pozostaje mu dłużnym odpowiedzi. Władza administracyjna działa na podstawie tej delegacji, którą znajduje w ustawie cywilnej, udziela dyspenzy od przeszkody małżeńskiej i z tą chwilą ta przeszkoda »*pro foro*« więcej nie istnieje.

Nie ulega wątpliwości, że w tej polemice, w której dźwięczą ostrza poglądów przeciwnych, Lenhoff w stosunku do autorytetów zajmuje mocne stanowisko i zadaje ciosy, którym trudno się oprzeć. Jeżeli mi w tym sporze zdanie moje wyrazić wolno, to sądzę, że *de lege lata austriaca* słuszność jest po stronie Lenhoffa, o czem przekonywa czytelnika w jeszcze wyższym stopniu rozdział piąty.

Sąd Najwyższy powołał się w swej opinji o niedopuszczalności dyspenzy od *impedimentum ligaminis* i o nieważności »Dispensehen« na art. 94 konstytucji Rzeczypospolitej austrjackiej jako na ważny argument, przemawiający przeciwko dyspenzom i władzom administracyjnym. Po myśli tego artykułu jednostka, która czuje się pokrzywdzona orzeczeniem władzy administracyjnej, jeżeli ona miała orzekać o roszczeniach prawno-prywatnych, może udać się na drogę sądową. Lenhoff wywodzi,

że udzielenie dyspenzy nie jest wcale rozstrzygnięciem o roszczeniach prawno-prywatnych, następnie zaś dyspenza nikogo jeszcze nie krzywdzi. Być może, że pokrzywdzenie nastąpi dopiero przez zawarcie małżeństwa po udzieleniu dyspenzy ze względu na kwestje majątkowe, spadkowe, stanowisko dzieci, ale sam akt administracyjny, będący udzieleniem dyspenzy, nie jest jeszcze zawarciem małżeństwa. Następnie po myśli art. 94 konstytucji skargę może wnieść pokrzywdzony przeciwko drugiej osobie, a nie przeciwko państwu. Tymczasem tutaj chodzi o tzw. przeszkodę z prawa publicznego, a więc przeciwnika niema; trudno zaś przyjąć, aby dochodzenie przyczyn nieważności z powodu przeszkód prawno-publ. mogło zależeć od uznania osób prywatnych. Gdybyśmy zaś interpretowali § 94 w inny sposób, to znowu sąd nie mógłby zakwestjonować prawności należycie udzielonej dyspenzy, ponieważ tylko jednostka pokrzywdzona przez akt administracyjny może szukać pomocy na drodze sądowej; z czegoby wynikało, żę tenże akt nie podlega zaczepieniu, jeżeli strona nic nie może dyspenzie zarzucić. Wynika z tych wywodów, że art. 94 Konstytucji nie może w sprawie »Dispensehen« uchodzić za trafny argument.

Omawiając właściwości austrjackiego międzynarodowego prawa małżeńskiego, podkreślić należy chwiejność judykatury Najwyższego Sądu, która w praktyce stwarzała nieraz paradoksalne sytuacje. Aż do r. 1905 oceniał Sąd Najwyższy zdolność osobistą austrjackiego obywatela do zawarcia małżeństwa wedle prawa austrjackiego (§ 4 k. c.) a zatem według *lex patriae* zgodnie z tzw. zasadą narodowości (Nationalitäts-Prinzip). Ponieważ zaś austrjackie prawo małżeńskie wykazuje w jaskrawej sprzeczności z prawem małżeńskiem niemal wszystkich krajów europejskich i krajów hołdujących anglo-amerykańskiemu systemowi prawnemu największą liczbę nieznanych gdzieindziej przeszkód o charakterze wyznaniowym, przeto Sąd Najwyższy oceniając małżeństwa zawarte zagranicą przez obywateli austrjackich z pominięciem takich przeszkód o charakterze wyznaniowym, orzekał o ich nieważności. A więc przykładowo Sąd Najwyższy unieważniał po myśli §§ 4 i 64 małżeństwo austrjackiego żyda zawarte w Niemczech z niemiecką protestantką.

W r. 1905 Sąd Najwyższy zajął inne stanowisko. Podczas gdy dotąd kładł nacisk na pierwszą połowę drugiego zdania § 4: »Obywatele państwa są także w tych czynnościach i aktach, które przedsiębiorą poza obszarem państwa związani temi ustawami, o ile przez nie ograniczoną jest osobista zdolność do ich przedsiębrania...«, to odtąd akcentował przedewszystkiem drugą połowę tegoż zdania »...i o ile te czynności i akta mają także w tych krajach wywołać prawne skutki«. Od r. 1905 Najwyższy Sąd kierował się tzw. »Absichtstheorie«, czyli uwzględniał wyłącznie, jakiemi zamiarami na przyszłość kierowali się nupturjenci, zawierając ślub zagranicą. A zatem małżeństwo zawarte w Argentynie przez austrjackiego katolika z austrjacką żydówką uchodzi pomimo *disparitas cultus* w oczach Najwyższego Sądu od r. 1905 za ważne, jeżeli nupturjenci mieli zamiar zagranicą pozostać, — za nieważne, jeżeli chcieli do Austrji wrócić. Lenhoff nie szczędzi Sądowi Najwyższemu złośliwych uwag z powodu takiego rozumowania: »Als ob die Parteien gerade immer Iura studiert und die privatrechtlichen und öffentlich — rechtlichen Wirkungen einer Ehe, die Sie weniger aus juristischen, als aus anderen, weit jenseits der Jurisprudenz gelegenen Gründen abgeschlossen haben, in den Vordergrund ihrer Betrachtung gerückt haben dürften, noch dazu in jenen oft

fernen seligen Tagen der Eheschliessung, auf die es nach Burckhardt und dem Obersten Gerichtshof eben ankommt«. Efekt w praktyce był taki, że małżonek, który po powrocie do Austrji wnosił skargę o unieważnienie i powoływał się na »zamiar« powrotu do Austrji i tem samem przyznawał, że zawierając małżeństwo, z całą świadomością obchodził ustawę, otrzymywał premję w postaci unieważnienia małżeństwa! Jest jasnem, jak słońce, konkluduje autor, że taka praktyka Sądu Najwyższego może tylko zachwiać poczuciem prawnem społeczeństwa.

Dalszy wykład austrjackiego międzynarodowego i międzydzielnicowego prawa małżeńskiego ilustruje autor przy uwzględnieniu judykatów Najwyższego Sądu licznemi przykładami i dochodzi ostatecznie do wniosku, że oba te austrjackie systemy stały się poprostu ujeżdżalnią dla scholastycznych konstrukcyj i suchym stepem, na którym nie może rozwinąć się pomyślność społeczeństwa, opartego na zasadzie równości wszystkich w obliczu prawa. Austrjackie prawo małżeńskie zmusza obywatela austrjackiego albo do zmiany obywatelstwa albo do osiedlenia się zagranicą, jeżeli zamierza wejść w ponowny związek małżeński, ponieważ tylko chrześcijanie akatolicy i żydzi mogą uzyskać w Austrji rozwód, niedostępny dla katolików. Oba te sposoby są oczywiście obejściem ustawy, na co mogą sobie pozwolić tylko ludzie zamożni. Ludzie niezamożni, którzy z braku środków materjalnych muszą pozostać na miejscu, żyją w konkubinacie, co napewno nie zgadza się »ani z moralnością ani z porządkiem publicznym«, a co więcej — dzieci pochodzące z takich związków pozamałżeńskich są niewinnie ukarane piętnem nieślubności. W świetle tych rozważań austrjackie prawo małżeńskie staje się szczególnie poważnym problemem państwowym i socjalnym. Rzeczpospolita austrjacka nie przystąpiła do obu Konwencyj Hagskich, pierwszej w sprawie zawierania małżeństw i drugiej w sprawie rozwodu i separacji od stołu i łoża, ze względu na wyznaniowy charakter kilku przeszkód małżeńskich kierując się przesadną obawą, a tymczasem osiągnęła skutek wręcz przeciwny, ułatwiając pogwałcenie przepisów prawnych zarówno swoim poddanym, jak i cudzoziemcom, którzy niejednokrotnie w Austrji uzyskują rozwód czy separację znacznie łatwiej, niżby to u siebie osiągnęli. W orzeczeniach Najwyższego Sądu jedna niekonsekwencja goni drugą, a rezultaty są czasem wprost niedorzeczne. Wszystko to wzięte razem świadczy tylko o tem, jak bardzo odbiega prawo austrjackie od międzynarodowego uregulowania tych doniosłych zagadnień życiowych, w których przedmiotem rozpoznania i orzeczenia sędziowskiego są stosunki prawne, zazębiające się o kilka różnych systemów prawnych.

Samodzielność myślenia i oryginalność w ujęciu problemów, które charakteryzują całą pracę Lenhoffa, najsilniej występują na jaw w trzech dalszych rozdziałach książki (V—VII). Autor podejmuje w nich ofenzywę przeciwko panującemu pojmowaniu austrjackiego prawa małżeńskiego, atak prowadzi systematycznie i konsekwentnie, obala jurydyczne konstrukcje, które siłą bezkrytycznej tradycji utrzymują się w nauce i w judykaturze. Czytając zwłaszcza rozdział piąty o separacji od stołu i łoża ma się wrażenie, że przez zamknięty pokój bibljoteczny przepływa nagle podmuch ostrego wiatru i świeżego powietrza. Autor zaznacza krótko na wstępie, że pomiędzy prawem małżeńskiem austrjackiem a kanonicznem zachodzi cały szereg różnic, które wskazują na to, że redaktorzy kodeksu cywilnego nie myśleli tak kanonicznie, jakby to chciano wyczytać w § 111. Stara się udowodnić, że separacja w prawie cywil-

nem różni się istotnie od separacji w prawie kościelnem. Wiadomo, że prawo kanoniczne zna separację dozgonną i czasową, powtóre uznaje separację na podstawie wyroku sądu duchownego i separację, która następuje bez interwencji sądu *propria auctoritate*. Prawo austrjackie różni się w dwóch punktach od prawa kanonicznego, nie zna bowiem separacji czasowej i separacji pozasądowej. W ramach separacji sądowej odróżnia niezgodną, o której we formie wyroku orzeka sąd okręgowy, i zgodną czyli dobrowolną na podstawie porozumienia się małżonków, która przychodzi do skutku w drodze postępowania niespornego we formie uchwały sądu powiatowego. W prawie kanonicznem po myśli kanonu 1129 — tylko z powodu cudzołóstwa jednego małżonka, drugi małżonek przy trwaniu węzła, ma prawo do rozwiązania nawet na stałe, wspólności życia. We wszystkich innych przypadkach zgodnie z kanonem 1131, kiedy ustaje przyczyna separacji, wspólność życia winna być przywróconą. A zatem w prawie kanonicznem separacja jest tylko środkiem zabezpieczającym, który przestaje działać *cessante causa separationis*. Natomiast w prawie austrjackiem za zgodą małżonków bez podania powodów może nastąpić raz na zawsze rzeczywiste uchylenie wspólności małżeńskiej katolickich małżonków. Zgodna wola małżonków, a więc umowa, może małżeństwo w jego istocie znieść. Żaden przepis kodeksu cywilnego nie poucza nas lepiej o tem, że kodeks cywilny uznał charakter umowny związku małżeńskiego. Żadna partja kodeksu cywilnego nie wskazuje w tak przekonywujący sposób, jak ta właśnie, że pogląd kościelno-sakramentalny na istotę małżeństwa nie stał się treścią normy. W interesującym i na źródłach opartym wywodzie historyczno-prawnym, powołując się na Rauschera, przedstawia Lenhoff, jak w okresie reformacji i gallikanizmu wbrew nauce prawa kościelnego zmieniła się prawna istota separacji i jak te nowe poglądy torowały sobie w XVIII wieku drogę do prawników austrjackich. Przed patentem małżeńskim z r. 1783, wydanym przez Józefa II, prawem państwowem w dziedzinie stosunków małżeńskich było prawo kościelne, ponieważ kościół na podstawie delegacji ze strony państwa — w rozumieniu teoretyczno prawnem — miał w tej dziedzinie *ius statuendi*. Patent Józefiński stanowił, że podstawą małżeństwa jest umowa cywilna (der bürgerliche Vertrag), odbierał *ius statuendi* kościołowi, przyznawał tylko panującemu władzę ustawodawczą i moc dyspenzowania, zaprowadzał separację małżeństwa. Lenhoff zarzuca nauce prawa cywilnego, że nie okazała wcale zrozumienia dla tego wpływu, jaki na ustawowe uregulowanie separacji w kodeksie cywilnym austrjackim wywarły prócz gallikanizmu przedewszystkiem *usus modernus* i szkoła prawa natury. Przedstawiciele tej ostatniej, zarówno katolicy jak i akatolicy, traktowali małżeństwo jako umowę, która *per consensum* przychodzi do skutku i *per consensum* może swoją skuteczność stracić.

W tem miejscu muszę zaznaczyć, że prawo natury i filozofja XVIII w., w której promieniu pracowali redaktorowie austrjackiego kodeksu cywilnego — na ten kodeks olbrzymi wpływ wywarły[1].

Sąd Najwyższy przyjął w swej opinji o »Dispensehen« prawnokanoniczną podstawę austrjackiego prawa małżeńskiego. Ażeby wykazać, że to założenie jest nieuzasadnione i nietrafne, Lenhoff przedstawia, jak

[1] Swoboda: »Das allgemeine bürgerliche Gesetzbuch im Lichte der Lehren Kants«. Graz 1926. str. 20, 21.

poglądy na istotę małżeństwa kształtowały się pod wpływem *usus modernus* i prawa natury, co nie jest dla nas obojętne, ponieważ Martini i Zeiller, którym austrjacki kodeks cywilny zawdzięcza przedewszystkiem swoje powstanie, stali w bezpośrednim kontakcie z ówczesnemi zapatrywaniami i niemi się w pracy kodyfikacyjnej kierowali. Podnieść tu należy, że *societas* była prawniczym terminem, którym romaniści 16 i 17 stulecia określali wszelkie formy życia zbiorowego, jakie recepcja prawa rzymskiego zastała na obszarze dawnych praw germańskich. Gemeinschaft czy Genossenschaft stała się w okresie recepcji *societas*, jak dowiadujemy się o tem z »Deutsches Genossenschaftsrecht« Gierkego.

Małżeństwo zaczęto uważać za szczególną odmianę owej *societas*. Puffendorf, zastanawiając się nad istotą małżeństwa i nad jego rozwiązaniem, cytuje odnośne ustępy z Digestów, traktujące o kontrakcie spółki i o stosunkach między spólnikami. Chrystjan Wolff, Pütter, zwłaszcza Gerhard, którego dzieło wywarło bardzo duży wpływ na Zeillera, pojmują *matrimonium* jako *societas maris et feminae*, której »*socii*« są »*coniuges*«. Nauka prawa natury wprowadziła do istoty małżeństwa drugi element — element umowy. Małżeństwo, które się na umowie opiera, może być być przez umowę rozwiązane. W tym samym duchu rozumowała filozofja wieku oświecenia, tak sawo myślał Montesquieu i Kant. Uwzględniając literaturę prawniczą z drugiej połowy 18 w. i projekt prawa małżeńskiego opracowany przez Martiniego, wysnuwa Lenhoff na podstawie bogatego materjału źródłowego doniosłą konkluzję, że separacja od stołu i łoża w austrjackiem prawie małżeńskiem zawdzięcza swoją konstrukcję recepcji prawa rzymskiego i szkole prawa natury, a z kanoniczną *separatio* nie ma ani historycznie ani dogmatycznie nic wspólnego. Dla prawa cywilnego małżeństwo jest spólnością na umowie opartą. Zarówno separacja jak i rozwód znoszą spólność małżeńską. Na rzecz nauki kościoła katolickiego ustawa czyni jedynie to ustępstwo, że w skutkach odróżnia separację od rozwodu. Separacja (die Scheidung) w przeciwstawieniu do rozwodu (die Trennung) nie usuwa tzw. przeszkody związku małżeńskiego. Czysto religijne pojęcie związku małżeńskiego, sakramentu, wyodrębniono zupełnie od pojęcia spólności małżeńskiej, które w prawie natury jest tworem prawnym a nie religijnym. Ustawa cywilna zachowała tylko nazwę wziętą z prawa kościelnego na oznaczenie przeszkody małżeńskiej.

Pogląd, »dass die Ehe nicht bloss ein Sakrament, sondern auch und ebenso wesentlich ein bürgerlicher Kontrakt sei«, »dass die Ehe trotz ihres sakramentalen Charakters als ein Vertrag der weltlichen Gesetzgebung unterliege« — jest tą czerwoną nicią, która przebiega przez całą kanwę austrjackich prac kodyfikacyjnych nie tylko od czasów patentu Józefińskiego, ale już od czasów pobożnej Marji Teresy. Pogląd ten przyjęła już bowiem w 1772 r. Komisja kompilacyjna.

Podnieść tu muszę, że Lenhoff mówi o rozwiązaniu małżeństwa przez separację (»die Auflösung der Ehe durch Scheidung«), podczas gdy nauka austrjackiego prawa cywilnego nie uznaje rozwiązania małżeństwa przez separację, co więcej przeciwstawia separację rozwiązaniu małżeństwa, które następuje przez śmierć, rozwód lub uznanie za zmarłego (Ehrenzweig, Jaworski).

W § 93 k. c. słowa »rozdział co do stołu i łoża« mieszczą się pod nagłówkiem »uchylenie spólności małżeńskiej«, podobnie w § 103, nad którym widnieje napis »rzeczywiste uchylenie spólności małżeńskiej«.

Z tekstem ustawy w ręku stara się autor wykazać, że ustawodawca, mówiąc o rozwiązaniu małżeństwa, miał na myśli nietylko śmierć i rozwód, lecz także i separację. I tak w kwestji najważniejszej, a mianowicie tam, gdzie chodzi o nieślubność dzieci zrodzonych w 10 miesięcy po uzyskaniu rozwodu lub separacji, kodeks nie uznaje żadnej różnicy pomiędzy rozwodem a separacją (§ 155). Z odnośnego judykatu Najwyższego Sądu z r. 1915 Nr. 221, w którym tenże Sąd powołuje się na § 155, wynika z nieubłaganą konsekwencją, chociaż Sąd Najwyższy tego wyraźnie nie mówi, że separacja oznacza rozwiązanie małżeństwa. W opinji o »Dispensehen« z r. 1921 Sąd Najwyższy utrzymując, że separacja nie mieści w sobie rozwiązania małżeństwa, jest wręcz innego zdania, a więc w przeciągu 6 lat nastąpiła w zapatrywaniach Sądu Najwyższego zupełna zmiana, która nam tłumaczy tę jaskrawą sprzeczność, widoczną przy zestawieniu judykatu Nr. 221 z r. 1915 z opinją o »Dispensehen« z r. 1921. Dalszym argumentem przemawiającym za wyłuszczoną powyżej kardynalną tezą Lenhoffa jest przepis § 110, że małżonkowie rozdzieleni mogą napowrót połączyć się ze sobą, muszą jednak donieść o tem właściwemu sądowi. W prawie kościelnem to doniesienie jest nieznane, ponieważ wobec prawa kościelnego separowane małżeństwo istnieje w dalszym ciągu jako małżeństwo, a *cessante causa separationis vitae consuetudo restauranda.* Tymczasem dla prawa cywilnego połączenie się rozdzielonych małżonków jest aktem prawnym, który stwarza zupełnie nową sytuację prawną i dlatego ustawa wymaga, aby »donieśli« o tem sądowi. »Doniesienie« to jest powtórzonem oświadczeniem konsensu małżeńskiego. Jeden dowód więcej, że separacja prawa austrjackiego nie ma w najmniejszym stopniu nic wspólnego ze separacją prawa kanonicznego.

Porównywa autor § 110 z § 118, który mówi o sposobie połączenia się rozwiedzionych małżonków i wykazuje, że oba te przepisy mieściły się początkowo w jednym paragrafie — Urentwurf I, § 110. Łatwiejszy sposób połączenia się napowrót małżonków rozwiedzionych, którzy mają o fakcie połączenia donieść swojemu właściwemu sądowi, — podczas gdy małżonkowie rozwiedzeni mają przy połączeniu zachować wszystkie uroczystości, jakich ustawa do małżeństwa wymaga, a więc mają zawrzeć ślub wobec duszpasterza, — tłumaczy się obawą redaktorów kodeksu cywilnego, że duszpasterz na pewno nie udzieliłby swego błogosławieństwa katolickim separowanym małżonkom, uważając je za zbyteczne. Trzeba przyznać Lenhoffowi, że w przekonywujący sposób stara się wykazać różnice zachodzące między separacją w prawie kanonicznem, a separacją w prawie cywilnem austrjackiem. Powołuje się w dalszym ciągu na § 1495, po myśli którego »...także pomiędzy małżonkami..., dopóki zostają w związku małżeńskim, zasiedzenie oraz przedawnienie ani nie może się zacząć, ani dalej biegnąć«. I tu znowu wykazuje, że zastosowanie tego §-u wyklucza nietylko rozwód, lecz i separacja, z czego wysnuwa wniosek, że zarówno rozwód jak i rozdział od stołu i łoża znoszą spólność małżeńską. Również § 785 w brzmieniu Noweli trzeciej nie czyni różnicy między rozwiązaniem a rozdziałem małżeństwa, mówiąc w ostatniem zdaniu o uwzględnieniu darowizn na rzecz małżonka przy obliczaniu zachowku.

Nawiązując do § 1495 i powołując się na protokoły obrad, konkluduje autor: »Man kann aus dieser Beratung mehr entnehmen, als gerade zum unmittelbaren Beweisgegenstand gehört. Einerseits finden

wir auch hier wieder einmal die Bestätigung unserer These, dass die Schöpfer des Gesetzes die Ehe ganz naturrechtlich als eine »Gesellschaft« betrachteten«. Zdaniem autora na wypadek separacji odpada *praesumptio Muciana* z § 1237, po myśli której przypuszcza się, że nabycie pochodzi od męża. Z chwilą separacji mąż traci charakter ustawowego zastępcy, któremu po myśli § 1238 przysługuje domniemany zarząd wolnego majątku żony. Pomiędzy małżonkami separowanymi nie mogą przyjść do skutku umowy majątkowe małżeńskie, ani kontrakt dziedziczenia nie może mieć miejsca — uczy Lenhoff. Zaprzecza, jakoby separowani małżonkowie musieli we formie dokumentu notarjalnego zawierać umowy o kupno, o zamianę, o rentę dożywotnią' o pożyczkę itd. Wbrew powszechnie przyjętemu zapatrywaniu (Randa, Pisko, Górski, Wróblewski) — zdaniem Lenhoffa — mężatka separowana nie potrzebuje zezwolenia męża do prowadzenia handlu, ponieważ »nie jest ona więcej żoną swego męża«[1]. Postanowienie art. 7 ustawy handlowej znajduje uzasadnienie w tych prawach, które służą mężowi na majątku żony; uzasadnienie to odpada z chwilą zniesienia spólności małżeńskiej.

Teza Lenhoffa, że małżeństwo przestaje istnieć z chwilą separacji, skłania go do wyrażenia w dalszym ciągu poglądu, że separacja znosi także obowiązek dochowania wierności małżeńskiej. Zwalcza zapatrywanie przeciwne, któremu hołdują przeważnie teoretycy prawa cywilnego austrjackiego, bo przecież trudno przypuszczać, że separacja stwarza obowiązek przestrzegania celibatu i dotrzymania niezłożonego nawet przez separowanych małżonków uroczystego ślubu czystości. Najwyższy Sąd w Czechosłowacji zerwał z tem zapatrywaniem, motywując swoje orzeczenie w ten sposób, że obowiązek dochowania wierności małżeńskiej wypływa ze spólności pożycia małżeńskiego, którą separacja zupełnie znosi. Lenhoff dziwi się temu, że ani praktyka ani teorja nie zainteresowały się dotychczas kwestją, dlaczego w austrjackim kodeksie cywilnym inaczej uregulowano separację, a inaczej rozwód? A przecież po myśli § 132 »ogólne przepisy o rozdziale od stołu i łoża stosują się także do małżonków żydów«. Autor podnosi, że właśnie separacja w prawie małżeńskiem austrjackiem nie wykazuje żadnych pierwiastków kanonicznych, jest nawskroś akonfesyjną, co więcej znosi ową »spólność małżeńską«, która stanowi jądro instytucji prawnej, zwanej małżeństwem. W całym szeregu decydujących przepisów, świadczących wymownie o intencji ustawodawcy, odzwierciedla się w kodeksie pojmowanie małżeństwa jako »spólności«, a nie jako »związku małżeńskiego« w rozumieniu prawa kościelnego. Z kolei przypatrzmy się następnemu ogniwu w łańcuchu oryginalnego rozumowania autora. Skoro separacja znosi spólność małżeńską, to przedmiotem dyskusji może być pytanie, czy drugie małżeństwo zawarte po separacji jest ważne, ale nie można zastanawiać się nad tem, czy pierwsze małżeństwo jeszcze istnieje. § 62 kodeksu cywilnego zawiera dwa zdania. W pierwszem czytamy: »Mężczyzna z jedną tylko niewiastą i niewiasta z jednym tylko mężczyzną mogą być w jednym czasie połączeni ślubem małżeńskim«. Zdanie to stwierdza monogamiczny charakter małżeństwa, a pochodzi z patentu Józefińskiego, pokrywając się z jego § 11. Natomiast drugie zdanie § 62 mówi o zawarciu nowego małżeństwa pod warunkiem, że »kto już był zaślubiony, a chce wejść w nowe związki małżeńskie, dowieść

[1] Lenhoff l. c., str. 121.

musi w sposób przez ustawę przepisany, iż związek małżeński zupełnie rozwiązany został«. Lenhoff nie waha się wystąpić z twierdzeniem, że niema związku pomiędzy pierwszem a drugiem zdaniem § 62. Umieszczenie obu zacytowanych zdań w jednym paragrafie tłumaczy się tą okolicznością, że drugie zdanie wyjaśnia nam, kiedy pozostały przy życiu małżonek może wstąpić w powtórne małżeństwo, jeżeli drugi zaginął lub został uznany za zmarłego. Za taką interpretacją przemawiałyby względy dogmatyczne i historyczne, Taką mianowicie była treść § 12 w patencie małżeńskim Józefa II. W projekcie Martiniego §§ 11 i 12 patentu Józefińskiego znalazły się w jednym paragrafie i odpowiadają dzisiejszemu paragrafowi 62-emu. Tak więc przeszkoda wynikająca z monogamicznego charakteru małżeństwa nie ma nic wspólnego ze zawarciem powtórnego małżeństwa po myśli drugiego zdania § 62. Separacja tedy rozwiązuje małżeństwo, aczkolwiek nie umożliwia jeszcze zawarcia ponownego małżeństwa i w tym celu właśnie niezbędna jest dyspenza z § 83. Przyklasnąć należy dalszym wywodom Lenhoffa w polityczno-prawnym ekskursie o rozwiązaniu małżeństwa za obopólnem porozumieniem się. Lenhoff oświadcza się stanowczo przeciwko obopólnej zgodzie małżonków jako przyczynie, uzasadniającej uzyskanie rozwodu, uznaje rozwód tylko wówczas, gdy jeden z małżonków ciężko zawinił, a domaga się zgody sądu opiekuńczego tam, gdzie w grę wchodzą dzieci rozwodzących się małżonków.

Przedstawiłem w zarysie treść książki Lenhoffa. Aczkowiek nie we wszystkich punktach czytelnik zgodzi się z jego wywodami, to jednak gotów jestem bez wahania stwierdzić, że Lenhoff wzbogacił literaturę prawa małżeńskiego pierwszorzędną monografją o nieprzemijającej wartości. Jest ona niewątpliwie pismem polemicznem, które zdradza bystrość i temperament autora. Ale z drugiej strony wartko płynący nurt myśli Lenhoffa sięga w głąb problemu, a erudycja i systematyczna ścisłość wycisnęły swe piętno na całej konstrukcji i osnowie książki. Dzięki historycznym i dogmatycznym rozważaniom Lenhoffa austrjackie prawo małżeńskie staje przed nami w nowem świetle. Dewiza autora, ujęta w dwóch zdaniach: »Das österreichische Eherecht teilt, wie alle Kampfgebiete das Schicksal, von der Parteien Hass und Gunst enstellt zu werden. Für den wissenschaftlichen Juristen kann es aber nur ein Ziel geben: Wahrheitsfindung jenseits des Tageskampfes und unbekümmert um jede Parteistellung« — budzi dla niego szczerą sympatję i zmusza do przeczytania książki, która u nas w okresie kodyfikacji prawa małżeńskiego przedstawia nietylko naukowe walory ale powinna wzbudzić najszersze zainteresowanie.

Nie myślę na tem miejscu wchodzić w prawną i socjologiczną istotę problemu dzisiejszego małżeństwa, jako jednego z najdonioślejszych zagadnień współczesnych. Ale nie wątpię, że dobro społeczeństwa wymaga, aby 1-o przychodziły do skutku możliwie dobre to znaczy trwałe małżeństwa i aby 2-o ułatwić zerwanie spólności małżeńskiej małżonkom, dla których małżeństwo staje się nieznośnem więzieniem. Następnie pamiętać należy o tem, że walkę o małżeństwo w jego jurydycznej postaci prowadzą trzy potęgi: kościół, państwo i jednostka, pragnąca — jak pięknie mówi Jaworski — »przez prawo cywilne — uchronić od profanacji to, co w niej jest najgłębszego i najdelikatniejszego, bo uczucie«[1]. Obok prawników-teoretyków i — praktyków występują autorka

[1] Jaworski, l. c., str. 43.

duńska Karin Michaelis, królowa Marja rumuńska, powieściopisarz Wasserman i filozof Keyserling — napewno wszyscy »Charakterköpfe des heutigen Europas« — jako lekarze, starający się ustalić djagnozę choroby, na którą cierpi dzisiejsze małżeństwo, i wskazać jej terapję. Ustawodawca ma wdzięczne zadanie przed sobą wykuć z materjału wskazań i zaleceń, dyktowanych troską o ludzkość, płynących nieraz z bólu tysięcy nieszczęśliwych jednostek, harmonijne kształty norm prawnych, w którychby »bez reszty« pomieściła się instytucja małżeństwa.

Książka Lenhoffa ułatwi mu zadanie i wskaże drogę, która wiedzie do celu.

Dr. Adolf Liebeskind.

Rocznik Prawniczy Wileński.

Organ Wydziału prawa i nauk społecznych uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie, oraz Tow. Prawniczego im. Daniłowicza. Komitet redakcyjny: redaktor naczelny prof. Dr. Komarnicki, kierownik działu prawniczego, prof. Dr. Eugenjusz Waśkowski, kierownik działu ekonomicznego, prof. Władysław Zawadzki, sekretarz redakcji docent Dr. Witold Staniewicz. — Rok I. — Nakład księgarni Józefa Zawadzkiego w Wilnie 1925.

Pierwszy tom rocznika zawiera następujące rozprawy i artykuły: Alfons Parczewski, Uwagi nad kodyfikacją prawa cywilnego w Polsce; Władysław Zawadzki, O pojęciu wartości zamiennej; Eugenjusz Waśkowski, Rozwój ustawodawstwa cywilnego w XIX wieku; Franciszek Bossowski, O pochodnem nabyciu prawa patronatu nad wyzwoleńcem; Stefan Glaser, Pojęcie sprawiedliwości w prawie karnem; Adam Chełmoński, Bilanse w złotych; Witold Staniewicz, Dziedziczenie własności ziemskiej w Szwajcarji w świetle nowego Kodeksu Cywilnego; Bronisław Żongołłowicz, Ustrój Uniwersytetu Wileńskiego; Stefan Ehrenkreutz, Uwagi nad rozdziałem VII-ym Statutu litewskiego trzeciego; Wacław Komarnicki, Geneza terytorjum państwowego Polski ze stanowiska prawa narodów.

Rocznik zawiera ponadto cztery rubryki: Przegląd ustawodawstwa; orzecznictwo sądów wileńskich; recenzje i kronikę.

W pierwszej z tych rubryk znajdujemy: Adama Chełmońskiego, Przegląd ustawodawstwa cywilnego i handlowego; Stefana Glasera, Przegląd ustawodawstwa karnego materjalnego i formalnego; tudzież Mieczysława Gutkowskiego, Zarys prawodawstwa z dziedziny skarbowości i gospodarki państwowej w 1924 r.

W następnej rubryce mieszczą się recenzje: Stefana Glasera o książce Józefa Jana Bossowskiego »Ewolucja postępowania dowodowego w procesie karnym« i Jerzego Landego o książce Leona Petrażyckiego »O pobudkach postępowania i istocie moralności i prawa«.

Orzecznictwo sądów wileńskich przedstawił Aleksander Achmatowicz.

»Rocznik Prawniczy Wileński« ma być wykładnikiem, jak głosi słowo wstępne, myśli i dążeń prawnictwa kresowego, inicjatywa zaś jego wydania wyszła z Wilna, które wyrok sprawiedliwości dziejowej wrócił na Ojczyzny łono, i które, nawiązując do swych świetnych tradycyj,

znowu się staje jednem w ognisk kultury polskiej i najdalej na Wschód wysuniętą placówką kultury zachodniej.

Wydział Prawa i Nauk Społecznych wileńskiej *Almae Matris*, oraz Towarzystwo Prawnicze im. Daniłowicza w Wilnie stworzyły wspólny organ, chcąc w ten sposób wziąć udział w ogólno-polskim ruchu naukowym pod wspólnym własnym znakiem. Prawnicy kresowi pragną przyczynić się ze swej strony do rozwiązania tych problematów, które obchodzą wszystkie dzielnice Polski, oraz oświetlić specjalnie te zagadnienia, które wiążą się z życiem wschodnich ziem Polski.

Redakcja oświadcza, że hasłem jej jest służyć nauce i życiu, ale służbę tę pojmuje jedynie w ramach objektywnego badania i sądu, korzystania wyłącznie ze ścisłej metody naukowej. Wszelkie zagadnienia, czy ściśle teoretyczne, czy najzupełniej aktualne traktować będzie ze stanowiska wyłącznie naukowego, nie kierując się żadnym specjalnym interesem politycznym, czy społecznym, mając na oku jedynie rozwój nauki i dobro Rzpltej. Na ziemiach, które przez stulecie z górą były terenem ucisku i bezprawia, chce rozniecić i krzewić kult Prawa, zjednoczyć nasze szeregi w pracy dla jego poznania, wierząc niezłomnie, że idea Prawa jest kamieniem węgielnym odbudowanej Ojczyzny.

Redakcja Rocznika wyraża nadzieję, że placówka kresowa myśli polskiej zostanie życzliwie przyjęta przez ogół prawników polskich, że ogół ten użyczy jej chętnie swego poparcia, że w ten sposób zadzierzgną się jeszcze silniej węzły, łączące prawników różnych dzielnic Zjednoczonej Polski.

Witając pierwszy »Rocznik Prawniczy Wileński«, śpieszymy z zapewnieniem redakcji, jej mocodawców i współpracowników, że przyjętym został z gorącą życzliwością i uznaniem. Piękne i doniosłe zadania, których rozwiązanie redakcja postawiła sobie za cel, zostały w pierwszym tym tomie spełnione. Wilno zalicza się do ognisk życia prawniczego, a wszystkie prace zawarte w Roczniku, stoją na wysokim poziomie naukowym i przez to odpowiadają założeniom redakcji, bo są bezstronne i przedmiotowe.

Życzymy »Rocznikowi« powodzenia i rozwoju.

Władysław Leopold Jaworski.

Komunikat

Sekretarjatu Generalnego Stałej Delegacji Zrzeszeń i Instytucyj Prawniczych R. P.

W dniu 7 listopada 1926, w lokalu Biura Stałej Delegacji Zrzeszeń i Instytucyj Prawniczych R. P. przy ul. Mokotowskiej 14, odbyło się doroczne zebranie sprawozdawcze Wydziału Wykonawczego Stałej Delegacji Zrzeszeń i Instytucyj Prawniczych R. P. z udziałem delegatów miejscowych i zaproszonych gości: pp. Ministra Sprawiedliwości A. Meysztowicza, Podsekretarzy Stanu w Ministerstwie Sprawiedliwości Wł. J. Siennickiego i St. Cara i Wiceprezydenta Komisji Kodyfikacyjnej St. Bukowieckiego.

Zagaił zebranie Przewodniczący Wydziału Wykonawczego Stałej Delegacji dr. J. Morawski, witając członków Stałej Delegacji oraz gości, przyczem podkreślił, iż stało się już zwyczajem, że Ministrowie Sprawiedliwości i Podsekretarze Stanu, po objęciu urzędowania, przybywają na zebrania Stałej Delegacji dla wysłuchania głosów zrzeszonego prawnictwa polskiego, względnie dla złożenia własnych oświadczeń.

Następnie zabrał głos Sekretarz Generalny Stałej Delegacji, prof. dr. E. Stan. Rappaport, który rozpoczął swe doroczne sprawozdanie od przedstawienia roli i zakresu działania trzech instytucyj: Komisji Kodyfikacyjnej i jej organizacji pomocniczej, Stałej Delegacji Zrzeszeń i Instytucyj Prawniczych — z jednej strony i nowoutworzonej Rady Prawniczej — z drugiej, podkreślając znamienne podobieństwa i różnice i wnioskując, że każda z nich ma swoiste, zupełnie odrębne, zadania i cele. Następnie prof. Rappaport przedstawił przebieg i wyniki prac Stałej Delegacji w ciągu roku sprawozdawczego w jej Komisjach: administracyjnej (pluralizacja liczby delegatów w zależności od stanu liczebnego 47-miu zrzeszeń i instytucyj w Stałej Delegacji reprezentowanych i odnośne zmiany regulaminowe), organizacyjnej (prace przygotowawcze do II Zjazdu Prawników Polskich w Krakowie w r. 1928) i wniosków ustawodawczych (już opracowany projekt rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej w sprawie restytucji praw obywateli polskich do mienia nieruchomego, utraconego na mocy zarządzeń b. władz rosyjskich za udział w powstaniach lub za działalność patrjotyczną polską, oraz przygotowywane wnioski redakcyjne w sprawie ustaw organizacyjnych sądownictwa).

Z kolei, Sekretarz Administracyjny Stałej Delegacji, adw. K. Głębocki, złożył sprawozdanie z wykonania budżetu w roku sprawozdawczym.

Po powyższych sprawozdaniach zabrał głos p. Minister Sprawiedliwości, który podniósł znaczenie Stałej Delegacji, jako wyrażającej głos zrzeszonego prawnictwa polskiego, którego zdanie jest i będzie dla niego cenną opinją. P. Minister zamierza z tej opinji korzystać i w przyszłości, bądź z inicjatywy Stałej Delegacji, bądź sam zwracając się do niej z inicjatywy własnej. Zadaniem jego, jako Ministra Sprawiedliwości, będą starania o utrzymanie powagi prawa i niezawisłości sądownictwa.

Po przemówieniu p. Ministra Meysztowicza, Przewodniczący, dr. J. Morawski poddał pod obrady dwa wnioski Sekretarjatu Generalnego, znajdujące się na porządku dziennym, a mianowicie: 1) w sprawie pluralizacji liczby delegatów zrzeszeń i instytucyj w Stałej Delegacji reprezentowanych, w zależności od liczby członków, oraz odnośne zmiany regulaminowe, co do liczby delegatów i składu prezydjum Stałej Delegacji; 2) w sprawie wkładki dobrowolnej prawnictwa zrzeszonego na rzecz funduszu dyspozycyjnego II Zjazdu Prawników Polskich w Krakowie w r. 1928.

Rzeczone wnioski, po dyskusji uchwalono, ustalając: 1) że liczbę delegatów poszczególnego zrzeszenia lub instytucji określa się od 1—5 zależnie od liczebności zrzeszenia i że liczbę członków Prezydjum Wydziału Wykonawczego powiększa się o dwóch zastępców Przewodniczącego t. j. do liczby 5-ciu osób, a mandaty członków Stałej Delegacji przedłuża się do okresu trzechletniego i 2) że dobrowolna składka zjazdowa wynosi 1 zł. od osoby i o pobranie jej Prezydjum Stałej Delegacji zwróci się do poszczególnych zrzeszeń i instytucyj, w Stałej Delegacji reprezentowanych.

W myśl powyższych uchwał Przewodniczący ustalił, że mandaty

obecnych członków Stałej Delegacji upływają w dniu 31 grudnia 1927, poczem nastąpi ukonstytuowanie się nowego Wydziału Wykonawczego na zasadzie nowego ustosunkowania liczby delegatów od poszczególnych zrzeszeń.

Po wyczerpaniu porządku dziennego zebranie zamknięto.

Tegoż dnia po południu odbyło się u Sekretarza Generalnego Stałej Delegacji doroczne przyjęcie członków Wydziału Wykonawczego Stałej Delegacji oraz zaproszonych gości z pośród kierowniczych przedstawicieli Ministerstwa Sprawiedliwości i Spraw Zagranicznych, magistratury, palestry, nauki prawa, poszczególnych zrzeszeń prawniczych w stolicy oraz przedstawicieli państw, biorących udział w współpracy prawniczej międzynarodowej.

Prof. E. Stan. Rappaport
Sekretarz Generalny.